

ANDREAS PFLÜGER

R A Z

N A

Z A W

S Z E

**Kryminalny majstersztyk!
KATARZYNA BONDA**

ANDREAS PFLÜGER

RAZ
NA
ZAWSZE

TŁUMACZENIE SŁAWA LISIECKA


OTWARTE
KRAKÓW 2016

Tytuł oryginału: *Endgültig*

© Suhrkamp Verlag Berlin 2015. All rights reserved by
and controlled through Suhrkamp Verlag Berlin
Copyright © for the translation by Sława Lisiecka

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargskog

Projekt okładki: FinePic®, München
Modyfikacja okładki na potrzeby polskiego wydania:
Andrzej Sierak
Fotografia na okładce i na 1 s. (ślady po kulach) –
© ziviani / Shutterstock.com
Grafika na okładce (rozprysk krwi) – © iStockphoto.com /
zizar2002

ISBN 978-83-751-5718-5



OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105
Kraków,
tel. [\(12\) 61 99 569](tel:126199569)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2016.

Annie. Zawsze

*Gdyby na koniec był jeszcze czas,
nie chciałabym zadawać sobie pytania,
dlaczego muszę umierać,
lecz wiedzieć,
dlaczego żyłam.*

LA SAGRADA FAMILIA

Nic nie uspokaja jej tak jak czyszczenie broni. Każdy inny musiałby skontrolować magazynek, aby się upewnić, że jest pusty. Ale nie ona. Ona co do grama zna ciężar magazynka, który wsuwa się w jej dłoń. Wie, że w lufie browninga high-power nie ma ani jednego naboju, podobnie jak wie, że jej oczy są zielone. A niekiedy czarne.

W ciągu czterech sekund zwalnia spust, odryglowuje zamek, wyjmuje go i płynnie ściąga sprężynę z lufy. Pierwszorzędna belgijska jakość.

Jakże często była za to wdzięczna.

Po raz pierwszy odebrała życie w wieku dwudziestu dwóch lat, kiedy chciał ją zabić diler narkotyków.

Rok później podczas przekazywania okupu była przygotowana na moment, gdy będą otwierać torbę ze skrawkami gazet, ale nie na rewolwer z dwucalową lufą, który porywacz małego chłopca miał w kaburze na łydce. W następnych miesiącach zasypiała wyłącznie przy zapalonym świetle.

On nie był ostatni.

Po wsze czasy będzie pamiętała każdego.

W Moskwie znalazł ją zabójca, który miał przekazać jej pozdrowienia od Ilii Iwanowicza Nikulina. W podziemnym garażu hotelu Aralsk bawił się z nią w kotka i myszkę, aż wreszcie to ona zmieniła się w kota, on zaś w mysz, i usłyszała jego pisk. Nie przejęła się tym, że postrzeliła go w brzuch. Ale do dzisiaj widzi nieruchomy wzrok wpatrzonyj w nią młodej pracownicy hotelu, którą rykoszet z jej browninga trafił w serce. Widzi oczy tej kobiety, którą do samego końca trzymała za rękę.

Nad umywalką w luksusowej łazience smaruje starannie lufę i zamek oliwą do konserwacji broni i myśli o tym, że tylko raz

nie wyczyściła swojego pistoletu.

Neapol. Uliczka przy Basilica Santa Chiara, gdzie czekał boss klanu Mazarella, z którym negocjowali pozorny zakup dziesięciu milionów sfałszowanych euro. Kiedy plunięte przez niego słowo „kurwa” zdradziło jej, że ją zdemaskował, nie było ważne, czy jest szybka.

Nacisnęła spust, ale strzał nie nastąpił.

Poprzedniego dnia Niko i ona musieli polecieć na kilka godzin do Berlina. Sekretarz Wydziału Spraw Wewnętrznych zażądał, aby osobiście poinformować go o stanie rzeczy; człowiek-żółw, który nigdy nie zrozumie różnicy między notatką w aktach a kalibrem .357 magnum. Odreagowała tę wizytę w strzelnicy, trzysta pięćdziesiąt nabojów, potem musiała szybko jechać na lotnisko, wrócić do Neapolu na spotkanie z bossem. Nie wyczyściła browninga i kondensaty, gazy spalinowe oraz resztki prochu spowodowały blokadę ładowania.

Na zawsze będzie miała nauczkę.

Lufa jego lugera dotykała nasady jej nosa. Ze zdumieniem stwierdziła, że w ogóle się nie boi. Pomyślała tylko, że luka w uzębieniu bossa będzie ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w życiu.

Ale on bezgłośnie upadł u jej stóp.

Niko.

Strzał z colta w głowę z odległości stu metrów.

Czegoś takiego nie można się nauczyć.

Aaron czyści wszystkie części broni dziecięcą szczoteczką do zębów, uważa, żeby nie pominąć ani jednej szczeliny, spostrzega z zadowoleniem, że oliwa nabiera barwy głębokiej czerni – tylko wtedy jest dobrze. Wsuwa szczoteczkę do lufy, by wyczyścić ją od wewnątrz. Bardzo lubi dotykać stali, niezniszczalnej, a przy tym miękkiej i ciepłej.

Tak jest, od kiedy ojciec zabrał ją jako dwunastoletnią dziewczynkę do starego kamieniołomu. Wyuczył ją wszystkiego, co dotyczy strzelania, a co policjant może przekazać córce.

Pierwszą własną broń otrzymała na osiemnaste urodziny. Używany, ale zadbane starfire kalibru 9 mm, który ważył zaledwie czterysta gramów i dobrze układał się w jej dłoni.

Kochała ten pistolet, nazywała go stokrotką.

Wyciera stal i wącha ją.

Rozkoszuje się zapachem. Orzechowym. Słodkim. Czystym.

Cztery sekundy i browning jest ponownie złożony.

Głębokie klaśnięcie, z którym zaskakują sanki, jest najlepszym beta-blokerem.

Ale nie dzisiaj.

Jenny Aaron wchodzi do sypialni w amfiladzie. Niko Kvist leży na łóżku. Po raz trzeci studiuje dossier. Aaron nie musi tego robić. Jej pamięć to software o wysokiej wydajności – wystarczyło jej pięć minut, żeby wszystko zapamiętać:

W lutym 1912 roku Marc Chagall namalował w Paryżu *Rozmarzonych tancerzy*; dwoje splecionych ze sobą w uścisku kochanków na zawrotnie wysoko zawieszanej linii między wieżami Notre Dame. Tak bardzo lubił ten obraz, że go zachował. Kiedy tuż przed wybuchem I wojny światowej wrócił do ojczyzny, do Rosji, podarował go swojej muzie i późniejszej żonie Belli.

Na początku lat dwudziestych wzięli go ze sobą do Berlina, gdzie wisiał w ich sypialni. Bella uwielbiała na niego patrzeć. Ale kiedy Chagall przyznał się jej do romansu, chcąc ukarać męża, sprzedała *Rozmarzonych tancerzy* pewnemu Żydowi, właścicielowi jednej z galerii.

Cztery lata po zdobyciu władzy naziści kazali skonfiskować wszystkie dzieła Chagalla, w których posiadanie weszli, i wystawili je w monachijskim Domu Sztuki, określając mianem „sztuki zwyrodniałej”. Następnie miano je tanio sprzedać w Lucernie. Jednak stróż nocny muzeum, samotny po przedwczesnej śmierci żony, zakochał się w *Rozmarzonych tancerzach* i oglądał dzieło przez wiele godzin. Nie był odważnym człowiekiem. A mimo to wyobrażenie, że nigdy więcej nie będzie mógł patrzeć na ten obraz, było dla niego tak niezdnośne, że go ukradł, ocalając przed wywiezieniem. Do końca wojny ukrywał go u siebie na strychu, a później powiesił w pokoju naprzeciw szafy na wysoki połysk.

Kiedy zmarł w bardzo podeszłym wieku, jego dzieci oddały obraz do wyceny. Trafił on do zamożnej wnuczki właściciela galerii, który nabył go od Belli Chagall. Wnuczka wiedziała, ile obraz znaczył dla jej dziadka, chciała więc oddać cześć jego pamięci i dlatego przekazała *Rozmarzonych tancerzy* berlińskiej Galerii Narodowej jako wieczny depozyt.

Stamtąd obraz ukradziono. Wycięto go z ramy w biały dzień. Z zimną krwią. Precyzyjnie. Nie zostawiając śladów.

Przez dwa lata nie było na jego temat żadnych wieści.

Na początku listopada Niko otrzymał wskazówkę od jednego ze swoich informatorów: Chagalla ma mężczyzna o nazwisku Egger. W ciągu trzech miesięcy udało się Nikowi nawiązać kontakt z Brugią.

Przykrywka Nika: wysoko postawiony pracownik banku inwestycyjnego opętany na punkcie sztuki.

Egger zażądał trzech milionów funtów szterlingów. W Barcelonie.

Dlatego oboje tu są. Dwoje agentów pod przykryciem z torbą pełną pieniędzy.

Przykrywka Aaron: ekspertka, która ma ocenić obraz.

Niko wstaje. Obejmuje Aaron ramieniem i delikatnie gładzi ją po policzku. Ładnie pachnie. Od roku są parą. W Wydziale nikt nie może się o tym dowiedzieć, w przeciwnym razie zabroniono by im wspólnie pracować. Umieją dochować tajemnicy. Ale mają dla siebie bardzo mało czasu. W tym roku Niko trzykrotnie brał udział w akcjach, które nie pozwalały mu na powrót do Berlina, Aaron zaś dwukrotnie – w Warszawie i w Helsinkach. Przez dwa tygodnie urlopu w Marrakeszu prawie nie wychodzili z hotelu przy placu Dżamaa el-Fina. Byli rozmarzonymi tancerzami w upale dni i chłodzie nocy. Lodowaty wiatr od strony gór Atlas wciskał się w uliczki. Było im to równie obojętne jak jedzenie i picie.

Barcelona jest po Neapolu dopiero ich drugim wspólnym zadaniem. Ale wówczas, we Włoszech, skradali się jeszcze wokół siebie jak dwa koty, które dzielą jedną miskę z mlekiem. Teraz Aaron wie: to duża różnica, czy z mężczyzną, którego się kocha, sypia się w czasie urlopu, czy przed akcją. Dlaczego jest

taka spięta? Nie rozumie tego. Barcelona to rutyna, podejmowała się już trudniejszych misji. A jednak ostatniej nocy nie mogła zmrużyć oka, drżała przez cały czas, podczas gdy Niko spał obok niej jak dziecko.

Samotnie szukała liczby kryjącej się za tym drżeniem.

Każdej liczbie od jednego do dziesięciu przypisywała jakieś uczucie.

Jedyńka to radość, dwa oznacza wdzięczność, cztery to perfekcyjna kontrola, pięć – pogarda, sześć – współczucie, siedem to coś, czego nie można się doczekać, osiem – duma, dziewięć – odczuwanie stanu zbliżonego do szczęścia. Dziesięć to adrenalina.

O liczbie trzy stara się nigdy nie myśleć.

Przyjdzie na to pora.

Kładzie browninga obok colta Nika w sejfie. Tam, dokąd idą, nie mogą zabrać broni.

Drzwi windy zamykają się. Trzy piętra. Aaron przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą, prostuje kark, ściąga obojczyki, robi nimi koliste ruchy, wymachuje rękami, prostuje palce w balerinkach, rozluźnia się, aby chwilę później napiąć całe ciało.

Zupełnie nieświadomie dotyka blizny na lewym obojczyku. Zresztą nie jedynej, jaką ma. Ale tej szczególnej.

Niko mówi:

– Znam fantastyczną restaurację przy parku Güell. Może przedłużylibyśmy sobie pobyt tutaj i jutro poświętowali?

– Innym razem.

Za nic w świecie nie zostanie tu dłużej, niż to konieczne.

W lobby jakaś kobieta z synem. Chłopiec ma bardzo starą twarz, oczy zaś jak matowe kamienie. Czyta komiks. *Daredevil*, *ślepy mściciel*. Aaron czuje na plecach wzrok dzieciaka. Ogląda się za siebie. Kobieta wstaje i zmierza w stronę windy, chłopiec jednak się nie rusza, siedzi i wlepia w Aaron nieruchome spojrzenie.

Jordi, kolega z jednostki specjalnej Mossos d'Esquadra, który udaje ich kierowcę, otwiera im drzwi daimlera. Dwaj inni, Ruben i Josue, odgrywiają bodyguardów i jadą drugą limuzyną.

Ci młodzieńcy to ich ubezpieczenie na życie.

Jordi jedzie szybko, mija masywne, kłocowate czworoboki z żelazobetonu postawione w latach siedemdziesiątych. Aaron lubi wszystko, co ma geometryczne formy.

Barcelona oddycha ostatnim światłem. Niebo niczym człowiek chodzący po ogniu biegnie po rozżarzonych węglowych chmurach.

Dziesięć plus. Adrenalina rozbija się o komory serca Aaron, która zna cztery jej rodzaje: adrenalinę tuż przed kontaktem – czy czeka mnie uścisk ręki czy kulka? Adrenalinę w bezpośrednim zagrożeniu życia. Adrenalinę towarzyszącą zranieniu. Adrenalinę, kiedy myśli się o błędzie.

A z błędem trzeba się zawsze liczyć.

Niko mówi:

– Popatrz.

Ona wie, że obejrzy La Sagrada Familia, świątynię obłędu Gaudiego, triumf wiary, ruinę katolicyzmu, monument największego zwycięstwa i najsromotniejszej porażki. Zapierającą dech, wspaniałą, zarazem jednak zdumiewająco pozbawioną wszelkiego porządku, bezmierną i budzącą lęk.

Aaron odwraca głowę i wygląda przez okno.

Ale tam nic nie ma. Zupełnie nic.

Katedrę połknęła czarna dziura, otchłań, do której wpada światło, która rozszerza się jak wszechświat, wsysa Jordiego, Nika i Aaron, jakby byli asteroidami na skraju galaktyki.

Aaron panicznie szuka ręką Nika, ale jej dłoń jest odcięta od ciała i nie chce jej słuchać.

Zamyka oczy i znów je otwiera.

Stoją na skrzyżowaniu z Carrer de Mallorca. Rozbłyskują latarnie. Zakochani spotykają się przed kinem. Pies wyrzywa się na smyczy. Płacze dziecko.

Aaron szepcze:

– Wymień liczbę między jeden a dziesięć.

We wzroku Nika widzi zdziwienie, drwinę.

– Proszę.

– Trzy.

Jest ich troje, już czekają przed magazynem obok portu. Czarne audi. Aaron natychmiast widzi, że zostało optymalnie zmodyfikowane.

Egger jest wysoki i chudy, w znakomitej formie fizycznej mimo czterdziestu pięciu lat, na które go ocenia. Buty typu budapester. Garnitur szyty na miarę, węzeł krawata ostry jak nóż. W butonierce kwiat kamelii. Ręka, którą jej podaje, jest chłodna, gładka, po manikiurze. To mężczyzna mający w sobie spokój człowieka, który czyta Dostojewskiego w oryginale. Ale mięśnie jego szyi są napięte jak stalowe liny, nawet gdy tylko lekko pochyła głowę i miękkim, dźwięcznym głosem mówi:

– Na panią poczekałbym nawet dwie minuty.

Jest arogancki. Prawdopodobnie dlatego, że rzadko spotyka ludzi, którzy dorównują mu inteligencją. Aaron nie wątpi, że wie, jak cenny jest ten obraz. Z pewnością zna nie tylko jego wartość rynkową. Nie, on zna rzeczywistą wartość, prawdę, wnikliwość i głębię, które pozwoliły Chagallowi namalować *Rozmarzonych tancerzy* w ciągu zaledwie jednego dnia, siłę, którą poczuła również Aaron, oglądając reprodukcję.

Jaki piękny musi być oryginał.

Nagle Aaron pyta samą siebie, dlaczego Egger nie chce go zatrzymać, dlaczego chce go opchnąć.

Nie zadaje sobie trudu, żeby przedstawić im kobietę i może o dziesięć lat młodszego mężczyznę, którzy mu towarzyszą. Kobieta jest atrakcyjna i pewna siebie. Kiedy na dwunastocentymetrowych szpilkach obchodzi samochód, zdradza imponujący zmysł równowagi. Gdyby trzymała w ręku szklankę pełną wody, nie rozlałaby ani kropli.

Młodszy mężczyzna ma oczy czarne jak plastikowe żetony, płaskie i martwe. Gdyby w kąciku ust nie tkwił mu niedopałek, można by pomyśleć, że w ogóle ich nie ma. Złamany nos został nastawiony byle jak. Na grzbiecie prawej dłoni widać duże

znamię.

Nietrudno nie zauważyć podobieństwa do Eggera.

Bracia. Dziwni.

Obaj noszą kabury, Eggerowi nie udaje się tego ukryć nawet pod dwurzędówką z Savile Row. Aaron mogłaby się założyć, że całą dumą Żetonowego Oka jest glock 33. Egger na pewno nie potrzebuje niczego takiego. Ktoś taki jak on nie chełpiłby się amunicją. Poza tym ma styl, nie pasowałaby do niego broń z plastikową rękojeścią – raczej remington 1911 albo beretta target.

Kabury są puste, Aaron również to widzi na pierwszy rzut oka.

Metoda budząca zaufanie.

Niko pyta:

– Gdzie jest obraz?

– Gdzie są pieniądze?

Niko daje skinieniem znak Jordiemu, który otwiera dużą torbę stojącą w daimlerze na siedzeniu dla pasażera. W Berlinie zastanawiali się, czy nie lepiej byłoby użyć fałszywek. Ale interwencja nastąpi dopiero w chwili, gdy już będą mieć obraz. Licząc się z tym, że nie będzie go na miejscu „akcji pokazowej”, zdecydowali się na prawdziwe banknoty.

Wzrok Eggera prześlizguje się po nich tak niedbale, że graniczy to wręcz z szyderstwem. Mężczyzna nieznacznie napina mięśnie twarzy – to swego rodzaju uśmiech.

– Tylko pan, kobiety i ja. Pańscy ludzie zostaną z nim. – Z bratem. – Proszę potraktować go jak zastaw.

Niko zastanawia się przez chwilę:

– Zgoda.

Idą do magazynu za Eggerem i kobietą.

Aaron wie, że to był pierwszy błąd.

Chciała iść uzbrojona, z kaburą umieszczoną na łydce pod szerokimi spodniami, ale decyzja należała do Nika, który już wcześniej poznał Eggera.

– On nie ufa nawet komuś, kto jest tak piękny jak ty – powiedział. – Przeszuka nas oboje.

Nie zrobił tego. Dlaczego?

Aaron ogląda się za siebie. Katalończycy kręcą głowami, gdy Żetonowe Oko podsuwa im paczkę papierosów. Dobre chłopaki, przekonała się o tym już podczas treningu strzeleckiego. Potem wszyscy poszli na kolację do Rubena. Były tam dzieci szalejące po meblach, śmiech, paella i wódka z Andory, która wyciskała im łzy z oczu.

Aaron wyszła później na taras, żeby zapalić. Drzewa droczyły się z wiatrem. Przez listowie prześwitywały okna, które skojarzyły jej się z kalendarzem adwentowym. Co Aaron znajdzie w swoim trzeciego grudnia? Z pomieszczenia dobiegała muzyka. Ale Aaron myślami była daleko stąd. Przyszedł Jordi i wysepił papierosa. Palili jak dwoje ludzi, którzy wiedzą, że nie za każdym okienkiem znajduje się czekoladka.

– Już za długo w tym siedzę – powiedział. – Przestałem spać. W styczniu dadzą mi robotę przy biurku.

Drzwi do hali zamykają się za Aaron. Magazyn kawy. Aromaty są tak intensywne, że na chwilę traci dech. Mniszek, cukier karmelizowany, wilgotny tytoń fajkowy, świeżo rozłupane drewno.

Na jednym z worków kawy leży cylindryczny metalowy pojemnik. Obraz.

Aaron pyta:

– Mogę?

Kobieta podaje jej pojemnik.

Aaron ma nadzwyczajny słuch. Kiedyś Pavlikowi na strzelnicy stoczyło się z półki na broń kilka nabojów. Ona, nie patrząc, wiedziała, że było ich pięć.

Kiedy teraz słyszy suchy trzask, wie, że w pojemniku nie ma obrazu.

I że Jordi nigdy nie dostanie pracy przy biurku.

Jakby za sprawą magii w ręce mężczyzny, który przedstawił się jako Egger, pojawia się remington. Aaron rzuca się ponad workami, czuje prąd powietrza spowodowany przez kule, przetacza się, błyskawicznie wstaje. Widzi padającego Nika. Biegnie zygzakiem na tyły hali, a rozżarzone szczypce chwytają ją za ramię.

Niko! Niko! Niko!

Dwoje drzwi – ruletka. Aaron stawia wszystko na czerwone, gwałtownym ruchem otwiera prawe skrzydło i znajduje się w ciemnym korytarzu. Potykając się, idzie po omacku naprzód, aż wreszcie trafia na ścianę. Zły wybór, ślepa uliczka. Wcisną się w niszę. Coś gorącego spływa jej po rękę. Nie czuje bólu. Zapala się światło. Jej serce niczym maszyna pompuje do krwiobiegu potworny strach. Dreptanie. Kobieta zdejmując szpilki. Jest teraz bosy.

Jeszcze pięć metrów. Aaron widzi wyłącznik światła na przeciwległej ścianie. Za daleko. Obraca w głowie tę myśl jak monetę, szuka alternatywy.

Nie ma.

Jeszcze cztery.

Trzy.

Aaron wybiega z niszy. Kobieta wypala. Prawa ręka, lekki postrzał. Aaron wali pięścią w wyłącznik. Ciemność. Upada, dwa strzały w próżnię. Obejmując kobietę nogami, zwała ją na ziemię. Palcem wskazującym i środkowym uciska mocno jej splot słoneczny, a ta, rżąc, próbuje złapać powietrze. Aaron spostrzega, że kobieta lekko zgina rękę, w której ma broń, chwytając ją więc za głowę, skręca z całej siły i słyszy, jak tamtej łamie się kark.

Bierze pistolet, czuje, że to walther, wyciąga magazynek. Pusty. Serce tłoczy rozpacz do krwiobiegu. Ale może w lufie jest kula.

Proszę, proszę, proszę...

Drży zbyt mocno, nie czuje ciężaru. Nie ma odwagi odciągnąć sanek, narobiłaby za dużo hałasu.

Ma zbyt wysoki puls. Powinien spaść do sześćdziesięciu, siedemdziesięciu uderzeń na minutę, teraz jest ich ponad dwieście. W tym stanie nie uda się jej nawet nacisnąć spustu.

Aaron zmusza się, by zacząć oddychać przeponą. Nabiera powietrza w płuca, zaopatruje mięśnie w czysty tlen i czeka pół minuty, pozwalając pulsowi zwolnić. Czy to wystarczy?

Stoi w ciemności. Po raz ostatni oddycha głęboko. Półwdech, półwdech. Prawą ręką wyczuwa włącznik.

Teraz.

Zapala światło. Żetonowe Oko. Pięćdziesiąt metrów. Aaron naciska spust. Nigdy nie słyszała lepszego odgłosu niż ten strzał. Trafia mężczyznę w szyję, ten robi półobrót i pada. Sześćdziesiąt dudniących kroków. Żetonowe Oko patrzy nieruchomo w sufit. Nie ma uszkodzonej tętnicy, ale nie może się poruszać. Szok. W jego glocku 33 brak trzech nabojów. Jordi, Ruben, Josue.

Skok do hali, stop, wycelować oburącz, napiąć mięśnie. Nie ma Eggera.

Niko! Niko! Niko!

Leży w pozycji embrionalnej obok cylindrycznego pojemnika. Koszulę ma mokrą od krwi. Z ust dobywa się czerwona piana.

– Uciekaj.

Jego głos jest cichy jak oddech w czasie snu.

Aaron usiłuje dźwignąć Nika, ale to dziewięćdziesiąt kilo mięśni, nie daje rady. Ponawia próbę. Jeszcze raz, i kolejny.

Gdzie jest Egger?

Niko chwyta ją za rękę. Przyciąga do siebie, ma teraz usta przy jej uchu. Aaron rozumie słowa, ale ich nie pojmuje.

– Musisz – mówi Niko z ogromnym trudem.

Nagle w hali pojawia się Egger – jakby wchodził na scenę. Aaron rzuca się w jego stronę. Odpalają równocześnie. Pięć strzałów brzmiących jak jeden. Egger znika. Aaron nie wie, czy go trafiła. Słyszy, że mężczyzna ładuje nowy magazynek do rękojeści.

Spojrzenie Nika. Wydaje się jej, że patrzą na siebie całą wieczność.

Zaczyna biec. Egger wali z remingtona. Aaron bierze glocka w zęby i koziołkując, katapultuje się na zewnątrz. Zostaje trafiona, znowu w prawą rękę, traci równowagę, z hukiem pada na plecy, oddaje nad głowę dwa strzały przez drzwi, kryje się.

Widzi trzy trupy.

Chce się podnieść, ale nie czuje ciała. Modli się, żeby agregat awaryjny zaskoczył i uwolnił te pięć procent rezerwy, które ma jeszcze człowiek, gdy myśli, że mu się nie uda.

Aaron zgina mały palec.

W porządku.

Dwa palce.

W porządku.

Rusz się!

Podpełza do daimlera i wczółguje się za kierownicę

Kluczyk tkwi w stacyjce.

Ciężka limuzyna rusza, sapiąc. Egger wyskakuje z hali. Kule rozbijają boczną szybę, jeden z pocisków muska kark Aaron. Samochód, kołysząc się, skręca w Via de Circulació. Pięćset metrów na pełnym gazie. Aaron wylatuje drogą dojazdową na obwodnicę miejską. Z lewej strony są strome skały, z prawej światła portowe przemykają niczym fotony w akceleratorze.

Dopiero teraz czuje rany postrzałowe. Prawa ręka jest jak z lodu, dłoń jak ognista kula. Krew spływa po plecach.

Aaron spogląda w lusterko. Widzi audi.

Wcisła do dechy pedał gazu i przyśpiesza do dwustu pięćdziesięciu. Egger mimo to ją goni. Jego samochód jest o pół tony lżejszy i ma dwa razy tyle koni mechanicznych. Przed nią zarzuca vanem, który chce wyprzedzić ciężarówkę. Ona zjeżdża z pasa do wyprzedzania na pas postoju awaryjnego. Lusterko boczne zahacza o znak drogowy, urywa się i wirując, leci w mrok.

Egger siedzi Aaron na ogonie. Dają nura w tunel przy Plaça de les Drassanes.

Dwieście sześćdziesiąt.

Aaron z rozpaczą widzi, że wycisnęła już całą moc.

Egger bez trudu ustawia się audi z jej lewej strony.

Patrzą na siebie.

Znów to uczucie: chwila, która trwa wieczność.

Aaron kątem oka widzi przed sobą samochód. Zerka na jezdnię, nie ma już pasa awaryjnego, nie może uciec w bok, wie, że zostały jej tylko sekundy, więc zranioną ręką podnosi broń.[L.J]

Trzyma palec na spuście, ale Egger jest szybszy.

Coś wybucha jej w głowie, błysk rozcina świat jak papier. Aaron widzi wszystko w zwolnionym tempie, zalane oślepiającą bielą, jak w groteskowo prześwieblonym filmie: podsufitka

auta, która się obraca, aż znajduje się pod nią, banknoty, które niczym zwiędłe liście wyfruwają z torby, jej twarz w lusterku wstecznym, amorficzny pejzaż, śnieżna pustynia, wieczna nicość.

Potem jeszcze raz to samo, ale z tysiąckroć większą prędkością, jedno wielkie wirowanie, ból, krzyk.

I ponownie błysk.

W ciągu nanosekundy świat znika.

Aaron słyszy, że stal wżera się w beton i że wreszcie nastaje cisza. Ostatnia rzecz, którą będzie pamiętała, to odór kawy, obrzydliwy jak zimny popiół.

Stewardessa pyta po raz drugi:

– Z mlekiem?

– Czarna.

Aaron wyciąga rękę i czuje, że stewardessa wciska jej kubek.

Pilot ogłasza:

– Za pół godziny wylądujemy w Berlinie. Od samego rana pada śnieg. Proszę zapiąć pasy, spodziewamy się turbulencji.

Aaron zmusza się do wypicia kawy.

Od kiedy pracuje w mieszczącym się w Wiesbaden BKA, Federalnym Biurze Śledczym, już kilkakrotnie trafiały się jej okazje podróży służbowych do Berlina. W Treptow, jednym z jego okręgów, biuro ma ważną filię, w której stacjonują między innymi kryminalistyczna grupa zabezpieczania śladów, centrum obrony przed terroryzmem i wydział „zadań specjalnych”. Mimo to do tej pory Aaron zawsze udawało się uniknąć podróży do stolicy.

Wychowała się w Nadrenii, ale odkąd przekroczyła dwudziestkę, jej ojczyzną stał się Berlin, i chociaż nie była tam już od pięciu lat, pozostał nią mimo wszystko do dzisiejszego dnia. Czuje to bardzo wyraźnie, z każdym kilometrem, który przybliży ją do miasta. Przepelnia ją niecierpliwosc, radość z przybycia, łaskotanie. Jest poirytowana, gdyż podczas tego powrotu, podczas dwudziestu czterech godzin, przez które tu zostanie, boi się o swój bagaż.

Pięć lat. Aaron nie zlikwidowała nawet swojego mieszkania na Schönebergu, zrobił to za nią ojciec.

W Berlinie zostawiła zaledwie kilkoro ludzi, za którymi tęskni. Tryb życia nie pozwalał jej na pielęgnowanie przyjaźni. Właściwie miała tylko Pavlika i jego żonę Sandrę. Kiedy w wieku dwudziestu pięciu lat trafiła do Wydziału, Pavlik od razu się nią zajął. Była jedyną kobietą pośród czterdziestu

mężczyzn.

Od Pavlika dowiedziała się, że wszystkim, niezależnie od tego, jak długo tu są, przytrafiają się noce, w czasie których pojawia się dygot.

Poczuła ogromną ulgę, że ktoś tak po prostu ją przytula i że również ona ma prawo pocieszać innych.

Mimo to przez wszystkie te lata, które minęły od zdarzeń w Barcelonie, nie rozmawiała z Pavlikiem. W ciągu pierwszych miesięcy telefonowali do siebie. Pavlik starał się zachowywać tak, jakby w Hiszpanii nie stało się nic wielkiego, udawał luzaka, ponieważ tylko w ten sposób mógł poradzić sobie z tą sprawą. Aaron zaś nie potrafiła znaleźć słów na wyrażenie tego, co to wszystko dla niej znaczy. Nie potrafi do dzisiaj. W pewnym momencie słyszeli już tylko swoje własne oddechy. Potem przestali do siebie dzwonić.

Czy poznam jego głos?

– Podchodzimy do lądowania na lotnisku Berlin-Schönefeld. Proszę sprawdzić, czy stoliki są złożone i zablokowane, a oparcia foteli ustawione w pozycji siedzącej.

– No, brawo!

Kiedy mężczyzna siedzący obok z wściekłością rzuca w Aaron kubkiem, ta uświadamia sobie, że wypila ją tylko do połowy i zapomniała zestawić ze stolika, wskutek czego kawa musiała się wylać na spodnie mężczyzny.

– Jest pani ślepa?

– Tak.

Stewardessa naziemna prowadzi Aaron do hali.

– Na pewni ktoś po panią przyjdzie?

I zostawia ją samą.

Kiedy Aaron tak stoi, z łagodnymi oczyma, z walizeczką obok siebie – trzydziestosześcioletnia, wysoka, atrakcyjna – mogłaby uchodzić za zupełnie normalną kobietę. Nic również nie zdradza tego, że wewnętrznie dygotuje. A dygotuje, ponieważ wie, kto po nią przyjedzie.

W pierwszym okresie nosiła wykropkowaną opaskę. Zdarzało się jednak, że przystawała na trotuarze albo w domu handlowym, zatopiona w myślach, i nagle jakiś nadgorliwy

pomocnik, nie pytając jej o zdanie, chwycił ją i ciągnął dalej, bo myślał, że Aaron chce przejść przez ulicę albo pojechać ruchomymi schodami. Kiedy protestowała, zdarzało się, że taki człowiek, kompletnie zaskoczony i zrażony, po prostu ją gdzieś zostawiał i się ulatniał. Wtedy traciła orientację, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

Aaron stuka w zegarek na ręce. Komputerowy głos oznajmia:

– Szósty stycznia, środa. Godzina ósma, czternaście minut, siedemnaście sekund.

Może pomylili lot? I co teraz? Taksówka?

Horror. Człowiek ustawia się tam, gdzie mogłaby stać pierwsza taksówka, słyszy, jak ludzie ładują walizki i wymieniają adresy. Kolejne auto, zatraskiwanie drzwi, odjazd, a ty sam jesteś członkiem jakiejś milczącej manifestacji, niczym świadek Jehowy. Machanie ręką byłoby śmieszne. Jeśli masz szczęście, w pewnym momencie kierowca zwróci się do ciebie: „Proszę pani, dlaczego pani nie wsiada?”.

Naraz Aaron zdaje sobie sprawę, że Niko jest tu już od dawna i się jej przygląda.

Przeżył, mimo rany postrzałowej śledziony i płuc i utraty dwóch litrów krwi.

Wreszcie dotyka jej ramienia.

– Hej.

Obejmuje ją tak, jakby rozstali się dopiero wczoraj.

Aaron czuje jodynę. Zaciął się przy goleniu. Jej lewa ręka, wbrew jej woli, sięga pod jego skórzaną kurtkę i gładzi rękojeść broni. Makarow single action.

Niko bierze walizkę, idą do wyjścia. Dawniej Aaron nosiła przeważnie buty na płaskim obcasie, jednak dla niewidomej wysokie stalowe obcasy pełnią funkcję echosondy. Sprawdza się to na twardym podłożu, jak tutaj, ale tylko w spokojniejszych miejscach, w zamkniętych pomieszczeniach. Tymczasem w terminalu jest zbyt duży hałas. Aaron dryfuje poprzez katedrę hałasów, szeptów, nawoływań, paplania wielu głosów, turkotu wózków bagażowych, dzwonięcia telefonów komórkowych, marudzenia niemowląt, trzeszczenia zapowiedzi wymawianej złą angielszczyzną i drugiej, po niemiecku, która

zlewa się z tą pierwszą. Aaron musi trzymać Nika pod rękę.

Na dworze zimno smaga ją po twarzy. Na skórze tańczą śnieżynki. Lekki, kołyszący chód Nika, który jej nie zwiedzie, bo kiedyś i ona była takim drapieżnikiem jak on.

Aaron mocno pstryka palcami, wie, że Niko się dziwi, ale nie wyjaśnia mu jednak, dlaczego to robi. Próbuje się rozeznąć. Każda rzecz odbija dźwięk inaczej, ma swoją własną falę. Ale problemem jest oczywiście tło akustyczne. Kiedy Aaron dłużej przebywa w mieście, wieczorem ma bóle głowy i czuje się kompletnie rozbita.

– Uwaga, pojemnik na śmieci – mówi Niko.

Ona wie to już dawno. Również dlatego, że czuje zapach zgniłych skórek od bananów i starego hamburgera.

Jeszcze lepiej niż pstrykanie palcami sprawdziłoby się uderzanie językiem o podniebienie, sonar Aaron, którym wytwarza dźwięki tuż przy uchu, tak że ziemia ich nie pochłania i nie rozprasza. Echa modelują świat, wyświetlają go niczym stroboskop. Z pięciu do dwustu metrów Aaron umie zdefiniować wielkość i gęstość obiektów i otrzymuje obraz składający się z dużych pikseli.

Jak nietoperz albo delfin.

Początkowo sama nie mogła w to uwierzyć. W klinice rehabilitacyjnej spotkała kobietę, która już od dawna była niewidoma i przychodziła codziennie, aby wspomagać pacjentów w pierwszych tygodniach po utracie wzroku, borykających się ze zwątpieniem i rozpaczą. Chodziła z Aaron na spacer po parku w klinice. Przystawała, uderzała językiem o podniebienie i mówiła:

– Po prawej jest sześć drzew. Bardzo wysokich i grubych. Buki, kasztanowce albo dęby. Z lewej dwa, ale mniejsze, może platany.

Aaron myślała, że kobieta chce sobie z niej zakpić. Jednak lekarz, który akurat przechodził obok, nie był zdziwiony i potwierdził jej słowa.

– Tyle że to nie platany, a młode brzoźki.

Kobieta ponownie uderzyła językiem o podniebienie i lekko dotknęła Aaron.

– Po drugiej stronie stoi dom. Myślę, że w odległości jakichś stu metrów. A mniej więcej dwadzieścia metrów przed nami parkuje samochód.

Była to prawda.

Aaron zrozumiała, że musi się tego nauczyć.

Ludzie, którzy stracili wzrok w późnym wieku, rzadko osiągają takie mistrzostwo. Ale ona trenowała jak opętana. Zresztą wszystko potrafiła robić tylko w ten sposób.

Jej pierwszym sukcesem było zlokalizowanie uliczki między dwoma budynkami klinicznymi. Najpierw rozpoznała ją po przeciągu, a potem usłyszała. Kląskanie Aaron odbiło się od murów, zafurkotało dźwięcznie tu i tam, wróciło do niej, aż dźwięk urwał się po raz drugi. Zbadła uliczkę i natknęła się na kontener, który zlokalizowała już wcześniej. Ha!

Użycie tego osobistego sonaru w obecności Nika wydawało jej się głupie. Jeszcze mu się skojarzy z delfinem Flipperem.

Przystaje.

– Czekać, zapalę.

Niko z pewnością nie podejrzewa, ile czasu jej zajęło, żeby w tak oczywisty sposób trafić płomieniem zapalniczki do papierosa, a przy tym wyglądać swobodnie.

Niko pyta:

– Jak jest w BKA?

– Nieźle. A u ciebie?

– Mnóstwo papierzysek.

Jasne. Dlatego masz u boku makarowa. Za tym cackiem przemawia dobry argument: niezwykle mały opór spustu.

Niko nie spuszcza z niej oczu. Ona odwraca głowę w drugą stronę.

– Przyprowadzę samochód – mówi Niko.

– Okej.

Kiedy jest pewna, że Niko jej nie słyszy, donośnie uderza językiem o podniebienie, układając usta w kształt litery o. Lokalizuje słup oświetleniowy. A może dwa? Z lewej jest masywna kolumna. Reklama? Wentylacja? Z prawej stoi autokar – pracujący silnik, wrzaskliwa klasa szkolna, strzępki słów, język skandynawski.

To, co Niko nazywa widzeniem, również jest tylko echem światła. Dlatego on widzi słup oświetleniowy, kolumnę, autokar uczniów.

A więc jest w Berlinie. Skąd to wie? Czy dlatego, że pilot powiedział: „Podchodzimy do lądowania na lotnisku Berlin-Schönefeld”? Czy dlatego, że z przejeżdżającego auta ktoś zlorzeży w dialekcie berlińskim: „Pocałuj mnie gdzieś, wścieknę się z tymi parkingami”? W Wiesbaden są w BKA ciche korytarze, którymi idąc, początkowo myślała: *Czy jestem tu sama?* Frankfurcka salsa verde w stołówce, śmiech dzieci na placu zabaw za jej domem, zgrzyt kolejki górskiej Nero. Z miast, do których jeździ, pozostają struktury dłoni, które ścisnęła, smak przypraw, nawoływanie muezina, inne brzmienie syren policyjnych, podmuch wiatru na olbrzymim placu. Tym są dla niej Londyn, Kair, Paryż. A Berlin? Berlin jest ciepłym futrem, do którego się przytula, okrzykiem w nocy, ale czasem też poczuciem, że kiedyś była prawie szczęśliwa.

Chce sobie przypomnieć twarz Nika. Nie udaje się jej.

Niko chwyta ją za ramię. Nagle wrócił.

Miejska obwodnica prowadząca na północ. Aaron skupia się na szumie wycieraczek, które odgarniają śnieg. Stara się zsynchronizować bicie swojego serca ze stałą, jednorodną częstotliwością ich pracy.

Jestem ci za wiele rzeczy wdzięczna, ale najbardziej za to, że w Barcelonie nigdy nie byłeś sam przy moim łóżku. Nie zniosłabym milczenia między nami. Nie uczyniłeś mi ani słowa wyrzutu. Ale ja już zawsze będę się wstydzić, bezdennie, do ostatniej godziny mojego życia.

Żaden pracownik Wydziału nigdy nie zostawił rannego towarzysza. Tylko ona.

Mogła o tym rozmawiać wyłącznie z jedną osobą.

Odkąd sięga pamięcią, najważniejszy był dla niej ojciec.

Czy nie jest tak w przypadku wszystkich dziewczynek?

Później został jej mistrzem, doradcą, powiernikiem. Przez wiele lat rzadko się widywali, to jednak im wystarczyło. Wiele ich łączyło – w tym wiedza, ile trwa ułamek sekundy.

Jörg Aaron. Najstarszy członek GSG 9, specjalnej jednostki

antyterrorystycznej. Osiemnasty października 1977 roku, godzina 23.45, barak na lotnisku w Mogadiszu. Kanclerz Schmidt dał rozkaz do szturm na samolot „Landshut”. Pułkownik Wegener stanął przed oddziałem i spytał:

– Kto idzie pierwszy?

Dziesięciu ludzi wystąpiło krok naprzód.

Jörg Aaron zrobił jeszcze jeden.

To właśnie on otworzył z impetem wyjście awaryjne na prawej powierzchni nośnej samolotu i zabił dwóch pierwszych terrorystów.

Piętnaście lat spędził na pierwszym froncie, później został dowódcą GSG 9. Był na ty z Icchakiem Rabinem. Otrzymał Wielki Krzyż Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Jörg Aaron to człowiek legenda.

Na każdym posterunku widziała spojrzenia mówiące: „A więc to jest córka Jörga Aarona”.

W szpitalu to on pierwszy wziął ją za rękę. Karmił, kąpał i kołysał w ramionach, gdy płakała. Zadbał o to, żeby nie można było otworzyć okna na trzecim piętrze.

– Uciekłam stamtąd. Po prostu zostawiłam Nika na pastwę losu.

– Bałaś się, to normalne.

– Jak mam z tym żyć?

– Nie myśl o tym.

– Powiedz.

– Nauczysz się znowu wstawać i zasypiać. Jeść, pić, oddychać. Nadejdzie wiele dni, dobrych dni, kiedy nie będziesz o tym pamiętała. Ale to, co się stało, będzie w tobie siedzieć już zawsze.

To jego zapytała:

– Jak wyglądają moje oczy? – Wiedziała, że powie jej prawdę, nie owijając w bawełnę.

– Doskonale i cudownie.

Najlepsze zdanie wszech czasów.

Po tygodniu czuła się na siłach wziąć udział w przesłuchaniu. Dwaj urzędnicy z Wydziału Spraw Wewnętrznych usiedli przy

jej łóżku. Byli jak wszyscy inni, którym przez lata musiała składać sprawozdania. Księgowi, w których protokołach nie ma ani grama adrenaliny, ani krzty śmiertelnego strachu czy bólu.

Ojciec uparł się, że będzie obecny przy przesłuchaniu, a oni nie śmieli mu odmówić. Bo to był Jörg Aaron.

Jeden z nich odczytał jej zeznanie Nika:

– „Miałem jedną kulę w śledzionie, a drugą w płucach. Jenny nie mogła mnie ruszyć. Była pod ostrzałem. Podjęła właściwą decyzję”. Pani Aaron, czy potwierdza pani ten opis?

Pytanie nie było skomplikowane. Chciała nawet udzielić odpowiedzi. Tyle że nie wiedziała jakiej.

– Pani Aaron?

– Tak.

Jakże często myślała o tym „tak”. W pewnym momencie wzięła sobie, że oznaczało to: „Tak – czy może pan powtórzyć pytanie?”, a nie: „Tak, tak było”. Ale to „tak” pozostało w aktach jako potwierdzenie.

– Miała pani do czynienia z trojgiem przeciwników. Dwoje pani wyeliminowała. Czy to prawda?

– Tak.

Tak jej wtedy powiedziano.

– Udało się pani zdobyć broń palną.

– Tak.

– Pani Aaron, należy pani do Wydziału. Została pani wyszkolona w strzelaniu bojowym i w czterech technikach walki wręcz, jest pani nadzwyczaj odporna na stres i wyróżniała się już pani w sytuacjach ekstremalnych. Czy nie mogła pani wyeliminować tego trzeciego mężczyzny?

Powinna powiedzieć prawdę: nie pamięta. Wie, że jeszcze raz odwróciła się do Jordiego, Rubena i Josuego i dopiero potem zamknęły się drzwi do hali. Następne, co widzi, to siebie leżącą przed magazynem, niezdolną do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Zgięła mały palec. Jakoś udało się jej dotrzeć do samochodu. Widziała, jak pęka boczna szyba. Pędziła po autostradzie, mając obok siebie na miejscu, na którym powinien siedzieć Niko, tylko pieniądze. W lusterku wstecznym dostrzegła audi i wiedziała, że to już koniec.

– Zgodnie z wyliczeniami drogę z magazynu do tunelu powinna pani przebyć w ciągu czterech minut. Zgadza się?

Głos ojca zabrzmiał jak zgrzyt paznokcia na tabliczce łupkowej:

– Myśli pan, że moja córka spojrzała na stoper?

– Chodzi o to, pani Aaron, że powinna była pani zavezwać oddział szybkiego reagowania i pogotowie najpóźniej w chwili, gdy znalazła się pani w samochodzie. Dlaczego pani tego nie zrobiła?

Cztery minuty. Przeleciały jak sekundy, a trwały całe wieki.

– Pani Aaron?

Ojciec znów pośpieszył jej z pomocą.

– Coś panom powiem: żaden z panów nigdy nie pędził ciężko ranny po zatłoczonej autostradzie i nie miał mordercy na ogonie. Opierając się na swoim skromnym doświadczeniu, zapewniam panów, że w takiej sytuacji kiepsko się telefonuje.

Mężczyźni poprosili Aaron o podpis i wyszli. Ojciec położył rękę na jej dłoni. Czują, jak krew w jego żyłach pulsuje. Milczeli.

Kochał ją.

Miał jeszcze półtora roku do emerytury, lecz zrezygnował ze służby, która była dla niego wszystkim, ale nawet w połowie nie znaczyła tyle co jego córka. Znalazł dla niej klinikę rehabilitacyjną w Siegburgu, w pobliżu Sankt Augustin, gdzie był ich dom rodzinny. Co rano czytał jej gazety, a później zaczynał z nią pracować. Jeśli nie udawały się jej najprostsze rzeczy, nie było przebaczenia. Ćwiczył z nią robienie zakupów, uczył rozpoznawać po ciężarce widelca, czy nadziewa kawałek mięsa, czy ziemniak, pomagał jej opanować robienie makijażu i mobilizował ją podczas wykonywania każdej czynności: „Jeszcze raz! Jeszcze raz! Jeszcze raz!”.

Jakże często upominał go trener orientacji ruchowej:

– Wymaga pan zbyt wiele, do perfekcji dochodzą wyłącznie niewidomi od urodzenia.

A on ciągle powtarzał:

– Moja córka da radę!

Męczył ją również, żeby nauczyła się obchodzić ze zniechęconą laską – niestety z przewidywalnym skutkiem. Do dzisiaj Aaron posługuje się nią nieszczególnie, bo nie znosi myśli o tym, że ludzie natychmiast rozpoznają w niej osobę ślepa.

Zakuwał z nią czytanie brajlem i był jej królikiem doświadczalnym, któremu z nadzieją podała pierwszy własnoręcznie usmażony stek. Wtedy nie wiedziała jeszcze, jak odróżnić sól od pieprzu, nie wiedziała, że gdy się potrząśnie solniczką, sól wydaje odgłos, a pieprz nie. Ojciec, kaszląc, wychrypiał:

– Bardzo smaczne!

Śmiali się jak obłąkani.

Przed wszystkim jednak nauczył ją najważniejszej rzeczy: przyjmować pomoc, zaakceptować fakt, że jeszcze długo będzie zdana na innych i że nie może odczuwać tego jako brzemię, lecz jako konieczność.

W dniu, kiedy po raz pierwszy odważyła się samodzielnie wyjść z kliniki, miała tylko jeden cel: dotrzeć do niego. Przez pół nocy cieszyła się na chwilę, gdy on otworzy drzwi, a ona go zaskoczy. Wiedziała, że będzie w domu, bo miał go odwiedzić przyjaciel. Była bardzo dumna, gdy wsiadła do właściwego autobusu, a potem, już na ulicy, starała się orientować w przestrzeni według wyuczonych zasad i jak w dzieciństwie pozwoliła się prowadzić zapachom oraz dźwiękom, aż wreszcie mogła sobie powiedzieć: „Jestem w domu”.

Wymacała bramę, usłyszała jakieś mamrotanie. Poproszono, aby odsunęła się na bok. Minęło ją kilku mężczyzn, nieśli coś ciężkiego. Dotarł do niej chropawy głos przyjaciela jej ojca:

– To ja, Butz.

Podobno ojciec upadł, wypowiedziawszy zdanie: „Tę whisky podarował mi minister spraw wewnętrznych z okazji mojego przejścia na emeryturę”. Aaron nigdy nie pogodził się z myślą, że nie zdążyła się z nim pożegnać i nie powiedziała mu, że bez niego by umarła.

Ruch jest powolny, zbliżają się do Dreieck Funkturm. Aaron wyczuwa po oddechu Nika, że raz po raz na nią spogląda. Kieruje więc oczy na jego twarz. On się odchyła. Przyspiesza, hamuje, przyspiesza.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca.

Ona tylko kiwa głową.

Niko służył pod jego rozkazami. Nie musiał się o to ubiegać, Jörg Aaron wybrał go spośród tysięcy innych. W pewnym momencie go zwolnił, powód tej decyzji zachował jednak dla siebie. Nikt nie rozczarował ojca tak jak on, Aaron to czuła, gdy padało jego imię. Fakt, że ona i Niko zostali parą, był dla ojca ciosem. Kiedyś zapytała go, co wówczas zaszło między nimi. Ojciec powiedział tylko:

– On jest statkiem, który szuka swojej góry lodowej.

Aaron czuje, jak jej serce zaczyna łomotać. Niko wyłącza wycieraczki i zjeżdża z obwodnicy.

– Czwórka kazała przygotować dla ciebie odpis akt brajlem.

Z którymi nic nie będzie mogła począć. Aaron klnie, że w ubiegły piątek poparzyła sobie na kuchence opuszki dwóch palców. Czyta lewym palcem wskazującym, a przynajmniej jeszcze przez tydzień nie będzie mogła go używać.

– Ty znasz fakty. Opowiedz mi wszystko.

Reinhold Boenisch, lat pięćdziesiąt osiem, skazany na dożywocie za poczwórne morderstwo, od szesnastu lat w więzieniu. Przedwczoraj psycholożka więzienna, którą zaprosił na filiżankę herbaty, weszła do jego celi tuż przed zakończeniem pracy.

Boenisch zabił ją i od chwili, w której zbrodnia wyszła na jaw, nie odezwał się słowem.

Powiedział tylko jedno zdanie:

– Będę rozmawiał wyłącznie z panią Aaron.

W służbie zakładu penitencjarnego w dzielnicy Tegel Niko musi oddać broń. Mimo okazania dokumentów tożsamości oboje przechodzą przesadnie skrupulatną kontrolę. Ktoś sprawdza ich papiery. Słysząc jakąś szeptaninę.

Dziesięć rzeczy, których Aaron nie lubi słuchać:

brzęk ciężkich kluczy

skrzek

szept

„Czy jest pani ślepa?”

skrzywienie kredy na tablicy

silniki samochodów na pełnym gazie

kipiąca woda

„Ja tylko wykonuję swój zawód”

hity

kłamstwa

– Co to takiego?

Aaron wie, że urzędnik przeglądający jej torebkę ma na myśli teleskopową laskę dla niewidomych, którą niewprawne oko bierze za coś innego.

– A na co wygląda?

Mężczyzna wycofuje się. Jego kolega mówi:

– Pałka. Zostaje tutaj.

Aaron wyciąga rękę.

– Mogę?

Szybkim ruchem rozkłada laskę i słyszy wymamrotane „przepraszam”.

Kiedy wychodzą, pada za ich plecami bardzo ciche pytanie, z pewnością niesłyszalne dla Nika:

– Czy ona ci kogoś przypomina?

Jedna z pracownic prowadzi ich do Wydziału Psychologów Policyjnych. BKA włącza Aaron jako analityczkę spraw i specjalistkę od przesłuchań w wielkie kompleksowe dochodzenia – przestępczość zorganizowaną i terroryzm, gdzie ofiary są jedynie abstrakcyjnymi wielkościami, cieniami. Tutaj jest inaczej. Aaron chce się dowiedzieć, kim była zamordowana kobieta, chce wiedzieć o niej jak najwięcej.

Wiatr miota śniegiem. Aaron czuje na nadgarstku jego płatki – pośpiesznych, mokrych gości, którzy nie chcą zostać dłużej. Bywała tu już często, wyobraża sobie ten rozległy teren sprawiający wrażenie opuszczonego, wie, że teraz wszyscy więźniowie pracują albo są zamknięci. Wydział Psychologów Policyjnych mieści się w budynku szkolnym, na tyłach boiska. Aaron powraca myślą w przeszłość, słyszy wołania wściekłych mężczyzn: „Zagraj do niego! Ten palant nie umie nawet trzepać konia!”

Tym razem nie trzyma Nika pod rękę, lecz pozwala się prowadzić tak, jak ją tego uczono, kładąc kciuk i palec wskazujący na jego łokciu. Zostaje pół kroku z tyłu. Jej trener byłby zachwycony. Robi to jednak tylko dlatego, żeby nie poczuć ponownie kabury pod kurtką Nika i nie pomyśleć o samej sobie jak o niepijącym alkoholiku w sklepie monopolowym.

– Ile lat miała pani Breuer?

Koleżanka ofiary morderstwa bardzo dużo płakała. Głos ma chropawy, matowy, pusty.

– Trzydzieści jeden. W grudniu obchodziła urodziny. Zaprosiła wszystkich kolegów do kina.

– Jak długo pracowała w zakładzie karnym?

– Trzy lata. Studiowałyśmy razem. Potem ja zaczęłam od razu tutaj, bo to pewna posada. Melly chciała mieć własną praktykę, ale się nie udało. Trochę dorabiała jako kelnerka, ale to nie było dla niej. Kiedy tu zwolniło się miejsce, namówiłam ją, żeby złożyła podanie.

Łzy chcą znaleźć upust, ale dziewczyna je tłumi.

– Czy chętnie wykonywała swoją pracę?

– Wszystko ją tu przytłaczało. Nikła w oczach. Mówiłam:

„Jakoś się ułoży, przywykniesz”.

Wzbiera w niej szloch, jednak wciąż udaje się jej go powstrzymać.

– Miała rodzinę?

– Siostrę w Norwegii. Przyjedzie dzisiaj. Oboje rodzice już nie żyją.

– Była zamężna?

– Nie. Przez pewien czas była sama, bo parę razy oberwała od życia. Ale od niedawna miała przyjaciela. Takiego dryblasa, przystojnego. Zadurzyła się bez pamięci. Kiedy wchodziła tu rano, to aż tapeta jaśniała.

– Jak ona wyglądała?

Brak odpowiedzi.

– Ma pani jakieś zdjęcie dla mojego kolegi?

Kobieta się przełamuje:

– Wysoka, metr osiemdziesiąt jeden, miała czarne kręcone włosy, piegi i porcelanową cerę. Melly była piękna, wyjątkowa. Sprawiała wrażenie chłodnej. Ale wcale taka nie była.

Aaron czuje zawroty głowy.

– Pani jest do niej bardzo podobna.

– Jak często Boenisch tu bywał?

Aaron szuka oparcia w faktach.

– Co tydzień. Prawie się nie odzywał. Ona się dziwiła, po co on tu w ogóle przychodzi.

– Czy idąc do niego, odczuwała niepokój?

– Nie, ani trochę. Bardzo się ucieszyła, że zaprosił ją na...

Głos odmawia kobiecie posłuszeństwa.

Aaron nie naciska.

– Powiedziała: „Słuchaj, może on się jeszcze zmieni”.

– Chętnie obejrzałabym protokoły z terapii.

– Zgromadzę je dla pani. Za pół godziny?

– Zgoda.

Kobieta chwyta Aaron za rękę.

– Dziękuję.

– Za co?

– Ludzie z kryminalnego w ogóle nie pytali o Melly. Ani razu tu nawet nie przyszli.

Gdy Aaron idzie odśnieżoną kamienną drogą do budynku numer sześć, jej obcasy generują gruboziarnisty obraz. Pstryka palcami, rozpoznaje płot otaczający budynek. Nawet gdyby była tu po raz pierwszy, i tak potrafiłaby go odróżnić od muru.

Cztery lub pięć metrów do wejścia. Przed progiem Aaron zatrzymuje się o sekundę wcześniej niż Niko, co z pewnością go irytuje.

W środku czuć znajome zapachy – pot, środki dezynfekcyjne, kiepskie jedzenie.

Dziesięć zapachów, których Aaron nie lubi:

szpitale

ryby

perfumy Femme Rochas

raclette

kawa

powietrze w metrze

więzienia

chryzantemy

dym papierosowy

strach

Nowe budownictwo. Zostają przekazani urzędnikowi, który prowadzi ich na drugie piętro. Mop uderza o linoleum. Oprócz więźniów bez prawa do opuszczenia celi i pracowników przygotowujących posiłki, sprzątających i wymieniających bieliznę nie ma tu przed południem nikogo.

– Jak prowadził się Boenisch? – pyta Aaron urzędnika.

– Nie rzucał się w oczy. W ramach środka zabezpieczającego za kilka tygodni mają go umieścić w szpitalu psychiatrycznym. Ten pałac jest *vis-à-vis*, wszystko tam mają wystrzałowe. Pokój wielkości dwudziestu metrów kwadratowych, kuchnia, kafelki w łazience, duży ogród. Kiedyś jeszcze wprowadzą *room service*.

Jeszcze jeden zapach.

– Jarają tutaj – mówi.

– I wciągają kokę, biorą heroinę i chlają. Niech pani tylko powie, żebyśmy z tym skończyli, a zrobimy to natychmiast.

Nagle Aaron czuje czyjś wzrok na plecach. Odwraca się mimo woli. Wciąż ten sam głupi odruch.

– Jest tutaj – Aaron słyszy, że urzędnik rozrywa pieczęć jednym z kluczy, których ma pęk. – Poradzi pani sobie. – Na odchodnym mamrocze: – Absurd.

Oddała się. Idzie jak człowiek, który liczy każdy krok, jaki pozostał mu do dnia przejścia na emeryturę.

– Najpierw chcę wejść sama.

Aaron wchodzi do celi i zamyka drzwi. Zapach jest tak subtelny, że wyczuwa go dopiero po minucie. Herbata. Klęka i obmacuje linoleum. Przed pryczą jest lepka plama, pod nią wyschnięta strużka.

Aaron wstaje. Wie, jak wygląda cela. Dziesięć metrów kwadratowych, prycza, umywalka, sedes, szafa, telewizor. A mimo to uderza językiem o podniebienie, bardzo cicho, żeby w tym małym pomieszczeniu nie spowodować hałasu wywołanego echem. Układa wargi, jakby chciała wypowiedzieć głoskę e, i wydaje z siebie słaby dźwięk o wysokiej rozdzielczości. Głos odbija się głucho od lewej ściany. Aaron znów uderza językiem o podniebienie. W połowie wysokości, nad pryczą, coś jest. Klęka na materacu i obmacuje półkę z książkami. Przesuwa palcami po zatłuszczonych, podartych grzbietach wydań kieszonkowych. Przedostatnia książka jest szyta, a okładka bez rozdarć. Obwąchuje papier. Pachnie świeżym drukiem i, delikatnie, drewnem. Kiedy chce odstawić książkę na miejsce, spostrzega, że kartki w samym środku się rozchodzą.

Jest tam płyta DVD albo CD.

Aaron otwiera drzwi.

– Jakie on ma książki?

Niko spogląda na półkę.

– *Z tobą u boku, Twój oddech na mojej duszy, Szczęście mojego życia, Lato koloru wiśni.* Czytać dalej czy już masz mdłości?

Aaron podsuwa mu książkę, którą wcześniej zdjęła z półki.

– A to?

– ... *bo są po to, by je całować*. Jeszcze jedna szmira.

– Przeczytaj tekst na skrzydełku.

– Czarnoskóry detektyw i psycholog Alex Cross staje przed prawie nierozwiązalnym zadaniem. – Niko urywa. – Na kampusie uniwersytetu w Karolinie Północnej psychopata porywa i gwałci młode kobiety. – Oddycha odrobinę szybciej. – Chodzi o seryjnego zabójcę.

– Otwórz książkę. Co jest w środku? – pyta Aaron.

– Płyta DVD. *Mr. Brooks*.

– Znasz ten film?

– Nie.

– A ja tak. On też opowiada o seryjnym zabójcy. Fotograf Smith potajemnie obserwuje Mr. Brooksa w chwilach, gdy ten popełnia zbrodnie. Ale nie idzie z tym na policję. Zamiast tego szantażuje Mr. Brooksa, aby móc towarzyszyć mu w jego nocnych eskapadach.

Niko oddycha ciszej.

– Czy jest tu gdzieś odtwarzacz DVD? – pyta Aaron.

– Tak.

– Czy na ścianach wiszą jakieś dekoracje? Zdjęcia, postery, widokówki?

Milczenie Nika jest tak głębokie, że można by wrzucić w nie kamień i nigdy więcej go nie zobaczyć. Kiedy staje się nieznośne, Niko wreszcie mówi:

– Tylko jeden rysunek.

– Co na nim jest?

Ponowne milczenie Nika ciska Aaron na ścianę, którą sama wzniosła. Mija cała wieczność, zanim wreszcie słyszy jego głos.

– To rysunek z artykułu w prasie, wykonany przez rysownika sądowego. Wtedy, podczas procesu. Ty siedzisz na miejscu dla świadka.

Ściana, wzniesiona szesnaście lat temu, zawala się. Aaron znów siedzi na krześle w sądzie krajowym w berlińskiej dzielnicy Moabit. Odpowiadając na pytania obrońcy Boenisha, szuka oparcia na poręczy krzesła. Celem obrońcy jest

udowodnienie ograniczonej poczytalności oskarżonego. Chce, żeby jego klienta umieszczono w klinice psychiatrycznej. Boenisch przez cały czas wpatruje się w Aaron. Mucha chodzi mu po przedramieniu, ale on tego nie zauważa. Aaron odwraca wzrok w stronę sądowego rysownika, który rysuje w bloku węglem.

– Jenny?

Niko sprowadza ją do rzeczywistości.

– Powiedziałaś, że udusił tę kobietę plastikową torebką. Jaka to była torebka?

– Co masz na myśli?

– Przeźroczysta czy zadrukowana?

Niko sprawdza w swoim tablecie.

– Nie ma takiej adnotacji.

– Zadzwoń do techników kryminalnych.

Niko rozmawia przez telefon z technikami.

– C&A. Zadrukowana reklamami.

– Czy ta kobieta mogła wchodzić do celi bez nadzoru? – pyta Aaron.

– Oczywiście. Miała klucze do wszystkich budynków.

– Czy ktoś ją widział, gdy schodziła tu, na dół?

– Chwileczkę. – Niko szuka w tablecie. – W wartowni było dwóch klawiszy. Przywitała się, była w dobrym humorze. Żaden z nich nie zauważył, że nie wyszła.

– O której godzinie?

– O wpół do czwartej. Właśnie zaczynał się czas wolny. Wiesz, co się wtedy dzieje. Jeden wielki kurnik. Klawisze są w stresie.

– Tak wcześnie skończyła pracę?

– Chciała odebrać nadgodziny.

– A więc Boenisch musiał ją zamordować między wpół do czwartej a za piętnaście czwarta. Co potem?

– Został w swojej celi, nikt się nim nie interesował. O wpół do dziesiątej pozwolił się zamknąć. Ktoś z nocnej zmiany zajrzał do niego, ale niczego nie zauważył. Prawdopodobnie Boenisch ukrył zwłoki pod pryczą.

Aaron wchodzi do swojej wewnętrznej komnaty. Jest teraz w najbardziej odosobnionym miejscu świata. Zamyka się tutaj,

gdy chce przyjrzeć się czemuś z dużego dystansu, to znaczy zobaczyć wszystko absolutnie jasno. Z daleka słyszy swój głos:

– I tak było do rana?

– Nie całkiem. O wpół do drugiej w nocy doszło do pewnego incydentu. Boenisch uruchomił w celi telefon alarmowy i jeden z klawiszy zajrzał do niego. Boenisch skarżył się na silny ból głowy i dostał aspirynę.

Z pewnością sprawiło mu to szczególną frajdę. Wiedza o tym, co leży pod jego pryczą, podczas gdy ktoś się o niego troszczy i zwraca na niego uwagę.

– O szóstej była codzienna kontrola stanu więźniów. Wtedy Boenisch leżał obok ofiary w pozycji „na łyżeczkę”.

– Ile filiżanek do herbaty zostało wykorzystanych?

Niko sprawdza na tablecie.

– Dwie.

– Mleko? Cukier?

Tego nie szuka – wie, że nic nie znajdzie, bo takiego pytania nie zadałby nikt oprócz Aaron.

– Dlaczego to takie ważne?

– Czy została zgwałcona?

– Nie.

– Jakie miała obrażenia?

– Złamanie chrząstek krtani.

– Ślady walki?

– Przesuniesz się o krok w bok?

Aaron się przesuwa.

– Czarne smugi na ścianie. Naprzeciw pryczy.

– Na jakiej wysokości?

– Mniej więcej pół metra.

Aaron opuszcza swoją wewnętrzną komnatę.

– I co myślisz? – pyta.

– Boenisch zmiażdżył jej krtani, żeby nie mogła krzyczeć, i nałożył jej plastikową torebkę na głowę. Kobieta się broniła i zostawiła ślady butów.

– Dlaczego nikt w służbie nie zauważył jej braku? Przecież powinna się była wypisać.

– Oni tam świętowali odejście kolegi na emeryturę.

I dlatego taka rygorystyczna kontrola.

– Mają teraz mnóstwo nieprzyjemności.

Aaron schodzi z Nikiem do wartowni. Spalony tost, kawa, która od wielu godzin gorzknieje w dzbanku.

– Chętnie porozmawiałabym z tymi dwoma kolegami, którzy wczoraj widzieli panią Breuer wchodzącą do środka.

– Schelling jest na zwolnieniu lekarskim.

– A ten drugi?

– Na dodatkowym szkoleniu.

Od urzędnika, który zaprowadził ją do celi, czuć papierosy. Z pewnością tęsknie spogląda na zegarek. Aaron jest pewna, że myśli: „Chcesz nam tylko coś zarzucić”.

– I co? Dowiedziała się pani czegoś? – pyta.

– Od kiedy Boenisch ma w celi odtwarzacz DVD?

– A bo ja wiem. Chyba złożył o niego wniosek. Mają tu istne luksusy.

– Czy przez ostatnie dni wydawał się zmieniony?

– Nie tuliłem się z nim.

Niko ostro go strofuje:

– Panu chyba wydaje się śmieszne, że on przez całą noc leżał obok trupa?

– Mnie tu już od dawna nic nie wydaje się śmieszne.

– Z którymi więźniami Boenisch ma bliższe kontakty? – pyta Aaron.

– Z Bukowskim.

Niko zadawałby takie same pytania, gdyby to była jego sprawa. Ale Wydział poproszono jedynie o pomoc prawną.

Prawdopodobnie ci z Czwartego Wydziału Zabójstw nie chcą się męczyć z niewidomą. „Przecież ona kiedyś była u was. Odgrywacie niańkę?”

Niko warczy na urzędnika:

– Można dokładniej? Za co siedzi, od kiedy, gdzie pracuje?

– Napad rabunkowy z bronią. Cztery lata. Pracuje w warsztacie samochodowym.

– Niech pan nas tam zaprowadzi.

Cięzka stalowa brama na rolkach. Skrzypiąca szlifierka kątowa. Spawarka robi nit punktowy, plask-plask-plask, cuchnie spalonymi zimnymi ogniami. Aaron osłania przed wiatrem płomień zapalniczki. Ze stacji metra Holzhauser dobiega przez mur zapowiedź:

– Cofnąć się!

Wyprowadzają Bukowskiego.

– No witam. Ma pani fajkę?

Śluzowata kipiela w jego głosie jest jedynym ostrzeżeniem nakazującym rzucenie palenia. Wielkie pudło rezonansowe. Aaron widzi mięśnie, tatuaże, byczy kark. Podsuwa Bukowskiemu paczkę papierosów, podaje mu ogień. Wyczuwa pastę do mycia rąk.

Załóż się, że nie wypadnie na to, że jestem niewidoma.

Niko pyta:

– Jak dobrze zna pan Reinholda Boenisha?

– Tak sobie.

Urzędnik penitencjarny również pali.

– Nie gadaj bzdur – mówi. – Cały czas z nim przesiadujesz.

– Szukał towarzystwa. A ja nie chciałem być nieuczynny.

– Tak, tak, dobry z ciebie człowiek.

– Zawsze to mówię.

– Czy w ostatnim czasie zauważył pan w nim coś niezwykłego? – pyta Aaron. – Czy jakoś się wycofał, był może nieswój?

– Zawsze taki jest. Mówi, że w jego głowie trwa impreza.

– Wiedział pan, że chodził do psycholożki?

– Wszyscy chodzimy. Widziała ją pani kiedyś? Niezła dupa! *Sorry*. Chyba nie muszę pani mówić, nie? – rechocze.

Aaron rozdeptuje niedopałek. Ćwiczyła to przez tydzień.

– Panie Bukowski, taki człowiek jak pan nie bierze sobie na kumpla kogoś w rodzaju Boenisha. To wielkolud, ale nie umie się bronić. Mordercy kobiet są tu bardzo nisko w hierarchii społecznej. On potrzebuje zabijaki, który by go ochraniał, i kimś takim pan jest. Za to Boenisch oddaje panu trochę swoich zarobków. Czy to prawda?

Bukowski wciąga smarki.

Niko mówi:

– Panów współpraca dobiegła końca, bo Boenisch zostanie przeniesiony.

W jego głosie pobrzmiwa pewność. Aaron zna ten ton, którym również wtedy, w Neapolu, przy pierwszym kontakcie stwierdził z zimną krwią, że dziesięć milionów to żaden problem.

– I co w związku z tym?

– Wieczorem telewizor, jak długo pan chce.

Bukowski się zastanawia.

– Ma pan dziewczynę za murami? – pyta Aaron.

– A co?

– Godzina z nią, bez nadzoru.

Aaron czuje, że znów musi zapalić.

– Da mi pani jeszcze jedną fajkę?

Aaron podaje Bukowskiemu ostatniego papierosa. Wie, że przesuwa go między kciukiem i palcem wskazującym, a potem cwaniaczkowato wypuszcza kółko.

– Zagadnął mnie w niedzielę. Chciał, żebym mu przyłożył. Myślałem, że się ze mnie nabija. Ale mówił poważnie. No to walnąłem go raz i drugi. Jakiś szurnięty.

3

Korytarz zdaje się nie mieć końca. Aaron uświadamia sobie, że coraz bardziej zwalnia kroku. Niko zatrzymuje się przed drzwiami.

– Nie musisz tego robić.

– Muszę.

W pokoju widzeń Aaron natychmiast słyszy nerwowe szuranie pantofli kąpielowych. Jakiś urzędnik burczy:

– Tylko nie narób wrzasku.

Aaron wyciąga rękę. Witając się, jest zawsze szybsza, aby nie musieć szukać dłoni drugiej osoby. Jednak Boenischowi nigdy nie podałyby ręki, gdyby nie było to konieczne; już na samą myśl o tym czuje mdłości. Ale chce przeczytać jego rękę.

On obejmuje jej dłoń swoimi rzeźniczymi łapami w kajdankach. Są wilgotne i drżące, zdradzają przedsmak radości.

Jak on wygląda po szesnastu latach?

W jego głosie słyhać błagalny ton, który Aaron zna i którego nie zapomniała.

– Bardzo mi przykro, że pani oślepla. Naprawdę, bardzo mi przykro.

Masz, podaruję ci erekcję.

– Chcę porozmawiać z panem Boenischem sam na sam.

Niko parska:

– To nie wchodzi w rachubę.

Aaron odciąga go na bok. Obcasy podpowiadają jej, że do ściany jest tylko metr. Szepcze:

– Przykuj go do kaloryfera.

– Nie ma mowy.

– Jeśli tu zostaniesz, nie powie ani słowa.

Niko gniewnie zdejmuje dłoń Aaron ze swojej. Zastanawia się, w końcu robi to, o co go prosiła.

Szuranie krzesel, tarcie metalu o metal, kroki, trzaskanie drzwiami.

Pocisk, który przebił jej potylicę i obydwie półkule mózgu, nie uszkodził nerwu wzrokowego. Aaron ma bardzo jasne spojrzenie. Orientuje się po oddechu i głosie i nauczyła się kierować oczu o dziesięć stopni ponad pozycję ust interlokutora, który odnosi wrażenie, że na niego patrzy.

Aaron nie robi tego jedynie podczas przesłuchań. Człowiek widzący opowiada ślepcowi rzeczy, których nie powierzyłby nikomu innemu. Ponieważ ślepiec nie widzi, że człowiek się czerwieni, zaciska dłonie, patrzy w próżnię, szuka słów. Jak na spowiedzi: widzący czuje, że znajduje się za czarną kotarą, która dzieli go od ślepca, a przy tym sam jest ślepy.

Aaron nie zwraca oczu w kierunku Boenisch. Niech czuje, że ma nad nią przewagę. Kładzie telefon komórkowy na stole i zaczyna przesłuchanie. Boenisch oddycha bardzo szybko. Nie może się doczekać, kiedy Aaron zada mu pierwsze pytanie.

– Jest pan zadowolony z tutejszych posiłków?

Boenisch wyrzuca z siebie kwaśne powietrze. Jest rozczarowany, nie takiego pytania oczekiwał.

I właśnie dlatego jest bardzo dobre.

– Tak.

– Pracuje pan w pralni. Dobrze się panu układa z kolegami?

– Nieźle.

Chce mu się płakać – ona wszystko psuje.

– Jest pan dobrze traktowany?

Boenisch wydaje z siebie jęk.

– Co się dzieje?

– Pobił mnie klawisz, całe żebra mam sine. Chce pani dotknąć?

– Musimy złożyć doniesienie. Zrobimy to później.

Przez kolejne minuty Aaron ciągnie dalej ze stoickim spokojem: jak często odwiedza go ciotka, czy woli oglądać telewizję w świetlicy, czy samotnie, kiedy wieczorem gasi światło, jaki jest odbiór jego radia tranzystorowego, czy materac jest wygodny. Same tematy, które żywo ją interesują.

Ta powieść była tylko opakowaniem. Chodzi o film.

Boenisch myśli, że za chwilę sfiksuje. Aaron pyta:

– Jak podoba się panu *Mr. Brooks*?

Wreszcie!

Szczęśliwy chwytą powietrze, Aaron zaś znów wraca myślami do tego gorącego sierpniowego dnia sprzed szesnastu lat, kiedy w czasie studiów w Wyższej Szkole Policyniej pojechała na półroczną praktykę do berlińskiego Szóstego Wydziału Zabójstw i została przydzielona do właśnie tworzonego specoddziału.

Dwie adwokatki z kancelarii w Charlottenburgu, mającej ponad stu wspólników, zniknęły bez śladu w odstępie tygodnia. Obie pracowały do późnych godzin wieczornych. Nocny portier biurowca był ostatnim człowiekiem, który widział je żywe. Oczywiście brano pod uwagę związek z którymś z klientów kancelarii. Specjalizowała się ona jednak w suchym prawie podatkowym, a kobiety nigdy nie zajmowały się tym samym postępowaniem.

Najwyraźniej również prywatnie nie utrzymywały kontaktów. Żadnych żądań okupu. Najmniejszych śladów.

Na Aaron zwalono kontakt z krewnymi, którzy z każdym dniem byli coraz bardziej zrozpaczeni. Widziała to po swoich kolegach; trudno było formułować ciągle te same zdania: „Proszę nie tracić nadziei”. Robimy wszystko, co w naszej mocy. „Jeśli państwo sobie życzą, otrzymają państwo pomoc psychoterapeuty”.

Na twarzach mężów i dzieci malował się coraz większy niepokój. Akta na regałach urosły do wysokości dwóch metrów. Przesłuchano około stu osób z otoczenia – krewnych, przyjaciół, kolegów, sąsiadów, służbę i klientów centrum fitness. Zastanawiano się nawet, czy kobiety nie były potajemnie związane i czy nie uciekły razem.

Aaron czytała zebrane materiały tak długo, aż wreszcie знаła każde zdanie na pamięć.

Portier był przesłuchiwany trzy razy. Za pierwszym na pytanie: „A więc około dwudziestej trzeciej pani Marx zjechała

windą prosto do podziemnego garażu?” odpowiedział: „Tak. Około jedenastej. Ja udałem się na górę, na obchód, i kiedy drzwi się otworzyły, ona była w windzie. Powiedziałem: »Pani mecenas, niech pani spokojnie zjedzie na dół, ja mam czas«”.

Za drugim zeznał: „Wiem, że była punkt jedenasta, bo spojrziałem na zegarek. Musi to być jakaś bardzo ważna sprawa, skoro ona tak długo siedzi w biurze, pomyślałem. Nacisnęła niewłaściwy guzik i wylądowała u mnie, w lobby. Życzyłem jej udanego wieczoru. Nie rozmawiała ze mną”.

Jego ostatnie zeznanie brzmiało: „Było może za pięć albo pięć po. Ona chciała jeszcze raz pojechać na górę, bo czegoś zapomniała. Na pewno jakichś dokumentów. Była dość rozkojarzona”. „Co pan przez to rozumie?” „Po prostu dziwna. Oszła”.

Przesłuchania były prowadzone przez różnych urzędników, ale nie zostały wpięte do tych samych akt, dlatego też nikt nie zauważył rozbieżności. Która dokładnie była godzina? Czy kobieta rozmawiała z portierem? Czy pomyliła piętro, czy też winda zatrzymała się w lobby dlatego, że portier nacisnął guzik? Czy kobieta chciała pojechać na dół czy na górę? Jeśli prawdą jest to ostatnie, jak to się stało, że nie pojechał z nią, skoro miał właśnie zrobić obchód? A może zasnął i w ogóle nie wiedział, kiedy wyszła z budynku? I dlaczego składał te sprzeczne zeznania? Wystarczyłoby przecież, gdyby powiedział, że robił obchód w budynku i nie miał pojęcia, kiedy zaginiona pojechała do domu.

Tym nocnym portierem był Reinhold Boenisch.

Boenisch chce się pochylić. Aaron słyszy, że więzień szarpie kajdanki przymocowane do rury kaloryfera, zmusza się więc, żeby zrobić dla niego coś dobrego i przysuwa krzesło o pół metra do przodu.

Boenisch oddycha z wdzięcznością.

– Wstydzę się, że oglądałem ten film. Nie powinienem był tego robić. Bardzo mnie podniecił. – Głos mu drży. – Zna go pani?

– Tak.

W jego oddechu słycać istny zachwyty.

– Od kiedy go pan ma – i skąd?

– Od niedawna. Ktoś mi go polecił – udziela wymijającej odpowiedzi.

Ważne zdanie, Aaron wsłuchuje się w echo jego znaczenia.

– Kto?

– Ktoś.

– Ktoś, kogo pan lubi?

– Nie pamiętam.

Na pewno nie Bukowski – nie wpadłby na tak inteligentny pomysł, żeby jako opakowanie dla Mr. Brooksa wybrać thriller psychologiczny pod kiczowatym tytułem, żeby nie rzucił się w oczy wśród innych ksiązek Boenisch a mógł przejść przez cenzurę.

– Nie powinienem był oglądać tego filmu.

Kajdanki ponownie szorują po rurze. Aaron ofiarowuje Boenischowi jeszcze dziesięć centymetrów.

– Bardzo się cieszę, że pani wtedy przyszła. Bardzo. Uratowała mnie pani. Była pani moim...

Placze, nie może dalej mówić, klapie pantoflami, głos więźnie mu w gardle.

Aaron musi się przemóc, żeby wyciągnąć rękę i pogłodzić Boenisch a po ramieniu. Aż czuje skurcz w dłoni. Boenisch pożądlawie podsuwa jej ramię.

– Mój aniele. Dziękuję, że pani zadzwoniła do moich drzwi.

Dzień wcześniej Aaron była w Paryżu w sprawie wspólnego dochodzenia BKA i francuskiej jednostki antyterrorystycznej RAID. Kiedy między dwiema naradami włączyła pocztę głosową i usłyszała głos Nika, po raz pierwszy od pięciu lat, coś ścisnęło ją w środku. Przez kilka kolejnych godzin brała udział w rozmowach dotyczących aresztowanego w Wuppertalu uśpionego szpiega Al-Kaidy, u którego znaleziono plany zamachów we Francji. Potem wyszła, zapaliła papierosa i wsłuchiwała się w szumy rozbrzmiewające w tym ogromnym,

oddychającym budynku.

Nie zrobię tego. Nikt mnie nie zmusi.

Nagle jednak przypomniała sobie trening lekkoatletyczny w szkole, gdy skacząc o tyczce, nie trafiła na matę i złamała sobie rękę w łokciu. Kiedy wróciła do formy, poszła na boisko. Wiedziała, że jeśli nie skoczy przynajmniej raz, zawsze będzie się bała tej zakichanej poprzeczki. Później było już dobrze.

Tak więc zadzwoniła do Wiesbaden i poprosiła swoją sekretarkę, żeby zaanonsowała ją na jutro w Wydziale i zarezerwowała jej bilet na poranny samolot z Orly. W internecie sprawdziła, jaka pogoda była w Berlinie trzeciego sierpnia szesnaście lat temu. Tak, owego wieczoru wreszcie spadł deszcz.

Boenisch mieszkał w swoim domu rodzinnym w Spandau, na górze, pod lasem. Roślinność na działce z pewnością była pokryta kroplami wody. Chyba pachniało też ziemią, liśćmi i kurzem.

Ale tego Aaron nie pamięta.

Pamięta tylko, że w ciemności zadzwoniła do bramy ogrodowej.

Trochę trwało, zanim Boenisch otworzył. Stwierdził, że przecież już wszystko opowiedział, lecz oczywiście, jeśli tylko będzie mógł pomóc, opowie jeszcze raz. Zaprosił ją do środka, przepraszając, że nie pojawił się przy drzwiach szybciej, ale oglądał telewizję, a zawsze musi bardzo głośno nastawiać dźwięk z powodu kiepskiego słuchu, ma przecież tylko jedną błonę bębenkową, druga pękła, kiedy był mały i po raz któryś dostał od ojca lanie paskiem.

Zadrżał nagle, Aaron zaś zrobiło się go żal. Kot Boenischa otarł się grzbietem o jej nogę, ale nie zamruczał. Miał jedno oko z czarną obwódką, a drugie z białą i opuszczony ogon.

– Ach, zapomniałem spytać: napije się pani czegoś?

– Poproszę o szklanek wody.

Poszedł do kuchni. Kot miauknęła. Aaron nie zwróciła na to uwagi. Położyła rękę na telewizorze.

Zimny.

Zbyt późno zauważyła, że Boenisch stoi w drzwiach prowadzących do kuchni.

– Nie mam już wody mineralnej. Może być z kranu?

Jego czoło pokrywał pot.

Aaron powiedziała szybko, że zapomniała o pewnym ważnym spotkaniu i niestety musi już iść. Ale nie śpieszy się, mogą porozmawiać innym razem.

Boenisch wyglądał na zawiedzionego.

– Szkoda.

Kiedy chciała przejść obok niego, schwycił ją jak mysz. Był niewiarygodnie silny. Rzucił ją na posadzkę, uklęknął na niej, zabrał jej telefon komórkowy i zegarek, podniósł ją gwałtownie i zawłókł do drzwi prowadzących do piwnicy. Zepchnął ją w ciemności po schodach i zamknął.

Aaron zapomniała już o tyłu szczegółach. Ale tego smrodu nie da się wymazać z pamięci. Nie zdołała powstrzymać wymiotów. Nie wie, kiedy wrócił jej normalny oddech. Paliło ją w lewym obojczyku. Czowała, że kość wystaje. Cały lewy bok był pozbawiony czucia.

Dławiąc się, szła po omacku naprzód. Znalazła coś futrzanego, jakieś zwierzę, psa, sztywnego, jakby wypchanego. Przez chwilę miała nadzieję, że to jest przyczyna smrodu. Ale już chwilę później natknęła się na pierwsze zwłoki – ciastowata skóra na gołych nogach, obrzydliwie miękka.

Aaron krzyczała, aż jej ciało stało się jednym straszliwym bólem, a zarazem zupełnie przestała je czuć. Leżała tam całe wieki, jęcząc, pragnęła się wydostać z tego piekła i trafić wprost w ramiona ojca.

W pewnym momencie usłyszała szum samolotu. Gdzieś tam był świat. Ludzie. Kino, w którym tego wieczoru chciała obejrzeć *American Beauty*.

Minęły długie godziny, zanim drzwi do piwnicy zostały otwarte. W ciemności kroczył Boenisch. Zaświecił jej latarką w oczy, nie mogła więc dojrzeć jego twarzy.

Załkał:

– Co ja mam z panią zrobić?

Aaron chciała błagać o życie, ale nie wydobyła z siebie słowa. Boenisch wyszedł i znów zamknął drzwi na klucz.

Wiedziała, że już nigdy nie wydostanie się z tego lochu, jeśli się nie uspokoi, a jej serce nie przestanie walić jak oszalałe.

Na górze Boenisch nastawił płytę. Roy Orbison, *Pretty Woman*. Trzeszczała, zaczynała się.

Tato, co mam zrobić?

Gdzie jesteś? Musisz wykorzystać to, co masz.

Nie dam rady.

Mimo to zaczęła macać wokół siebie.

Pretty Woman, walking down the street.

Pretty Woman, the kind I like to meet.

Drugi trup. Ziejąca dziura w szyi, tkanki w dotyku jak wyschnięte ciasto.

Dalej. Dalej. Nagle przepełniło ją uczucie szczęścia: gwóźdź. Długi i zardzewiały. Schowała go w zaciśniętej pięści, podpełzła do poprzedniego miejsca, rozpoznając drogę po pierwszym trupie i psie. Odnalazła schody, zdjęła buty, zakradła się na samą górę.

Pretty Woman, won't you pardon me?

Pretty Woman, I couldn't help but see.

Wreszcie uklękła pod drzwiami.

Tato, nic nie widzę.

Nie masz widzieć, tylko wiedzieć.

Gwóźdź jest za duży, nie otworzę tych drzwi.

To nie strach cię paraliżuje. Strach jest dobry, sprawia, że zachowujesz czujność. Ale musisz, do cholery, panować nad oddechem. Przecież pokazywałem ci, jak to robić!

Dygocząc, uniosła T-shirt, położyła dłoń na pępku, zrobiła głęboki wydech, wyobrażając sobie, że jej brzuch przykleja się do kręgosłupa.

Łomotanie serca trochę przycichło. Niewymownie ją to ucieszyło.

Obmacała mur. Znalazła szczelinę między dwoma kamieniami i wsunęła w nią gwóźdź. Stała na nim bosą stopą, ignorując ból.

Proszę, nie złam się! Tylko się nie złam!

Nie złamał się.

Włożyła go do zamka. Majstrowała tak długo, aż wreszcie się otworzył.

Wsunęła gwóźdź z powrotem w ścianę, wyprostowała go.

Proszę, nie złam się! Tylko się nie złam!

Wytrzymał.

Wystarczyła maleńka szczelina, aby zobaczyć Boenisha. Łaził po pomieszczeniu tam i z powrotem, łkając. Nie widział jej. Kot siedział na kanapie i wpatrywał się w Aaron.

Miała tylko tę jedną szansę. Otworzyła drzwi na oścież. Napięła mięśnie.

W tym momencie Boenisch wyłączył muzykę.

Puls Aaron przyśpieszył do ponad dwustu.

Boenisch sięgnął po telefon.

Uderzenie adrenaliny. Aaron była jak zmartwiła.

Kiedy wystukał cztery cyfry, chciał się odwrócić z aparatem w ręce. Kot skoczył na parapet obok niego i prychając, strącił doniczkę z kwiatami. Boenisch spojrział w jego stronę, a wtedy adrenalina Aaron spadła, pozwalając jej ostatkiem sił wykonać pięć kroków, które wytłumiła posadzka. Wbiła Boenischowi gwóźdź w kark, wciskając go aż po samą główkę. Boenisch głucho zagulgotał. Jego ręce zawirowały w powietrzu jak cepy. Aaron wyciągnęła gwóźdź i odskoczyła. Krew trysnęła jej w twarz. Boenisch upadł bezgłośnie, a ona poczuła szalone pragnienie, żeby pozwolić mu się wykrwawić jak zarżniętej świni.

Usiadła na kanapie i patrzyła, jak Boenisch umiera.

Kot w ogóle się nim nie przejmował. Przydreptał do Aaron i wskoczył jej na kolana. Zamruczał. Białe oko miał zamknięte. Aaron pogłaskała go po wychudłym grzbiecie.

Nagle zobaczyła ojca, który siada obok niej – jak wtedy, w dniu zdanego egzaminu wstępnego do Wyższej Szkoły Policyjnej, gdy odpoczywała na ławce po długim spacerze.

Gdzie to było? W lesie? Nad Renem? Czy byłam zdenerwowana? Czy okazał mi, jaki jest ze mnie dumny? A mama? Czy udawała, że cieszy się z mojego sukcesu?

Aaron przypomniała sobie słowa ojca:

– Przed wylotem do Mogadiszu zataiłem coś przed Wegnerem, inaczej nie mógłbym wziąć udziału w akcji. Jürgen Schumann, pilot „Landshuta”, był dawniej pilotem starfightera i stacjonował na lotnisku wojskowym Büchel. W tym samym czasie ja służyłem tam w brygadzie powietrznodesantowej. Świetny facet, wziął mnie dziesięć lat później pod swoje skrzydła i bardzo mi pomógł, gdy miałem problem z jednym z przełożonych. Pierwszym, co usłyszałem po lądowaniu w Mogadiszu, było: „Te świny zastrzeliły pilota!”. Najpóźniej w tym momencie powinienem był powiedzieć, że znałem Jürgena; w tym zawodzie konieczny jest dystans emocjonalny. Ale nie otworzyłem ust. Załatwiliśmy trzech terrorystów, dwóch z nich ja, przeżyła tylko Souhaila Andrawes. Leżała przed toaletą w samolocie, ciężko ranna, nieprzytomna. Inni wyprowadzali zakładników. Mogłem to wtedy zrobić: posłać jej kulkę między oczy. Myślałem o tym, ale tylko przez sekundę. Kiedy wyniesiono Andrawes, pokazała przed kamerami znak zwycięstwa. Mimo to postąpiłem słusznie. Nigdy o tym nie zapominaj.

Aaron wezwała wsparcie i karetkę pogotowia. Aż do ich przyjazdu głąskała kota. Powiedziano, że przebywała w piwnicy osiem godzin. Uwierzyłyby, gdyby wmówiono jej, że były to dwa dni albo dwa tygodnie.

Syrena kończy przerwę obiadową w Teglu.

– Co szczególnie podoba się panu w *Mr. Brooksie*?

Boenisch nie odpowiada.

– Niech mi pan powie, przecież oboje umiemy dochować tajemnicy.

Wzmaga się hałas samolotu, który właśnie tuż nad nimi podchodzi do lądowania. Huk turbin zagłusza odpowiedź Boenischa.

– Nie usłyszałam, proszę powtórzyć.

– Główny bohater – powtarza Boenisch.

– Mr. Brooks? Poważany obywatel, który noc w noc wychodzi z domu, zabija przypadkowych ludzi i nigdy nie zostaje

schwytany?

– To nie jest główny bohater.

– Doprawdy?

– Pani wie, kto jest głównym bohaterem!

– No kto?

– Smith!

– Facet, który szantażuje Brooksa, żeby mógł towarzyszyć mu w czasie morderstw? Ktoś, kto sam nie byłby zdolny nikogo zabić? Jak to się odnosi do pana? Od kiedy to chce się pan tylko przyglądać?

– Smith potrafiłby to zrobić! Mr. Brooks jedzie z nim na cmentarz, żeby Smith go zastrzelił. I naciska spust! Naciska!

– Mr. Brooks uszkodził iglicę.

– Ale Smith o tym nie wiedział! I nacisnął spust!

– No i co? Smith od dawna wie, że Brooks nie pozwoli się tak po prostu zastrzelić. Dla Brooksa jest to gra. Smith to żaloszny tchórz.

Boenisch wyje ze złości. Aaron woła:

– Niko! – Niko wchodzi. – Pan Boenisch i ja zrobimy sobie przerwę.

– Nie, nie potrzebuję przerwy!

Owszem, potrzebuję. Niech znów się porządnie naładuje. Niech mnie pożąda tak samo jak na początku.

Stojąc przed budynkiem numer sześć, Aaron oddycha głęboko. Żałuje, że poczęstowała Bukowskiego ostatnim papierosem.

– Przyniesiesz protokoły terapii z Wydziału Psychologów Policyjnych? Zaczekam tutaj.

Czuje, że Niko się oddala. Nie słyszy jego kroków, chociaż powinny chrząścić na śniegu.

Dziesięć rzeczy, których Aaron lubi słuchać:

piosenki Janis Joplin

gaworzenie dzieci

morze podczas zaczynającego się odpływu

ołówkę rysujący na papierze
deszcz uderzający o blaszany dach
harleye
wróble wiosną
klikanie jej zapalniczki marki Dupont
przewracanie kartek książki
mruczenie

Bezwiednie zwraca twarz ku Jungfernheide, pobliskiemu lasowi. Jest daleko od wszystkich ulic, Aaron czuje mech uginający się pod jej butami, gałęzie, które muskają jej kark, słyszy dźwięk skrzydeł ptaków i zastanawia się, kiedy była tam po raz ostatni.

Gdy wyniesiono ją z domu Boenisha, zapytała o kota. Po tym jak została wypisana z kliniki, od razu pojechała do Spandau, żeby porozmawiać z sąsiadami Boenisha. Na słupach latarni i na drzewach w dzielnicy nakleiła kartki ze swoim numerem telefonu. Nikt nie widział kota. Nikt nie zadzwonił.

Ale potem, kilka miesięcy później, obudziło ją skubanie w duży palec u nogi. Marlowe – czarny, gruby, syty kocur, pojawił się w jej życiu znienacka, jakby wiedział, że musi zastąpić kogoś innego.

Aaron nie pamięta już, skąd się wziął. Najbardziej lubi sobie wyobrażać, że jechał z nią na dachu jej samochodu, po tym jak w sklepie z czekoladą kupiła kocie jęczyczki.

Nie wiedziała, ile ma lat. Natychmiast stali się sobie bliscy. Jego zachowanie nie pozostawiało żadnych wątpliwości – on ją sobie wybrał. Kiedy szła spać, układał się pod jej pachą i usypiał ją mruczeniem, wiedział bowiem, że ona boi się swoich snów. Co rano budził ją ugryzieniem w duży palec i szedł do swojej miski dopiero w momencie, gdy i ona zaczynała jeść śniadanie. Wtulał się w nią, gdy tego potrzebowała, i dawał jej spokój, gdy musiała się skupić na myśleniu. Zajmował się swoimi kocimi sprawami, był bardzo poważny i był jej najlepszym przyjacielem.

Dziękuję, że wciąż mogę tego doświadczać.

Pozostało dla niej tajemnicą, jak Marlowe spędza dni. Kiedy

jednak po powrocie z pracy wysiadła z samochodu, zawsze siedział na parapecie i czekał. Ale nie odnosiła wrażenia, że doskwiera mu samotność. Siadała z nim na kanapie i bawili się w grę, w której chodziło o to, żeby wytrzymać z zamkniętymi oczami dłużej niż to drugie.

Później, gdy dołączyła do Wydziału, często spędzała wieczory u Sandry i Pavlika. Marlowe zawsze wcześniej wiedział, że się tam wybierają. Lubił Sandrę, Pavlika i ich bliźniaków Siedział wyczekująco pod drzwiami, a potem jechał razem z nią, usadowiony na półce za tylnym siedzeniem. W towarzystwie dzieci zachowywał się tak, jakby szczerze interesował się piłką albo jakimś autkiem, bo to właśnie sprawiało im radość.

Ale Nika nie lubił. Czyżby był zazdrosny?

Aaron często musiała się rozstawać z Marlowe'em, niekiedy nawet na kilka tygodni, i wtedy oddawała go pod opiekę pewnej samotnej starszej pani z sąsiedztwa, której wizyty kota sprawiały radość. Kiedy Aaron wracała, Marlowe skakał jej na ramię, trącał ją łebkiem na powitanie i wcale nie był obrażony, bo wiedział, że jej nieobecność najwyraźniej wynikała z ważnych przyczyn.

Pewnego ranka Aaron zasnęła, gdyż Marlowe jej nie obudził. Był bardzo słaby i ledwo oddychał. Wystraszona, pojechała z nim do weterynarza. Tam usłyszała:

– To rak.

Doktor powiedział, że kot nie pożyje długo, ale jeszcze nie ma bólów.

Nazajutrz Aaron miała wyjechać na akcję zagraniczną, mimo to postanowiła, że weźmie roczny urlop. Jej szef był jednak chory, a zastępca okazał się nieugięty. Oznajmiła więc, że wystąpi ze służby. Dostała urlop. Przez wiele godzin trzymała Marlowe'a w ramionach i opowiadała mu, kim dla niej jest. Wiedziała, że ją rozumie i że czuje dokładnie to samo. Kiedy obudziła się pewnego ranka, leżał pod jej pachą i po prostu spokojnie zasnął, jak zawsze strzegąc jej snów. Pochowała go pod brzoza w lesie Jungfernheide, a zanim poleciała do Barcelony, wielokrotnie chodziła na jego grób i przemawiała do Marlowe'a.

Czy może poprosić Nika, żeby później z nią tam pojechał?
Nie, Niko tego nie zrozumie.

Wrócił równie bezgłośnie, jak zniknął. Aaron wzdryga się, słysząc:

– Mam protokoły.

Dwie minuty później znów siedzi naprzeciw Boenischa. Czuje jego zniecierpliwienie. Ale najpierw musi wrócić do tamtej nocy, kiedy pozwoliła mu żyć, a w jego domu zaroilo się od policjantów.

Dlaczego ktoś taki jak Boenisch chciał zatelefonować, skoro miał w piwnicy dwie wykrwawione kobiety, a na dodatek trzecią ofiarę, ranną, bezbronną, którą teraz mógł się cieszyć?

I z kim rozmawiał przez telefon?

Cztery wybrane cyfry stanowiły numer kierunkowy Kassel. Był tam ktoś, do kogo wcześniej Boenisch dzwonił już kilka razy. Helmut Runge. Wczesnym rankiem policjanci wyrwali go z łóżka. Runge był przedstawicielem handlowym firmy produkującej płytki kafłowe. Pięćdziesiąt dwa lata, żonaty, trzynastoletnia córka, syn tuż przed maturą. Życie tak ciekawe jak kurz na szafie. Powiedział, że Boenischa poznał kilka lat wcześniej w jednej z knajp w dzielnicy Spandau, gdy był w Berlinie w podróży służbowej. Spotykali się od czasu do czasu, chodzili do kina, grali w bilard, popijali razem. Boenisch to samotnik, nie ma nikogo, z kim mógłby pogadać. Dzwoni czasem i go denerwuje. Ale dwie martwe kobiety? Choć była dopiero szósta rano, Runge napił się wódki.

Najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka wyszła na jaw podczas przeszukania domu Rungego, była jego kolekcja jajek niespodzianek w warsztacie do majsterkowania. Na oba dni, kiedy kobiety zniknęły, Runge miał alibi: pierwszego był na szkoleniu dla przedstawicieli handlowych w Bielefeldzie, drugiego natomiast aż do północy przebywał na przyjęciu urodzinowym w Peine. Trzydzieścioro świadków, w tym jego żona.

Wszyscy mieli więc jasność, że Boenisch działał w pojedynkę.

Aaron godzinami stała za lustrem weneckim i przyglądała się przesłuchaniom. Twarz Boenischa nieustannie była mokra od łez. Raz po raz walił głową w stół.

– Zrobiłem to! Zrobiłem! Zrobiłem!

Pokazywano mu zdjęcia zaginionych kobiet, niewyjaśnione

przypadki z ostatnich lat. Przyznał się do zamordowania dwóch biegaczek uprawiających jogging i zaprowadził policjantów do miejsca w Lasku Spandauskim, gdzie ukrył poćwiartowane zwłoki. Nie było wątpliwości co do jego sprawstwa.

Jednak miska ze spleśniałymi resztkami jedzenia w piwnicy Boenisha nie dawała Aaron spokoju. Kobiety nie zostały zamordowane tuż po porwaniu, a istniało duże prawdopodobieństwo, że w ciągu kolejnych dni Helmut Runge zajechał do Berlina. Był w podróży służbowej w Saksonii-Anhalt („Zamawiają płytki jak obłąkani”), zaledwie sto dwadzieścia kilometrów dalej.

Nikt nie chciał tego słuchać. Mówili Aaron, że jest ranna, że ma traumę, że powinna odpocząć, zapomnieć. Przez półtora miesiąca musiała nosić rękę na temblaku i przez cały ten czas przebywała na zwolnieniu.

Ojciec przyjechał do Berlina. Zadawał właściwe pytania: „Czy płyta, którą puszczał Boenisch, była porysowana?”, „Ile stopni miały schody?”, „Jaki to był gwóźdź?”.

Przy ojcu mogła się wreszcie wyplakać.

Czy ja naprawdę tego chcę?

Czy kiedykolwiek płakałam, zanim obudziłam się w Barcelonie?

Ale nawet ojciec powiedział:

– Musisz o tym zapomnieć.

Nigdy.

Na stronie internetowej pracodawcy Rungego znalazła relację ze szkolenia dla przedstawicieli handlowych. Runge zajmował drugie miejsce pod względem transakcji zawartych w regionie północnym. Wysoko unosił puchar. Aaron powiększyła to zdjęcie. Runge miał żółte, zaniedbane paznokcie, prawie jak pazury. Dlaczego nikt oprócz niej tego nie zauważył? Bez przerwy myślała o chwili, gdy Boenisch oświetlił ją latarką i załkał: „Co ja mam z panią zrobić?”.

I dlaczego postanowił zadzwonić akurat do Rungego? „Musiałem z kimś pogadać – zeznał – odprężyć się, żebym zbyt szybko nie zabił tych kobiet w piwnicy”.

Aaron sprowadziła sobie pół metra literatury fachowej.

Pierwsze zdania, jakie przeczytała, były autorstwa Charlesa Mansona: „Jeśli na tej ziemi kiedykolwiek istniał szatan, byłem nim ja. Zajmował moją głowę, kiedy tylko chciał”.

Zło jest parametrem moralności, nie da się go opisać żadnym algorytmem. Mimo to w przypadku wszystkich seryjnych morderców, z wyjątkiem snajperów, występują pewne stałe prawidłowości.

Typ określany jako rzeźnik dostosowuje morderstwa do sytuacji, improwizuje, działa przypadkowo i spontanicznie. Boenisch natomiast opowiadał: „Długo się zastanawiałem: która? I właśnie wtedy dostałem od pani Marx pralinki w prezencie, bo wyprowadziłem jej samochód z myjni. Wiedziałem wówczas, że to ona! A pani Lamprecht była zawsze taka wyniosła, trzeba się było koło niej naskakać. Bardzo mnie korciła”.

Rzeźnik nie jest zdolny wzbudzić w sobie uczuć do innych ludzi. Postrzega ich wyłącznie jako przedmioty. Dręczenie, zabijanie, ćwiartowanie, wyrzucenie fragmentów ciała jak śmieci znaczy dla niego tyle co przesunięcie krzesła.

Czy to odnosiło się również do Boenischa?

Pracownicy biurowca zeznali, że nie zapominał o niczych urodzinach, dla każdego miał uśmiech, trzymał w szufladzie aspirynę i plaster na wypadek nagłych okoliczności, odwiedzał chorych. Sąsiedzi znali go jako pomocnego człowieka. W Halloween dzieci lubiły dzwonić do jego drzwi, ponieważ tak przekonująco odgrywał przerażenie, że mogłyby za tę rolę dostać Oscara. Od niego też dostawały zdecydowanie najwięcej słodyczy. Wracając w czasie srogiej zimy z nocnej zmiany, odgarniał śnieg z całej ulicy i posypywał chodnik piaskiem.

Typ numer dwa to planista, gatunek o wiele rzadszy. Miły facet, lubiany przez wszystkich. Ma stałą posadę, uporządkowane życie.

Jak Boenisch.

Planista bardzo rozważnie wybiera miejsce zbrodni. Wszystko musi być perfekcyjne. Wybiera spokojne, pewne miejsce, w którym można się odprężyć, aby delektować się każdą chwilą.

Jak w piwnicy Boenisha.

Planista nigdy nie zmienia swojego schematu – najmniejsze odstępstwo od reguły wszystko by zniszczyło.

W obydwu przypadkach Boenisch poczekał na późny wolny wieczór, odurzył chloroformem kobiety w garażu podziemnym i dopiero po długim okresie tuczenia ich, kiedy to przedsmak radości tuczył wyobraźnię, aż stała się tłusta jak foie gras, poderżnął im gardła.

Żadna z nich nie została zgwałcona, w każdym razie nie doszło do penetracji. Z biegaczkami prawdopodobnie postąpił tak samo. Chloroform, piwnica, czekanie, gardła, rozkład.

Ale czy Boenisch robił trupom zdjęcia? Nie. Czy na górze przechowywał jakieś fetysze, część garderoby lub biżuterię, którą w każdej chwili mógłby się bawić? Nie. Czy skradał się wokół domów rodzin zamordowanych kobiet, aby obserwować cierpienie ich najbliższych i dodatkowo się tym podniecać?

„W drodze do pracy muszę zwykle przechodzić obok domu pani Lamprecht, ale wtedy poszedłem inaczej”.

Zbyt wiele „nie”.

Boenisch z pewnością miał fantazje dotyczące zabijania i obsesje nekrofilskie. Ale Aaron uważała, że on tylko **chciał** mordować – jednak nie mógł. Wyszukiwał kobiety z rozwagą i zamykał je w piwnicy; pracowały w jego biurze, co czyniło to preludium ryzykownym, jeszcze bardziej podniecającym. Zabijał je ktoś inny, ten, z którym Boenisch żył w swego rodzaju symbiozie, niczym ryba czyściciel i murena. Boenisch miał prawo się przyglądać i zatrzymać zwłoki.

Piwnica była jego rajem.

Nawet areszt stanowił dla niego źródło rozkoszy. Boenisch upajał się swoimi zeznaniami, uważał, że to cudowne, iż wszyscy traktują go jako sprawcę i widzą w nim człowieka, którym pragnąłby się stać. Szczególną euforię wywołałoby u niego współczucie. Próbował wszystkiego, ale nikt mu go nie okazał.

Tylko Aaron, teraz.

– Wiem, że to dla pana trudne. Czy przerwa była wystarczająco długa, czy mamy jeszcze trochę poczekać?

Boenisch mówi szybko:

– Nie, już w porządku. – Aaron słyszy, że więzień bawi się dłońmi. – Jak bardzo jest pani ślepa? Całkowicie?

– Dlaczego Melanie Breuer?

– Przypominała mi kogoś.

Masz teraz nadzieję, że zapytam kogo. Z wielką chęcią byś mi o tym opowiedział, z wielką chęcią.

– Jak się pan czuł, kiedy pan do niej szedł?

Zawiedziony Boenisch oddycha chrapliwie.

– Czy omawialiście to wszystko w czasie psychoterapii?

– Zawsze czułem ucisk w głowie. Dlaczego tego nie zauważyła? Przecież była zawodowcem.

– Co się stało, kiedy przysła do pańskiej celi?

– Oglądała moje książki. Oprócz tej jednej. Ukryłem ją.

– A potem?

– Piliśmy herbatę. Tuż obok siebie, bo mało tu miejsca. Nie używała perfum, ale ładnie pachniała. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałem. Prawie dotykała mojego ramienia. A mnie paliły ręce.

– Jakiej chciała herbaty? Z cukrem czy bez?

Aaron wie, że Boenisch nie lubi cukru. Brak mu pewnej cząsteczki białka, to anomalia, o której wspomniano w marginalnej notatce w jego aktach medycznych.

– Bez.

Aaron chce go podrażnić.

– Dowiedziałam się, że pani Breuer piła herbatę tylko z cukrem. Dlaczego pan kłamie?

Boenisch tak mocno szarpie kajdanki, że Aaron odsuwa się z krzesłem o pół metra.

– Może przerwa nie była jednak wystarczająco długa?

Boenisch błaga:

– Nie, proszę! Bardzo mi przykro!

Pretty Woman, won't you pardon me?

W czwartym tygodniu zwolnienia z praktyk jej obojczyk był już na tyle podleczone, że mogła pojechać do Kassel. Obydwa

morderstwa popełniono niedawno, Helmut Runge znajdował się zapewne jeszcze w fazie wystudzenia. To, że znów zabije, było w najbliższym czasie mało prawdopodobne, ale może popełni błąd i doprowadzi Aaron do kryjówki, w której przechowuje swoje fetysze.

Nastawiła się na to, że rozklekotanym garbusem będzie musiała śledzić przedstawiciela handlowego w jego podróżach. Niepotrzebnie. Runge miał urlop i spędzał go z rodziną w ogródku działkowym. Aaron wynajęła pokój w pensjonacie. Gruba gospodyni ciągle patrzyła w ślad za nią, gdy z aparatem fotograficznym wychodziła z domu. W Kassel nie ma turystów.

Pewnego razu Aaron się odwróciła, a kobieta wymamrotała:

– Kot też miał prawo patrzeć w ślad za królem.

Runge zrobił karmnik dla ptaków, wraz z innymi działkowiczami grillował karczek, pływał z synem kajakiem, pojechał z żoną i z dziećmi na wycieczkę do Heidepark Soltau, wylegiwał się w hamaku, rozwiązywał krzyżówki, czytał Konsalika.

Jak wyglądał ten karmnik? Na jaki kolor go pomalował? Czy to był kajak czy nadmuchiwana łódka? Co działo się we mnie, gdy bez końca leżałam na leśnej polanie i obserwowałam Rungego przez teleobiektyw? Czy byłam wściekła, że zachowuje się tak normalnie? Czy miałam nadzieję, że się mylę?

Zadzwoiła matka. Aaron wyczuwała jej zatroskanie. A przecież matka nic nie wiedziała o piwnicy Boenisha. Ojciec uważał, że tak będzie lepiej. Aaron wymyśliła jakiś wypadek podczas zajęć sportowych, głupi, i dodała, że już wkrótce wróci do formy.

Matka zaproponowała:

– Może przyjechałabyś do nas? Masz tu przecież jeszcze przyjaciół, na pewno by się ucieszyli.

– Ach, mam, mam masę nauki. Poza tym za dwa tygodnie wracam na praktykę.

Przy tym ani na sekundę nie spuszczała Rungego z oczu.

– Dziecko, uważaj na siebie – powiedziała matka ze smutkiem w głosie.

– Jasne.

Nastawiła szperacz na większą ostrość. Runge poprosił żonę, żeby posmarowała mu plecy kremem do opalania. Wzięła go trochę za dużo i nagle cofnęła się o krok, bo gniewnie się na nią zamierzył.

Pewnego ranka gruba właścicielka pensjonatu siedziała za kontuarem i płakała. Początkowo Aaron postanowiła udawać, że tego nie widzi, myślała bowiem, że kobieta może nie życzy sobie, aby ktoś obcy wtrącał się w jej życie, ale stojąc już w drzwiach, usłyszała, jak zanosi się szlochem. Zapytała więc, co się stało.

Wypiły kawę. Kobieta była zadowolona, że może z kimś pogadać. Jej córka przerwała studia, geografię i fizykę, choć przecież poszukiwano nauczycieli. Winę za to ponosił były mąż właścicielki pensjonatu. Miał bar w Hanowerze i przekonał córkę, żeby zaczęła u niego pracować jako kierowniczką, bo wtedy zarobi o wiele więcej. Ona zawsze była córunią tatusia, więc gdyby nawet miał lodziarnię na Grenlandii, pojechałaby tam za nim.

Aaron zauważyła, że wysłuchiwanie drugiej osoby dobrze jej robi. Wszakże był to jeden z powodów, dla których chciała zostać policjantką: pragnęła słuchać, aby zrozumieć czyjś los, bo tylko wtedy można postąpić sprawiedliwie. Wtedy jeszcze nie podejrzewała, że będzie policjantką zupełnie innego rodzaju i podąży za ojcem po kruchym lodzie, pod którym przy każdym kroku widzi się twarze zmarłych.

Teraz słuchała o zmartwieniu kobiety, która nie wiedziała, co robić, widząc, że jej dziecko chce sobie napisać biedy, podobnie jak dawniej ona, gdy wyszła za mąż za tego mężczyznę. Zupełnie już nie mogła sobie przypomnieć, co takiego w nim widziała. Kręcąc głową, westchnęła:

– Niestety nie zna granic.

Podczas gdy Aaron usiłowała właściwie dobrać słowa i radziła, żeby przeprowadzili rozmowę we troje, nie mogła nie myśleć o własnej matce. Ona rozmawiałaby z przyjaciółkami całkiem podobnie – powiedziałyby im, jakie to straszne, że Jenny ze względu na ojca chce zostać policjantką, że jest za

młoda, aby zrozumieć, co to znaczy dla jej matki. A ona ma przecież tylko Jenny i męża i teraz musi bać się o nich oboje.

Gruba właścicielka pensjonatu z wdzięcznością uścisnęła rękę Aaron.

– Bardzo mi to pomogło – powiedziała i poczuła ulgę w sercu. *Jakby to było wczoraj. Pamiętam jeszcze, że na prawej nodze miała oczko w rajstopach.*

Na dzień przed powrotem Aaron do Berlina córka Rungego spadła z roweru na kamienistej drodze. Z płaczem i zakrwawionymi kolanami przykuśtykała na działkę. Matka załamała ręce i czym prędzej opatrzyła jej rany. Runge nawet nie wstał z hamaka. Odłożył książkę i drzemał.

Aaron zadzwoniła do Wydziału Zabójstw i zapytała, czy może zostać tydzień dłużej. Oczywiście, niech się nie śpieszy.

Przez dwa następne dni nic się nie działo. Ale w ciągu kolejnych dwóch Runge zrobił coś dziwnego. Pojechał do Kassel na dworzec i przez kilka godzin siedział w hali dworcowej. Nie czytał książki ani gazety, nie pojawił się też nikt, kogo miałby odebrać. Był zatopiony w sobie i nieruchomy. Jak salamandra na zimnym kamieniu.

Drugiego dnia Aaron zaczęła, aż Runge wyjdzie z dworca, i zahaczyła go z rozłożonym planem miasta:

– Przepraszam, czy mógłby mi pan pomóc? Szukam muzeum braci Grimm.

Nie znał jej, nigdy jej nie widział. Oczy miał jak krzemyki pobrudzone smołą, głos wysoki i nijaki. Pożółkłym, zrogowaciałym szponem przesunął po planie miasta.

– Jest pani dokładnie tutaj. Prosto, na skrzyżowaniu w prawo, druga w lewo, a potem wyjdzie pani wprost na muzeum.

– Dziękuję, bardzo mi pan pomógł. Zgubiłam się. Tak to jest, jak się nie ma nikogo, kto mógłby człowieka oprowadzić.

Ty jesteś złym wilkiem. Ale wierz mi, ja nie jestem Czerwonym Kapturkiem.

Gdyby teraz Runge zaproponował, że coś jej pokaże, że może

wyberze się z nią na Wzgórze Wilhelma – to niedaleko, a warto się tam wybrać ze względu na wspaniały widok – wsiadłaby do jego auta, i gdyby tylko wyjawiał jej, kim jest, bez wahania zastrzeliłaby go ze starfire’a, który miała w torebce. On jednak z tym swoim uśmiechem przedstawiciela handlowego życzył jej miłego dnia.

Wróciła do Wydziału Zabójstw. Fakt, że ona, dwudziestoletnia praktykantka, jako jedyna odkryła sprzeczności w zeznaniach Boenisha, przysporzył jej szacunku. Mimo to kręcono głowami, że była tak lekkomyślna i pojechała do Spandau bez wsparcia. Jedna z doświadczonych koleżanek widziała, jak skonsternowana jest Aaron, i starała się ją wspierać. Aaron była bliska zwierzenia się jej ze swojego problemu.

Ale nie zrobiła tego.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem dostała urlop. Pojechała za Rungem do Bremy i okolic. Objężdżał klientów, żartował z nimi, wieczorami oglądał telewizję w tanim hotelu, wcześniej gasił światło. Codziennie w porze obiadowej zjadał bułkę z rybą, zawsze wyjmował cebulę. Kupował prezenty gwiazdkowe dla rodziny. Aaron pytała w każdym sklepie: naszyjnik z pereł – dziewięćset osiemdziesiąt marek; bilet dla córki na koncert Backstreet Boys – czterdzieści jeden marek; aktówka dla syna, który zaczynał praktykę w banku, o czym Runge jowialnie opowiedział sprzedawcy – sto dziewiętnaście marek.

Trzeciego wieczoru pojechał do gospody w Delmenhorst. Ale nie wysiadł z samochodu. Siedział w nim i wpatrywał się w jasne okno z przyklejonym napisem „Pod Krzywym Rogiem”. Aaron zaparkowała po drugiej stronie ulicy i przyglądała się kelnerce żartującej z gośćmi.

Sprawdziła magazynek starfire’a.

Runge poczekał do zamknięcia lokalu. Kelnerka wyszła na trotuar. Była jedną z tych kobiet, których marzenia o życiu, jakie nigdy nie będzie im pisane, są niczym gruba warstwa szminki. Wsiadła do auta Rungego. Pocałowali się, wyglądali na dobrych znajomych. Wręczył jej elegancko zapakowany

upominek. Kobieta rzuciła się Rungemu na szyję, zaczęła go ścisnąć i obcałowywać. Założył jej naszyjnik.

Aaron zmartwiła. Podążyła za obojgiem. Zatrzymali się w zanedbanej dzielnicy, pod kamienicą czynszową. Kiedy na pierwszym piętrze zasunęli zasłony i zgasili światło, serce Aaron zaczęło gwałtownie bić jak wtedy w piwnicy Boenisha. Co ma robić? Ostrzec tę kobietę? A potem? Ona jej nie uwierzy i opowie wszystko Rungemu. Z pewnością nie znajduje się teraz w bezpośrednim niebezpieczeństwie, w przeciwnym razie nie kupiłby jej drogiego naszyjnika. Czy zrobiłby taki prezent ewentualnej ofierze? Chyba zna ją już dłużej i zabicie jej nie pasowałoby do jego schematu. Z takimi myślami, które uderzały o siebie jak kulki w wahadle Newtona, Aaron zapadła w drzemkę.

Wraz z pierwszym bladym światłem poranka zerwała się ze snu.

Nie zauważyła, że zaparkowała na miejscu dla niepełnosprawnych. Dwaj policjanci, którzy najwyraźniej się nudzili, zapukali do okna jej samochodu i poprosili o legitymację inwalidzką. Zmieszana Aaron zapytała, czy nie mają nic lepszego do roboty. Natychmiast musiała wysiąść i przyjąć pouczenie.

Po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi. Kelnerka w płaszczu kąpielowym pożegnała się z Rungem. Nadal miała perły na szyi. Idąc do samochodu, Runge spostrzegł Aaron stojącą z dwoma policjantami. Przystanął, rozpoznał ją.

Ale nie dał po sobie poznać poruszenia.

Kiedy wsiadał, upadł mu klucz.

Wigilię Aaron spędziła u rodziców. Prezenty zostały rozpakowane, matka przygotowywała jedzenie w kuchni, sama, bo Aaron to kompletne beztalencie kulinarne.

Ojciec mruknął:

– Chodź, przejdziemy się.

Opustoszała ulica, pierwsze sylwestrowe wystrzały. Zimna, niespokojna noc. Aaron wiedziała, że ojciec ją przejrzał, i wyrzuciła z siebie wszystko, co leżało jej na sercu. Opisała profil mordercy, swoją „przerwę w praktykach”, chwilę, gdy

Runge spokojnie leżał w hamaku i nie ruszył się na widok zakrwawionej córki. Jego kochankę w Delmenhorst. Nie wspomniała tylko o muzeum braci Grimm i o naładowanej broni w swojej torebce.

- A więc ma romans z kelnerką. Zdarza się.
- A jego reakcja na rany córki?
- Może miał zły dzień.
- Dziewczynka bardzo mocno krwawiła.
- Może jego stara nadepnęła mu na odcisk?
- On w ogóle nie patrzy na żonę.
- Znam paru takich z szóstki. Dobrzy ludzie.

Aaron przystanęła rozeźlona.

– Równie dobrze możemy pośpiewać kolędy.

Ojciec uspokajająco objął ją ramieniem i poszli dalej.

– Gdy byłaś mała, w domu naprzeciwko mieszkało pewne małżeństwo; on był elektrykiem, na pewno ich nie pamiętasz. Przyszli kiedyś do nas na kolację. Byli pokłóceni, musiałem mu bez przerwy dolewać wódki. Potem kobiety poszły do ogrodu pogadać, chyba o ciuchach, a on się przede mną wywnętrzył. Mieli pudła.

O czym on mówi?

– Facet utyskiwał – podjął ojciec. – „Okropne bydlę. Co rano na dywanie w gabinecie znajdowałem żółtą plamę. Ostatnio żona pojechała na dwa tygodnie na kurację, więc wywoziłem tego kundla do lasu. Wróciła w piątek, a ja powiedziałem, że pies uciekł. Wpadła w amok i porozwieszała mnóstwo ogłoszeń po okolicy. Wczoraj bydlak rzeczywiście się znalazł, ale nie do końca. Na rogu przejechała go ciężarówka. Od tej pory żona nie zamieniła ze mną słowa. Dzisiaj rano okazało się, że plama powstaje przez jakiś wyciek z rury. Jestem skończonym idiotą”.

Ponownie się zatrzymali.

– Pierwsza myśl jest przeważnie najlepsza: że Runge jest niegroźny. Musisz zapomnieć o nim i Boenischu. Jeśli tego nie zrobisz, wykończysz się.

Aaron wiedziała, że ojciec ma rację.

W lutym odbył się proces Boenischa. Stwierdzono szczególny ciężar winy. Zasądzono mu dożywocie i, jako środek

zabezpieczający, przymusowe umieszczenie w szpitalu psychiatrycznym. Podczas ogłoszenia wyroku dostał napadu płaczu.

Szesnaście lat później Boenisch znów płacze. Aaron słyszy, że maże się dokładnie tak jak wówczas na sali sądowej.

– Dlaczego udusił pan tę kobietę plastikową torebką? Mógł ją pan przecież udusić rękami, czy to nie byłoby bardziej podniecające?

– Pytała, czy chcę zmienić pracę – pociąga nosem, czkając od łkania. – Mówiła, mówiła i mówiła. Uciszyłem ją. To takie piękne, kiedy są ciche. Jak w szybowcu, gdzie słycać tylko wiatr.

– Ta torebka nie była przeźroczysta. A przecież pan lubi widzieć strach w twarzach kobiet. Co daje panu śmiertelna walka, w której pan do końca nie uczestniczy?

Boenisch się zastanawia. Nienawidzi takich pytań. Dławi się łzami jak zbyt dużym kęsem mięsa.

– Miałem tylko tę torebkę.

– W punkcie wydawania odzieży jest całe mnóstwo przeźroczystych.

Boenisch stara się brzmieć jeszcze bardziej żałośnie i może w ten sposób odwieść ją od rozmowy o tej przeklętej torebce.

– Brzydziłem się samym sobą.

„Kiedy wchodziła tu rano, to aż tapeta jaśniała”.

Aaron chowa telefon komórkowy i wstaje.

– Nie, nie brzydził się pan. Jest pan tchórzem, który pozwala, żeby ktoś taki jak Bukowski objął mu zębra, a potem beczy i czeka, aż ktoś będzie nad panem ubolewał. Jest pan kimś, komu staje, gdy uważa się go za mordercę. Nie jest pan Brooksem. Pan jest Smithem. Zaszczanem. I na tym oboje kończymy.

Boenisch ryczy jak zwierzę:

– Zabiję cię, ty szmato! Zdechnij! Wyrwij sobie te ślepe gały! Pizda!

Aaron boi się, że więzień wyszarpie rurę z zaczepów. Drzwi

gwałtownie się otwierają. Niko. Wyprowadza Aaron na zewnątrz.

– Mogłem cię wtedy zarżnąć! I pić twoją krew!

W końcu Aaron słyszy głos klawisza:

– Opowiedz to swojemu fryzjerowi.

Nie może się doczekać, kiedy umyje ręce.

Śnieg skrzypi pod nogami jak masa nugatowa. Niko nie zadaje pytań, chociaż jest w tym dobry. Aaron też jest dobra.

W jej pierwszym życiu były to inne pytania. Jak utworzyć kontakt? Jaką wybrać przykrywkę? Ilu potrzeba ludzi? Jakiej broni?

Odpowiedzi zawsze pomagały skupić się na faktach. Najlepsza pozycja. Perfekcyjna sekunda. Najbezpieczniejsze kłamstwo. Aaron pragnęłaby, żeby takie odpowiedzi istniały również teraz.

– Dzień dobry.

Mężczyzna, którego mijają, nie jest więźniem. Aaron rejestruje odrobinę potu i mleczka do opalania. Solarium.

Dziesięć zapachów, które Aaron lubi:

świeżo wysmołowane ulice

ogniska z pieczonymi kartoflami

tłuszcz na skórze

las po deszczu

herbata miętowa w Marrakeszu

swoja skóra

kielbaski z curry

trociny

L'Eau d'Issey firmy Miyake

gorące kasztany

Administracja więzienia znajduje się w zakładzie II. Aaron czuje, że wyrasta przed nią wilhelmińskie monstrum w kształcie gwiazdy, „pająk”, w którym u Döblina siedział Biberkopf, potężna budowla przepelniająca strachem.

Czerwona cegła, dziury po kulach, w środku wielopiętrowe korytarze z mnóstwem cel. Na wysokości pierwszego piętra metalowa siatka mająca uniemożliwić samobójcom ich plany.

– Pani Aaron, panie Kvist. Proszę usiąść – mówi dyrektor Hans-Peter Maske. Aaron go nie zna.

Dyrektor stara się mówić obojętnym tonem, ale ona słyszy w nim napięcie. Niko prowadzi ją do stołu w rogu pokoju, gdzie odbywają się narady. Aaron maca ręką i znajduje poręcz fotela.

– Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję.

Maske nalewa sobie kawy. Aaron czuje żywiczny, cierpki zapach. Chryzantemy. Kiedy zwraca głowę w lewo, zapach się nasila.

Biurko.

– Czy jest jakaś okazja do świętowania?

– Awans. W marcu obejmuję kierownictwo nad wydziałem sądownictwa w senacie.

– Gratulacje.

– Dziękuję.

Aaron nie podoba się jego głos. Jest w nim coś fałszywego, jak w zblazowanym uśmiechu osoby, która kogoś obraża lub chce ukryć, że ma popsute zęby.

Maske otwiera plastikowy pojemniczek ze śmietanką do kawy.

– Oczywiście wszystkich nas to bardzo poruszyło. Straszne.

– Na pewno wyrobił pan sobie już pogląd – mówi Aaron.

Do słów Maskego wkrada się energiczny, władczy ton, nadając im niespodziewanie agresywne brzmienie:

– Nie chodzi przecież o błahostkę.

– Czyżby?

– Boenisch zostanie przeniesiony do zamkniętego zakładu psychiatrycznego, gdzie moim zdaniem, powinien się znajdować już od szesnastu lat.

Aaron rejestruje, że Maske, odpowiadając, zwrócił się nie do niej, a do Nika. Zna to z wielu rozmów. Niektórzy ludzie nie

patrzą na nią, bo ona ich nie widzi. W przypadku innych jest to bezmyślność. Zdarzali się też tacy, którzy podejrzewali, że to zauważa, i celowo tak się zachowywali, aby ją zranić.

– Reinhold Boenisch posiada powieść o seryjnym mordercy i film fabularny, który porusza ten sam temat. Zakładam, że ani jedna, ani druga pozycja nie pochodzi z waszych zbiorów bibliotecznych. W jaki sposób coś takiego przeszło przez kontrolę pocztową? Żaden klawisz nie zwrócił na to uwagi?

– Czy będzie przesadą, jeśli poproszę o unikanie tego terminu na określanie naszych służb? To dyskryminujące.

– A czy będzie przesadą, jeśli poproszę, aby patrzył pan na mnie, rozmawiając ze mną?

Maske dmucha na kawę, po czym siorbie. Aaron wyobraża sobie, że kiedy jest sam, na pewno oblizuje brzeg filiżanki.

– Sprawdzimy drogę pocztową.

Szeleści szorstki materiał. Jeansy. Niko, siedzący obok Aaron, zakłada nogę na nogę.

– Panie Maske, a może wszyscy myśleli, że Boenisch raczej już nie wyjdzie z pudła? – pyta. – Nikogo nie obchodzi, co ogląda albo czyta?

– Nie umiem powiedzieć, co myśli sześciuset pięćdziesięciu pięciu pracowników.

– Których obowiązują przepisy. W innych urzędach, na przykład w urzędzie finansowym, to pikuś. Ale nie tutaj. Nie wiem, co myśli o tym wydział sądownictwa w senacie.

Aaron tłumy śmiech. Takie typki jak Maske działają na Nika jak czerwona płachta na byka. Maske nie powinien już bardziej go rozdrażniać.

– Polemizując ze mną, nie zajdzie pan u mnie daleko.

– Naprawdę? Nie mam takiego wrażenia.

Maske z hałasem odstawia filiżankę.

– Ups, poplamilem się.

Niko dolewa sobie kawy.

– Czy to możliwe, że zaraz po rozpoczęciu czasu wolnego był w celi jeszcze ktoś, kto potem niepostrzeżenie wyszedł?

Pytanie Aaron jest retoryczne. Wszyscy więźniowie czekają na otwarcie cel. Ubijają interesy, idą potrenować z hantlami albo

wychodzą na spaceriak, biegają, odreagowują, w zgiełku kłócą się z klawiszami. To normalne.

Głos Maskego jest teraz o ton wyższy.

– Chwileczkę, czy chce pani powiedzieć, że istnieje drugi sprawca?

– Nie. Chcę powiedzieć, że Boenisch w ogóle nie jest sprawcą.

– Proszę pani, to jakiś absurd.

– Dlaczego?

– Ma pani świadka?

Aaron ma już tego dosyć.

– Panie Maske, kiedy wraca pan wieczorem do domu i ulice są suche, a rano wygląda pan przez okno i widzi, że leży na nich gruba warstwa śniegu, to wie pan, że napadało. Czy potrzebuje pan na to świadka?

– W określonym czasie na piętrze było sześćdziesięciu więźniów. Może powinna pani przesłuchać ich wszystkich – odpowiada.

Oczywiście Maske zna zasady, zgodnie z którymi jedni więźniowie mają władzę nad innymi. Niezależnie od tego, kto zamordował Melanie Breuer, jest to ktoś, kogo trzeba się bać. A jeśli istnieje świadek, to będzie trzymał język za zębami.

Aaron wstaje:

– Chcę mieć listę wszystkich więźniów z budynku numer sześć. Powód osadzenia, zachowanie w grupie, opinie psychologiczne. Na jutro, jeśli byłby pan tak miły.

Głos Maskego staje się teraz wręcz piskliwy.

– Czy pani Aaron ma jakieś upoważnienie do prowadzenia śledztwa?

Niko również wstaje.

– Nie. Ale porozmawiam z kolegami z Czwartego Wydziału Zabójstw, którzy pracują nad tą sprawą. Zgłoszą się do pana.

– Pani pewnie myśli, że skoro jest z wydziału zabójstw, to może sobie na wszystko pozwalać?

Aaron przystaje w drzwiach.

– Zastanawiam się, czy ten film i powieść w ogóle musiały przechodzić przez cenzurę. Boenisch mógł je równie dobrze dostać od kogoś z pracowników. Chciałabym więc otrzymać

też nazwiska wszystkich osób, które miały z nim styczność. Albo jeszcze lepiej: akta osobowe.

Naprawdę byłoby miło zobaczyć teraz twarz Maskego. Ale równie miłe jest wyobrażenie sobie jego wieczoru.

Aaron ostrożnie schodzi po schodach, pokryte naniesionym śniegiem stopnie są jak mydlana piana. Wychodzi z Nikiem na zimne słońce. Chce sobie wyobrazić błękitne niebo, ale już nie pamięta, jak wygląda błękit.

W wieku dwudziestu jeden lat ukończyła studia z najlepszym wynikiem na roku i otrzymała czternaście propozycji pracy. Zdecydowała się na LKA, Krajowe Biuro Śledcze w Berlinie. Szybko poznano się na jej szczególnych zdolnościach. Już cztery lata później musiała w Moskwie walczyć o życie z zabójcą nasłanym przez Nikulina.

Tej samej zimy Helmut Runge miał ciężki wypadek samochodowy. Reanimowano go, ale zmarł w szpitalu. W bagażniku jego auta znaleziono zwłoki kobiety z Wolfsburga, której poszukiwano od dwóch tygodni. Runge miał przy sobie klucz do skrytki numer trzy na dworcu w Kassel. Znaleziono w niej walizkę z fetyszami.

Bizuteria. Majtki. Włosy. Paznokcie dużych palców u nóg. Zęby.

Znajdował się wśród nich również naszyjnik z pereł, prezent gwiazdkowy dla kelnerki z Delmenhorst, którą zamordował w dzień jej czterdziestych urodzin. Popełnił ogółem trzynaście morderstw, pierwsze przed dziesięciu laty, trzy ostatnie już po skazaniu Boenisch. Do ofiar zaliczały się także kobiety uprawiające jogging, do których zakopanych fragmentów ciał Boenisch ich zaprowadził. Ale nie było tam żadnych fetyszów należących do kobiet z piwnicy Boenisch.

Przypuszczano, że obaj mężczyźni poznali się przez internet, wówczas jeszcze niepodlegający żadnym regułom prawnym, dzięki czemu można było czuć się tam w dużej mierze nieobserwowanym, brakowało jednak na to dowodów. Boenisch utrzymywał, że sam zabił te kobiety.

Jazda autostradą upływa bez ani jednego spojrzenia Nika, w każdym razie żadnego, które byłoby wystarczająco ostre dla zmysłów Aaron. I nadal bez jakichkolwiek pytań.

Dziękuję.

Kwaterna główna znajduje się przy Budapest Strasse, w samym środku Westcity. Ten wydział nie należy do Krajowego Biura Śledczego ani do BKA i nie można go znaleźć na żadnym schemacie organizacyjnym. Nie ma możliwości ubiegania się o pracę tam – otrzymuje się nominację.

Po aresztowaniu Ilii Nikulina Aaron otrzymała telefon. Szybko zrozumiała, że mężczyzna, który zaprosił ją na rozmowę do Federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zna przebieg jej kariery od czasów jej nauki w Wyższej Szkole Policyjnej. Każde śledztwo, każdą ocenę, każde wyróżnienie. Człowiek, ten, jej późniejszy szef, powiedział wprost:

– Chcemy panią mieć.

– Kim są „my”?

– Wkraczamy tam, gdzie zaangażowanie innych sił nie przyniosłoby efektu.

Chodziło o ochronę świadków, której nie powierza się nawet BKA.

Odbijanie zakładników, w którego przypadku specoddział w pełnym umundurowaniu zanadto rzucałby się w oczy i byłby zbyt powolny. Sytuacje, w których bronią jest ciało.

Przekazywanie okupów porywaczom.

Poufne śledztwa najwyższego ryzyka.

Tajne operacje dla Europolu.

Obronę antyterrorystyczną poprzez infiltrację.

Precyzyjną pracę.

– Oczywiście dostanie pani czas do namysłu.

Nie potrzebowała go.

Teraz nieszczęśliwie za tym wszystkim tęskni. Owszem, brak jej koleżeństwa, poczucia wspólnoty, tylko dlatego tak głębokiego, że nikt z zewnątrz by ich nie zrozumiał. Mieli tylko siebie. Kiedy po trzech latach przyszła do nich druga kobieta, Aaron spędzała z nią wiele czasu. Chciała pomóc się jej odnaleźć. Długo z nią rozmawiała, gdy nowa po raz pierwszy zabiła człowieka. Mimo to wiedziała, że żadne słowa nie przyniosą ulgi.

Niknie w oczach. Ale w końcu się przyzwyczai.

Koleżanka została tylko rok, po czym poprosiła o przeniesienie.

Aaron nie brak adrenaliny. Broni, owszem. Choć pocieszające jest to, że nigdy więcej nie będzie musiała odebrać nikomu życia.

Jeszcze tylko temu jednemu. Ty albo on.

Niko wyjeżdża z Kaiserdammu. Aaron poznaje to po tym, że droga prowadzi delikatnie w górę. Właściwie jadą dłuższą trasą. Ale kiedy ona odbierała jakiegoś gościa z lotniska Tegel, też tędy jeździła. Ze względu na panoramę.

Nie zdarzało się to często. Raz w roku odwiedzała ją matka. O czym Aaron miała z nią rozmawiać, skoro było tyle tematów tabu? Kochały się, ale po godzinie nie miały sobie nic do powiedzenia. Po kilku dniach zawsze rozstawały się z ulgą. Mimo to, stojąc na lotnisku, Aaron czuła ból.

Niekiedy odwiedzało ją dwoje przyjaciół – jedyni, jacy jej zostali z czasów szkolnych. Myśleli, że Aaron pracuje w wydziale zajmującym się kradzieżami. Nigdy nie miała dość opowieści o dawnych czasach. W *Harfie traw* Capote'a są dwa zdania, które są Aaron szczególnie bliskie: „Miałem lat jedenaście, a później już szesnaście. Chociaż nie spotykały mnie żadne wyróżnienia, były to lata szczęśliwe”¹.

Najbardziej cieszyła się z wizyt Mary-Sue, jej rówieśniczki z Arizony, z której rodziną Aaron mieszkała przez pół roku w Cayenne, jedynym mieście w promieniu siedemdziesięciu mil. Dominował tam wyłącznie jeden kolor, mający za to mnóstwo nazw: czerwień rakowa, czerwień kontrabasowa,

1 T. Capote, *Harfa traw*, przeł. B. Zieliński, Warszawa 1972, s. 101.

czerwień koszykówkowa, czerwień nosa kłowna, czerwień pontonowa, czerwień węży koralowych, czerwień języka. Czerwień proszkowa, brudna, migotliwa, magiczna.

Była nawet *inner-pussy-red* i *outer-pussy-red*, co siedemnastoletniej, nieopierzonej wieśniaczce wydawało się naprawdę szokujące. Na myśl o tym Aaron nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Błękitu nie ma, ale czerwień nadal jest.

W Cayenne zadurzyła się po raz pierwszy w życiu, oczywiście w rozgrywającym z *college'u*. Czy ściskali się za szopą sklepu pana Payne'a? A może w jego pokoju, gdy rodziców nie było w domu? Albo na pustyni, gdzie jeździli furgonetką ojca chłopaka? W którymś z tych miejsc. Czy z nim spała? Czy był pierwszy? A może pierwszy był Tim z równoległej klasy w Sankt Augustin? Czy obaj chłopcy byli do siebie podobni? Z pewnością. Aaron zawsze lubiła takich, którzy nie są pyszałkami, choć mogliby sobie na to pozwolić. W których zachowaniu jest coś bezczelnego, a którzy mimo to mają maniery, chełpią się muskułami, ale czytają Maxa Frischa.

Z Mary-Sue z Cayenne również jeździła do centrum przez Kaiserdamm. Była to szczególnie frajda podczas pierwszego pobytu koleżanki w Berlinie. Łał! Była to najpiękniejsza oś miasta, mimo że powstała w ramach „Germanii”, nazistowskiego projektu Speera. Rozległy widok przez Tiergarten aż do wieży telewizyjnej, między tym Kolumna Zwycięstwa ze „Złotą Elzą”, która skrzy się w mroźnym słońcu.

Wciąż widzę to tak wyraźnie.

– Zwiedzanie miasta? – zwraca się Aaron do Nika.

– Niebo jest całkiem zachmurzone.

I dziękuję ci też za kłamstwo.

Ukochaną książką Aaron jest *Powiedzmy, Gantenbein...* Maxa Frischa. Pewien mężczyzna utrzymuje, że jest ślepcem, myśli bowiem, że inaczej nie zniesie swojego życia. Jako ślepiec nie musi wydawać o nikim sądów, również o sobie samym. To jego wyzwolenie. Pozostawia innym ludziom ich tajemnice, ponieważ go dręczyły, podobnie jak niemożność uwolnienia się od nich. A tak może być szczęśliwy.

Od Aaron natomiast wymaga się, żeby widziała wszystko, co jest ukryte przed widzającymi, żeby wyczuwała prawdę tak, jak tylko ona to potrafi. Chcą, żeby to ona osądzała. Nie jest to dla niej akt wyzwolenia, tylko samotne więzienie. Ale jedną rzecz ma wspólną z Gantenbeinem: ci, którzy mają coś do ukrycia, boją się jej, gdy spostrzegą, że wcale nie jest niewidoma.

Może kiedyś spełnią się Aaron ostatnie słowa Gantenbeina: „*Życie podoba mi się...*”². Usiłuje sobie przypomnieć, kiedy czuła podobnie.

Garaż podziemny, diesel, opony. Budynek ma dwadzieścia pięter, ale Wydział wynajmuje zaledwie cztery. Pozostałe dzielą między siebie maklerzy, kancelarie, agencje. Żaden ze współpracowników Aaron nie podejrzewa, co kryje się na tych czterech piętrach. Z garażu, który Wydział ma do swojej wyłącznej dyspozycji, można do niego dotrzeć oddzielną windą. Na tablicy informacyjnej w lobby widnieje napis: „Instytut Analiz Społecznych”. Jeśli ktoś chce się stamtąd dostać do Wydziału, musi wstukać kod cyfrowy obok stalowych drzwi, by przywołać windę.

Winda zatrzymuje się na drugim piętrze.

– Idź sam – mówi Aaron. – Przyjdę za chwilę.

Żadnych pytań. Aaron jedzie dwa piętra wyżej. Wykładzina – buty na szpilkach na nic się nie przydadzą. Aaron pstryka palcami, ale dźwięk jest zbyt rozproszony. Uderza laską w kolejne drzwi, znajduje właściwe i uchyla je lekko.

Wszystkie hale treningowe pachną tak samo. Ambicją. Wściekłością. Frustracją. Pokorą.

Ta pachnie jeszcze czymś innym: jej wspomnieniem o piwnicy Boenisch. *Strach jest dobry, sprawia, że zachowujesz czujność.*

W wieku osiemnastu lat Aaron zaczęła uczyć się na karate, ale dopiero dzięki Boenischowi postanowiła nauczyć się go naprawdę.

Kolejny zapach: opętanie. Jej absolutna chęć wykluczenia przeciwnika, kontrolowania wszystkich sytuacji.

² M. Frisch, *Powiedzmy, Gantenbein...*, przeł. J. Frühling, Warszawa 1968, s. 477.

Aaron słyszy szybkie komendy: „Chinkuchi!”. Stabilizacja stawów. „Kaishu!” Otwarta dłoń. „Haishu!”. Zamknięta dłoń. „Yaze Neko!” Uderzenie, unik. „Chikara!”. Odwaga.

Po surowych korektach mistrza Aaron orientuje się, że kata służy przygotowaniu do drugiego dana. Ona sama ma czarny pas w gōjū-ryū, najbardziej efektywnym z czterech stylów japońskich. Zdobyła piąty dan. Do osiągnięcia kolejnego stopnia potrzeba tylu lat, ile poprzedza dany dan. A zatem żeby osiągnąć dziesiąty, musiałaby mieć tyle lat, ile ma jej ojciec. Dziesiątego nie otrzymał nikt, oznaczałoby to bowiem, że nie można już zrobić dalszych postępów.

Albo tak, jak powiedział jej ojciec: „Jeśli ktoś zdobędzie dziesiąty dan, albo jest już martwy umysłowo, albo jest kompletnym idiotą”.

Większość mistrzów ma trzeci dan. Ona przed rokiem jako osoba niewidoma zdała egzamin na piąty.

Nie widzieć, wiedzieć.

Cztery razy w tygodniu trenuje w Wiesbaden na wzgórzu Neroberg. Żaden z młodych mężczyzn z BKA nie lubi z nią walczyć. Wprawdzie wzrok spośród wszystkich zmysłów najbardziej dominuje myślenie, ale *cortex*, czyli kora mózgowa, ta maszyna przetwarzająca, która pracuje na wysokich obrotach, zafiksowała się na wykonywaniu nowych zadań i podarowała postrzeganiu Aaron aktualizację. Ciepłotę ciała, oddech, prąd powietrza, wibrację ziemi, instynkt.

Niezawodne parametry.

Największym problemem była utrata poczucia ciała. Nawet widzący człowiek nie zdoła z zamkniętymi oczami stać na jednej nodze dłużej niż dziesięć sekund, brak mu bowiem stałego punktu odniesienia. Wielu niewidomych porusza się niepewnie również dlatego, że nie wiedzą, iż trud ćwiczenia równowagi bardzo się opłaca. Po niezliczonych godzinach treningu Aaron zauważyła, że jej równowaga, którą dawniej uważała za perfekcyjną, osiągnęła wyższy poziom.

Mogłaby tańczyć na czubku palca u nogi.

Pchnięcie pięścią w splot słoneczny. Blok. Szpagat. Obrót bioder. Odwrotne kopnięcie półksiężycowe. Pozycja

skrzyżowanych stóp. Zewnętrzny kant dłoni. Podwójne uderzenie. Zuraw. Wewnętrzny kant dłoni. Tygrys.

Bushido mówi: „Wszystko jest wytyczone z góry i ma swoją słuszność. Każdy wojownik, który w to uwierzy, osiąga wyzwolenie. Nawet od pragnienia, by żyć za wszelką cenę”.

Również przedwczoraj wieczorem dosłownie wykończyła się na Nerobergu. O dziesiątej wypła piwo w przebieralni dla mężczyzn. Prysznic bierze w domu – nie podgląda chłopaków. Nagle, ni stąd ni zowąd, przychodzi jej do głowy Boenisch, który przytula się do zwłok w pozycji „na łyżeczkę” i jest szczęśliwy.

Aaron jest obserwowana. Czuje, że to Niko. Ma rację – chwilę później przyciąga ją do siebie. Ona chce się bronić, ale także, chociaż to tylko objęcie, oszukać samą siebie.

Nie da rady.

Złamała siódmą cnotę bushido, *chū* – obowiązek i lojalność.

Teraz jest ślepym samurajem, otrzymała karę.

Odrywa się od Nika:

– Zjedźmy na dół.

Na drugim piętrze zalewa Aaron potok odgłosów. Telefony, mnóstwo kroków, młynek ekspresu do kawy, odkurzacz. Aaron ceni pomieszczenia, które może opisać kartograficznie i gdzie jasno potrafi zdefiniować wszystkie dźwięki: trzask starego parkietu, skrzypienie drzwi na wietrze, drżenie wody w szklance, spokojny puls podczas rozmyślań.

Rozpoznaje Ulfa Pavlika. Nie po głosie – po chodzie. Kiedy Ulf skończył trzydzieści lat, stracił lewe podudzie wskutek wypadku na motocyklu. Z tą swoją protezą z włókna węglowego dalej jeździ jak szalony.

Czy ma jeszcze mv augustę?

Ulf ułatwia jej sprawę i daje jej szturchańca.

– Dobrze wyglądasz

Aaron uśmiecha się.

– Ty też.

Dwa głosy, znajome. Fricke i Krupp?

– Hej, Aaron, przytyłaś?

– Tyję w oczach.

Śmiech, który następuje po sekundzie niepewności, zdradza jej, że Niko zataił przed nimi, co wówczas naprawdę się zdarzyło. Nigdy nie dostali do przeczytania raportu Wydziału Spraw Wewnętrznych. Dla tych mężczyzn Aaron była maszyną, a Barcelona po prostu pechem, *kismet*.

Ale ona wie.

Szósta cnota: *meiyo* – honor.

Stracony.

Fricke stuka ją w ramię:

– Musimy... zobaczymy się dziś wieczorem?

– Mam dość dużo pracy.

– Pavlik obchodzi urodziny.

O cholera, zapomniałam.

– Kończy pięćdziesiątkę. Złożyliśmy się i podarujemy mu balkonik.

– Idioci – odparowuje Pavlik. – Niepotrzebny mi balkonik, tylko wózek inwalidzki.

Aaron wyciąga ku niemu rękę.

– Chodź tu, staruszk. – Przytula go. Mięśnie grzbietu sprężyste jak trampolina, ramiona i barki z żelaza; tak musi być w przypadku strzelca wyborowego, żeby mógł przyjąć na siebie odrzut. Ani grama tłuszczu, wytrenowany. Aaron wie w tym momencie, że on również dużo o niej myślał, szepcze więc: – Lubię cię.

– Potem. Taras na dachu – odpowiada Pavlik także szeptem.

Odchodzi z pozostałymi, Aaron zaś dopiero teraz orientuje się, że nie ma też Nika. Jedna z tych sytuacji, których nienawidzi najbardziej: kiedy ludzie znikają z chwili na chwilę, jakby nigdy nie istnieli.

Aaron stoi niepewnie, nie wie, co robić, przez tę chwilę czułości z Pavlikiem straciła orientację i zastanawia się, czy winda jest z jej prawej, czy lewej strony. Po omacku szuka ściany. Przesuwa ręką wzdłuż niej. Dotyka wypolerowanego kamienia.

Tablica ku czci zabitych policjantów.

Palce Aaron przesuwają się po wyrytych literach i odczytują nazwiska. Siedemnaście. Przy czterech zatrzymuje się o ułamek sekundy dłużej – znała tych ludzi. Trzech doszło, obcych.

Niko wraca, jakby wyłonił się z nicości.

– Poznajcie się: Jenny – moja szefowa Inan Demirci.

– Dzień dobry, pani Aaron. – Głos szefowej dobywa się z głębi krtani. Kobieta jest odrobinę spięta, ale ma nad sobą kontrolę.

Aaron wyciąga rękę. Palce Demirci są szczupłe i silne.

– Miło mi.

– Proponuję przejście do mojego biura.

Niko bierze Aaron pod rękę, ale Demirci mówi:

– Dziękuję, panie Kvist, pańska obecność nie jest konieczna.

Pokój jest chłodny.

Ona też lubi rozmyślać.

Aaron zna to biuro, które jej były szef urządził tak funkcjonalnie, że człowiek każdą decyzję przyjmował ze spokojem.

Twoja decyzja była słuszna – obrona własna – Wydział Spraw Wewnętrznych odciąża cię – twoje wcześniejsze zawieszenie zostało uchylone.

Aaron wie, że Demirci kieruje Wydziałem dopiero od miesiąca. Ma czterdzieści siedem lat, jest bardzo młoda jak na to eksponowane stanowisko. Wcześniej kierowała wydziałem zabójstw w Dortmundzie. Pierwsza Turczynka, w ogóle pierwsza kobieta, która zaszła tak daleko.

Stąd ten spazmatyczny, nieco wyższy ton. Musisz być lepsza i twardsza niż wszyscy inni. A już zwłaszcza tutaj.

Stół konferencyjny znajduje się na starym miejscu. Tyle że krzesła go już nie otaczają – stoją raczej **przed** stołem: Aaron porządkuje teraz przedmioty zgodnie z kolejnością ich dotykania.

– Napije się pani kawy?

– Dziękuję, chętnie. Czarnej, bez cukru. Ale z łyżeczką, proszę.

Jeśli Demirci jest zdumiona, to nie daje tego po sobie poznać. Nalewa kawę Aaron i sobie. Bardzo delikatne perfumy, Aigner Nr 2.

Prawdopodobnie Demirci nie nosi biżuterii i prawie nie ma makijażu.

Aaron miesza kawę i stuka łyżeczką o filiżankę. Jasny dźwięk, wszystko jak dawniej. Prawie. Stuka jeszcze raz, pozornie od niechcenia, i odbiera drugi, ciemniejszy dźwięk odbijający się od przeciwległej ściany.

Tam ktoś stoi.

– Czy wiadomo pani, że Czwarty Wydział Zabójstw zasięgnął naszej opinii w pani sprawie? Czy zgadza się pani, żebym sporządziła dla kolegów protokół z naszej rozmowy?

– Oczywiście.

– Szósty stycznia. Zabójstwo Melanie Breuer, psycholożki w zakładzie karnym Tegel. Obwiniony Reinhold Boenisch był przesłuchiwany przez komisarza Jenny Aaron. Pani Aaron, czy Boenisch zeznawał w pani obecności?

– Tak.

– Czy przyznał się do popełnienia zbrodni?

– Tak.

– Jaki podał motyw?

– To nie gra roli. To nie był on.

Na dole przejeżdża ciężarówka. Brzęczenie szyb jest przez pięć sekund jedynym dźwiękiem, jaki Aaron słyszy.

– Co panią skłania do takiej oceny?

– Blokada popędu u Boenischa. On nie jest zdolny do morderstwa. Potrafi odbierać życie jedynie w myślach.

– Ten mężczyzna odbywa karę dożywotniego więzienia za czterokrotne zabójstwo.

– Jestem pewna, że czytała pani moje zeznanie procesowe.

Dla ciebie to wszystko to tylko blahostka.

– Pani Aaron, z pewnością była to dla pani wtedy nadzwyczaj dramatyczna, wręcz traumatyczna sytuacja, ale wychodzę z założenia, że po upływie tylu lat pani...

– Czy mogę przedstawić fakty?

Nerwowy oddech.

– Proszę.

– Po pierwsze: trzy dni temu Boenisch poprosił jednego ze współwięźniów, aby go pobił. Chciał podczas przesłuchania wzbudzić we mnie współczucie.

– Czy Boenisch się do tego przyznał?

– Nie, ale przyznał się więzień, któremu Boenisch za to zapłacił.

– Na jego miejscu ja także złożyłabym takie zeznanie.

– Po drugie: Boenisch jest w posiadaniu pewnego filmu.

Opowiada on o seryjnym mordercy, który nigdy nie zostaje schwytany. Boenisch w wyobraźni utożsamia się z drugoplanowym bohaterem. Rzutuje na niego cechy mordercy, których ów bohater w filmie w ogóle nie ma.

– Jaki to film?

– *Mr. Brooks*.

Demirci notuje coś na swoim tablecie.

Metoda dziesięciopalcowa, trzysta uderzeń na minutę, prawdopodobnie na ślepo. Perfekcjonistka.

– Po trzecie: nie chciał ujawnić, kto dał mu ten film.

– Czego to dowodzi?

– Po czwarte: Boenisch wręcz nie mógł się doczekać rozmowy ze mną o *Mr. Brooksie*. Wyobrażenie, że uważam go za zabójcę, sprawiało mu wyraźną radość.

– Wielu morderców delektuje się swoimi zeznaniami.

– Po piąte: zaprosił ofiarę do swojej celi. Zgodnie z jego profilem osobowościowym mógł to zrobić z zamiarem zabójstwa. Odpowiednio do tego musiałby już od dwudziestu czterech godzin być w fazie podniecenia, które eksplodowało w momencie, gdy Melanie pojawiła się w drzwiach. Boenisch natomiast najpierw napił się z nią herbaty.

– „Melanie”. Brak pani dystansu.

– Czy myśli pani, że mamy do czynienia z przedmiotami, nie z ludźmi?

– Zamierza mnie pani pouczać?

– A pani mnie?

Szelest papieru.

– Nie musiał jej zapraszać, mając w planie morderstwo. Być może sytuacja go przerosła. Mam tu raport techników kryminalnych. Odnoszę wrażenie, że wykonali sumienną pracę.

„Ludzie z kryminalnego w ogóle nie pytali o Melly. Ani razu tu nawet nie przyszli”.

Po szóste: plastikowa torebka, którą podobno udusił tę kobietę, nie odpowiada przypisywanemu Boenischowi schematowi zabijania.

– Improwizował.

– Po siódme: on nienawidzi improwizacji. Po ósme: ma

syndrom Klinefeltera, niedoczynność gruczołów płciowych, która w okresie dojrzewania spowodowała u niego nadmierny wzrost. Boenisch mierzy dwa metry i dysponuje nadzwyczajną siłą fizyczną. Melanie bardzo się broniła. Boenisch mógłby ją jednak natychmiast unieruchomić, tak żeby nie mogła się ruszyć nawet o milimetr.

– Zdaje mi się, że zmierza pani do puenty.

– Prawdziwym zabójcą jest ktoś, kto zaopatrzył go w *Mr. Brooksa*. Boenisch mógł wyszukać sobie ofiarę i być obecnym w trakcie morderstwa. Sytuacja *win-win*.

Aaron wypija łyk kawy.

Czuje obrzydzenie.

Wypija jeszcze jeden.

Czy ona widziała zdjęcie Melanie Breuer? Nie, ale z pewnością spodobałaby się jej.

Demirci chrząka.

– Oczywiście słyszałam o pani. Zatrudniono panią w Wydziale, gdy miała pani dwadzieścia pięć lat. Była pani tak młoda jak nikt przed panią ani nikt po pani. Jako pierwszą kobietę. Teraz jest pani jedyną w Niemczech niewidomą analityczką spraw i specjalistką od przesłuchań. Za wstawiennictwem przewodniczącego BKA stworzono dla pani administracyjny wyjątek. Gratulacje.

– Po dziewiąte: Boenisch stracił nad sobą kontrolę, kiedy zniszczyłam jego wizerunek siebie.

– Utrata kontroli w przypadku przestępcy seksualnego. Przy najlepszej woli: to nie jest argument.

Po dziesiąte: wiedział, że jestem niewidoma. Skąd?

Demirci ostrożnie dobiera słowa:

– Pan Kvist poinformował mnie, że przeprowadziła pani to przesłuchanie sama. Przy wszystkich pani umiejętnościach – czy pani naprawdę myśli, że umie pani przeniknąć każdy aspekt danej osobowości?

Na to czekałam. I jak elegancko ominęłaś słowo „niewidoma”.

Również w BKA dawano jej szansę wyłącznie ze względu na nazwisko. Nikt sobie nie wyobrażał, że Aaron zda testy.

Istotnie, zawiodła, gdy otrzymała do przeczytania brajlem protokoły przesłuchań i gdy zażądano, żeby wymieniła miejsca, w których podejrzany się zdradził.

Aaron poprosiła o możliwość przysłuchiwania się przesłuchaniom. Trzykrotnie stała za lustrem weneckim. I trzykrotnie trafiła ze swoją analizą w dziesiątkę i podała decydujący dowód.

Wniknąć między słowa. Wyczuć to, co ukryte. Usłyszeć dźwięk kłamstw.

Kiedy teraz w Wiesbaden łamią sobie nad kimś głowę, mówią: „Poczekajcie, aż zobaczy go Aaron”.

Aaron wstaje.

– Zostanę tak długo, jak to będzie konieczne. Pan Kvist dostarczy mi materiały do dalszego śledztwa.

Demirci wyłącza dyktafon.

– Wyciszyła pani telefon komórkowy, dlatego BKA nie zdołało się z panią skontaktować. Oczekują pani jak najszybciej w Wiesbaden.

Czy ona to wymyśliła? Nie, to prawda. Jesteśmy pod presją.

Aaron wskazuje podbródkiem miejsce przy ścianie, skąd odebrała ciemny odgłos.

– Co to jest?

Demirci na chwilę odbiera mowę.

– Osmańska zbroja z szesnastego wieku. Prezent.

– Dobrze, jeśli ma się zbroję.

– Metafora?

– Doświadczenie.

Aaron wsiada do windy i naciska guzik z napisem „20”. W kabinie czuć zapach roladek i rozgotowanych ziemniaków. Drzwi się otwierają, Aaron czuje, że wiatr targa jej płaszcz. Ostrożnie idzie w kierunku skraju tarasu, aż trafia na balustradę.

Wie, że patrzy w kierunku zachodnim, prosto w słońce. Czuje wielką potrzebę światła, choćby to miało być tylko jego wyobrażenie. Wyobraża sobie świat, aż wreszcie wydaje się jej

on absolutnie rzeczywisty, tak hiperrealistyczny jak sen na jawie.

Widzi dworzec Zoo, którego szara stal stapia się z niską chmurą zasnuwającą słońce. Nietoperz spada z dachu, okrąża fioletową mozaikę Neue Gedächtniskirche, który na mgnienie oka kiczowato skrzy się w promieniu światła przebijającego się przez chmurę, szybko jak strzała omija ten promień, szuka chmury, znajduje ją nad Bikinihaus, zniża lot ku skale pawianów w zoo i jak lunatyk kieruje się do pieczary, w której musi poczekać, bo jeszcze za wcześnie na łowy. Pawiany nie przejmują się znajomym gościem i wypinają jaskrawoczerwone tyłki na uczniów, którzy robią sobie *selfies*. Aaron jest absolutnie pewna, że są to dzieci, które dzisiaj rano na lotnisku wsiadały do autokaru. Chociaż jest dopiero wpół do czwartej, na Tauentzienstrasse i na Ku'dammie zapalają się już łańcuchy światełek bożonarodzeniowych, które zostaną tu aż do lutego. Są jak świętojańskie robaczki na mrozie. Nie zwraca na nie uwagi nikt oprócz małej dziewczynki z czarnymi wełnistymi włosami, która jeszcze nigdy nie była w tak dużym mieście i przyciska do siebie tutkę z gorącymi kasztanami, a drugą dłoń trzyma w dłoni ojca i jest szczęśliwa.

Noc jest jak okiennica, która zamyka się z trzaskiem. Bożonarodzeniowe światełka kłują jaskrawo czerń pochłaniającą dziewczynkę i miasto, słabną coraz bardziej, aż wreszcie stają się na radarze zaledwie maleńkimi żarzącymi się punkcikami. Później zapada głęboki mrok. Ból głowy wrzyna się Aaron w oczy. Gdzieś słyhać dławiący się rozrusznik, zalany silnik, koncert klaksonów, samolot.

Aaron ma w domu obraz malarza Eşrefa Armağana, który chociaż niewidomy od urodzenia, maluje pejzaże w cudownych kolorach. Sięgające w bezkres mosty nad samotnymi zatokami, po których tańczą żaglówki. Latarnie morskie na skałach, otoczone albatrosami. Magiczne martwe natury, czary pełne soczystych gruszek, malin, melonów, w które aż chce się wgrzyźć. Mówiono o Armağanie, że to szarlatan, aż przeprowadzono z nim testy na Harvard Medical School. Siedział w bunkrze bez światła, obserwowany przez kamery,

malował i zamknął usta wszystkim sceptykom.

Kiedy zmierzono jego wizualną aktywność mózgu, okazało się, że odpowiada ona aktywności człowieka widzącego.

Aaron uwielbia obrazy Armağana, od zawsze. Kupiła jeden po śmierci ojca. Kosztował trzydzieści tysięcy euro, zapłaciła za niego pieniędzmi ze spadku. Właściciel galerii był zaskoczony, że niewidoma kupuje obraz niewidomego, zaproponował więc, że przynajmniej opisze jej, co na nim widać. Ale ona nie chciała. Dotykała płótna, czuła szorstkie wypukłości farb pod palcami i wiedziała: mój.

Wisi w jej sypialni. Aaron przygląda mu się często i widzi kobietę, która stoi na zawrotnie wysokiej linie między wieżami Notre Dame, bez lęku, ponieważ nie może się jej przytrafić nic złego, nawet śmierć.

Rok po Barcelonie miano w Dreźnie przymusowo ewakuować z mieszkania niejakiego Messiego. Między górami śmieci palił się ogień, a z *Rozmarzonych tancerzy* pozostał tylko zwęglony skraweczek nieba. Nie był to jedyny obraz, który ów Messi ukradł, ale jedyny, który zniszczył.

Powiedział:

– Jeśli mnie nie wolno go oglądać, to nie wolno też nikomu.

Kroki. Pavlik. Aaron się odwraca.

– Masz papierosa? Mnie się skończyły.

Coś uderza o prawą rękę Aaron, upada na śnieg.

– Cholera – mruczy Pavlik – założyłem się z Bükérem o pięćdziesiątka, że to umiesz.

Podnosi paczkę papierosów bez filtra, wciska ją Aaron do ręki, podaje jej ogień, sam też pali.

– Co się dzieje z agustą? – pyta Aaron.

– Mam teraz hayabuse. Wściekle zieloną, twój kolor.

– Ile koni mechanicznych?

– Dwieście.

– Super.

Ból głowy się nasila. Aaron czuje, że Pavlik waży słowa i rezygnuje z powiedzenia czegoś, co zamierzał. Musi to być

ważne, bo przyjaciel jest człowiekiem, który wie, jak precyzyjnie coś wyrazić. W Barcelonie zapytał ją tylko, kiedy znów zaczyna.

Aaron pstryknięciem wyrzuca niedopałek.

– Okej, co się dzieje?

Pavlik nie patrzy na nią, oddycha płytko.

– Przed miesiącem przeniesiono do Tegla Saschę Holma.

Aaron słyszała w swoim życiu dwa naprawdę złe zdania: „To ja, Butz” i „Operacja nie ma sensu”.

To jest trzecie.

Sascha Holm to Żetonowe Oko, brat owego mężczyzny, który w Barcelonie przedstawił się jako Egger. Później, gdy jej ojciec myślał, że już może z nią o tym porozmawiać, Aaron dowiedziała się, że jeden z trzech śmiertelnie rannych Katalończyków zdołał jeszcze wysłać sygnał alarmowy. Był to Ruben. Podczas gdy ona na zawsze zanurzyła się w tunelu przy Plaça de les Drassanes, oddział szybkiego reagowania pojawił się przy magazynie. Ruben zrobił to, czego nie zrobiła Aaron. Lekarz pogotowia reanimował Nika, uratował go.

Udało się również przeżyć Żetonowemu Oku. Jego DNA przypisano do czterech niewyjaśnionych morderstw: przechodnia podczas napadu na bank w Augsburgu, dwóch urzędników Police routière podczas kontroli drogowej na Côte d’Azur i Portugalki, której jedyne przewinienie polegało na tym, że po roku chciała odejść od Żetonowego Oka.

Został on skazany w Barcelonie na czterdzieści osiem lat pozbawienia wolności i osadzony w osławionym więzieniu La Modelo.

Na temat jego brata nic nie znaleziono. Znane są tylko imię i nazwisko: Ludger Holm. Nie ulega wątpliwości, że ponosi on odpowiedzialność za szereg innych przestępstw, ale nikt nie potrafi wymienić choćby jednego. Nie ma nawet jego odcisków palców. Jednak człowiek oferujący agentowi pod przykryciem ukradziony obraz, którego nigdy nie posiadał, człowiek, który wie, że w Barcelonie spotka pięcioro elitarnych policjantów mających za sobą oddział szybkiego reagowania, musi być pozbawiony skrupułów jak mało kto.

Aaron myśli o chwili, gdy w Teglu poczuła na plecach czyjeś spojrzeenie. Czy to był Żetonowe Oko? Napawał się jej widokiem? Cieszył się na myśl o niej?

Aaron bierze się w garść.

– Dlaczego?

– Od roku utrzymuje korespondencję z pewną kobietą z Berlina, która dwukrotnie była w Barcelonie. Sascha złożył tam wniosek o przeniesienie i naczelnik więzienia w Teglu się zgodził.

– Kim jest ta kobieta?

– Kwiaciarką. Ma sklep w Rudow.

– Chcę z nią porozmawiać.

– Wiem.

Obwodnica miejska, pół godziny na południowy wschód. Pavlik nie jest wielkim mówcą. Lubi sobie najpierw wszystko poukładać, aby rozważyć to w spokoju, nie formułuje zdań dopiero w chwili, gdy je wypowiada, lecz dawno ma już wszystko dobrze uporządkowane w myślach. Teraz, w samochodzie, w ogóle nic nie mówi. Ale Aaron nie może mu tego oszczędzić. Ani sobie.

– Czy Niko o tym wie?

Pavlik milczy.

– A więc tak.

– Nie chciał cię niepokoić.

– Jestem już duża.

– Owszem. Już samo to, że byłaś u Boenischa. Trzeba ci było posłuchać chłopaków. Wszyscy uważają, że masz największą dupę, jaką kiedykolwiek widzieli.

– No, wielkie dzięki.

Pojechał ze mną do Tegla i nie powiedział ani słowa.

Jej dłoń gładzi sztuczną skórę siedzenia i natychmiast łączy się z drugą, którą trzyma na kolanach.

Dziesięć rzeczy, których Aaron nie lubi dotykać:
spoczone dłonie

ziarenka kawy
sztuczna skóra
zardzewiały metal
płyty
pudełka z tabletkami
nylon
swoja laska
kartonowe paczki papierosów
klamki okienne

Z prawej strony Aaron słyszy kolejkę miejską. Zgrzyt się urywa. Pavlik wyłącza wycieraczki. Auto znajduje się w tunelu.

Innsbrucker Platz.

Aaron mieszkała za rogiem. Urządziła swoje lokum wyłącznie własnymi rzeczami. Ale do Wiesbaden zabrała tylko jeden mebel: starą, popękaną skórzaną kanapę od handlarza starzyzną przy Mauerpark, która ma swoje wady, ale jest jedyna w swoim rodzaju.

Również mały chłopiec z sąsiedniego mieszkania lubił tę kanapę. Jego rodzice ciągle się kłócili. Przełaził wtedy zawsze przez balkon i wchodził do Aaron przez okno. Czytali razem komiksy, bawili się w supermana i superwoman, a ona często myślała, jak wspaniale byłoby mieć takiego chłopaczka. Kiedyś, gdy mały niespodziewanie wskoczył do pokoju, akurat czyściła browninga. Bardzo się wystraszył. Aaron powiedziała, że to straszak, ale kazała chłopcu przysiąc uroczyście, że nikomu o tym nie opowie. Najbardziej lękała się tego, że pojawi się ktoś z jej prawdziwego życia i wyrządzi krzywdę komuś, kto jest jej bliski.

Pavlik nie odzywał się przez dwie minuty. Aaron potrafi rozróżnić sto rodzajów milczenia.

A to zna bardzo dobrze.

– Jaki samochód? Od kiedy?

– Niebieski volkswagen phaeton. Od Innsbrucker Platz.

Aaron czuje, że Pavlik zdejmuje nogę z gazu, co jest standardowym manewrem: zwolnić, a tym samym wymusić na jadącym za nimi aucie, żeby ich wyprzedziło, i zobaczyć, czy

prześladowca pozwoli zostawić się w tyle, aby utrzymać dystans.

- I co?
- Trzyma się.
- Chcesz mu się przyjrzeć?
- Tak. Trzymaj się mocno.

Gwałtowne hamowanie. Aaron czuje, że pas wbija jej się w obojczyk. Wie, że phaeton musi zjechać na bok, żeby uniknąć kolizji. Pawlik dodaje gazu. Teraz to on goni tamtego.

- Udało ci się zobaczyć jego twarz?
- Nie. Przyciemnione szyby. Zobaczę, ile ma na liczniku.

Udowadnia, dlaczego nazywa się go najlepszym kierowcą w Wydziale. Aaron czuje, że miota nią w lewo, w prawo, trzęsąc. Ścisła uchwyt. Pavlik wyhamowuje.

- Zdziwiałeś.
- Co?
- Wyjechał z prędkością dwustu dwudziestu z Buschkrugallee i nawet nie dotknął środkowej linii.
- Zgubiłeś go?
- Mamy numery rejestracyjne.

Co się im do niczego nie przyda. Ona to wie, on wie to również.

Kiedy wchodzi do niewielkiej kwaciarni w Rudow, Aaron czuje łaskotanie w nosie. W domu ma dużo kwiatów. Za pierwszym razem jej sprzątaczką powiedziała niepewnie, że Aaron chyba wyszukuje je po zapachu albo wybiera takie, których szczególnie miło dotykać, ale Aaron uśmiechnęła się i odparła:

- Nie, ja po prostu lubię kwiaty.
- Przede wszystkim białe orchidee, a one w ogóle nie pachną.

Słyszy głos. Młody, zmęczony. Słowa przeciągane, jakby wypowiadająca je kobieta była pogrążona w mrocznych myślach.

- Dzień dobry. Mogę w czymś pomóc?
- Czy pani Eva Askamp?

– Tak...

Aaron wie, że Pavlik pokazuje swoją legitymację.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panią o Saschy Holmie.

Blokada w głosie kobiety:

– Dlaczego?

Z pewnością musiała już nieraz składać wyjaśnienia: przed pracownikami Wydziału, dyrektorem więzienia w Teglu, urzędnikami penitencjarnymi, przyjaciółmi, rodziną.

A mimo to nasza wizyta wytrąca ją z równowagi.

– Jak pani poznała Saschę?

– Przez ogłoszenie w gazecie więziennej.

– Czyta pani hiszpańskie gazety więzienne?

– To była jedna z tutejszych.

– Co on tam pisał? – pyta Pavlik. – Wiersze?

– Że ucieszyłby się, gdyby ktoś go zrozumiał i zobaczył, że jest całkiem inny.

– Wzruszające.

Aaron rzuca do Pavlika:

– Czy pani Askamp jest ładna?

– Owszem, tak.

Dzwoni telefon komórkowy. Pavlik wychodzi.

– Mogłaby pani mieć normalny związek, plany na przyszłość, miłość – mówi Aaron. – Dlaczego zamiast tego wybiera sobie pani wielokrotnego mordercę? Kogoś, kto do nikogo niczego nie czuje, no, może poza swoim jeszcze gorszym bratem?

– On nie jest taki. Wyrządzono mu wiele krzywdy.

Mówi powoli. Aaron zna to z rozmów z melancholikami lub osobami niestabilnymi psychicznie. Wszystko w tym głosie jest bierne, słabe.

Kiedy przed dwoma laty zaczęła pracę w BKA, postanowiła intensywnie zająć się psychologią kryminalną. Wie, jak przerażająco podobne są biografie kobiet zakochujących się w mordercach. Obowiązuje tu ten sam schemat: bezbronna matka, brutalny ojciec. Owe kobiety podświadomie szukają mężczyzn podobnych właśnie do ojca, takich, którzy będą je wykorzystywać i traktować jak gówno, aż w skazanym przestępcy ujrzą wyśnionego księcia. On siedzi w więzieniu,

one czują się bezpieczne. Kontrolują go i uciekają w wyobrażenie miłości. Tak rozpaczliwie chcą wierzyć, że wreszcie odnalazły szczęście, iż uważają kłamstwo za prawdę.

Eva Askamp powinna bronić tego mężczyzny całkiem inaczej.

– Jaką krzywdę? – pyta Aaron.

– Każdą.

Brak przekonania w głosie. Wyuczone na pamięć.

– Gdzie Sascha się wychowywał?

Brak odpowiedzi.

– Czy jego rodzice jeszcze żyją?

Nic.

Wraca Pavlik.

– Zapytam po prostu: jak ma na imię jego brat?

Kobieta coś przewraca. Schyla się, żeby pozbierać skorupy i zyskać na czasie.

Aaron czuje nowy zapach. Zwraca głowę w jego kierunku. Kamelia. Przypomina sobie, jak w Barcelonie podawała rękę Holmowi. Schylił się ku niej, a ona poczuła zapach kwiatu w jego butonierce: ciepły, miękki jak wata, jak puder.

– Tam stoi kamelia – mówi do Pavlika. – Czy jest biała?

– Nie mam pojęcia, jak wyglądają kamelie.

– Pani Askamp?

– Tak, biała.

– Chciałabym ją kupić.

– Ta jest już sprzedana.

Szybkie dziecięce kroki.

– Mamo, kiedy idziemy do domu?

– Zaraz.

Chłopiec dąsa się i odchodzi na zaplecze. Aaron pyta:

– Była pani zamężna?

– Tak.

– Rozwódka czy wdowa?

– Mąż zmarł przed dwoma laty.

– Prowadziliście tę kwaciarnię razem?

– A co?

Aaron zwraca się do Pavlika:

– To dobra okolica na taki interes?

– Nie sędzę. Na rogu jest dyskont, więc kwaciarnia nie może dotrzymać mu kroku.

– Kłopoty finansowe? – pyta Aaron.

Słyszy, że kobiecie zbiera się na płacz.

– Nie rozumiem, co to panią obchodzi.

Gliniane skorupy wpadają do pojemnika.

– Założę się, że na pani stoliku nocnym w domu stoi zdjęcie męża w ramce.

Głos Askamp się łamie, kobieta traci ostatnie oparcie.

– Proszę wyjść z mojego sklepu.

Otwarcie drzwi, powietrze pachnące śniegiem. Aaron odwraca się i mówi:

– Popelniła pani wielki bład. Niech pani wyjedzie z synem i nikomu nie mówi, gdzie pani jest.

Dwa papierosy bez filtra przy samochodzie. Łopata do odśnieżania wydrapuje znaki alfabetu Morse'a: dwa krótkie, dwa długie, dwa krótkie. Myśli Aaron pędzą jak na zjeżdżalni.

Pavlik przerywa milczenie:

– Ludger Holm.

– Tak. Zapłacił tej kobiecie, żeby odgrywała korespondencyjną przyjaciółkę jego brata. Aby sprowadzić go do Berlina.

– Z powodu Boenisha.

– Oczywiście.

– Jak Holm mógł się dowiedzieć o tobie i Boenischu?

– Pisały o tym wtedy wszystkie gazety.

– Wiesz, co to znaczy – mówi Pavlik głosem, który brzmi jak sól do posypywania ulic pod butami.

– Sascha zamordował Melanie Breuer w celi Boenisha. To on dostarczył mu *Mr. Brooksa*.

– Kogo?

– Nieważne. Boenisch doskonale odegrał swoją rolę, udało mu się mnie zwabić.

Będę rozmawiał wyłącznie z panią Aaron.

– Kobieta, którą zabiłaś w Barcelonie...

– Nina Deraux.

– Była kochanką Saschy.

– I była w trzecim miesiącu ciąży. Ale plan wymyślił brat. Sascha nie jest na to dość inteligentny.

Buksujące opony przy sygnalizacji świetlnej. Aaron dotyka głową głowy Pavlika. Czuje jego spokój. Jak on mógłby coś zostawić przypadkowi, nie przemyśleć wszystkiego?

– Powinieneś teraz powiedzieć: „Wsadzę cię do następnego samolotu”.

– Tak.

- Ale nie chcesz tego zrobić.
- Nie.
- Ilu ludzi oddelegowaliście?
- Dwóch ma na oku jej sklep. Budynek po drugiej stronie ulicy, pierwsze piętro. Dwóch obserwuje jej mieszkanie.
- Ilu przykleiliście do mnie?
- Również dwóch. Czekali na lotnisku, pojechali za tobą i Kvistem do Tegla, a stamtąd do Wydziału.
- I za nami tutaj.
- Trzydzieści metrów w lewo, volvo.
- Dlatego przedtem telefonowałaś.
- Jechali jeszcze kilka minut za volkswagenem phaetonem, ale zostawił ich w tyle.

Aaron mówi spokojnie:

- Jestem przynęta.
- Czy to dla ciebie problem? – pyta Pavlik.
- Nie.
- Tak myślałem.
- Czy telefon Evy Askamp jest na podsłuchu?

Pavlik waha się przez dwie sekundy, a potem mamrocze:

- Nie da się. Nie mamy postanowienia sędziego.

Aaron na chwilę wstrzymuje powietrze.

Żeby mogła zapaść decyzja, trzeba obrać drogę służbową.

- Demirci o niczym nie wie, prawda? – pyta.
- Nie.
- Dlaczego?

- Próbowałem. Nie udało mi się jej przekonać.

Znaczenie tych słów przyprawia Aaron o dreszcze. Pavlik działa na własną rękę. Ludzie za nim podążają, jak zawsze, a on ryzykuje swoją posadę, aby ją chronić.

Pavlik obejmuje Aaron ramieniem. Wiele łączy ich w tym momencie, również to, czego nie powiedzieli głośno od chwili spotkania.

„Nikt ci nic nie zrobi, dopóki ja tu jestem”.

„Ty i Sandra jesteście dla mnie najważniejszymi osobami”.

„Oboje bardzo za tobą tęskniliśmy”.

- Czy Niko jest wtajemniczony?

– Nie. Jeśli Demirci to wyniucha, wywali mnie. Chłopaki mogą się powołać na to, że twierdziłem, iż działałem z polecenia Demirci. Kvistowi nigdy by nie uwierzyła. Zawiozę cię do hotelu.

– Czy moglibyśmy najpierw pojechać do lasu Jungfernheide? Muszę kogoś odwiedzić.

– To tutaj – mówi Pavlik.

Stanie obok grobu, którego się nie widzi, a tylko się go sobie wyobraża, to nie problem. Aaron mogłaby być na pustyni Atakama, nad martwym morzem, tam myśleć o Marlowie, i nie byłaby ani bliżej niego, ani dalej. Tak daleko i tak blisko jak ojca i matki na cmentarzu w Sankt Augustin. Po minucie milczenia chce wracać do samochodu.

Na leśnej drodze Pavlik obejmuje ją w pasie.

– Kiedy paliłem, Marlowe patrzył na mnie z ogromnym wyrzutem. Potem papieros w ogóle mi nie smakował.

– Hm, znam to.

– Kiedyś czułem się dość podle – wspomina Pavlik. – Ta sprawa z Czeczenem, pamiętasz. Byłaś u nas z Marlowe’em. Ja siedziałem na huśtawce ogrodowej, nienawidziłem całego świata, a najbardziej siebie. Marlowe wskoczył mi na kolana. Nie mam pojęcia dlaczego, ale nagle przestałem myśleć o Czeczenie.

– Tak, taki właśnie był.

Pavlik potyka się i mocno chwyta się Aaron.

– Co jest, staruszkuz?

– Dobrze ci mówić. Tu jest ciemno, choć oko wykol.

– Witaj w klubie.

Jadą na Leipziger Strasse. Pavlik zarezerwował dla niej pokój w hotelu Jowisz. Ten betonowy kloc był hotelem również za czasów NRD, tyle że wówczas nazywał się Puszkina. Po zjednoczeniu Niemiec dokonano w nim renowacji, odnowiono też fasadę, ale nadal pozostaje monumentalnym pomnikiem socjalistycznej szpetoty. Wydział od czasu do czasu korzysta z niego, aby na kilka dni umieścić tu świadków koronnych. Jest

tam tylko jedna winda, dzięki czemu łatwo zabezpieczyć pokoje.

Kiedy Pavlik chce wsiąść, Aaron chwytą go mocno.

– Powiesz mi, jak wyglądasz? – Wyczuwa jego napięcie, więc dodaje z uśmiechem: – To znaczy, po pięciu latach.

– Nadal mam metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Kilka siwych włosów więcej, łysieję na czubku głowy, ale mnie to nie rusza. W ubiegłym roku pewien Albańczyk złamał mi nos, wyglądam jak bokser. Sandra marudzi, że powinienem zrobić sobie operację, ale mam to w dupie, brzydala nic już nie oszpeci.

Aaron przypomina sobie, że kiedyś dla żartu przykleiła w swojej szafce zdjęcia Pavlika i Woody’ego Harrelsona i napisała: „Rozdzieleni podczas porodu”. To wspomnienie powoduje nagły przypływ szczęścia. Aaron się uśmiecha.

– Chyba nie ma już podobieństwa do Woody’ego?

– Owszem, jest. Ale ja nigdy nie będę miał takich niebieskich oczu. Wiesz przecież, że kolor moich to coś pośredniego między oczami kundla a zapaśnika tarzającego się w błocie.

Wybuchają śmiechem. Aaron chowa to niespodziewane wspomnienie, jakby wsuwała cukierek do kieszeni.

W lobby hotelowym Pavlik przekazuje ją dwom ludziom z Wydziału. Aaron ich nie zna, ale nie ma w tym nic dziwnego, bardzo niewielu bowiem udaje się wytrwać – jeśli ktoś zostaje trzy lata, uchodzi za weterana. Ona spędziła tu sześć lat. Prawdopodobnie w którymś momencie sama poprosiłaby też o przeniesienie, bo byłaby wykończona, wypalona...

To kłamstwo przychodzi jej z łatwością.

Jeśli ma być szczerą, nigdy nie chciała niczego innego. U Pavlika wygląda to podobnie. Jest najstarszy w Wydziale, wieczny. Przez ile jeszcze lat będzie tak sprawny, żeby wytrwać wśród najlepszych? A Sandra? Ona wie, czego wymaga się od jej męża, ale nie przeżywa mniej bezsennych nocy niż dawniej. Pewnego ranka obejmie go czule i szepnie: „Dosyć”. I co wtedy? Praca przy biurku? Dla Pavlika?

W lobby Pavlik bez zbędnych słów poucza obu mężczyzn – Kleffa i Roggego. Spokojnie i rzeczowo wypytuje o niezbędne detale. Słyszac ich głosy, Aaron nie wyobraża sobie żadnych

twarży. Robiła to na początku, ale na dłuższą metę kosztowało to ją zbyt wiele sił. Poza tym w przypadku nowo poznawanych osób nie wydaje się jej to już ważne.

Czternaste piętro. Prowadzą Aaron do jej pokoju. Pavlik zadbał, żeby dostała taki, który znajduje się na samym końcu korytarza, najłatwiej go bowiem pilnować. Niekończąca się droga, pod stopami włosata wykładzina. Aaron liczy kroki, pragnęłaby z góry wiedzieć, ile ich jest, gdzie korytarz się rozgałęzia, gdzie zmienia się kierunek. Wtedy nie musiałyby trzymać pod rękę wyższego z mężczyzn, Roggego.

Jej trener zajęć ruchowych chciał koniecznie odzwyczaić ją od liczenia kroków.

– Niech pani sobie wyobrazi schody z wieloma stopniami, po których musi pani często chodzić, na przykład w miejscu pracy. Powiedzmy: siedemdziesiąt. Łatwo zapamiętać, to żaden problem. Przez chwilę jest dobrze, czuje się pani pewnie. Ale któregoś dnia, gdy jest pani na schodach, dzwoni pani telefon komórkowy. Albo zagaduje panią kolega. Albo na sekundę rozprasza panią jakaś myśl. Przy jakiej liczbie pani była? Przy trzydziestu siedmiu? Dwa stopnie przed podestem? Na pewno? I w następnej chwili się pani przewraca. Nie przekonuje to pani? No to weźmy pani biuro. Powiedzmy, że wie pani, iż stamtąd jest dokładnie dwadzieścia kroków do toalety. Działa to bez zarzutu, dopóki kiedyś nie stanie pani nagle w pokoju sprzątaczek lub w toalecie dla mężczyzn.

Ani jedna z niewidomych osób, które zna Aaron, nie liczy kroków. Tylko ona. Wyćwiczono ją w Wydziale, żeby wykonywała różne rzeczy – nawet w największym tempie – równocześnie, i żeby jej uwaga doskonale ogniskowała się na każdej z nich. Żeby przypominała sobie coś, będąc pogrążona w rozmowie; żeby analizowała dwa problemy i równolegle kontrolowała swój oddech; żeby orientowała się w otoczeniu, archiwizowała odgłosy i zapachy, a mimo to koncentrowała się na swoim ciele.

Poprosiła trenera, aby przeszedł z nią przez cały budynek, którego kartografię już sobie opracowała, i zadawał jej różne działania rachunkowe.

Nie pomyliła się przy tym ani o krok.

Nie, znajomość liczby kroków to szczęście. Dwanaście z jej gabinetu w BKA do pokoju przesłuchań VI a. Dziewiętnaście w stołówce do miejsca, gdzie wydają posiłki. Pięć z łóżka do obrazu. Trzydzieści prosto, pięćdziesiąt sześć w lewo od przystanku autobusowego na Wiesbadener Marktplatz do Caligari Filmbühne, kina, gdzie podczas wieczornych seansów ogląda filmy, które już zna. Siedemnaście od głównej alei na cmentarzu do grobu ojca. Stamtąd sześć do grobu matki, która od niego odeszła, bo Aaron przez niego wstąpiła do policji. Kroki lekkie i ciężkie.

Kroki Kleffa i Roggego są sprężyste, elastyczne. Ale jak dobre są naprawdę? Aaron ma ochotę to sprawdzić.

Wolną ręką sięga do pstryczka, który zawsze ma przy sobie. Wytwarza on głośny trzask, jak zabawkowa blaszana żabka – to jej echosonda w miejscach, gdzie dźwięki są miękkie jak wata, na przykład tam, gdzie wszystko pokryte jest śniegiem. Teraz, w torebce, brzmi niby strzał z pistoletu z tłumikiem.

Rogge błyskawicznie się odwraca i chwyta Aaron w pasie. Okręca ją o sto osiemdziesiąt stopni, aż znajduje się przodem do niego, i pada na nią, zakrywając ją własnym ciałem. „Manewr Kasperskiego”. W ciągu pół sekundy, której Rogge na to potrzebuje, Aaron słyszy, że Kleff, obracając się, wyciąga trzask-prask broń z kabury i ma ją gotową do strzału.

Aaron oddycha z ledwością, bo leży na niej ze sto kilogramów.

– Okej. Bardzo mi przykro – dobywa z siebie.

Rogge pomaga się jej podnieść.

– Nigdy więcej tego nie rób.

Kleff otwiera kartą drzwi do pokoju. Wchodzą.

– Cześć, Kvist.

– Cześć, Kleff. Cześć, Rogge.

W głosie Nika nie wyczuwa się zaskoczenia. Brzmi naturalnie. W Schönefeld potrzebował najwyżej pięciu minut, żeby się zorientować, że jest śledzony.

Obaj mężczyźni zostawiają ją samą z Nikiem.

– Co tu robisz?

– Twoja walizka została w aucie.

Podchodzi do niej. Aaron nie może się uchylić. Musiałaby odsunąć Nika na bok, a nie wie, jakie meble stoją na jej drodze, nie chce się potknąć.

– Od dawna zastanawiałem się, czy ci to powiedzieć. Ale to musi być przypadek. Nie istnieje żaden związek między Boenischem a Saschą Holmem.

– Obaj w budynku numer sześć! Tylko przez przypadek? – rzuca Aaron w odpowiedzi.

– Wszyscy odbywający długie ośiadki są umieszczeni w „piątce” albo w „szóstce”.

– Ale inni nie mają żadnej wymyślonej korespondentki! Niko przytrzymuje ją.

– Jenny, coś sobie wmawiasz.

Aaron odpycha go od siebie i krzyczy:

– Co daje ci prawo, żeby traktować mnie jak dziecko?

– Zastanów się. To jakiś obłąd.

Znów jej dotyka.

– Wynoś się i nie pokazuj mi się na oczy!

Aaron wie jednak, że było odwrotnie. To **ona** się wyniosła. To kara, jaką otrzymała: że Niko nie pokazuje się jej na oczy, że go nie widzi.

Jego głos opuszcza ją, powodując ból, na jaki zasłużyła.

– Jeśli to ci coś ułatwi...

Drzwi się zamykają. Serce Aaron wali, jakby nie znajdowało się w jej piersi, tylko o wiele metrów od niej – to coraz szybszy metronom, który chciałaby wyrzucić przez okno, żeby nastąpiła cisza.

On myśli o tym od pięciu lat. Że zostawiłam go leżącego jak worek śmieci.

Z trudem idzie do łazienki, staje pod lodowatym prysznicem, aż jej skóra staje się tak niewrażliwa, że w ogóle nie czuje wody.

Piąta cnota: *shin* – prawo i prawdomówność.

Powiedzieć Nikowi, że go kocha.

Za późno.

Mokra, szczękająca zębami siada na łóżku. Przyłącza słuchawki do telefonu komórkowego i wybiera aplikację, której używa, by wejść do swojego dziennika. Komputerowy głos

czyta: „23 kwietnia. Co stało się ze mną w chwili, gdy w szpitalu otworzyłam oczy?”

Przeskok.

„26 czerwca. Którą moją sukienkę Niko najbardziej lubił na mnie?”

Przeskok.

„11 lipca. Czy w hotelu Aralsk w Moskwie trzymałam tamtą kobietę za rękę? Czy jej ciało było zimne? Czy jeszcze coś powiedziała? Czy miała rodziców, rodzeństwo, męża, dzieci?”

Przeskok.

„13 lipca. Dlaczego wyekspediowano mnie do Moskwy? Nasłano mnie na Ilię Nikulina. Dlaczego mnie? Miałam dopiero dwadzieścia pięć lat, jeszcze nie pracowałam w Wydziale. Dlaczego właśnie mnie powierzono tę misję?”

Przeskok.

„1 sierpnia. Jakie było ulubione miejsce mojego kota? Kanapa? Nie, Marlowe nie był moim kotem. On się mną opiekował. Czy spał przy mojej prawej ręce, czy przy lewej? Czy lubił pasztetową?”

Przeskok.

„15 września. Czy mama płakała, odchodząc? I czy ja wtedy płakałam?”

Przeskok.

„8 października. Czy w dzień śmierci ojca padał deszcz? Jak pachniała jego ulubiona koszula, kiedy wtulałam w nią twarz? Czy w ogóle to robiłam czy tylko zdarzyło mi się to we śnie?”

Przeskok.

„9 października. Mój pierwszy samochód był niebieski”.

Przeskok.

„3 listopada. Jaki kolor miał mój pierwszy samochód?”

Przeskok.

„2 grudnia. Jeszcze raz na temat Barcelony. Najważniejsze pytania: jak długo byłam w magazynie? Co wydarzyło się w tym czasie? W jakim stanie był Niko? Czy mnie dotykał? Albo ja jego? Czy padły jakieś słowa? Jakie? Dlaczego nie próbowałam wyeliminować Holma? Dlaczego uciekłam i zostawiłam Nika? Dlaczego nie zadzwoniłam do oddziału szybkiego reagowania,

nie wezwałam karetki pogotowia?”

Aaron nastawia radio na pełną głośność, także telewizor, ignoruje łomotanie w ścianę. Pragnie się ogłuszyć, rozplynać.

Zmęczenie uderza ją jak bicie zegara na godzinę dwunastą. Jej oczom brakuje rytmu dnia i nocy. Dla niektórych ślepców to żaden problem, ona jednak wciąż czuje dyskomfort, jak przy przekraczaniu strefy czasowej. Początkowo spędzała bezsennie siedemdziesiąt godzin bez przerwy, a potem spała przez dwadzieścia.

Wczoraj w nocy: ani sekundy.

Szpera w torebce, nie od razu znajduje fiolkę ze środkiem pobudzającym, którego nienawidzi. Wpada w panikę, jest. Aaron cała się trzęsie i upuszcza ją, chodzi na czworakach po dywanie, szuka tabletek, wyczuwa dwie. Chce je połknąć, ale czuje suchość w ustach.

Stoi w ciemności i przez ulicę spogląda w okno pokoju hotelowego. Ma goły tors, każdy mięsień wytatuowany, a każdy tatuaż przypomina o bólu. Rok czy dwa spędził w Sofii i na zlecenie klanu Bożkowa popełnił trzy lub cztery morderstwa, które nie kosztowały go ani odrobiny trudu. Pieniądze były dobre i starczyły na kilka lat. Kupił dom nad morzem na Antylach, który nic dla niego nie znaczył, podobnie jak bezwartościowe jest dla niego wszystko, co nie pozostawiło śladu w głębi jego duszy. Wrócił do Europy, kiedy uznał, że jego brat już wystarczająco długo pokutował za swój błąd. Gdy czas Aaron w przedpieklu zaczął się chylić ku końcowi. W swoim życiu zabił czterdzieści, pięćdziesiąt albo i sześćdziesiąt osób, wliczając w to mężczyznę i kobietę, którzy leżą pod drzwiami, bo chciał zobaczyć Aaron dzisiaj wieczorem. Gdyby miała pokój na innym piętrze, wszedłby do innego mieszkania. Zasunęła zasłony, ale okulary noktowizyjne odbierają zapis ciepłoty jej ciała. Siedzi na łóżku, ukryła twarz w dłoniach i myśli, że wie, co to jest strata. Mógłby ją teraz zabić, podobnie jak mógłby ją zabić o każdej porze. W Wiesbaden przez trzy miesiące chodził za nią krok w krok. W kinie siedział na wieczornym seansie tuż obok niej, wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę. Oglądała *Taksówkarza*. Oczywiście. Travis Bickle wraca z Wietnamu do domu, a bezsenność i samotność huczą w jego głowie jak wiertarka. Co by się stało, gdyby Bickle nie spotkał małej prostytutki? Czy wtedy nie zmieniłby się w rzeźnika? Jakie to romantyczne. Jemu nie chodziło o to, żeby ocalić tę dziewczynę – bo gdyby nie było tej, byłaby inna. On tylko szukał pretekstu do zabijania, znalazłby sobie inne cele. Ale wtedy nie czczono by go jako bohatera. Czy to właśnie fascynuje Aaron, taki absurdalny happy end? Nie. To temat amoku. Samurajowie

wiedzieli, że tylko ktoś, kto znajduje się w beznadziejnym, rozpaczliwym położeniu, wyzbyty wszelkiego rozumu, może dokonać wielkich rzeczy. Prawdziwe znaczenie amoku jest ukryte pod górami zwłok z Blacksburga, Littletonu, Erfurtu, Utøi. W rzeczywistości oznacza on, że wojownik, zdecydowany posunąć się do ostateczności, usiłuje odmienić przegraną bitwę jedną akcją wyrażającą pogardę dla śmierci. To byłoby godne samuraja i uzdrowienia Aaron. Ona za tym tęskni. Poprzez złożenie ofiary pragnie nadać sens swojemu zdruzgotanemu życiu. Na pewno opowiada o tym ojcu przy jego grobie w Sankt Augustin. Czy on by to zrozumiał? Chyba nie. Jörg Aaron zawsze chłodno kalkulował ryzyko, był matematykiem zabijania. Brakowało mu takiego motoru jak piwnica Boenisha i to go różniło od córki. Co by powiedział o tym, że ona na każdy trening chodzi jak na mszę żałobną? Aaron trenuje dla niego, dla kogoś, komu wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę. Ona o tym wie i on o tym wie. Imponujące, że w Barcelonie udało się jej uciec. W tunelu on miał przewagę; Aaron jest leworęczna, musiała jednak strzelać prawą ręką, użyć zranionej strony ciała, i dlatego nie mogła być równie szybka jak on. A mimo to zdecydowało jedno mgnienie oka. Miała swoją szansę, teraz nie jest już dla niego przeciwnikiem. Przez pięć lat trzymał miejsce na ostatni tatuaż. Czuje go nad swoim sercem. Aaron też to poczuje. A on przyjmie jej ofiarę.

Około ósmej Kleff i Rogge wiozą ją do strzelnicy, gdzie Pavlik obchodzi urodziny. W drodze obaj mówią niewiele, ale Aaron słyszy, że bardzo się cieszą, iż zdecydowała się jechać z nimi.

Męskie wieczorki nie mogą równać się z niczym.

– Jak się Pavlikowi układa z Demirci? – pyta Aaron.

Rogge się śmieje.

– Ta kobieta to większa sztywniaczka niż dwudniowy trup. Ale Pavlik jeszcze ją złamie.

– Ostatnio przytargał słój, wiesz, taki, w jakim się trzyma złotą rybkę, i nonszalancko postawił go na stole konferencyjnym – włącza się Kleff. – A był w nim krab, tłusciutki, że ho, ho. Pavlik chciał zobaczyć, jak zareaguje Demirci. Ale ona zniosła to spokojnie i nie powiedziała ani słowa.

– No, ale jej twarz! – rechocze Rogge. – Pavlik mówi, że następnym razem postawi na stole wypchanego lisa.

Aaron się śmieje. Cały Pavlik.

Rozumie tych facetów. Chcą wiedzieć, dla kogo wszystko ryzykują. Kto chce nimi dowodzić, musi być z nimi. Tak jak ich były szef. Pub irlandzki, wieczory z grillem u niego w domu, cały oddział, do ostatniego człowieka. Podchodził do każdego z osobna, szturchał go w bok. „Bez ciebie wszystko byłoby do dupy”. „Masz miłą dziewczynę, jak leci?” „Weź sobie parę dni wolnego poza kolejnością”. „Aaron, musisz więcej jeść. I wyśpij się wreszcie”.

On zwracał się do nich po nazwisku, oni do niego też. Zanim objął kierownictwo Wydziału, był dowódcą specoddziału, a wcześniej agentem pod przykryciem w BKA. Nie istniała sytuacja, której sam by nie doświadczył. Nigdy nie wymagał od nich rzeczy niemożliwych.

Tylko *prawie* niemożliwych.

Gdy ktoś zginął, szef szedł do jego najbliższych i długo z nimi rozmawiał. Nie tylko uczestniczył w ich żałobie, ale i sam ją przeżywał. Pozwalał im płakać i płakał razem z nimi. W Wydziale zbierał wszystkich oprócz tych, którzy akurat byli na akcjach, i mówił, że na tydzień zamyka interes. Kolega nie żyje. Niech przerwą pracę. A jeśli minister w ciągu tego tygodnia zażąda pracowników Wydziału, to może go pocałować w dupę.

On sam trwał na posterunku, ale nie wspominał o tym ani słowem.

W Barcelonie odwiedził ją dwukrotnie: pierwszego dnia i tydzień później, kiedy przeczytał raport Wydziału Spraw Wewnętrznych. Przyniósł wódkę, którą pili z kubków do mycia zębów, i burknął, że wyrzucił ten świstek do śmieci. Pod wieloma względami szef przypominał jej ojca.

Na pożegnanie pocałował ją w czoło.

– Wiesz, co najbardziej w tobie podziwiałem? Że znasz różnicę między tym, co właściwe, a tym, co niewłaściwe. Jesteś policjantką, nigdy nie byłaś nikim innym i nikim innym nie będziesz.

Wtedy nie potrafiła tego zaakceptować, później owszem.

Szef zażywa teraz rozkoszy emerytury w Szwecji i wreszcie ma czas na swoje hobby – wędkowanie na otwartym morzu. Kiedy Aaron dopiero zaczynała pracę w BKA, dostała od niego list. Brajlem. Czytała go pięć razy. Inan Demirci będzie musiała się jeszcze dużo nauczyć.

W strzelnicy muzyka taneczna, ścisk. W powietrzu najlepszy zapach świata, którego Aaron już nie znosi – zapach broni świeżo wyczyszczonej ballistolem.

Pili tutaj, świętowali, smucili się.

– Nie mam dla ciebie żadnego prezentu, Pavlik – mówi Aaron z zakłopotaniem.

– Owszem, masz. I jak ładnie zapakowany. Jesteś moim gościem honorowym. – Szeptem dodaje: – Niezły numer odwaliłaś w hotelu.

– On mi zgniótł dwa zebra.

– I dobrze ci tak. – Ktoś porywa Pavlika, który woła: – Muszę

czegoś dopilnować, zaraz wróć!

– Proszę, niech pani usiądzie ze mną – mówi Demirci. – Ja się nimi zajmę. Ma na myśli Kleffa i Roggego. Aaron czuje się wywiedziona w pole, nie ma ochoty na towarzystwo Demirci.

Czwarta cnota: *rei* – uprzejmość.

Demirci prowadzi Aaron do stolika w jedynym spokojnym kącie.

– Zje pani coś?

– A co jest?

– Sałatka z makaronem i kielbaska z grilla, sałatka z makaronem i kotlety mielone, sałatka z makaronem i stek z karczku.

– Z kielbaską. I piwo.

Aaron słyszy śmiech, który rozpoznałaby wśród miliona innych. Ciepły, z głębi brzucha, opanowany. Niko jest bardzo blisko.

Aaron wcina, jakby umierała z głodu. Niewidomi lubią jeść, wszystko smakuje intensywniej. Ale tylko wspaniale lub okropnie, nie ma niczego pomiędzy. Prosi Demirci o dokładkę. Sałatkę zrobiła Sandra, czuć w niej kawałeczki cebuli. Aaron przywołuje wspomnienia: w kuchni muzyka z radia przenośnego, musujący napój z białego wina i wody mineralnej, trochę pogaduszek, oglądanie mody na eBayu, trochę śmiechu.

Kielbaski je palcami.

Dziesięć rzeczy, których Aaron lubi dotykać:

śnieg

szyszki jodłowe

lodowate butelki piwa

zimna ziemia do kwiatów

ciepła sierść

kielbaski z grilla

małe ręce

guziki z masy perłowej

broń

swój obraz

Aaron odsuwa talerz, wygrzebuje marlboro z paczki, otwiera swoją zapalniczkę firmy Dupont i zauważa, że szefowa Pavlika przesuwa się z krzesłem.

- Palenie jest tu właściwie zabronione – mówi Demirci.
- Kiedy pani rzuciła?
- Czy to takie oczywiste?
- Inaczej odsunęłaby się pani dalej, a nie przybliżyła do mnie.
- Poczęstuje mnie pani?

Kiedy Demirci zaciąga się po raz pierwszy, Aaron wie, co właśnie czuje. Czyste szczęście, którym wypełniają się całe płuca, rozczarowanie, że znowu sobie nie poradziła, żądze wypalenia papierosa po sam filtr.

Co kilka minut przychodzi ktoś, klepie Aaron, głaszcze ją po ręce.

- To ja, Dobeck.
- Hej, tu Krupp.
- Krampe.
- Nowak.
- Fricke.
- Wspaniale, że tu jesteś! Stęskniłem się za tobą! Super wyglądasz! Wystrzałowa sukienka!

Butz zostaje nieco dłużej. Stoi po prostu obok niej, z ręką na jej ramieniu, tylko po to, żeby Aaron miała świadomość jego obecności. To, co ich łączy, nie wymaga słów. Przed odejściem całuje ją w czoło.

Do Demirci nikt nie zagaduje.

Trzecia cnota: *omoiyari* – współczucie.

– Zastanawiają się, dlaczego Pavlik panią zaprosił. Jeśli pani myśli, że dlatego, ponieważ jest pani jego szefową, to jest pani w błędzie.

– Czy pani jest pewna, że jest pani niewidoma?

– On się martwi. Już pora, żeby stała się pani dla chłopaków cieplejsza. Wtedy ktoś się do nas przysiadzie, bo Pavlik już od dawna widzi, że tylko ja jedna z panią rozmawiam. Ale niech pani wtedy nie wspomina o pracy. Niech pani powie coś miłego, na przykład: „Założyłam się o dwadzieścia euro, że

podczas strzelania znajdzie się pan w pierwszej piątce”. I niech pani nie zwraca się do nich per pan. Wystarczy nazwisko.

– Dlaczego?

– Bo tego im trzeba.

Milczenie przez pięć długości papierosów. Potem Demirci mówi:

– Spotkałam kiedyś pani ojca.

– Tak?

– Pochodzę z małego miasta, Babenhausen, na pewno pani nie zna. Mój ojciec był zwykłym krawcem, wykonywał przeróbki. I każdy grosz odkładał na moje wykształcenie. Kiedy otrzymał obywatelstwo niemieckie, była to dla niego wielka sprawa. Jürgen Schumann, kapitan samolotu „Landshut”, mieszkał ulicę dalej i był klientem mojego ojca. W każdą rocznicę jego śmierci ojciec kładzie mu kwiaty na grobie. Mówi zawsze: „Pan Schumann był bohaterem”. Kiedyś poszłam z nim na cmentarz. Stał tam pani ojciec. W Akademii napisałam o nim pracę. Mój ojciec nieraz spotykał się z pani ojcem nad grobem Schumanna. Przedstawiał mi pani ojca jako „starego towarzysza” zmarłego kapitana. Nie wiedział, kim jest Jörg Aaron i czego dokonał w Mogadiszu. Bo pani ojciec nie robił wokół tego szumu. Ale rozmawiał z moim jak z kolegą. Wywarło to na mnie ogromne wrażenie.

Aaron naraz ogarnia radość, że siedzi właśnie z Demirci.

Ktoś przysuwa krzesło. Fricke.

– No, co tam? Czy Aaron zdążyła już panią zagadać na dobre?

Oczywiście przysłał go Pavlik. Fricke to komik w oddziale, kiedyś będzie się śmiał nawet z własnej śmierci. Aaron przez pięć minut przysłuchuje się Demirci, która się rozluźnia, naprawdę się stara i nawet nieźle jej to wychodzi.

Fricke szturcha Aaron.

– Mam też dowcip dla ciebie: kiedy ślepy i kulawy grają w nogę, wygrywa zawsze kulawy. Dlaczego?

– Bo woła: „Gol” – śmieje się Aaron.

– Cześć, Jenny.

Przez te wszystkie lata Aaron wielokrotnie się zastanawiała, jak to będzie, gdy znowu spotka Sandrę, swoją jedyną

przyjaciółkę. Bała się, że Sandra będzie miała do niej żal, że przestała się odzywać. Wyjeżdżając, wysłała tylko list, w którym były dwa słowa: „Proszę, zrozum”.

Ale teraz wszystko jest bardzo proste.

Aaron przysuwa głowę do głowy Sandry i wspomina wieczory spędzone u niej i Pavlika – u jej rodziny: rozmowy, proste czynności, zabawy w chowanego z bliźniakami. U Pavlika i Sandry czuła się jak u siebie w domu.

Większość mężczyzn w Wydziale jest żonata. To nie przypadek, szuka się bowiem takich, którzy mają ustabilizowaną sytuację osobistą – facetów wyważonych, którzy potrafią trzeźwo ocenić ryzyko. Aaron prawie nigdy nie widywała ich żon, żadnej z nich nie poznała bliżej. Trzyma się je z dala, nie powinny wiedzieć, czym dokładnie zajmują się ich mężowie. Zresztą same nie chcą tego wiedzieć. Tak jest dla wszystkich lepiej.

Sandra jest inna. Kiedy ona i Pavlik zakochali się w sobie, ona miała dziewiętnaście lat, a on dwadzieścia trzy i był jeszcze w wojskach desantowych. To ze względu na nią przeszedł do policji – Sandra nie chciała związku z weekendowym żołnierzem. Od samego początku postawiła sprawę jasno: będzie dzielić z nim wszystko, w przeciwnym razie mogą się natychmiast rozstać. Była dla niego właściwą dziewczyną, a on dla niej właściwym chłopakiem. Bliźniaki urodziły się, dopiero gdy skończyła trzydzieści lat, wcześniej, jako wzięta złotniczka, wolała się realizować zawodowo. Powtarzała Aaron: „Trzeba najpierw odbębnić życie”. Niezależnie od tego, jakie troski mąż przynosił do domu, Sandra go od nich uwalniała.

Zawsze byli dla siebie wsparciem.

Po wypadku motocyklowym Pavlika jego szef nie zastanawiał się ani sekundy, tylko przeniósł go na inne stanowisko. Zbyt wiele dla niego znaczył. Ale Sandra wiedziała, że nie zazna spokoju, póki nie będzie mieć pewności, że jej mąż w pełni wrócił do formy. Dała mu pół roku, a potem zażądała, by odbył walkę z Aaron.

Siedzieli w ogrodzie ich szeregowego domku w Lichterfelde, gdzie żywopłoty są zbyt wysokie dla wzroku sąsiadów. Bliźniaki

były na wycieczce szkolnej. Aaron musiała jej obiecać, że nie będzie oszczędzała Pavlika.

Oboje nie mieli dla siebie taryfy ulgowej – jakby byli wrogami. On był szybki jak zawsze. Jego proteza podudzia dawała się Aaron we znaki, przede wszystkim podczas kopniaków. Byli jak maszyny pochodzące z tej samej fabryki. Na koniec klęczeli przed sobą parę minut i nie mogli wypowiedzieć ani słowa. Aaron bolały nawet włosy. Sandra przyniosła obojgu steki. Później pili wódkę i grali w scrabble.

W strzelnicy nic już ich nie dzieli.

– Twoja sałatka z makaronem jest najlepsza – mówi Aaron i ociera łzy.

Również Sandra płacze.

– I nikt nie opycha się tak jak ty! Słuchaj, czy Ulf ci już powiedział?

– Co?

– Urodziła się nam jeszcze dziewczynka. W lutym ubiegłego roku.

– Nieee!

– Owszem. Obłąd. Kiedy miałam czterdzieści pięć lat.

– Jak daliście jej na imię?

– Zgadnij.

Aaron potrzebuje chwili, żeby zrozumieć. Jej oczy znów zachodzą łzami. Przytula Sandrę, która beczy tak samo jak ona.

– Coś podobnego!

Nie potrafi powiedzieć nic więcej.

– Baby! – udaje się wykrztusić Sandrze.

Śmieją się i płaczą na przemian.

Pokłóciły się tylko raz – kiedy Aaron zwierzyła się Sandrze, że jest z Nikiem. Sandra była wzburzona. Uważała, że Aaron popełnia błąd.

Dlaczego?

Bo Niko nie jest dla niej właściwy, dlatego!

– On nawet nie jest w twoim typie!

Aaron również się wściekła. Całkiem niedawno opowiedziała ojcu o sobie i Niku. Zareagował podobnie, chociaż mniej gwałtownie. Dlaczego każdemu się wydaje, że wie, co jest dla niej dobre? Sandra odparła, że Niko żyje wciąż na pełnym gazie. Jak długo będzie mu się to jeszcze udawało?

Pavlik miał w Wydziale tylko dwóch przyjaciół, André i Nika. Aaron dziwiła się, że Sandra nigdy nie zaprasza Nika i nie chce, żeby jej dzieci go poznały. Aaron zrozumiała, o co chodzi przyjaciółce, dopiero gdy ta powiedziała:

– Za każdym razem, kiedy jest z Ulfem na akcji, siedzę przy telefonie i modłę się, żeby nie zadzwonił.

Niko nie ma rodziny, nie myśli więc o tym, że gdyby doszło do najgorszego, przyjaciel osierociłby dzieci i zostawił żonę.

Statek, który szuka swojej góry lodowej.

– No i co? A czy na mnie ktoś czeka w domu? – odparła Aaron i w tym samym momencie pojęła, że zraniła przyjaciółkę. Bo przecież to oni byli jej rodziną. Gdyby więc coś się jej stało, byłoby to dla Sandry tak samo okropne, jak gdyby dotyczyło to jej dzieci lub męża.

Aaron objęła wtedy Sandrę, zauważyła, że przyjaciółka dygocze, i sama zaczęła dygotać. Wyszła, nie pogodziwszy się z nią. Przez dwa dni nie dzwoniły do siebie, a ona czuła się nieszczęśliwa. Wreszcie Pavlik zagadnął ją, gdy stali przy ekspresie do kawy:

– Sandra pyta, czy przyjdiesz z Kvistem na kolację. O siódmej?

Aaron przyniosła butelkę limoncello, Niko kupił bukiet kwiatów. Trajkotali wszyscy jak najęci, gadali o głupotach, śmiali się i mieli wrażenie, że spędzają czas w tym gronie nie wiadomo jak często. Na zewnątrz zbliżała się burza.

Po kolacji mężczyźni bawili się z bliźniakami torem wyścigowym. Gdy przestało padać, Sandra i Aaron siadły w ogrodzie na huśtawce, nasłuchiwały kropel szeleszczących w liściach drzew i sączyły limoncello. Mokra trawa łaskotała je w gołe stopy. Milczały, ale stanowiły jedność. Sandra powiedziała:

– Możemy częściej urządzić sobie takie wieczorki.

Zaczyna się strzelanie. Fricke wraca do kolegów. Demirci pochyła się ku Aaron.

– Dziękuję.

– Niech pani idzie do chłopaków. Spodziewają się, że pani też postrzela. I proszę się postarać o najgorszy wynik, a potem udawać, że to panią gryzie.

Przez kolejne trzy kwadranse Aaron i Sandra są jedynymi osobami, które nie stoją przy stanowisku strzeleckim. Sandra spokojnie trzyma Aaron za rękę, strzeże jej myśli.

Pięćdziesiąt metrów byłoby dla niezawodnego strzelca maksymalnym dystansem w konkursie z pistoletem. Tu strzela się z osiemdziesięciu. Dziesięć razy silną ręką, dziesięć słabą. Poszczególnych ludzi ze swojego dawnego oddziału Aaron poznaje po częstotliwości strzałów. Butz: mechanizm zegarowy, taktowany co do jednej tysięcznej sekundy, trzeźwe, chłodne podejście. Dobeck: każdy strzał wykasłany sucho, jeden opóźniony, brak zdecydowania. Fricke: dziewięć udanych strzałów, przed ostatnim za każdym razem trochę odczekuje. Chce wsadzić kulę do otworu po pierwszej – sukces. Podczas drugiej serii przez salę przebiega pomruk. Udało mu się, lewą ręką. Pavlik: jest odprężony, wszystko ma pod kontrolą, jak to strzelec wyborowy. Demirci: strzela konwulsyjnie, nierytmicznie.

– Na miłość boską!

Śmiech.

Niko: dziesięć błyskawicznych, jak maszyna do szycia.

Oczywiście to on zwycięża.

Pavlik pochyła się ku Aaron.

– Teraz ty.

– Upiłeś się? – fuka na niego Sandra.

– Tylko jeden strzał. Muszę sobie odebrać prezent na pięćdziesiątkę.

Aaron wstaje.

– W porządku. – I dodaje cicho: – Szóstka.

W jednej chwili na strzelnicy zapada cisza jak makiem zasiał. Aaron czuje na sobie spojrzenia. Podchodzi do szóstego toru

i staje przed półką z bronią. Jej palce odnajdują karb w samym środku, karb, gdzie André wbił rękojeść swojej broni, Heckler & Koch, ponieważ życie uciekało spod niego jak piasek; smutny, wspaniały, zagubiony André, który tak długo działał pod przykryciem, że już sam nie wiedział, do którego świata należy, i którego nikt, nawet Aaron, nie potrafił uratować.

Pavlik kładzie jej lewą rękę na pistolecie.

Mój browning.

Pavlik szepcze:

– Przechowałem go dla ciebie.

Rękojeść jest ciepła i miękka, czekała na nią. Aaron czuje wagę pistoletu. Tylko jeden nabój w lufie. Zna ten tor jak własną kieszeń. Dwa razy krótko stuka obcasem, nasłuchuje echa, koryguje pozycję o pięć centymetrów w lewo. Staje twarzą do celu, czubki stóp rozstawione na szerokość ramion, prawa noga lekko cofnięta. Prawie prostuje ramię, lewy łokieć nieco zgina, aby zminimalizować siłę odrzutu.

Robi półwdech, półwdech.

Osiemdziesiąt metrów.

Nie widzieć, wiedzieć.

Kiedy już trzyma palec na spuście, wie, że trafi w dziesiątkę. Jednak w ułamku sekundy między tą myślą a momentem nacisku zapala się światło. Aaron stoi, na półwdechu i półwdechu, w bezkresnym korytarzu w Barcelonie, i zadaje sobie pytanie, czy usłyszy strzał czy tylko kliknięcie. To nagle, niezwykle intensywne wspomnienie paraliżuje ją do tego stopnia, że się waha. Przetacza się głuchy grzmot, daleki jak za szybą dźwiękoszczelną, aż wreszcie szyba wylatuje, a ona stoi pośród wrzasków, gwizdów i tupotu otaczających ją mężczyzn. Ponownie zostaje wrzucona do korytarza. Trzyma w ręce walthera Niny Deraux, widzi Żetonowe Oko i naciska spust. Żetonowe Oko upada, okręcając się, upuszcza glocka. Z jego ust dobywa się czerwona mgiełka.

A potem? Co zrobiłam potem?

Aaron czuje, że jej serce łomocze, ma nadzieję, że obrazy będą przesuwają się dalej i zaprowadzą ją do hali, gdzie Niko walczy o życie, ale drzwi do niej pozostają zamknięte.

Pawlik bierze ją w ramiona.

– Doskonale.

Nie. Minimalnie chybiony. Dziewiątka, która zahacza o dziesiątkę.

Aaron mruzczy:

– Każdy ma prawo mnie okłamać. Tylko nie ty.

Muzyka znów zaczyna grać. Aaron nie może złapać powietrza.

Have a Little Faith in Me Johna Hiatta.

Niko bierze ją za rękę.

– Chodź.

Aaron pozwala, żeby pociągnął ją ze sobą – tu jest jej miejsce, nigdzie indziej. Otwiera drzwi do swojej wewnętrznej komnaty, wrzuca tam tę prawdę, zamyka i tańczy z Nikiem.

When the road gets dark and you can no longer see, just let my love throw a spark, baby, have a little faith in me.

Aaron lubi ruchy Nika, lubi dotyk jego rąk, fakturę jego skóry, jego pewność siebie. Ojciec Nika był Finem. Od niego syn nauczył się, co znaczy *sisu*, nieprzekładalne słowo, w którym kryje się wiele innych: siła, wytrwałość, zdecydowanie, odwaga, duch walki nawet w beznadziejnych sytuacjach.

Ktoś musiał zatrzymać André. Jedyne ci z Wydziału Spraw Wewnętrznych dowiedzieli się, co stało się w Pradze, gdzie Niko wytropił i zabił swojego przyjaciela.

Zeznanie Nika powędrowało do szafy pancерnej. Nikt nigdy go o nic nie pytał ani nie wymienił imienia André.

Tylko raz, gdy był pijany i zrozpaczony, szepnął:

– *Sisu* oznacza też bezwzględność.

Ale on taki nie jest.

When the tears you cry are all you can believe, just give these loving arms a try, baby, have a little faith in me.

Aaron czuje oddech Nika w swoich włosach.

– Od kiedy odeszłaś, jestem ślepy.

Jadą do hotelu Jowisz. Niko podąża za Kleffem i Roggem. Aaron wie, że utrzymuje dystans zaledwie dwóch metrów, żeby nie mogło się wsunąć między nich żadne auto. Nie rozmawiają. Ona skupia się na pracy wycieraczek. Za każdym razem, gdy zatrzymują się na światłach, słyszy, że skóra na karku Nika cicho obciera się o kołnierzyk koszuli, gdy Niko ogląda się do tyłu, bo nie dowierza lusterkom i sprawdza, czy nikt ich nie śledzi.

Prowadzi ją do jej pokoju. Wchodzi z nią do środka.

When your back's against the wall, just turn around and you, you will see.

Zatrzaszkuje drzwi obcasem i chce ją pocałować. Ale ona nie może do tego dopuścić – wówczas byłaby zgubiona.

– Muszę cię o coś zapytać.

Jego rozczarowanie odrywa go od niej jak potężna, gwałtowna fala.

– Co dokładnie wydarzyło się w Barcelonie?

– Co przez to rozumiesz?

– W magazynie. Ja niczego nie pamiętam.

Tak długo się tego bała. Ale wreszcie musi się dowiedzieć.

Niko milczy.

– Proszę, powiedz mi.

– Nie czułem ciała. Ty chciałaś mnie podźwignąć. Ale nie dało się. Holm strzelał, miał nas jak na talerzu. Tobie po rękach ciekła krew. Myślałem, że ze mną już koniec. Chciałem, żebyś mnie zostawiła.

– Dlaczego nie walczyłam z Holmem?

– On był jak maszyna.

– Ja też.

Aaron nie potrafi uporządkować słów Nika, mieszają się w jej głowie. *Chciałem, żyła ja za to, żebyś, więcej, myślisz,*

gdybym, niż dałbym, twoim był miejscu, na, w tunelu...

Ziemia się chwieje. Niko chytya Aaron.

Drzwi do biblioteki jej doskonałej pamięci zawsze stały przed nią otworem. Obrazy, sytuacje, myśli, uczucia – wszystko było na swoim miejscu. Aaron spędziła tam wiele godzin, niekiedy czując się prawie szczęśliwa, często smutna. Ale to było jej życie i mogła się nad nim zastanawiać.

Gdy obudziła się pewnego ranka, w bibliotece wybuchł pożar. Od tej pory musi się bezradnie przyglądać, jak ogień stopniowo pożera wszystkie obrazy, wszystkie wspomnienia o czasach sprzed utraty wzroku – każde doznanie, każdą chwilę, która była dla niej cenna – a zostawia jedynie fakty, jak w protokole policyjnym. Kiedy zmarła jej matka, a kiedy ojciec. Do której szkoły chodziła. Ilu zabiła ludzi.

Już wkrótce nie potrafiła wyobrazić sobie kolorów, oprócz czerwieni, a liczby stały się czystą arytmetyką. Dwucalowy rewolwer w kaburze na łydce, dwa tygodnie w Marrakeszu, dwa pokoje w Schönebergu. Cztery sekundy na rozłożenie browninga. Pięć lat między piwnicą a podziemnym garażem w Moskwie, pięć od otwarcia oczu. Jej tor, szóstka. Siedem oznacza: nie móc się czegoś doczekać. Ale zapomniała, jak wyglądają liczby. Próbowwała namalować w powietrzu dwójkę, czwórkę, piątkę, szóstkę, siódemkę – na próżno.

Poszła do neurologa, bo najpierw przeraziła się, że cierpi na demencję. Lekarz posłał ją na wizytę do kliniki zaburzeń pamięci. Tam zbadano jej zdolność koncentracji, umiejętność rozumienia, zmysł orientacji. Lekarz poprosił, by przyniosła mu dotychczasowe wyniki badań. Rozważano niedoczynność tarczycy, zrobiono rezonans magnetyczny mózgu, zbadano płyn mózgowo-rdzeniowy. Wszystkie wyniki okazały się znakomite. Wypuszczono ją ze słowami:

– Może przydałaby się psychoanaliza?

Ale o czym miałyby mówić terapeutycie? O tchórzostwie? Wstydzie? O utraconym honorze?

Przez wiele dni i nocy zrozpaczona zapisywała wszystko, co jeszcze pamiętała i czego nie chciała stracić. Zapełniła mnóstwo stron brajlem, pracuje nad tą kroniką po dziś dzień. Ale wpisy

są coraz rzadsze, krótsze i za każdym razem wydają się jej bardziej bezsensowne. Kiedy bowiem dane wspomnienie istnieje wyłącznie jako kopia, a oryginał w bibliotece zostaje zniszczony, staje się ono opowiadaniem całkiem nieznanym osobie. Jak gdyby to nie Aaron przeżyła to, co jest zapisane, lecz ktoś obcy.

Jak miałyby opisać kwiaty, które mróz maluje na szybach, albo szron na łąkach? Światło gazowych latarni na Chamissoplatz, roziskrzone niebo w Chelli, spojrzenie na morze o świcie? Cudowne miejsca zapamiętane z dzieciństwa i tamto w lesie, gdzie ktoś pocałował ją po raz pierwszy, zniknęły tak samo jak dźwięk głosu matki i ojca, melodia pozytywki leżącej pod choinką, gdy Aaron była małą, twarze ludzi, których kochała, jej własna twarz, która teraz istnieje już tylko na jednej fotografii? Wszystko ulega zniszczeniu, spaleni. Zostanie jedynie zimny popiół, który wiatr rozwieje w nicość.

Na razie płomienie oszczędziły parę drobiazgów. Czerwień Cayenne, podwieczorek z grubą gospodynią, Mary-Sue w Berlinie, supermana i superwoman z chłopcem z sąsiedztwa, Marlowe'a, scrabble w Lichterfelde, limoncello z Sandrą na ogrodowej huśtawce. Każdy dzień, kiedy to jeszcze pamięta, jest darem.

Ale nie zapomniała także piwnicy w Spandau, głosu Boenicha i paznokci Rungego. To na zawsze pozostanie w jej pamięci. Nie zazna łaski zapomnienia.

A ten ostatni dzień w Barcelonie? Jest jak obraz, przed którym siedzi od pięciu lat i w który wpatruje się dniami i nocami. Zna każdy szczegół. Wie, że w łazience, w wannie, gdzie czyści pistolet, siedzi wysuszony pajak, któremu pozwoliła żyć, że blizna na obojczyku swędzi, chłopak w lobby ma brudne paznokcie, a Jordiemu, gdy się śmieje, robią się w policzkach dołeczki, które ona tak lubi. Wie też, że siedzenia daimlera pachną środkiem do pielęgnacji skóry i że podczas podróży na południe w jej sercu trwa sztorm.

La Sagrada Familia.

Mogłaby wrócić do tamtego hotelu i wymienić wszystko, co

znajduje się w minibarze. Pamięta, że colt Nika, co dziwne, leżał w sejfie lufą do przodu i że to skorygowała, po czym dołożyła do niego browninga, bo gdyby zaistniała taka konieczność – a to zawsze może się zdarzyć – natychmiast trzeba chwycić broń za rękojeść, a nie za lufę. Pamięta jazdę windą: wiszącą tam kartę dań hotelowej restauracji – merluza a la marinera, dwadzieścia jeden euro dziesięć centów – szarpnięcie przed każdym piętrem z powodu niewyważenia wciągarci, nikłą woń ciężkich męskich perfum, którą odbierała jako nieprzyjemną, maleńką plamę rdzy w lewym w rogu...

Mogłaby wracać do tamtych chwil dziesięć razy, a i tak byłoby to za mało.

Pamięta, że taksówka, za którą stali na światłach przy Carrer de Mallorca, miała zadrapanie na pokrywie bagażnika i numer koncesji 343. I że w twarzy Żetonowego Oka widziała jego ofiary, które głównie dla niego znaczą. I to, że gdy w tunelu spojrzenia jej i Holma się spotkały, wiedziała, że powinna była powiedzieć Nikowi: „Kocham cię”.

Miłość od ostatniego wejrzenia.

Od przebudzenia w klinice nie pamiętała, co wydarzyło się w magazynie – aż do dzisiejszego wieczoru. Do tego błysku w strzelnicy, gdy znów stała w tym korytarzu i strzeliła Żetonowemu Oku w szyję.

To mógłby być początek.

Ale wciąż brak najważniejszego.

Nika. Hali. Jej ucieczki.

Pozostał jedynie obrzydliwy odór kawy. To dlatego zmusza się do jej picia. Bo może dzięki temu wszystko sobie przypomni.

Pośród szalejącego pożaru Aaron chwytą się myśli, że upływające minuty mają ogromne znaczenie, że musi zrozumieć, dlaczego tak się zachowała, bo ta wiedza może ją uratować – obrazy zaczną mknąć do tyłu i będzie tak, jakby ogień nigdy nie ogarnął jej pamięci, a każda rzecz ponownie otrzyma swoje miejsce, raz na zawsze. Aaron zaś stanie wysoko na szczycie góry i zobaczy swoje życie w pełnej rozciągłości, gdzie zna każdy kamień i wszystko, co jest pod nim.

– Idź.

Tak usilnie walczyła o to jedno słowo, że całe jej ciało ogarnia ból.

Niko ją puszcza.

– A więc nigdy nic dla ciebie nie znaczyłem.

– Nie.

Zawsze była między nimi prawda, nigdy się nie oszukiwali.

Zostaje sama. Wyłącza światło. Dlaczego? Słyszy szum klimatyzacji, telewizor w sąsiednim pokoju, czuje chwiejny parapet pod stopami tamtej nocy w Wiesbaden, gdy pijak z ulicy wrzasnął: „Skocz wreszcie”, a ona naprawdę chciała się puścić ściany. Ostatecznie nadzieja, że może jeszcze przypomni sobie, co wydarzyło się w Barcelonie, okazała się silniejsza niż pragnienie, żeby się pogruchotać.

Zążywa jedną ze zniechęconych tabletek, pragnąc wreszcie zapomnieć.

Aaron siedzi w samolocie. Ma na oczach okulary dla niewidomych, chociaż nie jest ślepa. W rzędach przed nią i za nią tkwią jej zmarli: nie brak nikogo, nie brak nawet tych, których śmierci nie mogła zapobiec. Jest jej kolega ze szkoły Ben, który utonął, gdy załamał się pod nim lód, są kobieta z hotelu Aralsk, kelnerka z Delmenhorst, barman z Brukseli, dziecko z Cork, pucybut z Tangeru, taksówkarz z Helsinek, Alina, Jordi, Ruben, Josue, Melanie Breuer, André.

Kwiaciarka Eva Askamp.

Dziwnym sposobem również wycieczka szkolna z zoo i dwójka nauczycieli, co Aaron usiłuje zrozumieć.

Zaczyna padać śnieg. Grube płatki przefruwają przez samolot szybko i tak gęsto, że twarze rozplývają się w białym wirze. Aaron ma gołe stopy. Dotyka nimi szpilek kobiety siedzącej obok. Kobieta staje się śnieżnym pyłem, który zmienia się w piłkę i toczy się po przejściu między fotelami.

Ktoś woła:

– Zagraj do niego! Ten palant nie umie nawet trzepać konia!

Do Aaron przysiada się ojciec. Twarz ma poczernioną jak podczas szturmowania „Landshuta”. Córka chwytą go

kurczowo za rękę.

– Gdzie byłeś?

– U moich ludzi.

– Ilu ich jest?

Ojciec milczy.

– Nie umiesz ich policzyć? – pyta strwożona Aaron.

Jego oczy wystają z czarnej głowy jak kłujące igielki.

– Nie pytaj mnie nigdy o moich, tak jak ja nigdy nie pytam cię o twoich.

Aaron słyszy głos kapitana Schumanna:

– Proszę zapiąć pasy. Wykonujemy nieplanowane międzylądowanie w Teglu, należy się spodziewać turbulencji.

Samolot siada na boisku więzienia. Śnieg przestał padać. Aaron przyciska do siebie torebkę gorących kasztanów. Idzie przez szeregi swoich zmarłych i zmarłych ojca, których teraz również widzi, bardzo wielu, a wszyscy odwracają wzrok. Oprócz André.

Rzuca jej komiks: *Daredevil, ślepy mściciel*. Ręka pali Aaron jak ogień, upuszcza komiks.

Ojciec czeka u stóp schodków. Zdejmuje jej okulary i mówi:

– Już ich nie potrzebujesz.

Podaje jej ciężką walizkę.

Aaron tak bardzo pragnie, żeby ojciec z nią został. Ale on wpatruje się w drzwi wejściowe do samolotu, w których stoi Souhaila Andrawes z palcami wyciągniętymi w górę na znak zwycięstwa.

Samolot startuje. Aaron idzie z walizką przez budynek numer sześć. Otwiera się dla niej troje drzwi. Przy ostatnich odstawia walizkę i zagląda do środka. Są tam fetysze Runego. Zakłada naszyjnik z pereł, zostawia walizkę i idzie dalej, ale nie ma tu nikogo oprócz Ludgera Holma i Boenisha, którzy jednak siedzą w celi i jej nie widzą.

Na łóżku leży kwiat białej kamelii. Holm jest nagi od pasa w górę, a tors ma upstrzony tatuażami. Aaron zamyka oczy, nie chce ich oglądać.

Jest noc, głosy mężczyzn zlewają się w szept.

– Mogę sobie wyszukać kobietę?

- Kogo chcesz.
- A potem przyjdzie Aaron?
- Przyjdzie.
- I chcesz się z nią spotkać?
- O tak. Będzie znów widziała, ale zapragnie być ślepa.

Aaron czuje oddech Nika, jego biodra przy swoich. Niko otwiera drzwi do pomieszczenia, w którym siedziała naprzeciw Boenisch. Jest ogromne, nieogarnione, bez ścian. Na środku jest parkiet do tańca, więc Niko obejmuje Aaron i kołysze się z nią łagodnie. Muzyka tryska zeń jak ogień, przed którym ona w ogóle nie czuje lęku.

When your secret heart cannot speak so easily, come here darlin' from a whisper start.

Aaron widzi uśmiech Nika, rudawe włosy z przekornym kogucikiem, nos ostry jak nóż, oczy – zawsze smutne, a zarazem szczęśliwe. Trzyma ją mocno. Aaron spostrzega, że jej stopy nie dotykają ziemi. Ulatuje z Nikiem, widzi pod sobą więzienie, twierdzę zbudowaną z samego światła, widzi, że Boenisch i Holm odprowadzają ją wzrokiem.

Czyta w myślach Holma: „Oko za oko”.

Zrywa naszyjnik, perły się rozsypują i zmieniają w śnieżynki.

Niko puszcza Aaron, a ona spada. Spada wprost w to światło i krzyczy raz po raz:

- Chcę znów oślepnąć!

Demirci wraca do domu. Jest wpół do czwartej, już prawie nie opłaca się jej kłaść do łóżka. A przecież zakładała, że na przyjęciu zostanie tak długo, jak nakazuje przyzwoitość. Chciała wymknąć się po angielsku najpóźniej o wpół do dziesiątej.

Po zawodach w strzelaniu przemyślała swoje postanowienie. Coś się zmieniło.

Fakt, że się odcinała od zespołu, nie przynosił jej chluby. Teraz nagle ci mężczyźni zaczęli patrzeć na nią inaczej. Jakby po raz pierwszy grała z nimi w tej samej drużynie.

Demirci zrozumiała, o co chodzi Aaron: może wprawdzie rozkazywać tym facetom, ale to oni decydują, kto nimi dowodzi.

Pavlik.

Pierwszego dnia, gdy objęła stanowisko, jej poprzednik chciał go jej przedstawić. Powiedział:

– To pani najważniejszy człowiek.

Ale Pavlik minął oboje na korytarzu, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. Był to afront, którego Demirci do dzisiaj nie rozumie. Nazajutrz zachowywał się miło i profesjonalnie, ale nie wyjaśnił swojego wcześniejszego zachowania.

– Dlaczego jest najważniejszy? – zapytała swego poprzednika.

– Sama pani zobaczy – odparł lapidarnie.

Nie uważał, że musi tłumaczyć, dlaczego zostawił w służbie prawie pięćdziesięcioletniego mężczyznę z amputowanym podudziem. Demirci postanowiła dowiedzieć się o Pavliku jak najwięcej. Testy wytrzymałościowe zdawał nienagannie. Wprawdzie tylko przeciętnie, ale nie można było oczekiwać, że w ćwiczeniach lekkoatletycznych znajdzie się w czołówce.

Poznała go na omówieniach akcji. Niezależnie od tego, jaką ona podejmuje decyzję, ludzie spoglądają w jego stronę. Kiedy drapie się po brodzie, stają się niespokojni. Jeśli zaś od nasady

nosa do nasady włosów widać u niego zmarszczkę, to tak jakby włączyła się syrena alarmowa.

Wtedy Pavlik zadaje pytania. I czy to się Demirci podoba, czy nie, każde z nich jest uzasadnione.

„Czy nie lepiej wziąć trzy auta?” „Co się stanie, jeśli do drzwi będzie przyczepiony zapalnik?” „Czy naprawdę jesteśmy pewni, że nasz człowiek nie został zdekonspirowany?” „Po co im jeszcze zakładnicy?”

Dopiero kiedy Pavlik jest usatysfakcjonowany, reszta oddycha swobodnie. Demirci trudno to zaakceptować.

Zrobiła błyskawiczną karierę, wszędzie zyskała sobie szacunek. Oczywiście Wydział to zupełnie inna liga, ale przecież nie powołano by jej, gdyby nie miała stosownych kwalifikacji.

Czy Pavlik ją kompromituje? Nie. On jedynie zadaje pytania.

Początkowo Demirci myślała, że powodem jego pozycji w Wydziale jest wiek – niektórzy koledzy mogliby być jego synami. Z pewnością ma największe doświadczenie, to jednak za mało. W świecie, w którym jakość człowieka mierzy się w ułamkach sekundy, taki status trzeba raz po raz potwierdzać swoimi dokonaniem.

Przestudiowała akta Pavlika. Absolwent podstawowych studiów matematycznych w Wyższej Szkole Bundeswehry, zawodowy żołnierz, snajper w wojskach powietrznodesantowych. Szkoła przetrwania, potem Akademia Policyjna, specoddział w Berlinie.

W 1998 roku wykorzystano go jako snajpera w akcji odbicia zakładników z synagogi przy Fasanenstrasse. Trzech ciężko uzbrojonych mężczyzn z bojówki neonazistowskiej obezwładniło rabina i pięciu członków wspólnoty wyznaniowej, po czym wraz z nimi zabarykadowało się w świątyni. Terrorysty zagrozili, że zabiją zakładników i siebie, po czym zażądali, żeby kanclerz Niemiec w głównym wydaniu wiadomości wygłosił na żywo oświadczenie, że obóz Auschwitz nigdy nie istniał, a Holocaust to wyłącznie syjonistyczna propaganda.

Członkowie specoddziału Pavlika leżeli na dachu przeciwległego budynku. Po sześciu godzinach już dawno

powinien ich ktoś złuzować – przez tak długi czas nikt nie potrafi zachować doskonałej koncentracji. Bardzo niewyraźnie widzieli tych, do których mieli strzelać, trudno było odróżnić porywaczy od zakładników. Nie dostali pozwolenia na użycie broni. Pomieszczenie modlitewne podsłuchiwali za pomocą laserowego mikrofonu. Kiedy miano zlikwidować pierwszego zakładnika, Pavlik zabił trzech nazistów strzałami w głowę. Żaden z przetrzymywanych nie został ranny.

Tydzień później zadzwonili ludzie z Wydziału – tak oto Pavlik trafił tu osiemnaście lat temu. Akcja w synagodze oraz trzy inne jego akcje – ostatnio śmiertelny strzał ratunkowy z odległości prawie dwóch tysięcy trzystu metrów – zostały opisane w literaturze fachowej. Wcześniej Demirci uznałyby, że takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

Po jakimś czasie Pavlik poprosił ją o rozmowę. Uważał, że to ważne, aby opowiedzieć jej coś o każdym z ludzi, niejako ich przedstawić. Chciał, żeby wzięła pod uwagę szczególne cechy każdego z kolegów. Mają bardzo różne mocne strony, mówił, ale także słabości, których Demirci nie znajdzie w żadnej opinii, trzeba więc wszystko jakoś zrównoważyć. Każdy jest wytrenowany, ale fizyczność nie może stanowić jedyne kryterium.

Mówił w sposób racjonalny i serdeczny. Twierdził, że empatia jest równie ważna jak stanowczość i równie niebezpieczna jak pycha. Że człowiek wyróżniający się poczuciem sprawiedliwości i darem wczuwania się w sytuację pasuje do partnera, któremu właściwe są upór i niecierpliwość. Że tego nigdy nie powinna wysyłać na akcję w pojedynkę, bo nie zniesie samotności, a tamten z kolei powinien pracować wyłącznie w większym zespole, gdyż tylko wtedy pokaże, na co go stać.

Ważne jest także, aby żonaty mężczyzna zawsze krył nieżonatego, nie odwrotnie. To wszystko powinna wiedzieć.

Empatia jako słabość i siła zarazem. Jakie to mądre stwierdzenie.

Demirci zapytała Pavlika, co jest jego słabością. Odparł:

– Czekolada.

Wstała, aby podać mu rękę na pożegnanie. Nigdy nie zapomni

tego, co się wtedy wydarzyło. Robiąc krok w kierunku Pavlika, zmiotła spódnicą temperówkę z biurka. Pavlik nie mógł tego widzieć, był odwrócony plecami. Mimo to wyciągnął lewą rękę do tyłu, tak szybko, że Demirci nawet nie zarejestrowała tego ruchu wzrokiem, i złapał temperówkę. Odłożył ją na miejsce, skinął Demirci głową i wyszedł.

W ten sposób udzielił jej odpowiedzi na wszystkie pytania.

W swoim mieszkaniu w Berlin-Mitte, położonym na trzynastym piętrze, Demirci otwiera zamkniętą na klucz szufladę i wyjmuje paczkę papierosów. Zapala jednego, przysięga, że to jej ostatni, ale wie, że okłamuje samą siebie. Wychodzi na balkon, pachnie tam świeżym śniegiem. Niebo tworzy świetliste sklepienie nad migotliwym miastem, które widać jak na dłoni.

Uroczystość zakończyła się o drugiej i wyszli wszyscy oprócz niej i Pavlika. On wypił trzy, może cztery kieliszki wódki, ale nie sprawiał wrażenia wstawionego. Zapytał, czy zabiła już kiedyś człowieka.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zaczął mówić, jak kiedyś w wolny weekend jechał motocyklem drogą krajową pod Beelitz. Na zakręcie trafił na plamę oleju i wypadł z drogi. Motor poleciał za nim jak pocisk, urwał mu podudzie, a potem wrócił na szosę i bokiem uderzył w rowerzystkę. Pavlik jeszcze przez chwilę był przytomny – zdążył zobaczyć, że jakiś mężczyzna i mała dziewczynka ukłękli obok kobiety i zaczęli głośno krzyżeć.

Doskonale wie, ilu zabił ludzi. Robił to tylko wtedy, kiedy musiał, potrafi więc z tym żyć. Ale chociaż jego wypadek wydarzył się przed ośmiu laty, nie ma dnia, żeby nie myślał o tamtej kobiecie. Kiedy wyszedł ze szpitala, pojechał do jej męża, aby powiedzieć, jak strasznie mu przykro. Mężczyzna zaprosił go do środka, ale siedział bez słowa i się trząsał. W sąsiednim pokoju płakało dziecko. W ten sposób minęła godzina. I ten obraz nie opuszcza Pavlika po dziś dzień.

Demirci spogląda na blok naprzeciwnko. W jednym oknie odbija się obraz z telewizora, w innym migocze bożonarodzeniowa girlanda. Na klatce schodowej zapala się światło. Każdy

ma swoje życie, trzyma się go, uważa je za oczywiste. Tylko nieliczni wiedzą, że takie nie jest.

Również ona tego nie wiedziała – aż do pewnego wiosennego dnia, kiedy matka odwiedziła ją w Koblencji, gdzie Demirci objęła swoją pierwszą posadę aspirantki. Siedziały w restauracji wuja i Demirci z wypiekami na policzkach opowiadała o swojej pracy, co przepełniało matkę dumą. Droga do domu wiodła obok dyskoteki, szły pod rękę, po raz pierwszy jak przyjaciółki. Między dwoma dilerami narkotyków wywiązała się strzelanina i nagle matka upadła, a jej twarz zmieniła się w krwawą maskę. Demirci strzeliła uciekającemu snajperowi w plecy, a krzyk rozdarł ją jak siekiera. Potem był telefon do ojca i płacz – Demirci do dziś nie wie: jej czy jego. W raporcie stwierdzono, że zareagowała właściwie.

Zabiła tylko ten jeden raz. Wystarczy na zawsze.

Ojciec do dziś żyje samotnie, zasklepiony we własnym cierpieniu. Nigdy nie mogła z nim o tym rozmawiać. Ale Pavlikowi opowiedziała. Pił wódkę i zadawał stosowne pytania: jaka była widoczność? Jaka była odległość między nią a tamtym mężczyzną? Ile razy strzeliła? Na stojąco czy na klęczkach? Oburącz?

Zauważyła, że Pavlik się uspokoił, gdy wspomniała mu o tym, co nie znajduje się w żadnym dotyczącym go protokole: że wie, jakie słowa są ważne i w jaki sposób należy je wypowiadać.

Demirci wypaliła przy nim jednego papierosa bez filtra. Zostali na strzelnicy jeszcze przez kilka minut. Na stole było mnóstwo konfetti, nad nimi baloniki spowite dymem. Oboje spoglądali w stronę szóstego toru.

Aaron. Jaka to dziwna kobieta. Dokładnie taka, jak Demirci słyszała i czytała, a jednak zupełnie inna.

Demirci szuka właściwego słowa. Nieszczęśliwa? Nie – smutna. Ale nie wskutek ślepoty. Demirci wcale nie jest pewna, czy Aaron odczuwa ją jako upośledzenie.

Kiedy siedziały razem przy stole, była absolutnie skupiona na niej, a jednak kontrolowała wszystko wokół. W każdej chwili wiedziała, gdzie kto jest, a Demirci nie miała zielonego pojęcia, jak ona to robi. W jakiś tajemniczy sposób, nikogo nie

obrażając, dawała do zrozumienia, że nie chce, aby przeszkadzano jej w rozmowie. Jeśli jednak jakaś trzecia osoba była mile widziana, wystarczył jeden drobny ruch, skinienie głową, otwarcie dłoni, uśmiech, a ludzie podchodzili do niej. Jej serdeczność nie była udawana, wszyscy chcieli zamienić z nią chociaż kilka słów albo po prostu jej dotknąć.

Kieruje każdą rozmową, a człowiek nawet tego nie zauważa.

Potem ten strzał. Na ślepo, z odległości osiemdziesięciu metrów. Demirci obserwowała Aaron: w chwili, gdy naciskała spust, coś wytrąciło ją z równowagi, w przeciwnym razie trafiłaby w dziesiątkę, to nie ulega wątpliwości.

Co to było? Boenisch? Holm?

Demirci nauczyła się od ojca wielu tureckich przysłów. Teraz, gdy lodowate powietrze na balkonie sprawia, że czuje się absolutnie rozbudzona, przychodzi jej na myśl jedno z nich: „Życie jest szkołą, nauczycielem jest ból”.

Sandra śpi spokojnie. Dziecko leży obok niej, jedną stópkę trzyma w ręczce, mlaska, mruczy, we śnie wtulając buzię w poduszkę. Pavlik stoi w drzwiach i zastanawia się, jak może wystawiać swoje szczęście na ryzyko.

Chłopcy wyrosli i wychudli, wiszą na nich wszystkie ubrania. Do szkoły w Anglii będą chodzili jeszcze przez miesiąc, myślą już o maturze. Rzadko telefonują, ich głosy brzmią prawie jak głosy dorosłych mężczyzn. Wkrótce nie będą potrzebowali ojca.

Aż do tego wieczoru półtora roku temu, kiedy Sandra położyła jego rękę na swoim brzuchu i powiedziała: „Zgadnij, co jest tam w środku”, Pavlik pocieszał się myślą, że jego synowie mieli ojca, dopóki było to naprawdę ważne. Do dzisiaj przemilcza to przed Sandrą. Nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Jaką pociechę stanowi dla niego to maleństwo? Jeśli nie wróci jutro do domu, córka będzie go znała jedynie z opowiadań matki, jego fotografia będzie dla niej fotografią obcego człowieka. Jakby piąstka córeczki nigdy nie obejmowała jego kciuka, jakby zapach małej nigdy nie wprawił go

w zachwyty, a jej krzyk nigdy go nie zbudził. Jakby nigdy go nie znała.

Pavlik idzie do kuchni, gdzie stoi termos z mocną czarną kawą, którą zaparzyła mu Sandra. Wiedziała, że tej nocy już się nie położy. Zawsze zresztą wie, czego mu potrzeba, co zrobił i co zrobi.

Pavlik wychodzi na ośnieżony taras i pije kawę. Ledwie słyszalny odgłos auta musi dobiegać z odległości tysiąca metrów – to maksymalny dystans, z jakiego można jeszcze usłyszeć słaby szum silnika. Pojazd znajduje się na południu – południowym zachodzie, prawdopodobnie przy odgałęzieniu kanału. Klakson Pavlik potrafiłby zlokalizować z odległości dwóch kilometrów, rozmowy – z dwustu, trzeszczenie gałęzi – z dziewięćdziesięciu, kroki – z trzydziestu. Strzelec wyborowy musi to umieć ocenić, jednak do tego stopnia stało się to częścią jego samego, że już się nad tym nie zastanawia – po prostu to wie.

Równie dobrze wiedziałby przy pełni księżyca, tuż przed przesileniem letnim, że czas, kiedy światło nadaje się do tego, by oddać celny strzał, jest bardzo krótki, a przy rosnącym półksiężycu można się starać strzelać do celu bez wzmacniacza co najwyżej do północy. Z kolei jeśli strzela się, leżąc na zboczu, w kierunku północnym lub południowym, światło księżyca jest przytłumione. Spacerując z Sandrą po parku, kiedy jest odprężony i nic go nie niepokoi, i tak automatycznie zwraca uwagę na to, żeby mieć księżyc za plecami, gdyż oświetla on drogę i oślepia wroga.

Nawet na urlopie, zasypiając w hamaku, wiedziałby, że latem proch w naboju spala się szybciej, prędkość wylotowa pocisku się zwiększa i że musiałby celować minimalnie wyżej niż przy chłodnej pogodzie.

Wskazywał na niebo i opowiadał synom o gwiazdach. Oni widzieli ich piękno – on widział warunki do oddania perfekcyjnego strzału.

Wstydy się tego.

Kubek z kawą przyjemnie ogrzewa dłoń. Ale chłód nie stanowi dla Pavlika problemu, jest z nim oswojony. Mógłby się

rozebrać do naga, stać tak godzinami, nie marznąć, i czuć, jak płatki śniegu roztopiają się na jego ciele.

Nadal ma wzrok neurochirurga. Ale kto raz spróbowałby trafić w cel wielkości pyłku, wiedziałby, że nawet milimetr ma znaczenie. Jak długo jeszcze?

Kiedy udzielił Demirci rady, że żonaty mężczyzna musi zawsze kryć nieżonatego, a nie odwrotnie, myślał o sobie samym. Koledze, który zwierzyłby mu się z czegoś takiego, powiedziałby: „Skończ z tą robotą”.

Jest masa ofert pracy – doradca, szef ochrony, niezależny ekspert. Kto był w Wydziale, może przebierać w propozycjach. Spokój, własne biurko, praca od dziewiątej do siedemnastej, papiery, które zmieściłyby się w dwóch teczkach. Honorarium byłoby obłędne. Ale jemu i Sandrze i tak wiedzie się dobrze – dom jest spleacony, to i owo odziedziczyli. Nie musi robić niczego dla pieniędzy.

Sandra go nie naciska.

Mógłby też być szkoleniowcem. Wydział ma centrum treningowe pod Beelitz w Brandenburgii, którego nazwa pochodzi od starego, podupadłego wiatraka.

A jest to młyn, że ho, ho. Wtedy byłbyś instruktorem i mężczyźni by cię nienawidzili, podobnie jak ty i wszyscy inni nienawidziliście i zawsze będziecie nienawidzić każdego trenera.

Oprócz niej.

Przypomina sobie, jaka była młodziutka, gdy do nich przyszła. Pierwsza kobieta w Wydziale, córka Jörga Aarona. Była bardzo piękna i bardzo smutna. I taka już została. Wszyscy chłopcy natychmiast się w niej zadurzyli. Oczywiście musiała być dobra, inaczej by jej nie zatrudniono. Ale każdy zadawał sobie pytanie, jak dobra jest.

On się nad tym nie zastanawiał. Jemu wystarczyły jej chód, jej spojrzenie, spokój, łatwość, z jaką wykonywała pięć rzeczy naraz. Nawet kawę nalewała sobie bezgłośnie. Swoje nazwisko nosiła niedbale, jakby na przyjęciu paradowała w dziurawych dżinsach.

Inni nie mogli się doczekać, kiedy Pavlik pojedzie z nią do

Młyna. I nie zawiedli się. Wybić się wśród takich facetów nie jest łatwo. Pavlik pamięta jeszcze, jak Aaron pierwszego dnia piła z chłopakami calimoch. Jeden z nich wypluł do swojego kieliszka ząb i zapytał:

– Gdzie się nauczyłaś tak walczyć?

– Kiedy moja matka była ze mną w ciąży, oglądała na wideo filmy z Bruce'em Lee – odpowiedziała.

Wszyscy się roześmiali. Tylko Pavlik dostrzegł kryjący się w niej strach.

Wówczas nie wiedział jeszcze o piwnicy Boenisha, opowiedziała mu o niej dużo później, gdy byli już przyjaciółmi. Wtedy właśnie została jego młodszą siostrą, nad którą czuwał. Zawsze.

Poznał się na niej – na jej hardości, łagodności i spokoju.

Siedzenie przy jej łóżku w Barcelonie było jak umieranie. To, że Aaron wkrótce potem zerwała z nim kontakt, zabolalo go bardziej niż śmierć własnego ojca. Sandra czuła się podobnie. Od tej pory nigdy nie rozmawiali o Aaron. Obojgu wydawało się, że tego nie zniosą.

Ale Pavlik nie przestał się o nią troszczyć i potajemnie obserwować ścieżkę jej kariery. Wie, że Holm zamieszkał w niej jak demon. I że ona nie spocznie, póki go nie zabije.

Przed dwoma laty Pavlik dowiedział się o jej przejściu do BKA. Jan Pieper, jego przyjaciel, jest tam śledczym. Pavlik poprosił, żeby regularnie sprawdzał komputer Aaron. Pieper nie zadawał pytań. Aaron założyła w systemie INPOL rutynowy program, który miał ją informować, gdy tylko pojawi się nazwisko Holma. Nie pojawiło się do dzisiaj.

Pavlik wie o tym, podobnie jak o jej treningach karate i o piątym stopniu *dan*, który zdobyła w ubiegłym roku.

Trzy tygodnie temu musiał pojechać na przesłuchanie do więzienia w Teglu i zobaczył tam Saschę. Łaził z zimnymi oczami, z zimnym uśmiechem na ustach, wyrzucił zimnego peta. Towarzyszyło mu trzech czy czterech więźniów, owinał ich sobie wokół palca. Ich lęk grzał go niczym ciepłe palto.

Pavlik natychmiast ściągnął wszystkie listy, które pisali do siebie Sascha i Eva Askamp. Brzmiały prawdziwie, ale jemu coś

w nich śmierdziało. Zyskał pewność, gdy znaleziono włoki psycholożki w celi Boenisha i gdy Boenisch powiedział, że chce rozmawiać wyłącznie z Aaron.

Jak Demirci może być do tego stopnia ślepa i wierzyć, że w tym wszystkim nie chodzi o Aaron? Gdyby wiedziała, co Pavlik zrobił, nie świętowałaby z nim dzisiejszego wieczoru. Na pewno już by wyleciał z pracy.

A może ja po prostu chcę, żeby ona podjęła decyzję za mnie?

Kiedy się obudził, był zdecydowany, że nic Aaron nie powie. Ale po spotkaniu z nią, po tej szczęśliwej chwili, gdy przytuliła go i szepnęła: „Lubię cię”, nie mógł niczego przed nią zataić. Miała prawo wiedzieć.

Mimo to informację, że nazwisko Evy Askamp zna skądinąd, zachował dla siebie.

Tylko człowiek ze znakomitą pamięcią nadaje się na snajpera czy strzelca wyborowego. Ciągłe musi przeszukiwać wzrokiem teren przed sobą, aby znajdować najdrobniejsze zmiany. Czy ten papieros leżał tu już przed godziną? A ten kamień, ta chusteczka higieniczna, ta kartka, ten okruch szkła? Pavlik trenował to równie wytrwale jak swoje ciało.

Wie, że kiedyś już zetknął się z nazwiskiem tej kobiety. W INPOL-u niczego jednak nie mają na jej temat.

Kiedy i gdzie o niej słyszał? Doprowadza go to do szaleństwa.

Prawie tak bardzo jak pewność, że nadejdzie dzień, w którym wydarzy się coś, co doświadczy go jak nic do tej pory.

Nie potrafi tego wyrazić. Ale to wie.

Czuje, że Sandra stoi za nim, chociaż nie słyszał, jak wchodzi. Zarzuca mu pled na ramiona, dokładnie w chwili, gdy on dostaje gęszej skórki.

– Dotarła do hotelu? – pyta.

– Tak.

– Sama?

– Przecież wiesz, że sama nie zrobi kroku.

– Nie to mam na myśli.

W jego milczeniu kryje się imię Nika, a w szepcie Sandry jej lęk.

– Nieważne, co się stanie, ty będziesz ją chronił.

Aaron się budzi. Panuje niewyobrażalna jasność, świat jest samym światłem. Jej spojrzenie frunie przez białą nieskończoność, coraz dalej, bez celu, miliony kilometrów, które są jednym mrugnięciem. Światło otacza Aaron i równocześnie jest w niej, wypełnia ją bez reszty, przepływa przez nią jak potężna rzeka. Aaron płynie w tym świetle, niesiona jego nurtem.

Jest lekka jak piórko, dryfuje w dal.

Tak już kiedyś było.

Przed miesiącem, w Wiesbaden, gdy wyszła z kina po późnym seansie, na chodniku otoczyły ją wołania, śmiech. Czowała energię wielu ludzi, ktoś ją popchnął i niepostrzeżenie znalazła się w ciasno otaczającym ją tłumie, a uczestnicy jakiejś uroczystości przesuwali ją do przodu i poszturchiwali. W końcu udało się jej wyrwać. Grupa ze śmiechem podążyła dalej, lecz Aaron straciła orientację. Nie wiedziała, w którą stronę iść, odwróciła się i zderzyła się z jakimś mężczyzną. Dygocząc na całym ciele, spytała o drogę na przystanek autobusowy.

Mężczyzna nie odpowiedział. Trzymał ją w uścisku przez chwilę, a może i przez kilka godzin – już nie pamięta. Potem zniknął.

Kiedy nazajutrz rano otworzyła oczy, wszędzie było światło. To lśnienie, potężna rzeka. Była bardzo podekscytowana i poszła do okulisty, mając nadzieję, że to może pierwsza oznaka odzyskiwania wzroku. Lekarz jednak powiedział, że Aaron widzi równie mało bieli jak przedtem czerni: niczego nie widzi, to tylko jej mózg wytwarza barwy. Są niewidomi, których świat jest szary, niebieski, a nawet zielony lub fioletowy. U jednych zmienia się on w zależności od nastroju, u innych nie. Przyczyna jest nieznana. Przykro mu, okulistyka nie należy do nauk ścisłych.

I rzeczywiście światło po kilku dniach zaczęło słabnąć. Opuściło ją i zamieniło się w spraną zasłonę, wzdymającą się na oknie, za którym panowała wieczna noc. Pewnego wieczoru, gdy Aaron kładła się spać, za zasłoną pojawiły się błyskawice. Przyglądała się im, aż wreszcie zasnęła. Po przebudzeniu patrzyła w mrok, jakby tego światła nigdy nie było.

Zadzwoiła do BKA i poinformowała, że jest chora. Kupiła bilet na kolejkę Nero. Kiedy pracowała w Wydziale, jej podróże służbowe ograniczały się do lotu samolotem, jazdy taksówką, konferencji. Koledzy z BKA byli zdania, że najlepsza jest przejażdżka starą kolejką napędzaną energią wodną: widok z góry jest niezrównany.

Aaron nigdy nie znajdowała na to czasu. Od kiedy jednak mieszka w Wiesbaden, często siada na ławce przy greckiej świątyni i wyobraża sobie ten widok. Podobno przy dobrej pogodzie można nawet zobaczyć Frankfurt.

Tamtego ranka słyszała przelatujące gołębie i śmiech dzieci. Było jej zimno. Schowała ręce do kieszeni płaszcza i w lewej wyczuła coś małego, twardego, popękanego.

Zaczęła zgadywać.

Ale nagle uświadomiła sobie, co to jest.

Ziarenko kawy.

Uderzył ją w nozdrza zapach mężczyzny, który wtedy, na ulicy przed kinem, trzymał ją w uścisku. Kwiat kamelii. Gdy zrozumiała, że był to Holm, poczuła się jak zmięta kartka papieru.

A więc znalazł ją i w każdej chwili może zabić.

Długo nie mogła przestać się trząść.

Zaledwie miesiąc po utracie wzroku poszła do trenera od orientacji ruchowej, ten jednak powiedział, że jeszcze nie może z nią pracować – przyjmuje wyłącznie klientów, którzy są niewidomi przynajmniej od roku. Nazwał to „rokiem żałoby”. Jest on konieczny, aby człowiek mógł się uporać z szokiem wywołanym niepojętymi i nieodwołalnymi wydarzeniami w jego życiu. Utrata wzroku jest równie ostateczna jak śmierć

ukochanej osoby.

Niech Aaron przeżywa swoją żalobę, powiedział, a po jej zakończeniu znów do niego zadzwoni.

Dwaj inni trenerzy również odmówili, podając podobne uzasadnienie. Czwartego znalazł jej ojciec. Aaron nie wie, co mu powiedział, ale mężczyzna zgodził się ją przyjąć. Normalnie szkolenie trwa dwa miesiące – ona przeszła je w ciągu czterech tygodni. W czasie wolnym doskonaliła zmysł równowagi, ćwiczyła jogę i tai chi, męczyła się ze swoim ciałem, które nagle stało się dla niej obce. Niekiedy obmacywała je, aby się utwierdzić w przekonaniu, że to na pewno jej własne ciało.

W czwartym tygodniu szkolenia zmarł ojciec. Na żalobę po nim również sobie nie pozwoliła. Zaczęła znów ćwiczyć karate – z początku sama, bo było to tak śmieszne, że wstydziłaby się, gdyby ktoś zobaczył jej niezgrabne ruchy i refleks, który nie zasługiwał na to miano.

Kiedy później w bibliotece pamięci Aaron wybuchł pożar, zrozpaczona zadawała sobie pytanie, czy wywołała go jej niecierpliwość. Czy utrata wspomnień była ceną za jej odmowę przeżywania żaloby?

– Musi pani przejść cztery fazy – powiedział lekarz w klinice. – Szok, wyparcie, depresję, odpuszczenie sobie.

Myślała, że zaakceptowała swój los. Ale tak się jej tylko wydawało. W obliczu pożaru po raz pierwszy przyznała sama przed sobą, że nigdy naprawdę nie usiłowała zrozumieć, co się z nią stało. Nie zakończyła dawnego życia – nadal wlokła je wszędzie ze sobą. W gruncie rzeczy stało się ono dla niej nieznośnym ciężarem i w głębi duszy marzyła o tym, żeby się go wreszcie pozbyć.

W *Powiedzmy, Gantenbein...* Frischa można przeczytać, że każdy człowiek wcześniej czy później wymyśli jakąś historię, którą uzna za swoje życie. Również Aaron musiała sobie wymyślić całkiem nowe życie, aby nie zniknąć w mroku.

Pierwszy krok był najtrudniejszy: polegał na przyznaniu się przed sobą, że jest ślepa i że oznacza to coś innego niż niemożność widzenia. Dopiero wtedy złożyła swoje dawne życie w grobie, opłakała je i stała się osobą, którą jest obecnie.

Oplakała też ojca.

Od tego poranka na wzgórzu Neroberg, gdy wokół niej fruwały gołębie i śmiały się dzieci i gdy znalazła w kieszeni płaszczka ziarenko kawy, wie, dlaczego nie poświęciła czasu na żalobę.

Ale za co Holm chce się zemścić? I dlaczego dopiero po pięciu latach? Bezustannie łamała sobie nad tym głowę. W Barcelonie zabiła Ninę Deraux, kochankę Żetonowego Oka. Początkowo rozważała możliwość, że Deraux była w ciąży nie z nim, a z Holmem, jednak podczas obdukcji przeprowadzono test DNA płodu i wykazał on, że zapłodnił ją Żetonowe Oko. Nienawiść, z jaką jego brat spojrział na nią w tunelu, na zawsze pozostała wypalona w jej siatkówce. Dlaczego Holm ścigał ją na autostradzie? Z powodu pieniędzy? Na pewno nie, pieniądze nic dla Holma nie znaczą. Samochód się przewrócił, ona leżała ślepa i bezradna we wraku, Holm mógł się zatrzymać, zabrać pieniądze i zniknąć, byłaby to dla niego łatwizna. Ale to go nie interesowało.

Z czasem stał się panem jej snów.

Kiedyś miał irokeza jak Robert de Niro w *Taksówkarzu* i powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu:

– Jesteś zbyt wolna.

Innym razem widziała siebie we śnie jako siedmioletnią dziewczynkę. Towarzyszył jej Ben, najlepszy kolega z dzieciństwa. Aaron dokładnie pamięta tamten dzień: w lesie zamarzła sadzawka i matka surowo zakazała jej wchodzić na cienki lód. On jednak kusił ją niczym ogromna tabliczka czekolady z orzechami, którą wystarczyło tylko odwinąć z papierka. A Ben był odważny, bo i ona była odważna. Trzymając się za ręce, pomknęli po białej tafli; płozy ich łyżew malowały na lodzie fantastyczne wzory. Nagle jednak Ben zaczął krzyczeć i stał się tak ciężki, że Aaron musiała go puścić. Zniknął w czarnej dziurze, wynurzył się, wyciągnął ku niej zimną rękę. Dotknęła go jedynie czubkami palców, wysliznęła się jej. Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegła, były jego łyzy.

We śnie zobaczyła, że Ben żyje. Był Holmem i chciał pociągnąć ją do odpowiedzialności za to, że go nie uratowała.

W takiej rozpaczy dniami i nocami zadawała sobie pytanie: dlaczego Holm jej tak nienawidzi?

Teraz wrócił, a Aaron przez ostatni miesiąc czekała wyłącznie na chwilę, kiedy ponownie stanie naprzeciw niego.

On sam zdecyduje kiedy. Jak mogłam być tak naiwna i polecieć do Berlina? Ale może właśnie tego chciałam.

Teraz, o szóstej rano w hotelu Jowisz, Aaron wie, że jest w znakomitej formie fizycznej. Gdyby na dachu Pavlik po raz drugi rzucił jej paczkę papierosów, złapałaby by ją. A gdyby znów stanęła na torze numer sześć...

Nie bądź wyniosła. Jesteś inwalidką. Nie możesz mierzyć się z Holmem. A drugiej szansy ci nie da. Jeśli w ogóle dostaniesz jeszcze jakąś szansę.

Idzie do łazienki, staje przed lustrem i, jak co rano, wyobraża sobie swoją twarz. Ciągłe widzi siebie na tej jednej fotografii: z szeroko rozstawionymi nogami pozuje do zdjęcia na tarasie Sandry i Pavlika, na głowie ma kowbojski kapelusz bliźniaków, z kabur wyciąga dwa zabawkowe rewolwery i śmieje się. To jej jedyne wspomnienie własnej twarzy. Nigdy się nie zestarzeje, zawsze będzie wyglądać tak jak w tamtym momencie na tarasie.

W każdym chramie shintō znajduje się lustro. Kiedy się w nie patrzy, można poznać samego siebie: zobaczyć własną odwagę i własny strach.

Zobaczyć to, kim się jest.

Aaron musi podążać za swoim przeznaczeniem. Wydział nie zdoła jej ochronić, choćby nie wiadomo jak próbował. Kiedy stanie naprzeciw Holma, będzie sama, wyłącznie z tym światłem w sobie. Ale ono pozbawia jej ciało energii, wabi ją, pragnie skusić, aby rzuciła się przed siebie. Jakże chętnie Aaron wzięłaby tabletkę na pobudzenie. Zamiast tego idzie pod prysznic: zimna woda, gorąca, znowu zimna. Tysiące ostrych igiełek wyostrzają jej myśli. Zacznie ten dzień od zgubienia obu mężczyzn, którzy zastąpili Kleffa i Roggego. Jest przekonana, że Pavlik wybrał najlepszych, będzie to więc dobre ćwiczenie.

Zna swój cel.

Bardzo mi przykro, ta kamelia jest już sprzedana.

Wychodząc spod prysznic, nie zakręca wody. Niech leci. Myje zęby, nastawia muzykę – od wczoraj wie, gdzie są przyciski w radioodbiorniku. Wychodzi z łazienki, wyczuwa śrubkę z podłużnym rowkiem pod klamką, którą można otworzyć drzwi z zewnątrz. Rygluje je za pomocą monety.

Ubiera się. Cicho uderza językiem o podniebienie. Odbiera echo drzwi łączących jej pokój z sąsiednim, dzięki którym w razie potrzeby można z obydwu zrobić apartament. Na pewno jest niezamieszkały, Pavlik musiał tego dopilnować.

Wyjętą z torebki klamerką do włosów otwiera drzwi. Nasłuchuje. Gdyby się pomyliła i ktoś by się tam obudził, przedstawiałaby sobą dość komiczny widok.

Ale jest cicho. Nikt nie oddycha.

Dobrze.

Chowa do kieszeni dzinsów telefon komórkowy i kilka banknotów, wkłada płaszcz i z szuflady szafki nocnej zabiera hotelową Biblię. Ponownie uderza językiem o podniebienie. Kiedy jest maksymalnie skupiona, może znaleźć nawet przedmioty o grubości dwóch centymetrów. Namierza lampę stojącą i idzie w jej stronę. Obok jest szklany stolik.

Aaron chwyta lampę, wali metalową podstawą o stolik i upuszcza lampę na ziemię.

Natychmiast rozlega się pukanie do drzwi.

– Aaron? No, wszystko w porządku?

Aaron wie, kto to jest: Peschel. Człowiek, który większość zdań poprzedza słówkiem „no”. Choć bez przerwy je słodczy, nie tyje. Ma troje dzieci z trzema różnymi kobietami.

To najlepszy ochroniarz w Wydziale.

Dzięki, Pavlik.

– No, jeśli nie otworzysz, będziemy musieli wkroczyć. Aaron?

Aaron bierze swoje czółenka do ręki, przemyka z Biblią i ze złożoną laską teleskopową do sąsiedniego pokoju, cicho zamyka drzwi łączące oba pomieszczenia i odlicza piętnaście sekund, aż ochroniarze zaczną podejrzewać, że coś się tu nie zgadza. A potem kolejne pięć, zanim zaczną działać.

Pukanie się nasila.

– Kobieto, powiedz coś!

Aaron liczy bezgłośnie. Po dwudziestu sekundach drzwi z trzaskiem wylatują z futryn. Obaj ochroniarze wpadają do jej pokoju, wymyka się więc na korytarz i kieruje w lewo.

Nikt jej nie woła. Dobrze.

Opuszcza ramiona i idzie lekko przed siebie, gruba wykładzina dywanowa tłumi jej kroki. W jednej ręce Aaron trzyma laskę i czólenka, w drugiej Biblię.

Co może się zdarzyć? Mogę się potknąć o jakąś przeszkodę i narobić rabanu. Nie, to mało prawdopodobne. Co o tej porze mogłoby mi stanąć na drodze?

Wie, że korytarz rozgałęzia się po osiemdziesięciu krokach, zbliża się więc do tego miejsca nieśpiesznie, swobodnie i bezgłośnie. Dobiega ją bardzo cichy odgłos pukania do jej drzwi łazienkowych. Czyta w myślach mężczyzn: „Aaron bierze prysznic, radio ryczy – pewnie dlatego nie słyszy”. Widzą rozbity szklany stolik, lampę. „Ale to przecież czternaste piętro, fasada hotelu jest gładka, okno nieuszkodzone – nikt nie mógł wtargnąć do pokoju”.

Zaszczepiono im, żeby w takiej sytuacji stosowali „brzytwę Ockhama”: jeśli istnieje kilka możliwości, zawsze decyduj się na najprostszą.

Peschel zna Aaron. Pewnie myśli teraz: „Jest świetna, ale jak jej odbije, zdarza się, że coś zniszczy”. Znajduje się pod presją, musiała dać upust swoim uczuciom, odreagowała więc na stoliku. Byłoby czymś okropnym otworzyć drzwi do łazienki, stanąć przed nagą Aaron i musieć wyjąkać: „Przepraszam”.

Oczywiście nie odstraszy ich to na dłuższą metę – wytrzymają jeszcze trzydzieści sekund, a potem jeden naciśnie kłamkę i zauważy, że drzwi są zamknięte. „Dlaczego miałyby się zamykać, będąc sama?” Wyłamią więc drzwi.

Trzymając się prawej strony, Aaron trafia do rozgałęzienia i po dwudziestu metrach dociera do windy. Wymacuje guzik, naciska go, wkłada czólenka.

Co się może zdarzyć? Po pierwsze: winda potrzebuje bardzo dużo czasu. Po drugie: może nie pojechać na dół, tylko do góry.

Trzask drewna – ochroniarze stracili cierpliwość szybciej, niż

Aaron myślała, i rozwalili drzwi do łazienki. Teraz już wiedzą. Aaron daje im dziesięć sekund, aby zdążyli do windy. Muszą się teraz w popłochu zastanawiać: „Do diabła, gdzie ona jest?”

Drzwi się otwierają i Aaron wskakuje do kabiny. Który przycisk na parter? Ten na samym dole? Nie, hotel nie ma wprawdzie podziemnego garażu, ale w suterenie jest centrum wellness.

Dudniące kroki. Aaron naciska drugi przycisk od dołu. Drzwi zamykają się tak powoli, że gdy wreszcie winda zaczyna zjeżdżać, Peschel jeszcze wali w nie pięściami. Aaron słyszy jego głuchy ryk:

– No, co to ma znaczyć, do diabła!?

Jeden na pewno wezwie windę z powrotem do góry, drugi zbiegnie po schodach.

Maksymalnie osiemdziesiąt sekund.

Na styk. Ledwie na styk.

Dzięki Bogu winda jest szybka. Mimo to Aaron wydaje się, że mija potwornie dużo czasu, zanim się zatrzymuje. Teraz wszystko się rozstrzygnie: jeśli wysiądzie, a okaże się, że nie jest to lobby, lecz inne piętro, może zapomnieć o swoim planie.

Staje w smudze światła. Cicha klasyczna muzyka, dzwonek telefonu, stukot klawiatury, turkotanie walizki na kółkach po marmurze. Z ulgą kładzie Biblię na progu windy, żeby zablokować jej możliwość jazdy w górę. Podąża za turkotem walizki, otwiera laskę, trzyma ją jak ołówek i wymachuje nią jak na szkoleniowym wideo dla trenerów zajęć ruchowych.

Coś znajduje się na jej drodze. Wyciąga rękę – skóra, komplet foteli. Przytrzymując się, idzie wzdłuż nich, okrąża przeszkodę, znów wymachuje laską. Droga wolna.

Uderza o metalowy kant drzwi obrotowych.

Teraz nastąpi najtrudniejsza część zadania.

Będzie musiała zniknąć – i to w ciągu pięćdziesięciu sekund.

Powietrze jest zimne i mokre, spaliny mieszają się ze śniegiem. Miasto ziewa, przewraca się na bok, jeszcze nie ma ochoty się przebudzić. Drzemie w szumie zamiatarki, ospałym stukocie silników, skrzypieniu opon, oddalającym się turkocie walizki.

Wszystko jest powolne.

Tylko ona jest szybka.

Uderza językiem o podniebienie – do krawężnika są cztery kroki. Prawie się pośliznęła, ale łapie równowagę i wychodzi zza dźwiękowej kurtyny zaparkowanych samochodów. Ceni sobie ulice, na których panuje ożywiony ruch – strumień pojazdów pomaga się odnaleźć w przestrzeni. Kiedy auta zatrzymują się jedno po drugim, łatwo można się zorientować, gdzie jest sygnalizacja świetlna. Znacznie trudniej jest na spokojnej ulicy, gdzie przejście na drugą stronę wiąże się z ryzykiem, że zza zakrętu nagle wyskoczy jakiś samochód.

Tu, na Leipziger Strasse, za daleko jest do następnej sygnalizacji. Ruch bywa o tej porze nieregularny, auta przejeżdżają z różną częstotliwością. Żeby przeciąć jezdnię, Aaron ma zaledwie od dwóch do pięciu sekund. Wie, że chcąc dotrzeć do środka czteropasmowej ulicy, potrzebuje siedmiu kroków.

Druga cnota: *yu* – odwaga i wytrwałość.

Rusza szybko przed siebie z wyciągniętą laską.

Zobaczcie mnie, proszę! Nie śpijcie!

Żadnych klaksonów. Szczęśliwie uchwyciła doskonały moment. Stoi na pasie dzielącym ulicę na pół, w jej piersi pracuje wyłaczarka.

Aaron koncentruje się na wybraniu właściwej chwili i zaczyna biec. Tym razem samochody muszą hamować, ślizgają się; jeden zahacza o jej laskę, prawie wytrąca ją Aaron z ręki. Ona

biegnie do światła i wyobraża sobie, że auta również są z niego ulepione.

Jedynie światło, nieważkie, czyste światło nie może jej zranić.

Towarzyszy jej koncert klaksonów, ale daje radę, dociera na drugą stronę.

Mam jeszcze przynajmniej dwadzieścia sekund – wystarczy!

W euforii znajduje laską lukę między dwoma zaparkowanymi pojazdami, za którymi może się ukryć. Wie, że ochroniarze właśnie wybiegają z Jowisza, przeszukują wzrokiem ulicę i poddają się, zgrzytając zębami.

Nieźle jak na niewidomą!

Przykro jej tylko, że Pavlik da im nauczkę.

Nagle się zatrzymuje, uderzając kolanem o jakąś przeszkodę. Obmacuje ją. W tym samym momencie, w którym orientuje się, co to jest, oblewa ją zimny pot.

Wbiega między ciężarówkę a przyczepę, a to, co czuje na swoim kolanie, to zaczep. Ktoś włącza silnik, ciężarówka rusza.

Adrenalina zalewa tętnice, jak gdyby przerwała się tama. Aaron wskakuje na dyszel, jest teraz pasażerem na gapę. Wszystko dzieje się z obłądną prędkością, ale Aaron czas dłuży się w nieskończoność. Musi wypuścić z rąk laskę, która dostaje się pod koła. Słyszy, jak samochód ją miażdży, słyszy głuchy rumor silnika, metalowy trzask pod swoimi stopami, łopot plandeki za sobą, nawet dźwięk kierunkowskazu, i to wszystko jest nie do wytrzymania.

Podczas gdy ciężarówka włącza się do ruchu i przyśpiesza, Aaron wspina się na czubki palców i zaczyna balansować – stanięcie na zaczepie całymi stopami oznaczałoby pewną śmierć. Dłońmi szuka oparcia i znajduje szparę służącą jako wywietrznik. Niczym wspinacz wciska w nią palce jednej ręki, a drugą wali w blachę, mając bezsensowną nadzieję, że kierowca ją usłyszy. Ale ciężarówka przyśpiesza jeszcze bardziej. Zakręt w prawo. Kołysanie. Dyszel się opiera. Aaron musi przestać walić, potrzebne są jej palce obu rąk.

I wtedy się ześlizguje.

Przez chwilę stoi na dyszlu jak surfer, który chwycił monstrialną falę. Wie, że jeśli teraz zrobi fałszywy krok,

umrze. Wszystko odbywa się jeszcze wolniej, świat prawie zamiera w bezruchu.

Pada do tyłu, prawą nogą wykonuje zamach. Zapiera się stopą o przednią ścianę przyczepy, drugą udaje jej się utrzymać się na dyszlu. Przyciska plecy do plastikowej plandeki i rozpościera ręce, aby zwiększyć powierzchnię ciała. Plandeka jest napięta, Aaron wie, że to ratuje jej życie. Trwa w tej pozycji przez kolejne sekundy.

Muszę wytrzymać do czerwonego światła, wtedy zeskoczę. Ale skąd będę wiedziała, że to sygnalizacja? Jeśli kierowca zatrzyma się na krótko i natychmiast ruszy, zabiję się.

Kierowca również surfuje na fali – ta jego jest zielona.

Kolejny zakręt, tym razem ostry, w lewo. Nogi Aaron rozjeżdżają się tak bardzo, że niemal tworzą szpagat.

Aaron widzi całą tę akcję oczyma wyobraźni i ocenia, że ma pięć procent szans. Podwija lewą nogę, stoi na dyszlu jak flaming. Całą siłę przerzuca na lewą nogę i rzuca się do przodu. Jeśli przy pierwszej próbie nie uchwyci się rozdarcia w plandecę, będzie to ostatni ruch w jej życiu.

Jedną ręką sięga w próżnię, ale druga znajduje blachę. Aaron podciąga się na środkowym palcu, chwyta metal drugą ręką, jakimś cudem utrzymuje równowagę. Nagle zostaje przyciśnięta do ściany pojazdu. Piszcza hamulce.

Ciężarówka się zatrzymuje.

Aaron gorączkowo kalkuluje, czy nie zeskoczyć.

Tak! Zrób to!

Jednak wtedy właśnie kierowca dodaje gazu i następuje szarpnięcie. Zatrzymał się więc tylko przed jakimś pieszym, rowerzystą, psem... Aaron, zdecydowana zeskoczyć, odrobinę rozluźnia mięśnie, a wtedy dyszel ucieka jej spod nóg. Teraz wisi już tylko na trzech palcach, jej stopy dyndają w próżni. Szukają dyszla, ale go nie znajdują.

To koniec.

W momencie, gdy Aaron traci oparcie, ciężarówka ponownie hamuje. Aaron pada z prawej strony dyszla na asfalt. Zwija się w kłębek, żeby uniknąć uderzenia naczepy. Rzuca ją pod podwozie i nie może zrobić już absolutnie nic – jest załedwie

szyszką jodłową, zwiędłym liściem, płatkami śniegu, pyłkiem, którym wiatr może pomiatać, jak tylko chce. Adrenalina zalewa organizm. Aaron krzyczy, uderza o jakąś przeszkodę.

Brak jej oddechu, wciąga w płuca oszałamiający strach.

Zmusza się, żeby obmacać przeszkodę.

Koło. Duże.

W głowie Aaron kłębi się tysiąc myśli. Tłoczą się, popychają, śpieszą się jak głupie, każda chce być pierwsza. W końcu do świadomości przedostają się dwa pytania:

Z prawej czy z lewej?

Ile pasów ruchu?

Decyduje się na najbardziej prawdopodobne rozwiązanie i wypelza spod naczepy z prawej strony. Silnik nie pracuje. Aaron czuje ciepłą, mokrą osłonę chłodnicy, obmacując zderzak, przesuwa się do przodu i potyka się o krawężnik.

Za nią zatrzymują się samochody. Ciężarówka jest taka cicha, jakby była oddalona o pięć ulic. Aaron chce pstryknąć palcami, ale są zupełnie zeszywniałe. Usiłuje uderzyć językiem o podniebienie, lecz wytwarza tylko suche cmoknięcie. Próbuje ponownie, raz za razem, czuje jednak, że głowa jej pęka. To przecież jakby się starać przekrzyczeć burzę. Mimo to udaje się jej wydać z siebie żałośnie cienki dźwięk.

Echo wraca. Jakiś budynek.

Aaron rusza, uderza o ścianę. Te siedem kroków do drzwi wejściowych wykonuje na nieswoich nogach. Pada na schodach. Adrenalina jest już tylko strumyczkiem w porównaniu z wcześniejszą potężną falą.

Dygocząc, Aaron stuka w swój zegarek. Komputerowy głos informuje rzeczowo: „Siódmy stycznia. Czwartek. Godzina szósta, siedemnaście minut, jedenaście sekund”. Wyszła z hotelu zaledwie przed dwoma minutami.

W jej dzinsach wibruje telefon. Pavlik.

Przypływ nowej fali – tym razem są to łzy. Aaron siedzi przed jakimś domem nie wiadomo gdzie i płacze, jednak nie z powodu tego, co wydarzyło się w ciągu tych dwóch minut.

Ból ma wiele imion: Boenisch, Barcelona, Holm, Niko, Sandra, ojciec, wszyscy inni. Nie chce już być silna. Nie musi

być silna. Nie może być silna. Szlocha tak długo, dopóki nie zabraknie jej łez. Potem czuje się jak martwa i nie może nawet unieść głowy, gdy nagle słyszy uprzejmy, zatroskany głos.

– Źle się pani czuje? Potrzebuje pani pomocy? – pyta jakiś mężczyzna.

A ona nie ma nawet siły odpowiedzieć.

– Czy mówi pani po niemiecku?

Jakoś udaje się jej chwiejnie podnieść.

– Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jestem?

– Na miłość boską, jak pani wygląda?

Aaron dopiero teraz uzmysławia sobie, że po upadku pod ciężarówkę i pełnieniu przez błoto musi wyglądać strasznie.

– Jest pani poraniona.

– Gdzie?

– Na rękach.

Krew, zdarta skóra. Mimo to Aaron nie czuje bólu, jest odrętwiała. Porusza palcami. Jest nieźle.

– To nic. Proszę, to naprawdę bardzo ważne, żeby mi pan powiedział, gdzie jestem.

– Pani chyba nie pochodzi z Berlina?

– Dlaczego pan tak uważa?

– Bo patrzy pani wprost na pomnik ofiar Holokaustu.

– Jestem niewidoma.

– Nie sprawia pani takiego wrażenia.

– Wiem. Czy mógłby mi pan wezwać taksówkę?

Samochód wkrótce podjeżdża. Jadą obwodnicą miejską. Wycieraczki są wyłączone, a więc śnieg już nie pada. Aaron opiera czoło o lodowatą szybę, ręką wyczuwa w kieszeni płaszczka ziarenko kawy. I tylko jedna myśl kręci się w nieskończoność w jej głowie:

Jak mam stawić czoła Holmowi, skoro nie udaje mi się przejść przez ulicę?

Telefon komórkowy ponownie wibruje, Pavlik dzwoni po raz trzeci. Po chwili Aaron włącza pocztę głosową i odsłuchuje wiadomość: „Co ty sobie wyobrażasz? Całkiem zwariowałaś? Gdzie się podziewasz? Jeśli zaraz się nie zgłosisz, każę rozpocząć za tobą pościg”.

Nieznacznie zniżył głos. Taki wściekłego widziała go tylko raz, kiedy bliźniaki miały po jedenaście lat i pewnego dnia nie wróciły po szkole do domu. Aaron z Sandrą i Pavlikiem siedzieli godzinami, szalejąc ze strachu, gdy tymczasem trwały poszukiwania. O dziesiątej wieczorem chłopcy stanęli wreszcie w drzwiach. Obaj durzyli się w pewnej dziewczynce z równoległej klasy, tego dnia rozbili swoje skarbonki i postanowili zaprosić ją na łyżwy i na jarmark bożonarodzeniowy, a przy okazji trochę pozadzierać nosa.

Pavlik obu spoliczkował. Puścili się pędem do swojego pokoju i zatrzęsnęli drzwi. Aaron usiadła na podłodze i zaczęła opowiadać, jak w wieku jedenastu lat zakochała się w pewnym chłopcu, słodkim jak cukiereczek. W końcu wpuścili ją do środka. Rozmawiała z nimi jak z dorosłymi, podczas gdy Pavlik miotał się w garażu, ciskając narzędziami, a Sandra usiłowała go uspokoić.

Aaron powiedziała, że ojciec spoliczkował ich nie ze złości, ale dlatego, że poczuł ulgę. Zapytała, co to za dziewczynka, a chłopcy zaczęli się spierać o to, co w niej jest najwspanialsze: bujne włosy, piegi czy wspaniała umiejętność gwizdania na jednym palcu. Poradziła im, żeby szybko wyjaśnili, którego z nich woli owa dziewczynka, bo inaczej powstanie spory galimatias. Pogładziła każdego po głowie i powiedziała, że jutro wszystko będzie dobrze. I że w ciągu kolejnych dni powinni pomóc ojcu posprzątać garaż. Na koniec napomknęła, że na pewno nie zaszkodzi, jeśli uporają się z panującym w pokoju bałaganem, który ich matkę doprowadza do rozpacz.

Pavlik gdzieś pojechał i wrócił dopiero po jakimś czasie, gdy Aaron i Sandra nałały sobie po lampce wina. Był u matki owej dziewczynki, aby przeprosić za synów, kobieta była jednak pijana i nawet nie zauważyła, że córki nie ma w domu. Tego już Pavlik nie mógł ścierpieć. Postawił na stole wódkę, nawet Sandra nie zdołała go udobruchać. Kiedy na nią warknął, zostawiła go samego z Aaronem.

Przyjaciółka chciała z nim porozmawiać, ale ofuknął ją gniewnie, mówiąc, że tego nie zrozumie, bo przecież nie ma rodziny. Wtedy Aaron wstała, sięgnęła do kieszeni kurtki

i położyła na stole zdjęcie – to, o którym myśli, gdy wyobraża sobie swoją twarz. Samowyzwalacz. Aaron, Sandra, Pavlik i bliźniaki, wszyscy przebrani za kowbojów i Indian. Zawsze liczyła się tylko ich piątka, a potem długo nic. Aaron zawsze nosiła to zdjęcie ze sobą, chyba że uczestniczyła w jakiejś tajnej akcji.

Wyszła bez słowa pożegnania.

Nazajutrz rano poleciała do Barcelony.

W klinice Pavlik nie okazywał współczucia, jego sposobem na przeżywanie smutku była pozorna obojętność. Przed wyjściem wsunął coś Aaron do ręki – natychmiast się domyśliła, co to jest. Kiedy poszedł, przycisnęła do piersi fotografię, na której od tej pory będzie sama, jak gdyby nigdy nie było tam nikogo innego.

Taksówkarz prowadzi ją do drzwi. Aaron prosi, aby zadzwonił pod nazwisko Askamp. Nie, niech nie czeka. Zakłada, że ludzie, którzy obserwują dom, już telefonują do Pavlika. Jeśli nikt nie otworzy, ona zostanie tutaj, dopóki on nie przyjedzie i nie da upustu swojej złości.

Naciska klamkę i drzwi wejściowe się otwierają. Wchodzi do środka i ostrożnie kieruje się w stronę schodów. Nie wie, na które piętro ma iść. Zatrzymuje się między kondygnacjami.

– Pani Askamp? – woła cicho.

Brak odpowiedzi.

Idzie o jedno piętro wyżej. Uderza językiem o podniebienie. Echo wskazuje jej otwarte drzwi do mieszkania.

– Pani Askamp?

Coś przemyka obok. Kot, miaucząc, zbiega po schodach.

Aaron czuje w głowie szum tak mocny, że zagłusza bicie jej serca. Zdejmuje czółenka i płaszcz, upuszcza go. Wchodzi do mieszkania. Czuje zapach kamelii. Potyka się. Klęka i wymacuje rękami nieruchome ciało. Jest małe – to dziecko. Aaron spada w bezkresną otchłań. Szuka pulsu – jest, mały żyje. Naraz wysoko ponad nią dźwięczy muzyka z głośniczka telefonu komórkowego.

Pretty woman, walking down the street.

Pretty woman, the kind I like to meet.

W jednej chwili robi jej się lodowato. Drzwi się zamykają. Czyjaś ręka chwyta ją, wyciąga z otchłani, jakby była lalką, i ciska nią o twardą podłogę.

Aaron czołga się przez tunel strachu. Ognisty błysk przesywa światło, wybucha i głuźnie w nagłym mroku. W piersi Aaron ściany tunelu nasuwają się na siebie. Chce zaczerpnąć powietrza. Tymczasem znajduje uchwyt szuflady i podciąga się na nim. Przyciski. Piecyk. Kuchnia.

Na szeroko rozstawionych nogach przechodzi do pozycji ataku. Zgina kolano i wyrzuca nogę do przodu, prawą dłoń zaciska w pięść i wyciąga przed siebie, lewą trzyma przy ciele. Głos Holma dobiega z zaświatów:

– To miłe, że przyjmuje pani moje zaproszenie.

Stoi naprzeciw niej.

Dwa metry.

Aaron sunie w jego stronę i lewą nogą kopie go w kolano. Równocześnie obraca się dokoła i pięścią wyprowadza cios w kość łonową.

W chwili, gdy Holm odskakuje na bok, ona nie czuje nawet ruchu powietrza. Uderza w próżnię, a impet tego uderzenia rzuca ją na futrynę drzwi. Roy Orbison śpiewa ckliwie:

I'll treat you right, come to me, baby, be mine tonight.

Głos Holma brzmi jak powiew wiatru nad świeżym grobem:

– To już wszystko?

Aaron doskakuje do niego z wyciągniętymi rękami, jakby chciała go objąć. Uderza, ale nie trafia w jego głowę, tylko klaszcze we własne puste dłonie. Holm znów bezgłośnie zmienia pozycję, stoi teraz bokiem do niej.

– Bardzo efektywne uderzenie, jeśli trafi w cel – stwierdza. – Aby zniszczyć moje błony bębenkowe, wystarczy ciśnienie jednego bara. Można tym zabić muchę. Uważa mnie pani za muchę?

Aaron usiłuje powiązać ten głos z głosem mężczyzny, który w Barcelonie powiedział do niej szarmancko: „Na panią poczekałbym nawet dwie minuty”. Nic z tego. Wie, że Holm

z nią rozmawia, jest jednak jakiś inny. Nie – on tylko zrzucił skórę i pokazuje, kim zawsze był: jej demonem.

– Dlaczego ja? – pyta Aaron drżącym głosem.

Słowa wyfruwają z jego ust jak popiół:

– *„Życiem ci winien, lecz gdy o cześć idzie, / Co i po śmierci ma żyć na mym grobie, / W łup czarnej hańby nie oddam jej tobie”³.*

Czuje, że Holm wychodzi, choć porusza się absolutnie bezgłośnie. Chce wyciągnąć telefon komórkowy z dzinsów, ale nie od razu się jej to udaje, bo brak jej czucia w palcach. Wreszcie zamyka na nim dłoń.

Holm wraca. Obojętnie wytrąca jej z ręki telefon, który leci przez całą kuchnię.

Naraz na posadzkę upada coś ciężkiego. Aaron słyszy głuchy, żaloszny odgłos – jest jak skarga zwierzęcia, które dostało się w sidła.

– Ta kobieta i ja istniejemy w zupełnie innych światach – mówi Holm. – Kiedy ona krzyczy w swoim świecie, ja w moim nawet tego nie słyszę.

Zadaje Evie Askamp ból, rani ją. Ona, zakneblowana, próbuje krzyczeć. Brzmi to tak, jakby ktoś rozcierał szkło w mózdzierzu.

Myśli Aaron z błyskawiczną prędkością gnają przez synapsy. Stoi plecami do piecyka. Prawie w każdej kuchni znajduje się blok na noże. Jeśli Eva Askamp jest praworęczna, to będzie po prawej stronie piecyka.

Aaron obraca się, przesuwając ręką po blacie, wyrzuca z bloku duży nóż. Teraz, gdy Holm do niej doskakuje, Aaron czuje ruch powietrza. Lewą nogą robi wymach do tyłu i trafia go w skroń. Z nadzieją, że Holm zatoczy się w prawo, rzuca nożem nad głowę. Wie, że nie chybiła. Holm kwiczy zaskoczony. Aaron robi półprzewrót, przytrzymuje mężczyznę kostkami nóg i trzyma jego głowę niczym w ścisłym śrubowym. Holm upada. Aaron dusi go skrzyżowanymi nogami, prawy łokieć wwierca mu w nerkę, lewą uderza go w krocze i wykręca mu rękę.

Pięść Holma trafia ją najpierw w kość jarzmową, a zaraz

³ W. Szekspir, *Tragedia Ryszarda II*, przeł. S. Koźmian, Warszawa 1963, s. 120.

potem między podbródek a dolną wargę. Ból rozsadza jej głowę, nie ma wyjścia, musi puścić Holma. On podnosi się sprężystym ruchem, chwytą ją za włosy i rzuca nią o ścianę. Aaron leży, nie czuje ciała.

Holm wyłącza muzykę. Żuje popiół i wypluwa go.

– Tę bliznę będę czuł i będę jej dotykał, póki żyję. Dziękuję pani za nią. – Rzuca nóż na posadzkę. – Policzę teraz do dziesięciu, a pani powie, dlaczego ścigałem panią w Barcelonie. Jeśli się pani pomyli, zabiję tę kobietę.

Lzy rozpaczy cisną się Aaron do oczu.

– Raz.

– Postrzeliłam pańskiego brata.

Wie, że to nie to.

– Dwa.

– Zabiłam jego kochankę.

To także nie to.

– Trzy.

– Miałam pieniądze.

Znowu pudło.

– Cztery.

– Dlaczego ja!?

– Pięć.

– Zostawiłam Nika samego.

– Sześć.

– Okazałam się tchórzem.

– Siedem.

– Nienawidzę siebie za to...

– Osiem.

– Proszę. Niech pan nie zadaje już bólu tej kobiecie.

– Dziewięć.

Aaron błaga:

– Niech pan zabije mnie, a ją oszczędzi!

– Dam pani jeszcze jedną szansę – mówi Holm zimno i zdecydowanie. – Proszę się nie śpieszyć z odpowiedzią, od niej zależy życie tej kobiety.

Delektuje się mijającymi sekundami.

– O czym pomyślałem, kiedy spojrzeliśmy na siebie w tunelu?

– Oko za oko – szepcze Aaron.

– Dziesięć.

Eva Askamp nie wydaje nawet jęku. Panuje tylko cisza, przeraźliwa cisza. Aaron ponownie wpada w otchłań. Leży tam z chłopcem i kobietą, czekając na śmierć.

W ciemności opada na nią popiół. „Przyjmij, gdy moje życie się skończy, trawiącą mnie miłość do ciebie. Z dymu, który unosi się z mojego płonącego ciała”⁴.

Aaron nie słyszy Holma, wie jednak, że wyszedł. Całą wieczność leży w bezdennej czeluści, aż wreszcie jej serce znów zaczyna bić. Bardzo się boi wyciągnąć rękę. Kobieta nie żyje, na jej łonie leży kwiat kamelii. Aaron ma krew na ręce. Przyciąga Evę Askamp do siebie, wyjmując jej z ust knebel, kołysze ją w ramionach, umiera po raz drugi, trzeci, czwarty.

Kroki na korytarzu.

On wraca.

Aaron czołga się po podłodze, szukając noża. Znajduje go i rzuca w kierunku, z którego dochodzą kroki. Słyszy, że ostrze więźnie w futrynie i drży.

– Aaron, to ja.

Pavlik.

Aaron chce się wydostać z otchłani, ale ześlizguje się głębiej. Czepia się kamieni, lecz spada, osuwa się coraz niżej. Wreszcie czuje, że Pavlik delikatnie ją podnosi. Trzyma ją mocno, ona opiera głowę o jego klatkę piersiową. Wspomnienia mkną i wirują jak płatki śniegu na wietrze. Aaron zagląda do torby ze skrawkami gazet. Otwiera szkatułkę ze starfire'em. Kładzie rękę na telewizorze Boenisha. Całuje Nika na Džamaa el-Fina. Pije limoncello z Sandrą. Leży na lodzie i wyciąga rękę do Bena. W lusterku wstecznym widzi audi. Opłakuje kobietę z hotelu Aralsk. Bierze od Nika pieczone kasztany. Widzi, że Ben tonie w głębinie. To tylko śnieżynki – oddalają się szybko i nikną na zawsze.

Pavlik głaszcze ją po włosach.

– Znalazłem cię.

Aaron otwiera oczy. Ledwie może poruszać językiem.

4 Y. Tsunetomo, *Hagakure. Sekretna księga samurajów* (przekład tłum.).

- Co z chłopcem?
 - Żyje, jest odurzony.
 - Jak Holm dostał się do budynku?
 - Przez mur na podwórzu.
 - Dlaczego nie było tam żadnego z twoich ludzi?
- Czuje, że Pavlik drży.
- Był Butz. Holm go zabił.

Butz.

- Kto do ciebie zadzwonił?
 - Nikt. Wiedziałem, że tu jesteś.
 - Gdzie są ludzie, którzy byli przed domem?
- Pavlik nie odpowiada.

Proszę, nie mów.

- Dwa strzały w głowę z bliskiej odległości.

Pavlik prowadzi ją przez korytarz Wydziału. Nie mówi ani słowa. Aaron wie jednak, że idą przez szpaler milczących mężczyzn. Trzech martwych kolegów. Pavlik przydzielił ich jej, nie informując o tym Demirci. Dopiero teraz dociera do Aaron, co to znaczy.

– Pavlik... – szepcze.

Idzie z nią do toalety, zamyka drzwi. Z trudem dobywa z siebie głos.

– To nie była twoja wina.

Aaron osuwa się po ścianie. Pavlik siada naprzeciw niej.

– Jak umarł Butz?

– Skrecony kark. Żadnych śladów walki.

Jeden z najlepszych. Nawet nie zauważył Holma.

– Był na urlopie, ale ze względu na ciebie zgłosił się dobrowolnie. Srał na Demirci.

Aaron widzi siebie, jak po omacku idzie do furtki ogrodowej ojca. Mijają ją mężczyźni niosący jakiś ciężar. Znajomy głos mówi: „To ja, Butz”.

Kiedy jeszcze był w BKA, podczas pewnej akcji ocalił życie jednemu z ludzi Jörga Aarona, narażając własne. Choć dzielili ich trzydzieści lat, zostali przyjaciółmi. O ile Aaron wie, ojciec miał tylko trzech przyjaciół. Podczas akcji ani ona, ani Butz nigdy nie kierowali się względami osobistymi.

Aż do Antwerpii.

Jest to jedno ze wspomnień, które Aaron zapisała, zanim odeszły w niepamięć: poleciała z Butzem do Antwerpii na „próbę czystości”. Wręczyli tam ludziom, od których chcieli kupić pięćdziesiąt kilogramów heroiny, dwa pistolety maszynowe z usuniętymi numerami seryjnymi, aby udowodnić im, że są godni zaufania. Podejrzewali, że łącznicy pracują dla Eycka de Friesa, największego handlarza narkotyków

w Europie. To właśnie jego chcieli zwabić.

Pistolety maszynowe były ich biletami wstępu, deal z heroiną miał się odbyć w starych koszarach. W wieczór poprzedzający spotkanie Butz był zdenerwowany. Takim go Aaron nie znała. Zamówił jałowcówkę, chociaż nigdy nie pił. Miał przekonanie, że wykryto ich tożsamość, ale nie potrafił tego uzasadnić.

– Ten jeden raz posłucham swojego instynktu – stwierdził.

Wiele zainwestowali w tę sprawę. Aaron wyperswadowała Butzowi zmianę planów i w końcu udało się jej go przekonać, żeby nazajutrz, tak jak to było ustalone, pojechali do koszar.

Kiedy rozdzielili się na korytarzu hotelowym, czuła, że Butz odprowadza ją wzrokiem. Odwróciła się.

– Jestem homoseksualistą – powiedział. – Twój ojciec o tym wie, teraz wiesz ty, ale nikt poza wami nie ma pojęcia.

Nie czekał na jej odpowiedź, tylko poszedł do swojego pokoju.

Aaron długo stała w miejscu. Butz, przystojniak, największy kobieciarz, jak wszyscy myśleli, chociaż on sam nie robił wokół tych spraw wiele szumu. Nigdy nie był jej bliższy niż wtedy, na tym korytarzu. Chciała móc mu powiedzieć, że w Wydziale nie musi udawać, ale byłoby to kłamstwo. Zrobiło jej się wstyd. Również za innych.

Wówczas odbyła w myślach rozmowę z ojcem.

Wydawało mi się niemożliwe, żebyś zaprzyjaźnił się z homoseksualistą.

Dlaczego?

Bo masz w sobie mnóstwo testosteronu.

Najpierw pomyśl, potem mów. Ale jedno ci jeszcze powiem: jak Stefan otwiera usta, trzeba go słuchać.

Tej nocy w Antwerpii śniło się jej, że chciała włożyć wesołą letnią sukienkę, ale kiedy otworzyła szafę, zobaczyła, że wszystkie sukienki są czarne.

Obudziła się nad ranem, złana potem, i nagle zrozumiała, dlaczego Butz się jej zwierzył: był pewien, że umrze, i chciał, żeby Aaron, jeśli uda się jej ocaleć, wspominała go takim, jakim był naprawdę, a także by wyjawiała jego tajemnicę kolegom, aby i oni w taki sposób o nim myśleli.

Zapukała do drzwi Butza i zorientowała się, że w ogóle nie

położył się spać.

– Nie idziemy – powiedziała.

Połączyli się z Police Fédérale, odgrywającą główną rolę w śledztwach przeciw Eyckowi de Friesowi. Do koszar posłano specoddział. Doszło do strzelaniny, w wyniku której były trzy ofiary śmiertelne, w tym jeden policjant. W walizce nie było heroiny, tylko ładunek semteksu, który zabił dwóch kolejnych policjantów. De Fries dowiedział się od szpiega zainstalowanego u Belgów, że dał się nabrać dwojgu agentom pod przykryciem. Aaron zawdzięczała Butzowi życie.

Dokładnie tak musiało być, bo tak to zapisałam. Ale twojej twarzy nie ma. Ani twojego śmiechu. I twoich oczu, o których myślę, że były smutne. Pewnego dnia stanę przed tobą z pustymi rękami.

Otwierają się drzwi do toalety.

– Nie teraz – mówi Pavlik i zamyka drzwi z powrotem.

– Zapytasz siostrę Butza, czy kogoś miał? – prosi Aaron.

– Nie, był sam. Wiesz, że dość ostro uganiał się za kobietami, ale nigdy nie był w stałym związku.

– Był homoseksualistą.

Pavlik parska:

– Bzdura.

– Butz był homoseksualistą. Chciał, żebyście wiedzieli.

– Okej... – odpowiada Pavlik.

– Kim byli dwaj pozostali?

– Blaschke i Clausen. Nie znasz ich.

Drzwi ponownie się otwierają. Peschel.

– No, Demirci już jest.

Pavlik się podnosi – powoli, ospale, z trudem. Również Aaron dźwiga się do góry.

– Wybacz, że wykiwałam was w hotelu – mówi do Peschla.

– Oni i tak już wtedy nie żyli. Pavlik, jedno nie ulega wątpliwości: wszyscy jesteśmy z tobą. Żebyś przypadkiem nie wpadł na pomysł, by wziąć całe to gówno na siebie.

Peschel zostawia ich samych.

– Poczekaj.

Pavlik puszcza wodę i myje Aaron twarz. Oprócz matki robiła to tylko jedna pielęgniarka w Barcelonie. W obu przypadkach tego nienawdziła. Ale dotyk Pavlika odczuwa jako ciepły, troskliwy, serdeczny. Przyjaciel wyciera ręcznikiem jej czoło i policzki i bierze jej dłonie w swoje ręce.

– Nigdy nie zapominaj, kim dla mnie jesteś.

– Idę z tobą – mówi Aaron.

– Nie, nie ma mowy.

– Idź więc sam, proszę bardzo. Ale bądź pewien, że minutę później i tak będę siedziała obok ciebie. – Kładzie dłoń na jego policzku. – Nigdy nie zapominaj, kim dla mnie jesteś.

W sekretariacie Demirci wita Aaron głos, który bardzo lubi. Należy do Astrid Helm, głównej sekretarki. Wszyscy nazywają ją Helmchen, tylko Pavlik ma prawo zwracać się do niej po imieniu. Od samego początku jest ona dobrym duchem Wydziału. Jej radar zawsze wyczuje, co komu jest w danej chwili potrzebne – uśmiech, tabliczka czekolady czy milczenie.

Dziesięć rzeczy, których Aaron brakuje:

filmy Chaplina

widok baraszkujących szczeniaków

niedzielne popołudnia w galerii fotografii C/O Berlin

możliwość ominięcia psich odchodów

uśmiech Ala Pacino

prowadzenie forda mustanga z 1964 roku

kwiaty czereśni

obrazy de Chirico

patrzenie na orangutany

troskliwość Helmchen

– Jenny – dzięki Bogu. – Helmchen głaszcze Aaron po ramieniu. – Bardzo się cieszę, że nic się pani nie stało.

– Dziękuję, Helmchen.

– Byłam wczoraj w Bremerhaven na srebrnym weselu mojego brata i wróciłam późno, w przeciwnym razie zobaczyłybyśmy się na urodzinach Ulfa... – Dodaje z wahaniem: – Srebrne

wesele, tak się przecież mówi?

– Tak, Helmchen, tak się mówi.

Aaron słyszy smutek w jej głosie. Chłopaki z Wydziału są dla niej jak synowie. W ciągu dwudziestu pięciu lat była już na wielu pogrzebach.

– Ale, na miłość boską, musi pani włożyć na siebie coś innego. Każę przynieść z hotelu pani walizkę. I szybko wyczyszcze płaszcz.

– Dziękuję.

Aaron zdejmuję płaszcz.

– Proszę pokazać palce.

– To tylko zadrapania.

– Dobra, dobra. Zdezynfekujemy je jodyną – ucina Helmchen i zwraca się do Pavlika: – Zadzwoiłam do siostry Stefana Butza i do jego ojca. I do byłej żony Mattiego Clausena. Musi przecież powiedzieć dzieciom. Żona Toma Blaschkego jeszcze nic nie wie. Myślałam, że może zechcesz do niej pojechać.

– Tak.

– W sprawie syna pani Askamp porozumiałam się z urzędem dla małoletnich.

Aaron czuje, że ją mdli. Helmchen mówi:

– Zaraz dostanie pani mocną kawę i croissanta. Czarną, bez cukru, wiem.

Co ja robiłam przez cały ten czas bez Helmchen?

Otwierają się drzwi gabinetu Demirci:

– Panie Pavlik, proszę.

– Chciałabym być obecna podczas tej rozmowy – mówi Aaron.

Spodziewa się, że Demirci odmówi, chce dodać: „Nalegam”, ale szefowa odpowiada:

– Oczywiście.

Wchodzą do środka, siadają przy stole konferencyjnym.

– Potrzebuje pani pomocy lekarza?

– Nie. – Aaron prostuje plecy. – To ja ponoszę odpowiedzialność za obserwację domu pani Askamp, jak również przydzielenie mi osobistej ochrony. Powiedziałam, że było to polecenie służbowe BKA, i biorę za to

odpowiedzialność.

– Proszę nie słuchać – szepcze Pavlik. – Aaron nie miała pojęcia.

– Co ty tam mówisz?

Pavlik zaczyna od nowa, ale Demirci stwierdza:

– To wystarczy.

Szybkie pukanie do drzwi. Wchodzi Helmchen i stawia tacę na stole. Prowadzi rękę Aaron do filiżanki z kawą.

– Croissant leży z prawej strony.

Wychodzi i cicho zamyka za sobą drzwi.

Aaron nie może teraz napić się kawy.

– Pani Aaron, cenię siłę pani charakteru. Ale pomijając fakt, że BKA nie może wydawać nam żadnych poleceń, proszę mi wierzyć, że chociaż jestem tu od niedawna, wiem, według jakich zasad działa Wydział.

Aaron kiwa głową. Przynajmniej próbowała.

– Panie Pavlik, wczoraj przeprowadziliśmy rozmowę, w czasie której poprosił mnie pan o przydzielenie osobistej ochrony pani Aaron. Uargumentował pan to obszernie. Mimo to miałam wątpliwości, czy jest to absolutnie konieczne, i odmówiłam.

– Tak.

– Pan tymczasem postanowił przeforsować swój pomysł za moimi plecami i powołał pan zespół.

– Tak.

– Ile osób pan zaangażował do ochrony pani Aaron?

– Sześć.

– A ile do obserwacji Evy Askamp?

– Kolejnych sześć.

– Uwzględniał pan możliwość, że Holm skontaktuje się z tą kobietą?

– Tak. Nie mogłem wykluczyć, że po wizycie Aaron i mojej w jej sklepie znajduje się ona w niebezpieczeństwie.

– Dwunastu. Jedna trzecia ludzi, których mamy do dyspozycji. A ja tego nie zauważyłam.

Aaron słyszy dźwięk zamka błyskawicznego. Pavlik kładzie na stole coś ciężkiego – swoją broń – i wstaje.

– Rozmowa nie jest skończona – mówi stanowczo Demirci.

Pavlik siada. To, co następuje potem, jest najbardziej zaskakującą rzeczą, jakiej Aaron doświadczyła w trakcie całej swojej kariery.

– Trzech ludzi nie żyje. To bardzo źle, nie wiem, jak przetrwam ten dzień. Ale pan, panie Pavlik, niewątpliwie postąpił słusznie. Chciałabym bardzo przeprosić za to, że pana nie posłuchałam. Gdybym to zrobiła, posłałabym tam więcej kolegów i być może zapobiegłabym śmierci tych trzech.

Aaron nie może złapać tchu.

Pavlik z natury jest cichym człowiekiem – ale jeszcze nigdy nie słyszała, żeby był aż tak cichy.

– Proszę przyjąć do wiadomości, że ci ludzie działali na moje polecenie – ciągnie Demirci tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Przedłożę mojemu przełożonemu argumenty i ufam, że w obliczu zaistniałych wydarzeń zrozumie moją decyzję.

Przez dobre pół minuty nikt nie odzywa się słowem.

Powstaniu Wydziału zaraz po ponownym zjednoczeniu Niemiec przyświecała głównie jedna myśl: chciano stworzyć elitarny zespół policjantów, który, w przeciwieństwie do agentów BKA, mógłby działać bez biurokratycznych utarczek i tracenia czasu na formalności. Urząd w Wiesbaden to olbrzymi, gnuśny tankowiec, obarczany coraz to nowymi kompetencjami. Natomiast Wydział jest mały, szybki i ma dużą siłę bojową. Znajduje się pod kontrolą komisji złożonej z ministrów spraw wewnętrznych poszczególnych landów. Demirci odpowiada przed ministrem landu, który akurat przewodniczy temu gremium.

Aaron wie, że w tym roku na czele komisji stoi berliński senator spraw wewnętrznych.

Ryzykuje swoją karierę. Trzech martwych policjantów. Media na pewno solidnie przycisną senatora spraw wewnętrznych. Kto wie, może będzie mu to na rękę i wskaże winnego, żeby ratować własną skórę. Wtedy Demirci będzie załatwiona. Ta kobieta ma najwięcej odwagi spośród wszystkich pracowników Wydziału.

– No to sprawa jest wyjaśniona – stwierdza Demirci. – Poza

tym znoszę też zakaz palenia w budynku.

Zapala papierosa i przesuwa paczkę po stole. Pałą jak trójka ludzi, którym naprawdę jest to potrzebne. W końcu Demirci przechodzi do rzeczy:

– Przestudiowałam akta sprawy opatrzonej kryptonimem „Chagall”. Zdumiewająco mało w nich informacji na temat Holma.

– Wychowywał się w Kaiserslautern – mówi Pavlik. – Jego ojciec był leśnikiem, matka gospodynią domową. Mieszkali w domku szeregowym, ale nie utrzymywali kontaktów z sąsiadami. Rolety były przeważnie zasunięte. Na ulicy matka Holma nigdy nie zamieniła z nikim słowa.

Demirci jest równie zdumiona jak Aaron.

– Skąd pan to wie?

– Rozmawiałem przez telefon z byłym nauczycielem Holma, który mieszkał wówczas kilka domów dalej. Dzisiaj to już stary człowiek, ale dobrze pamięta Holma i jego brata.

Mój Pavlik.

– Mówił, że Holm był najinteligentniejszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miał, a mimo to dwukrotnie powtarzał klasę, bo nauka w ogóle go nie interesowała. Nie miał i nie chciał mieć przyjaciół. Nie był nazbyt brutalny czy okrutny, ale inni woleli nie wdawać się z nim w spory. Kiedy miał dziewiętnaście lat, jego ojciec zniknął bez śladu. Znalaziono samochód w lesie. Portfel, dokumenty, wszystko było na miejscu. Prawdopodobnie został zamordowany, ale zwłok nie odnaleziono. Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Niedługo potem zmarła również matka. Holm zabrał ośmioletniego brata i nikt ich więcej nie widział.

– Chyba nie przyznano mu prawa do opieki nad małoletnim?

– Nie. I teraz następuje znamienna część tej opowieści: Sascha nie chodził do żadnej szkoły, w każdym razie nie pod własnym nazwiskiem, a Holm nigdy nie pojawił się w żadnym systemie opieki społecznej. Nie płacił podatków, nie miał adresu zameldowania, prawa jazdy ani dowodu osobistego. Zniknął wraz z Saschą. Pokazał się dopiero w Barcelonie.

– Chce pan powiedzieć, że Holm w wieku dziewiętnastu lat

został zawodowym przestępcą, prowadził życie poza jakimikolwiek normami społecznymi i mimochodem wychował brata?

– Tak. Po aresztowaniu Sascha odmówił składania zeznań. Ale kiedy swego czasu gdzieś się zamelinował, jedna z ciotek dała ogłoszenie o jego zaginięciu. Zawarła w nim informację, że ma on znamię na grzbiecie dłoni. To akurat trafiło do INPOL-u. I dlatego w ogóle znamy prawdziwe nazwiska ich obu.

Aaron sięga po filiżankę, po czym ją odstawia.

– Zraniłam go nożem. Czy starł krew?

– Nie – odpowiada Pavlik. – Jest u techników kryminalnych.

– Może mając odciski palców albo DNA, uda mu się przypisać wcześniejsze przestępstwa i sporządzić wzorzec przemieszczania się.

Pukanie.

– Proszę.

Drzwi się otwierają.

– Pan Kvist, proszę.

Niko siada z lewej strony Aaron, obok Pavlika.

Dziękuję ci, że mnie nie dotykasz. Że nie pytasz, co u mnie słyhać, ani w jakikolwiek inny sposób nie okazujesz mi, że się o mnie troszczysz. Nie zniosłabym tego.

– Panie Kvist, w Brugii prowadził pan z Holmem negocjacje dotyczące Chagalla. Co to za człowiek?

– Prawdopodobnie wiedział, że jestem agentem pod przykryciem, a mimo to spotkał się ze mną sam na sam. Był bardzo odprężony.

– Jak by pan ocenił jego inteligencję w skali od jednego do dziesięciu?

– Na jedenaście.

– A wygląd fizyczny?

– Wówczas doskonały.

– Ma pięćdziesiąt lat, ale nadal cechuje go rewelacyjny refleks – mówi Aaron. – Dokładnie wycelował w miejsce między moim podbródkiem a dolną wargą, co oznacza, że dysponuje znajomością akupunktury. Ma przynajmniej trzeci dan w karate, wyciska na leżąco sto dwadzieścia kilogramów.

Dbą o swoje ciało, a mimo to nie waha się go uszkodzić. Potrafi wytłumić w sobie ból, jeśli jednak zechce, ból może go stymulować. Nie robi niczego, co uważałby za zbędne. Jest wykształcony i mówi kilkoma językami. Nie ma ani krzty wrażliwości na cierpienie innych. Podlega tylko tym prawom, które sam ustanowi. Ceni piękne przedmioty, ale nie ma niczego, czego nie mógłby porzucić i zapomnieć. Nic go nie cieszy, ani własny ból, ani ból innych osób. Gardzi śmiercią i równocześnie z utęsknieniem jej wyczekuje.

Spala się czyjś papieros. Tyka czyjś zegarek.

– Mówi pani, że Holm nie robi niczego zbędnego. To dlaczego zabił właścicielkę kwaciarni? Co dało mu to morderstwo?

Bije czyjeś serce.

– Pani Aaron?

Aaron zdaje się ignorować pytanie i zwraca się do Pavlika:

– Jak to zrobił?

– Askamp miała rany cięte tułowia. Ale nie były śmiertelne. Prawdopodobnie ją udusił.

Mija dużo czasu, zanim człowiek się udusi. Ona nie żyła już wtedy, gdy Holm zaczął liczyć.

Głos Aaron jest daleki i obcy:

– Chciał mi pokazać, że to on jest panem. Że jest bogiem. Miałam go rozpoznać. Ci trzej ludzie, których zabił, to przesłanie skierowane do Wydziału: „Ja z nikim nie pertraktuję”. Niebawem nawiąże z nami kontakt i poinformuje nas o swoich planach.

– Co pani podejrzewa?

– Holm chce wydostać swojego brata z więzienia.

– Potrzebuje do tego współników – zauważa Demirci.

Niko wtrąca:

– Nie, on działa w pojedynkę.

– Przecież w Barcelonie posłużył się kochanką Saschy – zauważa Aaron. – Teraz też może skorzystać z czyjejś pomocy. A potem się tego kogoś pozbyć.

Pavlik oddycha przeponą.

– Widziałem Saschę. Do Tegla przeniesiono go zaledwie przed miesiącem, ale już kontroluje budynek numer sześć. Ma

uśmiech kogoś, kto jest tam tylko tymczasowo, i strach współwzięniów spływa po nim jak po kaczcze.

Aaron nadal nic nie zjadła. Kręci się jej w głowie.

– Sascha boi się swojego brata, to było widoczne w Barcelonie – mówi. – Holm wytresował go jak psa. Przypuszczalnie jest to również odpowiedź na pytanie, dlaczego czekał aż pięć lat.

– Co ma pani na myśli?

– Sascha zastrzelił trzech katalońskich policjantów, ale popełnił błąd, pozwalając, żeby jeden z nich wysłał sygnał alarmowy. Holm nie wybacza błędów. Wyzaczył te pięć lat jako karę dla brata.

Popiół opada na stół. Komuś brak tchu.

– Ale przede wszystkim chodzi mu o mnie.

– Dlaczego o ciebie? – pyta Pavlik.

– Nie wiem.

– Mógł panią zabić już przedtem.

– On chce się tym delektować. To była tylko przygrywka.

– Holm zacytował pewien tekst – mówi Aaron. – Zdaje mi się, że pochodzi on z jednego z dramatów Szekspira. „Życiem ci winien, lecz gdy o cześć idzie, / Co i po śmierci ma żyć na mym grobie, / W łup czarnej hańby nie oddam jej tobie”⁵.

– Co to znaczy? – pyta Demirci.

– Holm używa tych słów w sensie przenośnym. Inazō Nitobe wspomina je w głównej części swojego sztandarowego dzieła poświęconego bushido. Mówią o tym, że nie powinniśmy swojego imienia czynić niewolnikiem księcia.

– Co ma na myśli w pani przypadku?

– Moją przysięgę służbową.

Nie zna mojego prawdziwego księcia.

– Wyzywa cię na pojedynek – mówi surowo Pavlik. – Czy on się uważa za samuraja?

– Nie. To aluzja.

– Do czego? – chce wiedzieć Demirci.

Aaron nie odpowiada.

Kiedy po raz pierwszy zabiła człowieka, zadała sobie pytanie,

5 W. Szekspir, *Tragedia...*

czym może to usprawiedliwić. Filozofia karate zaprowadziła ją do bushido, do drogi wojownika, kodeksu samurajów. Zawiera on nakazy mężczyzn, z którymi Aaron poczuła więź, bo ze śmiercią byli za pan brat. Dla nich najwyższe dobro polegało jednak na tym, że poświęcali się dla swojego księcia. Aaron musiała poszukać czegoś zastępczego. Sens bushido polega na umieraniu. Ile jest ono warte, żeby mogła oddać za nie własne życie?

Bardzo długo nad tym rozmyślała, przez lata. Odpowiedź odnalazła w podziemnym garażu hotelu Aralsk w Moskwie. Dzisiaj słabo pamięta agonię młodej kobiety, którą trafili rykoszet z jej pistoletu, ale jedno wciąż ma przed oczami: postrzelony w brzuch zabójca nasłany przez Nikulina żył i cierpiał, a ona stanęła nad nim i strzeliła mu w głowę.

Nigdy nikomu o tym nie mówiła, nawet Pavlikowi. A już na pewno nie powiedziałaaby ojcu. Nikt nie wątpił, że strzelała w obronie własnej. Co miałyby powiedzieć? Że nie chciała go uratować? Że myślała o niesłuchanie drogim i niesłuchanie dobrym adwokacie, któremu Ilia Nikulin zapłaciłby sześćset euro za godzinę, aby uwolnić swojego płatnego zabójcę? Że nie chciała się mierzyć z następnym, którego by na nią nasłał, bo uważał ją za słabą i naiwną?

Zrobiła to ze strachu. I przyznała się do tego przed sobą. Było to słuszne i niesłuszne zarazem. Ale zna różnicę między jednym a drugim.

Przysięgła sobie, że nigdy o tym nie zapomni. Chcąc stawić czoła strachowi, ze śmierci uczyniła swojego przyjaciela, który w dzień i w nocy towarzyszy jej przy każdym oddechu.

Pozostał przy niej również wtedy, gdy oślepla. Budzi się z nim i z nim kładzie się spać. Długo tego nie rozumiała. Jej dawne życie się skończyło. Dlaczego śmierć nie odejdzie, aby poczekać na nią jak na każdego innego człowieka? Od chwili, gdy znalazła ziarenko kawy w kieszeni płaszcza, zna już powód. Ma nadzieję, że śmiercią wypełni swoje przeznaczenie, w przeciwnym razie nie miałaby ona sensu.

- Aluzja do czego? – ponawia pytanie Demirci.
- Do mnie.

Pod stołem Pavlik bierze Aaron za rękę. Rozmawiała z nim o bushido, ale to nie jest jego droga – on nie dopuści do siebie myśli o śmierci ze względu na Sandrę i na dzieci.

Demirci przybiera rzeczowy ton, nie sposób zgadnąć, co naprawdę myśli:

– Czy przed Barceloną nigdy pani nie spotkała Holma?

– Jeśli nawet, to nie miałam pojęcia, że to on.

Mimo to Aaron się waha.

Chcę ode mnie faktów. A ja ich nie mam. Holm komunikuje się ze mną poprzez moje lęki i sny. Niczego nie umiem udowodnić. Oni jednak muszą się tego dowiedzieć.

– Miesiąc temu w Wiesbaden... wpadłam na niego na ulicy. Nic nie powiedział. Ale to był on.

Ciśnienie powietrza w pomieszczeniu gwałtownie spada.

– Czy opowiedziała pani o tym któremuś z przełożonych?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo do dzisiaj było to tylko podejrzenie.

Jaki miałam dowód? Ziarenko kawy.

Demirci mówi ze ściśniętą krtanią:

– Jeśli rzeczy materialne nic dla niego nie znaczą, to te trzy miliony, które stracił z pani powodu, nie odgrywają żadnej roli. A co z kobietą, którą zabiła pani w Barcelonie?

– Była kochanką jego brata. Nie o nią chodzi.

– Może chce pomścić Saschę? – zastanawia się Niko.

– Nie po pięciu latach. – Aaron wymacuje popielniczkę. – Holm nagrał na telefonie komórkowym piosenkę, *Pretty Woman* Roya Orbisona. Boenisch słuchał jej, gdy byłam w jego piwnicy. To nie znajduje się w żadnych aktach i nie zostało poruszone w czasie procesu.

– Boenisch powiedział o tym Saschy – mówi Niko.

– Ale jak Sascha podsunął to bratu? – pyta Pavlik.

– Przez Evę Askamp.

– Są gorsze możliwości.

Demirci podchodzi do drzwi.

– Pani Helm, niech pani poprosi zakład karny o akta osobowe wszystkich pracowników penitencjarnych, którzy w ostatnich

tygodniach zajmowali się Saszą Holmem. Więźnia należy natychmiast przenieść do pojedynczej celi.

– Jak to uzasadnimy?

– Obrona czynna.

Niko zapala jeszcze jednego papierosa.

– Dlaczego Hiszpanie w ogóle zgodzili się na przeniesienie go do Berlina? Zamordował trzech katalońskich policjantów, a oni tak po prostu się go pozbyli?

– O tym na sto procent zdecydowano w Madrycie – mówi Pavlik. – Wiadomo, co tam myślą o Katalończykach. Poza tym w Barcelonie chyba drżało przed nim całe pudło. Na pewno się ucieszyli, że mają go z głowy.

Demirci ponownie podchodzi do drzwi.

– I proszę zadzwonić do resortu sądownictwa w senacie. Chcę mieć wymianę pism w sprawie przeniesienia. Zeznania, orzeczenia, korespondencję z Evą Askamp.

Następnie omawia kolejne kroki z Nikiem i Pavlikiem.

Trzeba przesłuchać Żetonowe Oko – zrobi to Niko.

Aaron słucha tej rozmowy jednym uchem, jakby dobiegała gdzieś z telewizora. Bez reszty zawładnęły nią słowa: „Przyjmij, gdy moje życie się skończy, trawiącą mnie miłość do ciebie”.

Magnus Sørensen przygląda się, jak jego koleżanka Lena zbiera uczniów przed pomnikiem ofiar Holokaustu i ponagla, żeby wsiadali do autokaru.

To błąd.

Powiedział to sobie przed dwoma tygodniami, gdy on i Lena zostali sami w pokoju nauczycielskim. Chciał jej dać jakąś książkę, ale nagle pocałowali się, a on spłoszył się i uciekł. Powiedział to sobie także dzień później w szatni sali gimnastycznej, gdzie po lekcji wuefu układał piłki medyczne, których wcale nie musiał układać, a ona weszła i wsunęła jego rękę pod swoją spódnicę. Powtarzał to sobie od tamtej pory za każdym razem, gdy kłamał przed żoną, że ma zastępstwo, zebranie rady pedagogicznej, jogging. I nieustannie myślał o pocie na skórze Leny.

Powtarzał sobie, że to błąd, gdy siedzieli w jego samochodzie na skraju lasu (tylko czekał, aż rodzice jakiegoś ucznia zapukają w zaparowaną szybę i zapytają, czy zwariował). I w domu Leny, gdy jej mąż był w Kopenhadze.

Ta myśl była z nim zawsze i wszędzie.

W kawiarni w Skanderborgu, trzydzieści kilometrów od Århus, chciał wszystko zakończyć. Kiedy jednak założyła nogę na nogę, wszystko mu przeszło. Wrócił do domu ze śladami szminki na kołnierzyku i zauważył to dopiero w przedpokoju, gdy przejrzał się w lustrze i zobaczył w nim tchórza. Żona go objęła. Podniecona szeptała mu do ucha, że ich starsza córka po raz pierwszy się zakochała, ale niech on, na miłość boską, zachowa to dla siebie. Nie wypuszczał żony z objęć, spanikowany, że spojrzy na jego kołnierzyk.

Spał z nią i myślał o Lenie.

Leżał obok niej i myślał o Lenie.

To błąd.

Powiedział to sobie, gdy kolega, który miał jechać z Leną na wycieczkę klasową do Berlina, zachorował na grypę i w pokoju nauczycielskim padło pytanie, kto pojedzie zamiast niego. Lena postawiła go wobec ciała pedagogicznego przed faktem dokonanym, oznajmiając, że to on zastąpi chorego kolegę, że to już uzgodnione. Chciał to sprostować, natychmiast, jednak zamiast tego po prostu skinął głową.

To błąd.

Powiedział to sobie także wczoraj na lotnisku Schönefeld, gdzie Lena, gdy pakowali bagaże do autokaru, wśród paplaniny uczniów dotknęła jego ręki, a on już zaczął się zastanawiać, ile razy uda im się być tylko we dwoje.

To błąd.

Powiedział to sobie, gdy zobaczył tę piękną kobietę i mężczyznę – on z jej walizką, ona trzymająca go pod rękę, a mimo to obca. Palila papierosa. Mężczyzna wpatrywał się w nią przez cały czas, ale jej wzrok był skierowany gdzie indziej. Mężczyzna poszedł więc po samochód. Może przyleciała do Berlina spotkać się z kochankiem po raz ostatni, a on po raz ostatni okłamał swoją żonę, aby po raz ostatni być nieszczęśliwym?

Kiedy Sørensen, czując kolano Leny przy swoim kolanie, czekał na odjazd autokaru i posmutniał tak bardzo, że wiedział, iż gdyby ktoś go w tym momencie o coś zapytał, wybuchnąłby płaczem, mężczyzna wrócił z autem.

Ona postąpiła dwa kroki w złą stronę i mężczyzna chwycił ją za ramię. Zwrócił jej uwagę na ten błąd, a potem, gdy wsiadała do samochodu, osłonił ręką jej głowę.

Wtedy Sørensen zrozumiał, że kobieta jest niewidoma. Przeszył go niewymowny strach, który nie opuścił go przez cały dzień – towarzyszył mu w Reichstagu, przy Pomniku Muru Berlińskiego, w zoo. Odwiedzili małpy, a potem Lena koniecznie chciała pójść z klasą do pawilonu zwierząt nocnych, ale tylko po to, by w ciemnej niszy wyciągnąć po niego rękę, posiąść go.

O szóstej wyjrzał z jej pokoju w pensjonacie, modląc się, żeby nie nakrył go żaden uczeń. Pocałowała go. Pachniała łóżkiem,

jego pożądanym pragnieniem, by znów zamknąć drzwi, znów w odurzeniu wejść w nią, by jeszcze przez tę godzinę, która została do pobudki, nie być samemu.

Sørensen jest nauczycielem wuefu i fizyki. Wierzy, że świat utrzymują w ryzach wartości wymierne i że zasada ta jest niewzruszona.

Ale raz po raz myśli też o tamtej niewidomej kobiecie.

Dzieci są w autokarze. Lena macha do niego, on rusza i ledwie znajduje w sobie odwagę, żeby przejść dziesięć śmiesznych kroków. Kiedy już chce wsiąść, ktoś stojący za nim pyta nagle po angielsku:

– Co by pan powiedział na przejażdżkę po mieście?

Sørensen się odwraca.

Aaron stoi na tarasie dachowym. Wiatr wyje. Aaron marznie, gdyż w walizce przywiezionej z hotelu nie było drugiej pary dżinsów – tylko ta cienka sukienka, którą zabrała na kolację w Paryżu, a potem włożyła na urodziny Pavlika. Gdzie płakała, śmiała się, tańczyła. Działo się to, zanim z jej powodu umarło trzech ludzi. Myśli Aaron są soplami lodu, które spadają z krawędzi dachu i rozpryskują się na ulicy. Nikt jej nie kazał się poświęcać dla tych mężczyzn. Dwóch z nich nawet nie znała.

Otwierają się drzwi windy. Pavlik staje obok i Aaron czuje na sobie jego wzrok.

– Nie patrz na mnie tak, jakbym ci była winna pieniądze.

– Jesteś mi winna prawdę. Co zatajasz?

Wyją syreny alarmowe.

– Dzisiaj nie pora na zatajanie czegokolwiek – dodaje Pavlik.

Aaron chce się płakać.

– Holm zacytował jeszcze coś: „Przyjmij, gdy moje życie się skończy, trawiącą mnie miłość do ciebie, z dymu, który wznosi się z mojego płonącego ciała”.

– Co to jest?

– Najśłynniejszy poemat bushido. – Aaron urywa. Syreny alarmowe milkną. – Stworzono go przed wiekami, a opisuje

najwyższą formę miłości samuraja. Osiąga się ją dopiero, gdy człowiekowi objawi się śmierć.

– Skąd on wie o tobie i Kwiście?

– Widział nas w Barcelonie.

– To było zbyt dawno temu. A ty na pewno nie okazywałaś swoich uczuć, jesteś na to zbyt profesjonalna.

– Mógł obserwować nas wczoraj rano na lotnisku w Schönefeld. Palłam papierosa w samochodzie. Niko cały czas na mnie patrzył. Chciałam to zignorować i byłam zeszywniała. Holm potrafi czytać w ludziach.

Otwierają się drzwi windy.

– To nazwisko doprowadza mnie do szaleństwa – mówi Pavlik.

– Które?

– Askamp. Nie daje mi spokoju.

– Słyszałeś je już kiedyś?

– Jestem tego absolutnie pewien.

– Pavlik? – woła Niko.

– Co się dzieje?

– W cztery oczy.

Pavlik chce wyjść, ale Aaron go przytrzymuje.

– Dzisiaj nie pora na zatajanie czegokolwiek.

Pavlik obejmuje Aaron ramieniem i woła do Nika:

– Jesteśmy w cztery oczy.

Aaron myśli, że Niko wróci do windy, on jednak podchodzi i staje obok nich.

– Kazałeś wczoraj obserwować Jenny i mnie. Myślałeś, że tego nie zauważę?

– To zarządzenie Demirci, nie moje.

– Nie kłam.

– Zapytaj ją.

– Pytałem Peschla.

– Pavlik chciał cię chronić – wtrąca Aaron.

– Nie mieszaj się do tego.

– Nie, w ogóle się nie mieszam. Ale nie przyszło ci do głowy, że Pavlik myśli o tobie jako o przyjacielu?

Pavlik obejmuje ją mocniej.

- Daj spokój.
- A może oni obserwowali **mnie**? – pyta Niko. – Tak między nami. Przecież jesteście przyjaciółmi.
- Co on gada?*
- Chciałem pojechać z Aaron do Tegla – mówi Pavlik. – Poprosiłeś mnie, żebym pozwolił jechać tobie.
- No i co?
- To było postanowione już dawno. Zapytaj Peschla. Pavlik i Aaron czytają nawzajem w swoich myślach:
- On musi się o tym dowiedzieć.*
- Wiem.*
- Bądź ostrożny – szepcze Aaron. – Możliwe, że Holm upatrzył sobie ciebie.
- Jak to?
- Zrobił pewną aluzję – mówi wymijająco Aaron.
- Jakiego rodzaju?
- Bardzo niejasną – odpowiada Pavlik. – To raczej wrażenie. – Jego telefon komórkowy wibruje. – Tak?
- Słucha, nie zadaje pytań. W końcu zwraca się do Aaron i Nika:
- Musimy zjechać na parter.

W centrali dowodzenia zamiera gwar rozmów. Demirci mówi:
– Połączenie przychodzące do centrali sześć minut temu.
Panie Krampe, proszę.
Krampe puszcza taśmę.
– Mamy trzydzieścioro zakładników.
– Kto mówi?
– Dam pani kogoś.
Jakiś mężczyzna wyrzuca z siebie:
– To prawda, trzydzieścioro.
Znowu centrala:
– Kim pan jest?
Jakieś dziecko płacze głośno do telefonu.
– Ta dziewczynka boi się, że wszyscy będą musieli umrzeć.
I ma absolutną rację. Mój kolejny telefon proszę natychmiast przekierować do Wydziału.

Rozmowa zostaje stłumiona.

Pokój zaczyna wirować, siła odśrodkowa ciska głosy innych osób daleko od Aaron.

Ma gołe nogi, a na oczach okulary dla niewidomych. Twarz jej ojca jest poczerniona.

Sen.

Wirowanie nagle ustaje. Znów otaczają ją mężczyźni i kobiety, mówią coś chaotycznie.

– Czy to było wszystko? – pyta. – Czy Holm nie stawiał żadnych żądań?

– Nie – odpowiada Demirci.

– To nie on – mówi Niko. – Znam jego głos.

– Owszem – upiera się Aaron. – To był on.

Słowa niczym popiół.

– Czy to mógł być blef? – dopytuje Demirci.

– Nie. Ten mężczyzna i dziecko śmiertelnie się bali.

– Holm mówi: „My”. To znaczy, że ma co najmniej jednego wspólnika.

– Albo to zmyłka – wtrąca Niko.

– Nie wolno nam tego zakładać – mówi Aaron. – Jeśli mu uwierzymy i przyjmiemy, że wziął trzydzieścioro zakładników, to znaczy, że potrzebuje jednego lub większej liczby wspólników, bo sam nie zdołałby kontrolować tylu osób. Jeśli jednak mu nie uwierzymy, to znaczy, że zakładamy kłamstwo, a w ten sposób nie damy rady działać.

– Trzydziestka – ucina Demirci – i tego się trzymajmy.

– Claus, puść to jeszcze raz – prosi Aaron Krampego.

Słucha w skupieniu.

– Jada, powoli. To może być ciężarówka... nie, autobus.

– Holm zażąda uwolnienia brata – mówi Pavlik. – Chce uniemożliwić lokalizację miejsca, aby wykluczyć interwencję. Jadący autobus idealnie się do tego nadaje.

– Uda się pani zorientować, czy chodzi o autobus kursowy, czy o autokar wycieczkowy? – pyta Demirci.

– Nie.

Znowu odzywa się Pavlik:

– To nie jest autobus kursowy. Gdyby nie zatrzymywał się na

przystankach, czekający pasażerowie zadzwoniliby już z pretensjami do Berlińskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego i z pewnością wkrótce by go zidentyfikowano.

– W normalne dni w mieście jest ponad tysiąc autokarów wycieczkowych – wtrąca Peschel. – Kto ma je sprawdzić?

– Pani Aaron, a co pani powie o mężczyźnie, który potwierdził dane Holma? Słyszy pani jakiś akcent?

– Claus – prosi Aaron.

Głos z taśmy:

– To prawda. Trzydzieścioro.

– Nie pochodzi z Berlina – stwierdza Aaron. – Może z Zagłębia Ruhry. Ale nie jestem pewna.

– Natychmiast przywieźć tutaj Saschę – zarządza Demirci.

Jakieś dziesięścioro ludzi w pomieszczeniu mocno wciąga powietrze. Aaron czyta w ich myślach: „Holm jeszcze nie postawił żądań, a Demirci już się ugina”. Natychmiast jednak uświadamia sobie, jakie to mądre posunięcie: Holm wkrótce zadzwoni i zażąda uwolnienia brata, wie, że musi dać Demirci przynajmniej godzinę. Ona wykorzystuje każdą sekundę aż do jego telefonu i już teraz gra na czas.

– Panie Majowski, panie Büker, panowie się tym zajmą. Proszę dobrać sobie czterech kolegów. Kajdanki na ręce i nogi, transporter opancerzony, dwa pojazdy jako eskorta.

Mężczyźni oddalają się szybkim krokiem. Demirci dzwoni do Helmchen:

– Proszę mi wyznaczyć spotkanie z federalnym prokuratorem generalnym. W ciągu najbliższego kwadransa.

– Claus, jeszcze raz – prosi Aaron.

Krampe ponownie puszcza taśmę.

– Dam pani kogoś.

Aaron słyszy jakiś odgłos w tle.

– Stop. Cofnij o pięć sekund.

Bingo.

Odgłos jest bardzo cichy, ale Aaron udaje się go zidentyfikować.

– Autobus znajdował się w pobliżu naziemnej stacji metra

albo kolejki miejskiej, jakieś dwieście–trzysta metrów od niej. Właśnie wjeżdżał pociąg.

– Pani Gauder, proszę zadzwonić do Berlińskiego Przedsiębiorstwa Autobusowego i do Przedsiębiorstwa Kolejek Miejskich. Proszę zapytać, na jakich naziemnych dworcach zatrzymywały się pociągi o godzinie dziewiątej dwanaście.

– Możemy to sobie darować – mówi Aaron.

– Jak to?

– Bo ja wiem, gdzie był ten autokar.

Aaron stoi przed warsztatem więziennym i czeka na Bukowskiego. Jakaś spawarka robi: „Plask! Plask! Plask!”. Zza muru dobiega: „Cofnąć się”.

– To był dworzec przy Holzhauser Strasse. Przejeżdżali akurat obok więzienia. Dwie minuty później byli na obwodnicy i teraz już od dawna są gdzieś w centrum.

A tam autokar rzuca się w oczy jak kropla wody w oceanie.

– Mimo to, pani Gauder – zbiera się w sobie Demirci.

Znów rozbrzmiewa gwar głosów.

Ktoś otwiera walizkę.

Jakaś kulka śniegu toczy się przez samolot.

Aaron czuje, że pali ją ręka.

To nie to. Kto we śnie był jeszcze w tym samolocie?

– Panie Pavlik, proszę przygotować do interwencji dwa zespoły policyjne – zarządza Demirci. – I niech pan poinformuje naszego taktyka i logistyka. Chcę mieć scenariusze szturm na autokar i oswobodzenie zakładników. Panie Mertsch, niech policja federalna udostępni dwa helikoptery i wyśle w powietrze wszystkie dostępne drony. Niech obserwują, czy jakiś autokar wykonuje nietypowe manewry.

– Bardzo się ucieszą, że wydajemy im polecenia.

– Nic mnie to nie obchodzi, mamy prawo pierwszeństwa. Pani Aaron, chciałabym, żeby przeprowadziła pani przesłuchanie Saschy. Czy mogę panią o to prosić?

– Sama chciałam to zaproponować.

Autokar jedzie wzdłuż nabrzeża Sprewy. Holm stoi na przedzie obok kierowcy. Dzieci bez ruchu siedzą skulone w fotelach, niektóre trzymają się za ręce. Jakiś chłopiec płacze cicho, jakaś dziewczynka się trzęsie, jeszcze inna się modli, inny znów chłopiec ogryza paznokcie do krwi. Holm przygląda się pogardliwie Boschowi, który po raz drugi liczy zebrane od wszystkich telefony komórkowe i wkłada je do plastikowej siatki. Co ma myśleć o facecie, który musi liczyć dwa razy? Wreszcie Bosch kończy i odkłada siatkę.

– Stop – rozkazuje Holm kierowcy.

Skinieniem głowy każe Boschowi działać dalej. Ten wysiada z torbą ciężką od ładunków wybuchowych i z reklamówką. Holm kontroluje czas. Do następnego telefonu zostało dwadzieścia minut.

Jego spojrzenie pada na nauczyciela, który – chociaż Holm zakazał wszystkim wyglądać przez okno – patrzy na drogę. Mężczyzna szuka szansy, by dać komuś znak. Obok niego siedzi kobieta, obejmuje go ramieniem.

Ten człowiek stanowi ryzyko. Holm postanawia go złamać.

Już przy pomniku ofiar Holokaustu zorientował się, że tych dwoje to kochankowie. Gdy spośród kilkunastu zaparkowanych autokarów wybrał ten właściwy, spostrzegł, że nauczycielka w labiryncie betonowych steli wykorzystuje moment, kiedy nikt ich nie widzi, i przytula się do kolegi. Gdyby to Sascha był na miejscu Holma, właśnie dlatego wybrałby akurat ten autokar i sprawiłoby mu to frajdę. Holmem kierowało jednak coś innego: zdecydował się na ten pojazd ze względu na lustrzaną przednią szybę. I oczywiście ze względu na dzieci. Była to chłodna kalkulacja – dzieci zwiększają presję.

– Proszę się zamienić miejscami – mówi do pary.

Kobieta natychmiast wstaje, ustępując miejsca mężczyźnie,

tak żeby to on siedział przy przejściu. Na zewnątrz Bosch wyrzuca plastikową siatkę w krzaki.

– Czy pana żona o tym wie? – Holm zwraca się do nauczyciela.

Mężczyzna nie odpowiada.

– Nigdy nie pytam dwa razy.

Wzrok mężczyzny przenosi się na pistolet, który Holm ma za pasem.

– Nie – szepcze.

– A pani mąż? – pyta Holm nauczycielkę.

Ona kręci przecząco głową, nie patrząc na niego.

– Od jak dawna?

Głos się jej łamie jak trzcina na wietrze.

– Od dwóch miesięcy.

– Głośniej.

– Od dwóch miesięcy.

– Jak pani się nazywa?

– Lena Gaarskjær.

– A pan?

– Magnus Sørensen.

Jego kolana uderzają o siebie.

Holm nachyla się do ucha Sørensen.

– Czuje się pan winny. Ale ja pomogę to panu zakończyć. Zabiję tę kobietę, a pan wyjdzie na bohatera. To rozwiązałyby wszystkie pana problemy. Nawet by pana czczono.

Sørensen musi siłą trzymać kolana przy sobie, bo tak się trzęsą.

– Niech pan wstanie.

Nauczyciel patrzy na porywacza, lecz panika sprawia, że nie może wyraźnie dostrzec rysów jego twarzy. Podnosi się chwiejnie.

– Niech pan powie głośno: „Ja, Magnus Sørensen, od dwóch miesięcy sypiam z waszą nauczycielką Leną Gaarskjær”.

Sørensen nie może wydobyć z siebie słowa. Holm przykładą remingtona do jego głowy.

– I nigdy dwa razy nie wydaję rozkazu.

– Ja, Magnus Sørensen, od dwóch miesięcy sypiam z waszą

nauczycielką Leną Gaarskjær.

Osuwa się na fotel, zasłania twarz dłońmi.

Kolejne dziecko zaczyna płakać.

Dwoje, troje.

Lena chce dotknąć Sørensen, ale on się odwraca.

Holm chowa broń. Bosch wraca do autokaru – umieścił w bagażniku torbę z ładunkiem wybuchowym i uruchomił zapalnik. Jadą dalej, mijają zamek Charlottenburg. Widzą turystów, sprzedawców pamiątek, funkcjonariuszki straży miejskiej obok samochodu holowniczego, jakąś kobietę krzyczącą na psa.

– Przepraszam – mówi kierowca – niedługo skończy się nam benzyna.

Holm podchodzi do niego, upewnia się jednak, że Bosch trzyma palec na spuście krótkolufowego pistoletu maszynowego uzi.

– Kłamie pan.

– Proszę spojrzeć na wskaźnik.

Lampka rezerwy mruga czerwonym światelkiem.

– Zastąpiłem kolegę, nie było czasu na tankowanie.

Podchodzi Bosch i półgłosem przekonuje Holma:

– Nie możemy tankować. Ryzyko jest stanowczo za duże.

Holm obdarza Boscha spojrzeniem zimnym jak wszystkie groby, które zostawił za sobą. Po brodzie Boscha spływa pot i wsiąka w jego golf. Holm zwraca się do kierowcy:

– Gdzie jest najbliższa stacja benzynowa?

– Na północnej pętli Avusu.

– Niech pan tam jedzie.

Stojący za nim Bosch pochyla się do chłopca z zapłakaną twarzą i mówi cicho:

– Nic wam nie zrobimy.

Holm spogląda dziecku w oczy.

– Wierzysz mu?

Podczas gdy jedenastolatek robi w spodnie, Holm myśli o tym, że jego dzieciństwo skończyło się na brudnym kocu w piwnicy. Miał dziewięć lat i od tamtej pory nigdy więcej nie płakał. Czuje rwący ból w karku i odwraca się. Widzi, że

kierowca sięga po mikrofon, lecz natychmiast cofa rękę. Holm pochyła się ku niemu:

– Zanim wyruszyliśmy na przejażdżkę, omówiliśmy pewne sprawy. Pamięta pan?

Kierowca z trudem kiwa głową.

– Niech pan powtórzy, co panu powiedziałem.

Kierowca, w koszuli mokrej od potu, wylicza:

– Jeśli spróbuję dać znak klaksonem lub w jakikolwiek inny sposób, zabije pan kogoś. Jeśli zlekceważę jakiś znak drogowy albo skrzyżowanie z sygnalizacją świetlną, będę jechał za szybko lub spowoduję wypadek, zabije pan kogoś. Jeśli sięgnę po mikrofon, zabije pan kogoś.

– Prawidłowo. I starannie wybiorę tego, kogo zabiję.

Kierowca zaciska dłonie na kierownicy, Holm widzi, że pobiegały mu knykcie. Bierze z półki kryminał i czyta tytuł: *Niema narzeczona górala*.

– Powinien pan czytać coś lepszego. Zna pan Thomasa Carlyle’a? Nie, na pewno nie. „To, czego pragniemy i co pochwalamy, to nie odwaga, by godnie umrzeć, lecz odwaga, by żyć mężnie”⁶. A pan? Czy pan chce żyć?

Mężczyzna nawet nie może skinąć głową.

Dwa kilometry, jakie pozostały do pętli na Avusie, mijają bez dalszych incydentów. Kiedy z daleka widać stację, Holm zwraca się do nauczycieli i do dzieci:

– Wsiądę z kierowcą. – Wskazuje podbródkiem na Boscha. – Przy najmniejszej próbie wzbudzenia zainteresowania on zacznie strzelać. Zrobimy to tak jak w szkole. Kto mnie zrozumiał, niech podniesie rękę.

Wszyscy podnoszą rękę.

Autokar zatrzymuje się przy dystrybutorze. Nikt poza tym nie tankuje, na dużym parkingu stoją ciężarówki. Tirowcy siedzą w przydrożnej restauracji oddalonej o pięćdziesiąt metrów albo śpią w swoich kabinach.

– Zna pan ajenta tej stacji? – pyta Holm, podczas gdy kierowca wkłada do baku pistolet dystrybutora.

6 T. Carlyle, *Boswell's Life of Johnson*, [w:] *Critical and Miscellaneous Essays*, London 1899, s. 123 (przekład tłum.).

– Tak.

– Będzie chciał uciąć sobie z panem pogawędkę?

– Tak.

– Pewnie już się pan zastanawia, jak by tu niepostrzeżenie dać mu jakiś znak. Wspomni pan, że musiał pan iść z psem do weterynarza, chociaż wcale nie ma pan psa. On zapyta o pańską żonę, a pan wymieni jej fałszywe imię. On zapyta, czy miał pan udany urlop, pan zacznie opowiadać o Włoszech, mimo że facet wie, że był pan w Turcji. Jest wiele możliwości i każda oznacza śmierć pańską i ajenta. Rozumie pan? Wystarczy mrugnięcie na potwierdzenie.

Przez przednią szybę autokaru Bosch obserwuje Holma, który idzie z kierowcą do kasy. Kiedy przed miesiącem stanął przed nim po raz pierwszy, natychmiast zrozumiał, że człowiek ten przewyższa wszystkich, których kiedykolwiek spotkał. Holm wybrał właśnie jego. Znał jego najskrytsze myśli, aż Boschowi ciarki przechodziły po plecach. Nie waha się, nie ociąga, nie wątpi. Obiecał Boschowi, że pomoże mu znaleźć sprawiedliwość, i Bosch wie, że mówił prawdę. Ale dopiero kiedy zniknie z jego życia, Bosch znów odetchnie z ulgą.

– Cześć, Heinz.

– Cześć, Lutz – odpowiada kierowca. – Trójka.

Podaje ajentowi firmową kartę kredytową, a stojący za nim Holm przegląda magazyn samochodowy. Widzi kierowcę i ajenta w umieszczonym w rogu pomieszczenia lusterku monitorującym.

– Co tam? Przejazdzka po mieście?

– Wycieczka szkolna.

– Jesteś cały spocony.

– Przeziębiłem się, trzyma mnie już od tygodnia. Zaraza!

– Radzę ci: weź zwolnienie.

– Mhm.

– Napij się wieczorem wódki, to ci pomoże. – Ajent oddaje kierowcy kartę i mruga do niego. – Albo niech cię żona natrze.

– Bardziej przyda mi się kąpiel. Dziękuję, powodzenia.

Ajent wygląda przez okno:

– Ej, masz strasznie brudną przednią szybę. – Wychodzi zza lady. – Przemycę ją, akurat nie mam nic do roboty.

Holm unosi ramiona, a kierowca mówi szybko:

– Nie, daj spokój, musimy już ruszać.

– Okej. W każdym razie zdrowiej. Pan też czegoś sobie życzy? – zwraca się do Holma.

– Nie, dziękuję, chciałem tylko rozprostować nogi.

Kiedy Holm i kierowca są już w drzwiach, agent biegnie za nimi.

– Ej, stary, masz jeszcze tę torbę z narzędziami, którą ci pożyczyłem? Mój szef już o nią pytał. Pójdę z wami.

Przeżony kierowca chce odmówić, ale w tym momencie Holm przykłada agentowi do brody kant dłoni i uderza w nią pięścią. Dzieje się to tak szybko, że kierowca nie rozumie, o co chodzi, i osłupiały widzi, że agent pada martwy.

Holm wskazuje pomieszczenie z narzędziami.

– Zanieśmy go tam.

Kierowca nie rusza się z miejsca, po prostu siada na ziemi. Holm targa zwłoki do pomieszczenia z narzędziami i zamyka drzwi. Z wtyczki znajdującej się za ladą wrywa przewód urządzenia, na którym są zapisywane obrazy z kamery wideo, i wsuwa je pod kurtkę. Podnosi kierowcę i pędzi go do autokaru. Pół minuty później już ich nie ma. Nikt niczego nie zauważył.

Z kranu kapie woda. Pięć lub siedem razy na minutę, nigdy sześć. Niekiedy deszcz bębni o szybę – ale nie dzisiaj. Niekiedy jakiś ptak uderza o pręty kraty – również nie dziś. Niekiedy skrzeczy wrona, dzięki czemu on wie, że jest zima. Pory roku straciły znaczenie. Wie, że jest zima, bo skrzeczy wrona, a przy wyjściu na spaceriak leży śnieg.

W sąsiedniej celi kaszle zasuszony Albańczyk. Nad nim tam i z powrotem chodzi Serb. Pod nim lamentuje Libańczyk – przez niego. Kiedyś spuścił mu łomot i zapowiedział, że od teraz będzie robił to codziennie. Tacy jak on, których

przyskrzyniono za kilkaset gramów trawy, to śmieci. Nie są warci splunięcia.

Jak żalosne musi być życie, kiedy wypełnia je wyłącznie lęk. Wszyscy wokół są jak lemingi, on nie zauważa ich nawet wtedy, gdy któremuś z nich zadaje ból, aby paroma ciosami i kopniakami zagłuszyć własny.

W Barcelonie najpierw Marokańczycy myśleli, że będą mogli go przelecieć. Spuścił mózg ich przywódcy do otworu kanalizacyjnego w kabinie prysznicowej. Następni byli Baskowie. Ale kiedy dwóm najlepszym z nich pokazał, ile warte są ich noże, pozostali dali sobie spokój. Odtąd żyli jak psy z interesów, które on zostawiał im jak ochłapy. Potem przyszli Tunezyjczycy, Algierczycy, Francuzi. Pod koniec uciekali już w momencie, gdy wygrzebywał sobie woskowinę z uszu.

Wiedział, że tylko jego brat wyznaczy dzień stanowiący koniec odbywanej kary. Holm oprócz ojca jest jedynym człowiekiem na świecie, przed którym kiedykolwiek czuł i będzie czuł strach.

Było tak, gdy Sascha miał osiem lat i brat wykopał w lesie dół. Było tak też wtedy, gdy wkrótce zmarła matka i brat przejął nad nim opiekę.

Było tak również przy okazji wszystkich cięgow, które dostawał, przy każdym karcącym spojrzeniu.

Nigdy nie padło między nimi słowo „miłość” ani imię ojca, ani też bodaj jedno zdanie o tym, co stało się przed wykopaniem dołu.

Nauczył się szanować brata.

Od niego nauczył się panowania nad innymi.

Ale gdyby mógł, zabiłby go.

On jeden wyznaczy dzień.

Sascha wiedział, że spędzi w więzieniu co najmniej cztery lata. Wreszcie w gazecie więziennej zobaczył ogłoszenie: „Teraz zrozumiałam, gdzie jest moje miejsce. Chcę znaleźć kogoś, kto pozna mnie taką, jaką jestem”.

Minęło wiele tygodni, podczas których zadawał sobie pytanie, czy brat wie, że on przed nim klęczy. Może jeszcze nie nadszedł czas. Ale miesiąc później ta kobieta napisała do niego: „Nie istnieje los, jedynie przeznaczenie. Chciałabym poznać Pana

bliżej”.

Musiał napisać dziesięć listów, dziesięć otrzymał od niej. Torturą było wymyślanie życia, które przypominało życie leminga, i odrzucało go z obrzydzenia przy każdym ze zdań ociekających współczuciem dla siebie samego.

Była to jednak część kary.

Po pół roku kobieta odwiedziła go w Barcelonie. Drżała już w chwili, gdy się do niej przysiadł. Ślicznotka, jedna z tych, co to zwykle zadzierają nosa. Ale on miał nad nią władzę, ponieważ miał ją również jego brat. Spostrzegł, że kobieta czuje obrzydzenie, gdy położył swoją dłoń na jej dłoni, i to go podnieciło.

Chciałby jej pokazać, co można zrobić z takim pięknym noskiem.

Owiedziła go po raz drugi. Cieszył się już na samą myśl o tym, że zobaczy, jak męczą ją słowa, których wypowiedzenia od niej żądano. Cieszył się, że usłyszy, jak załamuje się jej głos.

Wsunęła mu do ręki gryps z najważniejszymi informacjami. Wkrótce napisał podanie o przeniesienie do Berlina, zasiadł przed komisją i założył nogę na nogę. Napawał się głupotą krawaciarzy i wiedział, że od tej chwili każda myśl, każdy krok, każdy dzień i każda noc, jakie dzielą go od wyjścia z więzienia, miną jak jeden oddech.

Rozkoszą było siedzieć w Teglu naprzeciw dyrektora placówki i wiedzieć, że ten facet, który myśli, że nigdy nikomu nie ustępuje i zawsze tylko wydaje komendy, jest zaledwie kostką w kubku, którym potrząsa Holm.

Sascha kazał mu kupić film, po czym podarował go Boenischowi.

Kiedy zobaczył, której kobiety chce Boenisch, trudno mu było poskromić niecierpliwość. Dni, kiedy zamknął drzwi celi, a ta kobieta należała do niego, były najlepsze od wielu lat. Ale gdyby go spytać, jak wygląda Boenisch, o czym mówi, jaki rzuca cień, nie umiałby powiedzieć. Znaczył dla niego mniej niż brud na zelówkach.

Szkoda tylko, że nie mógł dłużej z nią pobaraszkować.

Głaszczkę bliznę na szyi i zamyka oczy – robi to często – po

czym wyobraża sobie świat Aaron. Kapanie wody z kranu, kaszel Albańczyka, lament Libańczyka – tyle by miała, nic poza tym. Otrzymała karę, którą jego brat uznał za stosowną. Ale jest to tylko pierwsze piekło z wielu. On potrafi wymienić je wszystkie i każde z nich mu się podoba.

Serb chodzi nad nim tam i z powrotem. Dla zabicia czasu złamałby mu dzisiaj jeden lub dwa palce u nóg, aby usłyszeć, jak kuśtyka, ale już nie zdąży.

Drzwi celi się otwierają.

Sascha się uśmiecha.

O dziewiątej czterdzieści centrala dowodzenia otrzymuje telefon. Pokój wypełnia głos Holma.

– Jesteśmy w komplecie?

– Czy zakładnicy są cali i zdrowi? – pyta Demirci.

– Będę rozmawiał tylko z panią Aaron.

Aaron czeka dziesięć sekund, a potem zaczyna mówić. Musi przeciągać tę rozmowę, żeby udało się namierzyć telefon komórkowy Holma.

– Czy zakładnicy żyją?

– Tak.

– Niech mi pan to udowodni.

– Wie pani, że nie poproszę trzydziestu osób do telefonu, nie traćmy czasu na bzdury. Wsadzi pani mojego brata do samochodu, do bmw 7 z automatyczną skrzynią biegów. W bagażniku ma być torba z pięcioma milionami euro w używanych banknotach o nominałach pięćdziesiąt i sto. Jeśli zrobi pani wszystko jak należy, żaden z zakładników nie zostanie zabity.

– Żeby wyciągnąć pańskiego brata z więzienia, powinniśmy porozmawiać z senatorem spraw wewnętrznych i sądownictwa. Decyzja nie spoczywa w naszych rękach, nie mogę więc panu niczego obiecać. To samo dotyczy okupu. Potrzebowalibyśmy wielu godzin, żeby zgromadzić taką kwotę. Nie jest zresztą powiedziane, że to by się nam udało.

Namierzili go?

Aaron spogląda pytająco na Pavlika.

– Zapomnij o tym – szepcze do niej Pavlik.

– Czy pani myśli, że nie wiem, że mój brat już dawno jest w drodze na Budapester Strasse?

Martwa cisza.

– Gdyby tak nie było, okazałoby się, że nie doceniałem pani

Demirci. Pani Aaron, pani taktyka pertraktacji to jedna wielka obraza. W autokarze tuż obok baku paliwa znajduje się dwadzieścia pięć kilo C4. To wystarczy, żeby na przykład zamienić Leipziger Platz w krater. Albo może Gendarmenmarkt? Zapalnik jest uruchomiony. Na zgromadzenie pieniędzy dają pani dwie godziny.

Kończy połączenie.

Aaron sygnalizuje, że chciałaby dostać słuchawki. Ponownie puszcza nagranie.

Cichutki płacz. Odgłosy ruchu ulicznego. Kierunkowskaz. Autokar się zatrzymuje. Jeszcze czyjś płacz. Szept. Autokar jedzie dalej. Szept się urywa.

Aaron zdejmuje słuchawki.

– W autokarze jest co najmniej troje dzieci. Nie musi to nic znaczyć, ale możliwe, że mamy do czynienia z wycieczką szkolną.

– Niech cała berlińska policja wypatruje autokarów z dziećmi – mówi Demirci. – W razie podejrzenia niech je dyskretnie obserwują pojazdy cywilne. Poza tym należy się skontaktować z wszystkimi przedsiębiorstwami autokarowymi w Berlinie i w Brandenburgu. Spytajcie, kto dzisiaj zamawiał wycieczkę szkolną.

– Mówimy o kilkuset firmach. To potrwa – stwierdza Pavlik. – Niech to może zrobić policja federalna, mają tam więcej ludzi.

– Panie Pavlik, ja teraz nie dyskutuję. Pani Aaron, proszę ze mną. – Demirci kładzie rękę Aaron w zgięciu swojego łokcia i szybkim krokiem zmierza z nią do windy. – W normalnej sytuacji ściągnęłabym tu z Krajowego Biura Śledczego psychologa policyjnego od tworzenia profilów osobowości, ale pani zna Holma lepiej niż ktokolwiek. Chętnie uwzględniłabym pani samopoczucie, jednak nie mogę sobie na to pozwolić. Bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie.

– Pani Helm, muszę rozmawiać z senatorem spraw wewnętrznych.

– Oczywiście. Dyrektor LKA Enderlin dzwonił już dwa razy. Uważa, że to ich sprawa.

– Nie obchodzi mnie to. – Demirci idzie z Aaron do sąsiedniego pomieszczenia i zamyka drzwi. – Moment – rzuca, po czym mówi do słuchawki: – Panie Enderlin, muszę się streszczać: Wydział doprowadzi do przejęcia zakładników przez federalną prokuraturę generalną. Poradzimy sobie z tym sami, jednak potrzebujemy od was oddziału pirotechników. Wasz zespół musi być gotowy do akcji w ciągu pół godziny. Nasz logistyk zgłosi się do was. Powiadomię pana, jeśli poza tym będziemy potrzebowali wsparcia. – W jej głosie daje się wyczuć lekkie zdenerwowanie. – Rozumiem. Ale Komisja Spraw Wewnętrznych jest już poinformowana. Do usłyszenia.

Nie, jeszcze nie jest. Ale ona nic sobie z tego nie robi. Łał!

Aaron szuka ręką fotela za biurkiem.

– Pół metra dalej w prawo – mówi Demirci.

Aaron siada.

– Czy jest jakaś alternatywa dla wypuszczenia Saschy?

– Nie.

– Mógłby się sprzeciwić takiej wymianie.

– Dlaczego miały to zrobić?

– W Hiszpanii został skazany na czterdzieści osiem lat więzienia. Po przeniesieniu go do Berlina dostosowano wymiar kary do prawa obowiązującego w Niemczech. W przypadku szczególnego ciężaru winy oznacza to, że zwolnienie byłoby możliwe za dwanaście lat.

– To jest pani oferta? Co najmniej kolejne dwanaście lat więzienia, a potem nadzieja na ulaskawienie?

– To tylko podstawa do pertraktacji.

– Nie jesteśmy upoważnieni do złożenia mu takiej obietnicy, mógłby to zrobić jedynie sędzia. Sascha zamordował przynajmniej ośmioro ludzi, wśród nich pięciu policjantów we Francji i w Hiszpanii. Jaki sędzia na to pójdzie?

– Sascha nie jest prawnikiem – odpowiada Demirci. – Moim nadrzędnym celem jest uwolnienie zakładników. Chodzi mi o to, żebyśmy zyskali na czasie, zanim znajdziemy autokar. Wtedy nasza pozycja będzie inna. Holm nie zabije

trzydzieścioro osób i samego siebie.

– Niech pani tego nie robi.

– Czego?

– Niech go pani nie lekceważy.

Szeleści paczka papierosów. Aaron wyobraża sobie bezgłośnie krążące drony, jak drapieżne ptaki wypatrujące łupu.

– To uzbrojenie, o które mnie pani zagadnęła – mówi Demirci

– należało do pewnego janczara. Wie pani, kim byli janczarzy?

– Nie.

– Gwardią przyboczną sułtana. Już jako chłopcy byli szkoleni na morderców.

– To aluzja do wychowania Saschy przez brata?

– Chociaż janczarzy przysięgali na wierność sułtanowi, zbuntowali się przeciw niemu. Holm stawia Saschę w sytuacji bez wyjścia, trzeba mu to uświadomić.

– Pani Demirci, od trzech godzin udowadnia pani, dlaczego stoi pani na czele Wydziału. Do tej pory ani razu nie straciła pani opanowania. Ale zajmuje panią większy problem niż Sascha. Co to jest?

Demirci wsuwa papierosa z powrotem do paczki.

– Nawet jeśli wydamy Holmowi brata, pozostanie nam pięć milionów. Wątpię, czy ktoś przyzna mi taką sumę. Myśli pani, że można by pertraktować co do jej wysokości?

– Nie.

– Mówiła pani, że pieniądze nic dla Holma nie znaczą.

– Jemu nie chodzi o pieniądze, tylko o władzę. Mogłabym też wysunąć argumenty praktyczne: on wie, że te banknoty są zarejestrowane, że musi je wyprać, więc na koniec zostanie mu co najwyżej połowa. Ale nie traćmy czasu na interpretacje. Proszę mi wierzyć, jeżeli nie spełni pani jego wszystkich żądań, on wcieli swoją groźbę w czyn.

– I sam umrze?

– To go nie przeraża.

Helmchen zgłasza się przez interkom:

– Senator spraw wewnętrznych do pani.

– Dziękuję, pani Helm. – Demirci zwraca się do Aaron: – Mogę panią przeprosić?

- Jeśli to pani nie przeszkadza, chciałabym posłuchać.
- Zgoda. – Włącza tryb głośnomówiący. – Demirci.
- Svoboda.
- Panie senatorze, przed godziną rozmawialiśmy o Holmie i trzech moich ludziach. Sytuacja eskaluje. Holm porwał autokar, grozi, że zamorduje trzydzieścioro zakładników. Możliwe, że są wśród nich dzieci.
- Svoboda potrzebuje zdumiewająco mało czasu, żeby przemyśleć sprawę.
- Gdzie znajduje się ten autokar?
- Nie wiemy. Gdzieś w Berlinie. Szukamy go przy użyciu wszelkich dostępnych sił.
- Jak brzmią żądania Holma?
- Chce, żeby uwolnić jego brata. – W pauzie, którą robi Demirci, zawiera się cały świat. – I żąda pięciu milionów.
- Słysząc, że Svoboda smarka.
- Chciałbym mieć kontrolę nad tą sprawą.
- Przecież pan ma. Dyrektor LKA skarżył się na pański ton. No cóż. Nie uważa pan, że powinien się pan skonsultować ze mną? A może nagle zmieniła się droga służbowa?
- On od dawna wie o porwaniu. I wrabia Demirci. Co za dupek! Właśnie takim go pamiętam.*

Dziesięć rzeczy, których Aaron nie brakuje:

pocztówki

własna twarz o siódmej rano

filmy Almodóvara

widok pańienek, które malują się w toaletach restauracyjnych

wpatrywanie się nocą w budzik

ciągłe spoglądanie w lusterko wsteczne

to, że mężczyźni się na nią gapią

oczy, które mówią co innego niż usta

jadłospis z obrazkami

spojrzenie na puszkę zimnych ravioli

- To w naszej gestii leży uwalnianie zakładników – mówi Demirci. – Holm postawił nam ultimatum i czeka dwie godziny

na odpowiedź. Nie chciałabym, żeby Krajowe Biuro Śledcze deptało nam po piętach.

Svoboda musi wpinać każde poszczególne słowo do swojego dossier.

– Trzej pani ludzie nie żyją. Wątpię, czy Wydział dysponuje dzisiaj wystarczającą siłą, by uderzyć. Poza tym nie mogę dopuścić, by media wzięły panią w krzyżowy ogień pytań, mam obowiązek się panią opiekować. Powinna pani jednak wiedzieć, że wdrożyłem śledztwo. Jutro rano ukaże się informacja w prasie. Będzie pani miała możliwość zajęcia stanowiska.

No jasne. Opieka to twoja specjalność!

Demirci zachowuje spokój.

– Holm upiera się, że będzie pertraktował wyłącznie z nami. A ściślej: z Jenny Aaron. To jest plus, ona bardzo dobrze go zna.

– A ja znam panią Aaron. Kiedy jeszcze była w Wydziale, miała szczęście, że protegował ją jej przełożony, w przeciwnym razie już w pierwszym roku służby musiałaby zrezygnować. Miała pewne umiejętności, ale nie zaliczały się do nich cierpliwość i swobodne kierowanie rozmową. Brak jej cech charakteru niezbędnych do prowadzenia tego typu pertraktacji. No i – Boże jedyny – jest niewidoma.

Aaron widzi go nagle przed sobą: jego wiotką, klajstrowatą skórę, obwisłe policzki, wymanikiurowane kościste palce. Nie dostrzegłby umierającego żebraka. Aaron pamięta jak Boenisch i Rungego.

Pragnienie, żeby zabrać głos, ścisza jej klatkę piersiową. Ale to by zdemaskowało Demirci, która w tym samym momencie wsuwa jej do ręki paczkę papierosów i zapalniczkę. Aaron udziela się opanowanie szefowej Wydziału. Pozwala się uspokoić pulsowi i zaciąga się głęboko.

– Pani Aaron cieszy się moim absolutnym zaufaniem – odpowiada Demirci – doradza mi. Jej ocena sytuacji ma ogromne znaczenie. Nie mogłabym wyobrazić sobie nikogo lepszego.

Svoboda delectuje się własnymi słowami.

– Jak do tej pory nie dostrzegam tu oznak wyobraźni. A zatem

jaka jest pani strategia?

– Kazałam przywieźć z więzienia brata Holma, niebawem tu będzie. Spróbujemy nakłonić go do poddania się. Nie robię sobie wielkich nadziei. Wszystko sprowadza się do tego, że musimy spełnić żądania porywacza.

– Pięć milionów euro absolutnie nie wchodzi w grę.

– Panie senatorze, bardzo pana proszę: Holm jest zdecydowany na wszystko. Jeśli będziemy lawirować, zabije zakładników.

– Pół miliona to górna granica.

Aaron pragnęłaby wytrząsnąć z niego tę zarozumiałość, tę obojętność. Przecież facet właśnie stawia na szali cenę za kilkadziesiąt ludzkich istnień.

Drzwi otwierają się cicho. Helmchen szepcze coś Demirci na ucho. Aaron rozumie jedynie: „Dwoje – przedtem”. Helmchen zostawia je same.

Demirci mówi ochryplym głosem:

– Właśnie otrzymałam informację, że w mieszkaniu przy Leipziger Strasse zostały znalezione zwłoki pewnego małżeństwa. Obu ofiarom skręcono karki. Dokładnie naprzeciw tego mieszkania znajduje się hotel, w którym Jenny Aaron spędziła noc. Musimy przyjąć, że zabójcą jest Holm. Popenił morderstwo prawdopodobnie wczoraj wieczorem.

Sufit spada i rozbija się z trzaskiem na ramionach Aaron. Demirci stoi na gruzach i rozmawia przez telefon.

– On od wczoraj zamordował sześć osób, trzydzieści kolejnych nic dla niego nie znaczy. Potrzebujemy tych pieniędzy. Natychmiast.

– Powiedziałem: nie. – Svoboda łapie powietrze. – To złożona i bardzo delikatna sytuacja. Czy panią to przerasta?

Aaron usiłuje się oprzeć napierającemu na nią ciężarowi o masie wielu ton. Sygnalizuje szefowej Wydziału, że musi porozmawiać ze Svobodą.

– Sekundę – mówi Demirci.

Otwiera drzwi, czeka chwilę, zamyka je.

– Panie senatorze, poprosiłam do siebie panią Aaron. – Sztuczna pauza. – Pani Aaron, czy widzi pani jakakolwiek

szansę, żeby dostosować warunki Holma do naszych możliwości?

– Uwolnienie brata i pięć milionów euro nie jest dla Holma podstawą do pertraktacji – mówi Aaron. – Jedno i drugie to warunki *sine qua non*.

– Jest pani bardzo elokwentna – rzuca Svoboda. – Ale pani uległość nasuwa pytanie, dlaczego właśnie pani miałaby z nim pertraktować.

– To była jego decyzja.

– Może dlatego, że tak łatwo mu się z panią pogrywa.

Aaron waha się tylko przez sekundę.

– Znamy się, panie senatorze. Z pewnością przypomina pan sobie nasze ostatnie spotkanie.

– A powinienem?

– Raczej tak. Był pan wtedy sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jeden z moich kolegów i ja pracowaliśmy w Neapolu jako agenci pod przykryciem. Nalegał pan na to, żebyśmy na kilka godzin przed decydującym spotkaniem z szefem klanu Mazzarella osobiście złożyli panu raport. Mówiono panu, że to zagrozi powodzeniu całej operacji, ale pan się tym nie przejął. Kiedy wracaliśmy z Neapolu, próbowano mnie zabić. Później okazało się, że klan nas obserwował i że zostaliśmy zdemaskowani wskutek lotu do Berlina. W obszernym raporcie wewnętrznym wspomniano o pańskim udziale w tym przedsięwzięciu. Ale raport trzymano pod kluczem. Pewnie nie bez znaczenia okazał się fakt, że federalny minister spraw wewnętrznych był pańskim kolegą partyjnym.

– Pozwala sobie pani na zbyt wiele! Pani Demirci, chciałbym porozmawiać z panią sam na sam.

– Podobnie jak opinia publiczna nigdy nie dowiedziała się – niewzruszenie ciągnie Aaron – że niemiecka filia klanu podsłuchiwała pańskie rozmowy telefoniczne i dzięki temu była znakomicie poinformowana.

– Ta rozmowa jest skończona.

– Niezupełnie. Pozwoliłam sobie wówczas skopiować ów raport. Pan zdecyduje, czy podsunę go prasie, czy też

najpóźniej za godzinę w Wydziale znajdzie się pięć milionów euro. W używanych banknotach, pięćdziesiątkach i setkach. Wystarczy, że zadzwoni pan do senatora finansów. Jest pan przecież elokwentny.

Słychać stukot. Svoboda odłożył słuchawkę.

Demirci wyjmując z ręki Aaron paczkę papierosów i zapala jednego. Aaron pali razem z nią. Naciska guziczek na swoim zegarku. Głos mówi: „Siódmy stycznia. Czwartek. Godzina dziesiąta, dwadzieścia minut, trzy sekundy”.

Godzina i dwadzieścia minut do chwili, gdy upłynie czas wyznaczony przez Holma.

– Mamy teraz wspólnego wroga – mówi Demirci.

– Wolałaby pani mieć takiego dupka za przyjaciela?

Demirci przez moment nie może wydobyć głosu:

– Naprawdę ma pani tę kopię? Pytam tylko dlatego, że od tego zależy moja kariera.

– Nie. Ale ma ją pani poprzędek i z pewnością bardzo by się ucieszył, gdyby mógł przefaksować mi ją ze Szwecji.

W tym samym momencie Aaron widzi siebie i Nika wychodzących z terminalu na Schönefeld. Dzieci hałasują przed autokarem, mówią jednym ze skandynawskich języków.

Przez samolot toczy się kulka śnieżna.

Aaron z torebką pieczonych kasztanów idzie do wyjścia.

Dzieci ze smutkiem odprowadzają ją wzrokiem.

– Szukamy autokaru z wycieczką szkolną ze Skandynawii. Nie wiem, z jakiego kraju. Autokar pochodzi prawdopodobnie z Berlina.

– Jak pani na to wpadła? – pyta zaskoczona Demirci.

– Gdybym pani powiedziała, nie potraktowałaby mnie pani poważnie. Poprzestańmy na tym.

Demirci naciska klawisz w telefonie i podaje tę informację Helmchen. Nad budynkiem znów przelatuje helikopter.

– Możemy dać Svobodzie jeszcze minutę. Jeśli się jednak nie odezwie, zacznę sprzątać swoje biurko.

– Zadzwoni. On wie, że ja nie blefuję.

– Skąd ma pani w sobie taką pewność?

Po raz pierwszy w życiu Aaron mówi:

- Jestem córką Jörga Aarona.
- W sekretariacie dzwoni telefon.
- Mój poprzednik radził mi zresztą to samo co pani.
- Co takiego?
- Żeby do mężczyzn z Wydziału zwracać się tylko po nazwisku. Ale jakoś nie mogę się przezwyciężyć.
- To było wczoraj. Dzisiaj podoba mi się pani styl.
- Ma pani z nim jeszcze kontakt? – pyta Demirci.
- Od czasu do czasu rozmawiamy przez telefon.
- Jak mu się wiedzie w tej Szwecji?
- Łowi grube ryby.
- Proszę go ode mnie pozdrowić.
- Drzwi się otwierają. Helmchen mówi:
- Będą pieniądze. – Obie kobiety oddychają z ulgą. –
I przywieźli Saschę.

Przyszli w sześciu i nie odezwali się słowem. Widział ich wściekłość i śmiał się z nich w duchu, wyobrażając sobie, o czym myślą. Zawiazali mu oczy i założyli kajdanki na ręce i nogi, jednak wcale mu to nie przeszkadzało – on się tym delectował. Działali szybko, a on wiedział dlaczego. Wepchnęli go do windy, a potem ciągnęli w łańcuchach przez korytarze, jemu zaś stawianie kolejnych kroków nigdy nie przychodziło z taką łatwością. Przez te pięć lat zamykało się za nim wiele drzwi. Nienawidził ich wszystkich. Ale te jedne były tego warte.

Za nimi siedzi **ona**.

Sadzają go na krześle i zdejmują mu opaskę z oczu.

Rozczarowanie podchodzi mu do gardła jak żółć. Sascha natychmiast chce przeskoczyć stół i zabić Aaron.

Aaron patrzy mu w oczy.

Tysiące razy Sascha wyobrażał sobie, jak to będzie. Ale ona zawsze odwracała od niego wzrok. Pragnienie dotknięcia blizny na szyi jest tak przemożne, jak gdyby od dwóch minut znajdował się pod wodą i teraz wreszcie mógł zaczerpnąć powietrza. Nie chce jednak dać satysfakcji facetowi opartemu o ścianę ani wszystkim tym, którzy stoją za lustrem weneckim. Skupia się więc na nabrzmieniu nad kością jarzmową Aaron. Nie ma wątpliwości, że za jego powstanie odpowiada jego brat. Pobił i upokorzył Aaron – wielka szkoda, że Sascha nie mógł przy tym być.

Ale najlepsze, najlepsze ze wszystkiego jest to, że ona myśli, iż on jest wydany na jej łaskę i niełaskę.

Że myśli, iż jest bezpieczna.

Sascha odchyła się na krześle, niedbale krzyżuje ręce nad głową i mówi:

– Widzę to, czego ty nie widzisz.

Aaron czekała w pokoju przesłuchań na Żetonowe Oko.

Przyszła wcześniej, żeby nie mógł się podniecać, patrząc, jak po omacku szuka krzesła. Czuje, że Pavlik jest przy niej. Wprawdzie tylko ona będzie prowadziła przesłuchanie, tak jak uzgodnili, ale już sama jego obecność bardzo jej pomaga. Głos Żetonowego Oka rozbrzmiewa w niej echem. Jest szydery, zjadliwy, zły. Równocześnie brzmi jak głos dziecka, które siedzi pod choinką, wściekłe, że nie dostało najbardziej upragnionego prezentu.

– Kazałam tu pana przywieźć, bo pański brat jest w Berlinie. Czy wiadomo panu, gdzie przebywa?

Żetonowe Oko wybucha śmiechem.

– Ślepa i głupia.

– Jeśli będzie pan z nami współpracował, możemy porozmawiać o złagodzeniu wyroku.

– Już nigdy nie wrócę do więzienia.

– Panie Holm, zdaje się pan wierzyć, że pana wypuścimy. To śmieszne.

– Ach, przywieźliście mnie tu, żeby mi zapewnić rozrywkę?

– Powiedziałałam panu, dlaczego pan tu jest.

– Jestem tutaj, bo mój brat może cię zerznąć, kiedy i gdzie zechce. Co masz pod okiem, szmato? Wywaliłaś się?

– Zabarykadował się z dwoma zakładnikami w mieszkaniu w urzędzie dla nieletnich. Ale to nie stanowi dla nas większego problemu.

Żetonowe Oko bulgocze:

– Łał! Zabił już wszystkich pozostałych? A jak wjechał autokarem do tego mieszkania?

Do diabła.

Aaron milczy przez chwilę, czekając, aż jej mięśnie się rozluźnią. Nie może dać po sobie poznać, że jest spięta.

– Wychodzimy z założenia, że pański brat obserwował przetransportowanie pana tutaj. Pewnie czuje się bezpieczny. Musimy tylko zyskać na czasie. A pan nam w tym bardzo pomoże.

– Ślepa, głupia, zakłamana. Dasz mi, gnojowo, peta?

– Uwolnimy zakładników i najprawdopodobniej zabijemy pańskiego brata. Czy pan również chce umrzeć?

– Grozisz, że mnie zastrzelisz? A co się tyczy mojego brata: załatwił trzech waszych ludzi. Jakby się podrapał po jajach.

Aaron przypomina sobie, jak strzeliła Żetonowemu Oku w szyję. To pomaga się jej uspokoić.

– Nie przebywa pan już w hiszpańskim więzieniu. W Niemczech ma pan jeszcze do odsiadki dwanaście lat. Wtedy mógłby pan zostać zwolniony.

– Ślepa, głupia, zakłamana i zrozpaczona.

– To lepsze niż dożywocie w dosłownym rozumieniu.

– Dożywocie masz ty, nie ja. Jak chcesz, to jeszcze dolicz mi piętnaście lat za tę, z którą się zabawilem. I czy ktoś może otworzyć okno? Śmierdzisz piwnicą Boenisch. Obrzydlistwo.

Jak gdyby nigdy nic przyznaje się do zabójstwa Melanie Breuer. Każda dalsza próba to strata czasu.

– Mam ci coś od niego przekazać. Może niech ten glina, który nudzi się pod ścianą, sięgnie do prawej kieszeni moich spodni. Ale niech mnie nie obmacuje.

Aaron daje Pavlikowi znak głową. Żetonowe Oko wstaje. Materiał szeleści. Więzień siada. Pavlik wkłada coś do ręki Aaron. Ona dotyka tego, nie odwracając głowy – tak jakby patrzyła Żetonowemu Oku prosto w twarz.

– Ups, byłbym zapomniał: obiecałem temu choremu onaniście, że kiedyś mu opowiem, w jaki sposób cię zabiłem. A zawsze dotrzymuję przyrzeczeń.

Kiedy Aaron poznaje, co trzyma w ręce, szesnaście lat rozpada się na atomy. Jest praktykantką w Szóstym Wydziale Zabójstw i siedzi w maleńkim pokoju, który jej przydzielono. Nikt jeszcze nie wie o piwnicy w Spandau.

Czyta zeznanie męża jednej z zaginionych adwokatek: „Rano podarowała mi płyn po goleniu. To była rocznica naszego ślubu. A ja całkiem o niej zapomniałem”. Spojrzenie Aaron wędruje ku Boenischowi, który siedzi wciśnięty w krzesło i czeka na swoje trzecie przesłuchanie w charakterze świadka.

Od dziesięciu minut nie poruszył nawet palcem. Z czubka nosa zwisa mu kropla potu, jakby była zamarznęta. Aaron

czyta dalej: „Poszła smutna do pracy. A teraz może już nigdy jej nie zobaczę”.

Spostrzega, że Boenisch ją obserwuje, więc podnosi wzrok.

– Przepraszam, nie chciałem się w panią wpatrywać, ale bardzo pani ładnie w tej sukience.

Mówi to tak miłym tonem, że Aaron ma nagle wyrzuty sumienia, bo nawet nie zaproponowała mu nic do picia.

– Czy chce się panu pić?

– Tak. Dziękuję.

Aaron idzie do kuchni i wraca ze szklaną wody. Boenisch wypija ją jednym haustem.

– Dziękuję.

Proszą go do sąsiedniego pokoju. Aaron patrzy przez chwilę w ślad za nim, za tym olbrzymem w cielistych skarpetkach i sandałach, który przechodząc przez drzwi, schyla głowę, odwraca się do niej i po raz trzeci mówi:

– Dziękuję.

Nazajutrz Aaron na próżno szuka w szufladzie biurka medalionu, który podarowała jej matka. Odłożyła go, bo popsuł się zamek. Ten medalion wiele dla niej znaczy. Chociaż ona i matka często nie potrafią ze sobą rozmawiać, Aaron wie, że jest to szczególny prezent – medalion był własnością jej babki.

Kiedy go otrzymała, był pusty. Może matka miała nadzieję, że Aaron włoży do niego jej zdjęcie. Mogła oczywiście sama umieścić w nim swoją fotografię, ale pewnie pomyśli, żeby córka zrobiła to z własnej woli, wydał się jej lepszy – taka już była.

Niedawno Aaron zaczęła się zajmować filozofią Dalekiego Wschodu. Postanowiła, że włoży do medalionu dwa japońskie znaki symbolizujące życie i śmierć.

Burza zaciemnia okno, pierwsze grube krople deszczu uderzają o szybę. Naraz Aaron traci pewność, czy rzeczywiście włożyła medalion do szuflady. Postanawia, że poszuka go w domu.

Ale tego nie robi. Późnym popołudniem czyta trzecie zeznanie Boenischa, porównuje je z dwoma poprzednimi i dzwoni do jego drzwi. Od tej pory nic nie jest już takie jak wcześniej.

Zamyka medalion w pięści. To wspomnienie zatraciło się w jej pamięci. Po raz trzeci od powrotu z Berlina udaje się jej wydrzeć coś płomieniom. Przypomina sobie, jak wygląda Pavlik. I to, że postrzeliła Żetonowe Oko w szyję. Trzyma w ręce medalion ukradziony jej wówczas przez Boenisch – fetysz, którego troskliwie strzegł przez te wszystkie lata.

Aaron przychodzi na myśl, że płomienie wcale nie zniszczyły jej wspomnień. Może w tej bibliotece jest nieskończenie wiele drzwi, każde z nich ognioodporne, i wspomnienia ukryły się za nimi. A teraz tylko czekają, kiedy drzwi się otworzą.

Ta myśl zostaje jednak natychmiast wyparta przez kolejną: że Boenisch myśli o niej w tym momencie. Żetonowe Oko wie, co ona trzyma w ręce, i to go bawi. Chce z niej zrobić gumową lalkę, z którą Boenisch ma zaspokoić swoje żądze. Aaron chowa medalion, zapala papierosa i dmucha Żetonowemu Oku dymem w twarz.

Demirci i Niko stoją w sąsiednim pomieszczeniu przed lustrem weneckim i śledzą przebieg przesłuchania. Wchodzą Büker i Majowski. Obaj byli odpowiedzialni za przywiezienie tu Saschy.

– Co się dzieje?

– Rozmawiał pan z więźniem? – pyta Demirci.

– Nie. Dlaczego pani pyta?

– On wie o trzech zabitych – mówi Niko. – Rozmawialiście o tym? Podśluchiwał was?

– Masz nas za kretynów?

Demirci i Niko wymieniają spojrzenia.

– Chcę wiedzieć, czy ktoś wchodził do jego celi od czasu, gdy siedzi w pojedynce.

Niko, Majowski i Büker wychodzą. Po chwili dzwoni telefon. Demirci odbiera.

– Tak? Proszę przesyłać mi wideo z pokoju przesłuchań.

Demirci bierze iPada i wkłada słuchawki do uszu. Kiedy

wchodzi do centrali dowodzenia znajdującej się o troje drzwi dalej, już widzi na ekranie Aaron i Saschę.

– W mieście jest tylko jeden autokar ze skandynawskimi dziećmi – dowiaduje się od Giulii Delmonte. – Szósta klasa szkoły podstawowej z Århus, z Danii. Dwadzieścioro siedmioro uczniów i dwoje nauczycieli. Próbowano połączyć się z kierowcą drogą radiową, ale nie odbiera, ma też wyłączony telefon komórkowy.

– Czy policja berlińska jest poinformowana?

– Od minuty. Poprosiliśmy o zlokalizowanie jego telefonu.

– Proszę podać wszystkim mediom online i rozgłośni berlińskiej typ pojazdu, lakier i tablice rejestracyjne, ale nie wspominać o zakładnikach. Poszukujemy autokaru, to wystarczy. Czy wiemy, gdzie doszło do porwania?

– Przy pomniku ofiar Holokaustu. Za piętnaście dziewiąta.

– Tam są patrole strażników, każcie je przesłuchać. Poza tym personel budek z kiełbaskami i z pamiątkami. Chcę wiedzieć, czy ktoś zauważył coś między ósmą a za piętnaście dziewiąta. Na budynku ambasady amerykańskiej, który znajduje się naprzeciw, są zainstalowane kamery. Skontaktujcie się z jej pracownikami.

Demirci spogląda na tablet. Aaron mówi:

– Wątpię, czy pańska kariera więzienna dzisiaj się skończy. I myślałam, że jest pan inteligentniejszy.

Sascha rozwała się na krześle i śmieje się szyderczo.

Demirci zwraca się do Majowskiego:

– Niech obydwaj zespoły szybkiego reagowania będą w gotowości do interwencji.

– Czy to znaczy, że zaatakujemy, jak tylko autokar zostanie zlokalizowany?

– Nie. Zostanie podstawiony samochód do ucieczki. Z pieniędzmi. Przygotujcie to.

Demirci wraca do pomieszczenia za lustrem.

Pavlik stawia spodeczek przed Aaron, a ona gasi na nim papierosa. Słowa Żetonowego Oka ciągną się jak smarki:

– Jak ktoś tak tchórzliwy jak ty może być taki wyniosły?
– Pan nazywa mnie tchórzem? Facet, który dusi bezbronną kobietę plastikową torebką, żeby Boenisch się podniecił?
– Wiesz, że to nie był powód. Ty jesteś tutaj i ja jestem tutaj. O to chodzi, kurwo.

Aaron słyszy Demirci w swojej słuchawce:

– Przerzywamy.

– On chce wrócić do celi – mówi do Pavlika.

– Można się roztrzaskać o tchórzostwo albo też dzięki niemu urosnąć. Niekiedy decyduje się to pierwszego dnia drewna w miesiącu życzliwości – ciągnie Żetonowe Oko.

Pavlik ściąga go z krzesła.

– Wystarczy.

– Nie, poczekaj – powstrzymuje go Aaron.

Miesiąc uczucia – tak nazywał się styczeń w czasach samurajów. Dzisiaj jest czwartek. Dzień drewna. To nie Żetonowe Oko ze mną rozmawia. To jego brat.

– Równo sześć lat temu.

– O czym on mówi? – pyta Demirci.

Sześć lat. Pierwszy czwartek stycznia. Co to było?

– Jest jeszcze jedna nazwa na dzień drewna – mówi Żetonowe Oko słowami swojego brata.

Dzień Jowisza.

Teraz Aaron już wie: Ukrainka. Pi.

Na kilka tygodni zakwaterowali wówczas dwie Ukrainki w mieszkaniu operacyjnym we Frankfurcie nad Odrą. Były głównymi świadkami oskarżenia w procesie mężczyzny kierującego siecią przymusowej prostytucji. Chronił je zespół szybkiego reagowania, pięciu mężczyzn. Chociaż zasłony były zasunięte, snajperowi, który leżał na pozycji w odległości około czterystu metrów od budynku, udało się namierzyć jedną z kobiet czujnikiem ciepła. Użył amunicji przebijającej szkło pancerne i zabił ją strzałem w głowę. Kobieta, która przeżyła, została umieszczona w bezpiecznym miejscu. Wystarczyło przetrwać tylko jedną noc, pojutrze miał się zacząć proces. Koledzy Aaron wybrali hotel Jowisz. Zajechali tam wieczorem. Wychodząc z limuzyny Ukrainkę otaczało pięciu mężczyzn.

Z dachu naprzeciwległego domu ponownie przeprowadzono zamach.

Ralf Paretzki, którego wszyscy nazywali Pi, rzucił się, żeby osłonić kobietę. Dwie kule trafiły go w klatkę piersiową, ale zatrzymała je kamizelka. Trzecia kula utkwiała w skroni. Pi stracił dużo krwi, jednak przeżył. Na dachu znaleziono trzy łuski od naboju. Strzelca nigdy nie schwytano.

– Widzę, że sobie przypominasz – mówi Żetonowe Oko.

Czy to on był zamachowcem? Nie. To Holm.

– On ocalił życie tej kobiecie, wyrównał dług.

Jedyne odgłosy to trzaski w neonówce.

W sąsiednim pokoju Demirci wstrzymuje oddech.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odzywa się Aaron.

Ale znakomicie rozumie sens jego słów. Pi zawiódł we Frankfurcie nad Odrą. Był z Ukrainką sam w pokoju i widział na zasłonie czerwony punkt sensora wychwytyjącego fale ultrafioletowe. Natychmiast padł na podłogę, ale nie pociągnął kobiety za sobą, co powinien był zrobić. Działał odruchowo, żaden kolega mu tego nie wyrzucił, sam jednak bardzo się obwiniał. Wszyscy spodziewali się, że zostanie wyrzucony z jednostki, ale szef odbył z nim długą rozmowę i zdecydował inaczej. Jakże słusznie! Pi dowiódł tego przed hotelem Jowisz.

Skąd Holm wiedział, że to był ten sam mężczyzna? Nie, to proste. Pi miał tylko metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, był jedynym kurduplem.

– Stchórzył w dzień Merkurego, zdobył się na odwagę w dzień Jowisza. Jego ofiara nie była daremna.

Dzień Merkurego. Środa.

– No co, uruchomił się jakiś film? – pyta Żetonowe Oko.

Rozbłyska obraz: Aaron czeka przed kinem na Nika, nie pamięta przed którym. On całuje ją w policzek, a więc jeszcze nie są razem. Kupuje bilety na film, ale Aaron nie pamięta na jaki. Usilnie szuka w pamięci.

Nagle zanurza się w to wspomnienie.

Wychodzi z Nikiem z kina. Oglądali *Awatara*. Są na Alexanderplatz, jeszcze mają na oczach okulary 3D. Chodzą dookoła i wygłupiają się. Niko kupuje jej torebkę pieczonych

kasztanów. Gwiazdy migoczą w jego źrenicy, Aaron całuje go po raz pierwszy. Jadą do niej do domu, a potem szyby są zaparowane. W ciągu trzech godzin, kiedy Niko śpi, ona patrzy na niego jak na najcudowniejszy dar, jaki kiedykolwiek otrzymała. Jak mogła roztrwonić tyle lat? W rzeczywistości pragnęła Nika od pierwszej chwili, ale jakaś głupia duma kazała jej trzymać go w niepewności.

Do rana nie może zmrużyć oka. O siódmej przygotowuje śniadanie i waha się, czy obudzić Nika. On jednak wstaje, przyciąga ją do siebie i prowadzi do łóżka. Rozkoszują się sobą jak dwoje ludzi, którzy nigdy nie popełnili żadnego błędu.

Do Wydziału jadą oddzielnie. Zastają same poważne twarze. Dowiadują się, co w nocy stało się we Frankfurcie nad Odrą. Ktoś prowadzi Ukrainkę korytarzem i Aaron widzi strach kobiety, ale to nie jest jej sprawa. Przez cały poranek czuje, jakby w jej brzuchu trzepotały motyle.

W kuchni napotyka Pi. Mężczyzna unika jej wzroku.

– Wiem, co wszyscy myślą – mówi. – I to prawda.

Musi iść do szefa.

Niko zarezerwował na wieczór stolik w drogiej restauracji przy Kollwitzplatz. Aaron decyduje się na czarną sukienkę z kaszmiru, która tak bardzo podobała się Nikowi na urodzinach jej szefa. Już nie może się doczekać, kiedy ją z niej zdejmie.

Deszcz ze śniegiem zaczyna o przednią szybę samochodu, w radiu leci Peter Gabriel. Aaron nastawia muzykę na cały regulator i wybija na kierownicy rytm *Solsbury Hill*. Na Potsdamer Strasse samochody poruszają się w żółwym tempie, nikt nie ma odwagi jechać szybciej niż dwadzieścia na godzinę. Telefon komórkowy Aaron wibruje. Pavlik. Tylko jedno zdanie. Motyle w jej brzuchu w jednej chwili się uspokajają. Umieszcza niebieski sygnał świetlny na dachu i toruje sobie drogę między innymi autami, które zjeżdżają na bok. Samochód ślizga się na gładkiej jak lustro jezdni, Aaron próbuje wyważyć go własnym tyłkiem. Lubi, kiedy czemuś da się przywrócić równowagę. Ale na tych trzech kilometrach, przez które pruje do Jowisza wśród kawalkady samochodów, nie ma to znaczenia.

Ładują Pi do karetki. Mężczyzna bierze Aaron za rękę i szepcze:

– Teraz nie muszę się już wstydzić.

Wszystko to przypomina się jej w ciągu kilku sekund. W tym bólu Aaron szuka liczby reprezentującej to, co utraciła, i boi się tej kolejnej, której nigdy do siebie nie dopuszcza.

Trójki.

Wiedzieć, że coś jest skazane na porażkę, a jednak w to brnąć. Medalion.

Zgodnie z filozofią zen zawsze trzeba mieć przed oczami znaki symbolizujące życie i śmierć, a ten ostatni należy sobie nawet wymalować na czole. Jedynie wtedy człowiek ma energię pozwalającą mu walczyć do samego końca.

Holm wie o tym znaczeniu. Medalion nie był prezentem od Boenisha. To prezent od niego.

Pavlik nie odezwał się do tej pory słowem, Aaron czuje jednak, że bez przerwy na nią patrzy. Zbyt dobrze ją zna, by nie widzieć, co się z nią dzieje.

– Ukrainka milczała przed sądem i wiedziała, dlaczego to robi. Mój zleceniodawca został uniewinniony, to była czysta matematyka – mówi Holm głosem Żetonowego Oka. – Ale ja nie lubię niezamkniętych spraw. Przez jakiś czas nosiłem się z myślą, żeby ukarać tego policjanta. Obserwowałem go, gdy wyszedł z kliniki. To jego marne życie z żoną i małym dzieckiem... Podarowałem mu to marne życie. Zrobiłem to wyłącznie ze względu na jego odwagę. Gdyby stchórzył po raz drugi, zabiłbym go. Jest to tak pewne, jak pewna jest w pani głowie liczba kroków do grobów pani ojca i matki.

Słowa jak popiół. Kiedy Holm zostawił ją samą ze zwłokami Evy Askamp, znaczyło to: „Jeszcze nie”. Aaron wie, co musi zrobić. Prawdę mówiąc, wie to już od pięciu lat i wszystko, na co od Barcelony miała nadzieję, co przecierpiała i czego się obawiała, zyskuje w tym momencie sens.

– No to skończyliśmy.

– Jeszcze się zobaczymy – mówi Żetonowe Oko.

Pavlik go wyprowadza.

Aaron stuka w zegarek: „Godzina jedenasta, piętnaście minut, osiem sekund”. Wchodzi Demirci i zamyka za sobą drzwi.

– Mamy autokar? – pyta Aaron.

– Nie. Ale miała pani rację. Wycieczka szkolna z Danii.

Aaron wstaje.

– Niech pani wsadzi Saschę z pieniędzmi do samochodu. Jego brat zgłosi się za dwadzieścia pięć minut i powie nam, gdzie jest. Wymierzy czas tak precyzyjnie, żebyśmy nie mogli się przygotować. Jeśli Sascha stawi się o sekundę za późno, zabije pierwszego zakładnika.

– O czym pani z nim przed chwilą rozmawiała?

– Ach, to tylko takie gierki.

– Pani Aaron, kiedy powiedziałam w swoim gabinecie: „Teraz mamy wspólnego wroga”, obie pomyślałyśmy to samo.

– Tak.

– Pomyślałyśmy: „I zyskałyśmy przyjaciółkę”.

– Zgadza się.

– Czy nadal pani tak myśli?

– Owszem.

– Ja też. Przed dwoma godzinami zapytałam panią, dlaczego w mieszkaniu Evy Askamp Holm pozwolił pani ujść z życiem. Powiedziała pani: „To była tylko przygrywka”.

– Myliłam się.

– Czyżbyśmy interpretowały przyjaźń w różny sposób?

Drzwi się otwierają. Pavlik.

– Proszę zostawić mnie z Aaron sam na sam.

– Nie ma mowy – odpowiada Demirci.

– Nalegam.

– Nie ma takiej potrzeby – mówi Aaron. – Pani Demirci wie, czego chce Holm.

– Ile kroków jest do grobów twoich rodziców?

– Nie wiem, nie liczę.

– Pokaż mi medalion.

– Po co?

– Bo cię o to proszę.

Aaron podaje Pavlikowi medalion. Ten go otwiera.

- Co znaczą te znaki?
- Prawda i prawdomówność – kłamie Aaron.
- Pani wie, gdzie jest ten autokar – upiera się Demirci.
- Myli się pani.

Pavlik oddaje Aaron medalion.

- Owszem, wiesz.
- Chciałabym, żeby tak było.

Głos Demirci brzmi dźwięcznie:

– Pod żadnym pozorem nie pozwolę, żeby stała się pani zakładniczką na wymianę. Nawet gdyby Holm miał zabić te dzieci, pani nigdzie nie pójdzie. Rozumiemy się?

- Oczywiście.

Aaron bierze płaszcz z oparcia krzesła i po omacku idzie do drzwi. Gdy wszyscy troje są na korytarzu, kieruje się w stronę windy.

- Dokąd się pani wybiera?
- Na dach. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.
- Idę z tobą – natychmiast deklaruje Pavlik.
- Nie. Obydwa zespoły są w garażu podziemnym. Pan pokieruje akcją – oznajmia Demirci.
- Ani na sekundę nie zostawię Aaron samej.
- Nie pójdzie sama – odpowiada Demirci i woła: – Panie Kvist, proszę pójść z panią Aaron na taras. Oficjalnie odpowiada pan przede mną za jej ochronę. Oczekuję państwa najpóźniej za dwadzieścia minut w centrali dowodzenia.

Minuty gnają jak szalone. Namierzono telefon komórkowy kierowcy – był wraz z innymi w plastikowej torebce na brzegu Sprewy.

Nowak, jeden z ludzi zajmujących się zlokalizowaniem autokaru, przychodzi ze świeżą informacją:

- Na północnej pętli Avusu znaleziono ciało ajenta stacji benzynowej. Zniknął sprzęt z nagraniami wideo.
- Przyczyna śmierci? – pyta Demirci.
- Jeszcze niejasna. Krwiak na szyi.

Siedem ofiar.

- Kiedy go znaleziono?
- O dziewiątej trzydzieści dziewięć. Zwłoki były ciepłe.
- Do drugiego telefonu Holma pozostała dosłownie chwila.
- Czy ktoś zwrócił uwagę na autokar na stacji benzynowej?
- Zajmuje się tym policja kryminalna.

Demirci zjeżdża do garażu podziemnego. Trzynastu mężczyzn zajęło pozycję przed dwoma czarnymi fordami transit. Pavlik wydał już najważniejsze rozkazy: priorytetem jest życie zakładników. Użycie ognia może nastąpić tylko za jego pozwoleniem.

– Człowiek, który wyzywa nas na pojedynek, zabił trzech waszych towarzyszy – mówi Demirci. – Znajdziemy czas na oplakiwanie ich, teraz jednak nie możemy sobie na to pozwolić. Kto ma z tym problem, zostanie zastąpiony. – Jej spojrzenie prześlizguje się po twarzach w kominiarkach. Trzyście par oczu patrzy prosto na nią. – Kilku z panów już tu pracowało, gdy Jenny Aaron należała do Wydziału. Może są panowie z nią zaprzyjaźnieni albo przynajmniej ją lubią. Wiedzą panowie, że Holm jest odpowiedzialny za jej ślepotę. Żądam, żeby panowie w tej chwili o tym zapomnieli. Jeden błąd może doprowadzić do katastrofy. Kto go popełni, będzie wołał nigdy więcej nie spotkać mnie na swojej drodze. Za wszystkimi innymi stanę murem bez względu na to, co się stanie. Macie oficjalne pozwolenie, by rozpocząć akcję.

Rozbawiony Sascha siedzi w samochodzie. Demirci otwiera drzwi i mówi tak głośno, żeby wszyscy słyszeli:

– Panu też coś powiem. Jest godzina jedenasta trzydzieści siedem. Najpóźniej za dwadzieścia cztery godziny wróci pan do więzienia albo będzie pan martwy.

Demirci zna swoje spojrzenie. Śmiech na twarzy Saschy krzepnie i staje się maską.

Kiedy Demirci wychodzi na górze z windy, pozostaje jeszcze minuta. Helmchen wybiega jej naprzeciw.

– Sekretarze stanu w Ministerstwach Spraw Wewnętrznych poszczególnych landów, prezydent BKA i prezydent policji federalnej zwołali wideokonferencję i proszą panią o zajęcie stanowiska.

– Od kiedy to mają w zwyczaju nas o coś prosić? – pyta Demirci. Pędzi przez korytarz, niepomna, że Helmchen z trudem dotrzymuje jej kroku.

– Co mam im powiedzieć?

– Że to musi poczekać. – Demirci z impetem otwiera drzwi do centrali dowodzenia. Od razu spostrzega, że brakuje najważniejszej osoby. – Gdzie jest pani Aaron?

Na twarzach zebranych maluje się bezradność.

– Dzwonić natychmiast. Do pana Kvista też.

Demirci zaczyna się trząść, siłą powstrzymuje się od krzyku. Drzwi się otwierają. Przez sekundę myśli, że to Aaron, ale to Peschel.

– No, mamy autokar. Strasse des 17. Juni, przed Instytutem Matematyki Berlińskiego Uniwersytetu Technicznego. Dron go odkrył.

– Czy policja jest już na miejscu?

– Jest w drodze, wozy patrolowe będą tam za dwie minuty. Pavlik już pojechał. Dron lada moment powinien przysłać zdjęcie.

Demirci spogląda na sekundnik dużego zegara.

Trzy, dwa, jeden. Przekierowują do niej telefon Holma.

– Słucham.

– Mamy pieniądze i pańskiego brata.

– Czy nie powiedziałem, że będę rozmawiał wyłącznie z panią Aaron?

– Powinna tu zaraz być.

– Ma trzydzieści sekund.

Delmonte daje Demirci do zrozumienia, że nie może się dodzwonić ani do Aaron, ani do Nika. Na ścianie wideo pojawia się chybotliwy obraz wysłany przez dron, który krąży na wysokości około pięćdziesięciu metrów nad autokarem. Wyskakuje jakiś człowiek. Spogląda w górę, na twarzy ma kominiarkę. Widzą błysk, gdy strzela z krótkolufowego pistoletu maszynowego. Obraz się załamuje.

– Trzydzieści sekund minęło.

– Pani Aaron nie ma.

– Stawiam dodatkowy warunek – grzmia w ciszy słowa

Holma. – Pani Aaron ma siedzieć w aucie z moim bratem. Jako dodatkowa zakładniczka na wymianę.

Nikt nie oddycha. Wszyscy patrzą na Demirci.

– Wykluczone.

Głośniki przenoszą szum helikoptera.

– Pewnie już pani wiadomo, że w autokarze jest dwadzieścioro siedmioro uczniów i dwoje nauczycieli. – Holm odsuwa usta od mikrofonu. – Proszę podać swoje nazwisko.

Kwilenie.

– Magnus Sørensen.

– Albo natychmiast potwierdzi pani, że Jenny Aaron już do mnie jedzie, albo zastrzelę tego mężczyznę i wyrzucę jego trupa na ulicę. Potem co minutę będę zabijał jednego zakładnika aż do momentu, kiedy zmieni pani decyzję.

Jest to najtrudniejsze zdanie, które Demirci wygłasza w swoim życiu:

– Nigdy nie wydam panu pani Aaron.

Sørensen klęka przed Holmem. Kiedy przy pomniku ofiar Holokaustu odwrócił się i spojrzał temu człowiekowi w oczy, wiedział, co się stanie. Mimo to nie chciałby umrzeć, chociaż raz nie okazawszy odwagi. Na próżno. Od momentu, gdy Holm kazał mu powiedzieć przed całą klasą, że sypia z Leną, Sørensen już się pożegnał – z żoną, z córkami, ze wszystkim. Tylu rzeczy żałuje – choćby tego, że zbyt młodo się ożenił. Że lata mijały jakby porywane przez wiatr, a jemu zabrakło siły, by się temu przeciwstawić. Że nie był dobrym ojcem. Ale najbardziej żałuje tego, że w pokoju nauczycielskim pocałował Lenę.

Pada strzał. Jego echo załamuje się na twarzy Demirci i na twarzach pozostałych osób.

– Następne będzie dziecko.

– Może dzisiaj uda się panu wyjść z tego cało – mówi Demirci, a każda z osób obecnych w pomieszczeniu w tym momencie zaczyna się jej bać. – Ale ja będę pana ścigała. I niezależnie od tego, jak długo to potrwa, znajdę pana.

– Przepraszam panią na chwilę, mamy gościa.

Słyszą, że drzwi autokaru się otwierają. Syreny policyjne. Helikopter. Jeszcze raz ten sam syk.

– Jest tu ktoś do pani.

Holm przekazuje komuś telefon komórkowy i z głośników dobiega głos Aaron:

– Podczas międzyładowania w Adenie pozwolono kapitanowi Schumannowi wyjść z „Landshuta” i sprawdzić samolot. Mógł uciec. A jednak wrócił do maszyny. Jak państwo myślą, dlaczego?

Demirci zamyka oczy.

– Dobrze powiedziane – mówi Holm. – „Prawdziwej odwagi wymaga życie, gdy żyć się godzi, a śmierć, gdy umrzeć trzeba”⁷. Łaska i odwaga to dla samuraja jedno, może ona ma na to nadzieję. Ale ode mnie nie doczeka się łaski. Daję pani dziesięć minut na dowiezienie tu mojego brata i pieniędzy.

Holm kończy rozmowę. Demirci otwiera oczy. Stoi przed nią Niko. Ma puste i szare spojrzenie. Przełożona wyjmuje broń z jego kabury.

– Panie Kvist, jest pan aresztowany.

⁷ Y. Tsunetomo, *Hagakure...*

„Pani nigdzie nie pójdzie”. Słowa Demirci rozplynęły się w nieskończoności kroków, kiedy Aaron szła z Nikiem do windy. W milczeniu weszli do środka. Kabina trzęsła się, gdy jechali na górę. Niko trącił ręką rękę Aaron. Chciała ją ująć, ale on ją cofnął.

Dojechali na taras i drzwi się otworzyły. Aaron stanęła w nich i zablokowała czujnik.

– Muszę iść.

– Dokąd?

– Wiesz dokąd.

Śnieg sypnął jej w twarz i natychmiast stopniał.

Niko milczał, a czas gnał.

– Pozwól mi iść.

– Jak możesz myśleć, że to zrobię?

– W przeciwnym razie on wszystkich zabije.

– On chce tylko dostać swojego brata i pieniądze. I dostanie.

– On chce mnie.

– Wmawiasz sobie.

– Holm wyuczył Saszę, co ma powiedzieć. Wie, że Demirci się nie zgodzi. Sprawił, że los trzydziestu osób jest w moich rękach. A teraz również w twoich. Jeśli nie pozwolisz mi tam pójść, poczucie winy zniszczy nas oboje.

– Żądasz ode mnie, żebym ci pomógł złożyć siebie w ofierze?

– Żądam, żebyś ocalił trzydzieścioro ludzi.

– Chcesz tego z innego powodu.

– Powiedz, że w Barcelonie nie stchórzyłam.

Wiatr odpowiedział za Nika.

– Bardzo długo sobie wmawiałam, że uda mi się z tym żyć, aż sama wreszcie w to uwierzyłam. Wmawiałam sobie, że czas pomoże. Że pewnego dnia zapomnę. Ale mój ojciec miał rację: nie zapomnę nigdy.

Kabina zatrzęsa się, chociaż stała w miejscu.

– Nie mogłaś zrobić dla mnie nic więcej. Postąpiłaś słusznie.

– Pamiętasz, jak to się zaczęło? Podarowałaś mi torebkę pieczonych kasztanów. Pocałowałam cię. Kochaliśmy się. Nazajutrz rano o coś cię poprosiłam.

– Nie rób mi tego.

– Przysiękłeś, że nigdy mnie nie okłamiesz. Nie zwolniłam cię z tego przyrzeczenia. Jeżeli wierzysz, że choćby jedno z tych dzieci może ująć z życiem, zjedziesz teraz ze mną na dół, a to, o czym tu rozmawiamy, na zawsze pozostanie między nami. Jeżeli nie, wysiądziesz z windy.

Wiatr.

Bicie jej serca.

Syreny policyjne.

Tak bardzo chciałyby jeszcze raz zobaczyć Nika.

– To *sisu* – powiedziała.

Wstrzymała oddech na pół minuty. A potem zaczęła szukać guzików. Wybrała parter. Nadal nie była pewna, czy Niko wysiadł, więc wyciągnęła rękę, żeby to sprawdzić – pusto. Zadzwoiła do centrali taksówek, powiedziała, że jest niewidoma, i poprosiła, żeby kierowca odezwał się do niej przed budynkiem.

Czekała na zimnie.

Siedemnaście kroków do grobu ojca. Stamtąd sześć do grobu matki. Holm powiedział: „Czysta matematyka”.

Instytut Matematyki Berlińskiego Uniwersytetu Technicznego przy Strasse des 17. Juni, ulicy 17 czerwca. Dwa kilometry. Tak blisko.

Usłyszała helikopter. Miała już bardzo mało czasu. Taksówka, nareszcie. Aaron poprosiła kierowcę, żeby się pośpieszył.

– Nie chcę dostać mandatu.

Sto euro sprawiło, że zmienił zdanie – wycisnął z diesla, ile się dało.

Każde słowo, które Aaron skierowała do Nika, było uczciwe. Podobnie jak uczciwy był trzeci powód, żeby się udać na miejsce przetrzymywania zakładników: Holm miał władzę nad szalejącym w niej ogniem.

I władzę, by go ugasić.

W tamtym magazynie w Barcelonie był panem sytuacji – tylko on mógł podarować jej to wspomnienie. Wówczas by zrozumiała: dlaczego wtedy uciekła, dlaczego Holm jej to wszystko robi, dlaczego czekał pięć lat, chociaż przez cały ten czas mógł wyciągnąć po nią rękę. Wyzwoliliby ją. Może szłoby to w parze z jej śmiercią. Również to wyznanie było uczciwe. Ale nawet gdyby Aaron zrozumiała to wszystko, co pragnęła zrozumieć, dopiero w ostatniej sekundzie, stałaby w tym momencie na szczycie góry i oglądała swoje życie w dole jak rozległą okolicę, w której zna każdy kamień i wszystko, co się pod nim kryje.

Usłyszała ciche staccato, dla taksówkarza z pewnością słyszalne nie jako strzały.

Uzi. Tłumik. Zestrzelił dron.

– To tutaj.

– Widzi pan gdzieś autokar?

– Muszę się rozejrzeć.

Mijały cenne sekundy. Kap – kap – kap. Nad sobą mieli helikopter. Syreny policyjne słycać było już z daleka.

– Jest. Po drugiej stronie, na parkingu.

– Jak wygląda ten autokar?

– Jak autokar. Szyby są zasłonięte czymś jasnym.

– Proszę tam podjechać i zatrzymać się tuż przed nim.

– Nie przedostanę się na drugą stronę.

Aaron wsunęła mu jeszcze pięćdziesiątkę. Pełen gaz. Rzuciło nią o drzwi, gdy taksówkarz popędził przez ulicę. Samochody się usunęły, a oni podskoczyli, zawadzając o krawężnik. Zgrzyt blachy podwozia, buksowanie opon. Wpadli w poślizg.

Kierowca zahamował gwałtownie i schował banknot.

– Lepiej stąd odjadę, co?

Aaron usłyszała pojedynczy strzał bez tłumika.

Za późno!

Wysiadła. Taksówka pędem odjechała. Helikopter zniżył lot. Syreny wyły teraz tak głośno, że zagłuszały zgiełk uliczny. Aaron stała bez ruchu z twarzą skierowaną ku niebu.

Bushido wymaga, żeby iść drogą do końca, i mówi, że śmierć

jest ulgą, a ocalenie hańbą. Książę w drodze ostatniej łaski pozwalał na dokonanie *seppuku*, honorowego samobójstwa.

Jej księciem jest prawda. Jedynie ona może skazać Aaron na śmierć – ale dopiero wtedy, gdy Aaron ją pozna. Do tej pory będzie walczyć o życie. Gdyby otrzymała szansę ucieczki, uciekłaby. Gdyby mogła dać Wydziałowi jakąś wskazówkę odnośnie do planów Holma, zrobiłaby to. Gdyby miała możliwość zabicia Holma, toby go zabiła.

Pierwsza cnota: *gi* – prawość i sprawiedliwość.

Tu jestem. Wybaw mnie. Weź moje ciało. Mojej duszy nie dostaniesz.

Syreny były w odległości niespełna stu metrów. Coś upadło pod nogi Aaron, a ona od razu wiedziała, że to trup. Ktoś ją schwycił, powłókł ze sobą ileś metrów, wrzucił do autokaru. Drzwi zamknęły się z sykiem.

– Wreszcie – powiedział Holm.

Tkwiał w korku przy Europacenter. Pavlik siedzi za kierownicą bmw, obok niego Kleff, z tyłu Rogge z Saszą. Stoją za dwoma służbowymi czarnymi fordami, których klaksony nic a nic nie pomagają. Przed nimi uderzają o siebie zderzaki aut, które nie mogą nigdzie zjechać, bo pas dla autobusów jest zablokowany przez samochody dostawcze. W lusterku wstecznym widać uśmiech Saschy. Na prawym uchu Pavlik ma słuchawkę łączącą go z radiem, na lewym połączenie z Demirci.

Jakiś przechodzień przeciska się między samochodami, staje jednak jak wryty na widok zamaskowanych twarzy Kleffa i Roggego. Gdy Pavlik nakazuje mu, żeby szedł dalej, bierze nogi za pas. Kominiarki służą obu funkcjonariuszom do ochrony – Sascha nie może się dowiedzieć, jak wyglądają, aby nie mógł się na nich zemścić. Z tego samego powodu mieli na twarzach kominiarki również ludzie, którzy przewozili go do Wydziału.

Pavlik nie potrzebuje takiego przebrania. Demirci poleciła mu przed wejściem do pokoju przesłuchań włożyć kominiarkę, jednak się sprzeciwił – chciał uświadomić Saschy, że nie przeżyje on tego dnia. Ta informacja z pewnością dotarła do więźnia. Gdyby Sandra się o tym dowiedziała, oszalałaby.

Zgłasza się Demirci, wyrывая Pavlika z zamyślenia.

– Holm zastrzelił pierwszego zakładnika.

Pavlik zmusza się do zadania pytania:

– Dziecko?

Spojrzenie Kleffa, szybki oddech Roggego.

– Ale to nie wszystko. – To, co daremne, niewyobrażalne, ostateczne zawiera się w jej następnym zdaniu: – Kvist pozwolił jej tam pojechać.

Pavlik zniósł milczenie mężczyzny, któremu jego motocykl zabrał ukochaną żonę. Od trzech dni czeka też z Sandrą na

wynik mammografii. Widział umierających kolegów i siedział przy łóżku Aaron. Nic jednak nie było równie straszne jak ta informacja.

– Nigdy nie powinnam była zostawić go z nią samego – mówi Demirci.

Pavlik spogląda w lusterko wsteczne. Kącki ust Saschy drgają szydyczko.

Nie znasz mnie. I nie znasz także Aaron. Ona ci się przedstawi. Ale inaczej, niż myślisz.

– Holm wie, że pan do niego jedzie.

Stoją od minuty. Pavlik uruchamia mikrofon krtaniowy i nakazuje kierowcom fordów:

– Po chodniku!

Pojazd prowadzący wciska się między ciężarówki rozładowywane na pasie dla autobusów, drugi podąża za nim, potem jedzie Pavlik. Pędzą wzdłuż kolumnad Bikinihaus. Ludzie odskakują, jakiś piesek na smyczy ucieka na bok. Bmw zahacza maską tablicę reklamową i ciska nią w okno wystawowe, które rozpada się na deszcz szklanych odłamków. W ostatniej chwili Pavlik zauważa kobietę z wózkiem dziecięcym. Wciska hamulec i tylko potrąca wózek, który lekko się kołysze. Kobieta ma oczy wielkie jak spodki, odciąga ją jakiś mężczyzna, wrzeszcząc i robiąc miny, a ona nie puszcza wózka. Kolumna złożona z trzech samochodów z hałasem mija korek, na Hardenbergplatz wraca na jezdnię i ma drogę wolną.

Pavlik zastanawia się, czy powiedzieć kolegom, że Aaron jest w rękach Holma. To wywoła szok. Jeśli jednak Holm wyjdzie z nią z autokaru, Kleff i Rogge muszą być na to przygotowani, w przeciwnym razie szok nastąpi w najgorszym momencie.

Pędząc prawie sto kilometrów na godzinę przesieką, którą fordys wyrąbują syrenami w ruchu ulicznym, nadaje swojemu głosowi rzeczowe brzmienie.

– Mamy nową sytuację. Jeden zakładnik został zabity. Jeden zakładnik jest nowy. Aaron.

Rogge sprawdza lugera. Sascha się uśmiecha.

– Zespół pierwszy. Zrozumiałem.

– Zespół drugi. Zrozumiałem.

Docierają do monumentalnej Strasse des 17. Juni, przecinającej dzielnicę Tiergarten i biegnącej aż do Bramy Brandenburskiej. Ta jej część, którą teraz jadą, jako jedyna jest zabudowana – po obydwu stronach znajdują się budynki Berlińskiego Uniwersytetu Technicznego. Pavlik zauważa autokar po lewej, na parkingu. Szyby są zaklejone gazetami. W pewnej odległości stoi dziesięć wozów patrolowych, jednostki specjalne policji kierują przechodniów w bezpieczne miejsca. Pavlik włącza stoper na przegubie ręki.

– Zespół pierwszy do mnie. Zespół drugi na pozycję – chrypi do mikrofonu.

Pierwszy ford rusza gwałtownie, przecina skrzyżowanie i zatrzymuje się trzydzieści metrów od autokaru. Pavlik wyprzedza drugiego forda i skręca z nim w boczną ulicę biegnącą równoległe do alei.

– Zespół drugi do centrali.

– Centrala słucha.

– Daj mi kwaterę główną policji. – Trzaski podczas nawiązywania połączenia. – Niech śmigłowiec zniknie. Oddalić wszystkie pojazdy. Natychmiast zamknąć Strasse des 17. Juni od Ernst-Reuter-Strasse do Charlottenburger Tor. Każcie ewakuować Uniwersytet przez tylne wyjścia. Jak wybuchnie tu dwadzieścia pięć kilo C4, nie chcę widzieć nikogo oprócz moich ludzi.

W zasadzie ich również nie.

Pavlik hamuje w bramie obok budynku z lat sześćdziesiątych, w którym obecnie mieści się Wydział Systemów Komunikacyjnych i Mechanicznych. Wyskakuje z samochodu. Jednym spojrzeniem rejestruje, że helikopter leci w inną stronę. Wozy patrolowe wyjeżdżają, aby sparaliżować jedną z głównych osi komunikacyjnych Berlina. Na parkingu zespół drugi zajmuje pozycję, wykorzystuje auto jako krycie. Pavlik wie, że po niewidocznej dla niego stronie forda otwiera się luk, a Fricke nastawia precyzyjną broń, którą kieruje z samochodu za pomocą joysticka.

Pavlik powoli jeszcze raz spogląda do tyłu, do bmw. Sascha patrzy w jego stronę. Dopiero w tym momencie Pavlik naciąga

kominiarkę. Robi to ostentacyjnie, powoli.

Biegnie do swoich ludzi, przywiązuje długą plastikową taśmę do gałęzi drzewa i wtyka czujnik w pień. Chwyta swoją torbę. Gnając do budynku, każdy z członków zespołu dźwiga dobre pięćdziesiąt kilo sprzętu.

Wyje syrena. Przez głośniki słycać wezwania, by ludzie jak najspieszniej udawali się do tylnych wyjść. Mężczyźni muszą się przedrzeć przez tłum pędzących studentów i pracowników Politechniki.

Pavlik gna przodem i dociera na drugie piętro tak szybko, że pozostali muszą dać z siebie absolutnie wszystko, żeby nie zostać w tyle. Jego, pięćdziesięciolatka, kosztuje to znacznie więcej sił, niż mogą sobie wyobrazić.

Na każdym stopniu schodów Pavlik jest myślami z Aaron. Zabiera ją po raz pierwszy do siebie do domu i już w chwili, gdy Sandra i ona uśmiechają się do siebie, wie, że zostaną przyjaciółkami. Przedstawia ją bliźniakom, którzy od razu chcą, żeby Aaron odwiedzała ich codziennie. W Paryżu on ma wokół szyi pętlę z drutu, którą założył mu pewien Bask, a ona zabija napastnika zausznikiem swoich okularów przeciwsłonecznych. Oboje wraz z Marlowe'em siedzą na kanapie i bawią się w poważne spojrzenia. Jest w Barcelonie w szpitalu, czuwa przez całą noc i boi się zamknąć oczy.

Pavlik otwiera drzwi do pustego audytorium. Dwóch ludzi wyciąga stojaki do teleskopów i rozpina między nimi czarną plandekę mającą służyć za tło, tak by Holm nie mógł zobaczyć pięciu strzelców wyborowych. Jeden instaluje kamerę wideo, z której obrazy są przekazywane do centrali dowodzenia w Wydziale. Druga kamera znajduje się na dole, na dachu forda.

Rutyna i skupienie towarzyszy pomagają Pavlikowi nieco się uspokoić. Mężczyźni wycinają w szybach koła o średnicy czterdziestu centymetrów. Pavlik otwiera futerał i wyciąga karabin. Lubi się ruszać i dlatego od dawna pracuje na odległość do trzystu metrów ze starym już, ale lekkim mauzerem. Odpowiada mu ten swojski dotyk starej drewnianej rękojeści na podbródku: on i karabin stanowią jedność.

– Założę się, że nadałeś mu imię – nabijała się kiedyś z niego Aaron. – Jacqueline? Lucy? Mandy?

To prawda z tym imieniem. Ale zachowuje je dla siebie.

Kiedy celownik optyczny zaskakuje, Pavlik zasłania obiektyw osłoną, aby nie zdradzić się poprzez odbłask. Napina na całej długości lufy taśmę przylepną, która podczas strzału odprowadza ciepło i w ten sposób zapobiega zniekształceniu obrazu przez smugi, które powstałyby przed celownikiem optycznym, gdyby światło załamało się wskutek zmiany gęstości powietrza. Na koniec wkręca tłumik, który wygłusza jedynie odgłos z lufy, ale nie uderzenie dźwiękowe naboju. Aby je wyeliminować, Pavlik zarządza załadowanie znienawidzonej amunicji poddźwiękowej kaliber .308. Wystrzelone naboje są nadzwyczaj czule na boczny wiatr, co wpływa na ich prędkość. Jednak wróg nie słyszy strzału, a to nieraz stanowi ogromną zaletę.

Pavlik pamięta swój pierwszy trening w Młynie.

– Nie mówimy „wróg”, tylko „przeciwnik” – szepnął do niego szkoleniowiec. – Proszę to sobie zapamiętać.

– Ach, tak jak w sporcie? – odparł Pavlik. – A jak nazwiemy tego, który przeżyje? Czempion?

Wtedy myślał, że jego kariera w Wydziale potrwa bardzo krótko. Położył się spać, a kiedy się obudził, minęło osiemnaście lat.

Pavlik widzi, że Wolter, jeden z jego ludzi, wsuwa nabój .300 magnum do magazynka swojego karabinu. Wolter jako jedyny potrafi sprawić, by amunicja ze stalowym rdzeniem osiągnęła prędkość jednego macha. Gdy zajdzie taka potrzeba, będzie musiał strzelać w samochód, którym ucieknie Holm. Aby obłok z okruchów szkła powstający za kulą pędzącą z szybkością zbliżoną do prędkości dźwięku nie zmienił jej toru, kula potrzebuje siły.

Pavlik nastawia się już na chwilę, gdy Holm i Aaron wyjdą z autokaru. Postanawia, że nie da mu szansy sprawdzenia własnego refleksu.

Powiewająca na dole, na gałęzi, plastikowa taśma wskazuje kierunek wiatru – północny wschód. Telefony komórkowe

Pavlika i pozostałych odbierają z czujnika zainstalowanego w pniu drzewa informacje dotyczące ciśnienia atmosferycznego oraz wilgotności i temperatury powietrza. Trzeba uwzględnić wszystkie te czynniki.

Minus jeden stopień. Muszą więc celować nieco niżej.

Siedemdziesiąt pięć metrów to dla Pavlika nie problem – strzelał już z trzydziestokrotnie większej odległości.

Problemem są gazety na szybach.

Problemem jest też porywisty wiatr.

I śnieg.

I trzydzieścioro zakładników.

Problemem jest bomba.

Trzydzieści godzin bez snu.

Problemem jest także Aaron.

A Holm stanowi sumę wszystkich tych problemów.

Piętnaście sekund przed pozostałymi kolegami Pavlik układa karabin na stojaku, dostosowuje jego wysokość i rozstawia stólek. Na koniec rzuca okiem na stoper. Cztery minuty od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył autokar.

Przykłada do celownika prawe oko – to ważniejsze, dzięki któremu zabija. Drugim okiem kontroluje sytuację po bokach.

W ten sposób może wyczekiwać godzinami, nie mrugając. Są tylko on i cel, odległość między nimi nie istnieje. Ma tak niski puls spoczynkowy, że nie słyszy nawet bicia własnego serca. W ciągu tych czterech minut Demirci nie naprzykrzała mu się z nowymi informacjami, w tej chwili dla niego nieistotnymi, o nic go też nie spytała. Docenia to.

Na odcinku jednego kilometra nie porusza się żaden samochód, nie widać ani jednego człowieka. Śnieg pada tak gęsto, że zakrył ślady wszystkich pojazdów, nawet kontury drzew znikają pod białą pierzynką.

W odległości dwóch metrów od autokaru leżą zwłoki. Nie przeszkadzałyby, ale przecież koledzy nie pozwolą, by śnieg je zasypał. Pavlik nie musi wydawać rozkazu, wie, kto się tym zajmie. Hagen Kemper podobnie jak on jest motocyklistą. Czasem w niedzielę ścigają się na obwodnicy do Łużyc; ostatni wyścig kosztował Pavlika butelkę grappy nardini. Kemper nie

chełpi się liczbą koni mechanicznych, ale zawsze jest w pierwszym szeregu.

Pavlik widzi, że Kemper wychodzi z ukrycia i kuląc się, biegnie w stronę autokaru. Ma na sobie kamizelkę kuloodporną i hełm, przy strzale w twarz niewiele to jednak pomoże.

Ponieważ szyby są oklejone, nie można użyć mikrofonu laserowego, aby podsłuchać, co dzieje się w autokarze. Pavlik spodziewa się, że Kemper wykorzysta tę okazję, aby zrobić coś innego, co bardzo im pomoże.

I rzeczywiście – najpierw, zanim zajmie się zwłokami, przyciska się do autokaru poniżej szyb i błyskawicznie umocowuje na jednej z nich lizak, przezroczystą pluskwę, nie większą niż dwucentówka. Każdy odgłos, nawet bardzo cichy, wytwarza fale dźwiękowe i wprawia szyby w wibrację. Lizak ponownie zamienia ten efekt na dźwięki.

Kemper podnosi martwego nauczyciela i biegnie z nim z powrotem. Pavlik widzi, że kładzie zwłoki za zaparkowanym autem.

– Zespół drugi do techników – mamrocze.

– Technicy słuchają.

– Uaktywnić lizak.

– Uaktywniony.

Dźwięki są wysyłane na telefon komórkowy Pavlika. Słysząc cichy głos mężczyzny.

– Co on zrobił?

Holm:

– Nic ważnego.

Jego współnik:

– Przykleił coś do szyby.

Głos mężczyzny brzmi niepewnie, nerwowo.

– To przyczepny mikrofon – mówi Aaron. – Niech mu pan nie ufa, kiedy zataja przed panem coś takiego. Jest panów tylko dwóch i wystawiają się panowie na jego łaskę i niełaskę.

Słyszając głos Aaron, Pavlika ogarnia euforia. Podobnie czuje się, gdy jadąc na motorze, na bardzo ostrym zakręcie dotyka kolanem asfaltu.

– Dwójka – informuje zespół znajdujący się na dole. –

Z Aaron wszystko dobrze.

– No, pani Aaron, poinstruowała więc pani swoich kolegów – mówi spokojnie Holm. – Jeszcze raz, a zabiję tę dziewczynkę, którą pani tak serdecznie pociesza. Proszę, chciałaby pani dodać coś jeszcze?

Holm nie zamierza się z nimi skontaktować. Nie mają numeru jego telefonu i muszą zdać się na niego. Chce ich zmiękczyć, zademonstrować swoją władzę i pokazać, że wyłącznie on ustanawia zasady. Ale próżność bywa zgubna. Holm powinien lepiej wykorzystać pierwsze decydujące minuty, kiedy przepływ rozkazów nie był jeszcze skoordynowany, a lizak nie był przyklejony do szyby. To jego pierwszy błąd.

– Decyduj w ciągu siedmiu oddechów – powtarzała zawsze Aaron.

Samurajowie byli mądrzy. Jednak ten obszar zainteresowań Aaron zawsze pozostawał dla Pavlika czymś obcym. Pamięta, jak odwiedził ją po raz pierwszy i natychmiast zrozumiał, że jego przyjaciółka mogłaby odejść w każdej chwili, nie oglądając się za siebie. Tęskniłaby może tylko za starą skórzaną kanapą. Tak jak Pavlik tęskniłby za swoją.

Początkowo nie mówiła o bushido, strzegła tej tajemnicy. Ale pewnej nocy w Młynie, kiedy oboje siedzieli w dole pełnym blocka, a jej prawie zamarły usta, zwierzyła mu się, że jej przyjacielem jest śmierć, której objęcie nieustannie czuje.

Nie mógłby tak żyć. Potrzebował dużo czasu na rozmyślanie o ludziach, których zabił. Rozważał bardzo starannie, dlaczego pozbawił ich życia, i w końcu znajdował logiczne wytłumaczenie. Zabici pozwalają mu spać.

Oprócz jednego. Tego, o którym nie rozmawia.

Równocześnie wie, że nie ma żadnej drogi, którą musiałby podążać. Nie wierzy w opatrność ani w przeznaczenie. A jeśli już ktoś musi go osądzać, może to być tylko on sam.

Również ojciec Aaron nie rozumiał jej fascynacji bushido. Kiedyś znalazł sposobność, żeby porozmawiać o tym z Pavlikiem. Nie byli przyjaciółmi, ale szanowali się wzajemnie. Jörg Aaron się martwił. Wówczas, w piwnicy Boenisha, w jego

córce obudziło się coś, co tacy faceci jak Pavlik i on trzymają od siebie z daleka – coś niebezpiecznego dla niej i dla innych. Jörg Aaron miał wrażenie, że zaczęła szydzić ze śmierci. A od kiedy wybrała bushido, zadawał sobie pytanie, czy nawet jej nie przyzywa. Czyż samurajowie nie twierdzili, że trzeba w każdej chwili być zdecydowanym na śmierć?

– Jenny myśli o sobie za mało, ale i za dużo.

Była to wiadomość skierowana do Aaron, której Pavlik nigdy jej nie przekazał.

Pamięta swoją odpowiedź:

– Gdyby moja szansa wynosiła jeden na tysiąc, chciałbym mieć przy sobie tylko jednego człowieka: pańską córkę.

Zapytał Aaron, kto jest jej księciem. Nie odpowiedziała.

Bushido to skomplikowany świat, Pavlik chciałby dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Wtedy zrozumiałby wiadomość od Holma, tak jak rozumiała ją Aaron. Rok uczucia, rok drewna, znaki w medalionie, mnóstwo ukrytych aluzji...

Mógłby wówczas temu wszystkiemu zapobiec.

Niko.

To, co zrobił Niko, jest niewybaczalne. Może w jakimś świecie ten epitet stosuje się ot tak sobie – ale nie w świecie Pavlika. Pavlik wie, że nie może teraz myśleć o Niku, bo wsiądzie z bronią do samochodu i wróci do Wydziału. Koncentruje się na autokarze:

– Zespół pierwszy, położenie.

– W drugiej szybie jest otwór, pięć milimetrów – relacjonuje Fricke. – Dwa ruchy w przeciwnych kierunkach w odstępie dwudziestu sekund. Jeden patroluje wejście. Czarne ciuchy. Może to jakiś fan Johnny’ego Casha.

– Mamy go zaczepić? – pyta Dobeck. Chodzi mu o to, czy mają nawiązać z nim kontakt przez megafon.

– Powiedźcie coś negatywnego – odpowiada Pavlik.

Wtedy Holm pomyśli, że puszczają nam nerwy.

Niebo się przeciera. Ostatnie płatki śniegu wirują w oślepiającym świetle, które zalewa ulicę i parking. W wizjerze autokar nieoczekiwanie sprawia wrażenie większego. Światło pada z lewej strony i mogłoby „zepchnąć” kule. Pavlik

powiększa zoom, aby zniwelować ten efekt.

– On chce z panem rozmawiać – mówi Demirci.

Pavlik słyszy głos Holma:

– Czy to pan kieruje tą akcją?

– Tak.

– Gdzie pan jest?

– Wystarczająco blisko.

– Przyjechał pan z dwoma zespołami. Pięciu ludzi jest na parkingu, sześciu z tym, który w fordzie obsługuje zdalnie sterowany karabin. Pan natychmiast udał się na drugie piętro naprzeciwległego budynku. Po upływie czterech minut był pan na pozycji. Jest pan jednym z nich. To niezwykle jak na szefa akcji. Co sprawia, że ma pan taką szczególną pozycję?

– Jak pan trochę pogłówkuje, to się pan domyśli.

– Ile pan ma lat?

– Jestem pełnoletni.

– W przypadku uwalniania zakładników Wydział bierze do akcji ludzi między trzydziestką a czterdziestką. Gdyby pan znajdował się w tym przedziale wiekowym, powiedziałby mi pan to od razu. Czyżbyśmy już wczoraj mieli przyjemność się spotkać? Na autostradzie miejskiej? Pan i pani Aaron zboczyliście do kwiaciarni, a ja mogłem podziwiać pańskie umiejętności. Trzeba mieć duże doświadczenie, żeby tak panować nad samochodem.

Phaeton.

– Niestety szyby były lustrzane, nie mogłem więc zobaczyć pańskiej twarzy.

– Niech pan tu przyjdzie, to ją panu pokażę.

– Kusząca propozycja, lecz może innym razem. Jaki był do tej pory pański najlepszy strzał?

– W prawy kącik ust z dwóch tysięcy dwustu osiemdziesięciu czterech metrów.

– Mój szacunek.

– Celowałem w lewy.

– A więc ma pan również poczucie humoru, świetnie. To dar, którym ja niestety nie dysponuję.

– Jaki był pański najlepszy strzał?

– Z dwóch metrów między oczy.
– Tak też myślałem.
– Jako że już się trochę znamy, niech auto z moim bratem podjedzie pod sam autokar. I niech zdejmą mu kajdanki. Proszę to potwierdzić.

– Potwierdzam.

– Tylko dla formalności: czy bak jest pełen?

– Tak.

– Proszę wydać rozkaz.

– Zespół trzeci rusza do akcji. Przednie drzwi.

Pavlik pozwala Holmowi wysłuchać tej komendy.

– Tu zespół trzeci, zrozumiałem.

Pavlik widzi, że bmw jedzie przez ulicę.

– Czy torba z pieniędzmi jest wyposażona w nadajnik?

W pierwszym odruchu Pavlik chce skłamać, jednak jakiś wewnętrzny głos mówi mu, że popełniłby błąd.

– Owszem.

– Dobra odpowiedź. Mam wykrywacz, ale nie chciałbym tracić czasu na skanowanie torby. Niech pan każe go usunąć. A potem niech obaj mężczyźni niezwłocznie się oddalą.

Bmw zatrzymuje się przed autokarem.

– Zespół trzeci: wysiądźcie, wyjmijcie nadajnik z torby i uciekajcie.

Pavlik spogląda lewym okiem na Kleffa i Roggego. Kleff otwiera bagażnik i grzebie w dużej torbie żeglarskiej. Pięć milionów waży siedemdziesiąt jeden kilogramów.

Zadźwigacie się na śmierć.

Kleff zamyka bagażnik i wraz z Roggem biegnie do miejsca, w którym kryją się inni koledzy.

– A teraz co do ładunku wybuchowego – ciągnie Holm. – Jeśli chodzi o jego masę, to ma pan już pojęcie. Odpalę bombę przez mój telefon komórkowy, którego zasięg jest nieograniczony. Rozmawialiśmy o pańskim najlepszym strzale. Wobec dwóch tysięcy dwustu osiemdziesięciu czterech metrów te siedemdziesiąt pięć między nami to tyle co nic. Wiemy, jak duże jest prawdopodobieństwo śmiertelnego trafienia z tej odległości.

– Stuprocentowe.

– No właśnie. Pan przygotowuje się do zabicia mnie śmiertelnym strzałem ratunkowym. Ten przywilej ma wyłącznie pan. Ale musi pan rozwalić mi mózdzek, bo tylko w ten sposób pan sprawi, że nie będę mógł poruszyć palcem.

Ewentualne współrzędne byłyby na tej samej wysokości: z przodu czubek nosa Holma, z boku górna część małżowiny ucha, z tyłu przejście do podstawy czaszki. Ponieważ Pavlik znajduje się na drugim piętrze, musi odpowiednio wytypować okno, w które strzeli.

– Śmierć nastąpi w ciągu dwóch tysięcznych sekundy. To za szybko na jakąkolwiek reakcję. Jest jednak pewien problem: ja odpalę bombę w tej samej chwili, gdy **puszczę** guzik. Ma pan świadomość, co to znaczy?

– Tak, że jest pan chorym dupkiem.

– Gdy tylko moje mięśnie się rozluźnią, wycieczka klasowa dobiegnie końca. Dlatego też radzę panu, aby nie rozważał pan tej opcji.

Gdyby można było zgłosić patent na inteligencję, na pewno by o to zadbał.

– Choć uczniowie zakleili okna, wie pan, że jest nas dwóch. Zanim wyjdziemy z panią Aaron z autokaru, umieszczę na drzwiach czujnik ruchu. Włączę go, gdy tylko znajdziemy się na zewnątrz. Jeśli potem ktoś w autokarze się poruszy, bomba również zostanie odpalona. Zakładnicy zostali już poinstruowani. Proszę to zakomunikować swoim ludziom.

– Zespół pierwszy: wychodźcie teraz. Nie strzelać. Powtarzam: nie strzelać. Pozwalamy im odjechać.

– Zrozumiano.

– Jeżeli będzie podążał za nami jakiś helikopter lub choćby tylko jeden pojazd policyjny, nasza umowa przestanie obowiązywać – mówi Holm.

– Muszę to przekazać centrum dowodzenia.

– Oczywiście.

Pavlik kończy rozmowę. I natychmiast przekazuje ją berlińskiej policji.

– Samochód, którym będą uciekać, ma mieć wolną drogę.

Niech pańscy ludzie go przepuszczą i nie podejmują próby podążania za nim.

– Zrozumiano.

– Zespół drugi do centrali: niech dron zostanie w powietrzu, ale jak najwyżej, w martwym polu. Chcę mieć obraz na swoim tablecie. – Zwraca się do Holma: – Zleciłem wykonanie naszych ustaleń.

– Dobrze. Wobec tego jesteśmy gotowi.

– Jeszcze jedno – mówi Pavlik. – Na pewno ma pan przy sobie lornetkę. Niech pan spojrzy w moim kierunku. – Wstaje, zdejmuje kominiarę, podchodzi do okna i je otwiera. Ludzie znajdujący się obok niego zamierają. Pavlik nie myśli o grobowej ciszy w centrali dowodzenia, o zastygłych w bezruchu kolegach i nerwowym oddechu Demirci. Spokojnie stoi przy oknie, wiedząc, że Holm przez szczelinę między gazetami przybliży go sobie w lornetce i powiększa. – Pańskiemu bratu również pokazałem swoją twarz. Niech pan wyciągnie z tego wnioski.

Ponownie siada za karabinem i bierze autokar na celownik.

Holm mówi przeciągle:

– Może kiedyś się spotkamy. Byłoby to interesujące.

– Nie sądzę.

– Że byłoby to interesujące?

– Że się spotkamy. Aaron jest niewidoma. Ale nadal pozostaje sobą, podobnie jak pan. Pan jest socjopatą o nienagannych manierach, pański brat to wytresowany przez pana szczur, a ta kobieta jest pańskim najgorszym koszmarem. Zabije was obu jeszcze przed świtem, daję panu słowo.

– Przyjąłem to do wiadomości – sztuczna pauza – panie Pavlik.

Sandra.

Strach wdziera się do serca Pavlika z ciśnieniem pięćdziesięciu barów i pompuje je do wielkości balonu.

– Zaciekały mnie pańskie umiejętności jako kierowcy. Wczoraj wieczorem pozwoliłem sobie podążyć za panią Aaron na pańskie urodziny. Obaj jesteśmy chyba w tym samym wieku. Fakt, że tacy mężczyźni jak pan i ja dożywają

pięćdziesiątego roku życia, nie jest wcale oczywisty, moje spóźnione, ale serdeczne życzenia. Wrócił pan do domu dopiero o czwartej nad ranem, taksówkarz pomógł panu wnieść liczne prezenty. Jest pan lubiany. Na chodniku, idąc za panem, taksówkarz się pośliznął. Wykonał pan półszpagat do tyłu, trzymając w rękach ciężkie torby. Taksówkarz zatrzymał się na pańskiej lewej nodze, inaczej prawdopodobnie coś by sobie złamał. Ma pan zmysł równowagi jak baletmistrz, rzadko kiedy widuję taki artyzm. Biorąc pod uwagę, że pił pan alkohol, ruch ten był jeszcze bardziej godny podziwu. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że kiedy podwinęła się panu lewa nogawka, zobaczyłem, że ma pan protezę podudzia. W pańskim chodzie zauważyłem jedynie nieznaczną nieprawidłowość, leciutkie naciągnięcie mięśni. Nie jest to nic, co by panu rzeczywiście przeszkadzało. Trudno jest wywrzeć na mnie wrażenie. Wydział niewątpliwie przysłał mi swojego najlepszego człowieka. Ale czy jest pan pewien, że pańska żona jeszcze żyje? I pańskie małe dziecko, w którego pokoju na szybach przyklejone są takie ładne postacie z bajek?

Holm kończy połączenie.

Karabin lodowacieje w jednym momencie. Pavlik przestał czuć spust. Demirci mówi:

– Już dzwonimy.

W drżącym wizjerze celownika optycznego Pavlik widzi, że Holm usuwa kawałek gazety, a na drzwiach autokaru mocuje skrzyneczkę.

Czujnik ruchu.

Kiedy Aaron schodzi po schodkach, Demirci go uspokaja:

– Dobrze panu idzie.

Pavlik za wszelką cenę musi zapanować nad oddechem. Raz po raz głęboko nabiera powietrza, pozwala mu uchodźć powoli, bardzo powoli, i skupia się na przeponie. Uspokaja się, ścisła mocniej karabin. Za Aaron wyłania się Holm z drugim mężczyzną. Drzwi autokaru się zamykają. Holm ma rozpiętą kurtkę, widać remingtona wetkniętego za pasek spodni. Nosi cienkie rękawiczki. Wysoko podnosi telefon komórkowy, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Przez klatkę piersiową przechodzi

rzemień płaskiego futerału. Sześćdziesiąt na trzydzieści, ocenia Pavlik. Powiększa obraz w celowniku, aż cały obraz wypełnia lewy kciuk Holma spoczywający na guziku.

Pavlik najężdża wizjerem na współnika. Metr osiemdziesiąt, postawny, mały plecak, uzi z tłumikiem, kominiarka. Potem kieruje wizjer na jego oczy. Mężczyzna błądzi spojrzeniem, próbując dostrzec Pavlika, przeszukuje obydwie strony ulicy.

Pavlik zwraca teraz broń na Holma, który otwiera tylne drzwi samochodu. Sascha wysiada. Na to spotkanie Pavlik czeka w szczególny sposób. Bracia nie widzieli się przez pięć lat, ale nie ma ani objęcia, ani uścisku ręki, ani najlżejszego dotknięcia. Wszystko, czym Sascha obdarza Holma, to nieznaczny ruch podbródka, który przy bardzo dużej dawce dobrej woli można by nazwać skinieniem.

– Wydadaj mi rozkaz działania, a odstrzelę mu ten kciuk – mruczy Fricke.

– Nawet o tym nie myśl – odpowiada Pavlik.

– Mamy jeszcze lizak w bmw – mówi Kemper.

– Przyda nam się równie mało jak GPS.

Mister Uzi otwiera bagażnik i sprawdza torbę z pieniędzmi. Holma to nie interesuje.

Pavlik zwraca uwagę wyłącznie na Aaron. Prawym okiem widzi ją w dwudziestoczekrotnym powiększeniu, dla lewego oka jest mała i daleka. Stoi sama, spokojna i opanowana, twarz ma białą jak śnieg. Kieruje wzrok ku niemu, wprost w jego wizjer, co łamie mu serce.

Nie okazuje strachu. Myśli o tym co ja.

Wiem, że tego nie zrozumiesz.

Nie. Nigdy.

Jeszcze się spotkamy.

W tym lub w innym życiu.

Powiedz Sandrze, że ją kocham.

Holm popycha Aaron na tylne siedzenie samochodu. Sascha również chce usiąść z tyłu, ale nieruchomieje, gdy brat coś do niego mówi. Pavlik widzi, że oczy Saschy płoną. W antenie fordą jest mikrofon kierunkowy.

– Co on powiedział? – pyta Pavlik.

– „Nie wolno ci”.

Bracia stoją naprzeciw siebie w odległości metra – Sascha spięty, jakby szykował się do skoku, Holm rozluźniony. Rozprostowuje ramiona. Sascha opuszcza wzrok. Kiedy obchodzi samochód i idzie w stronę siedzenia pasażera, jego kroki są niezgrabne i sztywne.

Twoje mięśnie się kurczą, bo właśnie sobie wyobrażasz, że wyrzucasz bratu serce i oczy.

Mister Uzi siada obok Aaron, Holm przejmując ster. Bmw powoli wyjeżdża z parkingu, skręca w Strasse des 17. Juni, przyspiesza w kierunku Kolumny Zwycięstwa i maluje dwie delikatne białe smugi na nieskazitelnym śnieżnym dywanie. Pavlik otwiera okno, wychyla się do połowy i nieruchomo patrzy przez wizjer w ślad za samochodem. Mister Uzi zdejmując kominiarkę, ale Pavlik musi się zadowolić widokiem jego potylicy. Szpakowate włosy, mokre od potu. Pavlik nie spuszcza auta z oczu, aż wreszcie przy Grosser Stern znika ono z pola widzenia.

– Zespół drugi do techników: czy lizak w bmw nadaje?

Odpowiedź Krampego nie jest zaskakująca:

– Nie. Holm używa nadajnika zakłócającego, słyszymy tylko szumy.

Na parkingu zatrzymuje się transporter. Pirotechnicy. Wiatr niesie do Pavlika zgrzytliwy głos z megafonu.

– Proszę nie wstawać i się nie ruszać. Jeśli będą państwo wykonywać nasze polecenia, nic się państwu nie stanie.

Te same zdania powtarzają po angielsku.

Pavlik włącza tablet i dzwoni do domu.

– Co się stało? – pyta błyskawicznie Sandra.

– Później. Pakuj małą do auta i natychmiast jedź na Budapester Strasse.

Kończy rozmowę. Na tablicie widzi obraz wysyłany przez dron. Bmw włączyło się do ruchu, jedzie przez Lützowufer i kieruje się na wschód.

Schöneberger Ufer.

Nationalgalerie.

Pavlik łączy się telefonicznie z Demirci.

– Jedzie do tunelu Tiergarten, niech dron kontroluje wyjazd przy Invalidenstrasse. Ale jestem pewien, że Holm zmierza na dworzec główny. Trzeba poinformować policję federalną. Niech nie siedzą mu na karku, bo w każdej chwili może uruchomić ładunek wybuchowy, wystarczy, żebyśmy wiedzieli, do jakiego pociągu wsiądzie. Proszę podać opisy osób.

Demirci wydaje polecenia. Pogłos znika. Demirci wyłączyła głośnik, nikt więc nie słucha ich rozmowy.

– Spotkał pan już kiedyś takiego faceta?

– Nie.

– On myśli to samo. Jeszcze nigdy nie spotkał nikogo takiego jak pan. Ja też nie.

Holm zna ten odcinek trasy. Gdy tylko światło przy Nationalgalerie zmienia się na zielone, wie, że do tunelu ma dwanaście sekund. Tam, trzymając kierownicę jedną ręką, przyspieszy do stu sześćdziesięciu i w ostateczności, jadąc pasem awaryjnym, będzie potrzebował czterdziestu czterech sekund, by dotrzeć do celu. Lewy kciuk nieustannie trzyma na telefonie komórkowym.

Sascha odwraca głowę do tyłu.

– Jak się nazywasz?

– Bosch.

Sascha spogląda na brata.

– Na czym on się zna?

– Wyprowadzę nas stąd – mówi Bosch.

– Puść ten guzik, zrób nam frajdę – namawia brata Sascha, nie zwracając już uwagi na Boscha.

– Tak, tobie – mruczy Holm. – Nigdy się nie nauczyłeś odróżniać rzeczy nieistotnych od istotnych. Nieraz zastanawiam się, czy ty w ogóle nauczyłeś się czegokolwiek.

Holm czuje nienawiść Saschy. Zawsze tak było.

W domu nie padały między nimi dobre słowa, nie było śmiechu ani nocy bez lęku. Była pięść z kastetem, obcegi i pas z metalową sprzączką. W dobre dni w ruch szła tylko pięść. Były puste oczy matki, jedzenie punktualnie o siódmej i schody do piwnicy. Musiał schodzić po tych schodach przez sześć lat. Gdy był już na dole, liczył rysy na suficie i słuchał oddechu ojca.

Kiedy Sascha skończył cztery lata, nadeszła jego kolej. Holm liczył rysy na suficie w pokoju, póki nie usłyszał, że drzwi prowadzące do piwnicy się otwierają.

Co wieczór brat błagał:

– Zabij go.

A on co wieczór milczał.

Ojciec był robotnikiem leśnym o mięśniach jak korzenie drzew. Kiedyś jakiś pies, chyba dog, szukał odpadków w ich ogrodzie. Ojciec udusił go, jak gdyby nigdy nic.

Holm powtarzał w myślach:

Kiedyś to zrobię.

Zaczął potajemnie trenować: podnosił bryły skalne w nieczynnym kamieniołomie i bił się z największymi chuliganami w okolicy – wyższymi i starszymi od niego – których ciosy sprawiały mu ból.

Uczył się od nich. Ukrywał rosnące mięśnie i schodził ojcu z drogi, póki nie był jeszcze dość silny.

Kiedyś.

Przez cztery lata słyszał dźwięk zamykanych drzwi do piwnicy.

Na tydzień przed ukończeniem dziewiętnastego roku życia wyszukał w dzielnicy dworcowej jakiegoś alfonsa wzrostu ojca. Wepchnął go w ciasną uliczkę, wtłoczył mu nos w mózg i puścił go dopiero w chwili, gdy na jego twarzy nie czuł już ani jednej kości. Wtedy zrozumiał, że nadszedł czas.

Powiedział ojcu, żeby nigdy więcej nie dotykał brata. Ojciec zdjął pas z metalową sprzączką, a Holm się nie bronił. Delektował się tymi minutami.

Od tej pory każdego popołudnia chodził do lasu, tam, gdzie robotnicy ścinałi drzewa. Przez sześć dni ojciec opuszczał miejsce wycinki razem z innymi robotnikami, jednak siódmego dnia został dłużej. Zbliżało się Boże Narodzenie, chciał ściąć choinkę. Holm mógłby zajść go od tyłu i rozłupać mu czaszkę siekierą, ale pragnął, żeby ojciec go widział. Kiedy zdrętwiały mu pięści, wziął piłę łańcuchową. Przyłożył ją do krocza ojca i przez cały czas patrzył mu w oczy. Widział, że ojciec krzyczy, ale tego nie słyszał. Wziął szpadel, wykopał dół w zaroślach i umył się w potoku. Wrócił do domu, usiadł do kolacji i podał bratu ketchup.

Nazajutrz matka zgłosiła zaginięcie. Przyjechali policjanci, zadawali pytania, pojawili się jeszcze raz, a potem zniknęli. Matka płakała, ale nie ze smutku. Po sposobie, w jaki patrzyła na Holma, zorientował się, że wie o wszystkim. Przez dwa

miesiące gotowała dla niego i brata ich ulubione potrawy. Pewnego ranka zmarła. Powiedziano, że to udar. Na pogrzebie ludzie, których Holm nigdy nie widział, oświadczyli, że on i Sascha zamieszkają teraz u nich.

Kiedy jeszcze ci nieznajomi jedli ciasto, Holm zabrał Saschę i uciekł. Opiekował się nim przez te wszystkie lata. Przez pewien czas miał nadzieję, że brat w którymś momencie przestanie go nienawidzić. Ale ten dzień nigdy nie nastąpi. Choć wykopał dół i zrobił to, co powinien był zrobić, Sascha nie wybaczy mu czterech poprzednich lat. Później przestało to mieć dla Holma znaczenie. Człowieka, którym był przed laty, pamięta równie słabo jak śnieg strząśnięty niegdyś z ubrania.

Starał się być dla Saschy dobrym bratem. Znaczyło to dla niego tyle, że musi go nauczyć pozbywać się strachu – tak jak sam pozbył się marynarki i spodni zbryzganych krwią ojca. Wiedział już, że piwnica, do której się schodzi, czasami znajduje się nie w domu, a w głowie człowieka.

Długo martwiło Holma, że Sascha jest kiepskim uczniem. Teraz już nie martwi – podarował mu wolność i jest to ostatnia rzecz, jaką dla niego robi. Może brat kiedyś zrozumie, że wreszcie musi opuścić piwnicę i zamknąć za sobą drzwi.

Na podstawie zmian kierunków Aaron usiłowała określić, gdzie się znajdują. Pierwszy skręt w prawo był w ulicę prostopadłą, mogła to być tylko Hofjägerallee przy Grosser Stern w środku Tiergarten. Niedługo potem samochód skręcił w lewo – a więc w Tiergartenstrasse albo Lützowufer.

Aaron nie ma skrępowanych rąk. W myślach przeprowadza całą akcję.

Łamie Boschowi chrząstkę krtani i sięga po uzi, które on schował pod kurtką. Zanim Holm albo Zetonowe Oko zdążą zareagować, strzeli im obu w głowę.

Dwie sekundy.

Ona prawdopodobnie przeżyje wypadek – ale dwadzieścioro dziewięcioro ludzi umrze.

Znowu ostro w lewo. Jadą z górki, wjeżdżają w bardzo długi zakręt. Opony nie plaskają na brei śnieżnej, zgiełk komunikacyjny ustępuje głuchemu szumowi. Aaron orientuje

się, że są w tunelu przecinającym dzielnicę rządową.

Holm brutalnie przyśpiesza, więc nagle zostaje rzucona do innego tunelu. W lusterku wstecznym widzi audi, a w nim śmierć, która ma na sobie szyty na miarę garnitur z Savile Row.

Kłęczący obok Nika. Niko ma czerwoną koszulę, czerwone usta, czerwone oczy i głos umierającego człowieka:

– Uciekaj.

Holm gwałtownie hamuje i Aaron uderza czołem o podłówek. Drzwi otwierają się z impetem. Auto jest jeszcze w tunelu, samochody mijają ich w szalonym pędzie. Holm chwytą ją, przyciąga do siebie. Biegną. Za nimi otwiera się bagażnik z pieniędzmi. Holm popycha jakieś drzwi, wciąga Aaron na klatkę schodową i wlecze na górę. Ona potyka się raz po raz i chwytą się Barcelony, ostatniego spojrzenia Nika.

Kolejne drzwi.

– Ani jednego niewłaściwego słowa – mówi Holm.

Narasta hałas dworcowy.

– Uwaga, pociąg Intercity 1512 do Hamburga, planowy odjazd godzina dwunasta pięćdziesiąt osiem, ma dwanaście minut opóźnienia. Opóźnienie może ulec zmianie.

Nad nimi pociąg wjeżdża na mijankę. Płacze jakieś dziecko, słychać dwa gardłowo wibrujące głosy – rozmowa po włosku. Ktoś potrąca Aaron, mamrocze „przepraszam”, Holm wpycha ją na ruchome schody. Aaron osuwa się, ociera sobie kostkę, Holm przyciąga ją z powrotem. Aaron usiłuje trafić na kolejne stopnie, dotrzymać Holmowi kroku, ale on wlecze ją dalej.

Zataczając się, wchodzą na peron.

– Odjazd pociągu z peronu szesnastego.

Zgrzyt kolejki miejskiej, jeszcze cichy.

Tak to wyliczył – żebyśmy tu trafili dokładnie co do sekundy.

Zupełnie straciła poczucie czasu. Kiedy weszli do tego budynku? Czy zauważyła ich straż ochrony kolei? A co będzie potem? Wyrok śmierci na nią i na dwadzieścioro siedmioro dzieci?

Bosch stoi z jej lewej strony, dźwiga pieniądze, serce mu wali, w płucach świszczy. W autokarze jego głos brzmiał wprawdzie

trwożliwie, ale czysto, kiedy jednak wsiedli do samochodu i wyrzucił z siebie z niedowierzaniem: „Oni naprawdę pozwalają nam odjechać”, był przytłumiony. Zaraz potem Bosch zdjął coś z głowy.

Kominiarkę. W samochodzie jej nie miał. Ale wysiadając z autokaru, nie chciał, żeby ktoś zobaczył jego twarz.

W tym momencie Aaron widzi tu siebie z Nikiem, jest zakochana, łaskocze go, a on łaskocze ją. Roześmiana spogląda w jedną z kamer monitorujących i pokazuje język.

– Niech pan spojrzysz za siebie – mówi do Boscha.

Czuje ruch, gdy mężczyzna się odwraca. Holm zaciska dłoń na jej ramieniu jak mocno nadmuchany rękaw do mierzenia ciśnienia krwi.

– Jak można być tak głupim? – warczy na Boscha.

– *Excuse me, could you take a picture of us?*

Aaron przenika chłód.

– *Sure. Say cheese, my ladies* – odpowiada Holm nienaganną oksfordzką angielszczyzną.

– *Thank you very much.*

– *My pleasure.*

Pociąg staje.

– Stopień – szepcze Holm.

Wsiadają. Wokół tłoczą się ludzie, popychają ich, jest gorąco. Aaron potrąca kogoś, dostaje kuksańca w zębra. Holm przepycha się, ciągnąc ją za sobą, usadza na siedzeniu, przesuwa do okna. Przy przejściu ktoś odstawia coś ciężkiego – torbę z pieniędzmi. Gdzieś dalej wydziera się młodzież.

– Proszę się odsunąć od krawędzi peronu.

Drzwi się zamykają, pociąg rusza.

Aaron klęczy w Barcelonie przy Niku. Widzi, że wstrząsają nim drgawki, widzi, jak Niko się męczy:

– Uciekaj!

Głos z głośnika skrzeczy:

– Następna stacja: Bellevue.

Telefon komórkowy rzępoli jakiś przebój. Kobieta przywołuje do porządku marudną dziewczynkę. Rozwrzeszczana młodzież wysiada.

– Ej, ofiaro, posuń no się.

Zimne powietrze wdziera się do wagonu, ludzie cisną się do środka. Świeży szampon gruszkowy, mokry pies, döner. Kiedyś w kolejce podmiejskiej z Wiesbaden do Frankfurtu dwaj mężczyźni zaczęli zagadywać Aaron, gdy się zamyśliła i nie zdawała sobie sprawy, że kieruje na nich oczy – myśleli, że z nimi flirtuje. Teraz podobna sytuacja groziłaby katastrofą. Aaron odwraca twarz w stronę okna. Jeszcze jedna stacja i przetną Strasse des 17. Juni. Gdyby nie była ślepa, mogłaby zobaczyć autokar.

– Następna stacja: Tiergarten.

Holm pochyla się ku niej.

– Zna pani procedurę – szepcze tak cicho, że nawet Aaron ledwo go rozumie. – Najpierw pirotechnicy otworzą torbę. Posłużą się robotem. Oczywiście oznacza to ryzyko: w torbie mógłby być czujnik, który zapaliłby materiał wybuchowy, gdy tylko ktoś pociągnie zamek błyskawiczny. Robot mógłby wprawdzie usunąć torbę z bagażnika i przenieść ją na bezpieczną odległość, ale wówczas ryzyko byłoby jeszcze większe: zapalnik przyczepiany pod torbę to ulubiona zasadzka stosowana przez podkładających bomby. Wybiorą więc wariant zamka błyskawicznego. Kamery robotów pokażą, że chodzi o dość prosty mechanizm, nie utrudniałem sobie pracy. Zostanie podjęta decyzja, żeby oddzielić zapalnik od ładunku za pomocą armatki wodnej.

Wjeżdżają na stację. Pies szczeka. Ktoś siedzący naprzeciw Aaron wstaje.

– Przepuści mnie pani?

Wolne miejsce natychmiast zostaje zajęte. Bosch. Aaron słyszy, że przysuwa do siebie torbę z pieniędzmi. Jej serce dudni w rytmie techno.

– Proszę się odsunąć od krawędzi peronu.

– Pirotechnicy mieli dziewiętnaście i pół minuty, to powinno wystarczyć. Kiedy będziemy na moście nad Strasse des 17. Juni, puszcze guzik. Jeśli się pomyliłem, od razu będziemy to wiedzieli.

Oddech zamiera Aaron w piersi. Pociąg rusza, jest teraz na

moście. Pies skomle, gazeta szeleści, jakaś kobieta opowiada o czwórce wygranej w totolotka. Ktoś czyści nos.

– Uratowała pani dwadzieścioro dziewięcioro ludzi – szepcze Holm. – Ale siebie pani nie uratuje.

– Czy bomba została rozbrojona? – pyta Pavlik Demirci.

– Przed trzema minutami. Dzieci czują się dobrze.

– Czy widziano Aaron na dworcu?

– Nie. Policja federalna ma tam o tej porze tylko piętnastu czynnych funkcjonariuszy, w dodatku sześciu z nich było zajętych bójką na noże w podziemiach dworca.

– A co z monitoringiem na parkingu?

– Nie skorzystali z niego. Samochód do ucieczki stoi w tunelu. Dostali się do budynku przez drzwi przeciwpożarowe. Gdzie pan się teraz znajduje?

– Zaraz będę. – Pavlik kończy połączenie i wybiega z windy na trzecim piętrze Wydziału. Widzi Niesera z Majowskim i Delmonte. – Gdzie on jest? – pyta.

– Posłuchaj...

– Gdzie?

– W dwójce.

Pavlik wpada do pokoju przesłuchań, drzwi trzeszczą w zawiasach. Wali Nika pięściami w nerki i Niko pada z jękiem. Podrywa go, zadaje dwa ciosy w żebra, jeden w twarz, łamie mu nos. Niko nie broni się, pokornie przyjmuje razy: splot słoneczny, głowa, śledziona, wątroba. Jedyne ściana chroni go przed upadkiem. Nadbiegają koledzy, odciągają Pavlika. Niko się przewraca. Pavlik wyswobadza się i kopie leżącego w podbrzusze. Czterech ludzi ledwo go powstrzymuje.

– Coś ty zrobił!? – wrzeszczy.

Koledzy chcą go wyciągnąć na zewnątrz – bezskutecznie. Pavlik szaleje, bije rękami na oślep, aż wreszcie dociera do niego głos Sandry:

– Wiem o wszystkim, Ulf.

Mężczyźni puszczają Pavlika, dwóch pomaga Nikowi wstać. Krew leci mu z nosa jak z kranu. Kładą sobie jego ręce na ramionach, wloką go do drzwi, lecz Sandra zastępuje im drogę. Z całej siły wali bezwładnego Nika w nos, łamiąc go po raz

drugi. Nikt nie ma odwagi wypowiedzieć choćby słowa. W oczach Nika jest więcej smutku, niż Sandra kiedykolwiek widziała. Odchodzi od drzwi, ktoś cicho je za nią zamyka. Pavlik pada na kolana. Sandra klęka obok i tuli go do siebie. Oboje płaczą.

– To moja wina – szepcze Pavlik.

Sandra ujmuje jego głowę.

– Daję ci pięć minut, żebyś się wybeczał. A potem wstaniesz i ją z tego wyciągniesz.

Helmchen trzyma na rękach płaczące niemowlę. Podnosi z biurka puszkę ze spinaczami, potrząsa nią jak grzechotką i dziecko się uspokaja. Mała Jenny wyciąga dłonie po nową zabawkę, podczas gdy Helmchen wolną ręką odbiera telefon.

– Wydział, Helm. Pani Demirci jest poinformowana. Bardzo mi przykro, ale nie wiem, kiedy będzie miała czas. – Spozrzega Pavlika i Sandrę. – Oddzwonię.

Odkłada słuchawkę.

– Chcę, żeby Sandra i Jenny zostały przewiezione do mieszkania operacyjnego w Cottbus – mówi Pavlik. – Kto jest wolny?

– Nikt. Ale pani Demirci powiedziała, że ludzie z piątki zatroszczą się o nie obie tak długo, jak to będzie konieczne. Poproszę ich tutaj.

Mimo że Wydział nie podlega Federalnemu Biuru Śledczemu, tradycyjnie oddaje do dyspozycji BKA ludzi z oddziału nazywanego po prostu piątką.

Sandra odbiera dziecko od Helmchen i układa je w nosidełku. Mała śmieje się i fika nóżkami. Pavlik przytula żonę.

– Aaron prosiła, by ci przekazać, że cię kocha. – Znów ma wilgotne oczy, ale jego głos brzmi pewnie i twardo. – Pamiętasz, jak bawiliśmy się z nią i z bliźniakami w Dziki Zachód?

Sandra potakuje.

– Wtedy pojedyńkowaliśmy się zabawkowymi pistoletami. Aaron powiedziała: „Nikt nie jest szybszy ode mnie,

nieznajomy”. To prawda: nikt nie jest szybszy od niej. Jutro wieczorem zagramy z nią w scrabble i pozwolimy jej wygrać.

Helmchen odkłada słuchawkę.

– Piątka zaraz będzie.

Pavlik całuje Sandrę.

– Zadzwoń.

Wybiega, lecz zawraca i podnosi wysoko córeczkę, aby jeszcze raz poczuć jej zapach – nie wie, na jak długo będzie musiało mu to wystarczyć.

Piętro wyżej w centrali dowodzenia pół oddziału obstępuje Demirci, która przez głośnik rozmawia z policjantami znajdującymi się na dworcu.

– Najprawdopodobniej byli w budynku za dziesięć pierwsza. Holm na pewno wyliczył to tak, żeby znaleźli się na peronie tuż przed odjazdem pociągu. Chcę mieć pociągi, które odjeżdżały między dwunastą pięćdziesiąt a trzynastą: dalekobieżne, regionalne, metro, kolejkę miejską. Wszystkie.

– Chwileczkę.

Pavlik staje obok Demirci. Wokół panuje gorączkowy pośpiech i przez chwilę są sam na sam.

– Dziękuję za piątkę – mówi Pavlik cicho.

Demirci szybko ściska jego dłoń i to zaskakujące, ciepłe dotknięcie przynosi mu niewypowiedzianą ulgę. Gdy szefowa zwraca się do jednego z kolegów, zadaje precyzyjne pytania i wymaga równie precyzyjnych odpowiedzi, Pavlik obserwuje ją ukradkiem. Nie wiadomo kiedy na jej twarzy pojawiły się głębokie bruzdy. Po raz pierwszy Pavlik spostrzega, jaka jest szczupła. Nie jest ładna – raczej oryginalna; jej oczy to dwa duże okruchy nieoszlifowanego szafiru. W rudych włosach można dostrzec pierwsze srebrne nitki, jej nos zakrzywiony jest jak dziób drapieżnego ptaka. Zmarszczki wokół oczu zdradzają, że lubi się śmiać, ale Pavlik nigdy nie widział, żeby się śmiała.

– Metro w kierunku Bramy Brandenburskiej – informuje policja federalna. – Trzy kolejki miejskie: na Westkreuz, na Wartenberg i do Poczdamu. Cztery pociągi regionalne: do

Eisenhüttenstadt, Dessau, Rathenow, Nauen. Intercity do Hamburga. Nie, ten miał opóźnienie. To wszystko.

Pavlik się zastanawia. Pociągi regionalne raczej odpadają – są zbyt ryzykowne, metro podobnie. Czego Holm miałby szukać przy Bramie Brandenburskiej?

Demirci i Pavlik mówią równocześnie:

– Kolejka miejska.

W odtwarzaczu łąduje kasetą z obrazem zarejestrowanym przez dworcowe kamery. Widać perony w czterech perspektywach. Ani śladu Aaron.

Przewijają taśmy do przodu.

– Są! – woła Ines Grauder.

Poczdąm, odjazd o dwunastej pięćdziesiąt pięć. Pociąg właśnie wtacza się na stację. Holm obejmuje Aaron w pasie, w lewej ręce ma telefon komórkowy. Opuszczają ruchome schody i wbiegają na peron.

Sascha i Mister Uzi podążają tuż za nimi. Pavlik przygląda się tylko Mister Uziemu, który taszczy pieniądze. Pod jego zapiętą kurtką odznacza się broń. Naciągnął bejsbolówkę na twarz, spuścił głowę.

– No dawaj, pokaż się – mruczy Pavlik.

Aaron lekko dotyka Mister Uziego. On odwraca się i patrzy wprost w kamerę.

Dobra dziewczynka.

– Stop! – woła Demirci. Powiększają twarz mężczyzny na ekranie. Czterdzieści parę lat, mięsisty, ciastowata skóra, bezdech. – Natychmiast chcę mieć porównanie danych biometrycznych z bazą INPOL-u – poleca Krampemu.

Ktoś wykonuje zrzut ekranu.

– Co Holm tam ma? – pyta Büker, wskazując futerał.

– Broń palną? – zastanawia się Demirci.

Pavlik kręci przecząco głową. Przedmiot jest za krótki na karabin, za płaski na pistolet maszynowy, za duży na zwykły pistolet.

Wideo leci dalej. Dwie turystki z Azji zwracają się do Holma. Ten ściąga zębami prawą rękawiczkę i robi im zdjęcie telefonem komórkowym, podczas gdy pociąg się zatrzymuje.

– Pani Gauder, musimy znaleźć te dwie kobiety. Szukajcie za pośrednictwem mediów. Na telefonie są odciski palców Holma.

– Odjechali dwadzieścia pięć minut temu – mówi Pavlik i zwraca się do funkcjonariusza policji federalnej: – Jak długo jedzie pociąg do Poczdamu?

– Czterdzieści minut.

– Gdzie mogą być teraz?

– Za minutę wjadą na dworzec w Wannsee.

– Ma pan tam funkcjonariuszy?

– W tej chwili nie.

– Nie może pan tam wysłać drona?

– Niestety – wszystkie są w centrum, a mają zasięg tylko piętnastu kilometrów.

– Ma pan dostęp do kamer w Wannsee?

– Tak.

– No to szybko.

– Gdzie pociąg się jeszcze zatrzymuje? – pyta Demirci.

– Griebnitzsee, Babelsberg, poczdamski dworzec główny.

– Natychmiast wysłać na te stacje funkcjonariuszy po cywilnemu. Niech niczego na razie nie robią, tylko obserwują.

Na drugim końcu przewodu słychać wydawane polecenia.

Przychodzą obrazy z Wannsee. Pociąg już stoi, drzwi się otwierają. Wychodzi jakiś mężczyzna z psem, trzech sportowcy wystawiają rowery, dwie kobiety taszczą torby z zakupami.

Aaron.

Holm przyciska ją do siebie i idzie do wyjścia – szybko, ale nie nazbyt pośpiesznie. Za nimi podążają Sascha i Mister Uzi.

– Przełączyć – poleca Pavlik.

Na ekran zostaje przesłana hala dworca. Aaron i trzech mężczyźni są już w środku. Przed kioskiem ktoś ustawia towar i gdy przechodzą, pakiet gazet upada na ziemię.

Aaron przystaje i mówi coś do kioskarza. W centrali dowodzenia robi się nagle o dziesięć stopni chłodniej. Gazeciarz kręci głową, Holm ciągnie Aaron dalej. Wychodzą z budynku dworca i znikają.

– Ma pan kamery na placu przed dworcem? – pyta Demirci.

– Nie.

– Niech pan tam wyśle ludzi, chcę wiedzieć, co Aaron powiedziała do tego kioskarza. I niech pan znajdzie świadków, którzy widzieli, jak cała czwórka opuszcza dworzec. Będą dalej uciekać samochodem. Chcę mieć jego numery rejestracyjne.

– Trzysta metrów dalej jest przystań – mówi Pavlik. – Niech pani ją też każe sprawdzić, na wypadek gdyby chcieli wypożyczyć łódź.

Demirci spogląda na niego.

– Niech pan się chwilkę zdrzemnie.

– Nie ma takiej konieczności.

– Owszem, jest. Potrzebuję pana wypoczętego.

Niko bez ruchu siedzi na krześle. Gdy Demirci wchodzi i siada naprzeciw niego, unosi głowę. Ma spuchnięty nos i rozcięty policzek, wargi pokrywa mu zakrzepła krew.

– Widzę, że pan Pavlik powiedział już panu to, co najważniejsze – mówi chłodno Demirci.

– No, niech pani wreszcie to z siebie wyrzuci, miejmy to za sobą.

– Usiłuję zrozumieć, co pan zrobił. Ale chociaż bardzo się staram, nie udaje mi się.

– To coś między Jenny a mną.

– Decyzja dotycząca jej życia?

– Błagała mnie, żebym pozwolił jej tam pójść.

– Pańskim zakichanym obowiązkiem było ją przed tym powstrzymać! – wrzeszczy Demirci.

– To ma związek z Barceloną.

Demirci zapala papierosa. Musi się pięć razy głęboko zaciągnąć, aby jej głos się uspokoił.

– Co to znaczy?

– Ona myśli, że tam straciła honor. Że stchórzyła. Nie mogłem jej tego wyperswadować.

– Znam pańskie ówczesne zeznania, a także zeznania Jenny Aaron. Jesteśmy tu sam na sam i ta rozmowa nie jest nagrywana. Jak to naprawdę było?

– To już nieważne.

– Ja decyduję, co jest ważne.

– Holm i Nina Deraux ukryli w hali broń, na zewnątrz Sascha zastrzelił trzech Katalończyków. Ja dostałem od Holma dwie kulki, Jenny udało się uciec. Zabiła Deraux i zraniła Saschę, który do dziś ma bliznę na szyi. Chciała mnie podnieść, ale byłem dla niej za ciężki. Nie mogłem jej pomóc, miałem pewność, że umrę. Ona była ranna, Holm do nas strzelał – to było niemożliwe, byśmy oboje wyszli z tego cało. Kazałem Jenny uciekać. Teraz ona żyje z poczuciem winy, którego nie rozumie nikt oprócz niej.

– Ja akurat rozumiem je doskonale. Jej obowiązkiem było wyeliminować Holma i uratować pana.

– Mówi pani tak, jakby podobne sytuacje znała pani tylko z podręczników.

Nos nadal mu krwawi. Demirci podsuwa mu chusteczkę higieniczną, ale Niko jej nie bierze. Krew spływa po podbródku i kapie na stół.

– Widział pan w Barcelonie katedrę Gaudiego, La Sagrada Familia? – pyta Demirci.

– Widziałem. Co to ma do rzeczy?

– Tutaj jest **nasza** katedra. W naszej rodzinie istnieją prawa, które nie są nigdzie spisane, i kilku z nich musiałam się nauczyć. Ale jedno już znałam, bo jest święte: nigdy nie zostawiamy towarzysza na pewną śmierć.

– Zwolniłem ją z tego obowiązku.

– Nie mógł pan tego zrobić.

– Ona była spanikowana.

– Ta kobieta nigdy nie wpada w panikę. Gdybym w tamtym czasie była w Wydziale Spraw Wewnętrznych, wytoczyłabym jej proces. Może zrezygnowano z tego ze względu na jej zasługi albo ze względu na jej nazwisko.

– Jest pani żmiją bez serca!

– Tak myślałam jeszcze wczoraj rano – ciągnie niewzruszenie Demirci – ale teraz poznałam Jenny Aaron. Cokolwiek skłoniło ją w Barcelonie do takiego zachowania, musiało mieć dla niej ogromne znaczenie, było ważniejsze niż nasz kodeks. O co zatem chodziło?

– Nie wiem.

Słońce zniknęło za chmurami, znów pada śnieg.

– Proszę się zastanowić – naciska Demirci.

– Ona nie pamięta, co działo się w magazynie. Tak powiedziała mi wczoraj.

Demirci patrzy na krew zasychającą na laminacie. Tętnica szyjna Nika pulsuje. Jego głos cichnie:

– Jedyne, o czym nie ma wzmianki w raporcie, to mój strach, jej strach i jej spojrzenie, zanim wybiegła z magazynu, ratując swoje życie.

Neonówki migoczą. Ktoś biegnie korytarzem. Dzwoni telefon komórkowy, Demirci odbiera.

– Tak? Ja się tym zajmę. – Wstaje. – Niech mi pan powie, co ja mam z panem zrobić.

Niko unosi głowę.

– Jeśli to, czego się dopuściłem, było przestępstwem, to proszę zrobić coś, na co nie ma paragrafu.

– Jest pan zawieszony – mówi Demirci.

Połowę ciasnego gabinetu Pavlika zajmuje kanapa, stara i wyświecona. Przed dziesięciu laty zobaczył ją na śmietniku i przytargał do Wydziału. Wygląda tak, jakby gnieździły się w niej mole, i pewnego razu Pavlik przyłapał Aaron na opryskiwaniu jej sprayem dezynfekcyjnym. Nigdzie jednak nie myśli mu się lepiej niż na tym okropnym meblu, który w Wydziale cieszy się wyjątkowo złą sławą. Jeśli ktoś dopuści się jakiegoś przewinienia, ląduje na kanapie. Kiedy taki delikwent wlecze się korytarzem ze zwieszoną głową, wszyscy już wiedzą: był na kanapie.

Pavlik może zasnąć zawsze i wszędzie, na pięć minut lub pięć godzin, ale budzi się błyskawicznie. Kiedyś zmorzyło go podczas gradobicia, gdy jego zespół czekał na rozkaz rozpoczęcia akcji. Spał na stojąco w metrze w drodze na endoskopię i kiedy małej Jenny wyrzynały się ząbki. Gdy zachorowała na zapalenie krtani, obudził się na chwilę przed jej atakiem duszności i uspokoił ją, stając z nią przy otwartym

oknie. Spał zimą w lesie przykryty liśćmi, podczas koncertu Stonesów i kiedy latem kąpał się w potoku.

Teraz jednak leży od dwudziestu minut na kanapie i gapi się w sufit. Drzwi się otwierają. Demirci. Pavlik natychmiast się prostuje.

– Żadnych świadków w Wannsee. Nikt niczego nie widział.

Był na to przygotowany. O wiele ważniejsze jest co innego:

– Co powiedziała do kioskarza?

– Dosłownie: „Przepraszam, czy nie mieszka pan czasem w Bübingweg?”.

Pavlik czuje bezradność.

– Boenisch mieszkał w Bübingweg, widnieje to w jego aktach.

– Chciała nam coś przekazać – orzeka Demirci. – Odpowiedź z pewnością kryje się we wczorajszym przesłuchaniu.

Rozlega się krótkie pukanie i do pomieszczenia zagląda Helmchen.

– Technicy wyekstrahowali DNA Holma z krwi znajdującej się na nożu, ale w banku danych niczego nie ma. Odciski palców były zamazane.

Nadal mamy dwie turystki, którym Holm zrobił zdjęcie, mówi spojrzenie Pavlika.

– Bardzo mi przykro, nie mogę już dłużej wstrzymywać konferencji – dodaje zasmucona Helmchen.

– Będę za piętnaście minut. Dziękuję, pani Helm.

– Od tej chwili Helmchen, jeśli pani chce.

Demirci się uśmiecha.

– Będzie mi bardzo miło.

– Helmchen, gdzie jest przesłuchanie Boenischa? – pyta Pavlik.

– Nie mam pojęcia.

– Na jej telefonie komórkowym – przypomina sobie Demirci. – Chciała je przegrać, ale nie zdążyła.

– Telefon był w autokarze, a teraz leży u mnie w gabinecie. Zaraz go przyniosę – mówi Helmchen i wycofuje się cichutko.

Pavlik wskazuje miejsce obok siebie na kanapie. Demirci z lekkim obrzydzeniem spogląda na dużą plamę.

– Czy to krew?

– Nie mam pojęcia.

– No cóż...

Przysiada sztywno na samym brzegu.

– On wie, że jesteśmy przy Budapester Strasse – mówi Pavlik – i zna naszą taktykę działania.

– Tak, też o tym myślę.

– Skąd czerpie informacje? Przecież jesteśmy kompletnie odizolowani.

– Kret?

– Wcześniej przejrzałem akta wszystkich naszych ludzi. Nie umiem sobie nikogo wyobrazić w roli kreta, ale nie chcę zachowywać się tak, jakby to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Trzeba by każdego wziąć pod lupę. Jednak pomijając fakt, że brak na to czasu, myślę, że źródło Holma znajduje się na piętrze wysłanym dywanami.

– Komisja Spraw Wewnętrznych...

– Nie musi to być sam minister. Może jakiś sekretarz stanu? Działając, Holm bazuje na strachu. Może udało mu się kogoś zaszantażować? Są jeszcze inne możliwości: na przykład taka, że przyjmuje zlecenia zabójstw dla mafii, a ta kupuje sobie kontakty polityczne. Gdybym tak jak pani musiał zasiadać do stołu z cesarzami i królami, bardzo bym uważał, jakiego rodzaju toasty wznoszę.

Milczenie.

– Nie chce pan wiedzieć, co zeznał Kvist?

– Po co?

– Mówi o niej „Jenny”. Widziałam ich tańczących. Jak długo byli ze sobą?

– Rok.

– Czy skłamałby dla niej?

– Zrobiłby dla niej wszystko.

Demirci się waha. Na końcu języka ma pewne pytanie, ale ostatecznie go nie zadaje.

– Jaki mamy punkt zaczepienia?

– Holm wiedział, że leżę w odległości siedemdziesięciu pięciu metrów od niego. Potrafi dobrze ocenić odległość.

– Zapoznał się z sytuacją.

– Z pewnością. Ale jedno mu umknęło. „Z dwóch metrów między oczy”, pamięta pani? To była ironia.

– Myśli pan, że jest strzelcem wyborowym?

– Wiemy o dwóch zamachach z użyciem broni: raz we Frankfurcie nad Odrą, w czasie którego została zabita Ukrainka, i raz przed hotelem Jowisz. Do tego robił aluzję Sascha. Nie mówił w swoim imieniu, tylko w imieniu brata. Nie były to duże odległości, ale założę się, że Holm zna się na znacznie większych. To wiedza specjalistyczna i lata treningu. Z reguły ludzie przechodzą go w wojsku, tak jak ja. Gdzie trenował on? Nie był w Bundeswehrze. Gdybyśmy mieli jego odciski palców, mógłbym je porównać z „listą Pavlika”.

Demirci spogląda na niego pytająco.

– To moje prywatne archiwum. Mam w nim dokumentację snajperów, którzy zostawili ślady na miejscu zbrodni. A co z tym trzecim facetem? Czy porównanie biometryczne coś wykazało?

– Nie. Nikt go nie poszukuje, nie był wcześniej karany, w INPOL-u nie ma żadnych adnotacji.

– Na pewno jest w jakimś systemie. I jeszcze coś: Sascha chciał usiąść z tyłu obok Aaron. Ale Holm powiedział: „Nie wolno ci”.

Oboje wymieniają długie spojrzenie.

– Holm nie pozwala bratu się na niej zemścić – mruczy Demirci. – To dobra czy zła wiadomość?

– Zła. Znaczy to, że przewidział dla niej karę znacznie gorszą od tej, jaką mógłby wymierzyć jej Sascha.

– Powiedział pan przedtem coś do Holma.

– Parę rzeczy.

– Że ona zabije jego i Saschę. Dał mu pan na to słowo. Mówił pan poważnie?

– Tak.

W jego głosie nie ma ani cienia wątpliwości. Jakby odpowiadał na pytanie, czy w jego gabinecie stoi kanapa.

– Jak pan ocenia jej kondycję fizyczną?

– Kiedy ją objąłem, poczułem, że każdy jej mięsień jest twardy i dobrze wykształcony. Aaron ma siłę bojową.

– Ile to jest warte? Jest niewidoma.

– Była pani z nami na strzelnicy. Aaron stała na swoim torze. Na półce z bronią jest rowek, dokładnie w środku, to pozwoliło się jej orientować. Ale mimo to taki strzał to cud. Nie to jednak było niezwykle: ona **wiedziała**, że trafiła w dziewiątkę, a nie w dziesiątkę. Wyobraża pani sobie, jakie trzeba mieć wyczucie przestrzeni i własnego ciała, aby wiedzieć to na ślepo?

– Ani trochę. – Demirci myśli o wczorajszym popołudniu. *Metafora? Doświadczenie.* – Ona zobaczyła zbroję w moim gabinecie.

– Co pani przez to rozumie?

– Nie wiem, jak to zrobiła, ale wiedziała, że stoi tam coś, czego wcześniej nie знаła.

Pavlik zapala papierosa.

– Holm nie daje swoim wrogom żadnych szans. A mimo to Aaron zraniła go nożem. Nie powinniśmy się martwić o jej kondycję fizyczną.

– Czy ona chce żyć czy też złożyć siebie w ofierze?

– Na dworcu w Wannsee zostawiła nam wiadomość. To znaczy, że chce żyć.

– Myśli, że w Barcelonie stchórzyła. Czy mogła odzyskać honor dzięki ocaleniu dzieci?

– Nie. Samurajowie robili to tylko w jeden sposób.

Oboje wiedzą w jaki – wyłącznie poprzez śmierć.

Pavlik oddycha spokojnie, ale nie ma w nim spokoju.

– Kiedyś powiedziała: „Gdyby na koniec był jeszcze czas, nie chciałabym zadawać sobie pytania, dlaczego muszę umierać, lecz wiedzieć, dlaczego żyłam”.

Fårösund, grudzień 2013

Jak mam zacząć ten list?

„Droga Aaron” brzmi dziwnie – przecież od zawsze wszyscy zwracamy się do siebie tylko po nazwisku. Może dlatego, żeby lepiej poradzić sobie z sytuacją, gdy ktoś musi przewoźnikowi dać obola. W moim przypadku nigdy to nie działało. I w Twoim również nie. Wyłącznie do jednego z nas zwracaliśmy się po imieniu. Ale o nim już nie mówimy.

Pamiętam, gdy dano mi Twoje akta i powiedziano: „Niech pan się jej przyjrzy”. Nigdy nie miałem w rękach takiej opinii jak ta o Tobie. Ale muszę uczciwie przyznać, że na rozmowę w ministerstwie poprosiłem Cię ze względu na Twoje nazwisko, bardziej z ciekawości. Nie chciałem mieć kobiety w oddziale. Ci, którzy mają wielkie jaja, nie znoszą krótkich spódniczek. Wybacz staremu macho, wiesz, co mam na myśli.

Z całą pewnością uważałaś mnie wtedy za pyszałkowatego dupka – wystarczyło mi, kiedy spojrzałem, jak wchodzisz do pomieszczenia. Ale z mojej strony to było tylko głupie gadanie.

Oprócz tego, co Ci powiedziałem na koniec. Na pewno pamiętasz.

Byłaś u nas sześć lat. Nosiałaś jeszcze krótsze spódniczki, niż się tego obawiałem, i wszystkim zawróciłaś w głowach. Oczywiście oprócz Pavlika. Ale każdy skoczyłby za Tobą w ogień. Nie muszę Ci mówić dlaczego.

Kilka razy różni upierdliwcy wypowiadali się o Tobie niepochlebnie. Z pewnością tego nie wiesz, ale chłopcy przychodzili do mnie jeden za drugim i mówili: „Jeśli Aaron będzie musiała odejść, to ja też odejdę”. Prawda jest taka: gdyby mnie zmuszono do wylania Cię, oszedłbym przed

Tobą.

Dlatego że najlepiej strzelałaś z pistoletu? Owszem. Ze względu na twoją inteligencję? Też. Dlatego że potrafisz zabić zausznikiem okularów przeciwsłonecznych? (Tak, Pavlik mi o tym opowiedział). Również. Ale w gruncie rzeczy tylko dlatego, że bez Ciebie Wydział nie byłby taki sam. (I już nie jest).

Podczas zawodów strzeleckich tor numer sześć stoi pusty – tak chłopcy zdecydowali bez słów. W ten sposób nadal świętujesz razem z nimi.

Od kiedy Cię znam, zawiodłaś mnie tylko raz. Myślałaś, że nie zauważę Twojego romansu z Kvistem. Nie odezwałem się słowem. Ten związek Ci nie służył, ale to była Twoja sprawa. Nie jestem Twoim ojcem, chociaż nie miałbym nic przeciw temu.

Twój tato był chyba jedynym człowiekiem, który był z Ciebie bardziej dumny niż ja. Nasze drogi zawodowe dość często się krzyżowały. Widziałem, jak błyszczą mu oczy, kiedy mu o Tobie opowiadam. Bał o Ciebie, wiesz? Raz zasugerował, żebym może wysyłał Cię na łatwiejsze akcje. Nie mogłem jednak wyświadczyć mu tej grzeczności.

Twój ojciec był legendą. Ale gdybym miał do wyboru, czy wziąć na akcję jego w najlepszym okresie jego życia, czy Ciebie, bez wahania zdecydowałbym się na Ciebie.

Nie było mnie w Barcelonie. Czytałem w swoim życiu wiele raportów (wszystkie mnie nużyły), niektóre akceptowałem, innych nie. Nigdy nie otrzymałem takiego, który przedstawiałby prawdę w mniejszym stopniu niż ten. Możliwe, że wszystko przebiegło tak, jak zostało opisane. Z jednym wyjątkiem: że Ty stchórzyłaś. Ktoś, kto to napisał, zwyczajnie Cię nie znał. Ocenić sytuację może jedynie człowiek, który jest w środku akcji. Żaden raport nie ujmuje tego, dlaczego coś działo się tak, a nie inaczej.

Może zresztą jest coś, co zachowujesz dla siebie. Pewnie masz swoje powody. Jeśli kiedyś będziesz miała ochotę, pójdziemy na ryby i mi o tym opowiesz.

Za dwa lata odchodzę. Wyznaczono już mojego następcę –

Inan Demirci. Kobieta, dasz wiarę!? (No, w zasadzie to Ty nam nawarzyłaś tego piwa). Nadaje się, musi się tylko trochę wyluzować. Podarują mi zegarek, a ja przewiozę swoją łódź do Szwecji. Mój dom zawsze będzie stał dla Ciebie otworem.

Siedzę tu właśnie na werandzie – wyskoczyłem na kilka dni wraz ze starym przyjacielem. Leży teraz na leżaku i śpi. Znasz go, kieruje w BKA oddziałem antyterrorystycznym. Wczoraj wieczorem sprawił mi ogromną radość, opowiadając, że jesteś teraz u nich analityczką spraw. (Zanim przyjdą Ci do głowy niewłaściwe myśli: nie, nie maczałem w tym palców).

Zrobiłaś na nim wrażenie. Ale to przecież było oczywiste.

Jak mam Ci wyjaśnić, co poczułem, gdy o tym mówił? Kiedy mój syn oznajmił mi, że zostanę dziadkiem, czułem się fantastycznie. Przebudzenie po operacji serca (w ubiegłym roku – ale dobrze się czuję) było zupełnie niezwykle. Podobnie trzydziesta rocznica mojego ślubu – bo nie potrafię pojąć, że do dziś wolno mi kochać tę cudowną kobietę (od której mam Cię uściskać!). No, więc to jest ta kategoria.

Nie możemy zmienić kierunku wiatru, ale możemy inaczej postawić żagle. Ty to zrobiłaś. Jesteś, kim jesteś. Nie istnieje żadna beznadziejna sytuacja, z której nie wyszłabyś zwycięsko, z każdej zawsze wyciągniesz to, co najlepsze. Taką masz naturę.

Teraz już wiem, jak powinienem zacząć ten list – słowami: „Witaj z powrotem, Aaron”.

Twój stary Lissek

Od czterdziestu minut Aaron liczy sekundy i równocześnie rozmyśla. Są na autostradzie. Czuje to po spokojnym wibrowaniu podwozia, dźwiękach wytłumianych przez asfalt, braku sygnalizacji świetlnej i zmian kierunku jazdy. Zaraz po wyjściu z dworca w Wannsee wrzucili ją do nieogrzewanej ładowni. Holm polecił Boschowi, żeby skrępował jej kablem ręce na plecach. Odebrał mu uzi – nie zamierza ryzykować.

– Niech pan się nie da zwieść jej ślepotcie. Jeśli da jej pan najmniejszą szansę, od razu skreśli panu kark.

Holm zwraca się do niego per pan. Oczywiście, z nikim by się nie spoufalal.

Kabel mocno wrzyna się Aaron w skórę. Gdy ruszali, pstryknęła palcami, dzięki czemu wie, że jest w jakiejś ciężarówce albo furgonetce. Bosch siedzi naprzeciw niej na podłodze. Między nimi leży torba z pieniędzmi, Aaron trąca ją nogami. Bracia zajęli miejsca z przodu, w kabinie kierowcy. Nie wiadomo, czy jest tu jakieś okienko.

Już dawno się zorientowała, że Holm nie chce jej zostawić samej z Żetonowym Okiem. Wciąż ma w uszach jego słowa:

– Nie wolno ci.

Aaron po raz trzeci niepostrzeżenie zmienia pozycję. Z prawej strony wybadała już dwadzieścia centymetrów. Przesuwa się kawałeczek w lewo, szuka czegoś, czego mogłaby użyć, by przerwać kabel. Nic. Kolejne dziesięć centymetrów.

Palcami muska żłobkowaną metalową ścianę.

Bosch odkręca butelkę, pije, zakręca butelkę. Zapala szóstego papierosa. Aaron słyszy pstryknięcie zapalniczki, czuje dym.

– Da mi pan macha?

Bosch się nie rusza, pali pośpiesznie, ignoruje ją. Aaron przywołuje w myślach jego głos i stara się go przypisać do jakiejś postaci. Nie jest w tym szczególnie dobra – zdarza się, że czyjś głos odbiera jako atrakcyjny i męski, a później dowiaduje się, że ów ktoś jest tęgi, wychudzony albo garbaty. Młody głos może być głosem starego człowieka i odwrotnie. Doświadczenie życiowe, suma wszystkiego tego, co wywiera wpływ na brzmienie głosu, nie jest kwestią upływu lat.

Bosch ma przeciętny zasób słownictwa. Mamrocze, mówi niewyraźnie, rytm, w jakim wypowiada sylaby, jest monotony. Zdania kończy z intonacją wznoszącą – jakby czuł się traktowany niesprawiedliwie i miał nieustanne wrażenie, że musi się bronić. Przepęlnia go wzburzenie, które nie może znaleźć ujścia.

Wyraźnie daje się wyczuć lęk Boscha przed Holmem – Bosch bez reszty podporządkowuje się swemu zleceniodawcy. Ale

chyba nie ma nikogo, kto by się nie bał Holma, włącznie z Aaron. Bosch kwituje jego polecenia krótkim „tak” albo „dobrze”. Aaron wnioskuje z tego, że przez dłuższy czas podlegał systemowi nakazów i musiał okazywać posłuszeństwo. Nie używa dezodorantu, czuć cierpki odór jego potu. Przywykł do towarzystwa mężczyzn, u których nie budzi to obrzydzenia. Bundeswehra, przypuszcza Aaron, ale żadna wyższa ranga.

To jasne, do czego jest potrzebny Holmowi. Bosch wyjawiał to w bmw, gdy Żetonowe Oko zapytał: „Na czym on się zna?”. Możliwe, że bywał już w sytuacjach stresowych, ale wydarzenia tego dnia zdecydowanie go przerastają. Nie trzyma nerwów na wodzy, w przeciwnym razie na peronie nie odwróciłby się do kamery.

Aaron mówi sobie, że musi jakoś nawiązać kontakt z tym człowiekiem. On jeden stoi między nią a braćmi – a przynajmniej mógłby stać.

– Tylko jednego macha – powtarza. – Odwraca głowę, ale zachowuje się tak, jakby szukała jego oczu, chce wzbudzić jego współczucie. Bosch znów nie reaguje. – Palę właśnie takie.

Bosch się pochyla. Aaron czuje papierosa w ustach, chciwie się zaciąga. Chesterfield.

– Jak pan ma na imię? – pyta. – Ja jestem Jenny... właściwie Jennifer, ale jeszcze nigdy nikt się tak do mnie nie zwrócił.

– Wiem, jakie są pani zamiary.

Bosch rozsuwa zamek błyskawiczny, liczy pieniądze. Próbuje się czymś zająć.

– Jakie?

– Zagadać mnie.

Mówi z opuszczoną głową, z oczami skierowanymi na banknoty. Aaron wykorzystuje sytuację, aby przesunąć się o kilka centymetrów dalej. Dotyka czegoś i bada to ostrożnie. Hak do pasów mocujących.

– Chcę tylko, żebyśmy się trochę lepiej poznali – mówi i zaczyna pocierać kablem o hak. – Żeby pan mnie posłuchał, kiedy panu opowiem, kim jest Holm. Bo zdaje się, że pan tego nie wie.

– Nie obchodzi mnie, co on ma do pani.

Zamyka torbę.

– Choćby pan liczył tę forszę dziesięć razy, i tak nie zobaczy pan ani centa. Holm jeszcze nigdy się z nikim nie podzielił. Nawet z własnym bratem. I potrafi zabić człowieka na wiele sposobów.

– Powiedział, że będzie pani próbowała.

– Czy powiedział panu również, że spotkaliśmy się już dzisiaj rano? Niech pan go zapyta.

– Niech się pani uspokoi.

– W mieszkaniu kwiaciarki, o której wspomniał mojemu koledze. Pamięta pan? – Aaron w skupieniu pracuje nad swoimi pętami, ale nie porusza całymi rękami, tylko dłońmi. Bosch zapala kolejnego papierosa. Aaron słyszy, że próbuje wsunąć zapalniczkę do opakowania. Za pierwszym razem mu się to nie udaje, dopiero za drugim. – Holm powiedział: „Dzisiaj wieczorem będzie pani martwa, a mój brat i ja – bogatsi o pięć milionów”. O panu nie wspomniał słowem.

– Chyba uważa mnie pani za przygłupa.

– Uważam pana za kogoś, kto nie chce umrzeć. Kto powinien się zastanowić, czy w ogóle odgrywa jakąkolwiek rolę w planach Holma. Wie pan, co on zrobił z tą kwiaciarką? Ściągnął z niej skórę i wypatroszył ją jak zwierzę. A jej dziecko wyrzucił z czwartego piętra.

Bosch ponownie otwiera torbę.

Jadą wolniej. Zatrzymują się. Puls Aaron gwałtownie przyśpiesza. Jeśli Holm wyciągnie ją teraz skrzepowaną z samochodu, gdzieś w niewiadomym miejscu, będzie bezbronna.

Nie, przecież nie skręciliśmy. Wciąż jesteśmy na autostradzie.

Słychać szybko zbliżające się syreny, policja i straż pożarna mijają ich z hałasem, dźwięk trochę cichnie, aż w końcu milknie zupełnie. Wypadek, daleko przed nimi.

Aaron kontroluje oddech.

– Jak pan myśli, dlaczego jego brat spytał, na czym się pan zna? Jeśli mi pan pomoże, może zachowa pan życie.

Nieustannie pociera kablem o stalowy hak. Skóra jej pęka,

nadgarstki palą.

„*Nie istnieje żadna beznadziejna sytuacja, z której nie wyszłabyś zwycięsko*”.

Aaron słyszy, że Bosch zdejmuje kurtkę. Dym z papierosa dolatuje do niej teraz z dość bliska. Czuje też oddech męczyzny. Coś dotyka jej policzka. Porusza się po nim, spękane, spocone. Aaron wzdyga się. Bosch dotyka jej drugiego policzka, a ona orientuje się, że to jego przedramię.

Blizny. Krajobraz bólu.

– Zabiłem wielu ludzi – szepcze Bosch. – Podano mi wysokość zapłaty. Jest w porządku.

Ponownie siada naprzeciw niej i liczy pieniądze. Jego zapach wżera się jej w nozdrza.

Aaron zagląda do swojej wewnętrznej komnaty i szuka jakiegokolwiek osłony. Wibrowanie pojazdu. Dym papierosa. Szelest banknotów. Wspomnienie o liście Lisska. Jej zakrwawione nadgarstki. Ten hak. Jej strach.

To wszystko, co ma.

Ma jeszcze pytanie: *Czy Pavlik zrozumie moją wiadomość?*

Helmchen przynosi mu telefon komórkowy Aaron.

– Jest wyłączony. Czy przyprowadzić kogoś z techników, żeby odszyfrował PIN?

– Nie trzeba. Gdzie jest kierowca autokaru?

– Jeszcze na Keithstrasse, przesłuchuje go policja kryminalna.

– Chcę z nim porozmawiać.

– Już to załatwiłam.

Helmchen kładzie na biurku małą szkatułkę ozdobioną kokardą.

– Chyba nie chcesz mi się oświadczyć? – pyta Pavlik.

– To twój prezent urodzinowy. Nie było mnie wczoraj.

Pavlik bierze szkatułkę, obraca ją w palcach.

– Kiedy przed osiemnastu laty, w chwili przystępowania do służby, siedziałeś w moim sekretariacie i czekałeś na rozmowę z Lisskiem, miałam zmartwienie. Moja przyjaciółka była bardzo chora. Właściwie świetnie umiem ukrywać takie rzeczy, a i ty przecież wcale mnie nie znałeś. Mimo to uśmiechnąłeś się

do mnie i powiedziała: „Po każdym parszywym dniu następuje dziesięć dobrych”. Byłam ci za to bardzo wdzięczna.

Pavlik przypomina sobie tę sytuację.

– Wszyscy, którzy przystępowali do służby, siedzieli w moim sekretariacie – ciągnie Helmchen. – Byli skupieni wyłącznie na sobie, rozmyślali, co też ich czeka, jak bardzo zimna jest woda, do której zostaną wrzuceni, i czy będą wystarczająco dobrzy. Ale ty nie. Ty byłeś spokojny i miałeś czas zainteresować się moim zmartwieniem. Pomyślałam wtedy, że może będziesz jedynym człowiekiem w Wydziale, który będzie tu świętować swoją pięćdziesiątkę.

Pavlik manipuluje przy kokardzie, nie może jej rozsypać swoimi wielkimi palcami i wreszcie rozrywa wstążkę, jak czyni to większość mężczyzn.

W szkatułce znajduje się łuska naboju.

– Przed twoim pierwszym treningiem poprosiłam trenera, żeby dał mi łuskę po twojej pierwszej kuli. Wszystkiego najlepszego, Ulf. I dziękuję ci, że zawsze byłeś dla innych przyjacielem, bratem i ojcem.

Pavlik nie wie, co powiedzieć.

– Tak jak wtedy o tobie myślałam o kimś jeszcze tylko raz. Wiesz, o kogo chodzi. Łuska tamtego naboju leży w szufladzie mojego biurka. Nigdy nie dałam rady jej wyrzucić.

Helmchen patrzy na niego długo. Takiego wzroku nie widział u niej jeszcze nigdy.

– Jesteś wszystkim, co ma.

Pavlik tylko kiwa głową. Helmchen wychodzi, on tymczasem przygląda się łusce, obraca ją w palcach. Wygląda jak jedna z wielu tysięcy innych, a jednak jest cenniejsza niż wszystkie. Delikatnie wkłada ją z powrotem do szkatułki.

Aaron nadal ma białego iPhone’a. Lubił sobie kpić, że to „girliephone”. Próbuje wybrać ostatnie cztery cyfry jej dawnego numeru służbowego. Nie zgadza się. Kiedy pojawił się u niej Marlowe? Nie wie. Dzień śmierci jej ojca? Nie zgadza się. Pozostaje mu jedna próba, a potem telefon zostanie zablokowany.

Urodziny Sandry: 1905. Zaakceptowane.

Dwa foldery z nagraniami: „Przesłuchania” i „Osobiste”. Pavlik wodzi palcem po ekranie. Wydaje się sobie podły, mimo to wybiera „Osobiste”.

„19 czerwca. Co zdarzyło się w barze w Paryżu?”

„20 czerwca. Czy naprawdę byłam z Butzem w Antwerpii?”

„21 czerwca. Jakiego koloru są oczy Pavlika?”

„22 czerwca. Jak nazywał się hotel w Barcelonie?”

„23 czerwca. Czy jako dziecko miałam lekcje gry na pianinie?”

„24 czerwca. Jak brzmi śmiech Sandry?”

„25 czerwca. Gdzie uczyłam się rosyjskiego?”

„26 czerwca. Którą moją sukienkę Niko najbardziej lubił na mnie?”

Przeskakuje.

„2 grudnia. Jeszcze raz na temat Barcelony. Najważniejsze pytania: jak długo byłam w magazynie? Co zdarzyło się w tym czasie? W jakim stanie był Niko? Czy mnie dotykał? Albo ja jego? Czy padły jakieś słowa? Jakie? Dlaczego nie próbowałam wyeliminować Holma? Dlaczego uciekłam i zostawiłam Nika? Dlaczego nie zadzwoniłam do oddziału szybkiego reagowania, nie wezwałam karetki pogotowia?”

Pavlik wstaje i otwiera okno. Chłód kłuje go w twarz. Domy opierają się o niski pułap chmur. W gruncie rzeczy wiedział, co gnębi Aaron, już w momencie, gdy zapytała go, jak wygląda, miał jednak nadzieję, że się myli. Nie, okłamywał sam siebie.

Dlatego wydała się na łaskę i niełaskę Holma: bo on zna prawdę. A za poznanie prawdy Aaron jest gotowa oddać życie.

Naprzeciwno spada na ulicę cherlawa choinka. Dzwoni telefon. Pavlik się wzdryga.

– Chciałeś wiedzieć, co porabia Kvist. Opróżnia swoje biurko – słyszy głos Frickego.

– Czy w jego samochodzie jest lizak?

– Tak, Claus go zamontował. Mikrofon pod podglówkiem.

– Niech zostanie z nim dwóch ludzi.

– Tak tylko pytam: dlaczego? Mają napić się z nim piwa?

– Był z nią sam. Może wie więcej niż my.

– Przecież to zauważy, tak jak wczoraj.

– Wczoraj to było obojętne, dzisiaj nie. Niech Peschel i Nieser

pojadą dwoma samochodami. Mogą trzymać dystans, mamy GPS. Zadzwoni do BKA i poślij tam Kleffa i Roggego. Niech BKA da im dwóch ludzi z ich ośmioosobowego zespołu.

Pojazdy z „ośmioosobowego zespołu” Federalnego Biura Śledczego mają tablice rejestracyjne z ośmiu dużych niemieckich aglomeracji.

– Ale nie z Berlina – precyzuje Pavlik. – Z Monachium czy Zagłębia Ruhry, i koniecznie jakieś zardzewiałe gruchoty. Szybko zluzują Peschla i Niesera.

– Sekundkę. – Pavlik słyszy mamrotanie. Po chwili Fricke mówi: – Mamy turystki. Sprzedawca biletów na przejażdżki po mieście rozpoznał je przy zoo na podstawie opisu osób w radiu. Policja federalna weźmie odciski palców z telefonu komórkowego. Jeśli nie dotykały go po zrobieniu zdjęcia przez Holma, może będziemy mieli szczęście.

– Natychmiast porównajcie z AFIS.

Zamyka okno, siada przy biurku i puszcza nagranie z Boenischem.

„– Bardzo mi przykro, że pani oślepla. Naprawdę, bardzo mi przykro”.

„– Pracuje pan w pralni. Dobrze się panu układa z kolegami?”

Pojazd rozwożący pranie jako samochód do ucieczki? Nie, na dworcu w Wannsee jeszcze nie mogła tego wiedzieć.

„– Pobił mnie klawisz”.

Mister Uzi: klawisz z Tegla? Możliwe.

„– Czy odbiór pańskiego radia tranzystorowego jest dobry?”

Sklep z artykułami elektrycznymi?

„– Wstydzę się, że oglądałem ten film. Nie powinienem tego robić”.

Wideoteka?

„– Bardzo się cieszę, że pani wtedy przyszła. Bardzo. Uratowała mnie pani”.

Pavlik zamyka oczy. Próbuje sobie wyobrazić młodą kobietę stojącą w ciemności przed domem w Spandau. Młodą kobietę, która chciała zostać policjantką, aby gorliwie naśladować ojca. Młodą kobietę, której Pavlik jeszcze wtedy nie znał. Miała dwadzieścia lat, jej przyszłość była jedną wielką niespodzianką.

Szkoleniowcy z pewnością nie dali jej taryfy ulgowej ze względu na nazwisko – przeciwnie: najpewniej traktowali ją surowiej niż pozostałych. Czy miała przyjaciół wśród kolegów? Pewnie nie, tacy jak ona przyciągają innych i równocześnie ich onieśmielają. Trzeba umieć znosić bliskość takich ludzi.

Czy była zakochana w którymś z chłopaków, w jednym z tych wysokich, ciemnych gości, których tak lubi? O czym marzyła? Czy była beztraska? Swawolna? Szczęśliwa?

Kiedy Aaron odbywała praktykę w Szóstym Wydziale Zabójstw przy Keithstrasse, Pavlik już od dwóch lat należał do Wydziału. Dzieliło ich zaledwie pięćset metrów, choć równie dobrze mogliby przebywać na osobnych półkulach – to, czym się Pavlik zajmował, nie miało nic wspólnego z codziennością pracowników biura śledczego.

Co jakiś czas Pavlik chodził do „szóstki”, bo mieli tam najlepszą stołówkę. Jeszcze teraz niekiedy zadaje sobie pytanie, czy widział wówczas Aaron. Nie, natychmiast zwróciłby na nią uwagę. Ona wszędzie zwraca na siebie uwagę. Początkowo był to problem dla Lisska – szef nie był pewien, czy może ją gdzieś wysłać jako agentkę pod przykryciem, ponieważ niepodobna jej nie zauważyć. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że wygląd Aaron to zaleta. Takiej kobiety jak ona nikt nie weźmie za policjantkę.

Przed szesnastu laty Pavlik oczywiście słyszał o Boenischu – w gazetach mnóstwo o tym pisano. Była w nich mowa o „odważnej aspirantce”, która sama, bez niczyjej pomocy, ujęła seryjnego mordercę. Nie było jej zdjęcia. Pragnął wziąć ją wtedy w ramiona i pocieszyć. Zrobił to znacznie później.

„– Mój aniele. Dziękuję, że pani zadzwoniła do moich drzwi”.

Pavlik spogląda w stronę kanapy. Siedzi tam Aaron.

Znają się od dwóch lat, już od dawna są przyjaciółmi. Aaron przychodzi z Marlowe’em do nich do domu. Grają w scrabble i malefiz, w soboty grillują. Gdyby nie było jej w barze w Clichy, jego dzieci nie miałyby już ojca.

Ta kobieta działa jak maszyna. Dzień wcześniej zrobiła jednak

coś, co go przeraziło.

Pojechali na trening do Młyna, ale dostali telefon z LKA. Jakiś mężczyzna zabarykadował się z żoną i synkiem w domu, bo żona chciała od niego odejść. Groził, że zabije dziecko. W normalnej sytuacji byłaby to sprawa dla ludzi z Brandenburga. Młyn był zaledwie w odległości dwóch kilometrów, poproszono więc Wydział o pomoc.

Ruszyli w piątkę, wdarli się do domu i znaleźli tam kobietę i dziecko. Oboje byli skrupowani, ale bez śladów obrażeń. Mężczyzna ukrył się w piwnicy. Nikt nie zauważył, że Aaron już dawno jest na dole. Światło w piwnicy było popsute, Pavlik zszedł tam z dwoma kolegami całkiem po ciemku. Aaron siedziała na podłodze. Kiedy poświecił jej w oczy latarką, jej źrenice się nie rozszerzyły. Obok niej leżał nieprzytomny mężczyzna. Chociaż nie był uzbrojony, Aaron złamała mu trzy żebra, szczękę i przedramię.

Pavlik zdał sobie sprawę, że jakiegokolwiek gadanie będzie bez sensu. Nakazał oddziałowi trzymać język za zębami, posłał Aaron do domu i napisał w raporcie, że ów mężczyzna ją zaatakował. Lissek nie zadawał pytań.

Wieczorem Pavlik do niej zadzwonił, ale nie odebrała telefonu.

Teraz Aaron siedzi na jego kanapie i milczy od dziesięciu minut. On siada obok niej. Mijają kolejne minuty. Potem ona opowiada o Boenischu i Pavlik zdaje sobie sprawę, że jego przyjaciółka myśli o nim nieustannie. Gdy kończy opowieść o Boenischu, mówi o Rungem, o kelnerce z Delmenhorst i o dwóch innych jego ofiarach – które mogłaby uratować, gdyby nie postanowiła uratować siebie. Pavlik jej nie przerywa. Wreszcie Aaron wybuchą płaczem, a on bierze ją w ramiona i mówi:

– No, już dobrze.

– Już nigdy nie będzie dobrze – wyrywa się Aaron.

Pavlik nie może dłużej znieść tego wspomnienia. Ponownie puszcza przesłuchanie Boenischu.

„– Co szczególnie podoba się panu w *Mr. Brooksie*?”

Odpowiedź tonie w hałasie samolotu.

„– Nie usłyszałam, proszę powtórzyć.

– Główny bohater.

– Mr. Brooks?”

„– To nie jest główny bohater”.

„– Mr. Brooks jedzie z nim na cmentarz, żeby Smith go zastrzelił. I naciska spust! Naciska!”

Cmentarz? Nie.

„– Dlaczego Melanie Breuer?

– Przypominała mi kogoś.

– Jak się pan się czuł, kiedy pan do niej szedł?”

„– Zawsze czułem ucisk w głowie. Dlaczego tego nie zauważyła? Przecież była zawodowcem”.

Czy informacja może być ukryta w zapiskach psycholożki? Nie, Aaron nie miała czasu ich przestudiować.

„– Uciszyłem ją. To takie piękne, kiedy są ciche. Jak w szybowcu, gdzie słyhać tylko wiatr.

– Ta torebka nie była przeźroczysta. A przecież pan lubi widzieć strach w twarzach kobiet”.

„– Brzydziłem się samym sobą”.

Koniec nagrania. To wszystko. Pavlik patrzy w pustkę.

Aaron, co chcesz nam powiedzieć?

Nigdy nie zapomniła ostatniego zdania Lisska podczas ich pierwszego spotkania:

– Zaprowadzimy panią do najniebezpieczniejszego miejsca na świecie. Do pani rozumu.

Kiedy wreszcie kabel przestaje stawiać opór i się przerywa, Aaron ma już po dziesięciokroć przemyślany plan ataku.

Nie wiedząc, czy Bosch rozpiął kurtkę, postanawia nie celować w tors. Nie ma dostępu do splotu słonecznego ani do łuku żeber Boscha, podobnie jak do śledziony, wątroby, woreczka żółciowego czy nerek. Dźgnięcie trzema palcami w dół nadobojczykowy sparaliżowałoby jego układ oddechowy – oczywiście tylko pod warunkiem, że ma odsłonięty obojczyk.

To zbyt ryzykowne – Aaron decyduje się na zaatakowanie

szy. Musi jednak wziąć pod uwagę wagę i fizjonomię Boscha. Na dworcu zorientowała się mniej więcej co do jego wzrostu. Jeśli odejmie sześć centymetrów swoich obcasów, znajdzie się na wysokości jego oczu. Bosch dał radę wnieść biegiem po schodach torbę ważącą ponad siedemdziesiąt kilo, co znaczy, że przy wzroście metr osiemdziesiąt waży przynajmniej dziewięćdziesiąt kilogramów i jest wysportowany. Aaron musi uderzyć z maksymalną siłą.

Jeśli się pomyli, a Bosch nie ma mięśni szyi jak byk, jej cios go zabije.

Aaron nie ma pojęcia o jego refleksie. Z pewnością jest słabszy niż jej, mimo to nakazuje sobie zachowanie ostrożności. Słyszy słowa ojca: „Nigdy nie myśl o zwycięstwie, myśl o tym, żeby nie przegrać”.

Od dziesięciu minut znów jadą. Opuścili autostradę i poruszają się teraz drogą krajową.

Ostrożnie rozprostowując i rozciągając nadgarstki za plecami, aby pobudzić cyrkulację krwi, Aaron oddycha w taki sposób, by skoncentrować się na punkcie ciężkości ciała w podbrzuszu. Martwi się, bo między kabiną kierowcy a ładownią jest jakieś okienko. Ale podjęła już decyzję.

– Nogi mi zdrętwiały – mówi.

Zdejmuje czólenka, kuca i przyciska plecy do ściany. Bosch nie zwraca na nią uwagi. Aaron miała dość czasu, żeby zapamiętać jego pozycję, może więc dokładnie go zlokalizować. Bosch co jakiś czas odkręca butelkę z wodą i pije, potem za każdym razem zapala papierosa. Aaron postanawia, że zaatakuje go, gdy wypuści z płuc powietrze po pierwszym głębokim zaciągnięciu. Właśnie w tym momencie człowiek jest najbardziej rozluźniony i dlatego ta sytuacja jest również doskonała do strzału z broni.

Aaron przykładła koniuszek języka do podniebienia, aby przy ewentualnym kontrataku uniknąć nokautu.

Zakrzywia mały palec lewej ręki.

Bosch zapala papierosa. Chowa zapalniczkę z powrotem do paczki, wciąga dym do płuc, wypuszcza go. Aaron odpycha się i kolaniem wali go w krocze. Bosch jęczy z bólu, a ją uderza

w twarz coś gorącego. To żar papierosa, którego wytrąciła mu z ręki, zanim środkowa kostka jej małego palca znalazła meridian *yang* na jego tętnicy. Organizm Boscha reaguje tak, jakby gwałtownie skoczyło mu ciśnienie krwi. Serce wysyła sygnał alarmowy do układu współczulnego, którego aktywność natychmiast spada do zera, co powoduje drastyczny spadek ciśnienia krwi. Trafiła Boscha perfekcyjnie. Jego ciało wiotczeje, zanim zdążył mrugnąć okiem.

Aaron bada jego puls. Bosch jest nieprzytomny.

Jej triumf trwa zaledwie dwa szybkie oddechy – pojazd gwałtownie skręca w prawo i Aaron leci na ścianę. Pędzą po bardzo wyboistej drodze.

Okienko. Holm wszystko widział.

Aaron próbuje się dostać do drzwi, ale Holm znów mocno kręci kierownicą, wskutek czego rzuca nią o drugą ścianę. Aaron chce się czegoś przytrzymać, ale napotyka jedynie gładką stal.

Holm gwałtownie hamuje. Aaron słyszy, że z impetem otwierają się drzwi od strony kierowcy i pasażera. Nie czuje barku. Czeka, że Holm otworzy ładownię. Ale nie. Podczołguje się więc do Boscha, obmacuje jego ubranie, szuka paczki papierosów z zapalniczką. Na zewnątrz panuje cisza. Paczka leży pewnie gdzieś na podłodze. Aaron nakazuje sobie spokój i obmacuje każdy centymetr podłogi wokół Boscha.

Jest. Podnosi paczkę i sięga po zapalniczkę. Trzęsącymi się rękami otwiera torbę i robi wgłębienie w środku.

Jeśli uda mi się zniszczyć pieniądze, będą mnie potrzebowali, żeby wysunąć nowe żądanie.

Podpala zwitek banknotów, wrzuca go do wgłębienia, sięga po drugi, trzeci, czwarty. Czuje cieniutką smużkę dymu.

Nie wystarczy!

Z rozpaczą stwierdza, że nie da rady bez czegoś, co podsyci ogień. Chce jej się płakać z bezsilności.

Ktoś odryglowuje drzwi. Aaron staje w pozycji do ataku, oddycha długo i głęboko, aby rozluźnić mięśnie. Holm wskakuje do ładowni, pada i podczołguje się do Aaron, która wie, że za chwilę ją przewróci, podcinając jej nogi, więc się

uchyla. Podchodzi i trafia Holma kostką w głowę. Klęka, aby wyeliminować go podwójnym ciosem, ale nie udaje się jej go znokautować – Holm blokuje jej pięść i wpycha palec w zagłębienie na jej szyi.

Aaron ma wrażenie, jakby coś rozrywało jej ciało od środka. Z płuc dobywa się suchy świst. Przez minutę konwulsyjnie chwytą powietrze, aż z nosa zaczyna płynąć jej krew. Holm się jej przygląda. Kiedy Aaron czuje, że traci przytomność, on chwytą ją i mocno uderza w klatkę piersiową.

Jeden oddech. Drugi. Oba przeraźliwie płytkie. Aaron leży na plecach, musi walczyć o każdy mililitr powietrza.

Holm wywleka Boscha i wyrzuca go w śnieg jak worek.

Trzeci oddech. Czwarty. Z każdym kolejnym Aaron coraz bardziej dochodzi do siebie.

Holm wraca i kuca obok niej. Jego głos ocieka satysfakcją:

– Byłbym rozczarowany, gdyby nie podjęła pani tej próby.

Przytyka jej coś do ucha. Aaron słyszy zgrzyt, niezwykle cichy.

– Co... co się stało...?

Bosch odzyskuje przytomność.

– Wie pani, dlaczego pani go słyszy? – pyta Holm. – Bo wsadziłem pluskwę do jego kurtki. Powiedziała pani, że ściągnąłem skórę z tej kobiety i ją wypatroszyłem. Bosch mógł uwierzyć w coś takiego, ale pani wie lepiej, że nie jestem okrutny. Działam z umiarem i pani to wie.

Aaron przysuwa się do ściany. Czuje rozdzierający ból.

– To, że nigdy się z nikim nie dzieliłem, nawet z moim bratem, to kłamstwo, którego rozmiarów nawet pani nie pojmuje. Ofiarowałem bratu więcej, niż potrafi to sobie pani wyobrazić. Ale rozumiem panią, nic pani o mnie nie wie. Za to ja wiem o pani wszystko.

Aaron chce się podnieść, bezskutecznie.

– Myślała pani, jaką ma pani wartość rynkową jako zakładniczka? Naprawdę pani uważa, że pani bohaterstwo na Strasse des 17. Juni to czek *in blanco* za pani życie?

Plastik trze o plastik – zamek błyskawiczny. Aaron czuje benzynę. Przerażona chce uciec, posuwa się na kolanach metr dalej, ale Holm kopie ją w podbrzusze. Aaron czuje mdłości

i znów nie może złapać powietrza.

Żetonowe Oko krzyczy:

– Co to ma znaczyć!?! Zwariowałaś!?

Wskakuje do ładowni, po chwili jęczy żałośnie i pada głucho na Aaron. Jego ubranie pachnie tanim więziennym proszkiem do prania. Aaron chce odsunąć jego twarz od swojej, ale nie ma siły. Żetonowe Oko nie porusza się – stracił przytomność albo nie żyje.

Holm ściąga z niej brata. Wlecze go, jak wcześniej Boscha, i wyrzuca na śnieg.

Gdy wraca, milczy – i tym milczeniem szydzi z Aaron. Opróżnia kanister z benzyną obok niej, a ona wdycha żrące opary i nie może jasno myśleć. Marzy o tym, żeby się poddać i umrzeć.

– Oddam pani ten czek *in blanco*.

Syczy zapalka potarta o draskę. Bicie serca Aaron zmienia się w kanonadę.

Holm podpala torbę z pieniędzmi, a Aaron odtacza się na bok. Pali ją kark. Zrywa z siebie płaszcz i dławi płomienie we włosach.

Holm wysiada. Zamyka drzwi i zostawia ją samą w tym piekle.

Aaron czołga się po podłodze przez strzelający ogień, szuka butelki z wodą, z której pił Bosch. Zamyka piekące oczy, płuca wypełniają się sadzą i popiołem. Dusi się i wykasłuje gorzki śluz. Zanim znajduje butelkę, mijają wieki. Polewa ubranie wodą, skrapia usta i nos, lecz na próżno. Czołga się w stronę drzwi, ma nadzieję, że jest tam jakaś szczelina, przez którą dopływa powietrze, ale wdycha wyłącznie gryzący, cuchnący dym. Widzi, że opuszcza ten sponiewierany, bezużyteczny teraz tobołek, który kiedyś był jej ciałem. Karabin maszynowy przestał strzelać ogniem, bolec uderza już tylko w pustą komorę nabożową, coraz wolniej, coraz ciszej.

Klik... klik... klik... klik... klik... klik... klik... klik...

Tysiące rozżarzonych iskier tańczą przed oczami Aaron i tryskają w nocne niebo nad spalonym stosem. Ben trzepocze się obok niej, podobnie zdenerwowany jak ona; czuć zapach ziemi, zielska, spalenizny. Jest ich pięćoro i jeszcze nic nie

wiedzą o otworze w białej tafli. Chłop wsypuje do żaru duży koszyk ziemniaków. Aaron nie może się doczekać, kiedy sięgnie po pierwszego, ma już na języku ten cudownie miękki, dymny, orzechowy smak.

Roześmiany ojciec chwyta ją za pasek spodni, robi wymach, wywija nią w przód i w tył. Aaron piszczy, jakby ojciec chciał wyrzucić ją w niebo. Ziemniaki są grube, okrągłe, czernieją i pękają. Aaron pragnęłaby mieć tak olbrzymie ręce, żeby mogła je wszystkie zgnieść i utworzyć jeden monstrialny ziemniak, który byłby tylko jej. Wreszcie można je wyjąć z żaru. Aj, gorące! Ben i Aaron przerzucają je z ręki do ręki i liczą:

– Entliczek pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc!

Zdrapują zwęgloną łupinkę i malują sobie twarze czarnymi palcami – wyglądają teraz jak Indianie.

Aaron wgryza się w najlepszy ziemniak w swoim życiu.

Jest niewymownie wdzięczna, że może umrzeć w ten sposób...

Budzi się z twarzą w śniegu. Ból szaleje w niej jak sztorm. Aaron chce się wczepić palcami w zeskorupiałą, zlodowaciałą powierzchnię, ale ręce nie chcą jej słuchać. Nie udaje się jej nawet wgryźć w śnieg, żeby pozbyć się smaku benzyny i spalenizny. Musi czekać, aż ciało na powrót ją przyjmie.

– Coś ty zrobił? – jęczy Żetonowe Oko.

Holm odpowiada:

– Dadzą nam kolejne pięć milionów.

Kierowca autokaru oplata tułów ramionami.

– Mógłby pan trochę zwiększyć ogrzewanie?

Pavlik podchodzi do okna i udaje, że obraca pokrętkiem termostatu. Wie, że dreszcze Heinza Schwenkowa nie są kwestią temperatury w pomieszczeniu.

– Gdzie ja jestem? – pyta Schwenkow po raz trzeci.

Pavlik ponownie siada.

– Jak już powiedziałem: na policji.

– Zawieziono mnie zamkniętą furgonetką do podziemnego garażu. Jakbym był przestępcą.

– To tylko dla pańskiego bezpieczeństwa. A więc Holm nigdy nie zwrócił się do swojego współnika po nazwisku? Jest pan całkowicie pewien?

Mężczyzna zdaje sobie sprawę, że dalsze skargi na sytuację są bez sensu.

– Tak. Właściwie w ogóle z nim nie rozmawiał – przeważnie wskazywał tylko jakieś miejsce podbródkiem i wtedy tamten skakał. Holm zwracał się do niego per pan. Dziwne.

Pavlika to akurat nie dziwi. Jednak maniery Holma to wyłącznie wyraz szyderstwa. Gdyby siedział na krześle elektrycznym, zwracałby się per pan do człowieka, który włącza prąd.

– Cytował coś z jakiejś książki. Nie wiem z czyjej. Ale to zdanie nie chce mi wyjść z głowy, jakbym się go nauczył na pamięć: „To, czego pragniemy i co pochwalamy, to nie odwaga, by godnie umrzeć, lecz odwaga, by żyć jak mężczyzna”.

– Panie Schwenkow, niech pan pomyśli: nie było jakiejś ukrytej wskazówki, porywacze nie zdradzili w jakiś sposób, dokąd zmierzają?

Schwenkow bezradnie wzrusza ramionami i ogrzewa dłonie na kubku z kawą.

– Chętnie bym panu pomógł. Już choćby ze względu na Lutza. Wargi mu drżą.

– Ajenta stacji benzynowej? – upewnia się Pavlik.

Schwenkow potakuje skinieniem.

– Był rozwiedziony, ale miał dwoje dzieci, z którymi był bardzo zżyty. Starsza córka już studiuje. Lutz był niezwykle dumny, bo sam przecież skończył tylko gimnazjum. Pokazywał mi kiedyś jej zdjęcie. Ładna.

Kierowca ostrożnie dobiera słowa. Pavlik go nie ponagla. Niech spokojnie przechodzi od jednej myśli do drugiej, niech sobie coś tam mówi pod nosem. On będzie cierpliwie czekał, aż w końcu Schwenkowowi przyjdzie do głowy coś, na czym będzie mógł się oprzeć.

– Wszystko przez te jego narzędzia. – Oczy Schwenkowa zachodzą łzami. – Już dawno chciałem oddać mu tę skrzynkę, ale zawsze zapomniałem. Mogłem ją zabrać, kiedy Holm wysiadł ze mną. Stała pod moim siedzeniem. Nie pomyślałem o tym. Myślałem wyłącznie o sobie.

Palce Schwenkowa są żółte. Pavlik podsuwa mu paczkę papierosów i kierowca korzysta z wdzięcznością.

– Właściwie miałem mieć dzisiaj wolne, ale kolega poszedł na zwolnienie lekarskie, więc szefowa zadzwoniła do mnie o siódmej rano i wyrwała mnie z łóżka. Ja sobie jakoś z tym poradzę – ale dzieci, dzieci nigdy o tym nie zapomną. On po prostu zastrzelił ich nauczyciela, bez powodu. To nie jest człowiek, to diabeł. Ten drugi też miał przed nim pietra, mówię panu, był przy nim potulny jak baranek. I taki ogłupiały, że dwa razy liczył telefony komórkowe.

– Naprawdę? – wtrąca Pavlik.

– Widziałem w lusterku.

– Nie zauważył pan może, czy był rozkojarzony?

– Oczywiście. Holm pytał go, gdzie jest następna stacja benzynowa. Tamten stał tuż obok niego, ale kilka minut później zapytał Holma, gdzie będziemy tankować.

– Dziękuję, panie Schwenkow. Niech pan teraz jedzie do żony i opowie jej wszystko ze szczegółami. I niech pan weźmie urlop.

– Jeszcze długo nie wrócę do domu. Ci z policji kryminalnej

mówią, że znów będę musiał pojechać na Keithstrasse. Chcą mi pokazać zdjęcia z kartoteki przestępców. Mam sprawdzić, czy ten typek tam jest.

Pavlik macha ręką.

– Każę ich powiadomić, że to nie będzie konieczne.

Gdy jest już na korytarzu, wpada na niego Ines Grauder.

– Prześlij mailem zdjęcie tego faceta, który towarzyszy Holmowi, do wszystkich berlińskich klinik, które zajmują się leczeniem zaburzeń pamięci – mówi Pavlik. – Albo nie: niech policja federalna pośle tam ludzi.

– Jak to?

– Coś z jego głową jest nie w porządku. Może się leczył?

– A jeśli nie jest z Berlina?

Pavlik lustruje ją uważnie.

– Jak długo jesteś już u nas?

– Dwa miesiące.

– I zadajesz takie pytania, jakbyś była właśnie tyle. – Oddala się i rzuca przez ramię: – Jak już to załatwisz, przyjdź na siłownię.

Przy windzie czatuje na niego Helmchen. Wciska mu do ręki miseczkę z zupą.

– Zjesz to teraz.

– Nie jestem głodny.

– To gorący bulion z lanymi kluseczkami.

– Helmchen...

– Bo zadzwonię do Sandry.

Pavlik wacha zupę. Skąd, na miłość boską, Helmchen wytrzasnęła gorący bulion?

– Wszyscy pozostali są na górze – mówi Helmchen – oprócz niezbędnej załogi w centrali dowodzenia. Tak, jak chciałeś.

– Czy Demirci jeszcze jest na konferencji?

– Od półtorej godziny. – W głosie Helmchen słychać zatroskanie.

– Podśluchiwałaś kiedyś?

– Za kogo ty mnie uważasz? – odpowiada zgorziona.

Pavlik bierze łyżkę zupy i dmucha: wszystko to jest częścią gierki Helmchen.

– Jakie są na nią naciski? – pyta kobieta.

– Jest niedobrze. Sekretarz stanu, człowiek Svobody, żąda jej dymisji.

– Kto jest po jej stronie?

– Nadrenia Północna-Westfalia. To oni zaproponowali ją na to stanowisko. Przecież przyszła do nas z Dortmundu.

– Nikt poza tym?

– Głównie sprzecząją się Berlin i Nadrenia Północna-Westfalia, oberwało jej się też od policji federalnej. Ale pozwala im biadolić. Przeciągnęła na swoją stronę generalnego prokuratora federalnego. Mądrze zrobiła, tu nikt mu się nie przeciwstawi. Ona jest dość uparta – jak Lissek. To mi się w niej podoba.

– I nie gada o wynikach śledztwa.

Pavlik je zupę. Smaczna.

– To prawda... Zaraz, skąd o tym wiesz?

– O rany – wzdycha Helmchen.

– To zostanie między nami – strofuje ją Pavlik. – Jak Demirci pozna cię lepiej, będzie się mogła dowiadywać o naszych pogawędkach.

– Svoboda. Jego o to podejrzewam.

Pavlik upewnia się, że nie ma nikogo w pobliżu.

– Pamiętasz te dwie Ukrainki we Frankfurcie nad Odrą? – mamrocze, wyławiając kluseczki z zupy.

– Masz na myśli Pi? – pyta Helmchen.

– Tak. Chcę wiedzieć, kto zajmował się tą operacją. Interesują mnie nie tylko chłopaki z oddziału, ale cała logistyka, wszystkie okoliczności.

Oczywiście odbyło się wówczas śledztwo. Snajper wiedział o mieszkaniu operacyjnym i o hotelu Jowisz. Jeśli w Wydziale dochodzi do tego rodzaju sytuacji, postępuje się dokładnie tak u Masajów, gdy lew zabije pasterza bydła: poluje się na niego aż do skutku. Tak było i wtedy: całe noce w pokoju przesłuchań, obserwacja, podsłuchiwanie rozmów telefonicznych, rewizje w domach. Przesiąkli nieufnością jak

najgorszym smrodem, Pavlik niejednokrotnie musiał interweniować, bo dochodziło do bójek. Było źle. Po wielu tygodniach Wydział Spraw Wewnętrznych zamknął sprawę, uznając ją za nierozwiązaną. To było jeszcze gorsze. Długo nikt nie słyszał śmiechu w Wydziale. W pewnym momencie codzienność zadziałała jak odświeżacz powietrza, ale Pavlik nadal ma w nosie tamten zapach.

– Ta sprawa leży w szafie pancерnej w Wydziale Spraw Wewnętrznych – mówi Helmchen. – Nawet Demirci nie ma do niej dostępu.

– Kluseczki są bardzo smaczne – mruczy Pavlik i zjada ostatnią. – Tyle że trochę uciekają spod łyżki.

– Daj mi dwie godziny.

Pavlik całuje ją w czoło.

– Tak, podlizuj się dalej.

– Podlizywać się? W życiu! – Pavlik wypija resztę zupy i oddaje miskę Helmchen. – Jak już oboje przejdziemy na emeryturę, to razem zamieszkamy.

– A co zrobimy z Sandrą i moim mężem?

– Upozorujemy wypadek. – Pavlik wsiada do windy. Ponownie myśli o Boenischu. O zaszyfrowanej wiadomości Aaron. Stawia stopę w drzwiach. – Helmchen?

Kobieta, która odeszła już kilka metrów, odwraca się.

– Mieszkałaś kiedyś w Spandau?

– Tak. I co z tego?

– W pobliżu Bübingweg?

– Dlaczego pytasz?

Drzwi się zamykają, ale natrafiają na stopę Pavlika i rozsuwają się ponownie.

– Tam mieszkał Boenisch. Kojarzysz jego dom?

– Nie, to w całkiem innym miejscu. Kto by tam chodził, to przecież w samym środku korytarza wlotowego. Rzut beretem stamtąd jest lotnisko.

Drzwi się zamykają i otwierają się znowu.

– Jakby się siedziało na pasie do lądowania – dodaje Helmchen.

W tej samej chwili Pavlik znów słyszy samolot, którego huk

zagłusza odpowiedź Boenischa w trakcie przesłuchania. Na koniec jednak dobiega go jego szept: „Jak w szybowcu”.

Co powiedziała Aaron? „Holm może uznać kogoś za osobę pożyteczną”.

Pavlik jakby zamarł.

– Ulf? – pyta Helmchen.

– Bardzo prawdopodobne, że ten trzeci facet to pilot. Wyślij mailem jego zdjęcie do wszystkich lotnisk w obrębie dwustu kilometrów. I do Federalnego Urzędu Żeglugi Powietrznej.

Mieszcząca się na czwartym piętrze siłownia to swego rodzaju pomieszczenie socjalne. Wymienia się tu najnowsze wiadomości, toczy spory, poci, śmieje, przeklina i milczy.

Trening jest dla pracowników Wydziału jak jedzenie i picie. Ich ciała to posągi, rzeźbione dzień po dniu. Nikt jednak nie przesadza z pakowaniem – zbędna muskulatura bardzo by spowalniała, przeszkadzałaby podczas ataku i walk, a w wielu akcjach pod przykryciem po prostu zanadto rzucalaby się w oczy.

– Musisz strenować przynajmniej dziesięć kilo.

Pavlik nie pamięta już, jak często wygłaszał to zdanie do kolejnego nowego funkcjonariusza.

Gdyby ktoś zobaczył go na ulicy, wzięłby go za przedstawiciela handlowego, taksówkarza, restauratora, artystę, lekarza... Pavlik ma dar pozwalający mu sprawiać wrażenie człowieka, za którego akurat chce, żeby go brano.

Wkraczając do pokoju i czując napięcie dwudziestu siedmiu milczących mężczyzn i jednej kobiety, chce, żeby widzieli w nim przywódcę, faceta, którego spokój napawa otuchą. Nie mają prawa się dowiedzieć o jego wątpliwościach. Nieustannie coś go trapi, jednak oni nie mogą tego poczuć.

Jeszcze przed kilkoma minutami trenowali i rozmawiali. Pomagało im to wypierać ze świadomości myśli o zmarłych kolegach. Koncentrowali się na swoich zadaniach i nie pozwalali sobie na słabość.

Pavlik świadomie zatrzymał tę machinę. Wie aż za dobrze, że adrenalina, która utrzymuje tych ludzi na chodzie, w końcu się wyczerpie. Rozsyпка nie przychodzi stopniowo, lecz

zniecka – machina przestanie pracować w jednej chwili, a oni runą w otchłań smutku. Pavlik jest mechanikiem, który konserwuje tę machinę, oliwi ją, pielęgnuje i dba, żeby się nie przegrzała. Dlatego też wszyscy muszą się teraz zatrzymać, choćby na dziesięć minut, i powspominać zmarłych.

Pavlik wyjmując z lodówki piwo bezalkoholowe i siada na ławce treningowej.

Nikt nic nie mówi. Na twarzach wszystkich maluje się bezdenna pustka, a za nią kryją się drzwi, których żaden z zebranych nie ma odwagi otworzyć.

Pavlik wypija łyk piwa i wkłada palec do szyjki butelki, wytwarzając głośny kłask.

– Z Clausena był niezły aparat – mamrocze. – Kiedyś byłem u niego w domu, miał w pokoju fototapetę. Przedstawiała Arktykę, jakieś igloo i niedźwiedzia polarnego. Wydało mi się to strasznie gówniane. Powiedziałem: „Przecież kiepsko znosisz zimno, nawet w sierpniu chodzisz w szaliku”. A on odparł: „No właśnie. Siedzę tu sobie w miłym ciepelku i patrzę, jak niedźwiedź polarny odmraża sobie tyłek”.

Ktoś chichocze, jeszcze ukradkiem, ktoś inny szczyrzy zęby.

– Prawda – dodaje Fricke. – Mnie kiedyś zdradził: „Mam nadzieję, że umrę w cieple”.

– I tak się stało – mówi w zamyśleniu Pavlik. – Założę się, że samochód był tak przegrzany, że Blaschke zdjął koszulę. Niczego nie nienawidził bardziej niż upału. Dlatego lubiłem przydzielać go do akcji razem z Clausenem: bo zawsze mieli o czym podyskutować.

Butelki piwa krążą. Kemper bawi się ciężarkiem.

– Była żona Clausena miała taką psinę jak jakaś aktorka...

– Chihuahua – mruczy Giulia Delmonte – wysokonogi szczur. Zafundowała mu taką wielką kryształową broczę.

Kemper kiwa głową.

– No. Była większa niż ten cały kundel. Clausen nie chciał z nim wychodzić, bo się wstydził.

– A kto by się nie wstydził? – uśmiecha się szyderczo Nowak.

– Ale dwa lata temu jego była żona trafiła do szpitala – ciągnie Kemper. – Jakieś babskie sprawy...

– Jak ona wyglądała! Jak facet! – wyrывa się Delmonte.

Wszyscy ryczą ze śmiechu.

– W każdym razie Clausen musiał rano i wieczorem wychodzić z tym kundlem – Kemper się opanowuje. – Mieszkali na Kurfürsten, wiecie, tam, gdzie chodzą dziwki. Więc kiedy Clausen tak stał i czekał, żeby ten mały zasraniec wreszcie się odlał, zatrzymał się obok niego patrol. Policjanci wysiedli i zażądali od niego dokumentów. Myśleli, że jest alfonsiem. Następnego dnia rano poszedł złożyć pozew o rozwód.

Wszyscy rżą.

– Pamiętacie, jak Blaschke dochrapał się swojego porsche z pięćdziesiątego szóstego? – pyta Pavlik.

– Mnie nigdy nim nie przewiózł – szczerzy zęby Fricke. – Może kiedyś leżał w nim trup i odór nie chciał się ulotnić?

– To była naprawdę rewelacyjna fura – ciągnie Pavlik. – Garażowany, książka napraw i przeglądów, ani jednego zadrapania. Wcześniej należał do prawie stułetniego staruszka, który uwielbiał samochody, ale miał wzrok jak kret. Pewnej niedzieli, na drodze krajowej pod Kyritz nad rzeką Knitter, wymusił na Blaschkem pierwszeństwo i go staranował. Blaschke chciał wezwać gliny, ale dziadek ubłagał go, żeby załatwić to po cichu. Powiedział, że wnuk chce go ubezwłasnowolnić, a po tym wypadku miałby prawo to zrobić.

Majowski otwiera butelkę piwa zapalniczką.

– Niech zgadnę: zaadoptował Blaschkego.

– Pożyczył mu to porsche pod warunkiem, że Blaschke dwa razy w tygodniu będzie go woził na spacer. A ten dzielnie to znosił. Nawet mu to sprawiało przyjemność. Dobrze się obaj rozumieli. Przed rokiem stary umarł. Był lekarzem, ortopedą. Wszystkie swoje pieniądze zapisał jakiejś fundacji, ale porsche dostał Blaschke. Każdy zbywający mu grosz ładował w naprawy i dlatego zawsze był bez forsy. Mimo to uważał, że było warto. Więcej czasu spędzał z tym gruchotem niż z własną żoną.

Pavlik widzi, że Grauder, która właśnie weszła, unika jego wzroku. Jest mu głupio, że wcześniej ją zrugał. Ale jego ludzie powinni czuć przed nim respekt.

– Grauder, ostatnio założyłaś się z Clausenem – odzywa się do niej. – O co?

– O ciebie – odpowiada Grauder po chwili wahania.

– Oho! – wyskakuje Krupp. – Robi się ciekawie!

– Dawaj – zachęca ją Pavlik.

– Powiedział, że beczysz na smutnych filmach.

– I kto wygrał?

– Kiedyś byłeś z nim w kinie. Pokazywał mi wideo z telefonu komórkowego. Płakałeś i cały się usmarkałeś. Kosztowało mnie to dziesięć euro.

Wszyscy rechoczą.

– Powiedział ci też, jaki to był film?

– Nie...

– *Bambi!* – woła Fricke.

– Blisko – wzdycha Pavlik. – *Rybka zwana Wandą*. Kiedy ten typek jest zmuszony zjeść swoje złote rybki, kompletnie się rozklejam. Bo wtedy zawsze przychodzi mi na myśl moja złota rybka. Ojciec spuścił ją w kiblu, jak miałem trzy latka.

Wszyscy się śmieją, Grauder również. Drzwi się otwierają i do pomieszczenia wchodzi Peschel i Nieser.

– Będzie mi brakowało pijaństw z Butzem – rzuca Dobeck. – Ten drań nigdy się nie spił, tłumaczył mi, że to jakiś błąd genetyczny i że ma tak jedna na dziesięć tysięcy osób. Sam kiedyś widziałem, jak wyłopał litrową butelkę grappy. Jakby to była woda! Ale jedno było bardzo praktyczne: zawsze odwoził mnie do domu, oszczędziłem mnóstwo forsy, którą musiałbym wydać na taksówkę.

– Tak, ja też – przyznaje Peschel.

Nieser drapie się po głowie.

– A co dopiero mówić o mnie...

– Kiedyś pojechałem z nim na Łotwę – wspomina Bükler. – Ostatniego wieczoru poszliśmy do klubu, chcieliśmy się wyszaleć. Do naszego stolika dosiadły się dwie panny, ale jakie! Ostro imprezowaliśmy, ja byłem strasznie nawalony. Jedna z tych lasek powiedziała, że moglibyśmy odwiedzić ich kumpelkę. Dobra nasza, tam, gdzie siedział Butz, aż podniósł się blat stołu. Wyszliśmy na zewnątrz, a tam podchodzi do nas

czterech facetów. Jeden natychmiast daje mi po mordzie, przewracam się. Kiedy odzyskuję przytomność, tych czterech dupków leży na ulicy, a Butz poprawia marynarkę. Spogląda na mnie i mówi tylko: „Szlag by to trafił, laski nam zwiały”.

Krupp mruga do Delmonte.

– Pewnie do ciebie też się dobierał?

– Nie. I mam mu to bardzo za złe.

– Na jego pogrzebie na pewno będzie wesoło – żartuje Mertsch. – Pojawią się wszystkie kobiety, którym Butz nałgał, że są jedyne.

– No, będzie ich ze dwadzieścia albo trzydzieści – mówi Nowak.

– Zaokrąglone w dół – śmieje się Fricke.

– Wątpię – rzuca Pavlik.

– Bo żadna z nich nie zna jego adresu?

– Nie. Bo był gejem.

Wszyscy znowu się śmieją. Gdy jednak widzą nieruchomą twarz Pavlika, śmiech zamiera.

Fritz pierwszy dochodzi do siebie.

– Żartujesz, prawda?

– A jak kiedyś będzie się wspominać ciebie? – odparowuje Pavlik. – Jako największego żartownisia w Wydziale czy jako człowieka, którym naprawdę jesteś?

Przez minutę wszyscy patrzą przed siebie. Butz – dryblas o czarnych kręconych włosach, ramionach zapraszających, żeby się w nie wtulić, i dołeczkach, które sprawiały wrażenie, jakby nie miał żadnych trosk – stoi pośród nich.

Pavlik popada w zadumę.

Właściwie żadne z nas go nie znało.

– I co to zmienia? – pyta. – Że nie wszyscy z obecnych tutaj lubili mieć Butza u swojego boku, bo można się było czuć przy nim bezpiecznie? Że nie uratował tyłków wam trzem? – Patrzy przy tym na Dobcka, Bükera i Woltera. – Że nie można było zadzwonić do niego o trzeciej w nocy i wyciągnąć go z łóżka, jeśli ktoś czuł się podłe? – Fricke opuszcza wzrok. – Że nie szedł do Lisska, gdy ktoś został potraktowany niesprawiedliwie i chciał wszystko rzucić? – Majowski się czerwieni. – Że nie był

naszym kumplem?

– Cholera jasna – szepcze Fricke.

– Do kwadratu – przyznaje mu rację Krupp.

– Zastanówcie się, ile zatajanie tego musiało go kosztować przez te wszystkie lata. I co to mówi o nas.

Zapada pełne zakłopotania milczenie.

– Codziennie przechodzimy na dole obok marmurowej tablicy, której w ogóle nie dostrzegamy – ciągnie Pavlik. – A może od czasu do czasu powinniśmy przeczytać umieszczone na niej nazwiska? Jest tam niewiele osób, które przysporzyły nam tak dużej chwały jak Butz.

Niektórzy przytakują, inni biorą głęboki oddech, chwytają za piwo.

– Czy ktoś chce wznieść jakiś kiczowaty toast?

Krupp podnosi butelkę.

– Za Butza, najlepszego drania.

– Za Butza, Blaschkego, Clausena – odpowiadają wszyscy i piją.

Pavlik ociera usta.

– Co do sprawy: Demirci zgadza się ze mną, że obserwacja Aaron i Evy Askamp była konieczna.

Sufity są grube, mimo to słychać telefon dzwoniący dwa piętra wyżej.

– Jeśli ktokolwiek z was spróbuje twierdzić co innego, będę miał na karku postępowanie dyscyplinarne, a Demirci pójdzie na bezrobocie – ciągnie dalej Pavlik. – Rozumiemy się?

Wszyscy kiwają głowami.

– Macie pytania. Dawajcie.

– Jak zginęli? – pyta Wolter.

– Butz był z tyłu przy murze. Holm skrzył mu kark. Pewnie go zaskoczył, bo Butz nawet nie miał szansy się bronić. Blaschke i Clausen zostali zastrzeleni. Holm celował w przednią szybę, każdy dostał dokładnie w nasadę nosa.

– Może to szczęście – mówi Dobeck.

– Nie.

– Skąd ta pewność?

– Wierz mi: Holm natychmiast mógłby zacząć pracę u nas.

To robi wrażenie.

– Zranił Aaron w walce wręcz – dodaje Pavlik.

Tym, którzy ją znają, to wystarcza.

– I co? – pyta Bükler w imieniu wszystkich. – Ona jest niewidoma. Wiem, że miała ogromne umiejętności, ale teraz już ich nie ma.

Stojący obok niego Nowak unosi palec w znaczącym geście.

– Nawet gdyby teraz potrafiła tylko połowę tego co przedtem, wystarczyłoby tego dla ciebie i dla mnie.

Dobeck potakuje skinieniem głowy.

– Nie byliście wczoraj na strzelnicy, bo mieliście nocną wartę przed domem Askamp.

– Drasnęła dziesiątkę – dopowiada Fricke.

Na Büklerze i Majowskim robi to duże wrażenie.

– To, w jaki sposób, wykołegowała Peschla i mnie w Jowiszu – mówi Nieser – to było naprawdę coś.

– Was mogłaby wykiwać nawet moja babka chora na demencję! – woła Mertsch.

Peschel mamrocze:

– Tak, ja ciebie też.

– Co oni zamierzają z nią zrobić? – pyta Kemper.

– Holm chce się na niej zemścić – wyjaśnia Pavlik.

– No to ona już nie żyje – mruczy Giulia Delmonte. – Była świetna. Krótko z nią gadałam. To była pierwsza kobieta tutaj. Udzieliła mi kilku dobrych rad. Na przykład żebym od czasu do czasu podrapała się po jajach.

Trzej mężczyźni się śmieją. Ale Pavlik ostro najeżdża na Delmonte:

– Zapamiętaj sobie jedno: ona będzie martwa dopiero w chwili, gdy przede mną będą leżały jej zwłoki.

Delmonte robi się czerwona jak burak.

– Jak Kvist mógł do tego dopuścić? – pyta Wolter. – Nie mogę tego zrozumieć.

– Aaron go o to poprosiła – mówi Pavlik.

– Kiedyś poprosiłem jedną dziewczynę, żeby powiększyła sobie piersi, ale ona mimo to nie wyświadczyła mi tej uprzejmości.

Atmosfera się oczyściła. Pavlik wstaje.

– Okej, do roboty. – Podczas gdy wszyscy wychodzą, daje Peschlowi i Nieserowi do zrozumienia, żeby jeszcze zostali. Czeka, aż ostatnia osoba zamknie za sobą drzwi. – Co robi Kvist?

– Jeździ w kółko po obwodnicy. We Frohnau zawrócił i zrobił kolejną rundę. Zdaje się, że nie ma żadnego konkretnego celu.

– Słucha głośno muzyki – dodaje Nieser. – Wciąż tej samej piosenki: *Have a Little Faith in Me*. Ten dumny szlagier nie może mi do teraz wyjść z głowy.

– Leciał też wczoraj u ciebie na przyjęciu.

– Kolej na Kleffa i Roggego. Oni na pewno także chętnie sobie pośpiewają – mówi Nieser.

Wchodzi Demirci i Peschel natychmiast zmienia temat:

– Dobrze, zadbamy o zeznania świadków.

Pavlik kiwa głową.

– Zróbcie to. Niech Bükler i Delmonte za godzinę przejmą Kvista.

Obaj zdają sobie sprawę, że Demirci o wszystkim wie.

– Czym? – pyta Nieser.

– Dwoma wypożyczonymi samochodami. Jakimiś eleganckimi, może daimlerem klasy S i jakimś rodzinnym średniej klasy.

Mężczyźni przytakują i wychodzą. Pavlik widzi, że Demirci jest wyczerpana.

– Miła pogawędka?

Szefowa bierze od niego butelkę i wypija ją do dna.

– Bezalkoholowe – mówi z ubolewaniem Pavlik.

– Po prostu musiałam się napić.

– Zachowała pani swoje stanowisko?

– Tak. W zawieszeniu. Jest coś nowego o Kviście?

Pavlik przecząco kręci głową.

– Jeździ na spacerach.

– Może zauważył, że go śledzimy.

– Chyba nie. – Pavlik lustruje Demirci. – Mamy coś nowego?

– Zbyt szybko mnie pan przejrzał. Muszę nad tym popracować.

– Bardzo bym żałował.

– W istocie odsłonił się pewien ciekawy ślad. Przed trzynastu laty w Kolonii pewien Ormianin został skazany za morderstwo na dożywocie. Znalazł się w zakładzie karnym w Ossendorfie. Rok później umarł jego ojciec. Ormianinowi pozwolono pod eskortą pojechać do Kolonii na pogrzeb. Zlikwidowano go na cmentarzu. Zabójca leżał z karabinem na dachu w odległości ponad tysiąca metrów. Uciekł nierozpoznany, ale popełnił dwa błędy. Po pierwsze: zaparkował samochód na zakazie zatrzymywania się, za co otrzymał mandat. Dlatego można było poszukiwać auta i udało się je znaleźć. W środku i na zewnątrz wyczyszczono je środkiem dezynfekcyjnym.

– A drugi błąd?

– Jeden z kolońskich techników kryminalnych był na tyle sprytny, że wpadł na pomysł, by obejrzeć pokrywę wlewu paliwa.

– Odciski palców Holma – mówi natychmiast Pavlik.

– Tak. Porównanie z odciskiem kciuka znalezionym na telefonie komórkowym turystki dało pozytywny wynik. To był jedyny raz, kiedy Holm nie zachował ostrożności.

– Ormianin siedział za zabójstwo. Kogo zabił?

– Zarządcę sieci hal z automatami do gry. Kolończycy podejrzewali, że prał pieniądze dla mafii, ale nie udało się tego udowodnić.

– Założę się, że ma pani w zanadrzu puentę.

Demirci uśmiecha się nieznacznie.

– Ojciec Ormianina zmarł dokładnie co do dnia rok po tym, jak jego syn zamordował zarządcę. W akcie zgonu jako przyczynę śmierci podano zatrzymanie akcji serca, ale nie zrobiono obdukcji.

Pavlik porządkuje myśli.

– Holm zabił najpierw ojca Ormianina, nie zostawiając śladów...

– Tak to jest. Ta data była komunikatem.

– ... ale tylko po to, żeby jego syn mógł wyjść z więzienia na pogrzeb i żeby Holm mógł zlikwidować go na cmentarzu.

– Słusznie.

- Zna pani szczegóły?
- Nie. Ale z pewnością znają je technicy kryminalni z Kolonii.
- Jak nazywał się ten więzień?
- Artur Bedrossian.

Pavlik dzwoni do Frickego, prosi, żeby połączył się z kolończykami. Chcę mieć warunki pogodowe, widoczność, dokładną odległość, chce wiedzieć, ile było strzałów, ile trafionych, pod jakim kątem. Na koniec dodaje:

– Później ci powiem, o co chodzi.

– Mam dla pana kolejną puentę – mówi Demirci. – Tuż przed śmiercią ojca Bedrossian zaatakował i zranił pracownika penitencjarnego. Trafił do aresztu bez prawa do przepustek. Mimo to dyrektor zakładu osobiście wstawił się za nim, mógł więc pojechać na pogrzeb. Niech pan zgadnie, kto to był.

– Nie jestem dobry w zgadywaniu.

– Hans-Peter Maske. Od czterech lat dyrektor zakładu karnego w Teglu.

Oslupiały Pavlik wytrzeszcza oczy.

– Co pan o nim wie? – pyta Demirci.

– Miałem z nim do czynienia tu i ówdzie. Zna właściwych ludzi i szybko zrobił karierę. Mówią, że niebawem obejmie Wydział Sądownictwa w senacie. Wtedy będzie udawał jeszcze większego ważniaka.

– Brzmi to tak, jakbym go mogła polubić – uśmiecha się Demirci.

– Nawet jego pies go nie lubi.

Poważnieją.

– Przed ośmioma godzinami kazałam go powiadomić, że chcę mieć akta osobowe wszystkich pracowników penitencjarnych, którzy w ostatnim miesiącu mieli bezpośredni kontakt z Saszą. Kazałam powiedzieć, że to bardzo pilna sprawa. Ale on się miga. Jedyne, co do tej pory od niego dostaliśmy, to mail od jego sekretarki z informacją, że pan Maske przygotowuje dokumenty z – cytuję – nalezną starannością, co niestety musi potrwać. Może pan by go trochę zmotywował?

– Organizacja biura to moja tajemna słabość.

Zostawili Oranienburg za sobą, podążają teraz drogą krajową na północ. Nieliczne auta jadące z naprzeciwka mają już włączone światła. Ich nikły odblask przemyka po brudnych, zamarzniętych zwałach śniegu i gołych pniach sosen, które gęsto rosną po obu stronach. Porywisty wiatr zwiewa śnieg z wierzchołków drzew. Na poboczu kruki dziobią ścierwo lisa.

Sascha siedzi obok brata. Od chwili, kiedy Holm spalił pieniądze, nie zamienili ze sobą ani słowa. W Saschy kipi taka wściekłość, że mógłby wyrwać deskę rozdzielczą.

Przez pięć lat wyliczał rzeczy, które chciał mieć po wyjściu z więzienia: codziennie dwie kobiety w Lizbonie, czerwonego chevroleta corvette, dom z ogromnymi oknami, gdzie mógłby sączyć whisky z lodem, glocka 33, błaganie obcego człowieka na samotnej ulicy, wystrzelany magazynek, białą chustkę do wytarcia krwi. Czarnego corvette, srebrnego, złotego, złotego...

Pięć milionów! Jakby to była makulatura!

Jego brat zawsze robił rzeczy, których sensu Sascha nie pojmował. Jest mu on bardziej obcy niż ten drugi, Bosch, którego płacz na widok zwęglonej torby jeszcze teraz budzi w nim obrzydzenie.

Tajemnice, które nosi w sobie Ludger, są bezmierne. Sascha nigdy nie wiedział, dlaczego wybierają tę ulicę, a nie inną, dlaczego zostają w jednej miejscowości, a w innej nie. Dlaczego brat odchodził, gdy on wracał. I dlaczego śmierć jednego człowieka wydawała mu się ważna, a innemu pozwalał żyć.

Chociaż Ludger nigdy tego nie powiedział, Sascha wie, czego od niego oczekuje: żeby spalił dom, którego nigdy nie opuścił. On jednak nie jest w stanie. Najgorsza rzecz, jaką zrobił mu ojciec, polega na tym, że nadal dzień w dzień schodzi do piwnicy i kładzie się na materacu.

Wtedy próbuje wnikać w marzeniach do głowy Ludgera.

Wpełza do niej jak do króliczej nory i w nieskończenie wielu korytarzach i rozgałęzieniach szuka drogi, którą znalazł brat, szuka tunelu, który poprowadził brata ku wolności. Ale to poszukiwanie kończy się zawsze w lustrzanym labiryncie jego własnej głowy, a w każdym lustrze widzi siebie leżącego na materacu.

Chciał rozwalić te lustra, roztrzaskać je pięściami. Chciał powylaływać okruchy i wykluć sobie nimi oczy. Ale lustra są niezniszczalne.

Takimi stworzył je ojciec.

A Ludger na to pozwolił.

Sascha raz po raz planował, że zabije go we śnie. Brat wiedział o tym, a mimo to często spał obok niego. Teraz jest podobnie – jego ręce spoczywają spokojnie na kierownicy, chociaż za paskiem spodni Saschy tkwi Glock, którego mu dał.

Glock i paczka lucky strike'ów. Nie dostał niczego więcej. Chce zapalić, ale brak mu odwagi, ponieważ brat nienawidzi dymu papierosów.

Samemu diabłu narzuciłby swoją wolę.

Sascha ma tysiące powodów, żeby nienawidzić Ludgera. Właśnie doszedł kolejny – w obecności Aaron Ludger ogłuszył go uderzeniem w głowę i rzucił w śnieg jak bydłę. Już choćby z tego powodu mógłby wyrwać deskę rozdzielczą. I napluć na zwłoki brata.

Sascha nigdy nie wątpił, że Ludger podaruje mu zemstę na Aaron. Że będzie to pierwszy prezent, jaki od niego otrzyma. Nieustannie wyobrażał sobie, co zrobi. Ale on mu to zabrał.

Co Aaron znaczy dla jego brata?

Sascha nie śmie zapytać. Niezależnie od tego, jaką otrzymałby odpowiedź, jeśli w ogóle jakąś by otrzymał, sięgnąłby po Glocka. A wtedy byłby martwy.

Natychmiast musi zacząć myśleć o czymś innym.

O tej dziwce w celi Boenisha. O jej sukience zapiętej pod samą szyję. O jej krtani, którą czuł pod kciukiem niczym czekoladę bąbelkową. O tym, jak się dusiła i jak długo to trwało. O reklamówce, której musiał użyć, ponieważ czas naglił, i o tym, jak usta kobiety wypełniał plastik, podczas gdy

on wyobrażał sobie, kto mógłby być na jej miejscu.

O jej trzepotaniu się, wymachiwaniu rękami i nogami, o jękach.

Już po kilku minutach potrzebuje kolejnej myśli, na której mógłby się skupić.

Pięć milionów! Dlaczego brat to zrobił? Aby go dręczyć? Dlatego, że dla Saschy pieniądze coś znaczą, a dla niego zupełnie nic? Nie, Ludger nigdy nie robi niczego dla jego dobra.

Chociaż Sascha nie potrafi tego wyjaśnić, przypomina sobie o kartce od brata, którą pewien Włoch dał mu po tygodniu spędzonym w więzieniu w Barcelonie. Widniało na niej tylko jedno zdanie: „To jest początek twojej drogi”.

I nagle już wie.

Myśl jest tak niepozorna, że impuls elektryczny wysyłający ją przez punkty kontaktowe mózgu początkowo zdaje się za słaby, aby przenieść ją do świadomości Saschy. Jednak wreszcie staje się wyraźna: brat postanowił, że ich drogi się rozejdą. Już Barcelona oznaczała pożegnanie. Brat daje mu wolność i chce, żeby zabrał ze sobą wyłącznie to, co miał jako ośmiolatek. To, co nosi na grzbiecie. To, czego nigdy nie wypowiada. Co jest zamknięte w jego pięści. To, glocka i paczkę papierosów.

Zrozumienie tego wybuchu w jego głowie jak bomba odłamkowa i sprawia, że części kości zmieniają się w pociski, które rozrywają mózg na strzępy.

Ludger odejdzie na zawsze.

Podczas wielu bezsennych nocy Sascha wyobrażał sobie ten moment. Wydawało mu się wówczas, że dobrze wie, co wtedy poczuje, chociaż miał pewność, że to się nigdy nie zdarzy.

Ale teraz to właśnie się dzieje. Szloch podchodzi mu do gardła, puls przyspiesza. Czuje spojrzenie brata i odwraca głowę do okna, żeby Holm nie dostrzegł, że ogarnia go straszliwy lęk i że dygocze.

Wszystko się rozmazuje – cienie drzew w ostatnich promieniach słońca, brudny śnieg, który jest niczym popiół, słupki drogowe, słupy elektryczne, tablice, kruki.

Sascha nie wie, skąd bierze się słony smak na jego języku. Nie

wie, bo jeszcze nigdy nie płakał.

Nagle czuje rękę brata na policzku.

Chce ją odsunąć, nie, chce wyrwać mu całe ramię, jednak wszystko, co potrafi, to trząść się i płakać.

Ludger głaszcze go delikatnie, dotyka po raz pierwszy, daje mu do zrozumienia, że go rozumie.

Coś uderza w furgonetkę i ta wypada z pasa ruchu, po czym prawie pakuje się do rowu. Brat chwytą oburącz kierownicę i wraca na jezdnię. Zmniejsza prędkość. Samochód jedzie nierówno, jakby coś ze sobą wlekli. Z prawej strony jest polna dróżka. Holm skręca w nią i staje dopiero w chwili, gdy główna droga znika z pola widzenia.

Wysiada. Sascha nie rusza się z miejsca i walczy ze łzami, jakby były jakimś potworem. Chwytą glocka, żeby się uspokoić. Obejmuje rękojęść, ale jej nie czuje.

Holm skrępował sznurem jej ręce i nogi, po czym wrzucił bez płaszcza i butów do cuchnącej ładowni. Aaron leży teraz w cienkiej sukience na lodowatym metalu i wie, że Bosch nie da się po raz drugi wywieść w pole.

Gdyby istniała taka medytacja, która czyni człowieka niewrażliwym na zimno! Pavlik, zresztą jak wielu strzelców wyborowych, nigdy nie marznie, ale nie umie wyjaśnić dlaczego. Ona zawsze przeklinała, gdy zimą podczas ćwiczeń w Młynie spędzali czas w lesie. Tkwili nieruchomo zagłębieniach śnieżnych, schronieniach ze sztywnego drewna, między skałami będącymi w mocy wiatru północnego. Czasami marzła tak, że wymiotowała. Kiedy już nie mogła wytrzymać, poruszała się, chociaż to zagrażało bezpieczeństwu kamuflażu. Możliwość zrobienia paru pompek, przysiadów, krótkich, szybkich kroków w miejscu jawiła się jako prawdziwa łaska. Na jakiś czas wystarczało, ale potem drapieznik znowu atakował.

Kiedys Pavlik, aby zająć myśli Aaron czymś innym, przypomniał jej urlop w Stanach – z Sandrą i bliźniakami przejechali na motocyklach przez Arizonę i Nevadę. Trzy szalone tygodnie na harleyach, w najpotworniejszym upale. Jeden bliźniak na miejscu pasażera jej dużego harleya e-glide, drugi z Pavlikiem. Piętrzący się bagaż, który widzi w lusterku.

Wyschnięte łożyska rzek, szramy w nieskończoności, skrzepy żółtych, zielonych, czerwonych i fioletowych ruin skalnych, lasy kaktusowe.

Aaron podziwia żółć, zielen i fiolet, jakby nigdy nie zapomniała tych kolorów. I rozmyty błękit nieba. I upudrowaną smugę kondensacyjną bojowego jeta. I kremowy beż swojego harleya.

Jest tak gorąco, że pocą się nawet wtedy, gdy jadą z wiatrem. Piją wodę z kanistrów. Potężny silnik buczy pod ich tyłkami, całe ich ciała wibrują, ręce chłopca obejmują ją w pasie i szczypią raz po raz.

Sandra ich wyprzedza, jedzie bez trzymanki, ze śmiechem balansuje sportsterem. Na głowie ma chustkę piracką i jest tak mocno opalona, że oślepiająco biały pasek na plecach, gdzie zsunęła się jej podkoszulka, kłuje Aaron w oczy.

Teraz Aaron leży na pryczy i czuje wdzięczność.

Siedzą przy kolacji, polewają sobie głowy lodowatą wodą, jedzą krwiste steki i czerwoną fasolę z chili. Stojaki na motocykle zapadają się w roztopionym asfalcie, wiatr śpiewa w przewodach telefonicznych i igra na autostradzie ze srebrzystymi kulami krzewów ognistych. Frytki są panierowane piaskiem.

W Cayenne odwiedzają Mary-Sue, która nie może się powstrzymać i pyta:

– *Are you fuckin' crazy – Arizona in July?*

I tak całymi dniami trwa podróż przez ten piekarnik. Chcą się dostać do Las Vegas. Słońce już dawno zaszło, ale nadal lepi się do Aaron jak klej. Niebo jest usiane gwiazdami, które wyglądają jak ziarenka piasku na skórze po pływaniu. W hotelu Bellagio Aaron przez dziesięć minut stoi pod lodowatym prysznicem.

Teraz, w furgonetcie, natychmiast szczyka zębami. Nie chce przypominać sobie klimatyzowanego kasyna, choć przecież wygrała pięćdziesiąt dolarów przy jednorękim bandycie, piła piwo z karafki, w której pływały kostki lodu, i banana split z różowymi piankami, które wszystkim stawiała.

Przypomina sobie burzę tej nocy: w pokoju Sandry i Pavlika

stoją przy oknie, patrząc na wirujące morze światel. W piątkę tułą się do siebie na królewskim łożu, skaczą, aż wreszcie wszystkim jednocześnie przychodzi na myśl Lakehurst. Słyszą odgłosy ognia, w którym „Hindenburg”, potężny statek powietrzny, spala się jak celofan, słyszą krzyki, podczas gdy nieme obrazy katastrofy znikają niczym miraż.

Drzwi otwierają się z impetem. Ktoś chwytą Aaron i ściąga za nogi z pryczy. Jej głowa uderza to o krawędź ładowni, to o zderzak. Ból trepanuje jej czaszkę.

Holm przecina pęta i mówi:

– Wymiana koła.

Aaron klęczy boso na śniegu. Nie czuje ciała. Słyszy jakiś szum – całkiem blisko. Rzeka. Żetonowe Oko wbija jej w bok duży klucz krzyżakowy.

– Masz, zdiro. Nie zaświń go, bo rozwałę ci nim łeb.

Aaron chwytą klucz, ale nie może go utrzymać. Wsuwa palce pod pachy, żeby je ogrzać.

– Dajcie, ja to zrobię – mówi Bosch – pójdzie szybciej.

– Pan zachował się wystarczająco głupio – protestuje Holm.

Czekając, aż w dłoniach na powrót popłynie krew, Aaron usiłuje myśleć. Przychodzi jej to z ogromnym trudem. Musi walczyć z przemożnym zmęczeniem, gdyż jej organizm wyprodukował tego dnia mnóstwo adrenaliny. A przecież wie, że chcąc uniknąć śmierci, będzie potrzebowała jeszcze o wiele więcej tej cennej substancji – cały ocean.

Zastanawia się, dlaczego Holm pozwala, żeby Żetonowe Oko ją dręczył. Wcześniej przecież jednoznacznie uświadomił bratu, że odmawia mu prawa zemsty, teraz jednak zmienił zdanie. Czy chce w ten sposób przeprosić za to, że wcześniej pobił go do nieprzytomności? Że spalił pieniądze? Nie, Holm nigdy nie przeprosza, nawet w taki perwersyjny sposób.

Nie jestem okrutny ze względu na samo okrucieństwo.

To prawda. Wszystko, co Holm robi, podlega pewnej logice. Niewątpliwie coś zaszło między braćmi, Aaron czuje to po głosie Żetonowego Oka. Choć jest pełen nienawiści, pobrzmiwa w nim smutek i strata. I to wcale nie te pięć milionów sprawia, że Sascha jest przygnębiony.

Aaron ciągle jeszcze nie może złapać tchu na myśl o tym, że Holm zniszczył pieniądze. Gdyby to był inny mężczyzna, uznałaby go za wariata, ale w jego przypadku od samego początku miała pewność, że chodzi tu o coś innego. On nienawidzi ludzi, dla których własność coś znaczy. Próba spalenia pieniędzy, którą podjęła Aaron, wynikała wyłącznie z bezsilności. Holm pokazał jej, jakie to było śmieszne, jakie głupie. Z pewnością nieraz posiadał bogactwo i nieraz się go pozbywał. Była to lekcja dla Aaron i jego brata.

Holm dowiódł im, że pożar ma prawo wzniecić tylko ktoś, kto potrafi wytrzymać również dym.

Powiedział:

– Dadzą nam kolejne pięć milionów.

Dlaczego? Bo potrafi sprawić, by tak się stało.

– Masz pół minuty – syczy Zetonowe Oko. – Jeśli nie zaczniesz, złamię ci nos.

Aaron skupia się na szumie, który dobiega gdzieś z jej prawej strony. Dochodzi do niego nowy odgłos – nasilające się głębokie buczenie, dudnienie. Statek. Barka.

W czasie nocy spędzonych w Młynie Pavlik i ona mieli czas nauczyć się wzajemnie wielu rzeczy. On nigdy nie osiągnął prawdziwego mistrzostwa w karate – woli styl walki izraelskich jednostek specjalnych, równie efektywny, ale w mniejszym stopniu oparty na filozofii. Aaron nauczyła Pavlika ćwiczeń oddechowych gōjū-ryū, wtajemniczyła go w akupunkturę, pokazała techniki medytacji. On zrewanżował się jej swoją wiedzą strzelca wyborowego – nauczyła się od niego wyznaczać odległości. Gdyby było lato, wiedziałyby, że statek jest oddalony o sześćset metrów, ale zimą dźwięk z powodu niskiej temperatury przenosi się wolniej.

Czterysta metrów.

Nie, musi uwzględnić wiatr. Zwiewa jej włosy na twarz, a więc idzie od rzeki.

Pięćset metrów.

Dla pewności Aaron na chwilę wstrzymuje powietrze. Jej słuch jest tak czuły, że nawet oddech może zaburzyć percepcję.

Statek jest duży, co Aaron poznaje po donośnych odgłosach

silnika. Może to dwie połączone barki. A więc rzeka jest szeroka – Hawela albo Szprewa.

– Czas minął – mówi Żetonowe Oko, ciesząc się na myśl o tym, co się za chwilę stanie.

Zimno oddziela ją od własnego ciała, które porusza się bez jej udziału. Ręce niezgrabnie uderzają kluczem o felgę. Jeszcze raz, jeszcze raz.

– Godne pożałowania, ty ślepa dzdziro – drwi Żetonowe Oko.

Nie zauważa, że Aaron wykorzystuje klucz jako echosondę. Między nią a rzeką znajdują się drzewa, strzeliste i wysmukłe. Podejrzewa, że to sosny górskie, palmy Brandenburgii. Nie rosną zbyt gęsto, Aaron słyszy otwierającą się za nimi przestrzeń. Przyjmuje założenie, że teren jest nierówny, pełen ośnieżonych pagórków i zagłębień, krzaków i zagajników.

Jej plan jest rozpaczliwy, ale może właśnie teraz ma ostatnią okazję, żeby uciec. W kieszeni jej sukienki spoczywa coś, o czym Holm nie ma pojęcia: mały blaszany pstryczek, którym w hotelowym korytarzu wystawiła na próbę Kleffa i Roggego.

Czy to naprawdę było zaledwie wczoraj?

Przykłada klucz do pierwszej nakrętki, staje na niej i trzyma się mocno dachu samochodu, aby własnym ciężarem poruszyć zapiekłą śrubę. Kołysze się kilka razy tam i z powrotem, wreszcie jej się udaje. W ten sam sposób poluzowuje pozostałe śruby. Statek powoli się zbliża.

Trzysta metrów. Ale jak daleko jest do brzegu?

„Ślepiec nie widzi rzeczy niemożliwych”, jak u Frischa mówił Gantenbein.

– Bardzo ciekawe – zauważa Holm. – Pani Aaron zadaje sobie trud, abyśmy uwierzyli, że dochodzi do granic swoich możliwości. A tymczasem ta nedorzeczna wymiana kół kosztuje ją tyle co nic, więc się nudzi. Ślepcy, którzy są tak utalentowani i ambitni jak ona, mają umiejętności stanowiące wyzwanie dla naszych umysłów. Na przykład Andy Holzer wspina się na północną ścianę góry Eiger jako alpinista trzymający liny, pani Aaron oczywiście go zna. Albo Zoltan Torey: potrafił rozłożyć dyferencjał i złożyć go z powrotem kółeczko za kółeczkiem. Nie wątpię, że pani Aaron również by

to zrobiła, gdyby postawiono przed nią takie zadanie.

Tak, ty zasrany mądralo. Jutro zjadę na nartach z Nanga Parbat, pojutrze naprawię twój zegarek, a potem zbuduję bombę atomową.

Żetonowe Oko wali ją podnośnikiem w klatkę piersiową. Aaron przesuwa palcami po podwoziu i znajduje szczelinę. Podnosi samochód. Ziemia jest zamrznięta na kość, stal nie wchodzi ani na centymetr.

Musi tak rozwścieczyć Żetonowe Oko, żeby się na nią rzucił.

– Niech pan uważnie słucha, kiedy brat robi panu prywatny wykład. Nawet jeśli przypuszczalnie pan nie wie, jak przeliterować „dyferencjał”.

Żetonowe Oko trafia ją pięścią w skroń. Cios jest mocny, ale Aaron była na niego przygotowana, napięła mięśnie i wyprężyła się, aby go zamortyzować.

– A jak ty to przeliterujesz!?! – wrzeszczy na nią Żetonowe Oko.

– Zacznę od „g”, jak „głupi” – rzuca Aaron w jego stronę.

Sascha kopie ją w krzyż.

– Otwórz gębę jeszcze raz!

Aaron pada na śnieg, oddycha głęboko, wyobraża sobie, że jej mięśnie się rozszerzają, a ból tryska z ciała. Wstaje. Z oddechu Żetonowego Oka wnioskuje, że stoi tuż przed nią.

– Chętnie spotkałabym się z panem bez pańskiego tatusia. Tylko my dwoje, bardzo romantycznie. Pan marzy o tym, żeby mnie zgwałcić, ale jak pan zamierza to zrobić? W więzieniu na pewno nieraz dał się pan przecwelić.

Sascha z potworną wściekłością wali ją w twarz. Ciosy jego pięści są jak uderzenia młota. Aaron kuli się na śniegu, aby Żetonowe Oko miał jak najmniejszą powierzchnię do bicia. Chce ją podciągnąć, ale ona opiera się całym ciężarem ciała. Kopniak trafia ją w żołądek i wciska jej kwas do gardła. Aaron ma gorącą nadzieję, że się nie myli i że Holm wyznaczy bratu jakieś granice.

– Wystarczy – słyszy wreszcie jego spokojny głos.

Ale Żetonowe Oko nie ma zamiaru jej puścić. Chwyta ją za włosy i Aaron ponownie oczekuje jego pięści. Boi się, że stłucze ją do nieprzytomności. Holm jednak odrywa go od niej.

- Koniec.
- Puść mnie! – ryczy Żetonowe Oko.
- Wystarczy tej zabawy.

Aaron słyszy, że Holm odciąga brata i przyciska go do samochodu. Fabryka adrenaliny otwiera zawory, puls Aaron niemal rozsadza jej żyły.

Zrywa się i zaczyna biec z pstryczkiem w ręce. Szybkie trzaski. Dwa drzewa, pięć metrów od niej. Pędzi pod gałęziami sosen, które biją ją w twarz, w otwarte usta. Biegnie zygzakiem przez niewidzialny labirynt i pstryka w taktcie sekundowym. Namierza kolejną przeszkodę.

Luźna – zarośla.

Robi duży skok, prawie zaplątuje się w kolczastych krzakach, ale przedziera się przez nie, nie tracąc równowagi. Żadnych strzałów, Holm chce ją wziąć żywą. Za nią rozlega się trzask gałęzi – ściga ją... Nie, obaj ścigają, jeden jest trochę z prawej, drugi z lewej. Aaron ocenia, że ma co najwyżej dziesięć metrów przewagi. Jej ślina ma żywiczny posmak. Dobiega ją zniekształcone echo, nie jest pewna, czy chodzi o dwa drzewa rosnące tuż obok siebie czy też o pojedyncze, ale grube. Biegnie wprost w chaos częstotliwości. Barkiem uderza o jakiś pień, zatacza się, ale bierze się w garść. Rajstopy już dawno wiszą na niej w strzępach. Złodowaciałe korzenie, gałęzie i kamienie rozrywają skórę na jej gołych nogach, lecz zupełnie tego nie czuje. Podobnie jak nie czuje już zimna, kwasów żołądkowych i wiatru. Statek jest głośny, prawie na tej samej wysokości, zatem Aaron zakłada, że znajduje się już pewnie przy brzegu. Nie ma sensu krzyżeć – huk potężnego silnika zagłuszy jej głos – ale może ktoś ją zobaczy. Nie, z pewnością jest już ciemno.

Gdzie są bracia?

Są. Tak blisko, że słyszy ich dychawiczne oddechy. Ma zaledwie kilka sekund. Kiedy czuje pod stopami lustrzaną gładkość, ulga niesie ją po lodzie niczym żagiel. Ślizga się w kierunku wody, na kostkach czuje lodowate krople. Puls wraca i nagle się zatrzymuje. Ogarnia ją absolutny spokój.

Skacze.

„Oddech nie jest konieczny. Oddech nie jest niezbędny do życia. Oddech jest wszystkim” – to powiedział do niej ojciec w kamieniołomie, kiedy jeszcze była dzieckiem. Podobne słowa znajdowali później jej szkoleniowcy. Można zaniedbać krycie, jeśli nie da się inaczej, można zlekceważyć bezsensowny rozkaz. Można podjąć ryzyko, aby przeżyć. Ale nigdy, przenigdy nie wolno zapomnieć o oddechu.

Zanurza się w wodzie. Nie czuje zimna, w ogóle niczego nie czuje. Rozsądek podpowiada jej, że przy umiarkowanym prądzie dopłynie do drugiego brzegu na metrowej głębokości. Rozsądek podpowiada jej również, że nie będzie musiała przepłynąć więcej niż sto metrów. A także to, że ręce i nogi z każdym ruchem i każdym odepchnięciem się doprowadzą ją coraz bliżej celu, chociaż nie ma w nich czucia.

Jest pod wodą chyba nie dłużej niż piętnaście sekund, a już wszystko w niej domaga się tlenu. Zmusza się, by sobie wyobrazić, że wciąga powietrze głęboko do płuc. Towarzyszy swojemu oddechowi, gdy ten podąża przez krtań aż do oskrzeli, widzi, jak pęcherzyki płucne wchłaniają tlen. Czeka niecierpliwie na wymianę gazową i podąża za czystym tlenem przez żyłę płucną do komory serca, gdzie tlen przyśpiesza i jest katapultowany przez aortę do mózgu, który tęsknie go wypatruje.

Nie pomaga. Aaron jest pewna, że nie wytrzyma pod wodą ani sekundy dłużej, mimo to liczy do dziesięciu. Dopiero wtedy rozkazuje swojemu ciału, by się wynurzyło, i modli się, żeby jej posłuchało.

Wysuwa głowę nad wodę i otwiera szeroko usta. Znajduje się w samym środku fali rufowej frachtowca. Dławiąc się, łapczywie chwyta powietrze. Następna fala; gruda lodu wpada jej do gardła. Między oddechami, które brzmią jak jęki, Aaron zdobywa się na pierwszą jasną myśl:

Holm mnie ściga.

Jest gdzieś za nią. Bo on nigdy nie zrezygnuje z zemsty. Aaron oddycha możliwie najgłębiej, ale tlen nie mknie z wysokim

ciśnieniem przez jej żyły – to było tylko myślenie życzeniowe. Płuca są zużytym miechem z wielką dziurą, śmiesznym wspomnieniem agregatu, którym były kiedyś.

Aaron zanurza się ponownie. Zimno dosięga jej ciała z opóźnieniem, za to zadaje prawdziwe tortury. Mięśnie jej drżą. Niebawem w komórkach utworzą się lodowe kryształki i wtedy nie będzie mogła się poruszać.

Zdechnę w tej brudnej brei.

Nie, nie zdechniesz!

Ma przewagę, bo Holm w ciężkim zimowym ubraniu na pewno nie wskoczył za nią do wody – musiałby najpierw pozbyć się kurtki i butów, w przeciwnym razie nie miałby szans jej doścignąć.

Ale co daje jej ta przewaga? Nawet jeśli zdoła dotrzeć na drugi brzeg przed Holmem, on ją tam przecież dorwie. Istnieje tylko jedna droga, żeby przeżyć: zrezygnowanie z próby jak najszybszego dostania się na ląd i zamiast tego dopłynięcie do rufy statku, który porusza się w górę rzeki. Jeśli oboje będą musieli płynąć pod prąd i przeciw wirowi śruby, zmusi Holma do walki pozycyjnej. Jest czternaście lat młodsza od niego, on jednak jest wypoczęty. Staną się więc mniej więcej równorzędnymi przeciwnikami.

Aaron się wynurza. Statek znajduje się na lewo od niej. Płynie w jego stronę, co trzeci ruch pozwala sobie na zaczerpnięcie powietrza. Odpycha kanciaste kry ocierające się o jej ramiona. Kiedy trzyma głowę w wodzie, śruba rufowa dudni niczym lawina; będąc na falach, Aaron wydaje się, że słyszy uderzanie tłoków silnika. Prąd rzeki staje się tak wartki, że Aaron ma wrażenie, iż w ogóle nie porusza się do przodu. Mięśnie palą ją jak ogień, są zakwaszone, zablokowane.

Naraz czuje, że jest lekka jak piórko, i szybko porusza się naprzód. Oddycha z ulgą, a przez głowę przebiega jej myśl, że zaskoczył jej awaryjny agregat. Po chwili jednak uświadamia sobie, co się dzieje: znalazła się już tak blisko statku, że śruba wciąga ją pod wodę. Aaron zbliża się do niej, zaraz zostanie zmiażdżona. Rozpaczliwie usiłuje wydostać się z wiru, lecz bez skutku. Nie może już nic zrobić.

A więc tak wygląda kres.

Naraz czuje szarpnięcie – coś chwyta ją za lewą nogę i ciągnie do tyłu. Holm przyciąga Aaron do siebie, walczy z prądem, nie puszczając jej, walczy za nich dwoje. Aaron jest zbyt słaba, żeby mu pomóc. Wie, że Holm chce ją uratować, aby zabić ją na swój sposób, i będzie zaciekle walczył, aby dopiąć swego. Aaron czuje jego strach przed tym, że ją straci, jego nienawiść, jego wolę.

Nagle śruba się oddala. Aaron łapczywie nabiera powietrza, świszczący miech, w jaki zmieniły się jej płuca, napęlnia się tlenem. Holm szuka punktu *kyusho* po wewnętrznej stronie jej uda, aby ją sparaliżować. Resztkami sił Aaron napina mięśnie i z impetem kopie Holma w głowę. Oczywiście w wodzie nie wyklucza go to z pojedynku, ale wystarczy, żeby zyskać chwilową przewagę. Jego chwyt się poluźnia. Aaron robi przewrotkę, znajduje oczy Holma i z całej siły wpycha w nie kciuki. On wbija palce w jej łokcie. Działa to jak porażenie prądem, kciuki Aaron słabną. Jego nogi opinają jej nogi, oboje usiłują znaleźć na ciele przeciwnika newralgiczne miejsca, przez które płynie energia.

Kiedy Aaron czuje palce Holma na swojej kości gnykowej, wie, że za chwilę straci przytomność. Grzbietem otwartej dłoni celuje w jego dolną wargę i dopiero w chwili trafienia zamyka dłoń w pięść i ją odwraca. Dobrze zna ten rodzaj bólu, który ogarnia teraz każdą komórkę ciała Holma.

Muszę wciągnąć go w głębinę – tam nie będzie nic widział.

Aaron marzy, żeby móc powoli i w kontrolowany sposób nabrać powietrza. Jednak ta żalosna odrobina, której udaje się jej zaczerpnąć, nie wystarczyłaby nawet, żeby zdmuchnąć świeczkę. Chwyta nogawkę Holma i ciągnie go za sobą w dół. On właściwie nie stawia oporu, ponieważ z bólu odchodzi od zmysłów. Rzeka jest głęboka, uszy Aaron się zatykają. Nie może z tym nic zrobić – nie ma wolnej ręki, żeby wyrównać ciśnienie. Czuje nagłe mdłości. Kolanem trafia na muliste dno. Holm gwałtownie bije rękami na oślep, Aaron wie, że brakuje mu tlenu. Puszczą go i wpycha mu do uszu dwa palce wskazujące. Ciało Holma wiotczeje. Aaron ma wrażenie, że oczy zaraz jej

ekspodują, ma ochotę wrzeszczeć z niedoboru powietrza. Brak jej precyzji, żeby trafić w jeden ze śmiertelnych punktów o średnicy milimetra, znajduje jednak tułów Holma i wpycha palec w przestrzeń między szóstym a siódmym żebrzem.

Udaje się jej odepchnąć – to ostatni ruch, na jaki ją stać. Czuje gorąco, szalone gorąco; próbuje zerwać z siebie sukienkę. Gdzieś w głowie kołacze się myśl, że następuje ostatnie stadium wychłodzenia. Marznie, bo naczynia w jej rękach i nogach skurczyły się, żeby przetransportować jak najwięcej krwi do innych organów. Teraz jednak okazuje się, że to było bez sensu – naczynia się rozszerzają, krew płynie z powrotem. Dlatego Aaron poci się na pięciu metrach głębokości przy temperaturze wody wynoszącej zero stopni.

Na pewno to samo czuł Ben. Chciałam cię utrzymać, tak mi przykro.

„Łatwo powiedzieć”, słyszy jego głos.

Wybacz mi.

Ben milczy.

„Jesteś w końcu – słyszy drugi, czuły głos. To ojciec. – Wszystko, co opowiadałem ci o oddychaniu, było bez sensu. Nie potrzebujesz oddechu. On tylko przeszkadza”.

Jego słowom przyświadcza wielu innych – wszyscy zmarli, których Aaron zostawiła, bez reszty zajęta oddychaniem. Nabrzmiwa potężny chór, ale ona słyszy tylko jeden głos, głos Nika: „Zostawisz mnie tutaj, żebym po prostu zdechł?”. Klęcząc obok niego w magazynie i próbując ułożyć jego głowę na swoich kolanach, spostrzega, że jest to André. Szepcze: „Prawda leży na szóstym torze”. Aaron budzi się w swoim berlińskim mieszkaniu, czuje pieczenie dużego palca u nogi. To Marlowe – skubie ją, mruczy i zachowuje się tak, jakby leżał obok niej od zawsze. A przecież dopiero tej nocy wskoczył przez otwarte okno, aby zostać z nią przez jedenaście cudownych lat. Aaron go obwąchuje – Marlowe pachnie kocimi języczkami, poranną rosą i włóczęgą. Nagle Aaron siedzi na stołku w barze w Clichy, pije likier anyżowy, pali gitane’a bez filtra i czuje swędzenie blizny na obojczyku. Otwiera gwałtownie drzwi męskiej toalety. Pavlik spogląda na nią, wytrzeszczając oczy,

Aaron zaś odłamuje jeden zausznik swoich okularów przeciwsłonecznych, po czym prawie cały wbija w nos Baska, który próbuje udusić Pavlika drucianą pętlą. Chce złapać przyjaciela, ale coś rzuca ją w ramiona matki, która szlocha tak rozpaczliwie, że nie może dobyć z siebie słowa. Właśnie powiedziała mężowi, że od niego odchodzi, Aaron wie, że powodem jest ona, córka, którą jej odebrał, gdy po raz pierwszy wziął ją na strzelanie do kamieniołomu. Łzy podchodzą jej do oczu, ale nie może zapłakać i klęka w pustej sypialni. Chowa twarz w ulubionej koszuli ojca, który dzisiaj umarł. Zapach jego cygar, wody kolońskiej i czegoś, czego nigdy nie udało się jej zidentyfikować, co jednak należało wyłącznie do niego i pozwalało jej czuć, że zawsze będzie ją chronił, sprawia, że dopiero w środku nocy znajduje w sobie dość siły, by odłożyć tę koszulę.

„Przestań się bronić – przenika do niej z wieczności głos ojca. – Zobacz, jak tu pięknie”.

Aaron otwiera oczy. Widzi pod sobą nieruchomego Holma, którego zabiera woda. Jego usta są lekko rozchylone, jakby szyderczo się uśmiechał. Czarna koszula i czarne spodnie lepią mu się do ciała. Trzy górne guziki koszuli są oderwane. Aaron dostrzega fragment tatuażu – może to jakiś japoński znak; nie jest pewna. Palce wskazujący i środkowy prawej ręki Holma są jeszcze tak sztywne jak w chwili, gdy chciał je wcisnąć w jej kość gnykową. Aaron spostrzega ze zdumieniem, że drugie ciało, jej własne, także opada na dno. U nasady włosów widnieje blizna, którą na ogół zasłaniają kosmyki – to wspomnienie treningu sprzed kilku tygodni. Dziwne, że jest taka mała, oceniała ją na większą.

Trąca Holma, a ten znów robi fikołka. Patrzą sobie w oczy. Jego są niebieskie, w źrenicach igrają płomyki przypominające miecze. Odpycha go od siebie, sama spada coraz głębiej i głębiej, nie znajduje się już w rzece, tylko w dalekim morzu – to na pewno Rów Mariański. Wężowata ryba ulatnia się, olbrzymi kalmar wybałusza ślepią, zmęczony rekin chochlik okrąża ją, ryba ogackowata mruga na powitanie. Dziwaczne istoty, pośród których ona jest najdziwniejsza. Pragnęłaby

zostać tu na zawsze – ponieważ właśnie tutaj jest jej miejsce.

Coś jednak chwytą ją i delikatnie ciągnie w górę. Aaron tego nie chce, marzy, żeby zostawiono ją w spokoju. Holm znów jest pod nią, samotnie wiruje w mrok.

Wysoko nad sobą Aaron widzi białe światło, reflektory zdalnie kierowanego pojazdu podwodnego, na którego łapie wisi.

„Nie śpiesz się, czekam”, szepcze Ben.

Aaron budzi się i wymiotuje wodą. Nie wie, jak długo była nieprzytomna. Przypomina sobie André i Marlowe’a, bar w Clichy, łzy matki, koszulę ojca, swoją bliznę. Ale zagadką pozostaje, w jaki sposób dostała się na brzeg. Na który brzeg? Jak daleko podryfowała?

Jedna myśl ciśnie się jej do głowy: to z pewnością drugi brzeg, w przeciwnym razie Żetonowe Oko już by tu był.

Rzeka szumi. Rozlega się krzyk myszołowa. Bicie serca Aaron przypomina tykanie zegarka zakopanego w śniegu. Coś stuka, bardzo blisko niej. Co to jest? Nasłuchuje i stwierdza w końcu, że to szczękają jej zęby.

Marzną. To dobrze.

Jakiś samochód.

Odgłos przybiera na sile, po czym się oddala. Gdzieś jest droga, ale jak daleko stąd? Zbyt wiele trudu przysparza Aaron rozeznanie, czy leży na brzuchu czy na plecach. Rozkazuje swojemu małemu palcowi lewej ręki, żeby się poruszył. Dziwne, ale jest posłuszny. Teraz prawy. Ten się wzbrania, ale w końcu nieznacznie drga. Aaron ośmiela się poruszyć ramionami. Wykonuje półkolisty ruch, lecz trwa to niesłychanie długo.

Leżę na brzuchu.

Opuszkami obmacuje podłoże i ma wrażenie, że jej palce ślizgają się po wypolerowanym aluminium, ale nie ma w nich czucia.

Co to jest? Ziemia? Śnieg? Drewno?

Musi wstać, chociaż usilnie pragnie dalej leżeć i po prostu zasnąć. Wykonując groteskowe wygibasy, próbuje się podnieść. Zamiast mięśni ma galaretowatą masę, która przy najmniejszym wysiłku poddaje się i deformuje.

Wreszcie się udaje. Aaron chwieje się, lecz stoi. Uderza językiem o podniebienie. Nie ma echa. Robi jeden krok, drugi, trzeci. Jak staruszka drepcze z wyciągniętymi ramionami po lodowatym podłożu, upada, uderza się o kamień, czuje krew. Wykorzystuje ból, aby zapomnieć o swojej rozpacz. Po gałęzi, która najpierw muska jej bark, a potem szybko uderza ją w policzek, poznaje, że znów się porusza.

Ponownie słyszy odgłos auta, które zbliża się i oddala.

Jest gdzieś niedaleko.

Nogi się pod nią uginają i tym razem nie udaje się jej wstać. Nienaturalnie wolno brnie na czworakach do przodu, wreszcie czołga się po zaśnieżonym asfalcie. Równie dobrze może to być pole. Albo szyba. Albo nawet góra.

Kolejny samochód. Aaron jest na drodze. Z nieopisaną ulgą rozpościera ramiona. Kierowca hamuje w ostatniej chwili. Auto pędzi wprost na nią i zatrzymuje się tak blisko, że śnieg pryska jej w twarz.

Ktoś otwiera drzwi, zbliżają się kroki.

Jestem ocalona.

Męczy ją nawet sama ta myśl.

– Witaj, zdroiro.

Aaron traci przytomność, jeszcze zanim trafia ją pięść Żetonowego Oka.

Pracownica więzienia, która towarzyszy Pavlikowi w drodze do budynku numer sześć, jest młoda, ale zmęczone oczy, głębokie bruzdy w okolicach nosa i warg i zaciśnięte usta nie pozostawiają wątpliwości: za dwa tysiące euro brutto musi godzić się na to, żeby ją obrażano i upokarzano, a także wysłuchiwać gróźb pod swoim adresem. Pavlik zapytał ją o nazwisko. „Engelschall”, wymamrotała cicho. Od czasu, gdy nikt nie zauważył, że Melanie Breuer nie opuściła budynku, pracownicy więzienia mają zszargane nerwy. Dochodzenie komisji do spraw zabójstw również zrobiło swoje.

Kiedy Pavlik bez wcześniejszej zapowiedzi wsunął legitymację służbową do śluzy wejściowej, wszyscy nabrali wody w usta. Gdy pojawia się Wydział, trzeba uważać, i najlepiej nic nie mówić, inaczej z pewnością dojdzie do awantury.

Obok przejeżdża z szumem pojazd elektryczny, dwaj więźniowie siedzą na koźle, za nimi na powierzchni ładunkowej znajdują się miedziane rury. Z kącika ust kierowcy niedbale zwisa suchy skręt, popiół ulatuje wraz ze śniegiem.

– Jak prowadził się Sascha Holm? – pyta Pavlik kobietę, której zamaszyste, pośpieszne kroki zdradzają, że chciałyby mieć już tę sprawę za sobą.

– Jako tako – odpowiada mrukliwie.

– Żadnych zajść?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Ma pani przecież ludzi w budynku numer sześć.

– I co z tego?

– Czy chce się pani raz jeszcze pofatygować na przesłuchanie do Czwartego Wydziału Zabójstw?

Drzenie warg kobiety pozwala przypuszczać, że nie jest to szczególnie kusząca perspektywa. Po czasie do namysłu, jaki daje jej Pavlik, syczy przez zęby:

– Przedtem był tu szefem pewien Litwin. Morderca, do którego nikt nie miał odwagi się zbliżyć. Sascha od razu pierwszego dnia złamał mu szczękę i było jasne, kto od teraz tu rządzi.

– Dostał ścisły areszt?

– Hmm...

Pavlik widzi przed sobą gołą piankową matę, zakratowaną lampę, cegły szklane zamiast okna. Nie ma kaloryfera ani niczego, co można by wyrwać, jest za to monitoring. Jeśli jakiś więzień ciężko zrani innego więźnia, trafia do tego lochu na miesiąc.

– Jak długo tu był?

– Musiałabym sprawdzić.

Pavlik przystaje, zmuszając kobietę, by również się zatrzymała.

– Powie pani kolegom: „Łyknał każde słowo. To zblazowany dupek z Wydziału, który miał pecha, że trafił akurat na mnie”. Wszystko, o czym tu rozmawiamy, zostanie między nami.

Engelschall mruga.

– Przyprawdzili go tu na pół godziny.

– Polecenie z góry?

Funkcjonariuszka tylko kiwa głową.

– Jak często Sascha robił coś, za co powinien tu lądować?

– Nie liczyłam.

Pavlik pyta dalej:

– A jak często tu bywał?

– Tak naprawdę ani razu nie został ukarany. Nikt tego nie rozumiał. – W każdym jej słowie pobrzmiwa wściekłość. – Przez pewien czas zwalczali się zażarcie z jednym Ukraińcem, grubą rybą w narkobiznesie. Któregoś dnia znaleziono go martwego pod prysznicem. Wszyscy wiedzieliśmy, że zrobił to Sascha, ale nikogo z przełożonych to nie zainteresowało. A on przez tydzień tylko się śmiał.

– Czy często zadawał się z Boenischem?

– Nie rzuciło mi się to w oczy. – Engelschall czuje jego spojrzeń. – Ale też nie przyglądałam mu się przesadnie.

Na ogrodzonym terenie przed budynkiem numer sześć,

przypominającym wielką klatkę, Pavlik widzi więźniów, którzy nie mogą się doczekać, aż znów znajdą się w ciepłe. Muszą jednak stać na dworze, dopóki nie pozwoli im wrócić, ponieważ zarządził, że ci z drugiego piętra albo zostaną w zamknięciu, albo też zaczekają na zewnątrz, dopóki on w spokoju nie zbada celi Saschy. Dla większości mniejszym złem było zimno. Kiedy Pavlik mija grupkę skazanych, jeden z nich chrypi:

– Nie śpieszcie się, nie mamy złych zamiarów.

Pavlik wchodzi do budynku za funkcjonariuszką i równocześnie odbiera telefon komórkowy.

– Słucham?

– Mam dane dotyczące zabójstwa na cmentarzu w Kolonii – mówi Fricke. – Pełnia lata, wpół do dwunastej w południe. Jasne, błękitne niebo, około trzydziestu stopni, wilgotność powietrza osiemdziesiąt sześć procent, bezwietrznie. Dach, na którym zasadził się Holm, był oddalony od celu o tysiąc sto dziewięćdziesiąt jeden metrów i znajdował się na wysokości pięćdziesięciu pięciu metrów. Ale myślę, że on nie jest tak dobry, jak ci się wydaje.

– Jak to?

– Musiał oddać dwa strzały. Pierwszy trafił ofiarę w ramię, drugi w skroń.

– Które ramię? Z przodu czy z tyłu?

– Prawe z tyłu.

– Kaliber?

– .700 nitro express. Facet zwariował! Dosłownie rozsadził mu głowę.

Pavlik przystaje na schodach. Czuje, jak sztywnieją mu mięśnie karku.

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak. Dziękuję. Na razie.

Chowa telefon, opuszcza brodę na klatkę piersiową, słyszy chrzęst najwyższego kręgu szyjnego. Jest do tego stopnia pogrążony w myślach, że Engelschall pyta go aż dwukrotnie:

– Idzie pan?

Funkcjonariuszka otwiera drzwi. Pavlik oglądał w swoim życiu wiele cel i żadna nie była podobna drugiej. Miał okazję

podziwiać ściany wytapetowane zdjęciami nagich dziewczyn, orientalne abażury, leżące przed pryzmami chodniki zrobione z szalików fanów klubów piłkarskich, zasłony z kapsli, deski klozetowe z motywami pornograficznymi, fotografie przedstawiające zachody słońca. Jak dotąd nic nie przebiło plastikowej papugi, która w Santa Fu, w celi pewnego Chińczyka, zwieszała się z sufitu i bez przerwy skrzeczała: „Dupek Django”. Bywają miłsze określenia klawiszy.

Pavlik nigdy nie widział celi takiej jak ta, w której siedział Sascha – gołe ściany, ani jednej książki, brak telewizora i radia, brak jakiegokolwiek osobistego przedmiotu. Nie ma tu nawet produktów spożywczych, grzebienia czy kawałka mydła. Prycza nie jest posłana, na podłodze leży szary wełniany koc.

– Dlaczego została już opróżniona? – pyta Pavlik.

– Nie została. Taka była.

Pavlik otwiera szafę: spodnie, koszula, bielizna, nic poza tym. Obmacuje ubrania.

– Jak spędzał czas?

– Niech pan spyta tych, którzy siedzą obok. Mogę wymienić przynajmniej piętnastu więźniów, który przez pół roku nie mieli odwagi pójść w pojedynkę pod prysznic.

Pavlik klęka i opukuje jedną z listew.

– Czy ktoś kiedyś sprawdzał tę celę?

– Nikt się nie ośmielił.

Pavlik odkręca syfon przy umywalce. Nic. Wstaje, obmacuje materac. Stawia pryzcę na sztorc, włącza latarkę w telefonie i świeci do środka rurek stanowiących nogi. Do jednej z nich wkłada palec i wyciąga karteczkę. Widnieją na niej słowa: „To jest początek twojej drogi”.

Kartka jest poźółkła, wielokrotnie złożona, charakter pisma podłużny i ostry, każda litera przypomina wykrzyknik. Pavlik nie ma wątpliwości, że słowa te napisał Holm, najprawdopodobniej dawno temu – może był to gryps, który wysłał bratu już w Barcelonie. Tekst jest niewinny, nie wywołałby zgorszenia żadnego klawisza, a mimo to Sascha ukrył tę kartkę. Jaką drogę ma na myśli Holm? Pavlik podejrzewa, że to ważne.

– Pia, jak długo to jeszcze potrwa? – skrzeczy jakiś męski głos w walkie-talkie Engelschall.

– Nie mam pojęcia – odpowiada kobieta.

– Kiedy został dzisiaj zamknięty? – pyta Pavlik.

– Tuż przed ósmą.

– Dwie godziny później nasi ludzie wyprowadzili go z celi. Czy w tym czasie był ktoś u niego?

Kobieta wzrusza ramionami i unika wzroku Pavlika.

– Pani Engelschall, niech się pani zastanowi. Jeśli pani lub pani koledzy nie będą z nami współpracować, zaczniemy rozmawiać z więźniami, którzy pracowali w budynku. Któryś z nich na pewno widział, komu pani otwierała.

Engelschall nadal milczy.

– Ma pani takie ładne nazwisko. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiał wdrożyć przeciw pani postępowanie dyscyplinarne.

– Przez pięć minut przebywał w celi dyrektor Maske – wykrztusza z siebie. – Kiedy wyszedł, był mokruteńki.

W przestronnym gabinecie szefa, mającym aż trzydzieści metrów kwadratowych, robi się bardzo ciasno, gdy oprócz niego przebywa tam czterech ludzi z policji federalnej, którzy sprawdzają jego stacjonarny komputer, przeglądają akta i korespondencję. Wystraszona sekretarka siedzi w kącie pokoju, gdy dwaj inni policjanci również tutaj wywracają wszystko do góry nogami.

Zanim Pavlik kazał pokazać sobie celę Saschy, spotkał się z kolegami przed więzieniem. Chciał mieć pewność, że nikt nie uprzedzi Hansa-Petera Maskego telefonicznie, więc jeden z policjantów zatrzymał go w służbie, a pozostali weszli w tym czasie do jego biura.

Kiedy Pavlik wkracza do sekretariatu, zauważa Toma Döblera. Znają się od lat, jeszcze z Akademii Policyjnej. Kiedyś Döbler stwierdził:

– Przeszukania to moja specjalność.

Znalazłby soczewkę kontaktową w pojemniku na stare szkło.

– I jak to wygląda? – pyta Pavlik półgłosem.

– Na obydwu komputerach znajdują się tylko dwa

dokumenty dotyczące Saschy Holma – odpowiada cicho Döbler. – Pochodzący sprzed pół roku mail z potwierdzeniem, że został przyjęty, i dzisiejsza adnotacja na temat przewiezienia go do was. Gdyby nie to, można by pomyśleć, że nigdy tu nie siedział.

Pavlika to nie dziwi.

– Ale mam coś innego. – Döbler podaje mu jakiś świstek. – Dzisiaj o ósmej rano ktoś zadzwonił do Maskego na telefon komórkowy. W ostatnim miesiącu rozmawiał z tym kimś trzykrotnie. Ani jedna rozmowa nie trwała dłużej niż minutę.

Pavlik przygląda się dziewięciocyfrowemu numerowi.

– Wojskowy telefon satelitarny. Zapomnij o jego zlokalizowaniu – mówi Döbler.

– Jak udało się wam dostać od administratora dane telefoniczne Maskego?

– Znam kogoś w firmie jego operatora. Załatwiliśmy to bez zbędnych formalności.

– Jeśli ktoś będzie się skarżył na policję federalną, przyślij go do mnie – mówi Pavlik. Obaj się śmieją. – Masz dla mnie tę pocztę?

– Już wydrukowałem.

Döbler podchodzi do biurka i podaje Pavlikowi akta przeniesienia Saschy, które, ponieważ Helmchen o nie dopytywała, niedawno przysłano z referatu sprawiedliwości w senacie. Pavlik przegląda je, przelatuje wzrokiem najważniejsze fragmenty.

Maske zaczyna się awantuować:

– Żądam, żeby wreszcie pozwolono mi zadzwonić! Nie mają panowie nakazu rewizji, to karygodne!

Pavlik podchodzi do drzwi.

– Dzień dobry, panie Maske, proszę nie wstawać. Federalny prokurator generalny uzyskał od sędziego nakaz przeszukania. – Maske się kurczy. – Jest tymczasowy protokół, formalna decyzja przyjdzie lada moment faksem. Jeszcze zajrzę do pana. – Zanim Maske zdąży coś powiedzieć, zamyka drzwi, bierze krzesło i siada okrakiem naprzeciw sekretarki. – Nazywam się Müller. A pani? Zdradzi mi pani swoje nazwisko?

– Margot Burri.

Pavlik świetnie potrafi rozpoznawać dialekty. Lekki zaśpiew w sposobie mówienia sekretarki pozwala mu przypuszczać, że pochodzi ona z Nadrenii.

– Od kiedy pracuje pani dla pana Maskego?

– Od piętnastu lat.

– Ach, wobec tego była pani jego sekretarką już w Kolonii?

Zalękniona kobieta potakuje skinieniem głowy. Ale przez jej lęk przebłyskuje świadomość władzy, świadomość, że jest psem łańcuchowym człowieka, który ma pod sobą siedmuset funkcjonariuszy i sześciuset pięćdziesięciu więźniów.

– A gdy niedługo pan Maske zostanie dyrektorem Wydziału Więziennictwa w senacie, również zabierze panią ze sobą?

– Tak.

– Gdzie jest błąd w moim ostatnim pytaniu?

Sekretarka patrzy na niego bezradnie. Jej twarz mogłaby się spodobać mężczyźnie w średnim wieku, który lubi ostro zarysowane, umalowane usta przywykłe do poważnego przekazywania otrzymanych poleceń. Burri jest mocno upudrowana, jej fryzura to hełm, ani jeden włoszek nie odstaje.

– Błąd jest taki: pan Maske nigdy nie obejmie tego stanowiska. Na bardzo długo pójdzie do więzienia, i to nie jako dyrektor. Czy warto, żeby ryzykowała pani swoją emeryturę?

Kropla potu żłobi ścieżynkę w pudrze.

– Przecież ja nic nie zrobiłam.

– Sascha Holm od pierwszego dnia terroryzował więźniów z budynku numer sześć. Dlaczego nie ma na ten temat ani jednej wymiany pism, żadnych adnotacji w aktach, najmniejszego świstka papieru?

– Nie wiem.

– Chce mi pani powiedzieć, że nigdy nie dzwonił tutaj żaden pracownik penitencjarny i nie prosił o spotkanie z dyrektorem w sprawie Holma? Nie przysłał maila? Nie skarżył się, że wobec więźnia nie zostały wdrożone żadne środki karne?

– Pan Maske załatwiał to wszystko ustnie.

– Czy taką macie praktykę? Również w przypadku innych więźniów?

– Nie – szepcze zbity z tropu sekretarka i pociera kciukiem paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem.

Przychodzi faks.

– Czy była pani przy jakiejś rozmowie?

Burri kręci przecząco głową.

Pavlik spogląda na jej obrączkę.

– Jest pani zamężna. Dzieci?

– Dwoje.

– Ma pani wiele do stracenia. A jedyna rzecz, jaką ja mam do stracenia, to cierpliwość.

Powieki Burri drgają.

– Raz – przyznaje.

Döbler wchodzi z faksem.

– Jest nakaz.

– Pan Maske na pewno się ucieszy. Bądź tak miły i mu go pokaż.

Döbler kieruje się do sąsiedniego pokoju, a Pavlik ponownie zwraca się do sekretarki:

– Kiedy to było i o co chodziło?

Każde słowo Margot Burri stanowi pożegnanie z jej pięknym, świeżo odnowionym biurem w senacie.

– Przed kilkoma miesiącami mieliśmy w budynku numer sześć martwego Ukraińca. Dwaj pracownicy więzienia mówili, że Sascha Holm mu groził. Chodziło o narkobiznes. Pan Maske pytał, czy mają dowody na to, że zabójstwo popełnił Holm. Zaprzeczyli. Zwrócił im uwagę, żeby nie próbowali niczego sugerować w rozmowach z komisją do spraw zabójstw. Nie taka ma być polityka naszego urzędu.

– I oni po prostu się tego trzymali?

Głos sekretarki cichnie coraz bardziej:

– Najpierw dostali urlop, a potem zostali przeniesieni do kontroli wejść i wyjść.

– Dzisiaj rano zażądaliśmy akt osobowych funkcjonariuszy, którzy mieli kontakt z Saschą. Gdzie one są?

– Musiałam je wszystkie najpierw... – urywa, widząc zmarszczone czoło Pavlika. – Pan Maske powiedział, że mam państwa zwodzić.

Pavlik wstaje.

– Zaraz opowie to pani również kolegom z policji kryminalnej. Oni wszystko spiszą. Taka jest polityka **naszego** urzędu.

Pavlik wchodzi do gabinetu szefa. Segregatory wypełniają trzy pudła, spakowany został również komputer stacjonarny. Maske siedzi samotnie przy stole konferencyjnym, z rękami złożonymi na kolanach, z nieruchomym spojrzeniem utkwionym w ścianie – jakby na gwałtownie kołyszącym rowerze wodnym, na pełnym morzu, dostał choroby morskiej i musiał znaleźć jakiś stały punkt, aby nie zwymiotować.

– Macie już wszystko? – pyta Pavlik.

– Tak – odpowiada Döbler. – Potrzebujesz nas jeszcze?

– Trzeba zaprotokołować zeznanie sekretarki, najlepiej u was. I zostaw tu dwóch kolegów, niech zaaresztują pana Maskego.

– Timo, Karsten, wy to zrobicie – zwraca się Döbler do kolegów. A potem znów mówi do Pavlika: – Zakładam, że najpierw chcesz jeszcze z nim pogawędzić.

– Owszem.

Pavlik ubija zapalniczką tytoń w lucky strike’u, czeka, aż wszyscy wyjdą i drzwi się zamkną, zapala papierosa i szuka czegoś, co mógłby uznać za popielniczkę. Funkcję tę spełnia wazon z chryzantemami, które Maske otrzymał z okazji awansu. Pavlik wyrzuca kwiaty do śmieci, stawia wazon na podłodze obok stołu i siada u jego czoła.

Eva Askamp, Eva Askamp, Eva Askamp...

O okno odbija się zapowiedź z głośnika:

– Koniec czasu wolnego.

Serowata skóra Maskego napina się na ostrych kościach policzkowych.

– Myśli pan, że pozwolę się zastraszyć? Bez adwokata nie odpowiem na żadne pytanie.

Pavlik nawet nie zaszczyca go spojrzeniem. Otwiera akta Saschy i przez następne dziesięć minut jest pogrążony w lekturze. Podkreśla pewne miejsca, robi notatki, strzepuje popiół do wazonu, podczas gdy Maske powoli się rozplywa. Wreszcie Pavlik podnosi wzrok.

– Nie chcę się nudzić, słuchając pańskich kłamstw. Zrobimy tak: ja powiem panu, co wiemy o pana kontaktach z Holmem i jego bratem, a potem zadam panu pytanie. Tylko jedno.

Maske milczy.

– Przed dwunastu laty był pan dyrektorem zakładu karnego Ossendorf w Kolonii. Wstawił się pan za więźniem Arturem Bedrossianem, chociaż znajdował się on w ścisłym areście, i zezwolił mu pan na wyjście. A przecież...

– Umarł jego ojciec – przerywa mu Maske. – Przyzwoitość nakazywała, żeby wydać więźniowi pozwolenie na uczestnictwo w pogrzebie.

– Nie powinien pan używać słów, które są panu obce. Bedrossian został zlikwidowany na cmentarzu. Wiemy, że zrobił to Holm. Z pewnością dobrze panu zapłacono. – Maske znów chce coś powiedzieć, ale Pavlik unosi brew. – Wyjaśniłem panu procedurę. Jeśli pan woli, przekażę pana policji federalnej, gdzie pan i pański adwokat będą się mogli dowiedzieć, jaka jest sytuacja dowodowa.

Maske milczy.

– Zastanawia się pan, w jaki sposób chcemy dzisiaj dowieść wysokości honorarium, które pan wówczas wziął – ciągnie Pavlik. – To bardzo proste: podczas gdy my tu sobie gawędzimy, w pańskim domu są funkcjonariusze. Jeśli ma pan zagraniczne konta, otrzymamy do nich dostęp. Interesują nas wpływy sprzed dwunastu lat. Jeśli zapłacono panu gotówką, zbadamy każdy większy wydatek poczyniony przez pana w kolejnych latach i dowiemy się, skąd wziął pan pieniądze na zakupy. W takich sprawach jestem niezwykle skrupulatny.

Maske markuje uśmiech.

– Nie umiem powiedzieć, jakie interesy poza tym robił pan jeszcze z Holmem, ale się tego dowiemy. Co do jednego wszakże nie mamy wątpliwości: odegrał pan pewną rolę w przeniesieniu jego brata do Tegla. Kiedy złożył wniosek w Barcelonie, bez wahania wydano zgodę. Byli szczęśliwi, że mogą się go pozbyć. Ale w berlińskim senacie, w referacie sprawiedliwości, wahano się. Świetnie to rozumiem, bo w dokumentach z Hiszpanii znajduje się zarys kariery

więziennej Saschy. Nawet jeśli założymy, że Hiszpanie połowę opuścili, a resztę upiększyli, nadal pozostaje nam obraz człowieka, któremu pochlebiałoby, gdyby nazwano go psychopatycznym zabójcą. Co zatem uczynił senat? Poprosił pana o zabranie głosu. A pan zdecydowanie nadmiernie zaangażował się w przeniesienie Saschy. Chwileczkę, ten fragment podoba mi się najbardziej. – Pavlik kartkuje dokumenty i znajduje odpowiednie miejsce. – „Zwłaszcza ze względu na społeczne perspektywy, jakie otworzyły się przed więźniem dzięki jego przyjaciółce, uważam przeniesienie go do Berlina za absolutnie celowe. Przeprowadziłem już rozmowę z tą młodą kobietą, aby osobiście przekonać się o uczciwości tego związku, i wierzę głęboko, że jest on uczciwy”. – Pavlik zamyka akta. – Ta kobieta została dzisiaj zamordowana przez Holma, podobnie jak nasi trzej ludzie. Ale przecież pan już o tym wie. Holm zadzwonił do pana o ósmej rano z poleceniem, aby poszedł pan do jego brata i przekazał mu tę wiadomość. Ta rozmowa telefoniczna jest udokumentowana.

Dłonie Maskego drżą, choć kładzie je na stole.

– Na razie nie interesuje mnie, czy za swoje usługi otrzymał pan w ciągu ostatniego półrocza kolejne honorarium, czy też robił pan to, co robił, ze strachu przed Holmem. Jedno wiemy: krył pan wszystkie zbrodnie, które popełnił tu brat Holma. To panu można zawdzięczać, że wszyscy więźniowie byli w jego obecności potulni jak baranki. Potrafimy to udowodnić. Już za samo zamordowanie Melanie Breuer oskarżymy pana o współudział. Nie wiem, ile będzie pan musiał zapłacić swojemu pełnomocnikowi, ale żaden adwokat na świecie nie wyciągnie pana z tego bagna.

Twarz Maskego jest biała jak piana wzburzonej wody.

Dzwoni telefon Pavlika.

– Słucham?

To kolega z policji federalnej.

– Przewróciliśmy u Maskego wszystko do góry nogami. Musimy się szczegółowo przyjrzeć dokumentom finansowym, ale nie wygląda na to, żebyśmy cokolwiek znaleźli. Wychodzimy.

Do diabła.

Pavlik posyła Maskemu swój najszerszy uśmiech, odkłada telefon i mówi:

– No, no, no.

Maske zapada się w sobie.

– Teraz zadam panu pytanie. Niech się pan spokojnie zastanowi, ile jest dla pana warta odpowiedź. Dla mnie byłaby ona warta rozmowy z prokuraturą federalną. Gdybym się wysilił, mógłbym wyprosić dla pana zamiast dożywocia siedem albo osiem lat. Nie jest to obietnica, tylko pewna mglista możliwość – oto, w co się pan wpakował. A jeśli pan myśli, że pański adwokat zrobi lepszy deal, to jest pan w błędzie. Z pewnością doradzi panu, żeby całował mnie pan po nogach. – Spogląda na niego wzrokiem, który już niejednemu napędził stracha. – Czy wie pan, dokąd zamierza pojechać Holm?

Pavlik widzi, że Maske jeszcze nigdy tak bardzo jak teraz nie pragnął udzielić poprawnej odpowiedzi. Mimo to dyrektor szepcze:

– Nie.

Najpierw Aaron słyszy swoje serce – bije spokojnie i równomiernie. Sen się ulatnia, nie będzie go już pamiętała. Powoli przesuwa językiem po zębach, ale nic nie czuje. Chce się ugryźć w wargę, nie może jednak otworzyć ust, bo coś je skleja. Oczy ją boją. Nie jest jej zimno. Ma na sobie suche ubranie, jego dotyk na skórze wydaje się obcy. Gdy Aaron porusza głową, szyja ociera się o coś szorstkiego. Czuć spalenizną. Podłoże wibruje. Jada.

Znów jest w ładowni furgonetki.

Ktoś siedzi obok, prawdopodobnie Bosch. Aaron usiłuje coś powiedzieć i z trudem rozkleja wargi zlepione zaschniętą śliną.

– Papierosa. Proszę.

Ma głos jak stuletnia staruszka leżąca na łożu śmierci.

– Nie palę.

Aaron zna ten głos. Ale to przecież niemożliwe, bo jest to głos człowieka, który utonął na jej oczach.

– Oboje byliśmy nieżywi. Co pani widziała?

Udzielając mu odpowiedzi, przyznałaby, że on żyje. Nie może tego zrobić.

– Widziałem siebie umierającego – mówi głos. – To było piękne. Gdy doszedłem do siebie i dryfowałem w rzece, z początku czułem rozczarowanie. Pociłem się. Pani również?

Aaron pragnie z powrotem stracić przytomność.

Pukanie, a potem metaliczne skrobanie w okienko łączące ładownię z kabiną kierowcy. Głos mówi:

– Proszę mi podać papierosa.

Aaron nie czuje rąk ani nóg – a zatem jest skępowana. Słyszy dźwięk zapalania zapalki, po chwili ktoś wsuwa jej papierosa do ust. Aaron się wzbrania, ponieważ gdyby zapaliła, byłby to kolejny dowód na istnienie mężczyzny, którego śmierć widziała. Zauważa jednak, że zaciąga się tak mocno, że aż

marszczy się filtr.

– Bardzo wnikliwie studiowałem pani poczynania, a mimo to pani nie doceniłem. Powinienem był rozeznaczyć się lepiej. Udało się pani wydostać z piwnicy Boenisha, chociaż również tam była pani niewidoma. Mimo odniesionych obrażeń wyeliminowała pani zardzewiałym gwoździem faceta ważącego ze sto pięćdziesiąt kilo. A przed godziną zabiła pani mnie. – Ponownie daje jej pociągnąć chesterfielda. – Mamy ze sobą wiele wspólnego. Oboje byliśmy w piwnicy.

– Czy pan też miał gwoździe?

Aaron nie może uwierzyć, że naprawdę z nim rozmawia. Wie, że on czuje jej pragnienie zaspokojenia głodu nikotynowego, i jest mu wdzięczna za następne pociągnięcie.

– Pani gwoździe był tylko narzędziem, dzięki któremu spełniła pani swój cel. Ale dlaczego zatrzymała się pani w pół drogi, zamiast dokonać zemsty? Boenisch leżał przed panią bezbronny. Mogła pani pozwolić, żeby się wykrwawił.

Aaron milczy.

– Ja nie zatrzymałem się w pół drogi. Dlatego zawsze mogłem wyjść z piwnicy, a pani nie. Później zapytam panią o to jeszcze raz. Zgłębijmy temat zemsty.

– Może wtedy stałabym się taka jak pan. To byłoby gorsze niż moja piwnica.

– Jakoś znoszę to brzemię. Większym brzemieniem jest to, że nie spełniłem jeszcze swojego przeznaczenia. To również nas łączy. Pani zna tę przeszywającą pustkę, strach, że wszystko od naszych narodzin, wszystko, co robiliśmy, na co mieliśmy nadzieję i co wycierpieliśmy, będzie nadaremne, jeśli umrzemy bez powodu. Ale ja panią wybawię. Bo pani jest moim przeznaczeniem, a ja pani.

Następne pociągnięcie smakuje gorzko. Aaron odwraca głowę.

– Pani wie, jak to jest, kiedy człowiek jest uzależniony, ale nigdy nie zaspokaja swojego uzależnienia. Pani odraza dowodzi, że jest pani słaba. Ja jednak mogę pociągać tego papierosa, który smakuje pani ustami. Mógłbym wypalić tysiąc albo dziesięć tysięcy i natychmiast przestać, nie pamiętając ich

smaku. Mój ojciec dostał ode mnie to, co mu się należało. Dzięki temu odejście było dla mnie o wiele łatwiejsze, niż gdybym dźgnął go w kark zardzewiałym gwoździem.

– Dlaczego zabrał pan wtedy brata? Przecież on nic dla pana nie znaczy.

– Tak pani myśli?

– Mogę dostać jeszcze macha?

Holm pozwala, żeby jej płuca wypełniły się dymem. Aaron próbuje nie myśleć o tym, że miał tego papierosa w swoich ustach.

– Była zima. Szliśmy zaśnieżonymi ulicami, sypialiśmy w leśniczówkach. Kiedy jest się w biedzie, żaden ból nie jest większy niż przypominanie sobie o czasie szczęścia. Ale jakie szczęście mieliśmy wspominać? Po miesiącu pieniądze się nam skończyły. Czy kiedykolwiek coś pani ukradła?

Aaron nie odpowiada, ale widzi siebie w Monachium. Jest zima, luty. Wydział chce, żeby w każdym środowisku umieli się poruszać niepostrzeżenie. Aaron miała się nauczyć, jak przeżyć w obcym mieście jako osoba bezdomna i bez grosza przy duszy. Musiała tak spędzić cały tydzień. Już dwa dni wcześniej nie mogła jeść ani się myć, zabroniono jej też korzystać z kuchni dla ubogich. Była kontrolowana. Próbowwała żebrać, ale takiej brudnej i w łachmanach, jaką wypuszczono ją na ulicę, nikt nie chciał niczego dać. Była tak głodna, że ukradła chleb. Syn właściciela sklepu stłukł ją, a ona nie miała prawa się bronić, bo to zniszczyłoby jej fikcyjną tożsamość. Najgorszy był jednak wstyd.

– Gdy człowiek jest głodny, kradzież przychodzi z łatwością – ciągnie Holm. – Ja brałem tylko tyle, ile potrzebowaliśmy. Saschy kazałem czekać przed sklepami i zawsze kiedy wracałem, myślałem, że go już nie będzie. Nie wiedziałem, czy poczułbym ulgę. Musiałem wyrównać dług, a on, uciekając, mógłby mnie z tego zwolnić. Nie zrobił tego. Jadł chleb, który kradłem, i bez słowa układał się obok mnie do snu. Któregoś dnia zobaczyłem kobietę wychodzącą z restauracji. Powiedziałem, że chcę mieć jej auto, i zażądałem, żeby oddała mi swoją torebkę. Zaczęła wzywać pomocy. Uderzyłem ją

pięścią i umilkła. Jeszcze nigdy nie siedziałem za kierownicą, ale jechałem tak, jakbym wcześniej nie robił niczego innego. Wówczas zauważyłem, że robiąc coś po raz pierwszy, mogę zrobić to z taką samą łatwością jak coś, co robię po raz tysięczny. Kiedy zauważyła to pani u siebie?

– Kiedy po raz pierwszy strzelałam z pistoletu – odpowiada Aaron niechętnie i tylko dlatego, że ma nadzieję, iż Holm, jeśli będzie z nim rozmawiała, poprosi Boscha o kolejnego papierosa.

– Tak, jestem w stanie w to uwierzyć. Jaki to był model?

– Starfire 9 mm.

– Doskonały pistolet dla małej dziewczynki. W moim przypadku był to tokareff TT, karabin ordynansów Armii Czerwonej, niklowany. Jego wzór opierał się na modelu browninga high-power, z pewnością pani to wie. Czy nie ma pewnej ironii w tym, że poleciała pani z tym pistoletem do Barcelony?

Nagle klatka piersiowa Aaron jest jak z betonu.

– O, to było łatwe. Poprzedniego wieczoru poszedłem za panią i Kvistem na trening z państwa katalońskimi kolegami. Kvist jest znakomitym strzelcem, bardzo szybkim, to mistrz. Ale kto nie widział, jak strzela pani, ten nie wie, czym jest doskonałość. – Ponownie stuka w okienko. – Bosch, jeszcze jednego papierosa.

Pozwala jej pociągnąć raz, drugi i trzeci.

– Sascha i ja pojechaliśmy do Hamburga. W jednym miejscu niedaleko portu stały pustostany i ludzie, którzy je zajmowali, pozwolili nam u siebie przemocować. Podzielili się z nami jedzeniem, nie zadawali pytań. Nienawidzili państwa. Wówczas było mi to równie obce jak dzisiaj, chociaż nienawiść jako taka jest mi bliska. W swoim życiu nienawidziłem trzech osób: ojca, pani i siebie.

– Dlaczego mnie?

– Ci ludzie zajmujący pustostany jednak w coś wierzyli, w swego rodzaju sprawiedliwość. Noc w noc dyskutowaliśmy o świecie, o którym nic nie wiedziałem. Czytałem ich książki. Potrafię wziąć do ręki gruby tom, przewertować go w ciągu

dwóch godzin strona po stronie i na zawsze zapamiętać każde zdanie. Pani to oczywiście zna, oboje delektujemy się tym, że nasze umysły to skarbnice wiedzy, zachwycamy się pięknem zdań i myśli, mając pewność, że rozumiemy ich sens. Ja zapoznałem się z Marksem, Habermasem, Markusem, Adornem, Dusselem i innymi. Głosili oni filozofie wyzwolenia, ale chcieli wyzwolić społeczeństwo, a nie człowieka jako takiego. Dlatego odrzuciłem te książki. Bardziej interesowali mnie strukturaliści, chociaż nie udzielali odpowiedzi na najważniejsze pytanie: „Co nadaje strukturę pani i mojemu światu?”.

– Przemoc.

– My oboje wiedzieliśmy to od dawna. Czytała pani Johna Locke’go?

– Tak.

– Spośród wszystkich filozofów jego nienawidzę najbardziej. Wątpił w to, że człowiek potrafi odróżnić dobro od zła. Pani i ja dowodzimy czegoś przeciwnego. Jakkolwiek to prawda, że większość ludzi trwa w nieświadomości.

– Pan, człowiek, który popełnił kilkanaście morderstw, twierdzi, że zna różnicę między dobrem a złem?

Papieros znajduje się tuż przy jej ustach, dym kręci ją w nosie. Ale Holm cofa rękę.

– Ilu ludzi pani zabiła?

– Za każdym razem miałam powód.

– A ja nie?

– Dlaczego zastrzelił pan nauczyciela? To morderstwo było absolutnie bez sensu.

– Naprawdę?

– Dobrze pan wiedział, że Demirci nie pozwoli mi pojechać do pana, choćby pan nawet zabił dziesięć osób. Wiedział pan również, że jego śmierć nie miała znaczenia dla powodzenia pańskiego planu. A więc dlaczego?

Przez długi czas Aaron słyszy tylko pracę silnika, stukot zużytego łożyska w kole, kołatanie haka.

– Zabiłem go po to, żeby pani mogła mi zadać takie pytanie. To było nieuniknione, to jest dialektyka – odpowiada wreszcie

Holm. – Pani pytanie zasługuje na wnikliwą odpowiedź. Ale jeszcze nie teraz. W stosownym czasie.

Aaron nienawidzi się za tę wdzięczność, z jaką pociąga papierosa.

– Ja zabijałam tylko dlatego, żeby uratować życie własne lub innych ludzi – mówi. – Od zwierząt różni nas zdolność odczuwania współczucia. Ja to potrafię, pan nie.

– Czy miała pani kiedyś jakieś zwierzę, na przykład psa? Nie, pani nie zniosłaby obok siebie żadnego stworzenia, które by się pani podporządkowało. Jeśli już, to raczej kota. Miała pani kota?

– Tak.

– Już po zdarzeniu w piwnicy Boenischa?

– Tak.

– Jak często ten kot panią pocieszał, czując, że walczy pani ze swoimi demonami? Czy to nie było współczucie?

Aaron chce mu wydrapać oczy, bo w każdym jego zdaniu zawiera się prawda.

– Jeśli chodzi o mnie: zdjąłem z pani mokre rzeczy i przykryłem panią płaszczem, chroniąc przed zamrożeniem.

– Aby móc mnie zabić, kiedy przyjdzie panu na to ochota.

Do wściekłości doprowadza ją fakt, że Holm widział ją nagą.

– Nie „kiedy przyjdzie mi na to ochota”. Nauczy się pani tego.

– Nie istnieje nic, czego mogłabym się od pana nauczyć. Co by to miało być? Wymachiwanie nogami w rzece? Gloryfikowanie morderstw przez sprowadzanie ich do dialektyki? Głuchota na błagania drugiego człowieka? Nie, nic takiego nie istnieje.

– A jednak. Sama pani zobaczy. – Pozwala jej pociągnąć papierosa. – Czytałem również metafizyków i scholastyków. Wierzyli, że od urodzenia jesteśmy winni, i to mi się podobało. Oni jednak byli niewolnikami swojej religii, dlatego nie mogłem darzyć ich szacunkiem. Nie mogę klęczeć przed bogiem, który nie szanuje mnie do tego stopnia, że wepchnął mnie do piwnicy. Jak mógłbym prosić takiego boga o wybaczenie mi grzechów, skoro on sam jest grzechem? W co pani wierzy?

– W to, co widzę.

– Nigdy nie doświadczyłem przyjaźni, słyszałem jednak, że istotną przesłankę stanowi podobne poczucie humoru. Czy jest pani zaprzyjaźniona z panem Pavlikiem?

Aaron nie odpowiada.

– Tak właśnie myślałem. Również z jego żoną?

Bydlak.

– Dziwi mnie wobec tego, że jeszcze pani nie zapytała, czy moja aluzja do jego żony i dziecka była tylko gierką z mojej strony.

– Ponieważ to wiem.

– Skąd?

– Czuję, że oni żyją.

– Potrafi to pani?

– Jeśli pan myśli, że mogłabym pana tego nauczyć, moja odpowiedź brzmi: nie. Musiałby pan najpierw wiedzieć, co znaczy kochać.

– Odmawia mi pani tej umiejętności?

– Podobnie jak odmawiam panu umiejętności odczuwania współczucia.

– Cierpliwości. Otóż pewnego dnia w pustostanie pojawili się ludzie z pałami i go opróżnili. Składali podobną przysięgę jak pani, ale współczucie było im obce, w przeciwnym razie nie cisnęliby o ścianę pewną dziewczyną, którą lubiłem, bo sypiała ze mną, nie pytając o powód mojego smutku. Nie wybiliby też kopniakami wszystkich zębów chłopakowi, który opowiadał Saschy bajki. Ci ludzie twierdzili, że wykonują rozkazy. Ile takich rozkazów pani wykonała? Jak często była pani okrutna i bez serca, nawet się nad tym nie zastanawiając?

Ani razu. Ale nie zamierzam się przed tobą usprawiedliwiać.

– Tak bardzo marzyłem o tym, żeby pomóc tym dwojgu, musiałem jednak zabrać Saschę i uciekać, bo inaczej by mi go odebrali. Przy tylnym wejściu zastąpił nam drogę jakiś policjant. Bardzo młody, właściwie jeszcze dzieciak. Zabrałem mu pałkę i użyłem jej tak, jak nauczyli mnie tego inni, a myślałem przy tym o skatowanych dziewczynie i chłopaku. Upadł nieżywy u moich stóp, patrząc na mnie tym swoim

nierozumiejącym wzrokiem. Uciekłem z Saszą i długo ukrywałem się w jakiejś szopie. Ciągle miałem przed oczami tego policjanta. Własnego ojca zabiłem słusznie, ale tutaj to było co innego. O większości ludzi zapomniałem, pamiętam jednak tego żółtodzioba z pustostanu. Niech pani nigdy więcej nie mówi, że nie znam różnicy między dobrem a złem.

Furgonetka się zatrzymuje, Żetonowe Oko odsuwa szybę w okienku.

– Jak jedziemy dalej? – pyta.

– Zaczekamy. Znajdź jakieś odpowiednie miejsce z dala od drogi – poleca Holm. – Bosch, niech pan mi da paczkę papierosów.

Zamyka okienko, zapala chesterfielda, wsuwa go Aaron do ust i w nich zostawia.

– Kto był pani pierwszym?

– Diler narkotyków.

– Co pani o nim wiedziała?

– Że dźgnął mnie nożem w brzuch.

– Niewiele. A jak długo nie mogła pani potem spać, jak często widziała pani jego twarz? Na pewno ma go pani w tej chwili przed oczami. „Jest to jak runięcie przez lustro, nic więcej nie wie, kiedy się budzi, runięcie przez wszystkie lustra, a potem, wkrótce potem, świat się znowu składa w jedną całość, jak gdyby nic się nie stało”⁸. Ale my oboje wiemy to lepiej, prawda?

Gantenbein.

Holm opowiada dalej:

– Ten pustostan był własnością zamożnego człowieka. Mówiono, że wiąże z nim pewne plany. Przyszło mi na myśl, że wille takich ludzi mogłyby być pożyteczne. Reszta była dziecinnie prosta: Sascha dzwonił do drzwi, mówił, że zabłądził, i pytał, czy mógłby zatelefonować do starszego brata. U tych, którzy go wpuszczali, dyskretnie sprawdzał, czy są sami. Podawał im numer telefonu do kawiarni, w której czekałem. Imię, którym się posługiwał, stanowiło klucz i zdradzało mi, czy mogę skorzystać z okazji. Przychodziłem i brałem pieniądze, które były w domu. Kiedy potrzebowałem

samochodu, zawsze jakiś stał w garażu. Czasem musiałem kogoś pobić, ale znaczyło to dla mnie tyle co przegonić osę. Czy biła pani innych ludzi i robiła im krzywdę, aby otrzymać odpowiedzi? Niech pani milczy. Lenin powiedział: „Gorsza niż ślepotą jest niechęć widzenia czegokolwiek”.

Aaron wsłuchuje się w głos Holma. Zasady akupunktury głoszą, że w ciele człowieka znajduje się dwanaście meridianów, czyli strumieni energii życiowej *ki*. Palec wskazujący, który pod wodą wepchnęła mu między szóste a siódme żebro, celował w specjalny punkt *kyusho* na meridianie wątroby.

Dianxue. „Zatruta ręka”.

Okaże się, czy trafiła Holma precyzyjnie.

Objawy to trudności z oddychaniem, zaburzenia widzenia i słuchu, problemy z zachowaniem równowagi, a następnie zapaść.

Ale na to jest jeszcze o wiele za wcześnie.

Musi poczekać pięć godzin, zachować cierpliwość.

Jeśli wtedy jeszcze będą żyła.

– Była pani martwa – mówi Holm spokojnie. – A już z powrotem kontroluje pani swój oddech. Nigdy nie widziałem nikogo, kto by oddychał tak doskonale jak pani. Jogini wierzą, że życiu każdego człowieka jest przypisana określona liczba oddechów. Pani spowalnia swój oddech, aby jak najdłużej odwlec śmierć. Czy uważa to pani za dobrą opcję?

– Chce pan brać u mnie lekcje jogi?

Holm śmieje się głośnym, gorzkim śmiechem.

– Nigdy nie zostawałem z Saszą długo w jednym miejscu, włóczyliśmy się to tu, to tam. Minął rok od czasu, gdy w potoku obmyłem się z krwi naszego ojca, a mój brat nie powiedział ani słowa. Wielokrotnie włamywałem się do różnych domów. Właściciele dwóch byli na urlopie i mieszkaliśmy tam przez pewien czas. Mieliśmy do swojej dyspozycji drogie telewizory, drogi koniak i książki, które stały na półkach nieprzeczytane. Korzystałem z tego wszystkiego bez umiaru. Pozwalałem upływać dniom, nie licząc ich. Stałem się małym kryminalistą, jednym z tych, z którymi musiała się pani męczyć na początku

swojej kariery policyjnej. Czyż ich rozpacz spowodowana tym, że pójdą siedzieć, nie była dla pani błahostką? Gdyby mnie pani wtedy aresztowała, stałbym się zaledwie podpisem nabazgranym na jakimś uciążliwym protokole. Nie dowiedziałaby się pani niczego o pustce we mnie, która była tak dojmująca, że bicie mojego serca było dla mnie jak kapanie wody z kranu. Miałem w głowie całą bibliotekę, ale była to tylko sterta liter. Nie znałem jeszcze swojej drogi.

Papieros jest mokry i zimny. Holm wyjmuje go pomiędzy warg Aaron i jak dziecku wyciera jej ślinę z kącików ust.

– Kiedy pewnej nocy znów spaliśmy w jakimś aucie, poczułem, że moją głowę rozrywa eksplozja. Gdy doszedłem do siebie, zorientowałem się, że leżę obok Saschy, wywleczony na ulicę, a nad nami stoi czterech facetów z kijami bejsbolowymi, którym stłuczenie nas do nieprzytomności wydaje się szalenie zabawne. Naradzali się, czy nas zabić. Właściwie chcieli tylko zabrać to drogie auto, lecz mieszkały w nich bestie, które przeżerały się przez ich wnętrza. Taka bestia szaleje również w moim bracie. Długo myślałem, że uda mi się ją pokonać, zrozumiałem jednak, że nie dysponuję taką władzą. Saschy nie pomoże zabicie jednego, dwóch, trzech czy dziesięciu ludzi. Bestia w nim jest nienasycona. To jego natura.

– Mówi pan, że nie potrafi pan uklęknąć przed żadnym bogiem. A mimo to wcale panu nie przeszkadza, że pański brat klęka przed panem. Dlaczego? Bo uważa się pan za Boga?

– Jak definiuje pani Boga? Czy mogę zmienić częstotliwość pływów, tory ciał niebieskich, wiatr? Nie. Czy mogę zesłać plagi, czynić cuda? Nie. Czy jednak jestem w moim świecie panem życia i śmierci? Tak. I jestem nim również w pani świecie. To prawda, że mój brat przede mną klęka. Mógłbym przebaczyć mu jego grzechy, ale on mnie o to nie prosi. On po prostu nie wie, co to grzech.

– Nigdy pan nie klęczał?

– Owszem. Tamtej nocy, przed tymi facetami z kijami bejsbolowymi. Ze względu na brata. Żebrałem. Tak żarliwie błagałem ich, żeby go nie zabijali, że z rozpaczony ponownie straciłem przytomność. Kiedy doszedłem do siebie, oni zwiali

samochodem, a Sascha siedział w rynsztoku. Podczołgałem się do niego, przytuliłem go i nie poczułem bicia jego serca. Wtedy wypowiedział pierwsze zdanie, od kiedy uciekliśmy z domu: „Pozwól mi wrócić do piwnicy”.

Mijają minuty.

Aaron mogłaby pomyśleć, że Holm zniknął.

– Nazajutrz Sascha odwiedził pewną willę. Kiedy chwyciłem za gardło kobietę, która do mnie zadzwoniła, za moimi plecami stanął jej mąż i dźgnął mnie nożem. Leżałem przed nim, a on patrzył na mnie lodowatym wzrokiem. Los Saschy i mój był przesądzony. Ale nie to było najgorsze. Kiedy tak leżałem, czekając na śmierć, mój brat spojrział...

Holm urywa i szuka słów.

– Spojrzzał na pana, a pan zrozumiał, że chciałby widzieć pana martwego – mówi Aaron.

– Tak. – Holm znajduje w sobie siłę na wypowiedzenie tego jednego słowa.

Czas mija.

– Ale rozległo się pukanie do drzwi – podejmuje Holm. Mówi głośniej niż dotychczas. – Zobaczyłem, że facet otwiera szufladę, wyciąga pistolet i odbezpiecza go. Do domu weszło dwóch mężczyzn, jeden w średnim wieku, drugi trochę młodszy ode mnie. Gospodarz zamknął drzwi i wymierzył pistolet w starszego z mężczyzn. Ten nie zauważył broni, powiedział, że gospodarz go okradł, przyszedł więc po swoją własność. Właściciel domu wymierzył w głowę młodszego i stwierdził: „Zastrzelę twojego syna, a ty wyjdiesz i nigdy więcej się tu nie pokażesz”. Ale jakimś cudem w ręce tamtego także pojawiła się broń. – Holm zapala kolejnego papierosa i podaje go Aaron. – Co stanowiło dla samurajów najwyższy przejaw dyscypliny?

– Panowanie nad sobą.

– Ten człowiek mi to objawił. Myślałem, że wiem, czym jest ofiara, strata. Ale on pokazał mi, że ja jestem dzieckiem, on zaś mężczyzną. Zastrzelił własnego syna, aby wyświadczyć mu ostatnią ojcowską przysługę i zademonstrować gospodarzowi, co to nieugiętość. Ten również strzelił. Trafił przybysza w ramię. Gdy przybysz upadł, wymierzył ponownie i rzekł:

„Zaraz się spotkasz ze swoim synem”. Mężczyzna nie okazywał strachu. Więcej nawet: uśmiechał się. W tym momencie ja ożyłem. Przewróciłem gospodarza na podłogę, chwyciłem jego broń i z odległości dwóch metrów strzeliłem mu między oczy. Mężczyzna, który poświęcił własne dziecko, wstał. Spojrzał na mnie i spytał: „Jak się nazywasz, mój synu?”. Wtedy po raz pierwszy wymieniłem swoje nazwisko.

Holm klęka. Aaron czuje, że przecina więzy na jej rękach, wie jednak, że nie ma siły z nim walczyć.

– Mam wiele wspomnień z nim związanych. Niektóre noszę na skórze.

Bierze jej rękę i przesuwa ją po swoim nagim prawym ramieniu. Aaron czuje zgrubiałe piętno.

Gwiazda.

W ułamku sekundy widzi siebie chichoczącą z młodą kobietą w przymierzalni drogiego butiku przy Hackescher Markt.

Alina.

Aaron wspomina: Alina była kochanką pewnego wysoko postawionego mężczyzny z imperium Nikulina. Znakiem rozpoznawczym tych ludzi było piętno w postaci gwiazdy, a ich kobietom wypalano takie same znaki jak krowom. Kochanek Aliny przyjechał z nią do Berlina, aby w szpitalu Charité poddać się skomplikowanej operacji serca. Ponieważ później musiał przejść rehabilitację, został w Berlinie ponad miesiąc.

Było to przed jedenastu laty. Aaron miała wybadać dla LKA, czy Alina, jej rówieśniczka, wie coś o jego interesach.

Była bardzo piękna i bardzo samotna. Aaron spotkała ją niby przypadkiem w butiku, przymierzyła tę samą sukienkę, zobaczyła piętno na jej ramieniu. Śmiech, przymierzanie butów, których nigdy by nie kupiła, drink przy parku Monbijou, pogawędka. Umówiły się na spotkanie.

Alina zaprzyjaźniła się z Aaron, która musiała być ostrożna, gdyż kobiecie bez przerwy towarzyszyli dwaj goryle jej kochanka. Przeszukali penthouse przy Hackescher Markt wynajęty dla Aaron przez LKA, nie odkryli jednak minikamery, która wszystko zarejestrowała. Przejrzeli sfalszowany album rodzinny – Aaron z bogatym ojcem, który finansował jej

luksusowe życie – zobaczyli jej drogą biżuterię wypożyczoną z KaDeWe i porsche w garażu. Gdy poszła do toalety w kilkugwiazdkowej restauracji, w której wraz z Aliną jadła foie gras i piła szampana z dobrego rocznika, sprawdzili jej telefon komórkowy, myśląc, że Aaron tego nie zauważy.

Jeden błąd oznaczałby wyrok śmierci.

O interesach imperium Nikulina nie dowiedziała się od Aliny niczego poza tym, że jej kochanek jest świnią. Aaron ucieszyła się, gdy skończył się pobyt w Berlinie, a Alina wróciła z kochankiem do ojczyzny.

Ale miesiąc później zadzwonił jej telefon.

I dopiero wtedy się zaczęło.

Teraz, siedząc w furgonetce, rozumie nagle, kim jest mężczyzna, o którym mówi Holm.

Ilia Nikulin.

Mieszkał wówczas w Szwajcarii i panował już nad dużym terytorium. Po rozpadzie Związku Radzieckiego wrócił do starej ojczyzny, gdzie stworzył swoje imperium.

Człowiek, który pokazał Holmowi, czym jest prawdziwa siła.

Człowiek, którego gangster czekał na mnie w Moskwie.

Człowiek, którego imperium doprowadziłam do upadku.

Aaron nie jest zdolna wykrztusić z siebie słowa.

Holm mówi:

– Życie to tylko czyzy sen, a kiedy pojmiesz sens jednej rzeczy, pojmiesz też sens wielu innych.

Wysiada i zostawia ją samą.

Pavlik stoi przy oknie w gabinecie Maskego. Dwaj policjanci federalni wyprowadzają z budynku dyrektora więzienia, zakutego w kajdanki. Za płotem wałęsają się więźniowie, klaszczą i śmieją się głośno. Jeden z nich wrzeszczy:

– Hej, Maske, stary szurcze, zobaczymy się pod prysznicem!
Dzwoni telefon Pavlika – to Helmchen.

– Tak?

– Pytałeś, kto wówczas zajmował się Ukraińcami.

– Dawaj.

– W oddziale byli Peschel, Fricke, Butz, Ruff i Pi.

Tak jak zapamiętał Pavlik. Pi jako kret jest wykluczony, Butz nie żyje i jest poza wszelkimi podejrzeniami. Ruff był ostrym psem, który dla Wydziału wielokrotnie ryzykował głową. Przed dwoma laty zmarł na białaczkę. Za Peschla i Frickego Pavlik także mógłby włożyć rękę w ogień.

– Kto stanowił wsparcie w tej akcji?

– Boll był logistykiem, Krampe zajmował się techniką.

Boll nadal u nich jest. To spokojny, rozważny człowiek, ma za sobą dwa rozwody, mieszka sam. Już u progu trzydziestki odziedziczył trzy kamienice w Berlinie i wcale nie musiałby pracować. Ten zawód to jego pasja. Pavlik nie wyobraża sobie, czym można by go zaszantażować. Pozostaje Krampe. Studiował informatykę i elektrotechnikę i zanim przyszedł do nich przed ośmiu laty, był w BKA. W kasie ma zawsze pustki, bo musi płacić alimenty na dwoje dzieci. To by pasowało. Ale mimo wszystko nie może to być on. Jest najlepszym przyjacielem Pi. Kiedy Pi przed laty opuścił Wydział, aby robić pieniądze w prywatnym towarzystwie ubezpieczeniowym, chciał zabrać Krampego ze sobą. Krampe poważnie się nad tym zastanawiał, został jednak, chociaż mógł zarabiać znacznie więcej. Jest ojcem chrzestnym córki Pi, Luise.

Žaden z nich.

– I psycholog – dodaje Helmchen.

Pavlik nadstawia uszu.

– Obie Ukrainki strasznie się bały procesu. Lissek obawiał się, że mogą wycofać zeznania, dlatego sprowadził psychologa z LKA. Był w mieszkaniu operacyjnym we Frankfurcie nad Odrą i uspokajał te kobiety.

– Kiedy dokładnie?

– Na godzinę przed zamachem.

– Czy mógł wiedzieć o hotelu Jowisz?

– Tak.

– Ale chyba Wydział Spraw Wewnętrznych go sprawdzał?

– Owszem, dyskretnie.

– Jak on się nazywa?

– Rolf Jürges. To jednak ślepy zaulek.

– Dlaczego?

– Utonął w Morzu Śródziemnym.

– Kiedy?

– Miesiąc po załamaniu się procesu przeciw kręgowi sutenerów, kiedy Ukrainka, która przeżyła, wycofała zeznania.

– Byli jacyś świadkowie?

– Nie. Według protokołu policji z Majoroki przecenił swoje siły i wypłynął zbyt daleko w głąb opustoszałej zatoki.

Pavlik nie wie, które uczucie jest silniejsze: wściekłość, że już nie może wziąć tego faceta w obroty, czy też ulga, że nie był to nikt z Wydziału.

– Jak dotarłaś do protokołu Hiszpanów?

– *No me preguntes.*

– Dostaniesz ode mnie coś dobrego.

– Zawsze tak mówisz, a potem dostaję tylko buziaka.

– A co byś chciała?

– Jedną z belgijskich tart Sandry. Bardzo dużą.

Pavlik się śmieje.

– Ale zjemy ją razem.

– Ja też cię lubię.

Helmchen kończy rozmowę.

Pavlik siada przy biurku Maskego, zapala papierosa i bierze

do ręki kartkę z numerem telefonu. Od godziny nie myśli o niczym innym. Kiedy Döbler dał mu tę kartkę, kusilo go, żeby zadzwonić natychmiast, chciał jednak najpierw rozważyć wszystkie za i przeciw. Zdradziłby się przed Holmem, że wpadli na trop Maskego. A co będzie, jeśli Holm jeszcze raz zechce się nim posłużyć? Nie, to mało prawdopodobne, Maske zrobił, co do niego należało.

Pavlik sięga po telefon, wybiera numer i włącza nagrywanie. Holm odbiera po trzecim dzwonku. Pavlik milczy. Również na drugim końcu panuje cisza. W ten sposób mija pół minuty.

Potem Holm mówi:

– Pan Pavlik, jak się domyślam.

– Tak, tak, pan myśli, że jest pan bardziej przebiegły niż wszyscy.

– Intryguje mnie pan.

– Pierwszy błąd, o którym wiem, popełnił pan przed dwunastu laty, gdy w Kolonii zaparkował pan samochód w niedozwolonym miejscu, zanim zlikwidował pan Ormianina. Drugi błąd zdarzył się panu, gdy czyszcząc samochód, zapomniał pan o pokrywie do wlewu paliwa. Możemy panu przypisać to morderstwo, bo zostawił pan dzisiaj swoje odciski palców. To był pański trzeci błąd. Poza tym kupił pan Hansa-Petera Maskego, tego dupka bez charakteru.

– Zapomniał pan dodać, że zbyt długo czekałem w autokarze, zanim podjąłem negocjacje w sprawie dalszych warunków. Czy nie byłoby mądrzej zgłosić mnie zaraz po pańskim przybyciu, kiedy nie było jeszcze szeregu rozkazów?

Pavlik na chwilę traci mowę, lecz po krótkim wahaniu odpowiada:

– Przede wszystkim nie chciałem, żeby nasza rozmowa odbywała się w fazie dezorganizacji. Proszę wziąć się w garść i uważnie mnie posłuchać. W ciągu pierwszych chaotycznych minut niebezpieczeństwo nieprzemyślanej reakcji byłoby o wiele większe.

Skurwysyn.

– Tak myślałem, ponieważ właściwie pana nie znałem. Teraz wiem, że pan nigdy nie działa w sposób nieprzemyślany.

– Ma mi to pochlebiać?

– Panu nie można pochlebić. A teraz co do Kolonii: istotnie popełniłem tam dwa błędy. Kazałem bratu zaparkować samochód, a później poleciłem mu, żeby go sumiennie wyczyścił. Zapomniał o tej pokrywce. Wiedziałem to już w chwili, gdy go o to zagadnąłem. Kiepski z niego kłamca. Było za późno, żeby naprawić ten błąd, bo auto już znalezione.

– Człowiek nie wybiera sobie rodziny. Ale to, co schrzanił w Kolonii, z pewnością mu pan wybaczy, gdyż było to przecież wiele lat przed **początkiem jego drogi**.

– A więc znalazł pan kartkę – mruczy Holm.

– Było to drobne ćwiczenie myślowe. Powiedział pan bratu w Barcelonie, że wasze drogi raz na zawsze się rozejdą. Dzisiejsze wymuszenie szantażem jego uwolnienia było swego rodzaju pożegnalnym pocałunkiem. Sascha jednak chyba tego nie zrozumiał, brak mu po temu koniecznych kwasów tłuszczowych w mózgu. Czy przepędził go pan już do diabła?

– Nie muszę. Odejdzie i nigdy więcej się nie obejrzy. Nauczył się odpowiadać za swoje błędy. A skoro już przy tym jesteśmy: uważa pan, że nieumyślnie zostawiłem odciski palców na telefonie komórkowym tej kobiety? To mnie prawie obraża. Chciałem panu pomóc w skojarzeniu powiązania między Kolonią a Maskem. Dlatego zresztą, dzwoniąc do niego, nie zataiłem swojego numeru telefonu. Co do oceny Maskego absolutnie się zgadzamy. Należy on do tego gatunku ludzi, którzy w Trzeciej Rzeszy wydawaliby Żydów. Szanuję go równie mało jak dżdżownicę.

Pavlik nie może powstrzymać gorzkiego śmiechu.

– W Kolonii często zadawał mi pytanie, czy nie byłbym zainteresowany innymi więźniami z jego zakładu karnego – ciągnie Holm. – Prosił, żebym przygotował mu listę, i mówił, że wiele da się zaaranżować.

– Z pewnością zna się na listach.

– Ta rozmowa telefoniczna, którą pan oczywiście nagrywa, nie zostanie dopuszczona w ewentualnym procesie jako dowód przeciw niemu. Czy ma pan wystarczająco dużo poszlak, żeby go skazać?

Nie, do diabła. O Kolonię moglibyśmy go oskarżyć tylko wtedy, gdyby udało się nam dowieść przepływu pieniędzy. Ale to raczej niemożliwe. A Sascha? To, że Maske wstawiał się za jego przeniesieniem i kilkakrotnie uniemożliwił ukaranie go, nie wystarczy. Pozostaje dzisiejsza rozmowa telefoniczna z Holmem, ale Maske będzie utrzymywał, że z nim nie rozmawiał, że to była pomyłka. Jako dyrektor miał prawo wejść do celi Saschy. Dzisiaj wieczorem znów będzie siedział sobie w domu i delektował się dobrym koniakiem.

– Z pańskiego milczenia wnioskuję, że trudno to będzie przeprowadzić. Czy ma pan coś do pisania?

– Tak.

Holm dyktuje mu ciąg cyfr.

– To numer konta w Anguilla National Bank na Saint Kitts. Założyłem je swego czasu dla Maskego pod zabawnym pseudonimem „Joseph Clark”.

Pavlik wstrzymuje oddech.

– Za uregulowanie spraw mojego brata nie został wynagrodzony. Wyjaśniłem mu to w rozmowie w cztery oczy, która pewnie by się panu podobała. Ale konto jeszcze istnieje, sprawdziłem to. Jeśli sobie nie dogadzał, w co wątpię, bo ludzie jego pokroju pragną tylko posiadać, a nie dogadzać sobie, na koncie powinna być większa sumka sześciocyfrowa. Czy mówi panu coś nazwisko Joseph Clark?

– Nie – odpowiada Pavlik, usiłując wziąć się w garść.

– Tak myślałem. Nie jest pan człowiekiem zainteresowanym literaturą, co w żadnym razie nie umniejsza mojego szacunku dla pana. Joseph Clark był kapitanem brytyjskiego parowca „Jeddah”, który w 1880 roku wypłynął z Singapuru. Na pokładzie znajdowało się ponad dziewięćset pielgrzymów odbywających hadż do Mekki. Na pełnym morzu statek uległ przedziurawieniu. Clark uciekł ze swoimi oficerami, zostawiając pasażerów własnemu losowi. Joseph Conrad opisał to w powieści *Lord Jim*. Ten kapitan to jeden z najślawniejszych tchórzy w historii literatury.

– Nie podziękuję panu.

– To dla mnie nie problem.

- Czy dla Rolfa Jörgsa również założył pan konto?
- Powiniennem go znać?
- To psycholog, który wyjawiał panu, gdzie we Frankfurcie nad Odrą znajdowało się nasze mieszkanie operacyjne, a także to, że korzystaliśmy z hotelu Jowisz.
- Ach ten. To była jednorazowa sprawa.
- Dlaczego czekał pan miesiąc, żeby go zabić?
- Nie żyje?
- Bo wybrał się pan z nim popływać na Majorce.
- Pan wybaczy, ale to już zbyt duży zaszczyt. Nie widziałem powodu, żeby wysuszyć to źródło. Niekiedy wypadek podczas kąpieli jest tylko wypadkiem.

A jednak potwierdził, że współpracowali.

– Skoro już tak sobie gawędzimy: dzisiaj rano również chciałem pana o coś zapytać, ale niestety nie było okazji. Ten pański strzał z odległości dwóch tysięcy dwustu osiemdziesięciu czterech metrów – to było w ubiegłym roku w Norwegii, prawda?

Pavlik nie odpowiada.

– Jest opisany w literaturze fachowej. Chodziło o akcję policyjną, której szczegółów nie zdradzono z powodu ochrony informacji niejawnych.

– Niech mi pan powie, gdzie pan jest, a przyjadę i opowiem panu wszystko, co chce pan wiedzieć. I jeszcze trochę więcej.

– Wielka szkoda, ale musimy przełożyć to na kiedy indziej. Wiem, że chodziło o samotną zagrodę w samym środku śnieżnej pustyni, do której można było zbliżyć się maksymalnie na taką odległość, żeby nie zostać zauważonym. Z barretta light fifty, karabinu, którego zasięg według producenta wynosi o czterysta metrów mniej, musiał pan trafić w zakrzywiony palec wskazujący, w wizjerze nie większy niż ziarenko piasku. Kula była w powietrzu przez cztery minuty i uderzyła w cel z pięciu metrów wysokości. Ten strzał był majstersztykiem. Ocalił życie norweskiej agentce pod przykryciem. Fakt, że tam pana wezwano, najlepiej świadczy o tym, jaką cieszy się pan sławą. Wiem, co pan musiał wyliczyć, nawet siłę Coriolisa. A nawiasem mówiąc: jak pan stracił podudzie?

- Podczas gry w pokera.
- Trzeba zawsze regulować swoje długi.
- Dlaczego zlikwidował pan wtedy Bedrossiana?
- To tylko zlecona robota. Było bez znaczenia, w jaki sposób spędzał wolny czas. Ale ponieważ ma pan małe dziecko, wspomnę tylko, że miał on pewne skłonności. Zapewne sam zabiłby go pan z radością.
- Jakie były warunki na cmentarzu?
- Nie chciałbym pana zanudzać.
- Zawodowa ciekawość.
- W przeciwieństwie do pana miałem znakomitą widoczność i perfekcyjne warunki termiczne. Było gorąco, trzydzieści stopni, odchylenie toru lotu wynosiło dwadzieścia centymetrów. Była to taka łatwizna, że prawie się wstydzę o tym wspominać.
- Oddał pan dwa strzały.
- Daleko mi do pańskiej klasy.
- Kaliber był niezwykle, .700 nitro express. Takiej ilości i rodzaju prochu używa się podczas polowań na grubego zwierza.
- Nie chciałem zdobyć tytułu miss piękności.
- Ale zrobił pan to. Celowo strzelił pan Bedrossianowi najpierw w ramię, aby zniszczyć jego piętno. To była wiadomość: „Tak postępujemy ze zdrajcami”. Drugi strzał, w skroń, był mistrzowski, chcąc bowiem śmiertelnie trafić Bedrossiana, musiał pan w ułamku sekundy obliczyć, w jaki sposób upadnie.
- Milczenie Holma jest tak doskonałe, że niemal wytwarza echo.
- Pańskim zleceniodawcą był Ilia Nikulin.
- Nie rozczarował mnie pan.
- Jakiego rodzaju relacje pana z nim łączyły?
- To zbyt złożona odpowiedź, brak nam na to czasu.
- Jestem pewien, że potrafiłby pan ująć to trafnie i zwięźle w dwóch zdaniach.
- Niektórych rzeczy nie sposób opisać lapidarnie.
- Przez cały czas chce mnie pan o coś spytać. Obiecuję panu

uczciwą odpowiedź.

– No dobrze. Dlaczego nie prosi pan o ocalenie życia? – pyta Holm po krótkim wahaniu.

Pavlik słyszy kroki w sekretariacie. W drzwiach staje Demirci.

– Bo będzie tak, że pan i ta kupa gnoju, którą nazywa pan swoim bratem, umrzecie, zanim nastanie świt. Aaron zabije was obu. Ma moje błogosławieństwo.

Kończy połączenie.

Demirci pyta tylko:

– Skąd pan ma ten numer?

– Maske.

Przewija nagranie do tyłu, a potem bardzo powoli oddycha.

– Jest coś, o czym musi pani wiedzieć – mówi.

– Ma pan na myśli panią Aaron. Przejrzałam jej akta i jestem zorientowana. Mając dwadzieścia pięć lat, dopadła Nikulina, a potem została zatrudniona w Wydziale.

Przez dłuższą chwilę wymieniają spojrzenia. Czy nienawiść Holma do niej może mieć coś wspólnego z Nikulinem? Ale dlaczego mści się dopiero po jedenastu latach?

– W 2006 roku byłam zaproszona na pożegnanie Richarda Wolfa, ówczesnego przewodniczącego BKA – mówi Demirci. – Bardzo mi to pochlebiało. Imponujący człowiek. Dzieciństwo spędził w Maroku, jego ojciec był tam ambasadorem. Pamiętniki Wolfa poprzedza maghrebska mądrość: „Wytrwałość przewierca marmur”.

Oboje myślą o Ilii Nikulinie. Był mózgiem rosyjskiej organizacji mafijnej zajmującej się różnymi interesami. Specjalizował się w handlu surowcami. Przekupywał pracowników syberyjskich rafinerii i z ich pomocą kradł ogromne ilości ropy i gazu, które sprzedawał przede wszystkim do krajów pogrążonych w kryzysie – na przykład do Republiki Południowej Afryki w czasach apartheidu. Utrzymywał globalną sieć fikcyjnych firm zajmujących się pośrednictwem, również w Niemczech. Później bezwzględnie wykorzystywał program pomocowy ONZ Oil for Food, aby szmugłować iracką ropę wbrew sankcjom międzynarodowym, co sprawiło, że do kasy Saddama Husajna wpłynęły setki milionów dolarów.

Nikulin miał znakomite kontakty na Kaukazie. Podłączał się przede wszystkim do rurociągu Baku – Nowosybirsk, a miał w kieszeni tyłu polityków z Rosji, Gruzji i Czeczenii, że długo nikt nie śmiał się do niego dobrać. Był odpowiedzialny za mnóstwo zleconych zabójstw, ale nawet to nie złamało mu karku.

– Był równie potężny jak Romanowowie – mówi Pavlik. – Dopiero gdy rzucił tę brudną ropę po cenach dumpingowych na rynek amerykański, Amerykanie poczuli, że mają tego dosyć. FBI postanowiła połączyć siły z Wiesbaden.

Demirci kiwa głową.

– Ale jak to się stało, że młodziutką pracownicę berlińskiego LKA wysłano do Rosji? Miała około dwudziestu pięciu lat. Oczywiście była zdolna, wyróżniła się już nieraz, lecz mimo wszystko: to była główna operacja BKA. Dlaczego więc ona?

– Zapytałem ją o to kiedyś, ale udzieliła mi wymijającej odpowiedzi.

– Nikulin odebrał sobie życie w areszcie śledczym, prawda?

– Tak. W Moskwie. Wszyscy jego przyjaciele odwrócili się od niego. Prawdopodobnie tylko czekali na moment jego słabości. Imperium Nikulina się rozpadło, jak wszystkie wielkie mocarstwa. – Pavlik sięga po telefon. – Chwileczkę. – Wystukuje zapamiętany numer. – Hej, Richard, tu Ulf. – Śmieje się. – Byłoby dobrze, ale może w przyszłym tygodniu. Tak, ja również bym się ucieszył. Potrzebuję pewnej informacji, dostaniesz za nią butelkę barolo z dziewięćdziesiątego szóstego. – Śmieje się ponownie. – Cwaniak. Pytanie: w 2005 roku odezwało się do ciebie FBI, chodziło o Ilię Nikulina. Zafundowaliście Jenny Aaron podróż do Moskwy. Jak do tego doszło?

Demirci nie wierzy własnym uszom.

– Rozumiem. Dziękuję – odpowiada Pavlik. – Barolo wypijemy razem. Pozdrów ode mnie Sophie.

Chowa telefon do kieszeni.

Demirci próbuje się opanować.

– Czy to był Richard Wolf?

– Kiedyś wyświadczyłem mu pewną przysługę. Choć on by

powiedział, że było to coś więcej. Teraz ma już siedemdziesiąt parę lat, ale wciąż jest w znakomitej formie. Lubimy się spotykać przy lampce czerwonego wina i cygarze hawańskim.

Demirci zamyśla się. Pavlik to spostrzega.

– Co się dzieje?

– Czasem mnie to wkurza.

– Co?

– Te męskie sprawy, te konszachty przy czerwonym winku, wódeczce i cygarach. Pan, jako facet, tego nie zrozumie. Nie jest to zresztą skierowane przeciwko panu.

– Ja za to nie mogę chodzić na babskie nasiadówki.

– Z pewnością ciężko pan to przeżywa. Co mówi Wolf?

– Jeden z ludzi Nikulina przyjechał do Berlina. Przywiózł swoją kochankę. LKA nasłało na nią Aaron. Zyskała jej zaufanie, a nawet przyjaźń. Po powrocie do Moskwy zaprosiła panią Aaron. Dowiedzieli się o tym w Wiesbaden. Była to oczywiście dobra okazja. Zdaniem Wolfa oprócz BKA i FBI maczała w tym palce również rosyjska służba bezpieczeństwa. To, że Aaron schwytала Nikulina, to przesada. Ale z pewnością odegrała dużą rolę w jego pojmaniu, w przeciwnym razie Wydział nie zwróciłby na nią uwagi.

– Skoro to naprawdę było wszystko, dlaczego o tym nie mówiła?

– Aaron jest skomplikowana.

– Teraz **pan** udziela wymijającej odpowiedzi.

– Mógłbym jeszcze raz zadzwonić do Wolfa. Albo do Lisska. Albo do paru innych ludzi. Ale po co?

– Myśli pan, że się zagalopujemy?

– Nie chodzi o mafię, ropę, pieniądze czy politykę. Chodzi wyłącznie o Aaron i Holma. O coś bardzo osobistego. Niech pani zapomni o interesach Nikulina.

Demirci skończyły się papierosy, więc Pavlik podsuwa jej swoją paczkę. Zapalają oboje. Dopiero wtedy Pavlik pyta:

– Po co pani tu przyszła?

– Federalny Urząd Żeglugi Powietrznej zareagował na zdjęcie tego trzeciego faceta. To Armin Bosch, były żołnierz zawodowy. Ma licencję pilota helikopterów i samolotów jednosilnikowych,

którą zdobył w Bundeswerze. Rozmawiałam z jego byłym dowódcą, który obecnie dowodzi jednostką utrzymującą w gotowości samoloty rządu federalnego w Teglu. Musiałam coś zrobić, żeby nie zwariować.

– I?

– Bosch brał udział w akcjach w Afganistanie, dostał medal za szczególną odwagę. Dwa lata temu został wysłany do Rogu Afryki. Jego helikopter stacjonował na fregacie i somalijscy piraci zestrzelili go nad morzem. Trzech jego kolegów zmarło. Bosch jako jedyny przeżył, z niezwykle ciężkimi poparzeniami całego ciała. Miał pan rację, jeśli chodzi o jego pamięć krótkotrwałą: od czasu zestrzelenia nie potrafi się skoncentrować.

Milczą przez chwilę.

– Bosch nie chciał się zadowolić niewielką rentą i groził swoim byłym przełożonym – podejmuje Demirci. – Myślał, że dostanie to, co mu się należy. Żona go opuściła. Zabrała ze sobą syna i przeprowadziła się do siostry.

Pavlikowi znów sztywnieją mięśnie karku.

– Policja federalna posłała tam wcześniej ludzi. Znaleźli w mieszkaniu zwłoki szwagierki Boscha, jego żony i dziecka. Leżały tam przynajmniej od tygodnia. Potrójne morderstwo.

Na kulistych radarach wiszą jeszcze resztki pokrowca, którymi teraz targa wiatr. Niko Kvist zostawia za sobą ruinę amerykańskiej stacji wojskowej na Teufelsbergu. Pod nim leży miasto w wirze śniegu i świateł. Niko ma w uszach głosy z centrali dowodzenia w Wydziale. Nadaje je pluskwa, którą przykleił z tyłu monitora Demirci, zanim odebrała mu broń służbową. Szukają, dyskutują. Grają w szachy. Niczego nie wiedzą. Doprowadza go to do szału.

Jeżdżąc bez celu dokoła, próbował się skupić na choć jednej myśli. Na próżno. Pędząc przez śnieżycę, próbował kontrolować swój oddech. Również na próżno. Próbował nazywać ją Aaron, a nie Jenny, jakby to miało mu pomóc oddalić się od niej. Marzył o tym, żeby stanąć na szczycie jakiejś góry i odzyskać jasność myśli.

Teraz jednak stoi na tej żalostnej kupie gruzu i wie, że wszystko było na próżno.

W dzień jego piątych urodzin matka odeszła i zostawiła go samego z ojcem. Zabrał syna do Finlandii, gdzie w małym mieście prowadził sklep z magnetowidami. Ojciec był samotny, ale żadna z kobiet, które Niko widział rano wychodzące z łazienki, do niczego się nie nadawała. Ojciec zaczął pić, a kiedy Niko skończył jedenaście lat, zastał w kuchni kartkę. I został sam.

Przyjechał do Hamburga, do ciotki. Dowiedział się od niej, że jego matka zmarła rok wcześniej w Kanadzie. Żyła tam z mężczyzną, którego jej siostra nigdy nie poznała. Mieszkał z ciotką przez siedem lat. Kiedy w wieku osiemnastu lat spakował manatki, była mu równie obca jak pierwszego dnia. Nie zobaczył jej nigdy więcej.

Poszedł do policji, bo szukał kolegów. Po pięciu latach zapytano go, czy chciałby dołączyć do GSG 9. Ojciec Jenny go

nie faworyzował. Niko wiedział, że oczekuje od niego znacznie więcej niż od wszystkich pozostałych. W ciągu kolejnych pięciu lat nie wziął udziału w żadnej akcji – tylko trening.

Pewnej zimy posłano go z czterema kolegami do Kabulu, gdzie mieli chronić niemiecką ambasadę. Była to forteca, a życie na zewnątrz wydawało się mniej warte niż worek prosa. Jadąc przez miasto opancerzonym pojazdem terenowym, widzieli mężczyzn zbierających z pól liście, które następnie sprzedawali jako materiał opałowy. Widzieli też kobiety chodzące po śniegu bez butów i osły o trzech nogach.

Kiedyś w jakiejś zapadłej dziurze złapali gumę. Jeden zmieniał koło, pozostała czwórka stała półkolem obok niego, z palcami na spustach pistoletów maszynowych. Przez ulicę przechodził pies z ludzką stopą w pysku.

Dwóch kolegów nie wytrzymało i poprosiło o przeniesienie. Przyjechali inni. Nie zadawali pytań, podobnie zresztą jak Niko, bo po jednym dniu pobytu w Kabulu wszystko było jasne. Wieczorami grali w karty.

Ludzie na targach bali się ich i cofali przed nimi, z wyjątkiem dzieci, które żebrały o czekoladę. Zawsze mieli ją przy sobie, ponieważ dziecięcy śmiech stanowił dla nich pociechę. Jedno z dzieci na targu w Yahya Khail nie chciało czekolady. Ekspłodowało i zabiło trzech towarzyszy Nika. Wszystko, co z nich zostało, to czerwony cień na murze. Niko przeżył tylko dlatego, że zatrzymał się przy pewnym lalkarzu, który opowiadał bajkę o księciu i pięknej księżniczce strzeżonej przez potwora.

Dwóch zmarłych Niko prawie nie znał, chociaż spał z nimi w jednej izbie. Trzeci był jego przyjacielem. Lubił hokej na lodzie, więc nazywali go Pukiem.

Dziecko, które miało na sobie pas z materiałami wybuchowymi, Niko widział kilka godzin wcześniej z pewnym mężczyzną. Nie powiedział o tym nikomu. Ale od tamtej chwili codziennie sam chodził na targ. Dziesiątego dnia mężczyzna ponownie się pojawił. Niko poszedł za nim i zabił go nożem w jednej z uliczek. Ktoś go przy tym zaobserwował. Okazało się, że Afgańczyk był informatorem CIA. Sam nie miał nic

wspólnego z samobójczym zamachem i nawet ostrzegł przed nim Amerykanów.

Nika odesłano z powrotem do Niemiec. Na lotnisku czekał ojciec Jenny, który wcisnął mu do ręki plastikową torbę; opróżniono jego szafkę. Ojciec Jenny ani słowem nie wspomniał o Yahya Khail. Powiedział jednak coś, czego Niko nigdy nie zapomni. W jego oczach był martwy.

Zachorował. Przestał jeść, nie mógł spać i wyrwał ze ściany przewód telefoniczny. Pewnego ranka przed drzwiami jego mieszkania w Bonn stanął Pavlik. Znali się z kursu GSG 9 odbywanego wraz z Wydziałem. Było to przed kilku laty, ale Pavlik nigdy nie zerwał kontaktu z Nikiem. Miał w sobie ciepło, w którym grzali się wszyscy wokół.

Nie wiedział o Yahya Khail, lecz czuł, że Niko go potrzebuje. Wziął urlop, zatroszczył się o niego – praktycznie go uratował. Nigdy nie spytał, co stało się w Kabulu. Nie spytał o to do dzisiaj.

Wydział stał się dla Nika rodziną. On i reszta chłopaków byli jak bracia, czego bardzo brakowało mu w GSG 9. Po raz pierwszy poczuł się jak w domu.

Poznał André, który również został jego bratem.

I którego później zabił.

No i była tam Jenny.

Pojawiła się w Wydziale rok przed nim. Kiedy szła, powietrze wibrowało w obrębie dziesięciu metrów wokół niej. Kiedy walczyła, budziła strach. Kiedy tylko oddychała, wsłuchiwał się w jej oddech.

Była córką Jörgea Aarona.

Zabiegał o nią, ale nie dawała mu żadnych nadziei. Minęły trzy lata, zanim wysłano ich na pierwszą wspólną akcję do Neapolu. Uratował jej życie, a ona odwdzieczyła mu się zaproszeniem na kolację. Potem spotkali się kilka razy. Obdarzała go jednak tylko swoją mądrością, śmiechem i urokiem – niczym więcej.

Następnej zimy wyszli któregoś wieczoru z kina. On kupił jej torebkę pieczonych kasztanów, a ona go pocałowała i zabrała do siebie. Mieszkała z dziwnym kotem, który przyglądał mu się

złym wzrokiem. Podczas tej i wielu innych nocy Jenny myślała, że Niko śpi, ale on czuwał.

Nie powiedzieli o tym w Wydziale nikomu oprócz Pavlika. Ten zagroził Nikowi, że połamie mu kości, jeśli kiedykolwiek wyrządzi on krzywdę Jenny.

W Marrakeszu kochali się od rana do nocy. Ale Niko nie czuł się szczęśliwy. Wszystko w Jenny było doskonałe, a mimo to jakoś im nie wychodziło. Opowiedziała mu o Boenischu, Rungem i piwnicy. Niko brał ją w ramiona i tulił, a mimo to odczuwał jakąś barierę.

Nie wiedział, co mogłoby nią być. Może chodziło o ojca Jenny, którego zawiódł i który teraz stał między nimi.

Nie. Oczywiście wiem, co to jest. Nie mogliśmy być razem. Jedno z nas stałoby nad grobem drugiego i nienawidziło się za to, że pozwoliło mu umrzeć. Dlatego postanowiłem jej nie kochać.

Chciał to zakończyć w Barcelonie, w małej restauracji przy parku Güell, gdzie zarezerwował stolik. Ale było to jeszcze przed ich jazdą do portu i przed strzelaniną w magazynie. On dla niej umarł, ona uciekła, by w tunelu również pożegnać się z życiem, jakie dotąd знаła. Przez pięć lat bał się ją zobaczyć. Przez pięć lat wmawiał sobie, że nigdy nic dla niego nie znaczyła. Ale wczoraj rano stał na terminalu i nie mógł oderwać od niej wzroku, kiedy na niego czekała. Zrozumiał wtedy, że kochał ją przez wszystkie te lata. Poczłł taki ból, że potrzebował całej wieczności, zanim wreszcie znalazł w sobie siłę, by się do niej odezwać.

Słyszysz, że Fricke dzwoni do Pavlika.

– Mamy lotnisko.

– Gdzie?

– W Finow, na górze w Brandenburgii. Bosch wyczarterował cessnę na szesnastą trzydzieści i zapłacił gotówką. Fałszywe dokumenty. Ale rozpoznali go na zdjęciu.

– Czy maszyna odleciała?

– Nie. Zadzwonił za piętnaście czwarta i powiedział, że coś mu wypadło. Przełożył lot na jutro. Godzina pozostaje do uzgodnienia, czarter jest ważny dwa dni.

- Cel?
- Prawdopodobnie Wilno.
- Ile osób?

Mija chwila, aż wreszcie Fricke mówi:

- Trzy.

Niko czuje połamane żebra. Twarz ma zdrętwiałą, płatki śniegu zmiękczają zaskorupiałą krew. Na języku ma posmak miedzi.

- Niech dwa zespoły natychmiast ruszają w drogę.

Pavlik wybiera ludzi. Między innymi Frickego.

- Demirci chce, żebym został w centrali.

– Pogadam z nią. Niech Mertsch ponagli policję federalną. Potrzebujemy od nich wszystkich dostępnych dronów z termowizorami. Tylko żadnych helikopterów. Sekundę. – Niko słyszy szepty, Pavlik z kimś się porozumiewa. – Powiedz technikom, że dowodzenie akcją zostanie przeniesione do Finow. Rusz tylek, spotkamy się tam. Chcę mieć mauzera i light fifty.

- Okej.

- Gdzie jest Kvist?

– Przy starej stacji radarowej Amerykanów. Podziwia krajobrazy. Może napisze o nich jakiś wiersz. O niczym nie wie, wierz mi.

- Nie rozłączaj się.

Niko stoi na Teufelsbergu. Śnieg pada na niego i na jego języku zmienia się w krew. Jenny rozmawiała z nim, a on się dziwił. Krzyczała na niego, a on się dziwił. Tańczyła z nim, a on się dziwił. Dociera do niego, że od dawna jest martwy.

Mokra bluzka lepi się Demirci do pleców. Nie przez to, że Pavlik na pełnym gazie pędzi na północ po berlińskiej autostradzie. Nie ma nawet dwudziestu centymetrów odległości między nimi a samochodem dostawczym, który wreszcie spycha na bok. I nie przez to, że równocześnie wklepuje do telefonu numer, który podał mu Fricke.

– Trzy – powiedział.

Za tą liczbą kryje się żądza palenia jednego papierosa za drugim i pewność, że w maszynie nie zostało przewidziane miejsce dla Jenny Aaron.

Ktoś odbiera telefon Pavlika.

– Germer.

– Jeden z moich kolegów rozmawiał z panem przez telefon. Kto będzie jutro załatwiał całą papierkową robotę związaną z lotem do Wilna?

– Ja.

– Jest pan na lotnisku?

– Tak.

– Kiedy pan zamyka?

– Za pół godziny, o ósmej.

– Czy jest tam jeszcze ktoś oprócz pana?

– Dwóch kolegów, oni zostają dłużej, mniej więcej do dziewiątej.

– Gdzie pan mieszka?

Mężczyzna podaje mu adres.

– Niech pan jedzie do domu, ale bez pośpiechu, całkiem spokojnie. Przyjadę do pana. Niech dwaj pozostali skończą pracę punktualnie. Wszystko musi wyglądać absolutnie normalnie.

– O co właściwie cho...

– Później – ucina Pavlik i kończy rozmowę.

– Dlaczego przesunął lot na inny termin? – pyta Demirci, podczas gdy przemykają z prawej strony obok jakiegoś marudera, zahaczając o jego lusterko boczne. Za nimi niknie w zgiełku długi klakson.

– Jest tysiąc możliwości.

– Ale pan zakłada tylko jedną.

– Aaron w jakiś sposób pokrzyżowała mu plany.

– Holm w trakcie rozmowy telefonicznej nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego.

– Nawet gdyby był zaniepokojony, nie zauważylibyśmy tego.

– Dlaczego chce pan koniecznie mieć przy sobie Frickego?

– Noce są długie, ludzie nerwowi. A on zawsze ma na podorędziu jakieś powiedzonko. Fricke dobrze działa na innych, proszę tego nie lekceważyć. A jak przychodzi co do czego, to wcale nie jest mu do śmiechu.

Dotarli do północnych wyjazdów z miasta. Pas do wyprzedzania jest teraz wolny, przed nimi rozciąga się ciemna autostrada. Środkowy pas przy prędkości dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę wygląda jak snop świetlistych pocisków.

– Zastanawiam się nad Kvistem. Nie uważa pan jego zachowania za osobliwe?

Pavlik nie odpowiada.

– Gdyby pan był na jego miejscu... co by pan zrobił?

– Wsadziłbym sobie do ust czterdziestkę piątkę i nacisnął spust.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

– Panie Pavlik...

– Do czego pani zmierza?

– Mając kontakty w środowisku, porozmawiałby pan z informatorami, wypytał o Holma albo jego współnika, zrobiłby pan to, co robią również nasi ludzie. Zadzwoiłby pan do jakiegoś kumpla z techniki kryminalistycznej, aby się dowiedzieć, co wiemy, i tak dalej.

– Może on to już dawno zrobił? Podsluchujemy tylko jego auto, a nie telefon komórkowy.

– Błąd.

Pavlik spogląda na nią.

– Bez nakazu?

– Od kiedy to się pan tak certuje?

– Gdzie podziała się ta kobieta, która jeszcze do wczoraj spała w pościeli z wyhaftowanymi paragrafami?

– Od czasu do czasu trzeba zmieniać pościel.

W samochodzie robi się zimno.

Niższy bieg, pełen gaz, wyższy bieg.

– Znam Kvista od miesiąca – mówi Demirci. – Podczas akcji przeciw Rumunom rzucił się w ogień. Kiedy przegląda się jego akta, można by pomyśleć, że bardzo mu na tym zależy. Prawdę mówiąc, myślałam o tym, żeby go przenieść.

Pavlik hamuje ostro, bo jadąca przed nimi wywrotka zjeżdża na pas do wyprzedzania, nie włączając kierunkowskazu. Wali w klakson, jakby w ten sposób mógł sprawić, że Demirci zamilknie.

– Nazwanie go raptusem byłoby eufemizmem – ciągnie Demirci. – Zdaje się, że zaczęło się to pięć lat temu. Po Barcelonie.

– „Byłoby”, „można by”, „zdaje się”, „można by pomyśleć” – szepcze Pavlik.

– Skoro Aaron tyle dla niego znaczy, dlaczego Kvist nie robi nic, aby wybadać sytuację? To sprzeczne z jego naturą.

– Owija pani w bawełnę. To jest przeciw **pani** naturze.

– Ufa mu pan?

– Był moim przyjacielem.

– To nie jest odpowiedź.

Demirci musi się przytrzymać uchwyty, bo Pavlik skręca gwałtownie, wjeżdżając na parking. Hamuje i wysiada, ona idzie za nim. Dmie lodowaty wiatr, księżyc w pełni przysłaniają strzępki chmur. Pavlik zapala zapalniczką sztormową lucky strike’a, nie częstując Demirci.

– Pani zna go miesiąc, ja trzynaście lat. Nigdy nie okazywał strachu, nawet przed Barceloną. Niech pani spyta moją żonę. A ona go nie znosi.

– Byli tam tylko on, Jenny Aaron i Holm. Panie Pavlik, pan

przecież także nie wierzy, że ona stchórzyła.

– Nasz kodeks nie wymaga, żebyśmy się poświecili.

– Owszem, wymaga. I pan o tym wie. – Jej następne zdanie spada jak meteor i wykopuje między nimi krater: – Nigdy nie myślał pan o tym, że Kvist był w zмовie z Holmem?

– Ani przez chwilę – ciska Pavlik w jej stronę.

Mimo to jego papieros smakuje dawnym wspomnieniem.

Trzy miesiące po Barcelonie ojciec Aaron chciał porozmawiać z Butzem i Pavlikiem. Zależało mu, by zrobić to osobiście. Polecili do Sankt Augustin. Jörg postawił dobry alkohol i opowiedział im, co Kvist zrobił w Afganistanie. Nosi w sobie wściekłość niczym kulę, stwierdził, jest zdolny do wszystkiego. Pavlik chciał zaprzeczyć. Ale na co mógł się powołać? Na przyjaźń, lojalność, rozsądek? Jörg Aaron nie myślał w tych kategoriach. Dla niego było to równanie z trzema niewiadomymi: rzekoma wskazówka pochodziła od rzekomego informatora Kvista. Kvist nawiązał kontakt z Holmem. Kvist spotkał się z nim sam na sam w Brugii.

Butz starł to równanie i napisał nowe: informator istniał; zawsze był godny zaufania. Kvist po tym spotkaniu w Brugii nie był przekonany, że Holm ma Chagalla, gdyż oprócz fotografii nie dostarczył żadnego innego dowodu. Lissek przespał się z tym i dał rozkaz rozpoczęcia akcji.

– Jenny chciała wziąć ze sobą broń. Kvist jej to wyperswadował – powiedział Jörg Aaron.

– Podejmujemy decyzje. Niektóre są słuszne – odparł Pavlik.

W butelce została tylko odrobina whisky. Ojciec Aaron rozlał ją do szklanek.

– Podarował mi ją minister z okazji mojej imprezy pożegnalnej. Znałem wielu odważnych facetów. Żaden nie był równie odważny jak moja córka. Dam spokój dopiero wtedy, gdy dowiem się prawdy.

Chciał podnieść szklankę, ale wypadła mu z ręki i zanim rozprysnęła się na podłogę, już nie żył. Pavlik nigdy nie zapomni, że obaj z Butzem przez kilka godzin nie byli zdolni zadzwonić do Aaron. A kiedy potem wyjrzeli przez okno, zobaczyli ją, jak używając laski, idzie po omacku dróżką do

domu ojca. Zbiegli więc na dół, żeby znaleźć się przy bramie przed ludźmi wynoszącymi zwłoki. Butz chwycił Aaron za rękę i szepnął:

– Bardzo mi przykro.

Pavlik widział jej łzy, ale nie mógł znieść jej bólu ani dobyć z siebie słowa, Butz zaś zrozumiał, dlaczego nie chce się ujawnić. Wykradł się, jakby nigdy go w tym domu nie było, jakby nie cierpiał wraz z nią.

Wiatr gasi papierosa Pavlika. Wilgotny i gorzki tkwi między dwiema bezkrwistymi kreskami jego ust.

– Niech mi pan poda choćby jeden argument – mówi Demirci.

– Chociażby to, że ją kocha.

– Holm zapewnił go, że nic się jej nie stanie.

– Nie Kvist.

– Tylko dlatego, że jest pańskim przyjacielem?

Księżyc znika w czarnej otchłani. W spojrzeniu Pavlika odbija się więcej bezsennych nocy, niż Demirci kiedykolwiek przeżyła.

– Powiedziałem, że na półce przy szóstym torze jest nacięcie.

– Tak.

– Zrobił je André. On, Kvist i ja. „Trzech donów”, tak nazywali nas pozostali koledzy. André zmienił stronę. Kvist wytropił go i zabił – bo ja nie dałem rady tego zrobić. Nigdy żaden przyjaciel nie wyświadczył mi większej przysługi.

Kiedy Demirci znowu znajduje odpowiednie słowa, zauważa:

– Mówi pan o nim „André”, nie po nazwisku.

Wiatr porywa niedopałek z ust Pavlika.

– Tak chciał. Mówił: „Kiedy odejde, niech nikt nie zachowuje się tak, jakby mnie znał”. I dokładnie tak się stało. Wymówiłem jego imię po raz pierwszy od sześciu lat.

Bosch nie pamięta, kiedy dokładnie Holm przeszukał dolinę noktowizorem i wybrał samotną zagrodę. Pamięta jednak, jak kiedyś przed domem swojej szwagierki patrzył w niebo i słyszał słowa matki sprzed wielu lat:

– Dzieciątko Jezus piecze placuszki.

Nie pamięta, czy jeszcze padał śnieg, gdy w zagrodzie wysiedli z furgonetki, a Holm polecił swojemu bratu i jemu, żeby z kobietą, której przed oborą wypadło z rąk wiadro, weszli do środka i sprawdzili, czy rzeczywiście jest pusta. Wie, że strasznie bolała go głowa, gdy zadzwonił do szwagierki, że miał na sobie porządny garnitur, w jednej ręce trzymał bukiet kwiatów, a w drugiej auto strażackie dla Eliasa. Nie przypomina sobie, które pokoje sprawdzali wraz z Saszą, nie wie, jakie stały tam meble ani jak tam pachniało. Pamięta natomiast, że na klatce schodowej szwagierki zapalił lampę i słyszał tykanie swojego zegarka, który wcale nie tyka. Nie pamięta, czy kobieta z wiadrem powiedziała albo zrobiła coś, co go rozwścieczyło. Pamięta jednak, że szwagierka chciała szybko zamknąć drzwi, a jego wchłonął w siebie jakiś potężny wir, po czym zmiotł szwagierkę jak pajęczynę. Nie pamięta, jak to się stało, że kobieta leżała na podłodze w kuchni, zwijając się z bólu i lamentowała, a on miał zaciśnięte pięści, które go piekły, Sascha zaś z papierosem stał oparty o zlewozmywak i rechotał. Wie za to, że chciał tylko porozmawiać z Simone, powiedzieć jej, że wkrótce wszystko będzie dobrze, wie, że Elias nawet nie spojrzął na autko, tylko płakał i schodził mu z drogi. Nie wie, dlaczego kobieta z wiadrem leży teraz w drugim rogu, a z jej nosa płynie krew.

Nagle w pomieszczeniu staje Holm, który rzuca Boscha w powietrze niczym papierowy samolocik. Zanim Bosch traci świadomość, widzi, że Aaron posuwa się po omacku w stronę kobiety, klęka, przyciska ją do siebie, i pamięta, jak patrzył na Simone i Eliasa, którzy zachowywali się cicho, że szwagierka krzyczała, że to go rozwścieczyło i że jego zegarek stanął. Ale nie pamięta, jak do tego doszło.

Aaron głaszcze kobietę po przetłuszczonych włosach.

– Bez obaw, już pani nic nie robi.

Kobieta powoli się uspokaja.

Teraz jestem za nią odpowiedzialna.

Oddech Aaron staje się nierównomierny.

– Może się pani poruszać?

– Myślę, że... tak – szłocha kobieta. Po każdym słowie robi

pauzę, która w pierwszym życiu Aaron byłaby wystarczająco długa, aby rozłożyć browninga.

Bosch jęczy. Aaron pomaga kobiecie się podnieść. Nie ma skrępowanych rąk, ale nie czuje się dość silna, by sama utrzymać się na nogach.

– Schowaj broń – nakazuje Holm bratu.

– Co z nią zrobimy? – pyta Żetonowe Oko.

Aaron odwraca głowę w ich stronę.

– Jeśli pan jej coś zrobi, nie ruszę palcem w sprawie nowych negocjacji.

– Ruszysz, i to jeszcze jak. Mam już kilka pomysłów.

W tym samym momencie Aaron czuje w nosie zapach.

– Jak pięknie – mówi Holm – ma pani kamelię.

Aaron wspiera kobietę, która jest szczupła i jeszcze dość młoda.

– Gdzie jest pani mąż? – pyta Holm.

– Na polowaniu w Polsce. Z przyjacielem.

Sylaby tak szybko obijają się jedna o drugą, że kobieta prawie bełkocze.

– Kiedy wróci?

– Pojutrze.

Aaron wyobraża sobie spojrzenie Holma i malującą się w jego oczach pewność, że kobieta nie kłamie.

– Czy mąż ma broń w domu?

– W pokoju myśliwskim.

– Ona stanowi tylko balast – mówi Żetonowe Oko.

– Czy będzie jeszcze dzisiaj dzwonił do pani?

– Nie, mają męski wieczorek.

– A ktoś poza tym?

– Nie.

– Czy spodziewa się pani gości?

– Nie.

Aaron słyszy obroty licznika gazu. Cieknie woda z kranu. Zaskakuje palnik w termie. Z oddali dobiega turkot pociągu.

– Zostań tu z panią Aaron – poleca Holm. – Ale jeśli jej dotkniesz, sam wykopiesz sobie grób za domem.

Wyrywa kobietę z objęć Aaron i zabiera ją ze sobą.

Coś dźwięczy na podłodze.

– Przygotuj coś do żarcia, zdiro.

Aaron kłęka, zbiera garnki, patelnie, warzących i z hałasem uderza jednym o drugie, podczas gdy Żetonowe Oko rzuca ich na posadzkę coraz więcej i napawa się widokiem tego, co uważa za jej bezradność.

– Ślepa policjantka bawi się w ciuciubabkę. Świętojebliwa!

Holm wraca.

– Każde zwierzę w oborze, każda dżdżownica w kupie gnoju jest mądrzejsza od ciebie. Właśnie pozwoliłeś się jej rozejrzeć.

W reflektorach ukazuje się nagle droga krajowa. Jadąca przed nimi piaskarka zostawia ślad, po chwili widać ją w lusterku wstecznym, aż wreszcie znika za ostrym zakrętem. Pavlik pędzi po śliskim lodzie pod sklepieniem drzew; samochód trzyma się śladów, jakby poruszał się po szynach. W jakiś letni dzień Pavlik napawałby się widokami: rozglądałby się raz po raz, gdy zalesiony teren otwierałby się na bezkresne pola z majaczącymi hen na horyzoncie pagórkami. Podniósłby wizjer hełmu i podązał spojrzeniem za tłustym słońcem. Pędziłby przed siebie, z wiatrem wiejącym w twarz, mając ciało stopione z hayabusą i chmury odbijające się w lusterku. Gnałby po serpentynach, zdzierał asfalt nakolannikami i błogo trwonął czas.

Od chwili wyjazdu z parkingu nie zamienił z Demirci ani słowa. Nie jest to ten rodzaj milczenia, kiedy czeka się na to, kto pierwszy je przerwie, kapitulując. Nie jest to milczenie, które można by zakończyć jakimś frazesem, uwagą dotyczącą pogody czy inną błahostką, żeby je jakoś zbagatelizować i nie tracić na to wielkich słów. Nie jest to takie proste. Przyczynę tego milczenia stanowi Kvist. Demirci nie może cofnąć swoich słów, bo powiedziała dokładnie to, co chciała powiedzieć, wobec czego każda próba usprawiedliwiania się byłaby kłamstwem. Rzuciła swoje podejrzenie jak granat i póki nikt nie dowiedzie jego słuszności albo go nie obali, zostanie krater, który wyżłobiło.

Docierają do wsi. W oknach domu Manfreda Germera migoczą jeszcze bożonarodzeniowe girlandy; Święty Mikołaj śmieje się z jaskrawo zielonych sań, renifer zgubił gdzieś poroże. Germer otwiera zaraz po dzwonku. Siadają z nim w pokoju pełnym mebli z drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Jest to serdeczny grubas, jeden z tych, których spotyka się na festynach strzeleckich albo kempingach. Zazwyczaj wesoły, uosobienie serdeczności, teraz jednak kłębek nerwów. Jego żona, niska korpulentna kobieta z rozbieganym wzrokiem, pyta, czy się czegoś napiją. A może zjedzą kanapki? Nie, dziękujemy. Kobieta cicho zamyka drzwi.

– Co to za mężczyźni?

– Niebezpieczni – mówi Pavlik. – Niech to panu wystarczy.

– Proszę opisać nam pilota, który wyczarterował cessenę – prosi Demirci.

– Doświadczony pilot, to od razu widać. Obejrzał maszynę i natychmiast zauważył, że jeden zawór się poci. Był jakiś taki nieobecny. Opowiedziałem mu dowcip, ale on tylko udawał, że się śmieje.

– Jakie podał nazwisko?

– Martin Petzold.

– Czy przedstawił papiery współpasażerów?

– Kopie dowodów osobistych. Hans Breuer i Uwe Askamp. Demirci spogląda na Pavlika.

Breuer i Askamp. Poczucie humoru w stylu Holma.

– I czarter jest ważny przez dwa dni? – pyta Pavlik.

– Tak, powiedział, że to męska wycieczka. Coś takiego często się zdarza, więc wydało mi się to całkiem normalne.

– Z pewnością zostawił panu jakiś numer telefonu?

– Jeszcze nigdy takiego nie widziałem. Dziewięciocyfrowy. Facet powiedział, że mieszka za granicą.

– Czy przekładając lot na inny termin, sprawiał wrażenie zestresowanego?

– Hmm. Gdy dzwonił z telefonu komórkowego był dość oschły.

– Skąd pan wie, że to był telefon komórkowy? Czy numer się wyświetlił? – pyta Demirci.

– Nie, ale w pobliżu przejeżdżał wóz patrolowy na syrenie. No tak, może po prostu miał otwarte okno.

– Kiedy dokładnie to było? – szybko pyta Pavlik.

– Za siedemnaście czwarta. Specjalnie sprawdziłem po rozmowie telefonicznej z państwa kolegami.

Pavlik dzwoni do centrali dowodzenia. Chce się dowiedzieć od Majowskiego, gdzie w Brandenburgu o tej porze jechała policja na sygnale. Czeka przy telefonie.

– Jaka będzie jutro procedura? – pyta Demirci.

– Ma się zgłosić przed południem i powiedzieć, kiedy zamierza wystartować. Dwie godziny przed odlotem mam z nim odbyć kontrolę.

– Wymienimy pana na naszego człowieka.

Germer chce przytaknąć, ale jego podbródek zatrzymuje się w połowie drogi i nie może się podnieść. Demirci widzi, że mężczyzna intensywnie nad czymś myśli. Jakiś facet, podając fałszywe nazwisko, wyczarterował od niego samolot dla siebie i dla dwóch innych mężczyzn również z fałszywymi nazwiskami. Germer prawdopodobnie słuchał radia, po południu w biurze albo w drodze do domu. Mówiono o porwaniu autokaru i o wzięciu zakładników w Berlinie. Trzej mężczyźni, zdecydowani na wszystko, uciekli. Germer myśli o żonie, w przedsionku stoją dziecięce buciki. Gdyby mógł powiedzieć: „Nie ma sprawy”, dzisiejszej nocy spałby spokojnie.

– Ale to chyba niemożliwe, prawda? – mówi łagodnie Demirci.

Germer chce równocześnie skinąć i pokręcić głową, bije się z myślami.

– Powiedziałem, że będę tu jutro, spodziewa się mnie.

Spogląda ukradkiem w stronę drzwi, jakby wiedział, że żona podsłuchuje.

– Czy ma pan plan lotniska? – pyta Pavlik.

– Chwileczkę.

Germer wstaje i wychodzi.

– Dwie godziny – szepcze Demirci. – Prawdopodobnie Bosch przyjedzie sam, a bracia zjawią się tuż przed startem.

– Tak. Musimy dostać go żywego i skłonić, żeby nam powiedział, gdzie mają kryjówkę. To jedyna szansa.

Oboje myślą o jednym: *Jeśli Aaron jeszcze żyje.*

Zgłasza się Majowski.

– W tym czasie była tylko jedna akcja, podczas której używano syren. We Freienhagen.

– Tuż przed wpół do drugiej wyjechali z Wannsee. Wystarczyłaby im godzina, żeby dotrzeć do Freienhagen.

– Już to sprawdziłem. Zaraz za miastem na autostradzie doszło do poważnego wypadku. Był olbrzymi korek, ruch przerzedził się dopiero o trzeciej. Chłopaki podchodzą do lądowania, gdzie chcesz się z nimi spotkać?

– Poinformuję ich, niech czekają. – Pavlik kończy rozmowę. – Byli za Oranienburgiem, a to po drodze do Finow – przekazuje Demirci.

– Moglibyśmy posłać tam ludzi.

– Na pewno już dawno ich tam nie ma. Na miejscu Holma poszukałbym kryjówki co najwyżej dziesięć kilometrów od lotniska, żeby jutro być tu jak najszybciej. Nie, oni są gdzieś w pobliżu.

Mówi spokojnie i uprzejmie, ale Demirci czuje, że to tylko poza. Jakby dzień wcześniej nie palili na strzelnicy wysepionych papierosów, jakby nie narodziła się między nimi żadna bliskość, kiedy opowiadała mu o swojej matce, jakby Pavlik nie był jej wdzięczny za żarliwy uścisk jego dłoni i ona jemu za to, że pomógł ludziom oplakać śmierć kolegów, gdy nie miała na to czasu – nie umiałaby zresztą tego robić – jakby nie było jej opieki i jego rady, która stała się dla niej tak cenna. Wszystko to wydaje się nagle utracone, jakby nigdy się nie zdarzyło, jakby on znowu stał się mężczyzną, który w dzień przystąpienia przez nią do służby minął ją, nie zaszczycając jej spojrzeniem ani nie zwracając uwagi na jej uśmiech, a ona kobietą, która nie dała po sobie poznać, że ją to zraniło. Oboje czują stratę i wiedzą, że być może już nigdy nie uda się odbudować tego, co pojawiło się między nimi.

Germer wraca, rozpościera na stole plan lotniska i wskazuje miejsce – każdy ruch jego palca to nieprzespana godzina –

ostatnie z wszystkich miejsc tego świata, w których jutro chciałby się znaleźć.

– To tylko dwa małe budynki. Tu jest parking, a tu wejście do mojego biura, jest tam trochę papierów. Potem tym korytarzem idzie się na przedpole. Maszyna jest zaparkowana właśnie tam, po drugiej stronie.

– Czy w biurze siedzi ktoś oprócz pana?

– Nie, stoi tam tylko biurko. On to wie, bo był w środku. – Germer ma teraz płytszy oddech, szybciej wypowiada słowa. Jego palec wędruje mimowolnie ku parkingowi na planie.

– Może tutaj byłoby dobrze?

Nie, to byłaby najgorsza opcja. Tuż przed wejściem i po wyjściu Bosch będzie niezwykle zdenerwowany; jeśli bowiem oczekuje interwencji, to właśnie tam. Gdyby doszło do wymiany strzałów, niebezpieczeństwo zabicia go byłoby zbyt duże. Jeśli natomiast znajdzie się w środku i wszystko będzie przebiegać normalnie, trochę się odpręży. Wtedy zaatakują.

Pavlik wstaje i kuca przed kredensem, w którym na honorowym miejscu stoi model śmigłowca z japońskim znakiem identyfikacyjnym.

– Wspaniały. Sam go pan zrobił?

Duma Germera na chwilę bierze górę nad strachem.

– Sto dziewięćdziesiąt jeden godzin roboty. Każdą część własnoręcznie wyciąłem i polakierowałem. Podwozie jest ruchome.

– Naprawdę? Jak to działa?

Germer wszystko mu pokazuje, a Pavlik pyta:

– Mogę? – W jego głosie słychać podziw.

Demirci przygląda się im obu – zachowują się jak duzi chłopcy. Gdyby nie znała Pavlika, mogłaby pomyśleć, że zapomniał, po co tu przyjechali.

– Co to za model?

– Yokosuka Ohka, tylko do lotów dla kamikadze.

– Z pewnością potrzeba do tego wiele cierpliwości.

– I spokojnej ręki.

Pavlik się uśmiecha.

– Jak pan myśli, panie Germer, czy ktoś, kto potrafi zrobić

take cacko, nie jest też wystarczająco opanowany, żeby powitać naszego człowieka, zażądać kilku podpisów i poprosić go, żeby poszedł pierwszy na pas startowy, bo właśnie dzwoni telefon, więc on musi jeszcze szybko coś wyjaśnić?

Germer się zastanawia. Na jego twarzy pojawia się bardzo wymuszony uśmiech.

– Może.

Kiedy skręcają z drogi głównej w polną dróżkę, Pavlik wyłącza reflektory. Wiatr ucichł, księżyc widoczny między spokojnymi chmurami przypomina jędrny świński pęcherz. Jego światło zabarwia śnieg na blade błękit i połyskuje w gałęziach krzewów, które muskają samochód. Ludzie Pavlika już przyjechali. Fordy stoją pod drzewami, zamaskowane sieciami, niewidoczne z odległości pięćdziesięciu metrów.

Porozumiewają się bez słów. Pavlik bierze noktowizor i czołga się w kierunku Tempera, który, również wyposażony w to urządzenie, z wierzchołka wzgórza obserwuje lotnisko. Leży pod nimi – martwa natura z zielonych pikseli otoczona modułami solarnymi, które jak tarasy zaśnieżonego pola ryżowego tułają się do podnóży stoków. W czasie zimnej wojny stacjonował tu sowiecki pułk myśliwców, wieża wciąż jeszcze stoi. Przed masywnymi hangarami dla bojowych jetów, zbudowanymi tak, jakby miały przetrwać stulecia, tkwią wysłużone samoloty. To muzeum, które Pavlik zwiedzał kiedyś z bliźniakami. Wcisnęli się do MIG-a i bawili się w walkę powietrzną. Pomyślał wtedy, że to rzeczywisty świat, jego świat, inny od świata większości ojców.

Na północny wschód od tego lotniska znajduje się lotnisko sportowe i biznesowe. Dwa płaskie budynki. Zamknięty hangar jest wystarczająco duży, żeby pomieścić gulfstreama, teraz jednak, jak Pavlik dowiedział się od Germera, jest pusty. Na przedpolu stoją trzy śmigłowce.

– Który to?

– Cessna.

– Zatankowana?

– Tak.

– Z pewnością kusi Holma. Po co czekać do jutra? Ja bym buchnął ją już dzisiaj w nocy.

– Na pewno przyjdzie mu to na myśl.

– Hangary mogłyby być dla niego dobrą kryjówką.

– Sprawdźmy.

Parking widzą tylko w połowie.

– Z naprzeciwległego wzgórza mielibyśmy lepszy widok – burczy Kemper.

– Wiem – odpowiada Pavlik, ale nie kwapi się, by wyjaśnić swoją decyzję.

Kemper daje spokój, zna Pavlika wystarczająco długo. W biurze gaśnie światło, chwilę potem odjeżdżają dwa samochody. Obaj mężczyźni zdejmują noktowizory. Pavlik chce wrócić do pozostałych, ale Kemper kładzie mu rękę ramieniu.

– Dlaczego Kvist jest obserwowany?

– Rutynowo.

– Nigdy niczego nie robisz rutynowo.

– Masz z tym jakiś problem?

– Odbił mnie w Amsterdamie. Zawsze wrywa się naprzód. To świetny facet. A ty tak szybko go przekreślasz. Nie jest to tylko moje zdanie.

– Od kiedy to mamy demokrację?

– Od kiedy to srasz na kolegę?

Pavlik łapie Kempera za nadgarstek. Wie, że kolejne słowo zmieni go w kogoś, kim nigdy nie chciał być i nigdy nie był. Wie to, od kiedy na autostradzie docisnął pedał gazu do dechy i zauważył, jaki jest cieniutki, i że to nie on gna po asfalcie, tylko asfalt pod nim. Oczy Pavlika są czarne jak onyks.

– On będzie moim przyjacielem nawet wtedy, gdy wy już dawno o nim zapomnicie – szepcze.

Kemperowi krew pulsuje w dłoni. Między nimi zawisa obłok oddechu. Obaj widzą słowa jeszcze w chwili, kiedy te już przebrzmiały.

Kemper potakuje skinieniem głowy. Zrozumiał.

Oczy Pavlika bardzo powoli zmieniają kolor. Dopiero po dłuższej chwili odzyskują barwę złamanej szarości chmur.

Obłok oddechu znika.

Znalazłszy się przy fordzie, Pavlik bierze Demirci na stronę.

– Naprawdę chce pani tu zostać?

Ma na myśli: „Byłoby lepiej, gdybyśmy w ciągu najbliższych godzin schodzili sobie z drogi”, ale ujął to inaczej.

– Decyzja zapadła – odpowiada, zamiast: „Oboje musimy żyć z tym, co powiedziałam”.

Wszyscy wkładają brudnobiałe kombinezony, smarują sobie twarze farbami maskującymi. Pavlik wyznacza zespoły: po dwóch mężczyzn na wieży, przedpolu, parkingu i w biurze. Demirci idzie z technikami do hangaru.

– Krupp, Nowak, do mnie. Rozejrzymy się.

Nakładają hełmy i noktowizory i zawieszają uzbrojenie na ramionach. Bezgłośnie przemykają w dół stoku, wycinają otwór w płocie i stapiają się z drzewami. Pavlik, Krupp i Nowak oddzielają się od pozostałych. Znikają pod modułami solarnymi dokładnie w chwili, gdy wiatr znów zaczyna wiać i przegania chmury na niebie.

Technicy kryminalistyczni rozstawiają sprzęt w hangarze. Krampe sprawdza pozycje.

– Zespół pierwszy: gotów, zespół drugi: gotów.

Fricke charczy z krzaków na parkingu:

– Gotowy. Zimno jak cholera.

– Od tego twojego biadolenia chce się nam rzygać – dochodzi głos z ciepłej wieży.

Uaktywniają wideołączość z Wydziałem, Grauder melduje:

– Sytuacja bez zmian.

Automatyzmy pomagają przetrwać Demirci pierwsze pół godziny. Kamera umieszczona na hełmie Pavlika wysyła poruszone obrazy częściowo pokryte zielonymi kropkami. Sprawdzić, zabezpieczyć, dalej. Demirci wie, że Pavlik nie spodziewa się spotkać tu Holma. W okolicy jest mnóstwo możliwych kryjówek – domy na uboczu, zagrody chłopskie, gęsty las. Każda z nich jest lepsza niż lotnisko. Pavlik przeszukuje teren tylko dlatego, że chce wykluczyć to

jednoprocentowe prawdopodobieństwo.

Demirci spogląda na Krampego, który z zamkniętymi oczyma siedzi przed monitorami i słucha nielicznych, wypowiedzianych szeptem słów kolegów. Nauczyła się cenić jego spokój i profesjonalizm. Na Krampe można polegać, potrafi znaleźć rozwiązanie każdego problemu technicznego. Pozostali traktują go jak kumpla, ale nie zwracają się do niego po imieniu. Nie stanęliby w nocy pod jego drzwiami, nie wywnętrzaliby się przed nim ani nie upijali wspólnie po akcji. Fundament ich koleżeństwa stanowi sekunda decydująca o życiu i śmierci. Krampe często bywał świadkiem takiego momentu, postrzegał go jako szybki oddech w krtani, wyrzeczony rozkaz, echo strzału, krzyk w eterze. Ale nie wie nic ponad to.

Śmieje się cicho pod nosem. Może dlatego, że Fricke opowiedział dowcip. Demirci stuka go w ramię i Krampe unosi prawą słuchawkę.

– Ile lat jest pan już u nas?

– Osiem.

– No to znał pan André.

Milczenie Krampego można by obierać jak cebulę, a pod każdą kolejną warstwę znajdowałyby się nowe jego pokłady.

– Jak on miał na nazwisko?

Krampe wdycha i wydycha milczenie.

– Której części pytania pan nie zrozumiał?

– Neubauer.

– Co to był za człowiek?

– Niech pani zapyta Pavlika.

– Pytam pana.

Krampe spogląda ku swoim dwóm kolegom. Siedzą w kucki z tyłu hangaru, jeden drzemie, drugi bawi się telefonem komórkowym, obaj nie zwracają uwagi na niego ani na Demirci. Krampe zastanawia się nad odpowiedzią, jakby nie była tak prosta, jak jest w rzeczywistości. Mijają wieki, zanim mówi cicho, szorstko, ze smutkiem:

– To był wspaniały gnojek, z którym każdy chciał się zaprzyjaźnić. Ale pozwolił się do siebie zbliżyć tylko Pavlikowi

i Kvistowi. Byli trzema donami. André nie miał rodziny. Podobnie jak Kvist, może dlatego. Było w nim coś takiego, że się go lubiło. Jak Pavlik – chociaż ten ma też inne cechy. I śmiech, od którego człowiekowi robiło się lepiej. Kiedyś powiedział do mnie: „Takiego macie mnie zapamiętać – roześmianego”. Wszyscy byliśmy na jego pogrzebie. Przy grobie przysięgliśmy, że nigdy nie będziemy o nim myśleć. Jedyne jego nazwisko nie znajduje się na tablicy.

– Co się stało?

– Odsunął się od nas. Stał się małomówny, przestał się śmiać i wściekał się o każdą pierdołę. Nie przychodził nawet na grilla do Lisska. Na strzelnicy zaatakował jednego z chłopaków. Nie wiem kogo, znam to tylko ze słyszenia. – Krampe urywa. – Przeważnie nie ma mnie przy tym, kiedy muszą sobie coś wyjaśnić. Zajmuję się wyłącznie techniką.

– To jest równie ważne jak wszystko inne – przychodzi mu w sukurs Demirci.

– Może. Zresztą wszystko jedno.

– A potem?

– Nawet Pavlik trzymał się od niego z daleka. Aaron też. Ona i André się lubili, ale nie chodziło o sprawy damsko-męskie. Oboje pluli śmierci w twarz, chyba na tym to polegało. – Znowu szuka słów. – André zwinął fałszywe pieniądze. Kvist to wykrył. Pavlik nie chciał dać temu wiary. Kiedy André pojechał na akcję pod przykrywką, poszli do jego mieszkania. Pod podłogą znaleźli sto tysięcy fałszywych euro. Lissek zastanawiał się, czy pod jakimś pretekstem nie kazać mu wrócić do kraju. Nie było jednak nikogo, czyj telefon nie wzbudziłby jego podejrzeń, wysłał więc do Pragi Pavlika i Kvista, żeby załatwili sprawę. Ale Pavlik się upił. Kvist pojechał sam, bez wiedzy Lisska. André pragnął wielkiego odejścia. I je dostał. Kvista zawieszono na trzy tygodnie.

– Czy w Pradze byli świadkowie?

Wzruszenie ramionami.

– Wydział Spraw Wewnętrznych nie zamknąłby akt, gdyby sprawa nie była wyjaśniona do końca.

– Może brakowało dowodów?

– Na co?

– Tak, na co? – słyszy Demirci głos za plecami.

Odwraca się. Pavlik wrócił z Kruppem i Nowakiem. Wystarcza jedno jego spojrzenie, a Claus Krampe szybko nakłada z powrotem słuchawkę.

Trzej mężczyźni stoją nieruchomo.

– Panie Pavlik, Kvist był pańskim przyjacielem, szanuję to. Ale nie powinniśmy się kierować uczuciami.

– Jasne – odpowiada chłodno Pavlik. – Aaron zostawiła Kvista w Barcelonie, bo wiedziała, że w przeciwnym razie oboje umrą. To są niezaprzeczalne fakty. To, że Aaron wydała się na pastwę Holma, nie było decyzją Kvista, tylko jej. Może jest pani zdania, że niewidoma kobieta nie potrafi decydować o swoim życiu tylko dlatego, że jest zdana na pomoc innych osób. Ja widzę to inaczej. Mówi pani o szacunku? No to ja też. Kvist uszanował jej wolę. Miała prawo tego od niego zażądać.

– Dlaczego więc pan go znokautował? Co jest z czterdziestką piątką, którą by pan sobie wsadził do ust?

– Miałem czas się nad tym zastanowić.

– A André?

– Nie ma pani prawa tego oceniać, nie znała go pani, nie była pani na jego grobie. Nie płakała pani z Kvistem.

Gdyby było jeszcze ciszej, można by usłyszeć, że na dworze znowu zaczyna padać śnieg.

Demirci włącza swój telefon komórkowy.

– Helmchen, potrzebny mi raport Wydziału Spraw Wewnętrznych na temat André Neubauera. – Patrzy niewzruszenie na Pavlika. – Mam tego świadomość. Niech pani ściągnie kogoś, kto ma wolne.

Pavlik się odwraca. Zmęczenie przemyka przez jego twarz niczym cień. Pytanie, które zadaje sobie bez przerwy, które go nęka i dręczy, jakby od tygodni ktoś dzień w dzień tatuował mu je na skórze, pytanie, skąd zna nazwisko Evy Askamp, stało się tak świdrujące, tak męczące, że jak migrena wymazuje z mózgu każdą inną myśl.

– Lubiliśmy się już jako dzieci. On był takim dzikusiem z pozdieranymi kolanami, procą i ustami umazanymi czekoladą. To było w Kleinhünerodzie w Turyngii, kilka domów, jakby ktoś napluł na mapę, trzeba się tego miejsca naprawdę naszukać. Pochodzę z zachodu, z Fürth, chyba to słyhać. Mój ojciec zawsze powtarzał, że dialekt frankoński przykleja się do człowieka jak guma do żucia. Mieliśmy krewnych w Turyngii, dlatego w każde wakacje spędzaliśmy tam trzy tygodnie. Klaus pokazywał mi, jak się gwizdże na palcach i łapie żaby. Już wówczas miał łowiectwo we krwi. Pocałowaliśmy się przy stawie z karpami. To był mój pierwszy pocałunek w życiu. Mieliśmy wtedy po osiem lat, ale bardzo dobrze pamiętam, że smakował czekoladą i wanilią.

Holm wyrzucił wszystkie graty z maleńkiego pomieszczenia gospodarczego, a następnie wepchnął tam Aaron i kobietę, po czym zamknął drzwi. Wśród tych nagich ścian jest tak ciasno, że obie mają akurat tyle miejsca, aby siedzieć przyciśnięte do siebie, z podkulonymi nogami i rękami na kolanach. Aaron czuje, że jej towarzyszka się trzęsie. Odpowiedziała tylko na jedno pytanie. Przedstawiła się jako Vera. Aaron zna dwa rodzaje zachowań ludzi, którzy po raz pierwszy patrzą śmierci w twarz. Jedni nie mogą wykrztusić z siebie słowa, bo strach zamyka im usta. Inni mówią bez przerwy, wspominają całe swoje życie, chcą wyjaśnić, kim są, dopóki jeszcze jest ktoś, kto ich słucha, dopóki jeszcze mają głos. Nie ma sensu im przerywać albo ich pocieszać. Muszą mówić tak długo, jak długo czują taką potrzebę.

A zatem Aaron pozostaje wyłącznie czekać. Jest zniewolona tą jedną myślą. Tym nagłym zrozumieniem. Tą jedną prawdą:

Ilia Nikulin.

On stał się ojcem, którego szukał Holm.

Ja byłam winna jego samobójstwa.

Vera szlocha.

– W wieku siedemnastu, osiemnastu lat wakacje spędzałam po swojemu, jeździłam z przyjaciółmi pod namioty, podróżowałam pociągiem do Paryża i Rzymu... wciąż lubię podróżować. O Klausie nie miałam żadnych wiadomości, nawet o nim nie myślałam, wtedy po prostu byliśmy dziećmi. Zawsze chciałam zostać aktorką. Nie mam zbyt wielkiej pewności siebie, a moja matka bardzo wcześnie wbijała mi do głowy, że nie jestem nikim szczególnym. Mimo to ubiegałam się o przyjęcie do HdK w Berlinie. No i mnie wzięli. Wprawdzie rzutem na taśmę, ale wszystko jedno! Moi rodzice osłupieli ze zdumienia. Stałam przed lustrem i powiedziałam: „Będziesz jak Meryl Streep. Albo przynajmniej jak Cher!”.

Skąd Holm wiedział o mnie i Nikulinie? I od kiedy?

Czy już w Barcelonie? Tak, już tam.

Aaron ponownie widzi Holma chwytającego ją za rękę. „Na panią poczekałbym nawet dwie minuty”. Było to widać w jego oczach. To głębokie zadowolenie, że wreszcie przed nim stoi.

Nie ukarał brata pięcioma latami więzienia dlatego, że Rubenowi udało się nacisnąć sygnał alarmowy i wezwać pomoc. Tkwiałam w pułapce, a Sascha pozwolił mi uciec. Tylko dlatego.

Ale dlaczego Holm nie zabił mnie w tunelu?

Bo nie mogłam mu uciec. Oślepił mnie, to był zaledwie początek mojej kary, przedpiekle.

W jakim piekle jestem teraz?

W piekle wspomnień.

W samochodzie Holm zacytował Dantego: „*Ach, nic tak nie boli, / Jak chwile szczęścia wspominać w niedoli*”⁹. Ile w tym prawdy! W bibliotece pamięci otwierają się kolejne drzwi. Aaron czuje jednak szczęścia i ulgi, na które miała nadzieję – to, co dawało jej szczęście okazało się ulotne i minęło na

⁹ D. Alighieri, *Boska komedia. Piekle. Pieśń V*, przeł. J. Korsak, Łódź 1897.

zawsze. Nos Sandry, który marszczy się, gdy przyjaciółka wybucha śmiechem; łobuzerska twarz Pavlika łasującego w garnkach; języczek Marlowe'a; obserwowanie Nika podczas snu. „La Le Lu” – rozbrzmiewa melodia pozytywki, którą podarował Aaron ojciec. „A potem Dziadek Piaskowy do domu cicho wkroczy, snem najbardziej kolorowym zamknie ci na noc oczy”. Przy „najbardziej kolorowym” pozytywka trochę przeskakuje.

Ile piekiel jest w „Boskiej komedii”? Osiem, dziewięć, dziesięć? A potem jest czyścić, w którym odbywa się pokutę.

Strasznie trudno zebrać myśli. Jeden z trenerów powiedział:

– Doprowadzę panią do granic pani możliwości. A kiedy już pani tam dotrze, zaprowadzę panią do granicy, o której istnieniu nie miała pani pojęcia.

Najlepiej z brakiem snu radzili sobie Fricke i André. Mieli swoje metody – na przykład myśleli o szczególnym wyposażeniu wymarzonych samochodów, które by kupili, gdyby byli bogaci, albo wymyślali idiotyczne wyzwiska: „Życzę ci świerzbu na jajach i ropowicy na wszystkich dziesięciu palcach, żebyś nie mógł się podrapać!”. Zdarzało im się też wymieniać miejsca, których chcieli unikać: zachodnioindyjskiego Dikshitu, Tussendorfu w Szwabii, Meinkotu w Harzu, Wixhausen pod Darmstadt, Hymendorfu nad Wezerą. Langweiler w Palatynacie znajdowała się niewątpliwie na pierwszym miejscu¹⁰. Kiedyś André stworzył listę najszeptniejszych mężczyzn z pięknymi kobietami. Od „A” – jak Aristotelis Onasis do „Z” – jak Zebedeusz. Przysięgał, że Zebedeusz miał brodawki, a Salome mimo to za nim szalała. Wcześniej czy później śmiech ich rozbudzał.

Verze nie zamykają się usta.

– Wkrótce zauważyłam, że inni są zdolniejsi, nie jestem przecież ślepa. Przepraszam. Trudno mi było znaleźć angaż, może też z powodu tego frankońskiego dialektu. Ale mimo

¹⁰ Są to nazwy znaczące: Dikshit oznacza „grube gówno”, Tussendorf – „wieś laseczek”, Meinkot – „moje gówno”, Wixhausen – „dom, w którym się brandzluje”, Hymendorf – „wieś błony dziewiczej”, Langweiler – „nudziarz”.

wszystko nie poddałam się, talentu wystarczyło na tyle, żeby występować w teatrze offowym. Na utrzymanie zarabiałam, sprząając, nie wydawałam się sobie dość dobra, by zająć się czymkolwiek innym. Pewnej niedzieli pojechałam z koleżanką do Berlina Wschodniego – po raz pierwszy, chociaż w stolicy mieszkałam już od czterech lat. Głupie, prawda? Ale teraz będzie najważniejsze: odwracam się na Museumsinsel, a przede mną stoi Klaus. Od razu się rozpoznaliśmy i czy pani w to uwierzy, czy nie, miał na kolanach podarte dżinsy.

Kuchnię, w której Aaron „się rozejrzała”, ocenia na jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych. Kuchenka gazowa, dość tradycyjne umeblowanie, natychmiast by się w nim odnalazła. Dom jest duży. Trzydzieści kroków od drzwi kuchennych przez korytarz. Dwanaście w lewo, do komórki, w której teraz obie siedzą w kucki. Nogi im zdrętwiały. Przynajmniej jakaś część Aaron śpi. Za to jej głowa wyczynia dziwne rzeczy. Jedna połowa jest ciężka jak kowadło, druga tak lekka, jakby mogła fruwać.

– Wiem, że brzmi to idiotycznie, ale spojrzeliśmy na siebie i już – ciągnie Vera. – Szesnaście lat po pierwszym pocałunku przy stawie z karpiami. On poczuł to samo.

Prawdopodobnie często opowiadała tę historię – pogodnie, beztrzesko, rzucając słowa jak piłki w powietrze i nimi zonglując. To nadal te same słowa, tyle że teraz brzmią tak, jakby wszystkie spadały na ziemię. Mimo to Vera musi trzymać się tekstu, każdej puenty, każdego zwrotu, nie może niczego zmienić, żeby nie stracić oparcia.

– Gadaliśmy jak wariaci, bo przecież ja najpóźniej o północy musiałam wrócić do Berlina Zachodniego. Klaus pracował w VEB Robotron. „Wiesz, stworzyliśmy największy mikrochip na świecie!”, powiedział i roześmiał się. Ale nie był szczęśliwy. Otrzymał trzy odmowy wyjazdu. A chciał złożyć jeszcze jeden wniosek. Ja bym się na to nigdy nie zdobyła. Odprowadził mnie na dworzec Friedrichstrasse. Przed „pałacem łez”, który nazywał się tak dlatego, że w chwili pożegnania ludzie często tam płakali, pocałowaliśmy się. Ten pocałunek był słodki jak pralinka. – Robi pauzę po każdym zdaniu, czując, że powinna

to wszystko opowiadać całkiem innym głosem, tak jak kiedyś, ale nie może. Mówi szybko dalej, jakby jej serce, gdyby przestała, mogło stanąć jak zegar. – To poszło rach-ciach. Złożyliśmy wniosek, że chcemy się pobrać, uzyskaliśmy zgodę. Obłęd! Klaus kupił w sklepie Exquisit krymskiego szampana. Przez pół roku kursowałam między Wschodem a Zachodem, a potem pobraliśmy się na Alexanderplatz. Pod portretem Ericha Honeckera. Ten garnitur Klausa! A ja byłam cała w bieli.

Aaron nasłuchuje, co dzieje się w jej głowie. Lewa połowa szumi, prawa milczy. Może André, ten wariat, miał jednak rację? Był przekonany, że obie półkule mózgowe potrafią spać i budzić się oddzielnie, tak jak to jest u albatrosów. A potem znów mówił takie cudowne rzeczy, na przykład: „W Montevideo jest hotel, w którym mieszkają same anioły”.

André, ty i ja, szósty tor był tylko nasz. Jakże często słyszałam twój połowiczny oddech. Ale kiedy wydałeś ostatnie tchnienie, nie było mnie przy tobie. Co chciałeś mi powiedzieć poprzez ten pocałunek złożony na moim czole – pocałunek na wieki?

– Klaus nie dawał sobie rady na Zachodzie. To było tak, jakby zasadzić palmę na biegunie północnym. Najpierw chciał koniecznie wyjechać na Zachód, ale kiedy się tam znalazł, pragnął wrócić, tyle że nie było to już możliwe. Nie wiedzieliśmy, że za dwa lata runie mur. Zwyczajnie nie miałam siły mieć siłę za nas oboje. Rozwiedliśmy się. Byłam bardzo smutna. Jednak życie trwa dalej, zresztą nie jestem typem mazgaja. Poznałam dobrego mężczyznę i wyszłam za mąż. Nie był taki słodki, ale zawsze powtarzam, że każdemu należy dać szansę. Nasza córka to najlepsze, co zdarzyło mi się w życiu. Mieszka w Innsbrucku i jest w szóstym miesiącu ciąży. Zostanę babcia, to niepojęte! Gdy zaszłam w ciążę, zrezygnowałam z aktorstwa. Po kilku latach wpadłam na pomysł, żeby poszukać starych automatów z gumą do żucia. Nie da pani wiary, ile ich jeszcze jest. Rdzewieją na strychach i w piwnicach. Sprzedawałam je na Strasse des 17. Juni. Nie ze względu na pieniądze, mój mąż miał bardzo dobrą pracę, był

inżynierem, ale dlatego, że sprawiało mi to frajdę. Możliwe, że winien temu mój był ojciec, przez to, co mówił o dialekcie frankońskim.

Od kiedy Holm nie śpi? Ostatniej nocy na pewno nie spędził w łóżku. Pojechał za mną na przyjęcie, a o czwartej nad ranem za Paulikiem do jego domu. Wczesnym rankiem był w mieszkaniu Ewy Askamp. Kto wie, czy on w ogóle potrzebuje snu? Okapi śpi w dzień zaledwie pięć minut. Nie, Holm to nie okapi, on jest drapieźnikiem. Lwy śpią dwadzieścia godzin – świat nie jest sprawiedliwy. Może Holm jest rekinem? Rekiny nigdy nie śpią.

Vera jest okapi.

– Pewnej niedzieli ktoś stojący za moimi plecami pyta, ile kosztuje automat z gumami do żucia, który mnie samej wydawał się absolutnie wspaniały. Znalazłam go na Babelsbergu, w rekwizytorni studia filmowego. Są na nim mali kosmonauci i rakiety, trzeba wrzucić dziesięć wschodnich fenigów. Odwracam się, a przede mną stoi Klaus. Oboje najpierw zaniemówiliśmy. Rozwiedliśmy się dziewiętnaście lat wcześniej, od tamtej pory nie mieliśmy o sobie żadnych wieści. Mieszkał jeszcze w Berlinie, we Friedrichshain, przy Märchenbrunnen, miał małą firmę taksówkarską, żonę, ale był bezdzietny. Właśnie odziedziczył po ciotce gospodarstwo rolne. Właściwie zawsze marzył o wsi, również ze względu na polowania. Poszliśmy na kawę. Kiedy mi opowiedział, że chce założyć hodowlę strusi, bo to ma przyszłość, wydało mi się to całkiem logiczne. Równie dobrze mogłoby opowiedzieć, że wyjeżdża do kraju Taka-Tuka, i nie byłoby problemu. W moim życiu wszystko jakoś się układa, myślałam. Ale zamiast podać sobie ręce na pożegnanie, znowu się pocałowaliśmy i on znów pachniał najlepszą czekoladą świata. Zrozumiałam, że tym razem to słuszna droga. On też. Oboje się rozwiedliśmy, przyjechaliśmy tutaj i od ośmiu lat hodujemy strusie. Automat z gumami do żucia wisi w kuchni. Mogłoby się wydawać, że kosmonauci i rakiety nie pasują do hodowli strusi, ale ja uważam, że pasują. Te ptaszyska są głupie jak but, nie umieją nawet odróżnić swojego pokarmu od ludzkiej ręki. Gdyby pani

zobaczyła moje ręce, toby pani zrobiła wielkie oczy. Są całe zniszczone, bo strusie ciągle mnie dziobią. Ale jedno jest pewne: przez te osiem lat każdego dnia byłam szczęśliwa. Niewiele kobiet może to o sobie powiedzieć.

Nagła cisza wyrywa Aaron z drzemki. Czując drżenie obok siebie, zdaje sobie sprawę, że Vera bezgłośnie płacze.

– Nie umrzemy – szepcze Aaron. – Co z pani telefonem komórkowym? Zabrał go pani?

– Tak.

– Gdzie stoi telefon stacjonarny?

– W sieni. Przeciął przewód.

– Pokazywała mu pani szafę z bronią. Co zrobił z amunicją?

– Wrzucił ją do stawu za domem.

– Czy gdzieś jeszcze jest amunicja?

– Nie. Nie wiem. Czy pani naprawdę jest policjantką?

– Tak.

– Niewidomą? – pyta Vera z powątpiewaniem.

– Tak.

– Czego oni chcą?

– Dwaj chcą pieniędzy, jeden chce mnie zabić. Ten, z którym była pani przy szafie z bronią.

– Przecież nie jestem bogata.

– Zażądają za mnie okupu. Jestem cenna. Vero, to miejsce tutaj z pewnością znajduje się na uboczu. Pani mąż jest myśliwym. Jeden z moich wujków też jeździł na polowania. Poza karabinami zawsze miał w domu naładowany rewolwer, na wszelki wypadek.

– Rewolwer nic nam nie pomoże. Pani jest niewidoma, a ja nie umiem strzelać.

– Gdzie jest rewolwer?

– Jeszcze nie zwariowałam.

– Musimy jakoś dostać się do broni. Niech mi ją pani tylko da, nie musi pani z niej strzelać.

– Nie zrobię tego. Nie miałabym szans przeciw nim.

– Słyszę po pani głosie, że jest pani o wiele odważniejsza, niż pani myśli.

Dziesięć odważnych rzeczy, które Aaron zrobiła:
jako niewidoma po raz pierwszy sama przeszła przez ulicę
postawiła się bratu koleżanki tureckiego pochodzenia
pojechała na spotkanie w Tangerangze
jadła w Kambodży
poleciała do Moskwy
rok po śmierci Bena weszła na zamarzną sadzawkę
jechała z Pavlikiem augustą
przez trzy tygodnie nie otwierała okna w klinice odmówiła
podania ręki federalnemu ministrowi spraw
wewnętrznych
czekała w Schönefeld na Nika

– Przecież pani nic o mnie nie wie.

Vera znów płacze.

Aaron nie chce jej naciskać. Podnosi się z trudem, żeby poprawić cyrkulację krwi. Ma gołe, lodowate stopy.

Holm chce, żebym przez cały czas czuwała. W skupieniu.

Przykłada ucho do drzwi i nasłuchuje. Słyszy ciche głosy, ale nic nie rozumie.

Holm przygląda się bratu, który znalazłszy w lodówce stek ze strusia i podsmażywszy go krótko do szarości, rozrywa teraz mięso na strzępy nożem i widelcem i połyka kęsy, wcale ich nie gryząc. Holm wie, że Sascha przez pięć lat w ten sam sposób wpychał w siebie żarcie więzienne, jak zresztą każdy posiłek. Od kiedy pamięta. Gdyby nie zapytał o rzeczy, których brakowało Saschy w więzieniu, nie znalazłoby się wśród nich porządne jedzenie – tylko kobiety, broń, jakieś domy. Ale brat dręczy każdą kobietę, opróżnia wszystkie magazynki, robi bałagan we wszystkich domach. Ponieważ sam dla siebie jest tylko kawałkiem mięsa, które połyka.

Bosch je swój stek cierpliwie i w skupieniu. Kroci go na równe kawałki. Każdy kęs żuje długo, a w ciszy słychać, że z kranu kapie woda. Rozmyśla przy tym. Holm powiedział: „Dadzą nam kolejne pięć milionów”. Jak? Bosch go o to nie zapyta, ledwie

ma śmiałość na niego spojrzeć. Holm siedzi bez ruchu, trwa zanurzony w swoim własnym świecie. Kiedy Bosch podnosi wzrok, spogląda Saschy w oczy, nie znajduje w nich jednak niczego, o czym by już od dawna nie wiedział. Sascha zabije go przy pierwszej sposobności. Jak ociera sobie usta grzbietem dłoni! Czy Bosch mógłby się z nim zmierzyć? Absolutnie nie, nie miałby nawet cienia szansy. A mimo to nie boi się go. Nie ma takiej możliwości, żeby przebywać w jednym pomieszczeniu z Holmem i bać się kogoś innego.

Sascha kruszy kromkę nad talerzem, kawałki chleba wpadają do krwistego soku.

– Jak długo jeszcze będziemy tu siedzieć? – pyta brata.

– To zależy wyłącznie od was.

– Co to znaczy?

– Że na waszym miejscu zacząłbym się zastanawiać nad żądaniami, nad wynegocjowaniem warunków: gdzie i kiedy ma nastąpić przekazanie pieniędzy.

– To znaczy, że ciebie to już nie interesuje?

– Nie. To wasze pieniądze.

– I mówi to ktoś, kto spalił pięć milionów.

– Jenny Aaron uratowała dzisiaj prawie trzydzieścioro dzieci i poświęciła siebie. Niewidoma bohaterka. Tak z pewnością nazwą ją media. To najcenniejsza zakładniczka Niemiec. Trzy, pięć albo nawet dziesięć milionów. Zapłacą.

Sascha wyjmuje glocka zza paska i kieruje go na czoło Boscha.

– Ale przecież ja nie muszę się dzielić.

Bosch odkłada sztucce. Jest pewna sprawa, która nie daje mu spokoju. Nie powinien był przywozić Eliasowi auta strażackiego. Może hulajnogę? Wtedy wszystko byłoby inaczej.

– Bosch, niech pan zapyta naszą gospodynię, co to za trasa, którą tu jeżdżą pociągi.

To zdanie wystarczy, żeby powstrzymać Saschę przed strzałem. Bosch wychodzi. Tak samo cieszy się, że pozostał przy życiu, jak by się cieszył, gdyby Sascha nacisnął spust.

– To nie byłoby mądre – mówi Holm, zostawszy z bratem sam na sam. – Potrzebujesz go, żeby uciec. Potem zawsze możesz go zabić. Chociaż to bez większego znaczenia, ile

zgarńiesz milionów. Z jednym potrafiłbyś począć równie mało co ze stu.

Sascha trzyma w ręce odbezpieczoną broń. Jego palec jest oddalony zaledwie o milimetr od punktu naciśnięcia spustu. Nie, nawet mniej.

Cieniuteńki spaw, to wszystko.

Wystarczyłoby drgnienie.

– Może przez jedną albo dwie sekundy byłbyś szczęśliwy – brat czyta w jego myślach. – A potem? Nawet z tego nie umiałbyś się cieszyć.

– Dlaczego nie mogę mieć Aaron?

– Za co chcesz się zemścić? Za tę kobietę, z którą sypiałeś? Która zaszła z tobą w ciążę? Gdybyś się o tym dowiedział, rozplątałbyś jej brzuch. Za to, że Aaron wsadziła cię do więzienia? Przecież nie wsadziła, ja cię tam posłałem. Nie, jest tylko jeden powód: ponieważ leżałeś przed nią zakrwawiony. Ponieważ cię zobaczyła takim, jaki jesteś: słabym dzieckiem, które błaga mnie, żebym zabił ojca. Kogo nienawidzisz bardziej? Jej czy siebie samego? Przez pięć lat podniecało cię to, że ona jest niewidoma. Ale dzisiaj ci to odebrała. Bo nie jest bezradna. Ponieważ walczy o życie bardziej zajadle, niż ty potrafiłbyś kiedykolwiek. Doprowadza cię to do takiej furii, że odgryzłbyś sobie palce, gdyby to była cena za możliwość jej zabicia. Ale w tobie została ta sama pustka, ta sama nienawiść, ten sam ból. Ponieważ to sam siebie chcesz zabić. Jedyne w ten sposób możesz pokonać potwora w sobie. Do tego jednak brak ci odwagi. Nic nigdy cię nie wyzwoli, ani tysiące krzyków, ani morze pieniędzy. Ja natomiast mam większe prawo do zemsty, niż możesz to sobie wyobrazić. W przeciwieństwie do ciebie potrafię coś zakończyć. I potrafię sam sobie wybaczyć, a ty nie. Mogę zostać wybawiony. Nie wytłumaczę ci tego, bo i tak byś nie zrozumiał, ale bądź pewien: moja kara dla Aaron przekracza twoje pojęcie.

Wstaje.

– Albo strzelisz mi teraz w plecy, albo będziesz płakał aż po grób.

Holm rusza w stronę drzwi.

Sascha kieruje glocka w jego stronę, zamyka oczy i słyszy strzał. Widzi, jak Holm pada, widzi, że chce jeszcze coś powiedzieć. Patrzy na niego, napawa się krwią tryskającą z jego ust, uśmiecha się, pozwala, żeby brat powoli się nią dławił.

Żadne pragnienie nie jest tak silne jak to, żaden dygot tak potężny jak jego. Otwiera oczy i nieruchomo gapi się na drzwi, które brat przed chwilą zamknął za sobą.

Lodowaty wiatr z zachodu dyszy w krzewach jałowców i w jarzębinach, za którymi rozszalałe morze rozbija się o przybrzeżne rafy. Mężczyzna stoi na tarasie swojego domu, ubrany w ciepłą kurtkę ze skór jagnięcych. W zatoce światło nawigacyjne Svingrundu krąży między niskimi chmurami, a porywisty wiatr obmywa jego twarz. Wcześniej jego żona i on jedli rybę, którą dzisiaj złowił, a potem zasiedli z lampką wina przed telewizorem, żeby obejrzeć niemieckie wiadomości. Nie wymieniono nazwiska Aaron ani nazwisk ludzi, którzy wzięli niewidomą kobietę jako zakładniczkę. Ale on wiedział, co się stało.

Odstawił wtedy kieliszek, wziął kurtkę i bez słowa wyszedł na taras. Żona siedzi w domu, a on wie, że ona płacze. Przedwczoraj dzwonił Pavlik, który opowiedział mu o Saschy i zabitej psycholożce w celi Boenisha. Powiedział, że Aaron przyjedzie do Berlina. Że Demirci się izoluje. Obiecał sobie, że do niej zatelefonuje.

Ale tego nie zrobił. Choć przecież kiedy przed laty sam objął to stanowisko, byłby wdzięczny, gdyby jego poprzednik wtrącał mu się do pracy. Ze wszystkich błędów, jakie kiedykolwiek popełnił, tego żałuje najbardziej.

Jego telefon komórkowy wibruje. Wyjmuje go z kieszeni. Nie śpieszy się – nigdy nie okazuje zdenerwowania lub strachu, nawet kiedy jest sam.

– Cześć, Lissek.

– Cześć, Pavlik.

Głos ma spokojny, pewny. Taki, jaki musi być głos człowieka, któremu inni powierzają swoje życie.

Taki jak głos Pavlika.

– Wiesz już?

– Tak.

Pavlik siedzi w kucki pod modulem solarnym. Tym razem przyszedł tu sam. Nie chciał z nikim dzielić zimna i wiatru.

– Ona jeszcze żyje. Holm szantażem wymusił zwolnienie brata z więzienia.

– Co macie?

– Jestem w Finow. Stoi tu cessa. Podobno chcą nią jutro polecieć do Wilna. Nie przewidzieli w maszynie miejsca dla Aaron.

Lissek widzi Aaron wchodzącą przez drzwi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Pomyślał wtedy: *otacza ją aura*. A po latach, kiedy z łatwością wyciągnęła go znad przepaści, przebiegło mu przez głowę: *jej aura to jej wewnętrzna siła, ona lśni od wewnątrz*. Spostrzega, że zaczyna snuć o niej wspomnienia. A tego nie wolno mu teraz robić.

– Z radością po wsze czasy szczałbym krwią, gdybym mógł cofnąć czas o dwa dni.

– I tak byś jej nie przeszkodził. Znasz Aaron. Spróbuj zastąpić drogę skaczącemu tygrysowi.

– Pojechała tam dobrowolnie?

– Tak.

– Jak to się jej udało?

– Kvist.

Otwierają się drzwi na taras. Lissek odwraca się do żony, która widzi, że rozmawia przez telefon, i patrzy na niego z niepokojem. Mąż prosi, żeby mu nie przeszkadzała. Kontroluje swój oddech.

– Gdzie teraz jest?

– Zawieszony. Każemy go obserwować.

Nad Fårösund wiatr złości się na morze, w Finow strząsa śnieg z sosen.

Pavlik spostrzega cień, który prześlizguje się między chmurami i odbija światło księżyca.

– Nie rozłączaj się. – Przerywa rozmowę i uaktywnia swój mikrofon krtaniowy. – Zespół szósty do techników.

– Technicy słuchają – odpowiada natychmiast Krampe.
– Tuż nade mną jest dron. Jeśli zejdzie jeszcze odrobinę, będę mógł strącić go kamieniem. Niech te dupki skierują go wyżej.

– Zrozumiałem. Bez odbioru.

Pavlik wraca do rozmowy z Lissekiem.

– Muszę cię o coś zapytać. Chciałem to zrobić już wczoraj.

– Tak?

– Ta podstawiona przyjaciółka korespondencyjna Saschy nazywała się Eva Askamp. Czy mówi ci coś to nazwisko?

Lissek się zastanawia.

– Nie. „Nazywała się?”

– Holm ją dzisiaj zabił. – Pavlik śledzi wzrokiem dron, który wzbija się w górę i znika w chmurach. Głos Pavlika cichnie. – I trzech naszych.

– Kogo?

– Blaschkego, Clausena. I Butza.

Lissek rzucił palenie trzynaście lat temu, wie jednak, że po rozmowie z Pavlikiem pojedzie do wsi i w Vardshuset kupi w automacie paczkę gitane’ów bez filtra. Myśli o samolocie, który o ósmej rano startuje z Visby i przez Sztokholm leci do Berlina, o tym, że jutro do niego wsiądzie. Myśli o żonie Blaschkego, o dzieciach Clausena, o siostrze Butza. Myśli o słowach, które musi znaleźć, aby im powiedzieć, co łączyło go z tymi mężczyznami. Na pewno Pavlik i Demirci złożyli im już kondolencje. Ale to Lissek zatrudnił ich w Wydziale i ta odpowiedzialność będzie ciążyć na nim już zawsze. Tak jak zaniechanie wykonania tego jednego telefonu.

Pavlik wie, o czym Lissek teraz myśli, czeka więc cierpliwie. Wreszcie były szef chrząka i mówi:

– Dlaczego pytasz mnie o tę kobietę?

– Bo jej nazwisko doprowadza mnie do białej gorączki.

– Nigdy się z nim nie spotkałem. – Deszcz spływa mu po kołnierzyku, przypominając o innym deszczu sprzed wielu zim, co przyprowadza go o dreszcze.

– Jak sobie radzi Demirci?

– Twoja liga.

Lissek słyszy jednak ukryty podtekst.

- Ale?
 - Zażądała raportu Wydziału Spraw Wewnętrznych na temat André.
 - Ja też bym to zrobił na jej miejscu.
 - Gówno prawda – warczy Pavlik.
 - Jak długo się znamy?
 - No nie najkrócej.
 - A jak często się myliliśmy?
- Pavlik nie musi odpowiadać.
- Nie mów więc, że to jest niemożliwe.
 - Ciesz się swoją emeryturą, staruszk.
 - Na kogo jesteś wściekły? Na Demirci czy na siebie?
 - Na cały świat.
 - Złość nie jest dobrym doradcą.
 - Muszę wracać.
 - Jeszcze jedno, przyjacielu: zawsze załatwialiśmy sprawy po swojemu. Jeśli to prawda i jeśli staniesz naprzeciw niego, nie daj mu szans. Jest na to za dobry.

Holm otwiera drzwi. Aaron ze skrępowanymi rękami zaczyna schodzić po schodach, wyczuwa zapach stęchlizny. Gołymi stopami dotyka lodowatej posadzki i jest niemal pewna, że te drzwi prowadzą do piwnicy.

– Dobre miejsce dla nas, prawda? Niech pani wyciągnie ręce nad głowę.

Aaron wykonuje polecenie. Obija się o coś, co nad nią dynda. Przytrzymuje to mocno.

– Widzi pani: żarówka jest zimna. Jestem tak samo niewidomy jak pani. Pomoże nam to obojgu w koncentracji. Pani marzy o papierosie. Ale na próżno. Musi pani mieć świadomość, że już nigdy nie poczuje pani tego smaku na języku. Nadszedł czas, żebyśmy porozmawiali o stracie.

Chłód wżera się w ciało Aaron jak głodne zwierzę.

– Zabrałem pani płaszcz. Jest pani bosa, marznie pani. – Chwyta jej ręce i przyciska je do swojej nagiej klatki piersiowej. – To również coś, co nas łączy. Ma pani wiele pytań. Odpowiem na nie. Pierwsze pytanie dotyczy tego, co łączyło mnie z Ilią Nikulinem. – Holm puszcza ręce Aaron, ale stoi tuż przed nią. – W tym celu muszę spojrzeć na niego oczami dwudziestoletniego chłopaka. Otóż Nikulin mieszkał w wielkim domu nad Jeziorem Genewskim, miał dużo służby, piękną łódź, eleganckie samochody. Widziałem kiedyś, jak wystawia czek na sto milionów dolarów. Ale wszystko, co do niego należało – na przykład udziały w przemyśle, które nabywał, politycy, których sobie kupował – nie było wytworem jego chciwości. Nikulin nie gromadził tych rzeczy, aby zappełnić pustkę. Wie pani, dlaczego to robił?

– Z nudów?

– Pani wciąż żartuje. To głupie z pani strony.

Grzbietem dłoni tak szybko uderza Aaron w kość nosową, że kobieta nawet nie czuje ruchu powietrza. Ból podcina jej nogi.

Aaron upada na kolana.

– Ponowimy próbę. Co było motorem jego działania?

– Władza? – dyszy Aaron.

– Do pewnego stopnia. Ale nie tak, jak pani myśli. To, co go mobilizowało, miało swoje korzenie w jego dzieciństwie. Nikulinowi odebrano ojca, gdy miał osiem lat, tyle samo, ile Sascha, gdy ja wykopałem dół. Był chirurgiem w szpitalu w Nowogrodzie i padł ofiarą jednej z wielkich fal czystek stalinowskich. Pretekst do aresztowania dało tak zwane sprzysiężenie lekarzy, rzekomy spisek medyków, których pomawiano o kontakty z tajnymi służbami świata zachodniego. W rzeczywistości aresztowania były wymierzone w żydowską inteligencję, a przestępstwem, które zarzucano ojcu Nikulina, było otaczanie się przyjaciółmi pochodzenia żydowskiego. Zniknął w gułagu i Nikulin nigdy więcej go nie zobaczył. Nie zobaczył również matki, którą gdzieś pogrzebano. Umieszczono go w państwowym sierocińcu. Wówczas poprzysiągł sobie, że nikt nigdy nie posiadzie nad nim władzy, i zrozumiał, że jedyna droga ku temu polega na tym, żeby samemu zdobyć władzę. W ten sposób człowiek, którego nazywałem ojcem, stał się tym, kim był.

Aaron pełźnie do tyłu po podłodze, aż uderza o ścianę. Otwiera oczy. I natychmiast je zamyka, bo ból jest zbyt duży.

– Czy ma pani pojęcie, co musiało dla niego znaczyć wychowywanie się w sierocińcu w Związku Sowieckim lat pięćdziesiątych? Wspomniał o tym tylko raz. Powiedział: „Mieliśmy wszy nawet w nosach”. To, co zrobiono jemu i jego rodzicom, każdego innego człowieka uczyniłoby zgorzkniałym po wsze czasy. Ale nie jego. Kiedy spotkałem go na swojej drodze, byłem dwudziestoletnim nikiem, a w oczach mojego brata czaił się tylko piwniczny mrok. Ale on zabrał nas ze sobą, zostawiając zwłoki rodzzonego syna. W domu nad jeziorem wprowadził mnie do swojej olbrzymiej biblioteki z pierwodrukami różnych dzieł i powiedział: „Spędzaj tu tyle czasu, ile ci się żywnie podoba. Wiedz jednak, że żadna z tych książek nie nauczy cię, jak się zamyka oczy ukochanemu człowiekowi”. Tego zdania nie znalazłem u żadnego filozofa. Zapamiętałem je

jako wyjątkowo prawdziwe.

Skrepowanymi rękami Aaron obszukuje otoczenie, próbuje wymacać coś, czym mogłaby się bronić. Nie znajduje niczego. Tylko kurz i kamienie.

– Czego nauczył panią pani ojciec? – pyta Holm.

– Strzelania, śmiechu, czułości. I tego, że istnieje zło.

– Jaki mądry człowiek. Mój pierwszy ojciec nauczył mnie czekać na uderzenie pięści. Nauczył mnie, ile szczelin jest na suficie piwnicy i jak używać piły łańcuchowej. Ale nie miał nade mną takiej władzy, żeby nauczyć mnie bólu. Mój drugi ojciec nauczył mnie wszystkiego innego – na przykład jak obchodzić się z bronią. Był w tym mistrzem, szkolił się w specnazie. Nauczył mnie też języków: rosyjskiego, francuskiego, angielskiego, włoskiego. A także tego, jak podporządkowywać sobie ludzi, czytać bilanse, prowadzić negocjacje. Jak powinien leżeć garnitur i czego można się dowiedzieć o człowieku, patrząc na jego buty. Nauczył mnie cenić dobre jedzenie i nie jeść jak świnia. I wiele więcej. Ale najważniejszą rzeczą, jakiej nauczył mnie ojciec, było to, że wola musi być silniejsza niż strach. Że można mi odebrać wszystko, tylko nie wolę. Że trzeba umieć stać nad czymś grobem, nie pogrążając się w zwątpieniu i nie zadając pytań, dlaczego samemu się w nim nie leży. Ilu umierających ludzi pani widziała? Nie myślę tu o zabijaniu. Myślę o umieraniu. O patrzeniu drugiemu człowiekowi w oczy, o słuchaniu słów, zbyt cichych, żeby można było je zrozumieć, o trzymaniu kogoś za rękę albo choćby o czekaniu z odrazą na chwilę, kiedy ów ktoś wreszcie zamilknie. Jak często?

– Sześć razy.

– Kim była ta szóstka?

– Pucybut w Tangerze, taksówkarz w Helsinkach, pewna kobieta w garażu podziemnym, kolega ze szkoły, moja matka. – Waha się, a po chwili szepcze: – I Niko.

– Niko uszedł z życiem.

– Dla mnie to było tak, jakby umarł.

Holm oddycha odrobinę głębiej. Czyżby „zatruta ręka”, wbicie palca wskazującego między szóste a siódme żebro, zaczęła

działać?

Aaron zbiera się na odwagę i pyta:

– Czy widział pan umieranie człowieka, który był mi bliski?

– Kogo ma pani na myśli?

– Mężczyznę, który zabezpieczał podwórze Evy Askamp.

– Był dobry. Czuł, że stoję za jego plecami, chociaż poruszałem się bezszelestnie. Zdecydowały centymetry. Złamałem mu kark wysokim kopniakiem. Jeszcze żył. Ale w jego oczach nie było widać smutku. Miał swój czas. Wyzwolilem go pchnięciem *nukite* w serce.

Aaron przypomina sobie, jak wyprowadzona z budynku przez Pavlika klęka obok ciała, szuka po omacku zimnych warg Butza, przywiera do śniegu i żegna się z przyjacielem.

– Jak się nazywał?

– Butz.

– Ładne nazwisko. Mój ojciec był świadkiem, jak jego młoda żona umierała po wypadku samochodowym. Później widział śmierć syna i najstarszej córki. Byłem przy tym za każdym razem. Syna pocałował w czoło i nazwał go pieśczośliwym imieniem. Córka cierpiała na rzadką chorobę, nie potrafił jej pomóc żaden lekarz. W ostatnich tygodniach życia wychodziła z pokoju tylko po to, żeby się umyć. Ale kiedy zamknął jej oczy, a ja chciałem go pocieszyć, spojrział na mnie takim obojętnym wzrokiem, że cofnąłem rękę. Na pewno wie pani, co mam na myśli.

– Że okazywanie uczuć jest niegodne samuraja.

– Tak. Ale pani nie stosuje się do tego nakazu. Podobnie jak ja. Mój ojciec chciał mnie tego nauczyć, tym razem jednak byłem nieposłuszny. Nadeszła godzina, kiedy zmarła również jego druga córka. Natasza, jego Nataszeńka, jego oczko w głowie. Nie mógł być przy niej, aby trzymać ją za rękę. Ale ktoś, kto przekazał mu tę wiadomość, opowiadał potem, że ojciec roztrzaskał wszystkie lustra. Tak więc na koniec to uczeń miał rację, a nie nauczyciel. Żaden ból nie może być tak wielki, żeby wart był skrywania go.

– Został pan prawą ręką Nikulina – mówi Aaron.

– Kimś więcej. Podróżowałem z nim po świecie, wprowadził

mnie w tajemnicę dotyczące jego interesów, a przede wszystkim pokazał mi, że zająłem miejsce jego syna. Kiedy skończył się mój okres terminowania, zawezwał mnie do siebie i położył na biurku zdjęcie. Był na nim przystojny mężczyzna, może pięćdziesięcioletni. Ojciec polecił mi, żebym go zabił, ale nie wytłumaczył dlaczego. Ten mężczyzna mieszkał w Londynie. Obserwowałem go całymi dniami. Wiódł niepozorne życie na przedmieściach, miał ładną młodą żonę, dzieci. Przez okno widziałem, że czyta im książeczki. Bawił się z nimi w ogrodzie, był czuły. Walczyłem ze sobą. Nie rozumiałem, dlaczego mam odebrać ojca dzieciom, a kobiecie męża. Kiedy tak rozmyślałem dniami i nocami, ktoś wdarł się do mojego pokoju hotelowego. Myślał, że śpię, i chciał przystawić mi do głowy tłumik beretty. Kiedy już roztrzaskałem mu twarz, patrzyłem, jak umiera, i odebrałem swoją lekcję. – Holm znów oddycha ciężko i potrzebuje sporo czasu, żeby wygłosić następne zdanie. – Kto nasłał tego człowieka?

– Ten, kogo miał pan zabić z polecenia Nikulina. Jego niepozorne życie stanowiło tylko fasadę.

Na gorze kroki. Żetonowe Oko. Jak długo jeszcze nie będzie się bronił?

– Tak. To był przeciwnik Nikulina. Zastrzeliłem go w jego ogrodzie na oczach dzieci. Ojciec nauczył mnie, że łaska może kosztować życie.

– A czego ten ojciec nauczył pańskiego brata? Jak pluć na groby?

– Posłał go do drogich internatów. Najpierw do Lozanny. Gdy po upadku Związku Sowieckiego pojechaliśmy z nim do Rosji, umieścił go w internacie nad Bajkałem. Ale przychodziły stamtąd niepokojące wiadomości: że Sascha dręczy inne dzieci. Pięć razy musiał zmieniać szkołę, w końcu wylądował w Kaliningradzie. Pewnego razu miał przynieść coś ze spiżarni. Kiedy nie wracał, posłano jednego z uczniów, żeby go poszukał. Potem znaleziono tego chłopca martwego. Sascha wbił mu w tętnicę szyjną rozbitą butelkę po winie. Zrozumiałem wtedy, że zaciągnąłem dług, którego nigdy nie spłacę. – Holm milknie, a kiedy zaczyna mówić dalej, jego głos staje się twardy

i matowy. – Ojciec zatroszczył się o to, żeby nie zamknięto Saschy. Za pomocą pieniędzy można wiele załatwić, nawet ukoić smutek niektórych rodziców. Oddał Saschę pod opiekę pewnemu człowiekowi, który miał wobec niego różne zobowiązania. Ten mężczyzna nie musiał się obawiać mojego brata. Ale dzisiaj może pani zobaczyć, czego go nauczył. W późniejszych latach Sascha otrzymywał od ojca zlecenia, do których wykonania się nadawał. Nie pochylałem tego. Na ojcu rozmaite okrucieństwa nie robiły wrażenia, na mnie owszem. A mimo to nie robił tego wszystkiego dla mojego brata, tylko dla mnie. Co pani ojciec zrobił dla pani?

– Nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie.

– Ja zwątpiłem w swojego ojca, a pani w swojego nigdy. Widziałem, jak rozmawia pani z nim nad jego grobem. Pani oddanie jest bezwarunkowe, liczy się pani z ojcem nawet po jego śmierci. To był człowiek wierny zasadom, studiowałem wszystko, co napisał. Kiedy zapytałem panią, dlaczego nie pozwoliła się pani wykrwawić Boenischowi, uchyliła się pani od odpowiedzi. Czy nie było tak, że w domu w Spandau rozmawiała pani z ojcem? Czy nie postanowiła pani wcześniej, że zostanie sędzią Boenischa, a ojciec pani tego zabronił?

Aaron milczy i trwa w bezruchu.

– Nie chciałem znów zrobić pani krzywdy za brak odpowiedzi.

– To prawda.

– Czy kiedykolwiek pani tego żałowała?

– Nie.

– Kłamie pani.

Tak. Od wczoraj żałuje tego bez przerwy. Od kiedy dotknęła lepkiej strużki w celi Boenischa. Od kiedy przypomniała sobie Rungego i kelnerkę. Od kiedy kołysała w ramionach zwłoki Evy Askamp. Od kiedy Pavlik powiedział: „Butz”. Od kiedy na Strasse des 17. Juni padł strzał. Z tych wszystkich powodów pragnęłaby tamtego dnia nie usłyszeć głosu ojca.

I teraz też.

Udaje się do swojej wewnętrznej komnaty. Musi pomyśleć.

Jak to możliwe, że on zna moje myśli, całe moje życie,

wszystkie moje tajemnice? Że wie o przyjaźni z Sandrą i Pawlikiem? Że wie, kim jest dla mnie ojciec, Gantenbein, Marlowe? Że w piwnicy Boenisha miałam zardzewiały gwóźdź? Że kradłam? Że kocham Nika? Że postępuję według zasad bushido?

– Był pan w moim mieszkaniu.

Na myśl o tym Aaron odczuwa mdłości.

– Długo pani do tego dochodziła.

To szok. Jak gwałt.

– W pani sypialni wisi obraz Eşrefa Armağana. Prawdopodobnie nie chce pani wiedzieć, co przedstawia. Uszanuję to. Ma pani wiele książek. Początkowo wydawało mi się to dziwne, ale potem zrozumiałem. Pani wystarczy świadomość, że te książki tam są. Jak lampy, rośliny, obraz. Szczególnie dwa dzieła zwróciły moją uwagę: *Hagakure. Sekretna księga samurajów* i oczywiście *Powiedzmy, Gantenbein...* Frischa. Pani ulubione zdanie z tej powieści mogłoby brzmieć: „Każdy człowiek prędzej czy później wymyśla sobie historię, którą uważa za swoje życie”¹¹. Mnie trafniejszy wydaje się inny fragment: „Jestem ślepy. Wiem o tym nie zawsze, ale czasami. Potem znów wątpię o tym, czy historie, które mogę sobie wyobrazić, nie są jednak moim życiem”¹². Czytała to pani. Ale bez zrozumienia. Gdyby pani raz, jeden jedyny raz, stawiała czoła tej prawdzie, zrozumiałaby pani, że od jedenastu lat żyje pani w kłamstwie.

– Chce pan pomścić ojca. Niech pan to wreszcie powie.

– Proste odpowiedzi zostawiam pani.

Holm połyka spólgłoski, Aaron ma więc pewność, że to pierwsze objawy działania „zatrutej ręki”. Aby rozpocząć walkę z Holmem, musi poczekać do momentu, gdy zacznie zawodzić jego układ krążenia. Będzie mieć jednak bardzo niewiele czasu, bo on po chwili dojdzie do siebie.

– Siedziałem przy pani łóżku – mówi Holm dalej. – Wie pani, że nawet we śnie kontroluje pani swój oddech?

– Założę się, że i to jest nasza wspólna cecha.

¹¹ M. Frisch, *Powiedzmy...*, s. 70.

¹² M. Frisch, *Powiedzmy...*, s. 469.

– Chce mi pani powiedzieć komplement? Myśli pani, że gdybym był iluzjonistą w variétés, a pani po każdym moim triku zrywałaby się z miejsca i klaskała, cokolwiek by to dla mnie znaczyło? Aplauz niewidomej kobiety? – Parska. – Ze względu na panią nauczyłem się brajla. Przeczytałem pani zapiski i czułem pani rozpacz. Traci pani pamięć, tej doskonałej maszynie zaczyna brakować paliwa. Dla mnie byłoby to gorsze niż ślepotą. Strach, że w Barcelonie okazała się pani tchórzem, rośnie w pani głowie jak guz. Tęskni pani do poznania prawdy. Ale jakiej? Po mnie spodziewa się pani rozgrzeszenia i potwierdzenia, że słusznie pani postąpiła. Dlatego pani przede mną klęczy. Ale co robi pani na wieść o tym, że wszystko to było jak koszmar senny, przed którym nie można uciec? Że zdradziła pani Kodeks Wydziału, złamała wszystkie siedem nakazów bushido i teraz jedynym wyjściem byłoby dla pani seppuku? Ale nawet to nie będzie pani dane. Nie pozwoliłbym pani na taką honorową śmierć.

– Niech mi pan powie, co tam się stało. Proszę.

– „Czy Niko mnie dotykał? Ja jego? Czy były słowa? Jakiej? Dlaczego uciekłam i zostawiłam Nika?” To jedyny powód, dla którego przyjechała pani na Strasse des 17. Juni. Ponieważ tylko ja mogę powiedzieć pani prawdę.

– Kłamie pan – szepcze Aaron. – Chodziło mi o trzydzieścioro ludzi.

– Kłamstwo nie jest dla samuraja grzechem. Jest czymś znacznie gorszym, czymś znacznie bardziej żalonym niż słabość. Dam pani teraz swoją broń. Jest naładowana, pozna to pani po jej ciężarze. Proponuję, żeby mnie pani zabiła. To bardzo łatwe. Ale wtedy nigdy nie pozna pani prawdy. Nie przeżyje pani ani jednego szczęśliwego dnia i umrze ze świadomością, że była pani tchórzem. Wszystko to leży teraz w pani rękach.

Wcisła remingtona do jej skrępowanych rąk. Aaron czuje, że jej serce łomocze, słyszy, że stal wżera się w beton. Czuje w nosie zapach kawy.

Słyszy swój krzyk.

Holm obejmuje jej dłonie i bez wahania przykładą lufę

pistoletu do swojego czoła.

– Czego pragnie pani bardziej: mojej śmierci czy chwili poznania?

Aaron rozkazuje palcowi wskazującemu, żeby nacisnął spust.

Rozkazuje, rozkazuje, rozkazuje...

Ale palec nie słucha.

Holm wyjmuje broń z jej bezsilnej ręki, a Aaron płacze i kuli się na zimnej, brudnej podłodze, tak jak Niko kulił się wówczas w magazynie.

Holm się nie śpieszy. Ale nie z szacunku dla niej. Chce, żeby jak najdłużej odczuwała tę bolesną świadomość, że tylko on zna prawdę, a ona się bez przerwy okłamuje.

Dopiero gdy Aaron się uspokaja, Holm mówi:

– Alina zaprosiła panią do Moskwy. O czym pani myślała? Czy odczuwała pani pokusę, żeby odmówić i zataić ten telefon przed swoim przełożonym?

Ani przez chwilę.

Przez całą noc Aaron siedziała naprzeciw Wolfa, przewodniczącego BKA, pułkownika radzieckiej służby bezpieczeństwa KGB i agenta FBI. Nagle okazało się, że powodzenie największej operacji międzynarodowej zależy od niej. Spełnienie marzeń było na wyciągnięcie ręki.

– Nie. – Musi walczyć o każde słowo. – To była szansa, na którą czekałam.

– Czy chociaż wiedziała pani, że może to oznaczać pani śmierć?

Aaron przypomina sobie: pod koniec tej narady Richard Wolf poprosił, żeby jeszcze została, podczas gdy inni wyszli z gabinetu. W zamyśleniu zapalił cygaro.

– Pani Aaron, choć jest pani jeszcze bardzo młoda, może się pani poszczycić znakomitymi osiągnięciami. Ale ci faceci, którzy dopiero co wyszli, już robili zakłady o pani głowę. Podejrzewam, że informacja o kwocie nie byłaby dla pani zbyt pochlebna. W Moskwie będzie mieć pani za plecami tyłu ludzi z FBI, KGB i od nas, że wszystko wyda się pani wycieczką zakładową. Tyle że nie jest to wycieczka, lecz wręcz samobójcze przedsięwzięcie. Niech pani zapomni o wszystkich tych

ludziach. Będzie pani zdana wyłącznie na siebie. Czy to dla pani jasne?

– Tak.

Wolf spojrział na nią badawczo, a potem podał jej rękę.

– Opuściła pani coś ważnego – mówi Holm.

Aaron przypomina sobie: Wolf nie od razu puścił jej dłoń.

– Na takim nazwisku, jakie ma pani, można się przejechać. Moja córka ma na ten temat swoje zdanie. Nazwisko nie może być powodem pani wyjazdu. Czy jest pani pewna, że nie o to chodzi?

– To nie ma z tym nic wspólnego – odpowiedziała Aaron. Wiedziała jednak, że Wolf jej nie wierzy.

– Czekam – mówi Holm.

– Chciałam pokazać, czyją jestem córką.

– To pierwsze prawdziwe zdanie, które usłyszałem od pani w tej piwnicy. Widzi pani, wczoraj jeszcze tego wszystkiego nie było. Ale teraz ofiarowuję pani jej własne wspomnienia. To nie jest zresztą ostatnie – urywa, a zdanie zawisa w próżni niczym wyrok. – Nie zwracałem uwagi na Alinę. Była własnością jednego z szefów firmy Nikulina. Trzpiotka. Ale bardzo dobrze znałem jej brata. I pani też.

Fiodor. Geniusz matematyczny. Był najpiękniejszym i najbardziej samotnym człowiekiem, jakiego znalazłam.

Stworzył algorytm, dzięki któremu można było wyliczyć maksymalny zysk w interesach surowcowych. Fiodor był dla Nikulina niezastąpiony. Dużo wiedział o jego interesach i większość budziła jego obrzydzenie. Alina przedstawiła go Aaron. Polubił jej smutne oczy. A ona jego. Kiedy opowiedziała o Fiodorze moskiewskiemu rezydentowi FBI, prawie nie mógł złapać tchu. „Wszystko jedno, czego to będzie wymagać – niech go pani nakłoni do współpracy z nami”.

– Mój ojciec panował nad swoim imperium jak car. Był nietykalny. A potem pani przyjechała do Moskwy i się sprostyowała, żeby mu wszystko odebrać.

– Jestem dla pana kurwą? Tak jak dla pańskiego brata? Tak, spałam z Fiodorem. Kiedy obojgu nam było potwornie smutno, ponieważ facet, który traktował Alinę jak swoją własność,

poprzedniej nocy rozplątał jej nożem kuchennym brzuch aż do gardła. Z powodu jakichś narkotyków. Albo może dlatego, że powiedziała coś nie tak. Albo tylko dlatego, że tak mu się podobało. I właśnie z tej przyczyny Fiodor przylgnął do mnie i mi się zwierzył. Ale przecież ona była tylko trzpiotką.

Aaron przez minutę słucha oddechu Holma. Brzmi tak, jakby gdzieś w oddali zrzucano żwir z wywrotki. Potem Holm pyta:

– Czy widziała pani wówczas mojego ojca?

Teraz i to mi się przypomina.

– Raz. Ten człowiek, który był właścicielem Aliny, został zaproszony na przyjęcie urodzinowe do Pałacu Pietrowskiego i Alina zabrała mnie ze sobą. Byłam jej niemiecką przyjaciółką z platynową kartą kredytową, nikt nie okazywał mi nieufności. Kobiety były w imperium Nikulina sztafażem. Prezentowano je sobie nawzajem jak luksusowe samochody albo zegarki wysadzone brylantami, ale przecież pan to wie. Nikulin rezydował w innej sali. Wokół niego siedzieli satrapowie i nudzili go swoją gorliwością. Można dobrze poznać wartość człowieka po liczbie schlebiających mu lizusów. Towarzyszyłam ojcu na przyjęciach państwowych, na których prezydentom poświęcano mniej uwagi niż jemu. Kiedy wychodziłam z toalety, spotkałam Nikulina na korytarzu. Jego buty lśniły jak lustro, wydawał się zaintrygowany. Gdyby rezydent FBI był tego świadkiem, śliniłby się że ho, ho. Ale ja zobaczyłam w oczach Nikulina potworności, które pan skutecznie wypiera ze świadomości. Nie pozwoliłabym sobie na żadne zbliżenie z tym człowiekiem. Tej nocy została zaszlachtowana Alina. Fiodora zabrano do operacyjnego mieszkania KGB. Chciał być przesłuchiwany tylko przeze mnie. Musiałam zostać jeszcze dwa dni. To były najdłuższe dni w moim życiu.

– Wiedziała pani, że mój ojciec wyznaczył nagrodę za pani głowę?

– Tak. A gdzie pan wtedy był? Zabrałam mu Fiodora. Czy to nie było warte tego, żeby zabił mnie syn Nikulina?

– Byłem w Sankt Petersburgu.

– Z pewnością często pan tego później żałował.

– Nie uwierz pani, jak często.

– Tymczasem nasłano na mnie faceta w garażu podziemnym. Taki przeciwnik mi odpowiadał.

– Wiedziała pani, że będzie tam czekał?

– Tak.

– A mimo to poszła tam pani.

– Nie lubię nie przychodzić na randki.

– Nadal wyniosła. Wpakowała mu pani kulę w głowę, chociaż leżał przed panią bezbronny, postrzelony w brzuch. Niech pani nie zaprzecza, to widnieje w pani zapiskach. Kto był mordercą? On czy pani?

– Znał go pan? Był pańskim przyjacielem?

– Co pani powiedziała?

– Czy był pańskim przyjacielem?

Zaburzenia słuchu. Kolejny objaw.

Holm się śmieje. Znów jakby odrywała się skała nad wąwozem.

– Chciał się podlizać mojemu ojcu i złożyć mu u stóp pani trupa, jak mysz. Myśli pani, że mogę szanować kogoś takiego? **On** umarł jak mysz, i słusznie. Pani jednak w Aralsku bynajmniej nie udowodniła, że jest pani córką swojego ojca. Tylko to, że jest pani tchórzem.

Dziesięć tchórzliwych rzeczy, które Aaron zrobiła:
Barcelona

– Pytała pani, dlaczego zastrzeliłem nauczyciela. Z jednego powodu: bo to było kompletnie bez sensu. Podobnie jak to, co pani zrobiła w garażu podziemnym.

– Ale z pana sadystyczna świnia! To nie ja wynoszę się ponad pana, to pan wynosi się ponad cały świat! Człowiekowi, który by pana potrafił na ulicy, wyrwałby pan serce i stwierdził, że ów nieznajomy na to zasłużył! Nie zrozumiał pan żadnej książki, którą pan przeczytał! Nie zrozumiał pan nawet, że między panem a pańskim bratem nie ma najmniejszej różnicy!

Aaron spodziewa się ciosu, rzuca się więc w bok. Rękojęść broni Holma trafia ją w ucho. Ból eksploduje w jej głowie jak supernowa.

Po chwili orientuje się, że obok jest Vera. Holm zakneblował ją tak jak wcześniej Evę Askamp. Kobieta leży u jego stóp i dławi się śmiertelnym strachem.

– Wybrałem taką samą drogę jak pani. Drogę honoru. Kto był moim księciem?

– Nikulin.

– Liczę do dziesięciu. Jeśli do tej pory nie udzieli pani właściwej odpowiedzi, zabiję tę kobietę. Raz.

– Pański ojciec! – krzyczy Aaron.

– Dwa.

– Strach innych osób!

– Trzy.

– Nienawiść do wszelkiej własności!

– Cztery.

– Proszę! Chcę uczciwie odpowiedzieć na wszystkie pytania!

– Pięć.

– Fiodor!

– Sześć.

– Pański brat!

– Siedem.

– Jeśli pan to zrobi, będzie to znaczyło, że co do wszystkiego miałam rację!

– Osiem.

– Pańskim księciem jest przemoc!

– Dziewięć.

W głowie Aaron szaleje burza, która gna przed siebie słowa Holma niczym liście: *Nadszedł czas, żebyśmy porozmawiali o stracie. – Jak się zamyka oczy ukochanemu człowiekowi. – Że trzeba umieć stać nad czyimś grobem, nie pogrążając się w zwątpieniu i nie zadając pytań, dlaczego samemu się w nim nie leży. – Żaden ból nie może być tak wielki, żeby wart był skrywania go.*

– Czekam.

– Pańskim księciem była kobieta.

Przez długi czas jedynymi odgłosami są jej własne bicie serca, oddech Holma i chłupanie Very.

– Dobrze – szepcze wreszcie Holm. – Zrobimy przerwę.

Sascha słyszy, że drzwi do piwnicy się otwierają. W korytarzu widzi Aaron, tę drugą kobietę i brata. Ledwie go rozpoznaje – wygląda, jakby postarzał się o dziesięć lat. Na jego zapadłej twarzy widać grube szare krople potu. Ma przytępione spojrzenie. Nawet tatuaże na jego nagim torsie straciły kolory.

Brat chwieje się, opiera o ścianę, chce spojrzeć na Saschę, ale wzrok gdzieś mu ucieka.

– Potrzebuję Aaron – mówi Sascha.

Holm czeka, aż brat wepchnie obie kobiety do kuchni, i idzie za nimi. Kiedy przed kilkoma godzinami pólżywy wydostał się z Haweli, podczołgał się na brzeg, upadł na śnieg i nie wiedział, kiedy znów stanął na nogi, nie czuł takiego ciężaru jak teraz.

– Niech mi pani da Wydział – mówi Żetonowe Oko.

Vera siedzi obok Aaron przy stole w kuchni. Milczy, nawet nie drży. To niepokoi Aaron bardziej niż płacz, żebranie, krzyk. Potrzebuje tej kobiety. Gdzieś w tym domu jest broń, o której nie wie żaden z mężczyzn. Broń, od której może zależeć wszystko. Broń, do której Aaron nie ma dostępu. Dopóki nie pozna prawdy o Barcelonie, Holm może czuć się pewnie – już tego dowiódł. Vera jest jedyną nadzieją Aaron na przeżycie. Jeśli jednak nadal będzie trwała w tym stanie, Aaron nie zdoła nawiązać z nią żadnego kontaktu.

Obok stoi Bosch. Jego pot cuchnie jak skwaśniałe mleko. Holm siedzi naprzeciw niej. To, co brzmi jak ciche chrapanie, to jego oddech. Krążenie Holma wariuje. Prawdopodobnie cierpi on już na zaburzenia równowagi.

Żetonowe Oko włącza głośnik telefonu komórkowego.

Bo on jest w pomieszczeniu.

Holm pozostawia mu negocjacje. Żetonowe Oko mógłby przeprowadzić tę rozmowę bez niego, ale nie ma odwagi. Widzi, w jakim stanie jest brat, chociaż nie potrafi sobie tego wytłumaczyć. Jeszcze nigdy nie było łatwiej go zabić, rozkoszować się tym, o czym marzył już w wieku ośmiu lat, gdy Holm leżał przed nim, krwawiąc. Ale Aaron wie, że strach Żetonowego Oka przed bratem ustanie dopiero w chwili, gdy ten wyzionie ducha. Nie, nie ustanie nawet wtedy.

– Demirci.

– Ile jest dla was warta ta zdzira?

– O kim pan mówi?

Głos Demirci odbija się echem.

To nie jest centrala dowodzenia.

Może to być bunkier, sala, hala z betonową lub kamienną posadzką, wysokim sufitem, gołymi ścianami.

Hangar. Zrozumieli moją wiadomość.

Ulga niczym szybowiec unosi Aaron nad otchłań jej rozpaczy.

– A o kim miałbym mówić? – odpowiada Żetonowe Oko.

– Dostali panowie pięć milionów.

– I co z tego?

Demirci ma tak zrelaksowany głos, jakby chodziło o zamówienie pizzy. Aaron wie, ile siły woli to wymaga.

– Chcę rozmawiać z pańskim bratem.

– Porozmawiasz ze mną, a jak ci to nie odpowiada, to zakończę tę rozmowę i strzelę tej ślepej wywołce w łeb. Nie, lepiej: najpierw pošlę jej kulkę, a potem skończę rozmowę.

– Proszę udowodnić, że ona żyje.

– Jeśli ta dziwka powie jedno niewłaściwe słowo, wykluję tej drugiej babie oczy. Będą miały sobie co opowiadać.

– Dobrze się czuję – mówi Aaron. – Jest druga zakładniczka.

Demirci zdumiała ją dzisiaj kilkakrotnie. Ale to było nic wobec tego, co Aaron usłyszała w tej chwili:

– Przykro mi, mam spotkanie. Niech pan porozmawia z panem Pavlikiem.

Nawet Holm wstrzymał oddech.

– Jestem – mówi Pavlik. – Czego pan chce?

Już sam dźwięk jego głosu sprawia, że szybowiec Aaron znajduje wiatr wstępujący i unosi się wysoko w niebo, ponad chmury, zostawiając otchłań głęboko w dole.

– Macie nierówno pod sufitem? – Żetonowe Oko odnajduje słowa.

– Musi się pan zadowolić mną. A więc?

– Pięć milionów. Używane. W niewielkich banknotach.

– A tamte pieniądze już pan wydał? Mam nadzieję, że na coś sensownego. Może na operację mózgu? – pyta Pavlik.

– Albo zapłacicie, albo jutro będziecie mieli w gazetach wielkie nagłówki: *Wydział poświęca niewidomą bohaterkę*. Tego chcecie?

– Wie pan, że nie damy panom kolejnych pięciu milionów. Niech pan więc wysili mózgownicę. Śmiało: również z czegoś małego można zrobić coś wielkiego. Oto moja propozycja: niech pan do mnie zadzwoni, jak będzie pan miał jakieś

nowiny.

Pavlik kończy rozmowę.

Aaron wyobraża sobie twarz Żetonowego Oka. Ponownie nie może się oprzeć myśli o wściekłym chłopcu, który siedzi pod choinką. Wie, co zamierzają Demirci i Pavlik: Żetonowe Oko ma uwierzyć, że jej życie jest o wiele mniej warte, niż myślał, że te pięć milionów zapłacili ze względu na uczniów, a nie ze względu na nią. Uświadomili mu, że wcale nie negocjuje z pozycji siły, dzięki czemu znacznie zwiększyli jego opór przed wyrządzeniem jej krzywdy. Tylko na pierwszy rzut oka wydaje się to niedorzeczne. Aaron jest wszystkim, czym dysponuje Żetonowe Oko. Kiedy człowiek był bogaty i nagle ubożeje, uczy się szanować tę odrobinę, która mu została. Za czasów Aaron w Wydziale wielokrotnie z powodzeniem stosowano tę taktykę w przypadku żądań okupu. „Manewr Lisska”.

Ale raz ponieśliśmy klęskę.

To ryzykowne. Aaron czuje chłód. Jeśli jej życie jest tak mało ważne, to jak nieważne jest życie Very?

Oczywiście wyobraźni Aaron widzi, że Żetonowe Oko spogląda na brata.

Holm z trudem wypowiada słowa:

– Nigdy nie zajmowałeś się ekonomią. W przeciwnym razie wiedziałbyś, że te spalone pieniądze nie stanowią dla berlińskiego Senatu żadnej straty. – W płucach mu grzechocze. Urywa. Zaczyna od nowa. – To tak, jakby nigdy niczego nie zapłacili. To był papier. Oni tylko potrzebują dowodu. – Znowu urywa, zbiera się w sobie. – Za to ty masz panią Aaron. Od ciebie zależy, czy nadal pozwolisz im się traktować jak ucz...

Brak mu sił, żeby wypowiedzieć ostatnie słowo.

Bosch nadal nie odezwał się słowem, ale cuchnie tak, jakby skwaśniałe mleko podgrzano do wysokiej temperatury.

Żetonowe Oko łązi tam i z powrotem, zatrzymuje się za plecami Aaron.

– Wobec tego z tą tutaj też można skończyć – warczy.

Aaron wie, że nie ma na myśli jej, tylko Verę, że wyciągnął glocka i chce ją zabić, musi więc zapobiec temu za wszelką cenę. Odpycha się kolanem od krawędzi stołu i przewraca

razem z krzesłem. Równocześnie podnosi wysoko lewą nogę i trafia Żetonowe Oko w głowę. Czuje kłujący ból w podbiciu stopy. Chce się podnieść, ale nie wystarcza jej czasu, żeby uniknąć kopniaka Żetonowego Oka w podbródek. Sascha chwytą ją za szyję i dusi. Ona skrępowanymi rękami obejmuje jego kark, jednym szarpnięciem pociąga ramiona w dół i czuje, że Żetonowe Oko koziółkuje. Aaron ściska jego szyję kablem i wpycha w nią kolano.

Nagle jednak puszcza go, bo lufa glocka dotyka jej krtani.

– Inaczej to sobie wyobrażałem – skrzeczy Żetonowe Oko spod jej kolana. – Ale sram na to.

Pada strzał.

Holm wypalił. Aaron słyszy, że glock toczy się po podłodze, chce po niego sięgnąć, już dotyka go czubkami palców, ale pistolet ślizga się po posadzce, bo Bosch kopie go w kąt.

Żetonowe Oko ryczy jak zwierzę.

W głosie Holma słyhać ogromny wysiłek.

– Masz trzy możliwości: biadolić nad zadrapaniem, wziąć glocka i spróbować mnie zabić albo zadzwonić do Wydziału. Każda z tych możliwości mi odpowiada.

Aaron wyciąga ze stopy ząb Żetonowego Oka. Podnosi się, zasłania sobą Verę i przechodzi do ataku. Nogi odmawiają jej jednak posłuszeństwa. Krata za oknem uderza na wietrze. Raz, dwa, trzy razy.

Żetonowe Oko, jęcząc, wstaje. Bierze telefon komórkowy.

– Proszę z Pavlikiem.

Znowu tylko krata. Aaron myśli o przyjacielu i wie, z jakim trudem przychodzi mu trzymać Żetonowe Oko w niepewności. Wreszcie Pavlik odbiera.

– Zamieniam się w słuch.

– Pięć milionów zostało spalone.

– Było panu zimno?

– Mogę to udowodnić.

– Nagrał pan to na wideo?

Aaron otrzymuje pchnięcie.

– Powiedz mu, zdroiro.

– To prawda. Byłam przy tym.

– Trzyma pan broń przy jej głowie. To nie jest dowód.

– Gdzieś po drodze wyrzucę jej trupa z samochodu. Popiół, który pozostał z pieniędzy, znajdziecie podczas obdukcji. Zmuszę tę dziwkę, żeby go zżarła. Wtedy będziecie mieli swój dowód.

– Niech nam pan pozwoli policzyć. Dzisiaj rano pański brat miał trzydzieścioro zakładników, za których zapłaciliśmy pięć milionów. Teraz ma pan dwóch. Okup za nich wynosi więc – sekundę – trzysta trzydzieści trzy tysiące. Nie będę taki i zaokrąglę w górę. Trzysta pięćdziesiąt, jak między przyjaciółmi.

– Masz dziesięć sekund i się rozłączam.

– Jestem dobrym człowiekiem – mruczy Pavlik. – Milion. Bez dalszych negocjacji. Wybór należy do pana.

Vera szlocha. Dziwne, ale Aaron to uspokaja.

Żetonowe Oko oczekuje cztery uderzenia kraty na wietrze.

– Macie dwie godziny na zdobycie pieniędzy.

– A potem?

– Gdzieś obie wysadzimy.

– No jasne. A jutro przyjdzie lato.

– Dwie godziny.

Żetonowe Oko kończy rozmowę.

Aaron dopiero teraz spostrzega, że przygryzła sobie wargę.

Demirci czuje na sobie wzrok mężczyzn. Marznie w płaszczu z podbiciem. Wie, że wszyscy czekają, aż zadzwoni do senatora spraw wewnętrznych Svobody, zamiast tego jednak zwraca się w stronę ekranu, na którym widać berlińską centralę dowodzenia.

– Panie Majowski, ile fałszywych pieniędzy mamy w tej chwili w przechowalni dowodów rzeczowych?

– Równy dwa miliony euro.

– Niech pan za pomocą nadajnika kierunkowego każe zapakować milion do torby. Pani Delmonte i pan Bükler niech będą gotowi do odbioru.

Majowski nie może wydobyć z siebie słowa.

– Czy mamy zakłócenie sygnału?

– Nie. – Majowski bierze się w garść.

Demirci unika kontaktu wzrokowego z innymi i szybkim krokiem idzie do tylnej części hangaru. Otwiera drzwi prowadzące do wąskiego korytarza. Zamyka je. Siada na podłodze, opiera głowę o ścianę. Po kilku minutach przychodzi Pavlik, siada w kucki naprzeciw Demirci i podsuwa jej paczkę papierosów. Pałają w milczeniu, aż zaczynają tlić się filtry.

– Jenny Aaron ma jakieś porachunki ze Svobodą – mówi Demirci. – Dzisiaj mu o tym przypomniała. On nie da kolejnych pieniędzy. Na wieść o jej śmierci odetchnie z ulgą.

– Niech pani nie zawraca sobie tym głowy. Jej życie nie zależy od miliona czy miliarda. To nie Sascha o tym decyduje, a jego bratu pieniądze od samego początku są obojętne. Mógłbym równie dobrze powiedzieć: „Pocałuj mnie w dupę”.

– Spalili. Jak?

– Albo zrobiła to Aaron, albo Holm. To by do niego pasowało. Taka demonstracja, że skończył ze wszystkim.

– Myśli pan, że on chce umrzeć?

Demirci nadstawia ucha.

– Ukrywał się przez trzydzieści lat i oto nagle podarowuje nam swoje odciski palców. Dlaczego?

– A czarter dla trzech osób?

– Żeby uspokoić Boscha. Holm nigdy nie miał zamiaru wsiąść do tego samolotu.

– Albo Finow było po prostu próbą odwrócenia uwagi. Mogliby już dawno być za granicą.

– Nie. Byli we Freienhagen. To w bok od autostrady, w drodze do tego miejsca. Lotnisko pozostaje opcją dla Saschy i Boscha. Holm pozwoli im z niej skorzystać. Jego interesuje wyłącznie Aaron. Kiedy już się zemści, odbierze sobie życie.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Te jego aluzje do bushido. Początkowo myślałem, że on mówi tylko o niej. Teraz już tak nie myślę. On żyje według jej wzoru. W każdym razie wmawia to sobie, chociaż to chore. – Pavlik wyciąga papierosa, obraca go w palcach i wsuwa z powrotem do paczki. – Chyba wiem, co jest w futerale, który miał ze sobą.

Demirci spogląda na niego pytającym wzrokiem.

– Miecz do seppuku.

Demirci wkłada zziębnięte ręce do kieszeni płaszcza.

– Jakie powody mają po temu samurajowie? Zna się pan na tym?

– Wiem tylko tyle, ile opowiedziała mi Aaron. Wykroczenie przeciw kodeksowi, utrata twarzy, okazanie szacunku księciu. Na pewno jest tego jeszcze więcej.

– Pani Aaron kieruje się tymi zasadami?

– Nigdy tak naprawdę nie próbowałem tego zrozumieć.

– W takim razie André zasłużył w jej oczach na śmierć.

Pavlik potakuje skinieniem, patrząc w próżnię.

– Czy również w pańskich?

– Nie. To były tylko pieniądze.

– Kvist najwyraźniej widział to inaczej.

– Zastrzelił go w obronie własnej.

– Czytałam raport wydziału wewnętrznego. Istniały poważne wątpliwości. Było to uniewinnienie *in dubio pro reo*.

– André umarł wyłącznie z jednego powodu – Pavlik podnosi głos. – Bo ja okazałem się tchórzem, a Kvist nie!

– Znałam pańskiego brata bliźniaka – mówi Demirci. – Na pierwszy rzut oka jesteście właściwie nie do odróżnienia. Początek naszej znajomości nie był najlepszy, ale potem pański brat bliźniak był mi ogromną podporą i moim najważniejszym doradcą. Litowanie się nad sobą było mu obce. Jeśli kiedykolwiek go pan spotka, proszę mu powiedzieć, że bardzo mi go brak.

– Niech mnie pocałuje w dupę.

Mierzą się spojrzeniami.

Nowak z impetem otwiera drzwi.

– Musicie tego posłuchać.

Idą za nim do hangaru. Obraz i dźwięk przekazu wideo nie są zsynchronizowane, głos Majowskiego nie nadąża za ruchami jego warg. W przerwach między zdaniem sprawia to takie wrażenie, jakby powtarzał ostatnie słowa, nie mogąc w nie uwierzyć.

– Mertsch i Stemmler pół godziny temu przejęli Kvista. Czekal na przejazd kolejki miejskiej przy szlabanie na

Buckower Chaussee. Na pełnym gazie przejechał na drugą stronę, tuż przed pociągiem. Oni nie zdążyli przejechać. Właśnie znaleźli jego samochód na Fritz-Erler-Allee. Leżał w nim telefon komórkowy.

– Zgubili Kvista?

– Tak.

Demirci spogląda na Pavlika. Wygląda tak, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

Jeszcze przed chwilą Vera płakała. W ciasnym pomieszczeniu gospodarczym Aaron mogła tylko oprzeć głowę o głowę kobiety, by poczuć, z jakim trudem chwyta oddech i zeszywniała połyka łzy. Teraz Vera zamarła, słysząc tylko, jak przelyka ślinę.

– Gdzie jest rewolwer? – pyta Aaron szeptem.

Vera nie odpowiada.

– W sypialni?

Vera znowu jest bliska płaczu, ale udaje się jej wydać z siebie zaledwie długi jęk skargi.

– Chętnie wyobraziłabym sobie ten dom. Pomoże mi pani?

Milczenie.

– Niech mnie pani oprowadzi. Na pewno da pani radę.

– Może... – szepcze Vera.

– Ile pokoi jest na parterze?

Vera się zastanawia.

– Kuchnia... toaleta dla gości... jadalnia... salon... to pomieszczenie gospodarcze... gabinet... pokój myśliwski. – Wyliczenie pomieszczeń zajmuje jej tyle czasu, że biblijny Aaron zdążyłby odlać Złotego Cielca.

– Niech sobie pani teraz wyobrazi, ilu pani potrzebuje kroków do całkiem normalnego przejścia przez dom, bez pośpiechu. Każdy krok to pół metra. Zacznijmy od kuchni, którą już znam. Dokąd wejdę w następnej kolejności?

– Do przedpokoju.

– A potem?

– Do toalety dla gości, myślę, że jest to dziewięć kroków. Tak,

dziewięć.

– Dalej.

– Dalej wchodzi się do jadalni. Przedpokój jest długi. Chwila, nie umiem określić tego tak dokładnie, trudno to zrobić, kiedy człowiek sobie to tylko wyobraża. Ale powiedziałabym, że to dwadzieścia kroków. – Głos Very staje się mocniejszy, bardziej energiczny. Zadanie, które postawiła przed nią Aaron, pomaga jej myśleć o czymś innym niż tylko o porannym pożegnaniu z mężem, niedobrym, bez pocałunku, ponieważ potajemnie wyrzuciła jego ulubione złachane spodnie. – Z lewej strony przedpokój się załamuje. Tam jest pomieszczenie gospodarcze. Dwanaście kroków. Idzie się jeszcze kawałek i wchodzi po prawej stronie do salonu. Dziewięć, nie, raczej osiem kroków. Ale można też tam wejść przez jadalnię.

– Świetnie pani idzie. Wejdzmy do jadalni z przedpokoju. Ile jest stamtąd kroków do salonu?

– Chwileczkę... powiedziałabym, że dziesięć. W lewo.

– Czy coś zagradza drogę?

– Nie. To znaczy, leży tam niedźwiedzie futro z łbem. – Vera ożywia się coraz bardziej. – Klaus jest z niego bardzo dumny, zastrzelił tego niedźwiedzia w Kanadzie. Kiedyś potknęłam się o ten łeb i buch, złamała się szczęka. Skleiłam ją, ale Klaus tego nie zauważył. Najlepiej trzymać się ściany.

– To grizzly?

– Nie, niedźwiedź brunatny.

– Gdzie jest rewolwer?

Aaron czuje, że Vera natychmiast sztywnieje, nie chcąc podejmować tego tematu.

– Jesteśmy teraz w salonie. Jak on jest urządzony?

Kobieta milczy.

– Z pewnością mają państwo piękne meble?

Vera zmusza się do odpowiedzi:

– To biedermeier.

– Komplet wypoczynkowy?

– Kanapa i dwa fotele. Telewizor. Z lewej strony stoi duża szafa. Wychodząc z jadalni, natrafia pani bezpośrednio na drzwi prowadzące na taras.

– Jak duża jest jadalnia? W krokach.

Vera się zastanawia.

– Dość duża. Dwanaście kroków do drzwi wychodzących na taras, czternaście w przeciwnym kierunku.

– Gdzie jest gabinet?

– Za pokojem myśliwskim. Ach tak, te drzwi są też w przedpokoju, zapomniałam, przepraszam. – Głos Very drży. – Stamtąd idzie się też do piwnicy.

– Ile kroków jest z kuchni do gabinetu?

– Chwileczkę, muszę zacząć od nowa, już mi się wszystko myli.

Aaron jej nie ponagla.

– Dwanaście. Z prawej strony. Przedtem jest przedsionek z drzwiami wejściowymi. I schody. Siedem, tak mi się zdaje.

Drogę przez przedsionek do kuchni Aaron już zna, podobnie jak drogę do pomieszczenia gospodarczego i piwnicy. Vera za każdym razem myliła się tylko o krok. Ale jeden krok może oznaczać dla Aaron życie lub śmierć.

– Chcę jeszcze raz wejść do salonu. Mówi pani, że stoi tam szafa. A pozostałe meble?

– Kredens i komoda.

– Przy której ścianie?

– Kredens stoi po prawej, a komoda po lewej.

– Dywany?

– Welurowe.

– Gdzie jest rewolwer?

– Dostaną pieniądze. Puszczą nas wolno. Słyszała pani.

– On kłamie.

– Skąd pani wie? Jeśli nadal będzie pani pytała o rewolwer, nie powiem już ani słowa.

– Wejźmy do gabinetu. Co tam stoi?

Vera myśli o tym, że mąż, wyjeżdżając, nie dał jak zwykle sygnału klaksonem. I nie pomachał jej ręką.

– Na pewno biurko?

– Z prawej strony przy oknie – odpowiada Vera machinalnie. – Półka z aktami. Linoleum. Drzwi prowadzące do pokoju myśliwskiego. Osiem kroków. Tam wiszą poroża.

Wszystko jest w zieleni, Klaus tak lubi. Pośrodku stoi duży stół.
I leży piękny dywan. Jest też urządzenie do nalewania piwa
i szafa z bronią.

– Gdzie jest rewolwer?

Jakieś niewielkie zwierzę ucieka w gąszcz – żbik albo szop pracz. Zostawia na śniegu nieregularny ślad, zielono połyskujący na wyświetlaczu okularów noktowizyjnych. Kryształki osypują się z drzew. Wraz ze światłem księżyca pojawia się wiatr ze wschodu – wieje około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Rozlega się wołanie puszczyka, po nim krzyk sójki, która go umiejętnie naśladowuje, ale właściwie z niego drwi.

Skradając się przez zarośla, Pavlik nasłuchuje tego pojedynku, który puszczyk przegra. Ma na sobie *ghillie suit*, kaptur kudłatego białego stroju maskującego naciągnął na czoło tak głęboko, że widzi okolicę jedynie przez wąskie szparki. Jego kroki są powolne, ale płynne. Idąc, najpierw stawia zewnętrzne krawędzie stóp, a dopiero potem całe stopy, aby łamiące się gałązki nie wydawały żadnych odgłosów. W ten sposób przebył w ciągu ostatniej godziny kilometr, zostawił za sobą panele solarne i wreszcie wspiał się na wzgórze, gdzie pod zaśnieżonymi siatkami maskującymi stoją fordys.

Na ostatnich metrach Pavlik przywiera do ziemi i się czołga. Głowę przechylił na bok, policzkiem dotyka śniegu. Przed każdym ruchem bada rękami podłoże i odgarnia na bok wszystko, co mogłoby spowodować bodaj najlżejszy trzask. Porusza się ku wierzchołkowi centymetr po centymetrze, potrzebuje jeszcze czterech minut. Wlecze ze sobą karabin, rzemień trzyma między palcem wskazującym a kciukiem. Wylot lufy barretta light fifty chroni prezerwatywa, żeby do środka nie dostał się śnieg.

Pavlik zdejmuje okulary na podczerwień. Wyciąga spod *ghillie* białą matę izolacyjną i posuwa się po niej zygzakiem. Kiedy parę godzin temu był tutaj z Kemperem, dostrzegł skałę, która posłuży mu jako podstawa dla karabinu. Montuje tłumik

i nakłada na niego prezerwatywę, co ma zapobiec nagromadzeniu się w nim pary wodnej. Lufę owija luźno bandażem. Przez noktowizor namierza wzgórze po drugiej stronie pasa startowego i znajdującą się tam polanę, na której latem, ze względu na panoramę ponad lotniskiem, często urządza się pikniki. Tablica informacyjna wzywa do prowadzenia psów na smyczy. Pavlikowi udaje się wyraźnie odczytać tekst, ocenia, że to tysiąc sto metrów. Chce jednak mieć pewność, więc sięga po odległościomierz – tysiąc dziewięćdziesiąt jeden.

Pytania były proste: co by zrobił, gdyby wycarterował w Finow maszynę, ale chciałby, żeby Wydział się o tym nie dowiedział? Jeden z tamtych wybada teren. Kto? Z całą pewnością nie Holm. Raczej nieprawdopodobne, żeby to był Sascha. Bosch. On jest najmniej potrzebny, poza tym zna się na lotniskach. Kiedy? Nie przed pierwszą w nocy. Gdzie? Z miejsca, z którego jest najlepszy widok.

Oczy Pavlika przywykły do podczerwieni i muszą się teraz z powrotem przyzwyczaić do ciemności. Pavlik wie, że takie dostosowanie się trwa mniej więcej pół godziny, świadomie więc tak ustawia okienko celownika, aby stymulować fotoreceptory na skraju siatkówki, odpowiedzialne za widzenie w nocy.

„Bój się zmierzchu, a nie nocy”. Ta stara mądrość strzelców wyborowych weszła mu w krew.

Kiedy wszedł na szczyt wzgórza, śnieg przestał padać. Ale grube chmury nadal pędzą po niebie i w każdej chwili może znów zacząć sypać. Śnieg, na którym leży Pavlik, śnieg pokrywający wszystko dookoła, jest jego przyjacielem, gdyż rozświetla noc. Pavlik bierze ten śnieg do ust, aby ochłodzić oddech i się nim nie zdradzić. Równocześnie śnieg padający z chmur to jego wróg – kradnie mu widok i pogrywa sobie kapryśnie z nabojami. Poza tym większych zmartwień przysparza mu wiatr. Pavlik może wyznaczyć szybkość i kierunek na co najwyżej pięćdziesiąt metrów, bo nie zna warunków panujących tam, po drugiej stronie. Z wierzchołków drzew, delikatnie pochylających się na skraju polany, nie

można wyczytać zbyt dużo; już odchylenie pięciu kilometrów na godzinę zmienia balistykę pocisku.

Lewa ręka Pavlika całkiem podświadomie bawi się pod *ghillie* łuską naboju, którą podarowała mu Helmchen. Osiemnaście lat! Czuje w kościach każdą godzinę. Zmusza się, by zachować czujność.

Zanim wyruszył w drogę, zadzwonił do Sandry. Jakże często był jej wdzięczny, że podczas takich rozmów tuż przed akcją nigdy nie okazała zatroskania, nie chcąc go dodatkowo niczym niepokoić. Zamiast wiercić mu dziurę w brzuchu pytaniami, opowiedziała o malutkiej, o jej niepohamowanym apetycie i o tym, że potem zapadła w drzemkę, i że słodko wyglądała, trzymając w rączce duży palec u nogi, tak jak lubi. Imię Aaron nie padło ani razu. Dlaczego? Sandra wie, że Pavlik oddałby życie za przyjaciółkę, nie muszą w ogóle rozmawiać na ten temat. Gdyby był zmuszony to zrobić, krzyczałyby całą noc. Ale potem trzymałaby Aaron w ramionach i oplakiwała go razem z nią.

Jednak Sandra wspomniała kogoś innego. Powiedziała coś, nad czym Pavlik rozmyślał jeszcze przez kilka minut, siedząc z zamkniętymi oczami na betonowej posadzce i paląc papierosa.

„Kiedy wrócił z Barcelony, zaprosiłeś go do nas. Zszedłeś do piwnicy po piwo, a ja przez chwilę zostałam z nim sam na sam. Ani przez moment nie spojrzał mi w oczy”.

Pavlik pamięta ten wieczór. Sandra położyła się wcześniej spać. Wzięła tabletkę nasenną, tak jak robiła to od pół roku. On siedział z Kvistem w ośnieżonym ogrodzie na huśtawce ogrodowej. Opróżnili skrzynkę becka, ale wciąż chciało się im pić. W pewnym momencie Kvist wstał, żeby pójść, jak wydawało się Pavlikowi, do toalety. Ale kiedy Pavlik zajrzał do środka dziesięć minut później, Niko wyszedł.

Zawsze żegnali się tymi samymi słowami: „Na razie, don Pavlik”. „Na razie, don Kvist”.

Lecz nie tym razem.

Pavlik ściska łuskę w garści. Ile nocy mija w ciągu osiemnastu lat? Ta jedna, ostatnia, zdecyduje, czy wszystko inne było

słuszne, czy nadaremne. Czy będzie musiał oddać życie, czy też odebrać je człowiekowi, który był jego najlepszym przyjacielem.

Czarna plamka, która zaczyna tańczyć przed jego prawym okiem, to sygnał, żeby zamknął je na kilka sekund, bo jest nadmiernie zmęczone. Ponowny telefon do Sandry nie miałby sensu. Jego odwaga osłabłaby i ogarnąłby go smutek, bo w takich godzinach zawsze zadaje sobie pytanie, czy aby nie po raz ostatni słyszy jej głos. Nie planując tego z góry, kończy te rozmowy telefoniczne zawsze jakimś słowem, które przypomina słowo pożegnalne, albo zdaniem, o którym Sandra będzie później mogła myśleć, aby znajdować w nim pociechę – na przykład: „Ucałuj Jenny ode mnie i szepnij jej, że bardzo uszczęśliwia swojego ojca”.

Sandra to wie. Ale nigdy o tym nie rozmawiają.

Pavlik zawiązuje sobie maskę, część ubioru kamuflującego, wkłada do ucha słuchawkę telefonu komórkowego i dzwoni do Demirci.

Szefowa odbiera natychmiast.

– Tak?

– Niech mi pani coś opowie – szepcze Pavlik. – Niech mi pani zada jakieś pytanie, nad którym będę musiał pomyśleć, zanim udzielę odpowiedzi. Albo niech mnie pani sprowokuje do gadania.

Przezornie obniża ton głosu o dwie tercje, wygładza samogłoski, sepleni.

– Chwileczkę.

Drzwi otwierają się i zamykają. Pavlik wie, że Demirci jest teraz na korytarzu i nikt jej nie przeszkadza.

– Co pan sobie pomyślał na wieść, że będzie pan miał szefową?

Pavlik śmieje się bezgłośnie.

– Powiedziałem Lisskowi: „Wolałbym szefa”.

– Za mało testosteronu?

– Bzdura. Weźmy Aaron: większe jaja, niż ma ona, można znaleźć tylko na farmie strusi. Bez urazy.

– Więc o co chodziło?

– Połowa pani pracy to polityka. Od tego zależą nasze tyłki. Ci faceci w płaszczach w jodełkę są większymi macho niż my wszyscy. No, może nie większymi, ale innymi. Nie byłem pewien, czy potraktują panią poważnie i czy zdoła nas pani wspierać. Ale dzisiaj to się wyjaśniło.

– Mimo to nie miał pan o mnie szczególnie dobrego mniemania?

– Wiem, że tak pani myśli, ale jest pani w błędzie. Zanim pani do nas przyszła, dowiedziałem się o pani tego i owego. Mój kumpel, Jan Pieper, wielka sycha w BKA, opowiedział mi co nieco o pani pracy w Dortmundzie. Sprawa Abdula Öymena.

– Co takiego?

– Öymen zajmował się ściąganiem haraczy w całym Zagłębiu Ruhry. Prowadziła pani przeciw niemu dochodzenie w sprawie trzynastu morderstw. Do ofiar zaliczały się kobiety i dzieci, ale nie mogła mu pani niczego udowodnić. Pewnego wieczoru poszła pani sama do jego ulubionego lokalu, gdzie ucztował z ośmioma ludźmi, i powiedziała mu pani na oczach wszystkich gości, z pewnością nienaganną turecczyzną, że jest tchórzliwą świnią, a jego fiut mieści się w pudełku od zapalek. Öymen wyszedł za panią na ulicę. Chciał panią uderzyć. Oddział szybkiego reagowania, który pani ze sobą przywiozła, wsadził go na dołek za próbę uszkodzenia ciała. Nawet go pani nie przesłuchała. Ale tej samej nocy kazała pani wtyczkom rozpuścić w środowisku informację, że zeznawał przeciwko własnym ludziom. Jego adwokat wyciągnął go z aresztu nazajutrz rano. Sześć godzin później zwłoki Öymena z postrzałem w kark pływały w Ruhrze. Podobno Dortmund jest dzisiaj spokojnym miejscem.

– Opowiedziano panu wierutne kłamstwa.

– Ach...

– Tak. Powiedziałam mu, że można by wsadzić jego fiuta do napałka, a nadal byłoby w nim dość miejsca dla jego mózgu.

– Myślałem, że jest pani damą.

– Myślałam, że nie będzie mi pan o tym przypominał.

– Czy można rezerwować panią na przyjęcia?

Teraz to Demirci śmieje się cicho.

- Lubię to – szepcze Pavlik.
- Co?
- Kiedy pani się śmieje. Powinna pani robić to częściej.
- Lubię, jak pan sepleni.
- A psecies byłem w szkole językowej.

Ton Demirci się zmienia.

- Za to z pańskim bratem bliźniakiem bardzo mi przykro.
- W porządku. Ja też nie znoszę tego ofiermy.
- To, że Kvist zniknął, jeszcze niczego nie dowodzi.
- Proszę się nie wygłupiać.

Pavlik słyszy czyjś głos w tle. Nowak.

– Sekundę – mówi Demirci i zasłania telefon dłonią. – Śnieg roztapia się w ustach Pavlika. Po chwili Demirci znów podejmuje rozmowę: – Sascha podał warunki przekazania pieniędzy. Regionalny express Berlin – Angermünde. Odjazd za pięćdziesiąt siedem minut. Poinformuje nas, kiedy należy wyrzucić torbę z pociągu.

- Czy ta trasa biegnie obok Finow?
- Jeszcze nie wiem. Zadzwońię.

Z pomocą Very Aaron czterokrotnie przeszła w myślach cały dom. Wszystkie pomieszczenia na parterze i na pierwszym piętrze, trzynaście stopni schodów, kamień, po ośmiu załamanie w prawo. Schody prowadzą do sypialni i pokoju gościnnego, do pokoju Very, jej azylu, w którym lubi siedzieć i czytać biografie aktorów, i do prasowni. Strych nie jest rozbudowany. Aaron wie, gdzie stoją lub wiszą jakie lampy, zna umeblowanie, wykładziny, tapety, kolor firanek. Gdyby drzwi tego pomieszczenia gospodarczego były otwarte, mogłaby wyjść i prawdopodobnie dotrzeć do każdego pokoju, do każdego mebla, nie potykając się nigdzie częściej niż raz czy dwa.

Ale Vera jeszcze nie zdradziła, gdzie jest rewolwer.

Istnieje jeszcze inne pomieszczenie – wewnętrzna komnata. Aaron wchodzi do niej i zaczyna rozmyślać. Ona sama schowałaby broń gdzieś, gdzie w razie konieczności – na

przykład w razie nocnego włamania – natychmiast mogłaby po nią sięgnąć. Dlatego już dawno uznała, że rewolwer musi się znajdować w sypialni. W grę wchodzi tylko okolice łóżka po tej stronie, po której śpi mąż Very – zaraz z lewej strony drzwi. Tylko czy znajdzie go pod łóżkiem czy w szafce nocnej? To ogromna różnica. Aaron będzie musiała w ułamku sekundy zdecydować, dokąd sięgnie.

Z podwórza wyjeżdża jakieś auto. Mocny silnik, nie na wysokich obrotach.

– Ile państwo mają aut? – szepcze Aaron.

– Trzy. Moją małą sportową mazdę, bo lubię szybko jeździć, samochód dostawczy i jeepa Klause.

To furgonetka, którą przyjechaliśmy. Albo samochód dostawczy.

– Ale Klaus pojechał jeepem. – Vera znów chlipie. – Gdyby pani widziała te jego zafajdane spodnie! Przepraszam... Co on w nich robił! Rozbierał dziczyznę, czyścił stajnię, jeździł na nęcisko. Może sobie pani wyobrazić, jak wyglądały. Miał je na sobie nawet podczas kolacji. A jak śmierdziały stęchlizną! Pani na pewno też by je wyrzuciła, prawda?

– Czy miał je na sobie również wtedy, gdy czyścił rewolwer? Ten z szuflady w szafce nocnej?

Po drgnięciu Very, po jej nadaremnej próbie odsunięcia się w tej ciasnocie, po gwałtownie przyśpieszonym oddechu, Aaron poznaje, że trafiła w dziesiątkę.

– Wszystko w porządku, niech się pani nie boi.

– Proszę tego nie robić – błaga Vera.

Aaron chce ją uspokoić, zapewnić, że nie zażąda od niej, aby przyniosła broń, ale wtedy drzwi do pomieszczenia gospodarczego otwierają się cicho. Uderza ją w nos odór Żetonowego Oka. Podejrzewa, że nastąpi jakiś błyskawiczny ruch. Vera wydaje z siebie westchnienie. Drzwi zamykają się równie cicho. Żetonowe Oko przekręca klucz.

– Vera?

Brak odzewu.

Głos grzęźnie Aaron w gardle.

– Vero, niech pani coś powie.

Dygocząc, szuka skrępowanymi rękami martwego ciała obok siebie i wreszcie je znajduje. Klatka piersiowa Very jest mokra.

Aaron czuje krew. Krzyczy i nie może przestać.

Śniło mu się, że Sascha miał cztery lata i pragnął dostać na gwiazdkę koparkę, lecz otrzymał tylko buty, kredki i blok rysunkowy. Śniło mu się, że mężczyzna, który niegdyś nazywał siebie ojcem, dwa dni po świętach Bożego Narodzenia po raz pierwszy wepchnął Saschę do piwnicy. Kiedy jednak mężczyzna, który niegdyś nazywał siebie ojcem, otworzył drzwi, stał za nimi on sam, którego ów mężczyzna nazywał synem, on, którego ów mężczyzna nauczył używania piły łańcuchowej. Rozpołowił tego, który niegdyś nazywał siebie ojcem. Obie części ciała upadły na ziemię po prawej i po lewej stronie. Był tam potok i woda zabrała je ze sobą. Przycisnął brata do siebie i usłyszał jego słowa: „Nie bałem się, bo wiedziałem, że mnie ochronisz”. Śniło mu się, że pojechali z matką do miasta, a ona kupiła Saschy trzy kulki lodów, jemu zaś nową koszulę. Że w domu zjedli coś z ketchupem. I że wrona stuknęła dziobem w okno.

Śniło mu się, że brat obserwował go we śnie.

Że Aaron wepchnęła mu w rzece palec między żebra i że musiał odpocząć na podłodze obok pomieszczenia gospodarczego, aż wreszcie Zatruta Ręka przestała działać.

Teraz.

Że Aaron krzyczała.

Holm budzi się, ale nie otwiera oczu. Wstaje, słyszy szloch Aaron za drzwiami pomieszczenia gospodarczego. Wie już, co zrobił brat.

Rozciąga mięśnie i czuje, że są mu posłuszne.

Idzie do kuchni. Sascha siedzi przy stole, pali. Holm widzi, że brat napawa się każdym pociągnięciem. Potrwa to może pięć albo i dziesięć minut. Sascha nie podnosi wzroku. W trzech błyskawicznych krokach Holm znajduje się obok niego. Tak mocno wali jego głową o twardą powierzchnię, że kiedy podrywa go za włosy i ciska w kąt, na blacie zostają smugi krwi.

Sascha nie ma nawet czasu sięgnąć po glocka, bo Holm już klęczy obok niego z remingtonem w ręce i zmusza go, żeby otworzył usta. Wsuwa w nie lufę pistoletu, aż Sascha zaczyna się dusić.

– Byłoby lepiej, żeby ojciec cię wtedy zabił, żebyś nigdy nie mógł przypominać mi o mojej winie. Teraz wyrównam rachunek i pozwolę ci opuścić ten dom. Odbierz swoje pieniądze. Jeśli tu wrócisz, wybiorę dla ciebie jeden z rodzajów śmierci, które wymyśliłem dla Aaron i z których zrezygnowałem.

Bardzo powoli wyciąga remingtona z ust brata. Jego oczy są jak studnie bez dna.

Sascha podnosi się z trudem. Unika wzroku Ludgera jak pies widoku kija. Drzwi wejściowe się zamykają. Holm stoi bez ruchu, dopóki nie usłyszy, że Sascha odjeżdża mazdą.

Podchodzi do pomieszczenia gospodarczego i otwiera drzwi.

Aaron wpada na niego z impetem.

Holm bez trudu unika ciosu zadanego kantem złączonych dłoni, wali ją pięściami po nerkach, chwyta i wrzuca z powrotem do środka. Aaron leży obok martwej kobiety, Holm patrzy na jej łzy.

Siada w przedpokoju. Jego myśli są tak jasne i spokojne jak morze po burzy. Zaczyna mówić:

– Jestem posłuszny siódmej cnotie, niezmiennie okazując lojalność. Szanuję szóstą cnotę, zgodnie z którą będę do końca zachowywał się honorowo. Piąta cnota nakazuje mówić prawdę. Ale to robiłem zawsze. Wierny czwartej cnotie nazywam panią „pani Aaron”, a nie imieniem, które chcę pani nadać. Trzeciej cnotie okazałem szacunek, okrywając panią płaszczem, gdy pani marzła. Jak brzemienista w skutki jest druga cnota, dowiedziałem się przed chwilą. Aby wyrzec się brata, potrzebowałem więcej odwagi niż do podjęcia wszystkich innych decyzji. Najważniejsza jest jednak pierwsza cnota. Uczciwość. Kazała ona pani stanąć z rozpostartymi ramionami przed autokarem. Mnie natomiast zmusiła do wyznania, że kochałem córkę Ilii Nikulina. Jego małą Nataszeńkę, jego oczko w głowie. Chociaż wiedziałem, że on nigdy nie pozwoli

mi spędzić z nią bodaj jednej szczęśliwej minuty. Poświęcił własnego syna i widział agonię najstarszej córki. Najbardziej bał się, że będzie musiał zamknąć oczy również Nataszy. Dlatego ukrywał fakt, że jest ona jego córką. Podobnie jak mężczyzna, którego zlikwidowałem na jego polecenie w Londynie, także ona wiodła niepozorny żywot pod innym nazwiskiem. Nikulin podarował jej legalne przedsiębiorstwo, które nie miało żadnych powiązań z jego interesami. Poza tym nalegał, żeby zatrudnić ją tam tylko pozornie. Tak bardzo się o nią bał. Z uczciwością łączy się również sprawiedliwość. Znała pani Nataszę. To ona była kobietą, którą zabiła pani w garażu podziemnym hotelu Aralsk.

– Linia kolejowa znajduje się w odległości niespełna pięciu kilometrów od lotniska – informuje go Demirci. – Biegnie przez Barnimer Heide, olbrzymi obszar leśny. Siedem wsi w okręgu piętnastu kilometrów, wiele gospodarstw położonych na uboczu. Policja federalna jest w gotowości alarmowej, ale zwróciłam im uwagę na to, żeby się nie pokazywali. Przechesanie tego terenu potrwałoby wiele dni, nie mówiąc już o tym, że tylko spłoszylibyśmy Holma.

Pavlik postąpiłby podobnie. Wie, że wszystko rozstrzygnie się tu, w Finow, między tym wzgórzem, na którym leży, a tamtym, po drugiej stronie polany, w którą w nieskończoność wlepia wzrok. Jego źrenice zwężają się boleśnie. Głos Demirci stanowi jedyny powód, by nie ulec pokusie i nie zamknąć oczu na kilka minut. Opowiedziała mu o swoim dorastaniu – od razu wyobraził sobie małą Turczynkę w heskim miasteczku w latach siedemdziesiątych. Opowiadała o drwinach innych dzieci – „czosnkoad”, „beżowa” – o nauczycielach, którzy od razu sadzali ją w ostatnim rzędzie, o pierwszej prawdziwej przyjaciółce, którą poznała w wieku dwunastu lat, córce włoskiego gasterbeitera, o rodzicach, którzy uczyli ją dumy z jej pochodzenia, o akademii policyjnej – „czego taka tu szuka?” – o kolegach na pierwszym komisariacie w Koblencji, którzy dla żartu powiesili w jej szafce chustkę na głowę, o obsesji, żeby być najlepszą.

Pavlik myśli o Aaron, o tym, jak podobne są do siebie te dwie kobiety.

– Mój przełożony nazywał się Himmler – mówi Demirci. – Nigdy nie pomyślał o zmianie nazwiska, był ponad to. Gdy pewnego dnia miałam moralniaka, powiedział: „Kto wie o pani coś więcej? Garstka ludzi. Wszyscy inni są obojętni. Musiałem się do tego...”

– Psst – Pavlik wchodzi jej w słowo.

Na polanie kosa poderwały się do lotu. Na ostrzeżeniach tych ptaków można polegać. Pavlik kieruje się w stronę drogi prowadzącej do punktu widokowego. Żadnych reflektorów, żadnych odgłosów silnika. Kiedy znów spogląda na polanę, lis wyskakuje spod ławki. Pavlik patrzy prosto w wizjer. Widzi, jaki rozczarowany jest lis, że się zdradził.

Znamy to obaj, przyjacielu. Ale ani ty się nie poddasz, ani ja.

– Fałszywy alarm.

– Jest coś, o co już od dawna chcę pana zapytać – przemaga się Demirci. – Dlaczego w dniu, kiedy objęłam stanowisko, był pan wobec mnie taki szorstki? Wyciągnęłam do pana rękę, ale pan przeszedł obok mnie bez pozdrowienia. Czy to było coś osobistego czy też po prostu wstał pan z łóżka lewą nogą?

Pavlik milczy.

– Głupi dowcip, przepraszam – mówi szefowa.

– Okej, choć najlepsze dowcipy o jednonogich opowiadam ja. – Demirci tylko wyczuwa jego oddech.

Po bardzo długim czasie Pavlik odpowiada:

– W listopadzie zgłosiła się do nas MI5. Mieli podejrzenie, że Prawdziwa IRA finansuje swoją walkę z Ulsterem, handlując bronią, i stworzyli profil Niemca, który rzekomo był zainteresowany robieniem z nimi interesów. Lissek wysłał mnie do Belfastu. Była pani tam kiedyś?

– Nie.

– No to niech pani sobie daruje. W gazetach piszą, że wojna się skończyła. Ale to nieprawda. Komórka była mała, inteligentna, nieufna. Moja proteza, jak to często bywa, stanowiła jednak doskonały kamuflaż. Udało mi się pozyskać ich zaufanie. Dyskutowali ze mną o polityce. Szczerze dzieliłam wiele z ich poglądów, chociaż nie wszystkie. Czy ci ludzie mają prawo walczyć o swoją ojczyznę? Jak pani myśli?

– Jestem Kurdyjką.

– Więc się zgadzamy. Dni zmieniły się w miesiące. Ich przywódcą był Patrick O’Byrne, facet starszy ode mnie o osiem lat. Nie mieścił się w drzwiach, miał tors jak beczka guinnessa, a w jego czuprynie ptaki mogłyby uwić gniazdo. Spędzałem

z nim długie wieczory w pubach. Patty chciał mnie poznać, zanim zacznę robić ze mną interesy, chciał być pewien, że broń zostanie wykorzystana w imię słusznej sprawy. Bo oni nie są mafią, tylko patriotami. Powiedział, co uczyniło zeń mężczyznę, którym się stał. Słyszała pani kiedyś o Long Kesh?

– Nie. Co to takiego?

– Więzienie, które Anglicy zbudowali specjalnie dla więźniów IRA. Patty siedział tam pięć lat. Klawisze zabierali mu materac, koc, ubranie, buty, krępowali mu ręce na plecach. Zawieszali wiadro z wodą za oknem celi i sypali okruchy szkła na podłogę. Był zmuszony chodzić po nich bosy, żeby nie umrzeć z pragnienia. Nie wiem, co robią Kurdom w tureckich więzieniach, ale gorzej z pewnością nie może być.

– Nie można stworzyć imperium, jeśli nie ma się skłonności do okrucieństwa. A co się tyczy Kurdów: jeden z moich bratanków nie zgodziłby się z panem.

Śnieżynka tańczy w wizjerze Pavlika. Szybko dołączają się inne, a ona gubi się wśród nich. Następuje to, czego Pavlik się obawiał.

– Co jest? – pyta Demirci.

– Wróg z góry.

Demirci natychmiast rozumie, co Pavlik ma na myśli.

– Dużo?

– Jeszcze nie. Ale wkrótce rozpada się na całego. – Widzi zadymkę śnieżną powodującą zakłócenie obrazu, koryguje wizjer. – Ja również opowiadałem Patty'emu o sobie. Nie wspomniałem słowem o Sandrze, bliźniakach i o malutkiej, mówiłem tylko o pustej willi w Düsseldorfie, o nieudanym małżeństwie, o synu, którego nie mogłem odwiedzać. Kiedy pijani jak bela wytoczyliśmy się z pubu i rozeszliśmy się do domów, poszedłem przez dzielnicę katolików, oddzieloną od protestanckiego wschodu murem ośmiometrowej wysokości. Anglicy nazywają go Peace Line. Psy zagryzają się tam, walcząc o odpadki. Wozy pancerne, patrole. Bez przerwy wydawało mi się, że słyszę za sobą kroki. W hotelu miałem pod poduszką odbezpieczonego walthera.

– Wiem o tej akcji.

– Nie, nie pani nie wie. Staliśmy nad morzem. Patty mnie objął. Chciał dobić targu. Szepnąłem mu do ucha, jaka jest prawda. A kiedy zobaczyłem jego spojrzenie, myślałem, że się rozpadnę. Odszedł. Wróciłem do Berlina i powiedziałem Lisskowi, że MI5 otrzymał fałszywą informację i dał się nabrać. Sandra spytała o to, o co powinna: chciała wiedzieć, ile rodzeństwa ma Patty, od jak dawna jest żonaty, jaką lubi muzykę?

– Ma dzieci?

Za tę rozmowę Pavlik jest bardziej wdzięczny Demirci niż za wszystko inne.

– Johna, Séamusa i Marię. Ona ma piętnaście lat i pierwszego chłopaka. – Usta Pavlika są suche, szorstkie. – Tydzień później Lissek przechodził na emeryturę. Schlaliśmy się w Irish Pubie, wyciągaliśmy stare historie, przysięgaliśmy, że nigdy się nie zmienimy ani nie zapomnimy o sobie nawzajem. Ostatni toast wypadł na mnie: „Żeby zmarli na nas czekali”. W tym samym czasie SAS zaatakował w Belfaście. Podczas wymiany strzałów Patty został zabity. Dowiedziałem się o tym następnego dnia. To był ten dzień, kiedy pani objęła stanowisko. Pojechałem do domu i zacząłem rąbać drewno. Tak czy owak chciałem zrobić nową szafę do pokoju.

Przez chwilę patrzy w zadymkę śnieżną, a Demirci nie może wydobyć z siebie słowa. Potem szepcze:

– Niech mi pani tego nie robi.

– Rąbanie drewna w godzinach pracy?

– Myśli pan o tym, żeby się wycofać. Ale to niemożliwe. Nie mogę z pana zrezygnować.

– Kiedy zobaczyłem, jak stoi pani obok Lisska, trzymając bukiet kwiatów, pomyślałem, że jeśli się zatrzymam, to... – urywa. – Z bukietem kwiatów, który pani... z bukietem kwiatów...

– Rozumiem pana.

W tym samym momencie Pavlik przypomina sobie pierwszą wizytę Aaron z Kvistem w ich domu. Siedzieli w ogrodzie, Pavlik poszedł do kuchni po kostki lodu. Na stole jeszcze leżał pomięty papier z bukietu, który Kvist przyniósł dla Sandry.

Pavlik wrzucił papier do kubła na śmieci, lecz rzucił okiem na naklejkę.

Eva Askamp – Świat Flory.

– Pavlik? – pyta Demirci.

Nagle zadymka ustaje. Księżyc prześwieca między wystrzępionymi chmurami. Pavlik słyszy silnik, rusza na pełną drogę i widzi furgonetkę, która bez świateł zbliża się do polany. Chmury się przerzedzają, księżyc uśmiecha się szeroko nad wzgórzem.

– Kontakt – szepcze Pavlik.

Kończy rozmowę, ściąga prezerwatywę z wylotu lufy i bierze świeży śnieg do ust.

Kilka kilometrów za gospodarstwem Bosch zatrzymał się po raz pierwszy, aby pomyśleć. Holm jest chory. Bosch nie wiedział, co dzieje się z nim w ciągu ostatnich godzin, ale wątpił, żeby przeżył noc. Wtedy on byłby wydany na pastwę Saschy. Nie zobaczyłby ani grosza z miliona, musiałby tylko czekać na kulkę.

Oczywiście **gdyby wrócił** do gospodarstwa.

Co zależy mu na życiu? To pytanie brzmi tak prosto, a tak trudno na nie odpowiedzieć. Nie mógł ponownie włożyć odświętnego garnituru, kupić kwiatów dla Simone ani prezentu dla Eliasa i powiedzieć im, że wszystko będzie dobrze. Więc po co żyć?

Jechał dalej przez ośnieżony las, wyglądający jak w jednej z bajek, które czytał Eliasowi, i zatrzymał się po raz drugi. Chyba jednak trochę zależy mu na tym życiu. W przeciwnym razie nigdy nie poszedłby z Holmem, nie odważyłby się na tak wiele. Tak, to brzmi logicznie.

Gdy jechał przez wieś, zobaczył ludzi wychodzących z gospody – pewnie jakaś rodzinna uroczystość. Jakiś samochód zaparkował na drodze i Bosch musiał zaczekać. Pewien mężczyzna urządził sobie z synem bitwę na śnieżki; Elias byłby mniej więcej w wieku tego chłopca za dziesięć lat. Bosch widział, że ojciec specjalnie pozwolił się wystawić do wiatru, roześmiał się i podniósł ręce na znak, że syn go pokonał.

Przy wyjeździe ze wsi zatrzymał się po raz trzeci. Nagle zrozumiał, że chce pieniędzy tylko dlatego, że się na nim nie poznano. Był facetem, który półżywy trzymał się dziobowego statecznika zestrzelonego helikoptera, póki nie wyłowiono go z morza. Obok tonął jego dobry kumpel, Matthias – oderwało mu ramię i nie miał już siły dalej się trzymać. Był człowiekiem, który patrzył w oczy swojej żonie, gdy zdejmowano mu opatrunki, i poznał po jej spojrzeniu, że się nim brzydzi.

Dlatego chce tych pieniędzy: bo mu się należą.

I byłoby dobrze, gdyby je dostał. Kiedy sobie to uświadomił, wszelki strach zniknął. Wiedział, co zrobi. Pojedzie po cessed, wzbije się ponad chmury, ujrzy gwiazdy, a potem zamknie oczy i pomyśli o czymś pięknym. Może o tej chwili, gdy w autokarze dotknął ręki dziewczynki z kokardą we włosach, uśmiechnął się do niej, a ona przestała płakać.

Tłucze się po drodze, którą zna, ponieważ był tu już o ósmej, obejrzał wieżę, hangar i budynki, ale nie znalazł żadnych śladów, które wskazywałyby na to, że ktoś czeka na dole.

A może jednak?

Nie ma już pewności. Czy rzeczywiście tu był?

Zarośla zasłaniają furgonetkę. Pavlik widzi, że Bosch biegnie w świetle księżyca, kładzie się na ławce i wkłada okulary noktowizyjne. Pavlik trzyma go na celowniku. W ten sposób mija minuta. Potem Bosch zmienia pozycję. Obszukuje wzgórze, ale to nie niepokoi Pavlika – chroni go skała, na której spoczywa karabin, nie powstaje więc sygnatura cieplna. Śnieg w ustach sprawia, że zęby cierpną, ale czyni oddech niewidocznym. Pavlik trzyma palec na spuście, puls spoczynkowy wynosi dwadzieścia osiem uderzeń. Lekarz mógłby uznać go za zmarłego.

Bosch powoli się podnosi. Palec Pavlika nie porusza się ani o milimetr, jest stopiony z kurkiem.

Jakiś cień wskakuje na Boscha, prawie go nie dotykając. Bosch pada. Cień klęczy na nim. Długo. Twarz ma odwróconą od Pavlika, ale on nie musi jej widzieć. Nawet jeśli kaptur zasłaniałby rudawe włosy, wiedziałby, kto to. Kvist zabija Boscha szybkim ciosem pięści. Kiedy rusza w stronę

furgonetki, wsiada i wykręca, Pavlik obraca w tym samym kierunku lufę barretta.

Od wielu godzin zna swój cel. Oponę. Jeszcze zanim Kvist przyspiesza bez świateł, Pavlik wstrzymuje oddech. Potrafi tak wytrzymać przez dziesięć sekund, aż wreszcie wskutek braku dopływu tlenu powstaje prawie niezauważalne drzenie. Wyboistą polną drogę zasłaniają zarośla, pozostaje mu więc do strzału tylko jedno miejsce. Przesieka, węższa niż dwa metry. Po dziewięciu sekundach furgonetka z dużą prędkością mija ten punkt. Pavlik był całkowicie skoncentrowany na tym momencie, a mimo to poczuł się zaskoczony strzałem, bo nieświadomie oddał go o sekundę wcześniej, żeby był bardzo dokładnym. Kula trafia w tylną oponę furgonetki. Większość strzelców wyborowych, uzdolnionych mężczyzn, przysięglaby, że takie trafienie jest niemożliwe. Kvist niczego nie zauważył. Ponieważ jest to kula pokryta metalową koszulką, furgonetka dopiero za kilka minut będzie miała kapeć. Znika z pola widzenia. Pavlik biegnie z karabinem do fordów i dwoma szarpnięciami zrywa z jednego z nich siatkę maskującą. Zrzuca z siebie *ghillie*, wskakuje za kierownicę i rusza.

Świat Aaron jest mały. Składa się nań pomieszczenie gospodarcze, w którym kuca, i leżące obok zimne ciało Very. A także milczenie, które Holm funduje jej od bardzo dawna, milczenie na szeptane wciąż te same pytania: jakim człowiekiem była Natasza? Od jak dawna Holm wie, że Aaron ją zastrzeliła? Co zdarzyło się w Barcelonie?

Jest całkowicie pewna, że już nie usłyszy jego głosu, że Holm ją zabije, nie mówiąc jej prawdy, ponieważ przeszkadza mu w jego żalobie.

Ale wtedy on przerywa milczenie:

– Nie kochałem jej ze względu na wielką urodę. Miała zielone oczy, tak jak pani, ale nie o to chodziło. Uwielbiała, podobnie jak ja, rosyjskich poetów, lecz nie chodziło również o to. Mogła wejść do jakiegoś pomieszczenia i dopiero w tym momencie zauważało się, że wcześniej było tam ciemno, jednak i to było

bez znaczenia. Chodziło o jej brata bliźniaka, Anatolija, którego zastrzelił jego ojciec. Mogła mnie znienawidzić za to, co się stało, i również za to, że zająłem miejsce Anatolija. Jednak tego dnia, kiedy dowiedziała się, w jaki sposób umarł jej brat, podeszła do mnie, gdy stałem w ogrodzie dużego domu nad brzegiem morza, dotknęła ręką mojego policzka i powiedziała: „Teraz masz rodzinę”.

Aaron wie, że każde słowo sprawia mu ból.

Jemu i jej.

– W tym momencie zrozumiałem, co do niej czuję. Zataiłem to jednak. Ponieważ nigdy nie doświadczyłem miłości, mój strach przed nią był tak wielki jak strach przed piwnicą. Kiedyś jednak nie zachowałem dostatecznej uwagi i ojciec zobaczył, że obserwuję Nataszę, jak wpina sobie we włosy kwiat kamelii, jej ulubiony. Jego ręka ciężko spoczęła na moim ramieniu. Powiedział: „Nie wolno ci”. – Mija dłuższa chwila, zanim Holm znowu zaczyna mówić. – Natasza i ja byliśmy wtedy bardzo młodzi, ale ojciec już z góry zaplanował moją przyszłość. Nie spytał, czy go zrozumiałem. Nie musiał mówić, jaką cenę zapłacę za nieposłuszeństwo. W późniejszych latach Natasza i ja widywaliśmy się bardzo rzadko, tylko na uroczystościach rodzinnych. Zawsze głąaskała mnie po policzku i się uśmiechała, nic więcej. Mimo to wierzyłem, że czuje to samo co ja.

Aaron słyszy, że Holmowi zbiera się na płacz, ale nie może zaszclochać.

– Co ją zabiło? Nie mam na myśli pani kuli, nie oskarżam pani o skutki rykoszetu. Co zabiło ją naprawdę?

– Moja ambicja – szepcze Aaron.

Błyski dobywające się z ujścia lufy jaśnieją jaskrawo pomarańczowym światłem. Aaron wpada do podziemnego garażu w hotelu Aralsk.

Morderca goni ją między rzędami pojazdów. Jest szybki, to inteligentny drapieznik. Jeśli Aaron choćby na ułamek sekundy uniesie głowę, on strzeli. Została lekko postrzelona w skroń, krew spływa jej po twarzy. W jej rezerwowym magazynku są

już tylko cztery naboje, w magazynku glocka jeszcze dwanaście, chociaż morderca zasypał ją gradem pocisków. Aaron przeskakuje szczupakiem przez maskę samochodu, jednocześnie otwierając ogień. Kula zatrzymuje ją w ruchu, rzuca na ziemię, pozbawia czucia. Aaron widzi, że morderca wychodzi z ukrycia. Nie śpieszy się – myśli, że ona nie żyje albo jest niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Kiedy Aaron podnosi browninga, wygląda na zaskoczonego. Jej strzał to czysta lekkomyślność. Celowała w rękę, w której zabójca trzyma pistolet. Glock upada z hałasem na ziemię. Aaron słyszy krzyk kogoś trzeciego, jest jednak zbyt oszołomiona, aby się zorientować, kto krzyczy. Odruchowo strzela jeszcze raz, tym razem w brzuch. Zdumiony napastnik pada na kolana. Aaron wstaje, dotyka rany wlotowej w talii, potem na plecach, widzi, że kula przeszła gładko na wylot. Rusza w stronę mężczyzny, zgina się i czołga. Ponownie wstaje mimo palącego nagle bólu, odrzuca glocka. Dopiero teraz spostrzega kobietę leżącą przy wejściu do garażu, bez ruchu, z dziurą po stronie serca, z której tryska fontanna krwi.

Mężczyzna klęczy przed Aaron, przyciska obie ręce do brzucha, oddycha tak, jak później będzie w Barcelonie oddychał Niko. Ma błagalne spojrzenie. Aaron patrzy na niego z góry, bardziej bezlitośnie niż kiedykolwiek wcześniej czy kiedykolwiek później patrzyła na kogokolwiek, i pakuje mu ostatnią kulę między oczy.

To wspomnienie jest jak piętno.

Holm mówi:

– Zawsze gdy słyszałem głos Nataszy, słyszałem również głos ojca. „Nie wolno ci”. Nie wiedziałem, czy ona odwzajemnia moje uczucia ani czego boję się bardziej: tego, że tak jest, czy tego, że sobie coś roję. Naszym najczulszym dotknięciem był pocałunek w policzek. Z żadną kobietą nie byłem w bardziej intymnej sytuacji. Minęło wiele lat. Nie myślałem o niej ciągle, nie w każdej chwili, jak to się dzieje w kiczowatych powieściach, czasem jednak jechałem windą, siedziałem

w samochodzie, leżałem w łóżku i wiedza o tym, że nie wolno mi jej pożądać, sprawiała, że świat zamierał w bezruchu, a ja pędziłem w dal. Jedenaście lat temu, zimą, miałem do załatwienia jakąś rutynową sprawę. W kwaciarni zastrzeliłem mężczyznę, który nam zawadzał. Padając, stracił na podłogę doniczkę z białą kamelią. Leżała obok martwego, a krew płynąca z jego ust kapłała na liście. Długo tam stałem. Właściciel kwaciarni uciekł, było mi obojętne, że zaraz wezwie milicję. Zrozumiałem nagle, że muszę się zdecydować. Poczekać, aż mnie wyprowadzą, albo wyznać Nataszy miłość. Nie istniała trzecia możliwość. – Każde słowo Holma jest dla Aaron niczym cios kamieniem. – Czy kiedykolwiek powiedziała pani jakiemuś mężczyźnie, co pani do niego czuje?

Za późno. W tunelu było za późno.

– Nie.

– Dlaczego?

Aaron nie może odpowiedzieć.

– Wstydzi się pani teraz, kiedy sobie pani uzmysławia, że ten, komu odmówiła pani zdolności kochania, był gotów umrzeć, aby móc okazać swoje uczucia. A mimo to stchórzyłem. Samurajowie mówili, że kochający są najśmielszymi ludźmi. *Bushi no nasake*. Wie pani, co to znaczy.

– Czulość wojny.

– Kochałem prawdziwie, ale zabrakło mi odwagi, by dla miłości poświęcić swoje życie. Pani tymczasem była skłonna umrzeć. Szanuję to. Ja nie zdobyłem się na to najwyższe samoopanowanie. Podobnie jak zabrakło mi odwagi, żeby stanąć naprzeciw Nataszy. – Cisza, która zaległa, jest jak kamień spadający na dno. – Wysłałem do niej jeden jedyny list. Trudno przelać na papier słowa, których się nigdy nie wypowiadało. Człowiek zna każde, a jednak każde jest obce. Napisałem jej, że jeśli moja nadzieja nie jest płonna, to niech przyjedzie do Sankt Petersburga, odejdzie ze mną i wszystko za sobą zostawi. Wykradłem się od ojca jak złodziej. Nie pożegnałem się także z bratem. Dałem mu wszystko, co umiałem dać. Nie zabrałem ze sobą niczego oprócz ubrania. Czekałem w Sankt Petersburgu trzy dni i trzy noce. Stałem nad

brzegiem Newy, widziałem, jak wielki most otwiera się, by przepuścić statek z lampionami, i czekałem. Chodziłem po ulicach, na których obejmowali się nieznajomi ludzie, i czekałem. Szeptalem jej imię w ciemności mojego pokoju hotelowego i czekałem. Pod koniec trzeciej nocy zrozumiałem, że ona nie przyjedzie. Znowu stałem nad Newą. Wszystko we mnie wygasło i nie miałem już ojczyzny. Czy podobnie było wtedy, gdy obudziła się pani w Barcelonie i na próżno szukała świata?

– Tak.

– Na brzegu pojawiło się czterech ludzi. Chcieli mnie zabić. Doszedłem do siebie dopiero w chwili, gdy zobaczyłem ich zwłoki dryfujące w rzece. Kto nasłał tych mężczyzn?

– Nikulin.

– Mój ojciec. Przechwycił mój list do Nataszy, ona go nie otrzymała. Nie ufał mi przez wszystkie te lata. Nigdy nie byłem wolny i o tym nie wiedziałem. Tej nocy pani zastrzeliła Nataszę. Gdy odebrałem telefon, rozbiłem głową wszystkie lustra, podobno tak jak mój ojciec. Poleciałem do Moskwy, żeby mu pokazać, jakie okrucieństwa są mi nieobce. Ale Fiodor podpisał swoje zeznanie i mój ojciec został aresztowany. Samolot miał jakiś problem techniczny, dlatego spóźniłem się o godzinę. Widziałem jednak, jak wyprowadzają go w kajdankach na ulicę. Nasze spojrzenia się spotkały. On dobrze odczytał moje. Jak umarł?

– Odebrał sobie życie w areszcie śledczym. Odkręcił syfon umywalki, rozbił ją i odłamkiem podciął sobie żyły.

– Czy nie wydało się to pani dziwne? Miał połowę aparatu sprawiedliwości w ręce, z łatwością wyszedłby na wolność. Samobójstwo? Czy to do niego pasowało, nawet jeśli wziąć pod uwagę śmierć jego Nataszeńki? Nie, tego człowieka nic nie zdołałoby złamać. Po pani powrocie z Moskwy została pani odznaczona i zatrudniono panią w Wydziale. Za co? Za to, że zastrzeliła pani kobietę, która była tak kochana, jak pani nikt nigdy nie kochał. Za to, że złamała mi pani serce. Niczego innego pani nie osiągnęła. To nie pani zniszczyła imperium Ilii Nikulina. Ja to zrobiłem. Ja zapłaciłem dwóm wartownikom

w więzieniu Butyrki, żeby go zabili. Pozwolili mu się wykrwawić. Przyglądali się temu, a ja kazałem potem zdać sobie relację. Powinna pani była zrobić to samo z Boenischem. Proszę mi wierzyć, byłoby to większe zadośćuczynienie niż strzał w głowę w garażu podziemnym. Wtedy po raz ostatni dotknąłem pieniędzy ojca. Mam dostęp do wszystkich jego kont, których nigdy nie znaleziono. W samym Rijadzie leżą dwa miliardy dolarów. Prędzej bym sobie jednak odrąbał rękę, aniżeli wypłaciłbym bodaj centa. Niech pani wyciągnie rękę.

Aaron jest zdętwiała, uwięziona w kokonie strachu.

– Naprawdę pani myśli, że **to** będzie pani kara?

Aaron z drżeniem wyciąga rękę.

Holm przecina więzy. Aaron słyszy, że rozpina koszulę. I trwa w bezruchu.

– Chciałem pani coś pokazać. Chciałem powieść pani palce po białej kamelii na moim sercu. Kamelii, którą zasadziłem na grobie Nataszy. Teraz jednak nie chcę, żeby pani ręka jeszcze raz dotknęła mojej klatki piersiowej, nie zniósłbym tego.

Ona też nie. Ale nie z obrzydzenia.

– Od dawna dręczy mnie pytanie, czy gdyby Natasza przeczytała mój list, odeszłaby ze mną. Czy żyłaby, bo tej nocy, kiedy pani poszła do hotelu Aralsk, trzymałbym ją w ramionach w Sankt Petersburgu. Czy słusznie zabiłem drugiego ojca? A może był niewinny? Trzymała pani Nataszę w ramionach. Czy powiedziała coś jeszcze? Czy wymieniła moje imię?

W tym momencie Aaron już rozumie. Pragnienie Holma, żeby wreszcie wszystko sobie przypomniała, jest równie silne jak jej pragnienie. Właśnie dlatego opowiedział jej swoją historię i jeszcze do tej pory jej nie zabił – żeby odnalazła swoją pamięć i go wyzwoliła. Ponieważ on w rozpaczony czepia się nadziei, że kobieta, którą kochał, myślała o nim w chwili śmierci.

Ale Aaron nie wie, czy tak było. Ostatnim obrazem, jaki zachowała z garażu podziemnego, jest strzał między oczy zabójcy.

– Nie pamiętam – szepcze.

– Niech mi pani pomoże. Wiem, co panią blokuje – mówi

głucho Holm. – Bez przerwy rozmyślałem o karze dla pani. Mógłbym odpalić pistolet tuż przy pani uszach, żeby popękały pani bębniaki i żeby była pani ślepa i głucha, na zawsze zamknięta w ciele, które stałoby się pani samotnym więzieniem. Rozważałem, czyby również nie wyciąć pani języka. Ale czy to nie byłoby za mało? Co by było, gdybym zabił wszystkich, którzy coś dla pani znaczą? Nawet każdego, dla kogo kiedykolwiek znalazła pani dobre słowo, jak dla kobiety, która sprząta pani mieszkanie, albo dla biletera w pani ulubionym kinie? Nawet jeszcze teraz nie jestem zdecydowany. Co wydaje się pani najodpowiedniejsze?

Gdyby Aaron miała siłę krzyczeć, krzyczałyby bez przerwy.

– Jednak najgorsza kara dla pani jest już obmyślona. Kiedy ostatnio sadziłem na grobie w Moskwie białą kamelię, obiecałem Nataszy: w czasie, który pani przeznaczyłem, będzie pani musiała żyć z myślą, że winę za to, że została pani oślepią, ponosi jedyny mężczyzna, którego pani kiedykolwiek kochała.

– Co pan ma na myśli? – pyta szeptem.

To nie Holm rzuca kamienne słowa – to ona sama. Stoi na brzegu przed stosem głazów i ciska je w wodę, a one mimo swojego ciężaru unoszą się na powierzchni.

– Niech się pani zastanowi.

Nagle Aaron nie stoi już na brzegu, tylko na górze, o której marzyła, bo tam, na szczycie, mogłaby ostatecznie znaleźć wolność. Ale pod nią rozwiera się przepaść. Kamienie zaczynają się osuwać, wspomnienie porywa ją ze sobą jak lawina. Wirując, Aaron spada w nicość i krzyczy.

Trzyma w ramionach Nika, który dławi się krwią, wykaszkuje ją i ostatkiem sił przyciąga Aaron do siebie.

– Chcieliśmy się podzielić. Obiecał, że nic ci nie zrobi. Pozwól mi odejść. Musisz.

Gnając po autostradzie, Aaron ani myśli wezwać do niego pomoc.

– Uciekła pani, bo chciała pani, żebym go zabił – mówi Holm.

Aaron zanurza się w światła neonów pod Plaça de les Drassanes. Holm bez trudu podjeżdża swoim audi na sąsiedni

pas. Spoglądają na siebie. Moment, który przetrwał wszystkie te lata. Teraz, kiedy jej myśli stają się klarowne, Aaron wie, że w sekundzie przed błyskiem, którym zamglili jej świat, nie żałowała, że nie powiedziała Nikowi o swojej miłości do niego.

Jej ostatnia myśl brzmiała:

Boenischowi pozwoliłam żyć. Tobie nie.

Zaśnieżona droga gubi się w lesie. Kvist stoi na otwartej klapie furgonetki, przed nim leży zapasowa opona, z której uszło powietrze. Wie, że jego jedyna szansa w tym, żeby zatrzymać jakiś samochód, wie też, że nikt w tej pipidówce nie jeździ o tej porze. Patrzy na zegarek. Minęły już cztery cenne minuty. Zostawił telefon komórkowy w Berlinie, żeby nie mogli go namierzyć. Skradziony SUV stoi nieopodal lasu, ukryty w zaroślach. To za daleko, by iść pieszo – straciłby pół godziny, a nie ma tyle czasu. Wygląda więc na to, że skończyły mu się opcje. Czuje chłód, ale nie z powodu wiatru czy niskiej temperatury. Winna jest rozpacz i świadomość, że biorąc furgonetkę, aby przy wejściu na podwórze nie wzbudzić zainteresowania, podjął błędną decyzję.

Reflektory.

Przeświecają przez wierzchołek wzgórze i szybko wywiercają w czerni dwie jasne dziury. Co za ulga! Kvist staje na drodze i unosi rękę. Drugą jest gotów sięgnąć po makarowa, jeśli samochód się nie zatrzyma.

To nie będzie konieczne.

Ledwie kierowca zatrzymuje się i wysiada, Kvist wie, kto to jest.

Nic nie rozprasza Pavlika – ani smutek, ani gniew, ani żadne wspomnienie. Sięga po walthera. Naprzeciw rozciąga się łukiem cichy las i Pavlik chłonie jego spokój.

- Nie powinieneś był nigdy przynosić mojej żonie kwiatów.
- Wiedziałem, że kiedyś na to wpadniesz.
- Chcesz coś jeszcze dodać?
- Możesz wiecznie przed czymś uciekać. Ale od tego jednego błędu się nie uwolniesz.

Kvist spuszcza głowę, lecz Pavlik nie daje się omamić.

Słowa Kvista są tylko odrobinę głośniejsze niż wiatr:

– Wówczas, w Kabulu, zabiłem niewinnego człowieka. Jörg Aaron nazwał mnie zbrodniarzem.

– Miał rację.

– Zapomniałem o tym. Ale ten Pasztun miał syna. Był w Kabulu tłumaczem w ambasadzie amerykańskiej. Podczas zamachu ocalił życie rezydentowi CIA. Groziło mu niebezpieczeństwo i dlatego otrzymał wizę do Stanów Zjednoczonych. Amerykanin wyrównał z nim rachunek, informując go, kto zabił jego ojca i gdzie mnie znajdzie. Syn chciał wendety. Nie powinienem był wbijać mu noża w szyję. Ale w jego oczach widziałem tamtego, tego z Kabulu. Fakt, że jego syn oddycha, stanowiłby dla mnie ciągle oskarżenie. Ukryłem jego zwłoki.

Pavlik nie potrzebuje miarki, aby wiedzieć, że stoi dokładnie metr na lewo od forda, o jedną długość ciała za przednią osią. Myśli o żebrach, które policzył Kvistowi – a może złamał? Wiatr wieje w plecy, zasypuje drogę śniegiem i nawiewa ziarenka lodu na nogawki Kvista.

– Dlaczego nie zwierzyłem się tobie albo André? Co byście pomyśleli? Że Jörg Aaron miał rację. Mógłbym twierdzić, że była to obrona konieczna. Ale i wtedy musiałbym stawić czoła swojej winie. Przed sobą samym. Nie spałem po nocach, straciłem wszelkie oparcie. Świat stał się kruchy, jak ze szkła. Nie byłem pewny, czy jeszcze żyję.

Mówi powoli, można by sądzić, że każde słowo przychodzi mu z niezwykłym trudem. Pavlik wie jednak, że Kvist chce zyskać na czasie, aby rozegrać tę walkę do końca. Pavlik robi to samo.

Tylko nie pojedynk na pistolety. Nie miałbym żadnych szans.

– Przez pewnego Rumuna dowiedziałem się o istnieniu zakładów sportowych. Chińska druga liga piłki nożnej, kickboxing w Malezji i Indonezji, coś w tym rodzaju. Przez jakiś czas pomagała adrenalina. Ale potem zacząłem przegrywać. W pewnym momencie byłem tak bardzo na minusie, że nie widziałem wyjścia z tej sytuacji. I zapłaciłem zdefraudowanymi falsyfikatami.

– André się domyślił – mówi Pavlik.

– Miałem się oddać w ręce policji. Do chwili jego powrotu z Pragi. Nie masz pojęcia, jaki byłem zadowolony, że się wtedy upiłeś. W przeciwnym razie musiałbym zabić również ciebie. Ułożyłem sobie głowę André na kolanach i zamknąłem mu oczy. Ale nie skończyłem z hazardem. Jakby w Pradze wraz z André skonał także ktoś inny. Miałem wrażenie, że umieram, również gdy poprosiłeś mnie o wybaczenie za to, że cię ze mną nie było. Później poczułem się martwy w Barcelonie. A także dziś rano w windzie. Nie uwierzysz, jak często można umierać.

– Masz moje słowo: dzisiaj umrzesz po raz ostatni.

– Traciłem coraz więcej. Ci faceci dali mi jasno do zrozumienia, co znaczy mieć u nich długi. Ale podsunęli mi rozwiązanie. Skontaktowali mnie z Holmem, który miał pomysł z Chagallem. Dał mi słowo, że Jenny nie spadnie włos z głowy.

Pavlik z trudem znosi fakt, że Kvist wypowiada imię Aaron. Widzi też, jak rozluźnia mięśnie. Minimalne rozciągnięcie pleców, karku. Lewa ręka pozornie zwisa luźno, ale palce są napięte.

Jak długo oni się znają!?

– W Barcelonie oddychałem własną krwią. Powiedziałem Jenny, kim jestem. Dlatego mnie tam zostawiła. Kiedy obudziłem się w szpitalu, byłem pewien, że to już koniec, że nadchodzi wyzwolenie. Ale nic się nie stało. Nie rozumiałem tego. Raz byłem w jej pokoju, odwiedził ją też wtedy ojciec. Nikt nic nie mówił. Myślałem, że Jenny mnie kryje. Tak mnie to obezwładniło, że na korytarzu upadłem na kolana. Pięć lat żyłem w strachu przed Holmem i przed tobą, okryty hańbą.

Pavlik nie wybaczy sobie, że tego nie dostrzegł.

– Pewnego dnia wmówiłem sobie, że z Holmem jesteśmy kwita. On nie dostał w Barcelonie pieniędzy, ja dostałem dwie kulki. Ale ubiegłej zimy nagle stanął przede mną i powiedział, że chciałby przenieść brata do Tegla. Potrzebował dla niego korespondentki, nie chciał niczego poza tym. Brzmiało to uczciwie. Znałem wcześniej męża Evy Askamp, również był hazardzistą. Przypomniałem sobie o jego żonie i o tym, że po jego śmierci kiepsko sobie radzi. Zgodziła się za śmieszłą sumę.

– Nie zdziwiło cię, że ktoś taki jak Holm skontaktował się z tobą w sprawie korespondentki dla brata? Mógł w tym celu zwrócić się do setek innych osób – szydzi Pavlik.

– Owszem. Ale wyparłem to. Zrozumiałem wszystko dopiero wtedy, gdy w grę wszedł Boenisch. To była kara Holma dla mnie: żebym wydał na jego pastwę kobietę, którą kocham. Wczoraj wieczorem dowiedziałem się prawdy: że Jenny straciła pamięć i od tamtego czasu zadręcza się myślą, że zostawiła mnie wówczas w potrzebie. Kiedy wyszedłem z hotelu, jakiś facet zapytał mnie o godzinę, a ja go stłukłem.

Kvist mówi coraz ciszej, z trudem wypowiada kolejne słowa. Pavlik wie dlaczego. Powinien się skoncentrować na zrozumieniu go.

– Nie dlatego pozwoliłem jej pojechać na miejsce, w którym stał autokar, że mnie o to błagała. Zrobiłem to, ponieważ myślałem, że to obudzi jej wspomnienia.

– Od czego masz język?

– Chciałem jej o wszystkim powiedzieć. Ale kiedy zaczęła mnie szukać obok, by dotknąć mojej ręki, zobaczyłem, jaką wyrządziłem jej krzywdę, i nie potrafiłem wydobyć z siebie ani słowa. – Jego palce spoczywające na makarowie drżą. – Bosch zdradził mi ich kryjówkę. Pojedź tam ze mną. Uratujemy ją, to wszystko, o co cię proszę.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Za nią i za André zapłacisz tu i teraz, w tym śniegu.

– Chcę jej to wyjaśnić. Zobaczyć ją jeszcze raz.

– Przesyła ci pozdrowienia.

– Beze mnie się nie dowiesz, gdzie ona jest.

– Nie wierzę, że nazywałem cię swoim przyjacielem. Jesteś nikim, nigdy nie miałaś honoru, nigdy nie istniałaś.

– Nigdy nie pokonałeś mnie na treningu.

– Słusznie: to był tylko trening.

– Na razie, don Pavlik.

– Na razie, tchórze.

Kiedy makarow błyskawicznie ląduje w dłoni Kvista, Pavlik już koziołkuje pod forda, równocześnie wyciągając walthera. Strzela szybko trzy razy, ale Kvist zdążył już uciec ze światła

reflektorów i skryć się w mroku. Pavlik wpatruje się w drogę. Nie. Kvist na pewno wybrał najprostszą możliwość i dał nura w zarośla po prawej stronie. Ford na nic mu się teraz nie przyda. Pavlik ma sensor, a Kvist wie, że zabezpieczenia antywłamaniowe nie pozwalają odpalić samochodu na krótko.

Pavlik odwraca się, by widzieć obrzeże lasu. Trzy metry, między nim a drzewami rów. Jeśli wypełźnie spod auta, będzie widoczny jak na dłoni. Przetacza się więc na drugą stronę i pochyłony wyskakuje na drogę. Jedna z posłanych za nim kul przebija lewy rękaw kombinezonu i tylko muska jego ramię. Pavlik rzuca się do rowu, nasłuchuje.

Trzask gałęzi. Z lewej strony. Kvist cofa się do lasu, wzywa go. Pavlik podczołguje się do zarośli, zygzakiem sunie przez oblodzoną ścieżkę i oblicza, jakie ma szanse. Kvist jest o jedenaście lat młodszy, ma lepszą kondycję, z pistoletu strzela lepiej od niego. Pavlik wylicza własne atuty: sokoli wzrok, wiedzę snajperską, dzięki której potrafi odczytywać ślady i orientować się w terenie, lata praktyki. Poza tym połamał Kvistowi żebra.

W walce wręcz nie ustępują sobie w niczym. Obaj preferują fizyczny system krav maga, są sceptyczni wobec elegancji karate.

Pavlik dociera na stok wzgórza. Szuka śladów na śniegu – świeżych, płaskich odcisków butów. Zamarznięty strumyk niknie wśród sosen, spadek wynosi trzydzieści stopni. Pavlik oddycha płytko, prawie nie słyszy bicia swojego serca. Trzaski są tak ciche, jakby to trzeszczały jego kręgi szyjne. Dwadzieścia metrów w dół zbocza.

Ześlizguje się na skutą lodem powierzchnię strumyka. Prawie nie używa nóg, tylko zjeżdża bezgłośnie w dół. Zatrzymuje się. Po lewej leży kurtka Kvista. Ślady prowadzą poza strumyk.

Ale jeden z nich jest zbyt głęboki. Pavlik bez trudu domyśla się, że Kvist przeskoczył stąd na drugą stronę, żeby go zmylić. Podrywa do góry prawy łokieć, broni się przed ciosem, obraca się. Obejmuje nogami stojącego nad nim Kvista, a ten traci równowagę i upada na lód. Obaj zjeżdżają jak po torze bobslejowym w kotlinkę, głowami do przodu, Pavlik na

plecach, Kvist na nim. Odrzucają broń i zadają sobie nawzajem serię błyskawicznych ciosów. Pavlik bębni pięściami po żebrach Kvista, który usiłuje wrazić mu palce do oczu. Blokuje je lewą ręką i kłębem prawego kciuka wali Kvista w podbródek. Czuje, że łamie mu szczękę. Kiedy chce zadać cios pięścią, zaczepta piętą o jakiś korzeń. Proteza traci podciśnienie, odrywa się od kikuta. Chwył kleszczowy, w którym Pavlik trzyma Kvista, rozluźnia się. Kvist chce mu uniemożliwić schwycenie się za łydkę, gdzie ukrył broń. W jednej chwili, na załamaniu terenu, obaj spadają trzy metry w dół.

Pavlik z hukiem pada na plecy, czuje ból wżerający się w jego drogi nerwowe jak kwas. Na kilka sekund traci przytomność. Kiedy dochodzi do siebie, widzi jak przez mgłę, że Kvist stoi nad nim z nożem w ręce, który w locie wpakował Pavlikowi w brzuch.

– Mogłeś mnie posłuchać.

Głos Pavlika przebija się przez szum krwi w głowie:

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

Kvist pochyla się ku niemu, aby go lepiej zrozumieć. Wtedy Pavlik wbija mu pięć sztywnych palców w bok tak głęboko, że znikają aż do końca, a potem je przekreśla. Gałki oczne wychodzą Kvistowi z orbit.

W zwolnionym tempie klęka przed Pavlikiem. Chce krzyknąć, jednak krtąń odmawia mu posłuszeństwa.

– Wielu rzeczy nauczyłem moją młodszą siostrę – szepcze Pavlik. – A ona mnie. Nazywa się to „niema ręka”. Wiem, że rozumiesz każde słowo, tyle tylko, że nie możesz się już poruszać, mówić i oddychać. Pokaż mi teraz, czym jest *sisu*.

Pavlik widzi, że Kvist się powoli dusi. Gdy bezgłośnie pada twarzą w śnieg, Pavlik też się nie podnosi. Ociężale szuka telefonu komórkowego, ale go nie znajduje. Każda myśl jest jak gwiazda, która rozbłyska i natychmiast gaśnie. Musi minąć trochę czasu, zanim do Pavlika dotrze, że prawdopodobnie zgubił telefon gdzieś na górze, podczas walki. Mikrofon krtaniowy na nic mu się zda, jest poza zasięgiem radiofonicznym.

Pavlik czołga się w stronę skalnej ściany. W końcu dostrzega

nad sobą gruby korzeń, który oderwał mu protezę, wystarczająco długi, żeby dało się chwycić go oburącz. Czując w brzuchu ogień, Pavlik podciąga się wysoko. Jest pewien, że nie da rady, mimo to udaje mu się sięgnąć prawą ręką do załamania terenu i wymacać występ skalny. Wtacza się nań ostatkiem sił i czuje się tak, jakby ktoś po raz drugi dźgnął go nożem. Słyszy swój oddech, który wydaje mu się obcy. Ogarnia go senność.

Oczy już mu się zamykają, kiedy nagle, w odległości pół metra, dostrzega protezę.

Rusz się!

Za daleko.

No, dawaj!

Przeciąga się ospale jak leniwiec, chwyta protezę, zakłada ją, otwiera zawór, którym wytwarza podciśnienie. Czuje, że trzon protezy zespala się z kikutem.

Dalej!

Brnie w śniegu, powoli posuwając się naprzód. Szybko porzuca nadzieję, że znajdzie telefon albo jedną ze sztuk broni. Zupełnie stracił poczucie czasu. Wreszcie dostrzega drogę, reflektory fordą. Brzuch ma teraz lodowaty, cała reszta ciała płonie. Musi już tylko przedostać się przez rów.

Dam radę! Dam radę! Dam radę!

Podciąga się na furgonetce, którą przyjechał Bosch, z trudem siada za kierownicą, krzycząc z bólu. Teraz rozstrzygnie się, czy ma rację i czy Bosch ze względu na zaburzenia pamięci krótkotrwałej wpisał adres kryjówki do systemu nawigacyjnego. Jeśli Pavlik się pomylił, nie znajdzie w sobie więcej sił, żeby doczołgać się do fordą i odjechać. Wtedy po prostu będzie siedział tutaj, dopóki nie umrze.

Aaron wie, że Holm przyglądał się jej od dawna, że przejrzał każdą jej myśl, gdy coraz głębiej spadała w przepaść, że czuł każdą jej śmierć. I że teraz jest pewien, iż żadna jej nie ominęła.

– Próbowałem wtedy wybadać, kto mi to zrobił. BKA odseparowało panią, więc mi się nie udało. Ale nigdy nie porzuciłem nadziei. Kiedy rozmawiałem z Kvistem o Chagallu, zażądałem szczegółowych informacji o policjantce, która będzie udawała ekspertkę sztuki. Przygotowywałem się do sprawy równie skrupulatnie jak pani i nalegałem na dostarczenie mi kopii pani akt. Musiałbym być poetą, żeby opisać, co znaczyło dla mnie przeczytanie pani nazwiska i nazwiska Ilii Nikulina oraz zrozumienie, że moje poszukiwania się zakończyły.

Aaron czeka na koniec.

– Pierwotnie myślałem o wykorzystaniu do swoich celów innego obrazu, martwej natury Cézanne’a skradzionej rok wcześniej przez nieznanego sprawcę z Musée d’Orsay w Paryżu. Musiałem zmienić plany, ponieważ obraz odnaleziono, więc ze względu na Nataszę i na siebie zdecydowałem się na Chagalla. *Rozmarzeni tancerze* – to byliśmy my, ale tylko w mojej fantazji, ponieważ nigdy nie dane nam było się objąć, chociaż balansowaliśmy na linie do akrobacji. W Barcelonie obserwowałem panią, widziałem, że tuli się pani do Kvista, całuje go. Wtedy zrozumiałem, że mój wybór jest doskonały.

To prawda. Również ja balansowałam na linie. Runęłam wtedy i nadal spadam.

– Zatrzymałem się w tunelu. Szalała we mnie wściekłość, którą z ledwością udawało mi się poskromić. Wściekłość, że uległem nienawiści i strzeliłem pani w głowę. W głębi duszy miałem nadzieję, że jest pani żywa i będę mógł zadać pani pytanie. Samochód leżał na dachu. Zajrzałem do środka.

Krzyczała pani: „Moje oczy! Co się stało z moimi oczami!?”
W tamtej sekundzie postanowiłem, że zachowam cierpliwość i otworzę przed panią pierwsze piekło.

– A ja do niego wstąpiłam – szepcze Aaron.

– Mimo to była pani kochana i wiedziała pani o tym. To więcej, niż kiedykolwiek było mi dane.

– Nie, on nigdy nic do mnie nie czuł. W przeciwnym razie nie zrobiłby mi tego.

– Ależ owszem. Kvist był zropaczonym hazardzistą i dlatego wszedł w ten interes. W Barcelonie poszliśmy do restauracji. Kiedy pani wstała, aby się odświeżyć, zauważyłem, że jego spojrzenie ślizga się po pani karku. To samo spojrzenie miał wczoraj na lotnisku, kiedy pani paliła papierosa, a on wpatrywał się w panią z pożądaniem. Również w tej kwestii muszę więc panią rozczarować.

W pierwszej chwili Aaron wydaje się, że rozwiera się pod nią kolejna przepaść. Chociaż myśl, że mogłaby kochać Nika, jest dla niej dziwna i obca, bardziej ją uspokaja, aniżeli zatrwąza.

Znaczyłoby to, że on czuje się winny i pięć lat temu również został posłany do piekła.

Jak tam jest? Czy widzisz mnie co noc i krzyczysz?

– Pocieszę panią: jestem pewny, że Pavlik zna już prawdę. Jest zbyt inteligentny, żeby jej nie odkryć. Może i Kvist dysponuje imponującymi umiejętnościami, ale nie jest dla niego przeciwnikiem. Pavlik to człowiek, dla którego złożona przysięga znaczy mniej niż miłość, którą czuje do pani. Bo przecież jest to swego rodzaju miłość. Pavlik zabije Kvista, nie mam co do tego wątpliwości.

Tak. Zrobi to.

– Jest w pani tyle pewności. A we mnie tak niewiele. Mnie zostało tylko wspomnienie dłoni Nataszy na moim policzku i jej uśmiech, a także to, jak czule wypowiadała spieszczone imię Wania, bo takie nadano mi w Rosji, na cześć ojca mojego ojca.

Aaron czuje, że ogień przygasa. Wędruje po swojej bibliotece pamięci jak we śnie, widzi, że wszystko jest na swoim miejscu, otwiera sześcioro drzwi, potem siódme, ostatnie, i znajduje się w garażu podziemnym. Układa sobie na kolanach głowę

kobiety, wiedząc, że tę czerwoną fontannę spowodował rykoszet z jej browninga. Oczy kobiety są zamglone, niczym stare malowidło pokryte popękanym pokostem. Aaron ujmuje jej rękę. Jest gorąca. Kobieta chce coś powiedzieć.

Po kilku minutach, w czasie których tylko wczepia się w jej dłoń, Natasza z trudem wydaje z siebie tylko jedno słowo.

– Ponownie zadam pani pytanie – mówi Holm. – Jeśli odmówi mi pani odpowiedzi, będę musiał wykonać karę. Proszę wziąć pod uwagę, że poznam po pani głosie, czy pani kłamie. Czy Natasza powiedziała coś jeszcze, zanim umarła? Liczę do dziesięciu.

– Nie musi pan – szepcze Aaron. – Trzymałam ją za rękę, póki nie wyziębla tak jak teraz moja. Powiedziała: „Waniusza”.

Teraz!

Aaron podrywa się do góry, gotowa do walki, kopie, ale jej nogi trafiają w pustkę. Biegnie dwanaście kroków w lewo, a potem w prawo przez korytarz. Uderza językiem o podniebienie. Dwadzieścia trzy kroki do przedsionka. Nie wie, czy Holm podąża za nią, jej gołe stopy bębnią o posadzkę, a oddech ma tak głośny, że brzmi jak jeden wielki krzyk. Schody. Osiem kroków do podestu, ostry zakręt; Vera pomyliła się o jeden stopień, Aaron upada, wydaje się jej, że słyszy za sobą jakiś odgłos, znowu uderza językiem o podniebienie, dźwiga się do góry i biegnie dalej. Strach zdaje się spowalniać jej ruchy. Jeszcze pięć stopni, tym razem się zgadza. Trzy kroki w prawo, młaśnięcie, ominąć lampę stojącą, otwarte drzwi do sypialni. Dwa błyskawiczne kroki do stolika nocnego. Aaron otwiera go, chwyta rewolwer – to colt – czuje, że jest naładowany, odciąga kurek. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, kieruje broń na drzwi. Nigdy bardziej nie marzyła o spowolnieniu własnego pulsu.

Potrzebuje kogoś, kto by pomógł jej opanować strach, wyobraża więc sobie, że stoi obok i przygląda się własnym poczynaniom.

Odrobinę się uspokaja, jakby ta druga Aaron przejęła od niej drżenie.

Absolutna cisza.

Aaron przetacza się po łóżku i kłeka po drugiej stronie, składając się do strzału.

Wciąż nic.

Zrób to!

Biegnie do drzwi, wypada na korytarz, obija się o ścianę, upada na schody. Uderza językiem o podniebienie.

Ani śladu Holma.

Nagle rozumie, gdzie on jest. Wstaje jak lunatyczka, schodzi po schodach do przedpokoju, idzie do pomieszczenia gospodarczego. Holm wciąż tam siedzi.

Mówi, nie patrząc na nią, odwraca się do niej plecami.

– Podobnie jak pani długo szukałem swojej drogi. Kiedy Ilija Nikulin zapytał mnie o nazwisko, miałem wrażenie, że je znam. Okłamywałem samego siebie. Czy to nie dziwne, że tej samej nocy wkroczyliśmy na tę samą drogę? Od chwili, gdy wykonała pani egzekucję na człowieku, którego nasłał na panią mój ojciec, przestrzega pani zasad bushido. Ja jestem im wierny od chwili, gdy rozprysnęły się wszystkie lustra. Moja droga dobiegła końca. Wypełniam swoje przeznaczenie, nie ma we mnie smutku. Czy pani nie chciałaby też wreszcie zasnąć? Może niebawem zostanie to pani podarowane. Powiedziałem przedtem mojemu bratu coś, czego nigdy nie zapomni. Otworzył torbę z papierami i lada moment pojawi się tutaj, aby zrobić to, czego bał się przez tyle lat. Wtedy moje życie się skończy i nie będę mógł już pani chronić. – Wysuwa z pochwy stalowe ostrze. – Pani wie, co jest mi pani winna.

– Tak.

Aaron przystawia mu pistolet do potylicy. Wie, że Holm wbija ostrze noża do seppuku sześć centymetrów pod pępkiem, przesuwa nim w lewo, a potem kieruje do góry, aż pod mostek, i przecina aortę. Nie wydaje z siebie ani jednego dźwięku, lecz Aaron czuje jego drżenie. Naciska spust i słyszy, że ciało Holma pada na bok.

Nadjeżdża samochód.

Było to zaledwie dziesięć kilometrów, ale Pavlik nie przejechałby ani jednego więcej. Udaje mu się jeszcze zatrzymać forda. Tyle krwi. Ręce, białe jak śnieg, ześlizgują się z kierownicy. Chce wysiąść, bardzo chce, ale jego ciało leży w lesie i nie słucha poleceń. Oczy się zamykają. Strzały. Trzy kule przebijają przednią szybę. Nie trafiają go. Pavlik zadaje sobie trud, żeby to zrozumieć: Holm by nie chybił, nie z odległości tych kilku metrów.

Otwarcie oczu kosztuje go więcej sił niż wczłógnięcie się na wzgórze. To niemożliwe, ale widzi Aaron stojącą w świetle reflektorów. Oburącz trzyma rewolwer i ponownie odpala. Pavlik czuje pęd powietrza. Chce chwycić za klamkę i chybia raz po raz. Jeden pocisk wwierca się w chłodnicę. Wreszcie Pavlik znajduje klamkę. Napiera na drzwi.

– Aaron... to... ja.

Jego głos jest tak żałośnie cichy, że Pavlik myśli, iż Aaron na pewno go nie słyszy. Słyszy jednak, że ona biegnie, zatrzymuje się przed samochodem, szuka go po omacku.

A potem jest przy nim.

Pavlik płacze i już samo to boli.

Aaron chwyta Pavlika za rękę. Zna ten zimny pot. Ogarnia ją przeraźliwy strach.

Pavlik mówi nieswoim głosem:

– Musimy stąd pryskać.

– Co z tobą?

– Brzuch. Nóż. Musisz poprowadzić.

Aaron zastyga w bezruchu.

Pavlik chce się wczłógać z powrotem do auta, ale nie daje rady.

– Poczekaj.

Aaron przechodzi po omacku na stronę pasażera, starając się

nie myśleć o tym, czego żąda od niej przyjaciel. Otwiera drzwi, obejmuje go w pasie. Pavlik jęczy. Aaron chce go wciągnąć do środka, ale jest za ciężki.

Co to? Cichy odgłos silnika. Słysząc go z odległości co najwyżej kilometra, ktoś szybko się zbliża.

– Podobno kiedyś byłaś w Wydziale – mamrocze Pavlik z odległości lat świetlnych. – Nie wierzę, strzelałaś jak ślepa.

– Nie miaucz, kotku!

Ostatnim rozpaczliwym szarpnięciem Aaron wciąga Pavlika na siedzenie pasażera. Czy to on krzyknął, czy ona? Opuszcza szybę i modli się, żeby lodowaty wiatr nie pozwolił Pavlikowi zasnąć. Mija strasznie dużo czasu, zanim zajmuje miejsce za kierownicą. Wciska Pavlikowi rewolwer do ręki.

– Skręć ostro w prawo – szepcze Pavlik. – Gaz do połowy, wąska droga, sto metrów.

Aaron wrzuca pierwszy bieg, naciska pedał.

– Potrzebowałeś potwornie dużo czasu. Wspaniały z ciebie przyjaciel! Żeby pozwolić mi tak długo czekać...

Również płacze.

– Musiałem jeszcze... pozdrowić... od... ciebie... Kvista.

Znaczenie tego zdania, raniąc ją, dociera do niej z opóźnieniem.

– Powoli... stop. W lewo, droga krajowa, wolna.

Pavlik mówi coraz ciszej, jego głos niknie w ryku silnika, podczas gdy Aaron wyobraża sobie, że to tylko bieg jałowy, że nie przyspiesza do ponad stu kilometrów na godzinę i nie wjeżdża w tunel z adrenaliny.

– Prosto jak strzelił... dwa pasy.

Wiatr zwiewa włosy na twarz Aaron, która słyszy, że colt z hukiem upada na podłogę – Pavlik nie może go już utrzymać.

– Widzisz go?

– Za... nami – mówi Pavlik z wysiłkiem.

Padają strzały. Rozbija się lewe lusterko boczne.

– On... chce... jechać... obok... nas. Musisz... wjechać... na środkowy.

„Teraz wyrównam rachunek i pozwolę ci opuścić ten dom”. Kiedy Sascha wsiadał do samochodu, słowa brata dudniły w jego głowie jak kompresor. Na nasypie, gdzie czekał na pociąg z okupem, krew, jak po otwarciu żył, rozlała się po jego wnętrzu, łomocząc. Tak nisko Ludger wycenił swoją winę. On, Sascha, musiał przez cztery lata schodzić do piwnicy, a brat miał tak po prostu zostać przy życiu? Znosił każde upokorzenie, każdą hańbę – ale tylko dlatego, że wiedział, iż Ludger jest winny. Kiedy miał osiem lat, nie uciekł, gdy brat kradł chleb. Kiedy widział, jak umiera w domu tego mężczyzny i znowu wstaje na nogi, również przy nim trwał. I wtedy, gdy Ludger skazał go na pięć lat więzienia. Ale teraz już wie, co robi, gdy tylko zdobędzie pieniądze. Wtedy brat zapłaci prawdziwą cenę. Sascha będzie patrzył na jego zwłoki jak na kawałek drewna albo kamień, jak na przejechane zwierzę, jak na gnijące algi na plaży. Wkroczy do labiryntu i tym razem z dziecinną łatwością znajdzie drogę powrotną. Zada sobie pytanie, dlaczego nie zrobił tego już dawno. Ludger zamknął za sobą drzwi. W takim razie pójdzie do tego pomieszczenia gospodarczego i je otworzy.

Wyobrazenie, w jaki sposób pokaże jej, że są rzeczy gorsze niż ślepotą, przepelniało go takim zadowoleniem, że gdy usłyszał pociąg, było już niemal za późno. Wykonał telefon i torba wyleciała przez drzwi. Otworzył ją i zobaczył pieniądze. Wiedział, na co musi zwrócić uwagę. Kiedy w samochodzie podniósł banknot pod światło, jego wartość prawie pokrywała się z wartością na odwrocie. Ale tylko prawie.

W tym momencie łomotanie ustało. Obrazy, które widział w głowie, obrazy tego, co zdarzy się na farmie, były tak przemożne, napawały go tak wielkim strachem i zdziwieniem, że wszelkie inne pragnienia, również pragnienie posiadania pieniędzy, zbladły w porównaniu z nim. Sascha pojechał do gospodarstwa.

I zobaczył, że ford wytacza się na drogę.

Aaron taranuje mazdę. Samochód wpada w poślizg, ona chce go wyprostować, ale jak to zrobić na ślepo?

– Co on robi?

Brak odpowiedzi.

– Pavlik!

– Próbuje... w prawo.

Aaron skręca we wskazanym kierunku, znowu trzeszczy blacha. Przednia szyba z otworami po kulach nie wytrzymuje ciśnienia i się roztrzaskuje – odłamki z brzękiem wpadają do środka, ranią twarz jak szrapnele. Aaron wrzeszczy do Pavlika:

– Jak wygląda droga? Jakiś zakręt? Ruch z przeciwnika?

Brak odpowiedzi.

– Proszę, powiedz coś, bo inaczej będę musiała się zatrzymać!

Rozpacz zniekształca jej słowa.

– Autobus... sto metrów... wyprzedzaj... teraz.

Aaron wjeżdża na lewy pas i Aaron słyszy, że zahacza mazdę, która zostaje z tyłu. Strzały. Aaron wciska pedał gazu i przemyka obok autobusu.

Pavlikowi udaje się wypowiedzieć jeszcze trzy słowa:

– Ciężarówka... z naprzeciwka.

Aaron słyszy przesywający dźwięk klaksonu kierowcy ciężarówki. On nie może jej wyminąć ani zahamować, ona nie może się cofnąć.

A więc to taki będzie koniec. Odzyskałam życie, a teraz oddam je na drodze. Pavlik jest ze mną, nie umrę sama. Ale proszę, jeśli istnieje, pozwól mu wrócić do domu, do Sandry, do dzieci, powiedz przewoźnikowi dusz, żeby zabrał tylko jedną osobę.

Nieopisanym szczęściem przepelnia ją to, że w ułamku sekundy przypomina sobie, jak bawili się z bliźniakami w kowbojów i Indian. To, że pamięta, jak Pavlik pod koniec drugiego tygodnia jej obecności w Wydziale lekko skinął jej głową.

– Masz ładne nogi. Ale reszta też pasuje – powiedział.

To, że planowała razem z nim niespodziankowe przyjęcie na cholerne czterdzieste urodziny Sandry, że widziała, jak Pavlik się uśmiecha.

– Po prostu przewiążemy cię kokardą, to będzie dla niej najpiękniejszy prezent.

Mieć siedemnaście lat i potajemnie piec ciasteczka cynamonowe, by sprawić radość matce. A jakie są twarde, jak kamienie! Po raz pierwszy trzymać w rękach broń ojca i czuć, że jest do tego przeznaczona. Siedzieć z ojcem w gabinecie dyrektora szkoły, bo wyższego od niej o głowę brata swojej przyjaciółki Hatice kopnęła w krocze, kiedy chciał zbić siostrę. Widzieć, że ojciec obejmuje ją ramieniem.

– Niech jej podziękuje. Nauczyłem moją córkę, żeby w takich sytuacjach najpierw kopnęła chłopaka w krocze, a dopiero potem w głowę.

Nagle Aaron słyszy Holma.

Najważniejszą rzeczą, jakiej nauczył mnie ojciec, było to, że wola musi być silniejsza niż strach.

Aaron znów czuje wiatr, po hałasie silnika i fali powietrza poznaje, że ominęła autobus. Skręca i strzela, a boczne lusterko całkiem się odrywa. Za nią stal wwierca się w stal, brzmi to jak odgłos prasy ściskającej złom, Aaron wie, że mazda czołowo uderzyła w ciężarówkę, która właśnie ze zgrzytem zrzuci ją z drogi. Aaron hamuje. Nie mając wyczucia na oblodzonej jezdni, zdaje sobie sprawę, że samochód kręci się coraz szybciej; są to piruety olbrzyma, na którego ramionach siedzi ona, bardzo małeńka.

Wreszcie olbrzym staje.

– Pavlik – szepcze Aaron i szuka go ręką. Jego tętnica szyjna wysyła słabe sygnały w alfabecie Morse’a pod jej drżącym palcem.

ECHOSONDA

Mężczyźni czekają na korytarzu przed oddziałem intensywnej terapii. Zachowują się tak cicho, że słyszą, jak wskazówka godzinowa dużego ściennego zegara przeskakuje na szóstą. Drzwi się otwierają. Wychodzi Demirci.

– Wygrzebie się z tego – mówi.

Nikt nie odpowiada. Szefowa odwraca się, by wrócić na oddział.

– Dobra robota – odzywa się Fricke za jej plecami.

Demirci spogląda na niego.

– Panowie też byli dobrzy. Wszyscy. – Waha się przez moment. – Mogłabym teraz ogłosić, że od tej chwili będziemy mówić sobie po nazwisku, tak jak za czasów mojego poprzednika. Odmawiam panom tego nie z braku szacunku. Do moich dziadków, którzy żyli według dawnych tradycji, zwracałam się w trzeciej osobie, a mimo to nasze relacje były niezwykle serdeczne i oboje wiele dla mnie znaczyli. Jeśli nadejdzie taka pora, będę opłakiwała każdego z panów jak członka rodziny.

Dopiero w tym momencie następuje prawdziwe pożegnanie Lisska.

Aaron i Sandra siedzą przy łóżku. Pavlik jest zbyt słaby, żeby mówić. Aaron ma zamknięte oczy. Przebywa w swojej wewnętrznej komnacie. Nadal nasłuchuje echa wystrzału. Czy otrzymała karę, którą przeznaczył jej Holm? Oślepił ją, dla niego było to tylko przedpiekle. Ale co mogłoby być jeszcze gorsze? Niko? Gdyby wtedy, w Barcelonie, otworzyła oczy i przypomniała sobie, co wydarzyło się w magazynie, byłby to dla niej potworny cios. Tymczasem przez te wszystkie lata myślała, że zostawiła mężczyznę, którego kochała, na pewną śmierć. To było inne piekło i jakaś część jej w nim spłonęła. Teraz nie odczuwa już wstydu ani tęsknoty, tylko nienawiść.

Jednak nienawiść kiedyś wygaśnie.

Może.

Również nienawiść może być karą. Czy Holm to miał na myśli? Minie wiele dni i nocy, zanim Aaron znajdzie odpowiedź.

Wchodzi Demirci. Sandra całuje Pavlika, potem przytula głowę Aaron do piersi i gładzi ją po włosach. Robi to tak czule i w tak oczywisty sposób, że Aaron wie, iż gdyby Pavlik nie przeżył, przyjaciółka nie oskarżyłaby jej ani otwarcie, ani za jej plecami. Szłocha.

– Tak – mówi tylko Sandra.

Wychodzi i zostawia je same.

Demirci siada obok Aaron i wreszcie pyta:

– Jak udało się pani to przeżyć?

Aaron nie otwiera oczu:

– Miałam pomoc.

Demirci wkłada rękę Pavlika w jej dłoń.

– Nie wiedziałam, że zna pani „manewr Lisska”.

– Co to takiego? – pyta Demirci.

– Przecież powierzyła pani Pavlikowi negocjacje z Saszą i w ten sposób umniejszyła pani moją wartość.

– Zrobiłam to tylko po to, żeby usłyszała pani głos Pavlika. Miałam nadzieję, że to przyniesie pani pociechę.

Aaron czuje wdzięczność, której nie umie wyrazić słowami – żadne nie byłoby stosowne. Pavlik chce coś powiedzieć, ale język odmawia mu posłuszeństwa.

– Jutro. Niech pan wypoczywa.

Czy pani nie chciałaby też wreszcie zasnąć?

Tak, olwiane zmęczenie wypełniało ją jak beton i było jak balast, który ciągnął ją na dno czarnego morza. Minęło, gdy olbrzym się zatrzymał, a ona zeskoczyła z jego ramion. Może stało się tak również dlatego, że w tamtym momencie zdarzyło się coś, czego ona sama nie chce jeszcze przyjąć do wiadomości, nie dopuszcza do siebie, ze strachu, że coś sobie roii.

Dlatego ma zamknięte oczy.

Opuszcza swoją wewnętrzną komnatę.

– Jakie jest pani najwcześniejsze wspomnienie? – pyta.

Zdumiona Demirci zastanawia się.

– Miałam dwa lata i wdrapałam się na oparcie fotela. Do dzisiaj mam bliznę na głowie. Bólu już nie pamiętam, jedynie to, że upadłam.

– Ja pamiętam, że moi rodzice rozmawiali, a ja nie rozumiałam ani słowa – mówi Aaron. – Było to bardzo dziwne.

Pavlik odzywa się skrzekliwym głosem:

– Ociec wyrzucił moją złotą rybkę do kibla. Konsekwencje tego widać do dzisiaj.

Śmieją się wszyscy troje.

Słychać pukanie. Aaron rozpoznaje Helmchen:

– Przepraszam.

– Nie, proszę zostać – odpowiada Demirci.

Helmchen staje obok Aaron. Bierze ją za rękę i coś wkłada jej w dłoń. Aaron obmacuje to. Łuska naboju. Kiedy próbuje odgadnąć, o co może chodzić, Demirci mówi:

– Pani Aaron, chciałabym panią o coś prosić.

– Słucham?

– Niech pani wróci do Wydziału.

Aaron milczy.

– Oczywiście dam pani czas do namysłu.

Mija moment, w którym przyzwoitość nakazywałaby udzielić odpowiedzi. Aaron nie otwiera oczu.

– Ślepa i kulawy. *Dream team* – jęczy Pavlik.

– Proszę to przynajmniej rozważyć. Proсили mnie o to wszyscy nasi ludzie. Choć wcale nie musieli, bo już od wczorajszego poranka byłam na to zdecydowana.

Aaron otwiera oczy.

– Czy mogłaby pani zgasić światło?

Czuje bezradność Demirci.

– Proszę.

Demirci wstaje i wykonuje polecenie.

– A teraz włączyć.

Serce i oddech Aaron przyspieszają jakby w takt tanecznej melodii.

– Odróżniam jasność od ciemności.

POSŁOWIE

Przeprowadziłem tak skrupulatne badania, jak tylko było to możliwe. Wiele rzeczy można przeczytać, ale nic nie zastąpi bezpośrednich rozmów i osobiście zebranych doświadczeń. Niech moje podziękowania przyjmie doktor Roman Schmeissner, trener orientacji przestrzennej, którego zaangażowanie dla „jego” niewidomych jest bezprzykładne, a także Christa Maria Rupp ze Związku Niewidomych i Niedowidzących w Saarze.

Spotykałem się z czterema niewidomymi kobietami. Każda z nich zrobiła na mnie niezwykle wrażenie. Kerstin Müller-Klein radzi sobie z życiem tak znakomicie, że jest pod tym względem bliska mojej Aaron. Ugne Metzner pokazała mi, że bardzo wysokie szpilki, mogą być echosondą. Suzanne Emmermann świetnie daje sobie radę w księgowości berlińskiego BVG, a Pamela Past odnosi sukcesy jako obrończyni w sprawach karnych. Opisała ona swoją historię w znakomitej biografii *Ich sehe das, was ihr nicht seht* (Widzę to, czego wy nie widzicie).

Ogromną pomocą służył mi profesor doktor Jürgen Kiwit, ordynator neurochirurgii w Klinikum Buch, podobnie zresztą jak doktor Norbert Helbig, neurolog i psychiatra, od którego dowiedziałem się wielu nieznanych mi wcześniej rzeczy dotyczących pamięci i amnezji.

Doktor Peter Kleinert zawsze miał dla mnie czas. Wierciłem mu dziurę w brzuchu tyłoma pytaniami z zakresu medycyny, że wiele innych osób już dawno straciłoby cierpliwość. Dziękuję, Peter!

Profesor doktor Peter Höflich z uniwersytetu Viadrina uświadamiał mnie na temat europejskiego układu o wykonywaniu kary.

Najważniejszym dla mnie ekspertem jest profesor doktor

Bernhard A. Sabel, dyrektor Instytutu Psychologii Medycznej na uniwersytecie w Magdeburgu. Od wielu lat zajmuje się on praktycznymi badaniami osób niewidomych, pomocy szukają u niego pacjenci z całego świata. Jego wiedza fachowa i krytyczne uwagi były dla mnie niezwykle cenne. Szczęśliwym zrządzeniem losu przed napisaniem mojej powieści mogłem przeczytać maszynopis jego nowej książki. Dodaje on prawdziwej otuchy osobom mającym problemy ze wzrokiem.

Profesor Sabel towarzyszył mi podczas prac nad niniejszą powieścią, udzielając mi różnych uwag i podsuwając wiele sugestii. Będzie doradzał mi również przy następnych książkach, bo historia Aaron się nie kończy. Wiele to dla mnie znaczy.

Kto chce się dowiedzieć czegoś więcej o echolokacji, zdumiewającej technice pozwalającej niewidomym określać swoje położenie w przestrzeni, może się na przykład zwrócić do stowarzyszenia *Anderes Sehen* (Widzieć inaczej) w Berlinie. Daniel Kish doprowadził ową umiejętność do mistrzostwa, jego nagrania wideo na YouTube mówią same za siebie.

Wszystkim, którzy chcą się dowiedzieć, do jakich ekstremalnych wyczynów są zdolni niewidomi, chciałbym z całego serca polecić trzy autobiografie: *Balanceakt. Blind auf die Gipfel der Welt* (Akt równowagi. Po omacku na szczyty świata) Andy'ego Holzera, *Mein Weg führt nach Tibet* (Moja droga prowadzi do Tybetu) Sabriye Tenberken i *Das wiedergefundene Licht. Die Lebensgeschichte eines Blinden im französischen Widerstand* (Odnalezione światło. Opowieść o życiu niewidomego uczestnika francuskiego ruchu oporu) Jacquesa Lusseyrana. Pokazują one, że umiejętności Aaron wcale nie są fikcją. Z ostatniej autobiografii ukradłem zdanie, któremu wprost nie mogłem się oprzeć: „Poczekajcie, aż zobaczy go Ślepy”.

Bardzo wzbogaciły mnie również książki *Im Dunkeln sehen. Erfahrungen eines Blinden* (Widzieć w ciemności. Doświadczenia niewidomego) Johna M. Hulla i *Notizbuch eines Neurologen. Was Blinde sehen* (Notatnik neurologa. Co widzą niewidomi) Olivera Sacksa. Cztery cytaty pochodzą

z *Hagakure. Sekretnej księgi samurajów*.

Pozwoliłem sobie jednak na trochę swobody. Na próżno bowiem szukać przy berlińskiej Budapester Strasse dwudziestopiętrowego budynku, podobnie jak przy Leipziger Strasse hotelu Jowisz czy też hotelu Aralsk w Moskwie. To samo dotyczy obydwu wzgórz opodal lotniska Finow. Ale są to moje hotele, mój wieżowiec, moje lotnisko. Niechaj osoby, które ryzykowały życie, biorąc udział w szturmie na „Landshut” w Mogadiszu i w uwolnieniu zakładników, nie mają mi za złe, że obdarzyłem Jörga Aarona ich odwagą i zdecydowaniem.

Wydział istnieje wyłącznie w świecie Aaron, nie ma go w rzeczywistości, choć pewnie niejeden polityk bardzo by sobie tego życzył. Równocześnie dobór metod działania tej wymyślonej przeze mnie jednostki specjalnej wynika z moich długoletnich badań, które rozpocząłem już podczas pisania swojej pierwszej powieści, *Operation Rubikon* (Operacja Rubikon).

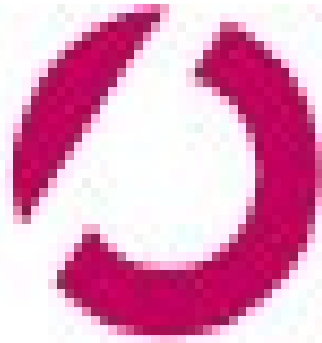
Jeśli popełniłem jakieś błędy rzeczowe, odpowiedzialność ponoszę za nie ja, nie moje źródła.

Pragnę podziękować czterem bliskim przyjaciołom. Murmelowi Clausenowi i Hansowi-Joachimowi Neubauerowi za ich talent, krytyczną lekturę i rady, a Jürgenowi Haasemu za to, że pierwszy potrafił wyobrazić sobie niewidomą policjantkę jako bohaterkę powieści. Hans-Ludwig Zachert, były dyrektor BKA, był, jak zawsze, moim konsultantem.

Ogromne podziękowania należą się Katrin Kroll z Agentur Eggers, która natychmiast uwierzyła w tę książkę i niezmiennie dodawała mi otuchy, a także Thomasowi Halupczokowi, mojemu redaktorowi, którego dewiza mogłaby brzmieć: „Dobre jest wrogiem lepszego”; to wspaniały człowiek. Bardzo uspokaja mnie świadomość, że ma się obok siebie taki wspaniały zespół – gdyby nie było wydawnictwa Suhrkamp, należałoby je założyć. Mówię tu między innymi o Jonathanie Landgrebem, którego słowa pomagały mi w trudnych godzinach.

Dedykacja pokazuje, w jak wielkim stopniu moja żona przyczyniła się do pomyślnego ukończenia tej powieści. Anna

we wszystkim mnie wspiera i jest moją pierwszą czytelniczką. Dzięki jej przenikliwemu spojrzeniu wiele poprawiłem. Nigdy nie wypuściłbym z rąk niczego, czego nie uznałaby za dobre. Oby ten dzień nigdy nie nastąpił.



OTWARTE

woblink

lesiojot